

Przez świat

Informacje turystyczne
z całego świata

Tom XVIII

pod redakcją naukową
Andrzeja Urbanika
Macieja Brożyny
Łukasza Godka



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2014

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Maciej Brożyna, Sławomir Drozd, Ewa Flak, Łukasz Godek, Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź, Karol Holona, Joanna Kłosowska-Holona, Jarosław Kociel, Radomir Kolmas, Anna Kolmas, Jacek Kowalik, Joanna Kusiak, Anna Lega, Grzegorz Lega, Agnieszka Lipecka, Tomasz Lipecki, Sławomir W. Malinowski, Anna Manczyk, Paweł Manczyk, Artur Morawiec, Joanna Morawiec, Krystyna Olszewska, Adrian Palak, Witold Palak, Rafał Robak, Romek Saj, Adam Stępiński, Alicja Szpot & family, Cezary Wasyluk, Grażyna Wiland, Piotr Wiland, Ewa Wilczyńska-Saj, Danuta Wojciechowska, Walenty Zajkowski, Rafał W. Zarębski

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. Wojciech Czarny

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. A. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Koczążb

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-061-3 (tom XVIII)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2014

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigonia 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@univ.rzeszow.pl; <http://wydawnictwo.univ.rzeszow.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 21,50, ark. druk. 20,75, zlec. red. 99/2014

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożazami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarń, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad kolejnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik

WWW.TRAVELBIT.PL
CENTRALA POLSKICH GLOBTROTERÓW

www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzenia naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtrote-

rzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malezja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod znamienym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.osott.pl.

OSOTT

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów

Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróźniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXX jubileuszowy OSOTT 2014,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 8–10 listopada 2014.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróźników
ale i tych,
którzy marzą o dalekich podróźach.

Informacje:

www.osott.pl

www.travelbit.pl

www.ur.edu.pl



Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XIX książki „Przez świat”.

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2014–2015. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy travelbit@travelbit.pl – upływa w dniu 20 lutego 2015. Relacje będą oceniane pod kątem zawartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub Euro), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznać, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznanne fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

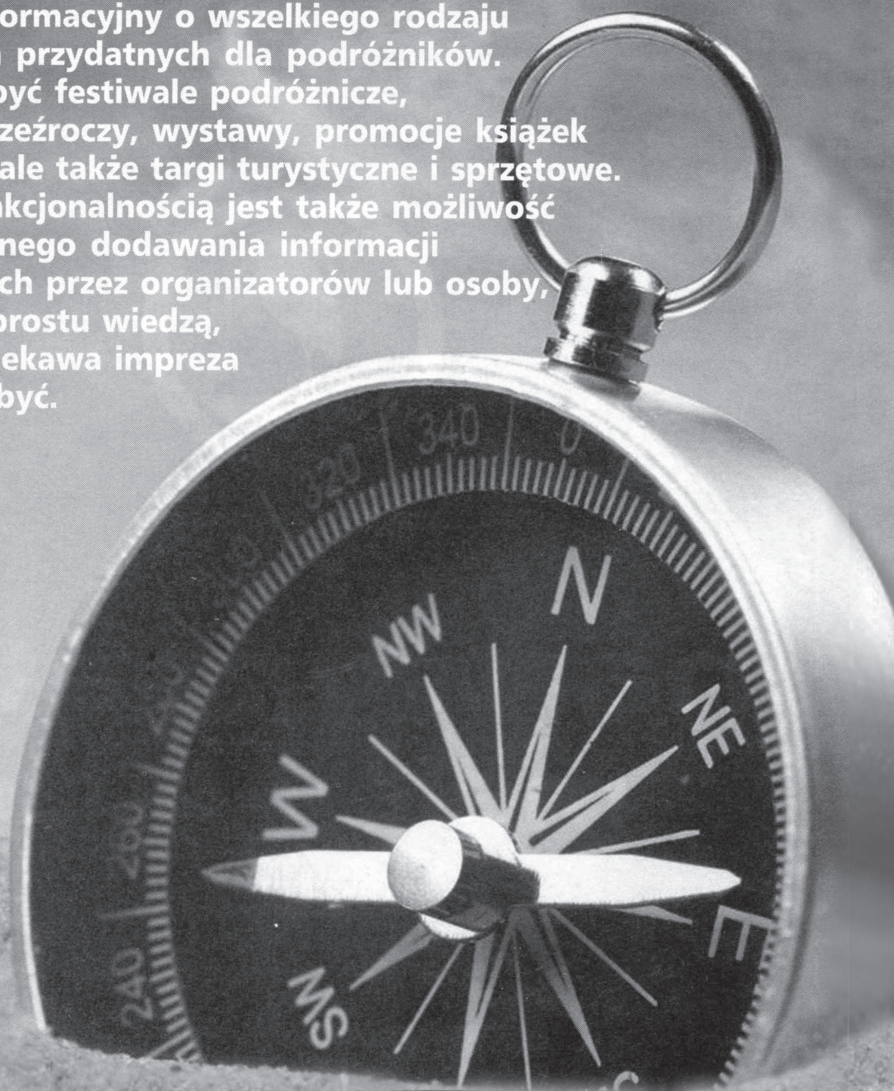
Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie www.travelbit.pl, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.



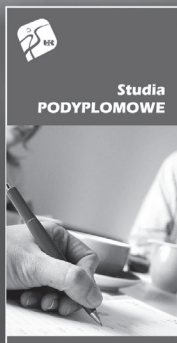
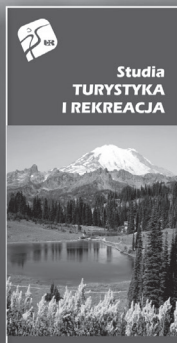
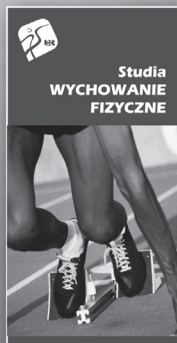


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 1861

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!

Maciej Brożyna, Łukasz Godek
Sławomir Drozd

Białoruś – z wizytą bez wizy



Waluta – rubel białoruski – 100 rubli (BYR) = 0,03 zł.

Wiza – ok. 300 zł – Zakupiliśmy bilety na Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie. Bilety za sztukę 90 000 rubli białoruskich (ok. 29 zł). Bilety na czas mistrzostw zastępowały wizy.

Paliwo – ok 12 000 BYR

0,5 l wódki – 10 000 BYR

Chleb – 1000 BYR

„Rzeszów na Koronie Europy” – 46 SZCZYTÓW

Celem całego projektu jest zdobycie wszystkich najwyższych szczytów Europy. W przypadku powodzenia naszego projektu mamy szansę jako pierwsi ludzie na świecie (nauczyciele akademicy), w barwach Uniwersytetu Rzeszowskiego zdobyć wszystkie najwyższe szczyty Europy. Tym razem naszym celem była Białoruś.

RELACJA Z PODRÓŻY

Choć jest tak blisko i jest naszym sąsiadem, to jednak trudno dostępna. Głównym powodem jest to, że nieśmiertelny wódz – A. Łukaszenko chce, by jego żywicielka (Białoruś) była tak trudno osiągalna, jak kilka lat temu wiza do USA. Pytanie tylko dlaczego i co chce tak chronić i ukrywać „ojciec” wszystkich Białorusinów. Do USA wszyscy jechali za pracą, a na Białoruś? Chyba po wódkę? My jednak musimy stanąć na najwyższym punkcie w każdym europejskim kraju, więc również na Białorusi. Nazywając najwyższy punkt w kraju Łukaszenki szczytem, to dosyć naciągnięta sprawa, ponieważ jest to usypany kopiec otoczony ścieżkami spacerowymi ułożonymi z kostki chodnikowej. Ale w porównaniu z wieloma informacjami, które wychodzą z ust naszego przywódcy Alexandra, a które bardzo mijają się z prawdą, nasze naciągnięcie jest bardzo nieznaczne. Wysokość Dzierżyńskiej Góry wynosi 345 m n.p.m. Góra leży na Wysoczyźnie Mińskiej, stanowiącej centralną część Grzędy Białoruskiej. Znajduje się w obrębie wsi Skirmuntawa, 20 kilometrów na północ od Kojdanowa i 30 kilometrów na południowy wschód od Mińska. Stok południowo-zachodni ma pochyłość około 5°,

stoki północne i wschodnie są rozorane, a pochyła wynosi około 2°. W 15 proc. terytorium góry jest porośnięte młodym lasem. Góra ma charakter morenowy, pokryta jest łem i piaskowcem. Uformowała się podczas holocenu. U jej podnóża mają źródła rzeki basenu Niemna i Dniepru – Ptycz, Istocz, Suła i Usa.

W przypadku białoruskiego szczytu słowa „zdobycie góry” to lekkie nadużycie, ponieważ ów szczyt znajduje się przy drodze asfaltowej, a atak szczytowy polega na zaparkowaniu samochodu i dwuminutowym spacerku do najwyższego punktu, który w niczym nie przypomina góry. Swoim wyglądem przypomina pomnik na usypanym kopcu. Ponieważ najwyższy szczyt Białorusi nie jest imponujących rozmiarów – mówiąc delikatnie, to nawet w tej sprawie nasz „chlebodawca” musiał coś zrobić, by pomóc przyrodzie i postanowił o kilka metrów podnieść wierzchołek swej góry. Złośliwi twierdzą, że Prezydent Łukaszenko chcąc wypiętrzyć szczyt, nie czekając na naturalne zmiany terenu, wysłał kilka samochodów ciężarowych z ziemią i kamieniami. To i tak dobrze, że nie kazał pomalować swojego kopca w kolorze granitowej skały, a wierzchołek posypać sztucznym śniegiem.

Czekaliśmy kilka lat i próbowaliśmy różnych formalnych sposobów, by ominąć albo ograniczyć do minimum wszelkie płatności wizowe. Ciągłe dostawaliśmy odmowy i ciągle wydawała nam się ta podróż za droga. W końcu jednak dopisało nam szczęście i końcem kwietnia jeden z naszej ekipy wyczytał, że na Białorusi odbędą się mistrzostwa świata w hokeju na lodzie. Pewnie dla kogoś, kto to czyta, tego typu informacja nie jest czymś szczególnym, no i kompletnie nie wiadomo, jaki mogłaby mieć wpływ na nasze problemy wizowo-finansowe. A jednak ta informacja miała dla nas kluczowe znaczenie, ponieważ dowiedzieliśmy się, że osoby, które kupią bilet na jakikolwiek mecz w trakcie trwania mistrzostw, są zwolnieni z obowiązków wizowych, a bilet na czas tego wielkiego sportowego wydarzenia jest przepustką do kraju „mlekiem i wódką płynącego”. Tak naprawdę, to za tę wspaniałomyślność powinniśmy dziękować naszemu łaskawcy Alexandrowi, bo to była jego i tylko jego decyzja.

Nie czekając długo, postanowiliśmy kupić bilety na jakikolwiek mecz i w drogę. Cena biletu w przeliczeniu na złotówki wyniosła 30 zł, więc w porównaniu do ceny za wizę (300 zł) zrobiliśmy chyba dobry interes?

Zadzwońiłem do mojego przyjaciela pochodzącego z Mińska, z którym studiowałem, by zapytać, czego możemy się spodziewać, a czego obawiać w jego ojczyźnie. Alexiej powiedział, że kilka dni temu wrócił z Białorusi i ma dla mnie dobre wieści.

Dowiedział się, że jego wspaniały przywódca wybrany w „prawdziwych demokratycznych wyborach” oznajmił wszystkim służbom mundurowym, że mają być dla wszystkich przyjezdnych obcokrajowców na czas mistrzostw miłsi i bardziej uczynni niż dla własnych rodzin, a jeśli przyłapie kogoś na przyjmowaniu korzyści majątkowych, to osobiście wymierzy mu sprawiedliwość.

Mam tylko nadzieję, że to, co mijaliśmy po Białoruskiej stronie, nie było tapetą przyklejoną na widnokręgu na czas mistrzostw, a ludzie i zwierzęta wokół nas byli prawdziwi. Jedno jest pewne – prawdziwa była pani celniczka na przejściu granicznym, która uśmiechała się do nas tak szeroko, że jej piękne zęby w kolorze złota, odbijając promienie słońca, raziły nas w oczy.

Alexiej miał rację – wszyscy byli bardzo mili, ale z drugiej strony może tak jest zawsze? Przecież jesteśmy tu pierwszy raz, więc skąd możemy to wiedzieć?

Pani celniczka, oglądając nasz bilet na mecz, zapytała, komu będziemy kibicować? I tu nas trochę zaskoczyła, bo nie bardzo wiedzieliśmy, co jest napisane na tym bilecie?! Musieliśmy wybrnąć z tego dyplomatycznie i odpowiedzieć – „za lepszymi”, bo przecież nie mogliśmy powiedzieć prawdy, czyli: kupiliśmy bilet, by nie musieć przepłacać za waszą wizę! Prawda była też taka, że nie interesuje nas kto gra mecz i z kim, ponieważ nie mamy zamiaru iść na to widowisko, tym bardziej że mecz miał być rozegrany tydzień później, a my planujemy wrócić jeszcze tego samego dnia do Rzeszowa.

Po wymienieniu złotych na białoruskie ruble staliśmy się milionerami i po raz pierwszy mieliśmy w portfelu ponad milion rubli. To było bardzo przyjemne, choć trwało tylko chwilę. Ceny na Białorusi bardzo przystępne i przeciętnego Europejczyka stać raczej na wszystko. Dziwić może tylko fakt, że coca-cola jest droższa od flaszki wódki, ale to można wytłumaczyć w bardzo prosty sposób. Otóż coca-cola to szkodliwa używka, jak zresztą wszystko co amerykańskie, i można bez niej żyć, natomiast wódka to produkt leczniczy i tak potrzebny, i naturalny jak powietrze, bez którego nie da się żyć – szczególnie w tym kraju. Białoruś to smaczna i tłusta kuchnia zbliżona bardzo do kuchni polsko-rosyjsko-ukraińskiej.

Ludzie są dobrzy i przyjaźni, ale tak jest w każdym kraju, gdzie żyje się skromnie z dnia na dzień. Brak widoku klasy średniej, czyli – albo mija was Porsche, albo stara żardzewiała Łada. Ludzie nie mają wygórowanych potrzeb, o czym powiedział mi Alexiej.

Mówił, że ludzie w Europie chcą mieć wszystkiego więcej, a gdy już mają, to chcą jeszcze więcej. Przeciętna rodzina białoruska nie myśli o wczasach w Egipcie, ale o tym, by mieć dach nad głową, opał na zimę, by utrzymać rodzinę i by w lodówce oprócz jedzenia zawsze była buteleczka narodowego specjału. Jeśli to wszystko ludzie otrzymują w swoim kraju, to znaczy, że mają dobrego przywódcę i nie należy go zmieniać. Po co wyjeżdżać do innych krajów i oglądać zdeprawowanych i ciągle nienasyconych obcokrajowców, skoro tu, w swej ojczyźnie mają wszystko, co potrzebne jest do szczęścia, a dodatkowo czuwa nad nimi ich ojciec Alexander, który oddałby za nich życie.

Polecamy zwiedzanie tego kraju, bo jest piękny, ciekawy i przypomina trochę czasy z filmów Barei. Można więc cofnąć się kilka lat wstecz.

Jeśli ktoś uważa, podobnie jak my, że wiza i inne opłaty są zbyt duże, by tam pojechać, radzimy cierpliwie czekać na kolejne wielkie wydarzenie w tym kraju, podobne do mistrzostw świata w hokeju. Kto wie, może ojciec białoruskiego narodu, pan i władca, zamieni wizę na bilet, bo wody w wino jeszcze nie potrafi – ale wszystko przed nim.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Najczęściej odwiedzanym krajem przez turystów jest Francja.

Dolina Loary



Termin:

26 lipca do 11 sierpnia 2013 roku

Koszt wyprawy:

Około 6500 zł za cztery osoby, w tym 1900 zł paliwo, 900 zł noclegi, 250 zł autostrady, 770 zł pociąg, 2000 zł jedzenie, 450 zł restauracje, 250 zł wejścia.

Trasa:

Kraków – Drezno – Bouzy-la-Forêt (samochodem) Bouzy-la-Forêt – Sully-sur-Loire – Sennely – Chambord – Blois – Chaumonts – Amboise – Tours – Langeais – Villandry – Azay-le-Rideau – Ussé – Chinon – Montsoreau – Fontenraud – Samur – Villebernier – Angers – Nantes – Saint-Nazaire – Saint-Brevin-les-Pin – Le Pouligen – Guérande – Croisic (rowerami) Le Pouligen – Orléans (pociągiem) Orléans – Bouzy-la-Forêt (rowerami) Bouzy-la-Forêt – St Avold – Kraków (samochodem).

Transport

Paliwo: ok. 1,40 EUR/litr. Najdrożej przy autostradach, najtaniej przy supermarketach.

Drogi: Pierwszą część wyprawy rowerowej jeździliśmy głównie drogami samochodowymi oznaczonymi na mapie żółto i białą (tzw. drogi departamentalne i lokalne). Pozostałą część wyprawy przebyliśmy ścieżkami rowerowymi „Loire à vélo” (od Chambord do St-Nazaire) i „Velodysee” i „Vélocéan” (od Nantes do St-Brevin-les-Pins), które są częścią europejskich szlaków rowerowych EV 6 „Atlantyk – Morze Czarne” i EV 1 „Wybrzeże Atlantyku”. Ścieżki są bardzo bezpieczne, w większości asfaltowe, rzadko szutrowe. Przebiegają przez interesujące turystycznie miejsca lub po prostu piękne zakątki. Warto się ich trzymać, mimo iż często wydaje się, że drogą samochodową będzie szybciej i łatwiej. Są fantastycznie oznakowane, nie sposób się na nich zgubić, nawet w miastach. Znajdują się na nich w wielu miejscach stoły do piknikowania i toalety publiczne (darmowe).

Pociąg: wzdłuż całej trasy „Loire à vélo” możliwy jest transport pociągiem wraz z rowerami. Rowery jadą gratis. Nie ma rezerwacji miejsc, trzeba się zgłosić na peron 20 minut przed odjazdem pociągu. Tańsze są pociągi TER. Cena zależy od dnia i godziny przejazdu <http://www.voyages-sncf.com>.

Noclegi:

Codziennie spaliśmy na campingach, w cenie 9–20 EUR za cztery osoby z rowerami. Mieliśmy własne namioty. Prysznicze na wszystkich campingach są bezpłatne. Ze względu na ceny wybieraliśmy campingi miejskie <http://www.camping-municipal.org/>, co wpływało niekiedy na przebieg naszej trasy. Tylko na niektórych znajdowały się udogodnienia dla rowerzystów czy piechurów (stoły i ławy). Żeby podładować telefony, korzystaliśmy z kontaktów w łazienkach, nikt nam ich nie ukradł. Raz tylko odniesiono telefon na recepcję campingu. Z wi-fi korzystaliśmy w kawiarniach i restauracjach. Mieliśmy własną kuchenkę na gazowe kartusze (do kupienia w większych marketach). Zawsze zostawialiśmy sakwy rowerowe na zewnątrz namiotów na noc, nikt niepowołany się nimi nie zainteresował.

Każdy namiot z reguły stoi na polu oddzielnym od pozostałych żywopłotem, na większych campingach są części dla turystów niezmotoryzowanych – bez podziałów. Na campingach przestrzega się ciszy nocnej, po 22 jest idealnie cicho. Jeśli ktoś tego nie przestrzega, to może się liczyć z interwencją ochrony (na dużych campingach). Osoby przyjeżdżające po zamknięciu recepcji wchodzi na teren campingu, rozbijają się wg uznania i regulują należność rano.

Nocowanie na dziko we Francji jest zabronione.

Zwiedzanie:

Bilety wstępu do państwowych zamków czy muzeów kosztują około 7–10 EUR za osobę dorosłą, młodzież z UE do 25 roku życia w państwowych zamkach wchodzi za darmo. Ścieżka rowerowa prowadzi przez najciekawsze miejsca w okolicy, nawet jeśli się nie będzie miało mapy czy przewodnika, to się na nie trafi. Część Doliny Loary pomiędzy Orleanem i Angers jest bardzo popularna, w zamkach jest sporo turystów, a na ścieżce rowerowej dużo rowerzystów. W każdej większej miejscowości znajduje się informacja turystyczna, która nieodpłatnie udziela informacji o lokalnych atrakcjach, imprezach lub campingach. Rozdaje też nieodpłatnie mapki okolic, także ze ścieżkami rowerowymi i kalendarium lokalnych imprez. Pracownicy informacji turystycznych i campingów mówią po angielsku (co nie jest regułą w innych miejscach – np. w piekarni).

Zaopatrzenie:

Ekwipunek wyprawy przygotowaliśmy z pomocą porad ze strony producenta sakw www.crosso.pl. Mieliśmy ze sobą zapas „żelazny”: trzy pumperniki, dwa opakowania szprotek, makaron, sos w proszku na wypadek nieznaalezienia na czas sklepu. Woda kranowa jest wszędzie pitna i smaczna.

Chleb kosztuje 1 EUR, ser 1–3 EUR, butelka wina 2–10 EUR, zakupy spożywcze na cały dzień dla 4-osobowej grupy kosztowały nas około 20–30 EUR (z winem), obiad „dnia” w restauracji 10–15 EUR. W prawie każdej mniejszej miejscowości znajdują się położone blisko centrum: piekarnia, sklep spożywczy, bar i lokalna restauracja. Sklepy i informacje turystyczne zamykane są w dni powszednie w południe. W niedziele otwarte są jedynie duże markety i supermarkety i to tylko do 12.00.

Przewodniki, mapy, strony www:

Warto obejrzeć ten film reklamowy: <http://www.youtube.com/watch?v=7COLJ-6SuWm0&feature=youtu.be>.

Korzystaliśmy z przewodnika po Francji Rough Guides i map departamentalnych Michelin. Mapy dotyczące danego departamentu są sprzedawane raczej tylko w danym departamencie. Mapy rowerowe całej trasy istnieją.

<http://www.loireavelo.fr>

<http://www.lavelodysee.com>

<http://www.francevelotourisme.com>

<http://www.saint-nazaire-tourisme.com>

<http://www.france-voyage.com/guide>

Język:

Francuzi mówią raczej po francusku i są z tego dumni.

Wyprawa rowerowa już od dłuższego czasu chodziła mi po głowie. Od kilku lat spędzaliśmy rodzinne wakacje na rowerach, ale nigdy nie odważyliśmy się na wyjazd z sakwami. Zawsze uważałam, że to jest survival dla 20-latków, którzy mają łydki ze stali, robią po 150 kilometrów dziennie, zdobywają przy okazji dwutysięczniki, żywią się wyłącznie adrenaliną, zupkami w proszku i kaszkami bobovita.

Nie mamy z mężem łydek ze stali, lubimy dobrą kuchnię, nienawidzimy kaszek i czasem boją nas kręgosłupy, bo w tym roku obchodziliśmy 50. urodziny. Impulsem było dla mnie spotkanie podczas zeszłorocznych wakacji dwóch Angielek, podróżujących z sakwami na zwykłych miejskich holendrach, wyposażonych w koszyki na zakupy, na których w czasie jazdy suszyły się malowniczo przypięte spinaczami skarpetki... Rozmowa z Angielkami utwierdziła mnie w przekonaniu, że damy radę, skoro te biedulki dały.

Co do trasy byliśmy właściwie zdecydowani od początku: jesteśmy frankofilami, znamy Francję bardzo dobrze od czasów, kiedy jako studenci podróżowaliśmy po niej autostopem. Często tam wracamy. Wiemy, że campingi są w prawie każdej większej miejscowości, a te miejskie są tanie, ruch na drogach lokalnych niewielki i ścieżek rowerowych pod dostatkiem. Jednak decydującym elementem jest dla nas brak dwutysięczników na trasie.

W kwietniu zaczęłam intensywnie przeszukiwać wszystkie relacje z wypraw rowerowych, szukając dwóch najważniejszych dla nas informacji: jakie sakwy kupić i jak zorganizować żywienie dla naszej czteroosobowej grupy (ponieważ na wieść o naszych planach wakacyjnych dołączyła do nas córka z narzeczoną, czyli grupa 20+). Z sakwami było znacznie łatwiej niż z wyżywieniem, choć musieliśmy na nie długo czekać i przyszły dopiero na kilka dni przed wyjazdem.

Z żywieniem było znacznie gorzej. Jakoś ten temat jest pomijany w relacjach z innych wypraw. Mnóstwo informacji o średniej prędkości, kilometrażu, przebitych dętkach (mąż natychmiast zakupił pół sakwy części i narzędzi), ale o tym, co się je, niewiele (prócz informacji o kaszkach). Zorganizowaliśmy nawet naprędce spotkanie z naszym zaprzyjaźnionym sakwiarzem, który był właśnie tuż przed wyprawą do Rumunii. Wróciliśmy z kompletem przewodników po Rumunii i z wiedzą na temat żywienia: „każdy sam gotuje swoją kaszkę i dojada batonikiem”. W końcu zdecydowaliśmy się zakupić żelazny zapas złożony z kilku kisielów, fixów do spaghetti, makaronu, konserw ze szprotkami, pumpernikla, jajek, pomidorów oraz serków kiri i improwizować na miejscu. Zastanawiałam się, czy nie zabrać małej butelki oliwy, którą często wykorzystuję w kuchni, ale w końcu zrezygnowałam.

Mapy postanowiliśmy kupić na miejscu. Widzieliśmy, co prawda, że istnieje możliwość zakupu przez internet mapy Michelin „Loire à vélo”, czyli „Dolina Loary na rowerze”, ale koszt 25 EUR plus jeszcze koszt dostawy nas zniechęciły. Uznaliśmy, że zupełnie wystarczą nam departamentalne samochodowe mapy Michelin po 4 EUR.

Na dzień przed wyjazdem mój skrupulatny mąż wyczytał w instrukcji swojego samochodu, iż maksymalny ciężar, jaki mogą udźwignąć jego samochodowe relingi, to 75 kilo. Zważyliśmy wszystkie maksymalnie odchudzone rowery oraz bagażnik rowerowy przykręcany do relingów i wyszło nam o 10 kilo za dużo. Baliśmy się uszkodzenia relingów podczas drogi, więc podjęliśmy decyzję o rozkręceniu jednego roweru i spakowaniu go do samochodu. W tym momencie zaczęłam z „pewną taką nieśmiałością” myśleć o wczasach z jakimś biurem turystycznym, na które jedzie się tylko ze szcotteczką do zębów i bikini. Wreszcie w piątek o 16.00 wyjechaliśmy z Krakowa. Na ostatniej polskiej stacji benzynowej dokupiłam kilka kaszek z nadzieją, że się nie przydadzą. O 22.00 byliśmy w Dreźnie i zdecydowaliśmy się spać na campingu, który znaleźliśmy dzięki smartfonowi i GPS. Był dość ukryty i koszmarnie drogi: 30 EUR za naszą czwórkę bez auta, które już zostało przed szlabanem.

Rankiem w sobotę wyjechaliśmy z Drezna, przełamując w sobie ochotę rzucenia okiem na miasto, i po bardzo dłużącej się podróży przerywanej poszukiwaniem mapy na stacjach benzynowych (coś chyba nie tak z tymi mapami rowerowymi?) późnym popołudniem dojechaliśmy do naszych znajomych Francuzów mieszkających w Bouzyla-Forêt, którzy ugościli nas sobotnią kolacją i niedzielnym śniadaniem, i u których zostawiliśmy samochód na dwa tygodnie.

Sologne – spokojny, dziki, lesisty i podmokły, tradycyjnie wiejski region. Ulubiony przez wędkarzy, wędrowców i myśliwych. Dziedzictwo francuskiej arystokracji i ich potomków.

Spora część niedzieli upłynęła nam na skręcaniu rowerów, mocowaniu wszystkich wcześniej odkręconych części i przykręcaniu nowo kupionych bagażników. Wreszcie koło południa ruszamy, po uprzednim wysłuchaniu przestroż mojego męża o tym, czym się może skończyć wpadnięcie jednego roweru na drugi lub zbyt gwałtowne zjechanie z krawężnika. Tak więc jedziemy dość wolno, ale tylko do pierwszego zamku w Sully-sur-Loire. Potem zaczynamy się czuć coraz pewniej z naszymi bagażami. W Sully jest akurat impreza „dożynkowa” w wersji francuskiej. Na starych samochodach i traktorach jadą reprezentanci okolicznych gmin, poprzebierani za postacie z różnych francuskich filmów. No i jak tu nie być frankofilem. Potem zjeżdżamy w głąb lasów, odbijając od ścieżki rowerowej i omijając Orlean, kierujemy się na piękną pieszą szlak turystyczny GR3. To wytyczony w 1947 roku, pierwszy ze słynnych GR, czyli wielkich szlaków, które przecinają całą Europę. Sama francuska sieć liczy ich 180 tysięcy kilometrów (!). Po drodze grupa 20+ oddaje się swojej pasji czyli poszukiwaniu za pomocą odbiornika GPS skarbów z międzynarodowej gry Geocaching, czym doprowadza mojego męża do lekkiego rozstroju nerwowego, ponieważ zdecydowanie bardziej wolałby mocniej naciskać na pedały. Przed wyjazdem, korzystając ze strony campingów miejskich camping-municipal.org, przygotowałam nam listę tych, których ceny były dla nas zadawalające i właśnie jeden z nich w Sennely znajduje się na naszej trasie. Nie zawodzi nas, kosztuje 9 EUR za naszą czwórkę i nie ma na nim prawie nikogo, a za to czyste sanitariaty z gorącą wodą i jezioro w okolicy. Dzień kończy się niezłą burzą, podczas której

testujemy szczelność naszych sakw, zostawiając je na zewnątrz namiotu. I tak nie ma innego wyjścia, ze względu na jego rozmiary – na zewnątrz mogły pozostać one albo my. Przy okazji zauważamy poważną stratę – zepsuł się licznik kilometrów Sigma, który służył mojemu mężowi przez ostatnich 12 lat, jedyny jaki mamy ze sobą (miał już swoje lata, fakt, ale czy musiał nam to zrobić w tej chwili?). Zrobiliśmy 40 km.

Poniedziałkowy poranek stawia nas przed faktem braku świeżego pieczywa, co zmusza nas do zjedzenia kaszek. Smakują tak, jak przewidywaliśmy. Pierwszy czynny sklep trafiamy dopiero w La-Ferte-Saint-Aubin. Zaczęliśmy się już niepokoić, czy zdążymy zrobić zakupy przed 12.30, która to godzina jest świętą godziną posiłku we Francji – zamierają wtedy ulice, szkoły, urzędy i sklepy, i biada temu, kto nie kupił sobie chleba na czas. Większą świętością jest tylko godzina 19.00, czyli godzina wieczornego posiłku, oraz niedziela, która jest czasem nieustannego posiłku z rodziną, i sklepy są w tym czasie oczywiście zamknięte. Na nasze zakupy składają się bagietki, melony i rillettes z wieprzowiny, czyli kawałki mięsa długo gotowane w białym winie. Rillettes to regionalny produkt, z którego słynie ten region Francji. Pudełko, w sam raz na cztery osoby, kosztuje 3 EUR. Różne jego wersje z kurczaka, kaczki, zająca czy gęsi stają się obok bagietki, melonów, lokalnego wina i wszystko mającej sałatki podstawą naszego codziennego déjeuner. Różne oczywiście trzeba dokupić, sałatki się bez niej nie da zrobić. Grupa 20+ usiłuje przemyścić do koszyka również pyszny ocet winny z orzechów – nie do dostania w Polsce, ale gromiący wzrok mojego męża zmusza ich do odłożenia go na półkę. Każda butelka to dodatkowe obciążenie.

Wygodnego miejsca do pikniku nie udaje nam się znaleźć jeszcze długo. Na naszej trasie, która wciąż jeszcze wiedzie poza oficjalną ścieżką rowerową, są same prywatne lasy. Często ogrodzone i zaopatrzone w stosowne tablice przy każdej drodze wjazdowej, informujące nie dość o tym, że lasy są prywatne, ale również o tym, że się w nich poluje (czyli strzela i zabija, jak się coś dużego rusza w krzakach). Głód i coraz mniejsza wydajność zmuszają nas wreszcie do zjedzenia naszego déjeuner w rowie, pomiędzy szosą a szlabanem z tablicą informującą o prywatności tego rowu, lasu i zwierzyny.

Późnym popołudniem dojeżdżamy do Chambord, ogromnego i wspaniałego zamku Franciszka I. Grupa 20+ wchodzi do zamku za darmo, ponieważ w zamkach będących własnością państwa młodzież z UE do 25 roku życia ma darmowe wejścia. Czasu na zwiedzanie nie ma zbyt wiele, ale część z nas już w nim była i zależy nam tylko na tym, żeby ci co jeszcze nie byli, zobaczyli słynną klatkę schodową zaprojektowaną przez Leonarda da Vinci i weszli na dach z 365 fantastycznymi kominami. Dojazd na camping pod Blois trochę się dłuży, zwłaszcza że oznakowanie nie jest najlepsze i dwa razy gubimy drogę. Ale wreszcie docieramy, robiąc tego dnia około 80 km. Camping jest bardzo duży i pełen rowerzystów. Nie wiem, czy jest na nim choć jedna osoba bez roweru. Młodzi, starzy i maleńkie dzieci. Z sakwami, z przyczepkami, z samochodami i rowerami. Jest nawet angielska grupa około 50 chórystów z ich 50 rowerami. Jednym słowem, od razu widać, że dotarliśmy ponownie do ścieżki rowerowej „Loire à vélo”. Zamówiliśmy w recepcji bagietki i pain au chocolat (czyli pieczywo francuskie z czekoladą) na śniadanie, a na kolację zjedliśmy resztę dzisiejszych bagietek z suszoną kiełbasą lub kozim serem pleśniowym i popiliśmy winem z doliny Loary za 3 EUR. Pycha.

Touraine – kraina historyczno-geograficzna leżąca w dorzeczu rzek Loary, Cher, Indre i Vienne. Zwana „ogrodem Francji”, słynna z uprawy winogron, produkcji wina oraz kozich serów i czystego akcentu francuskiego.

Wtorek rozpoczynamy flakiem w kole męża. Całe szczęście, w końcu nie po to brał te pół sakwy narzędzi, żeby je tylko obwieźć bezużytecznie. Dzień nie zapowiada się na nadmiernie łatwy, ponieważ zaczął wiać mocny wiatr w twarz, a rozpędzając się, wzdłuż Loary solidnie daje nam w kość. Wszyscy rowerzyści od rana do nocy pozdrawiają się, wołając do siebie radosne „bonjour”. Z tym że sakwiarze wołają do siebie nawzajem bardziej entuzjastycznie, natomiast ci na szosówkach raczej są dość chłodni w stosunku do sakwiarzy (i vice versa). Ogólnie mamy wrażenie, że są to sami turyści zagraniczni (ponieważ Francuzi po zjedzeniu déjeuner, czyli po godzinie 14.00 nie mówią już „bonjour”, ale „bonsoir”). Ale i tak jest to niezwykle miłe, zwłaszcza ten entuzjazm, jaki wzbudzą nasze sakwy. Wstępujemy na chwilę do centrum Blois, głównie żeby rzucić okiem na dziedziniec wspaniałego królewskiego zamku, który wygląda jak panorama architektury francuskiej od średniowiecza do XVII wieku, zatrzymać się na chwilę pod Maison des Acrobates przy placu św. Ludwika, a także po zakupy i geocaching. Podjeżdżamy również do informacji turystycznej, żeby rozpytać o mapy. Pomysł z samochodową mapą nie był najlepszy, ponieważ, choć jest dość dokładna, to nie ma dwóch podstawowych dla nas informacji: campingów i ścieżek rowerowych. Od tej pory wizyta w informacji turystycznej staje się naszym codziennym rytuałem, ponieważ każda informacja dysponuje swoim małym odcinkiem mapy z trasą rowerową, niestety często bardzo uproszczoną i bez campingów. Szczęście, że chciało mi się przed wyjazdem wydrukować mapkę z campingami miejskimi i spisać ich ceny. Dzień obfituje we flaki w rowerze męża, druga dętka pęka, bo została nadmiernie napompowana (chyba by się przydał manometr), a potem w trzeciej, która była tą pierwszą tylko załataną, puszcza łaćka. Przy trzecim flaku, przy zamku w Chaumonts przestajemy już sekundować mężowi i udajemy się do pobliskiego cave, czyli piwniczki, na degustację lokalnego wina z Turenii, bo nam już trochę te jego dętki spowszechniały. W końcu robimy tylko 40 km, ale przez ten wiatr jesteśmy zmęczeni jak po 80. Wieczorem dojeżdżamy do campingu w Ambois za 16 EUR za nas czworo. Pięknego. Z pralkami automatycznymi, stołami i ławkami w części dla sakwiarzy. Położonego na „złotej wyspie” na Loarze, o rzut beretem od centrum. Tak więc po rozbiciu się i kolacji wyciągamy lampy i jedziemy na kawę i geocaching pod zamek. Kesze oczywiście nawiązują do Leonarda da Vinci, który spędził w Ambois ostatnie lata życia i jest tu pochowany.

W środę nadal wieje mordewind od Atlantyku. Postanawiamy odbić od Loary i przejechać w stronę doliny rzeki Cher. Od razu robi się mniej turystycznie i bardziej rolniczo, mniej wietrznie i okropnie gorąco. Jedziemy wśród ogromnych pól słoneczników, często po szutrowych ścieżkach, czasem słabo oznaczonych, wśród małych ferm i zameczków, o których nie wspominają przewodniki. Moja pewność na siodełku wzrosła na tyle, że robię zdjęcia w czasie jazdy, również do tyłu z pleców. Fotografowani tą metodą muszą mi tylko powiedzieć, gdzie nakierować obiektyw.

W południe dojeżdżamy do Tour. Zwiedzamy strzelistą katedrę St. Gatien, przejeżdżamy się po starym mieście (z nieodłączną wizytą w informacji turystycznej po

mapkę) i pijemy kawę na placu Plumeraux. Z Tour wyjeżdżamy po 18.00, kiedy upał już słabnie i zjeżdżamy ze ścieżki rowerowej, jadąc północnym brzegiem Loary w kierunku Langeais. Wysokie brzegi Loary zapewniają tu cieplejszy mikroklimat, bo od razu pojawiają się w ogrodach bananowce, figowce i brzoźnia cykad. Nadeszła święta godzina 19.00 i zostajemy na drodze sami (a to się akurat dobrze składa, bo musimy 10-kilometrowy odcinek trasy pokonać szosą o dużym natężeniu ruchu. Tylko, że akurat nikogo na nim nie ma, bo wszyscy prócz nas są na kolacji). Z pobliskich domów nadpływają przez otwarte okna smakowite zapachy. Dojeżdżając do campingu pod Langeais, na rondzie wymijający mnie samochód zjeżdża mi do skrętu w prawo tuż przed nosem, co uświadamia mi, że jeśli chcemy jechać na rondzie prosto lub w lewo, to absolutnie musimy wyjechać na środek ronda. Camping jest bez rewelacji, ale cena jest super 10,40 EUR.

Czwartek zaczynamy od objechania Langeais i jego pięknego zamku, w którym odbył się ślub Anny Bretońskiej, królowej Francji i ostatniej niezależnej księżnej Bretanii. Ponoć ma wspaniałe wyposażenie z XV wieku, ale my go sobie odpuściliśmy, ponieważ chcemy dziś zobaczyć Villandry. Pod zamkiem mijamy charakterystyczną dużą rowerową grupę Amerykanów, którzy mają trójką ostrzegawczą na siedzeniach z napisem backroads. Na stronie backroads.com można śledzić ich trasę. Śpią tylko w drogich zameczkach. Staram się, nie wyobrażać sobie, co jedzą. Przejżdżamy most i kierujemy się ścieżką prowadzącą wałami Loary do zamku Villandry. Słynie z pięknych renesansowych ogrodów, także warzywnych. Upał się wzmaga niemiłosierny i gdy dojeżdżamy do Villandry, już nie ma chętnych do zwiedzania ogrodów, ponieważ warzywa jak to warzywa nie dają zbyt wiele cienia. Zmieniamy więc plany i udajemy się do pobliskiej restauracyjki, zamawiając déjeuner z menu dnia po 13 EUR. Zjadając pyszny obiad złożony z urozmaiconej sałatki i boeuf Bourguignon, rozmawiamy o tym, że w restauracjach francuskich jest ten niezwykle miły zwyczaj podawania do posiłku wody i chleba w nieograniczonych ilościach za darmo. Darmowa woda oczywiście kranowa, ale ona jest w całej Francji bardzo smaczna. Dopuszczalna maksymalna zawartość alkoholu we krwi kierowcy (także rowerowego) wynosi we Francji 0,5 promila, co pozwala nam napić się nieco wina do obiadu.

Z Villandry ruszamy w kierunku kolejnego zamku w Azay-le-Rideau. Jedziemy wariantem ścieżki rowerowej, która prowadzi nas obok niewymienianych w przewodnikach zameczków, przez piękne lasy, pola słoneczników, winnice i zacienione alejki. Zwiedzamy zamek w Azay, który wygląda jak pudełeczko na biżuterię. Jest otoczony pięknym parkiem angielskim, a rosnące w nim ogromne cedry rzucają upragniony dzisiaj cień. Pod zamkiem oczywiście stoją stojaki na rowery, w kształcie odwróconego U, do których łatwo przypiąć rower z sakwami. Rowerów zaparkowanych jest bardzo dużo. Zostawione wraz z sakwami, a nawet kaskami. Chyba nikt nie kradnie... My też zostawiamy swoje. Potem kontynuujemy jazdę w wieczornym słońcu znów ścieżką wzdłuż Loary. Mijamy małe, senne fermy i zamek w Ussé, zwany Zamkiem Śpiącej Królowej. Jego architektura stała się podobno inspiracją mieszkającego w nim pisarza Charles'a Perraulta do klasycznej adaptacji legendy. Około 21.00 dojeżdżamy karkołomnym zjazdem w dół do Chinon. Miasto i zamek, w którym w roku 1429 doszło do historycznego spotkania Joanny d'Arc i Karola VII, jest niedaleko campingu i właści-

wie chętnie byśmy je zobaczyli wieczorem, ale wszyscy jesteśmy już bardzo zmęczeni. Smakując wieczorem wino Chinon, widzimy jak na dłoni z naszych namiotów stojący na wysokim brzegu rzeki zamek. Nasz makaron z sosem w proszku w towarzystwie tego wina i tego widoku nabiera niebywale wysublimowanego smaku.

Andegawenia – urokliwa kraina historyczna w dorzeczu dolnej Loary. Region o doskonałych warunkach dla upraw kwiatów i owoców. Wzdłuż brzegu Loary i innych rzek w okolicy znajdują się liczne zamki, kościoły i winnice, z których pochodzą różowe wina Anjou.

W piątek ruszamy z Chinon ścieżką rowerową. W Candes-St-Martin, jednym z „najpiękniejszych miasteczek Francji” (tytuł nadawany przez francuskie stowarzyszenie o tej samej nazwie), znów docieramy do Loary. To stary port rybacki i żeglugi śródlądowej u zbiegu rzek Vienne i Loary, w którym znajduje się kolegiata świętego Marcina. Sam święty Marcin dokonał żywota w tym miasteczku w IV wieku, a jego ciało transportowane było rzeką do Tours. Loara ogromnie i towarzyszy nam cały czas z prawej strony. Niesłychane, jaka czysta i piękna jest ta rzeka, z zieleńjącymi wyspami i ruchomymi ławicami żółtego piasku. Pełno na niej ptaków, widzimy kormorany i czaple siwe. Czasem widać grupy kajakarzy pływających na canoe, ale mimo wspaniałej pogody nikt się nie kąpie, bo jest to zabronione. To jedna z ostatnich rzek Europy, która nie została uregulowana przez człowieka. Imponująca. Mijamy niezwykle fotogeniczny zamek w Montsoreau, uwieczniony w powieści Aleksandra Dumas, i 12 kilometrów przed Samur skręcamy na wariant ścieżki wiodącej do XII-wiecznego opactwa w Fontenraud. W opactwie są pochowani królowie angielscy Ryszard Lwie Serce, jego ojciec Henryk II Plantagenet, matka Eleonora Akwitańska oraz Izabela z Angoulême, żona Jana bez Ziemi. W moim przewodniku jest napisane, że to prawdziwe чудо, więc wyskakujemy z kasy, choć tanio nie jest. Sarkofagi, kościół i średniowieczne kuchnie rzeczywiście przepiękne, ale całość trochę rozczarowuje, może dlatego, że w zeszłym roku w Burgundii widzieliśmy opactwo w Fontenay i to naprawdę było чудо.

Kupujemy sobie kawę i lody cytrynowe w kawiarni pod opactwem. Podają je nie na talerzach, ale na ardoise, czyli dachówce z naturalnego łupku, którym w tym regionie kryte są dachy zamków i domów. Ardoise ma trwałość do 300 lat i nie porasta mchem, dlatego dachy tutejszych zamków wyglądają jakby wykonano je wczoraj. Ścieżka prowadzi nas dalej przez położone na niewielkich wzniesieniach winnice tutejszego wina Samur-Champiny, po czym w Souzay-Champigny niespodziewanie wjeżdża do tzw. jaskiń troglodytów. Już od dłuższego czasu mijaliśmy winne piwnice i współczesne domy położone w jaskiniach ukrytych w wysokich brzegach Loary, ale to, że ścieżka poprowadzi nas środkiem jaskiń jest dla nas zaskoczeniem i wielką frajdą (tak to jest, jak się nie ma porządnej mapy).

Oczywiście w jaskini, przez którą przejeżdżamy, są stojaki dla rowerów i toalety. Sama jaskinia jest dyskretnie podświetlona i ma małą ekspozycję mebli używanych przez jaskiniowych mieszkańców. Różnorodność dzisiejszej trasy jest naprawdę niezwykła. Jeszcze tylko musimy znaleźć nocleg w Samur, w którym nie ma campingu miejskiego. Kierujemy się na znaki samochodowe i dojeżdżamy do niedalekiego campingu choć z duszą na ramieniu, bo liczba gwiazdek (****) świadczy o cenie zaporowej. Nie mylimy się, życzą sobie 42 EUR. Pod recepcją spotykamy wściekłą parę Włochów z sakwami

i przyczepką, którzy pienia się na cenę nawet bardziej niż my. Na szczęście oni mają porządną mapę, na której widać kolejny camping w Villebernier za 6 km, po drugiej stronie Loary. Jedziemy tam razem z nimi. Są stoły i ławki. Wieczorem jemy z Włochami kolację i rozmawiamy oczywiście o podróży. Alfredo jest sommelierem, czyli zawodowym znawcą wina. Podczas dwumiesięcznej, rowerowej podróży z Lyonu na plażę Normandii nie tylko pedałuje, ale degustuje, więc częstuje nas Sauternes, słynnym słodkim winem powstającym w regionie Bordeaux.

Sobota jest dniem, w którym musimy podjąć decyzję, czy zwracamy, robiąc kółko po południowej lub północnej stronie Loary, czy też jedziemy dalej, do Atlantyku i wracamy pociągiem. Grupa 50, czyli mąż i ja planowaliśmy kółko, ze względu na koszt powrotu pociągiem oraz naszą niewiarę, że uda nam się tak daleko dojechać. Brak dobrej mapy również utrudnia nam podjęcie decyzji, tak naprawdę nie wiemy, którądy ścieżka prowadzi, czy bardzo kluczcy i jaki pozostał nam dystans. Ale grupa 20+ prze do przodu i marzy o dotarciu do Atlantyku. Dla obu grup myśl, żeby zawrócić rowery, jest okropna. Więc jedziemy dalej na zachód!

Loara towarzysząca nam cały czas robi się tak szeroka, że mamy uczucie, iż jesteśmy nad morzem. Zmienia się też architektura, jest mniej zamków, pojawiają się domy z niebieskimi lub pistacjowymi okiennicami, nadrzeczne porty, marynistyczne nazwy restauracji.

Dojeżdżamy do małego promu, którym się trzeba samodzielnie przeprawić przez Authion – dopływy Loary, ciągnąc za żelazny łańcuch. Potem ścieżka prowadzi nas przez nieczynną już kopalnię ardoise w Trélazé, która w XVIII i XIX wieku produkowała setki ton łupku, a która zagospodarowana jest obecnie na park rekreacji. W jej wyrobiskach mieszczą się zielone jeziora eksplorowane przez nurków, na brzegach stoją stoły, siedziska i kosze na śmieci wyciosane w wielkich bryłach szaroczarnego łupku. Kontrast grafitowej skały i zielonej wody jest niezwykły. Wreszcie docieramy do starożytniej stolicy Andegawenii – Angers. Oznakowanie ścieżki jest tak dobrze zrobione, że bez jednego zatrzymania dojeżdżamy do centrum miasta. W informacji turystycznej wreszcie udaje nam się kupić mapę „Loire à vélo”, niemieckiego (!) wydawnictwa Huber. Część od Angers do Atlantyku kosztuje 2 EUR i jest naprawdę świetna. Wskazuje nie tylko campingi i lokalne atrakcje, ale różnicuje również rodzaj nawierzchni oraz stopień natężenia ruchu samochodowego na trasie. Na zwiedzanie warownego zamku z siedemnastoma wieżami o wysokości dochodzącej do 60 metrów jest trochę za późno, ale grupa 20+ wchodzi na chwilę zobaczyć słynne arras Apokalipsy Świętego Jana z 1367 roku (tu też za darmo).

Nocujemy za Angers w Bouchemaine, czyli ujściu rzeki Maine do Loary. Przed campingiem znajduje się „port de plaisance” nadbrzeżne miejsce z restauracją i kawiarnią oraz stacją serwisową do samodzielnego mycia, pompowania i naprawiania rowerów. Sam camping jest co prawda prywatny, ale tani (10 EUR), nieogrodzony i samoobsługowy. Płacimy w automatycznej kasie, która wydaje również kody do pryszniców.

Rano w niedzielę podziwiamy wspaniałe poranne mgły, jakie unoszą się nad Maine, ale nie mamy zbyt wiele czasu na zachwyty, bo chcemy dziś dojechać do Nantes. Przejedźdżamy środkiem L'île de Chalennes – 10-kilometrową wyspą na Loarze, niezwykle cichą i klimatyczną. Po drodze mijamy Lenin café (na plakacie Lenin w wciągniętej

ręce trzyma kieliszek) oraz kurnik urządzony, jeśli mnie wzrok nie myli, w gotyckiej kaplicy. Dziś niedziela, więc déjeuner nad brzegami Loary jedzą całe rodziny, które przyjechały tu z trzydniowymi posiłkami w turystycznych lodówkach, obrusami w kratkę, butelkami wina, a nawet miękkimi poduszkami pod siedzenia. Podczas déjeuner rozmawiamy z panem, który okazuje się osobą odpowiedzialną za lokalne ścieżki rowerowe i bardzo interesuje go nasze zdanie na ten temat. Nie możemy mu niczego skrytykować, bo nie mamy czego.

Po drodze mijamy dziś niesłychaną liczbę rowerzystów. Widać bardzo dużo starszych osób na szosówkach. Starszych to znaczy w okolicach 80. W okularach, kaskach i kolorowych koszulkach kolarskich, z daleka wyglądają na 20-latków. Pędzą, głośno krzycząc do siebie i śmiejąc się. Porównanie z naszymi polskimi 80-latkami szokujące. Ale zamiast smętnie dumać nad losem polskich seniorów, zaczynam widzieć moją własną przyszłość w różowych kolorach. Kiwając ciągle wszystkim głową i wołając „bonjour, bonjour”, zastanawiam się, jak bardzo zwyczaj serdecznego witania się z wszystkimi powoduje, że Francuzi są radośniejsi czy bardziej otwarci niż my. Tak wiele osób życzyło nam w trakcie jazdy „bon courage”, nawet wychylając się z okien mijających nas samochodów, lub zagrzewało w jeździe pod górę, wołając: „alle, alle!”. Często zdarzało się nam, że mijany lokalny mieszkaniec, nie pytany, z własnej inicjatywy wskazywał nam, w którą stronę pojechała czółowka naszej grupy, zanim goniący zdążyli się w ogóle zatrzymać i zauważyć, że się zgubili. Ciekawe, że po drodze do tej pory (co się utrzyma do końca podróży) spotkaliśmy jedną jedyną grupę Polaków. Jechali w przeciwną stronę niż my, nie wołali „ bonjour” i mieli polskie flagi przy sakwach. Rozmawiamy chwilę z Francuzami jadącymi z przyczepką i małym dzieckiem. Mówią, że śpią na dziko (co jest właściwie we Francji zabronione) na placach do pikników. My śpimy na campingu w La Boumerie. Kupujemy prąd (mają zwykłe gniazdko i nie potrzebujemy posiadać czy też wynająć przedłużki), więc możemy się naładować do syta, na wszystkich elektronicznych urządzeniach. Dają nam też sporą zniżkę dla rowerzystów robiących „Loire à vélo”. Z okazji bliskości Nantes wypijamy do kolacji wino Gros-plant-du-pays-nantais, czyli białe, bardzo wytrawne wino z tego rejonu Loary.

Bretania – kraina, której odrębność kulturową tworzy celtycka przeszłość. Specjalnością kuchni bretońskiej są ryby i wszelkiego rodzaju owoce morza oraz cieniutkie naleśniki.

W poniedziałek rano wjeżdżamy do Nantes. Bardzo mi się podoba wjeżdżanie do dużych miast po ścieżce rowerowej, która prowadzi nas jak po sznurku. Zwiedzamy katedrę, w której pochowani zostali ostatni władcy niepodległej Bretanii Marguerite de Foix i Franciszek II. Ich renesansowy nagrobek z wizerunkami Siły, Opanowania, Skromności i Sprawiedliwości jest naprawdę przepiękny. Wyjeżdżając z miasta, długo szukamy jakiegoś sklepu spożywczego. Miał rację wczoraj ten młody Francuz, mówiąc, że miejsce do spania na dziko jest chyba łatwiej znaleźć niż sklep. Małe, lokalne sklepy zostały w dużym stopniu zniszczone przez wielkie hipermarkety. Potem po drodze mijamy kilka małych, klimatycznych restauracyjek dla okolicznych mieszkańców z daniem dnia w okolicach 10 EUR, ale ponieważ już zrobiliśmy zakupy, więc się nie zatrzymujemy.

Będąc we Francji, bardzo trzeba uważać nie tylko na to, że sklepy są zamknięte na czas déjeuner, czyli mniej więcej od 12.30 do 14.00, ale również na to, że posiłki w restauracjach są serwowane tylko w określonych godzinach i po godzinie 14.00 to

już się tylko można napić kawy, ale obiadu już się nie dostanie, aż do godziny 19.00. Francuscy restauratorzy bronią tej zasady jak niepodległości, a każdy zagraniczny turysta, który próbuje złożyć zamówienie nie w porę, może się poczuć jak barbarzyńca.

Déjeuner jemy nad brzegiem Loary. To już jest jej estuarium, więc widać wpływ oceanu na rzekę i łódki leżące na dnie podczas odpływu. Przejeżdżamy obok „maison dans la Loire”, poruszającego, opuszczonego domu stojącego w nurtach Loary. To nie efekt jakiejś katastrofy, jak się nam w pierwszej chwili wydaje, lecz jeden z elementów projektu artystycznego „Estuarium Nantes – Saint-Nazaire”, którego 28 dzieł znajduje się na całej długości ujścia Loary do Atlantyku.

W Coueron wsiadamy na prom, który przewozi nas na drugą stronę Loary. To wielki prom, mieszczący kilkanaście samochodów, kursuje co 20 minut i jest bezpłatny. Przejżdżamy wzdłuż kanału Martinière wybudowanego w 1892 roku. Niestety, udaje nam się przegapić najbardziej dowcipne z dzieł Estuarium – „Misconceivable”, czyli 9-metrowy jacht „skaczący na główkę” do wody. Zbliżamy się do Saint-Nazaire, widać z daleka rafinerię ropy naftowej, a potem wielki most wantowy o długości ponad 3 kilometry – jeden z najdłuższych w Europie. W informacji turystycznej dowiadujemy się, że można go pokonać autobusem, ale jest w nim tylko 6 miejsc dla rowerzystów i trzeba je rezerwować dzień wcześniej. Na szczęście przejazd rowerami nie jest zabroniony i na moście znajduje się pas dla rowerzystów. Więc go przejeździemy, choć oglądając go i czując siłę wiejącego po południu wiatru, mamy trochę stracha.

Na razie zostawiamy z boku most i kierujemy się do wybrzeża Atlantyku, do którego zostało już tylko kilkadziesiąt metrów. Grupa 20+ oczywiście wysuwa się na prowadzenie i zdobywa Atlantyck jako pierwsza. Uczucie zwycięstwa – bezcenne!

Jedziemy wzdłuż nadbrzeża porośniętego piniami, mając szumiący ocean po prawej stronie. Jak tu pięknie! Ceny campingów oczywiście poszybowały w górę, camping w Saint-Brevin-les-Pin za 20 EUR jest najtańszy, jaki poleciła nam informacja turystyczna.

Wtorek zaczynamy od śniadanka, podczas którego korzystamy ze stołów w recepcji campingu. Pain au chocolat i kawa w tak zwanych boules, czyli sporych miskach – bo poranna kawa we Francji musi być duża – są podane na papierowych podkładkach z narysowanym szlakiem „Loire à vélo”. Napawamy się naszym zwycięstwem. Ruszamy wzdłuż wybrzeża Atlantyku w kierunku naszego dzisiejszego wyzwania – wielkiego mostu wantowego nad Loarą. Wiatr ustał, a ocean się cofnął w odpływie. Jest cudownie cicho i spokojnie. Turyści uprawiają jogging na odsłoniętym dnie oceanu. Z wody wynurzył się również „oceaniczny wąż”, dzieło z projektu Estuarium, który wygląda jak wyrzucony na brzeg szkielet potwora z Loch Ness.

Przed wjazdem na most chowamy wszystkie klapki, gatki czy skarpetki, tradycyjnie suszące się na sakwach, ubieramy się tak, żeby się już nie zatrzymywać w trakcie przejazdu i ruszamy. Most wygląda niesłychanie. Nie dość że jest taki długi i tak wysoki, a rzeka pod nim taka potężna, to jeszcze zakręca w połowie. Ja nie mam odwagi na zdjęcia, ale grupa 20+ cyka zawzięcie. Zjazd jest równie emocjonujący, ale nim emocje zdążą opaść, zbliżamy się już do kolejnej atrakcji: Port Atlantycki – to czwarty z kolei port Francji, najważniejszy na wybrzeżu atlantyckim. Ścieżka prowadzi nas przez portowe zabudowania, silosy i ponad liniami kolejowymi, prosto na bazę podwodnych

okrętów Port Saint-Nazaire. Ogromny, betonowy budynek, z wierzchu nadgryziony trochę zębem czasu był w czasie II wojny światowej drugą po Breście najlepiej ufortyfikowaną niemiecką bazą morską w zachodniej Europie. To w tym miejscu odbyła się słynna brytyjska Operacja Chariot, mająca na celu zniszczenie suchego doku Normandii, w tamtym czasie największego na świecie i jedyne na okupowanym atlantyckim wybrzeżu zdolnego pomieścić niemiecki pancernik „Tirpitz”. Bazę można zwiedzać. W ofercie między innymi wizyta w łodzi podwodnej i zwiedzanie transatlantyku. Trochę drogo i bez gratisów dla grupy 20+, więc z żalem nie wchodzimy, postanawiając zajrzeć po powrocie na ich stronę internetową.

Jedziemy wzdłuż przepięknego nadbrzeża, mijając rybackie domki na wysokich palach, palmy, restauracyjki i apartamentowce. W St. Marc zatrzymujemy się na déjeuner w restauracji, która serwuje pyszne dania z woka po 13 EUR i ruszamy dalej wzdłuż wybrzeża w kierunku słynnych plaż kurortu La Boule. Byliśmy tu kiedyś z mężem dwadzieścia kilka lat temu i zachowaliśmy w pamięci obiad zjedzony w restauracji tuż nad oceanem, złożony ze słynnych bretońskich naleśników, kruchych i cieniutkich jak chusteczka, na które wtedy wydaliśmy fortunę. Chcemy więc to miejsce pokazać grupie 20+, ale nasze wspomnienie zderza się z rzeczywistością: tłumy plażowiczów przechodzących tam i z powrotem w poprzek naszej ścieżki ciągną za sobą płaczące dzieci, wiaderka, łopatki i dmuchane untensylia, najpewniej w kierunku klubów Myszki Miki rozsiansych co kawałek na plaży. Plaża pogrodzona jest w poprzek kolorowymi płotami, na których wiszą reklamy Carrefoura, a przez całe nadbrzeże ciągną się kilkupiętrowe bloki w amerykańskim stylu. Nawet się nam nie chce zejść na brzeg zamoczyć nóg. Szybko wyjeżdżamy z La Boule ścieżką prowadzącą wśród pięknych willi. Nie wiem, ile musieliby mi zapłacić, żebym chciała tu spędzić wakacje. Śpimy na campingu w Le Pouligen, w cenie nadatlantyckiej 20 EUR. Camping, mimo że sporo oddalony od wybrzeża, jest już prawie pełny. Zajmujemy jedno z ostatnich trzech miejsc, tuż obok stołów i boulodromu, czyli terenu do ulubionej francuskiej gry w boule, czy też jak kto woli petanque. Wieczorem jedziemy do portu w Le Pouligen, pełnego turystów, kramów z ciuchami, słodyczami i automatami do gier i siedzimy przez chwilę na szerokiej, zupełnie pustej plaży, podziwiając światła nadbrzeżnych kurortów.

W środę już od rana na bulodromie już jest komplet graczy, więc przy śniadaniu podziwiamy emocje, jakie wzbudza gra w boule. Grają wszyscy, również dzieci i każdy ma swój zestaw kul do gry. To jest niebywale popularna we Francji gra, a tereny do gry są obowiązkowym elementem wielu francuskich miast, zwłaszcza na południu kraju. Decydujemy się na zwiedzanie przez kolejne dwa dni Bretanii z campingu w Le Pouligen. Jazda bez sakw w pierwszej chwili wydaje się dziwna, a rower jakiś taki niestabilny. Jedziemy przez saliny, w których produkuje się sól z solanki pochodzącej z oceanu. Sól paruje w płytkich, oddzielonych grobelkami zbiornikach, z których każdy ma inny kolor. Saliny ciągną się na dużym obszarze, tworząc wspaniałą mozaikę kolorowych pól. Na każdym polu widnieje kopczyk białej soli, gdzieś tam stoją malownicze, drewniane taczki (obowiązkowo niebieskie lub zielone) oraz pracuje paludier, grabiąc sól długą packą.

Dojeżdżamy też do muzeum „słonych błot”, gdzie za 12 EUR od głowy można przez dwie godziny poznawać proces produkcji soli i zawód paludiera. Zadawałamy się jedynie podziwianiem kolorowych pól z siodełek.

Na déjeuner zatrzymujemy się na wydmowym półwyspie Pen Bron, przyglądamy się, jak podczas odpływu po piaszczystym dnie oceanu jeżdżą traktory, pracując przy hodowli skorupiaków, zbieramy muszle i leniuchujemy przez chwilę na plaży. Na kawę jedziemy do portu w Piriac sur Mer, a potem wracamy ścieżką rowerową Vélocéane wiodącą obok tradycyjnych bretońskich kamiennych domów krytych słomą i zaskakujących domów – bunkrów z czasów drugiej wojny. Dojeżdżamy do średniowiecznego miasta Guérande. Miasto wygląda jak zastygłe w czasie, ze swymi kompletnymi murami obronnymi, z sześcioma wieżami i czterema bramami, wiekowymi domostwami i kolegiatą Saint Aubin, której wielkość świadczy o tym, jak bogate i ważne było to miasto w średniowieczu. Wszędzie wiszą flagi Bretanii. Wrażenie podróży w czasie pogłębia występująca na placu przed kolegiatą grupa ulicznych kuglarzy. Wydaje mi się, że jeszcze chwila i kat z toporem się znajdzie. Wieczorem wracamy na nasz camping, gdzie na bulodromie rozgrywki w petanque trwają aż do nocy.

Czwartek to nasz ostatni dzień nad oceanem. Rano w Le Pouligen zaglądamy na chwilę na plażę, na której podczas odpływu Francuzi całymi rodzinami szukają w morskim dnie jakichś skorupiaków na déjeuner. Wygląda to trochę tak, jakby nastał z powodu kryzysu czas wielkiego głodu. Wszyscy są bardzo profesjonalnie wyposażeni w grabki i specjalne koszyki do taszczenia zbiorów. Kucają w mule wśród łodzi i żaglówek, które odpływ pozostawił na dnie. Jedziemy wzdłuż wybrzeża w kierunku Croisic. W Batz-Sur-Mer podjeżdżamy pod wielki bunkier Grand Blockhaus, będący częścią wału atlantyckiego, systemu umocnień wzniesionych przez Niemców w czasie drugiej wojny. Dalsze wybrzeże jest skaliste, a odpływ odsłonił u jego podstawy niewielkie plaże i grotty. Jest bardzo pięknie. Déjeuner jemy nad brzegiem oceanu, czekając, aż przyływ zbliży się do klifowego brzegu, potem jadąc dalej wzdłuż „dzikiego” wybrzeża, dojeżdżamy do megalitu „Pierre Longue”, który wygląda jak pozostawiony tu na chwilę przez Obelixa (tego od Asterixa). W Croisic przy plaży stoi niebywała liczba rowerów. To portowe miasteczko jest końcową stacją dla pociągów, w które wsiadają rowerzyści wracający wzdłuż doliny Loary. Jedząc na deser bretońskie naleśniki z owocową konfiturą, zaczynamy się lekko niepokoić, czy na pewno zmieścimy się do tego pociągu z naszymi rowerami. Wracając, wstępujemy na dworzec w Le Pouliguen i kupujemy bilety powrotne do Orleanu. Wyrwa w budżecie dość znaczna – 180 EUR, mimo że rowery jadą za darmo.

W piątek okazuje się, że nasze obawy były bezpodstawne. Jesteśmy jedynymi rowerzystami wsiadającymi na naszej stacyjce, a dla kilku pozostałych wsiadających na kolejnych stacjach miejsce też się znajduje. Rowery jadą w wydzielonej części wagonu, podwieszane za przednie koła. W Nantes trzeba się przesiąść, ale ta operacja również odbywa się bez przeszkód. Dalszą drogę rowery jadą już w oddzielnym wagonie, do którego po specjalnej rampie są wprowadzane przez obsługę pociągu. Nie musimy nawet zdejmować sakw. Dopiero w pociągu, patrząc przez okna, widzimy, jaką długą trasę przejechalśmy. W sumie około 700 km. Po południu dojeżdżamy do Orleanu, zwiedzamy miasto, szukamy keszy i próbujemy rozmiąć banknot 500 EUR, jaki kupiliśmy przed wyjazdem z Polski, w kantorze. Okazuje się, że jest z tym jakiś niebywały problem. W sklepach nikt go nie chce przyjąć,

a w bankach wytrzeszczają na nas oczy i tłumaczą, że przecież oni nie mają gotówki. Dziwne te banki – nasze mają. Wieczór i noc spędzamy u przyjaciół, którzy natychmiast zaczynają się nakręcać na wyprawę rowerową.

I znów Sologne.

Po leniwym sobotnim śniadaniu zbieramy się do ostatniego etapu naszej podróży. Skromne 40 kilometrów znów wzdłuż brzegów Loary, na której kołyszą się drewniane, płaskodenne łodzie z ożeglowaniem rejowym. Ich białe żagle na tle leniwie toczącej się Loary wyglądają jakby żywcem przeniesione z czasów Joanny D'Arc. Na déjeuner zatrzymujemy się na placu do pikników przy karolińskim oratorium w Germiny-des-Prés, będącym jednym z najstarszych kościołów we Francji. Wybudowany w 806 roku zachwyca mozaiką ze srebra i złota na kopule kaplicy oraz alabastrowymi szybami w oknach. Na tyłach oratorium umieszczone są oczywiście stoły do pikniku, stojaki rowerowe i pompa na wodę. Niepiesznie i niechętnie zbieramy się do pokonania ostatnich kilometrów naszej wyprawy. Jeszcze tylko miasteczko Saint Martin d'Abbat słynące z dziwacznych skrzynek na listy. Najbardziej podoba się nam taka, w której na przekazy pocztowe przewidziana jest skrzynka na zwykłej wysokości, natomiast część podpisana „rachunki” znajduje się cztery metry nad ziemią i można się do niej wspiąć tylko po długiej i połamanej drabinie. Na koniec kolarski sprint do znaku drogowego Bouzy-la-Forêt, który tradycyjnie wygrywa grupa 20+.

Szkoda, że to już koniec. Moglibyśmy tak jechać w nieskończoność.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Najdroższy pokój hotelowy znajduje się na ostatnim piętrze hotelu President Wilson w szwajcarskiej Genewie. Jest to tzw. Royal Penthouse Suite, którego wynajęcie na jedną noc kosztuje 65 000 dolarów.

Kreta i Santorini autobusami



Termin: przełom sezonu: 2–16 maja 2014 roku.

Trasa: Chania: Elafonisi – Samaria – Maleme – Agii Apostoli; Rethymno: Preveli; Heraklion: Knossos, Matala, Santorini Island: Perissa, Kamari, Fira, Firostefani, Imerovigli, Oia; Agios Nikolaos – Elounda – Plaka (Spinalonga) – Sitia – Vai.

Przelot: Ryanaiem z Katowic – bilet w obie strony do Chani na Krecie – 440 zł.

Podróżowałam sama, przemieszczając się lokalnymi autobusami od zachodniego wybrzeża wyspy aż po część wschodnią. Z poszczególnych miast jechałam na południe, aby zwiedzić najciekawsze miejsca. Z Heraklionu wybrałam się promem na dwudniowy pobyt na wyspę Santorini.

Przemieszczanie się autobusami po Krecie i Santorini jest łatwe i przyjemne. Autobusy są dosyć często, wygodne, nowoczesne, drogi dobre, perfekcyjnie zorganizowana informacja autobusowa. Na każdym dworcu otrzymuje się wydruk dokładnego rozkładu jazdy, czasem z mapką. Gorzej jest z dojazdem na południowe wybrzeże i do słynnych plaż. Do nich jest mniej autobusów, niekiedy tylko jeden rano i powrotny wieczorem, a przed sezonem może nie być wcale. W tym roku autobusy ruszyły wg rozkładu letniego od 8 maja. Przed tą datą na południe jeździły rzadziej lub wcale. Na rozkładzie otrzymanym na dworcu koniecznie należy zwrócić uwagę na datę jego ważności, wypisaną w górnej części kartki. Bilet kupiony w kasie należy zachować, gdyż na trasie są częste kontrole. Do autobusu wchodzi się środkowymi drzwiami. Nikt nie zwraca uwagi na numer miejsca, kto pierwszy wchodzi, ten zajmuje dogodniejsze miejsce. Na każdym bilecie wydrukowany jest numer autobusu na dany kierunek, którego to należy wypatrywać w górnej części przedniej szyby. Tuż przed odjazdem należy uważnie słuchać ogłaszanych komunikatów, gdyż czasem w ostatniej chwili zmieniają numer autobusu. Gdy się przegapi, można bez problemujechać następnym.

Ceny przejazdów:

Chania–Maleme (16 km) – 2.20 euro, Chania–aeroport (14 km) – 2.40 euro, Chania–Agii Apostoli (5 km) – 1,10 euro, Chania–Samaria Gorge (42 km)+Chora Sfakion – Chania (73 km) – razem w obie strony 14.30 euro, prom z Agia Roumeli (Samaria) do

Chora Sfakion – 11 euro, Chania–Elafonisi – 20 euro w obie strony, Chania–Rethymno (78 km) – 6.20 euro, Rethymno–Plakias (41 km) + Plakias–Preveli (12 km) – 1.60 euro – razem 4.50 euro, Rethymno–Heraklion (78 km) – 7.60 euro, Heraklion–Knossos (5 km) – 1,50 euro, Heraklion–Matala (70 km) – 7,80 euro, Heraklion–Agios Nikolaos (69 km) – 7.10 euro, Heraklion–Santorini Island – 26 euro regularnym promem, odpływającym 1 raz w tygodniu (5 godz.)+56 euro speed boat, odpływająca codziennie (2 godz.), Fira–Athinios port – 2.80 euro, Fira–Oia – 1.60 euro, Fira–Perissa –2.20 euro, Agios Nikolaos–Sitia (73 km) – 7.60 euro, Sitia–Vai (24 km) – 3.60 euro, Agios Nikolaos–Elounda (12 km) – 1.70 euro, Agios Nikolaos–Plaka – 2.10 euro, łódka z Plaka na Spinalonga – 8 euro w obie strony, z Elounda – 10 euro w obie strony.

Noclegi:

Chania: Morfea's Nest, 47 Zampeliou st., Old town, e-mail; info@morfeasnet.gr, tel. (+30) 28210 93120 – 26 euro/1 os. z łazienką i kuchenką, 28 euro/2 os.

Nea Hora Beach: Constatinos Studios, tel. (0030) 6945557526 – 12 euro/os. – dormitory 3 os. z łazienką i kuchenką.

Agii Apostoli: Niris Hotel, Herakleous st., tel. (0030)2821033034 – 10 euro/os. – dormitory 4 os. wspólne dla obu płci, z łazienką i kuchenką dla 8 osób, w tym 1 pokój przejściowy.

Rethymno: Youth Hostel, 41 Tobazi Street, w centrum, w pobliżu kościoła, tel.+30 2831 022848 – 10 euro, 8 os., oddzielne dla kobiet i mężczyzn, kuchnia przy recepcji, (przerwa od 13–17), prysznice i wc w innym budynku.

Heraklion: Youth Hostel, 5 Vironos str., w centrum starego miasta, tel.+30 2810 286281 – 10 euro/ pokoje 8 os. oddzielne dla kobiet i mężczyzn, brak kuchni.

Agios Nikolaos: Regina Hostel, Teotokopoulo 13-15, Tel.+30 6932727212, e-mail: reservations@hostel-crete.com – 15 euro/os. – 2 lub 3 os. pokoje z kuchenką, łazienką, balkonem, dziedzińcem ze stołem, krzesłami, parasolem, hamakiem; bardziej przypomina pensjonat niż hostel, możliwość uczestniczenia w lekcjach tworzenia mozaiki, udzielanych przez właścicielkę ElvirePitropaki – artystkę. Bardzo dogodnie położenie, 2 min od centrum, jeziora i 10 min od dworca, przy bardzo spokojnej uliczce.

Perissa (Santorini Island) – Youth Hostel Anna, Perissa Beach, tel.+30 22860 81943, email: annayh@otenet.gr – 6 euro/os, pokoje 4 os. z łazienką, zamykane, dla każdego oddzielnie zamykana szafka na rzeczy. Blisko plaża, przystanek autobusowy, sklepy i restauracje.

Czas na Krecie jest przesunięty o 1 godzinę do przodu w stosunku do czasu polskiego.

Bilety wstępu: Knossos – 6 euro, Muzeum archeologiczne w Heraklion – 6 euro. Można kupić bilet łączony za 10 euro; Samaria National Park – 5 euro; klasztor Moni Preveli na wzgórzu, przy końcowym przystanku autobusu w Preveli – 2.50; Spinalonga – 2 euro.

Potrawy: Wszystkim dobrze znane smaczne dania greckie. Moją uwagę zwróciła potrawa kleftiko; przyrządzana z mięsa jagnięcego i warzyw i jedzona w pergaminowym pakunku, oraz horiatiki – wiejska sałatka grecka. Pojedyncze greckie dania mięsne są w cenie ok. 8.50 – 10 euro. W niektórych restauracjach za 10 euro można znaleźć specjalną ofertę dla dwóch osób. Na szybko można zjeść szaszłyki wieprzowe

(souvlaki) za 1–1,50 za sztukę lub za 3 euro gyros, czyli kebab włożony w kieszonkę chleba „pita” z dodatkami, tj. cebulą, pomidorami, frytkami i sosem tsatsiki.

Internet: drogi, w Chanii, w kawiarni internetowej Planet, niedaleko dworca – 1 euro/0,5 godz., a za wydrukowanie 1 strony 0,30 euro; na dworcu za każde 15 min należy wrzucić monetę 50 centów,

Na Santorini internet jest jeszcze droższy – 1,50 euro/15 min, a przy głównej drodze wyjazdowej z dworca – 2,50 euro/1 godz. Wszędzie jednak bezpłatne jest wi-fi. W Rethymno można skorzystać bezpłatnie z Internetu w recepcji. W Chanii w Constantino’s Studios mieszkańcom przysługuje 0,5 godz. gratis.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1. Przylatuję na lotnisko w Chanii, rozglądam się za informacją turystyczną, niestety, puste biurko, żadnych mapek, broszurek. Kolejka podróżnych ustawia się przy wypożyczalni samochodów. Wychodzę z lotniska i kieruję się na prawo, gdzie jest przystanek autobusów jadących do Chanii. W budce, przy przystanku dostaję rozkład jazdy autobusów. Autobusy do Chanii jeżdżą co godz., czasem co 0,5 godz.; pierwszy jest o 6.30, a ostatnie o 23.00 i 00.30, ale w pon. i piątki ostatni o 12.00 w nocy. Z Chanii na lotnisko pierwszy jest o 5.00, potem o 7.00, 8.30, ostatni o 23.00. Po 20 min jazdy jestem już w Chanii, a 15 min. zajmuje mi dojście z dworca do starego miasta, gdzie mam zarezerwowany hotel w samym sercu starego miasta i blisko morza. Na kolację zamawiam w nadmorskiej restauracji typowe danie greckie – kleftiko, przy okazji kelner opowiada mi ciekawą historię tej potrawy, potem spaceruję nadbrzeżem, przy którym tłumnie spędzają wieczór turyści. Wielu z nich przesiaduje w licznych restauracjach, degustując różnorodne potrawy greckie, inni zaglądają do sklepików. Ja kieruję się w okolice portu weneckiego, przyglądam się latarni morskiej, a potem przechadzam się wąskimi, krętymi uliczkami ze starą architekturą wenecką i turecką.

Dzień 2. Jadę autobusem do Maleme, spokojnej miejscowości z rozległą kamienisto-żwirkową plażą, tawernami, apartamentami dla turystów, odległej od Chanii o 16 km. W Maleme jest ogromny cmentarz, na którym pochowano Niemców poległych podczas II wojny światowej, w czasie walk na Krecie. Podczas II wojny światowej znajdowało się tu lotnisko wojskowe. Od przystanku autobusowego pokonuję ok. 1,5 km pieszo. Po obejrzeniu cmentarza i muzeum udaję się na plażę. Woda jest zbyt zimna, aby pływać, pozostaje jedynie zamoczenie nóg. Po powrocie do Chanii przechadzam się po starym mieście.

Dzień 3. Autobusem nr 21 z placu, niedaleko dworca, jadę do odległej o 5 km Agii Apostoli, gdzie lokuję się w hotelu Niris, w ładnej okolicy, w pobliżu parku i niedaleko od plaży i wybrzeża z ciekawymi klifami. Jest tu też boisko do piłki siatkowej, a na wzgórzu mały kościółek, od którego imienia wzięła się nazwa tej uroczej miejscowości. Wieje nieprzyjemnie chłodny wiatr, ale mała grupka śmiazków pływa w zimnej wodzie. Hotel Niris ma najlepszą informację turystyczną na całej mojej trasie, bardzo rzetelną i wyczerpującą. Mnóstwo bezpłatnych mapek, broszurek i pozycji turystycznych. Tu można kupić bilet na autobus do Chanii, kursujący w tygodniu co 20 min. Są też organizowane wyjazdy na Elafonisi Beach i na Balos Beach, a cena jest wyższa tylko o 2 euro od autobusów publicznych. Ja nocuję w 4-osobowym pokoju, do którego przylega inny, także 4-osobowy, ale przechodni, w którym jest wspólna kuchenka. Łóżka

są piętrowe i przylegające bliźniaczo do siebie, a płęć mieszana. Taka opcja jest za 10 euro, natomiast za 26 euro można otrzymać pokój 2-osobowy. Do 15 maja nie ma problemu z miejscami, po tym terminie konieczna jest rezerwacja.

Dzień 4. Wracam do Chanii i z dworca autobusowego jadę do Rethymno. Z dala widać górującą nad miastem, potężną fortecę wenecką. Po 10 min jestem już na starym mieście, przy placu kościelnym, w pobliżu którego odnajduję ulicę, gdzie mieści się hostel. W godz. 13.00–17.00 jest oficjalna przerwa w recepcji i kuchni jednocześnie, ale akurat menadżer Alex jest obecny i mogę zostawić plecak. W hostelu jest bardzo towarzyska atmosfera. Starszyzna siedzi i dyskutuje przy stole na tarasie, popijając piwo, młodzi zaś przy stołach wewnątrz. W recepcji jest bezpłatny dostęp do komputera i Internetu. U Alexa można zamówić posiłek, ale informacji turystycznej trzeba zasięgnąć w biurze na początku ulicy Tobazi. W biurze w Rethymno kupuję bilet na wyspę Santorini. Ponieważ chcę spędzić na Santorini 2 dni, kupuję bilet na szybki katamaran w kierunku Santorini za 56 euro, a na powrót na tradycyjny, duży prom za 26 euro. Duże promy wypływają tylko raz w tygodniu. Bilet na katamaran lepiej zarezerwować wcześniej. Udaję się w kierunku Fortezzy, zbudowanej przez Wenecjan dla obrony przed napadami piratów. Wchodzę tam do niewielkiego muzeum archeologicznego. Szeroką piaszczystą plażą, w samym centrum podążam do portu weneckiego, mijam liczne restauracje serwujące dania z owoców morza, tj. kalmary, mule, ośmiornice i krewetki, których okazałe składniki, wyeksponowane na wystawach sklepowych, zachęcają do konsumpcji. Wieczorem spaceruję uliczkami starówki, przy których stoją weneckie i tureckie domy.

Dzień 5. Zamierzam jechać na południe wyspy, na Preveli Beach. Autobusy kursują jednak jeszcze według rozkładu zimowego, odkładam więc tę wyprawę na drogę powrotną (rozkład letni zaczął się w tym roku 8 maja i od tej daty ruszył dopiero transport publiczny na południe wyspy w kierunku słynnych plaż). W Heraklionie udaję się do hostelu w centrum starego miasta, ok. 1 km od dworca. Nie ma tu niestety kuchni. Wracam na ten sam dworzec, naprzeciw portu, gdyż stąd bardzo często odjeżdżają autobusy do pobliskiego, bo oddalonego o 5 km Knossos. Bilet za 1.50 euro kupuję w małej budce, spod której odjeżdża też autobus. Wstęp do ruin – 6 euro, można kupić bilet kompleksowy do ruin i muzeum archeologicznego za 10 euro. Po zwiedzaniu zabytków cywilizacji minojskiej, położonych tarasowo na zboczu ruin pałacu króla Minosa, królowej Pazyfae i ich syna Minotaura, wracam do Heraklionu, gdzie przechadzam się główną ulicą starówki, wzdłuż której znajduje się większość zabytków: kościół Agios Titos, Loggia, bazylika św. Marka, fontanna Morosiniego – wybudowana w 1628 r., nieco dalej Platia Kornarou i Fontanna Bembo, a na prawo Platia Agia Ekaterinis z trzema świątyniami, m.in. z piękną katedrą.

Dzień 6. Udaję się do kościoła Agios Markos z 1239 r., a potem do Muzeum Archeologicznego przy placu z pomnikiem wolności. Po obejrzeniu wspaniałych ekspozycji idę na dworzec autobusowy Chanio Porta, odległy o ok. 2 km od hostelu; łatwo tam dojść ulicą prowadzącą od fontanny Morosiniego. Jest to drugi dworzec w Heraklionie, z którego odjeżdżają autobusy m.in. do Matala. Jest ich niewiele, zwłaszcza poza sezonem i zawsze należy pytać o aktualny rozkład w kasie biletowej, gdyż zarówno na planszy na dworcu autobusowym, jak i w Internecie oraz w broszurkach hotelowych mogą być niezgodne z faktycznymi odjazdami, o czym przekonałam się na własnej

skórze, sugerując się broszurką otrzymaną w recepcji hostelu i zapewnieniom ze strony obsługi, że dane są aktualne. Przez to miałam mniej czasu na pobyt na plaży Matala. Autobus jedzie 2 godz., a końcowy przystanek jest tuż przy plaży, zamkniętej z jednej strony klifem z wydrążonymi w skale jaskiniami, które w latach 60. zamieszkiwali hipisi. Obecnie można je tylko zwiedzać. Jaskinie były niegdyś miejscem pochówku zmarłych. Plaża jest szeroka, ale niezbyt duża, ale klify z grotami sprawiają, że jest to miejsce bardzo urokliwe. W kurorcie Matala jest wiele miejsc noclegowych i liczne restauracje. Po powrocie do Heraklionu oglądam wenecki port.

Dzień 7. Rano płynę katamaranem na wyspę Santorini. Po 2 godz. jestem na miejscu, a w porcie oczekuje na mnie kierowca z hostelu w Perissie, gdzie zarezerwowałam nocleg, a transport z portu jest bezpłatny. Po 20 min jesteśmy w Youth Hostel Anna, przy Perissa Beach. Za pobyt w 4-osobowym pokoju z łazienką płacę 6 euro. W pokoju jest jednak tylko 1 osoba. Każdy ma do dyspozycji własną szafkę zamykaną na klucz. Udaję się na pobliską plażę, ładną i długą, z licznymi barami i tawernami. Chodzę boso po gorącym, czarnym, wulkanicznym piasku. Woda niestety jest zimna i po kąpielii długo ogrzewam się pod gorącym prysznicem w hostelu. Dalszą część dnia przeznaczam na zwiedzanie stolicy Santorini, do której jadę autobusem. Fira (Thira) ze swoimi białymi budynkami, położonymi kaskadowo na skałach, tuż przy morzu urzeka niesamowicie. Z dworca idę w górę w kierunku potężnej budowli katedry ortodoksyjnej, a dalej na punkt widokowy na kalderę, powstałą po wybuchu wulkanu. Idąc uliczką dalej, widzę napis „Cable car” i strzałki prowadzące do kolejki linowej, którą za 5 euro można zjechać do starego portu, podziwiając widoki uroczych domków na skałach. Ja kieruję się na lewo i decyduję się na zejście do Old Port szerokimi, ale bardzo wyslizganymi schodami, często pokrytymi odchodami osiołków, które spełniają tu rolę taksówek turystycznych. Schodów jest chyba 500 i łatwiej było mi nimi wchodzić pod górę niż schodzić, ze względu na wyslizgany materiał. Po wejściu z powrotem na górę mam okazję obserwować zachód słońca z widokiem na okoliczne wysepki i kalderę. Niektórzy obserwują zachód słońca, jedząc kolację w którejś z zawieszonych nad przepaścią tawern. Do Perissy wracam ostatnim autobusem o godz. 22.

Dzień 8. O godz. 7 wyruszam górską trasą do Kamarii, sąsiedniej turystycznej miejscowości z dobrze zagospodarowaną, 2-kilometrową, wulkaniczną plażą, nadmorską promenadą, licznymi restauracjami, barami i dyskotekami. Aby dostać się z Perissy do Kamarii, trzeba przejść przez góry albo płynąć 20 min taxi wodną lub jechać do Firy, a dopiero stamtąd autobusem docelowo. Perissa oddzielona jest bowiem od Kamarii skalnym klifem Mesa Vouno, wychodzącym z morza na wysokość 360 m, na którym znajdują się ruiny starożytnej Thiry. Trasę zaczynam od 30 min przejścia drogą asfaltową, mijając białe domostwa, a potem przez 40 min wspinam się w górę ścieżką prowadzącą w lewo od kościółka w skale. Ze szczytu wspaniale widać Perissę. Na górze znajdują się pozostałości po starożytnej Tirze. Tu właśnie w VIII w. p.n.e. zbudowano dorycką stolicę. Zachowały się ruiny antycznych budynków, sanktuariów i świątyni różnych bogów, rzeźby, a także antyczny teatr. Schodzę krętą drogą do Kamarii, a do Perissy wracam znów górami, zatrzymując się przy kościółku, usytuowanym wysoko na skale. Po kąpielii ruszam autobusem do Thiry. Planowałam zostać tu 2 noce, lecz ostatni autobus z Perissy odjeżdża o 21.20, a prom mam o 3.40 rano, więc zabieram plecak, aby go zostawić w dużej restauracji w Thirze, aż do północy. Uzgodziłam to

dzień wcześniej. W Thirze spaceruję wąskimi uliczkami z licznymi sklepami jubilerskimi i różnorodnymi pamiątkami, potem idę do górnej części miasta, gdzie znajduje się katolicka katedra pod wezwaniem św. Jana Baptysty, która po trzęsieniu ziemi została odrestaurowana. Następnie kieruję się do odległej o 1.5 km Firostefanii, idąc w górę po schodkach. Jeszcze dalej przechodzę przez Imerovigili, kolejną wioskę zbudowaną na skraju przepaści, na klifie jeszcze wyższym niż Thira, ze wspaniałym widokiem na kalderę. Podążam trasą wzdłuż morza przez 3 godziny do położonej na północy, słynnej miejscowości Oia. Z Fira do Oia można dojść w ciągu 4 godzin. Ostatnią godzinę daruję sobie i dojeżdżam autobusem. Oia jest bardzo mała, ale uroczo położona na krawędzi klifu. Tutaj spotykam wielu profesjonalnych fotografów i modelek, młodych Japonek w długich, plisowanych spódniczkach i fantastycznych kapeluszach, fotografujących się na tle malowniczych krajobrazów, ze spektakularnym widokiem na wulkan i białe domy, wydrążone w wulkanicznej skale. Wszystkich przyciągają piękne widoki i magiczne zachody słońca. Przed zachodem słońca turyści zbierają się licznie w jednym punkcie i przygotowują się do robienia zdjęć i podziwiania tego wspaniałego widoku. W Oia codzienne obserwowanie zachodu słońca stało się rytuałem. Ja też upajam się niezapomnianym zjawiskiem, a potem autobusem wracam do Fira. Ostatni autobus z Oia do Fira jest o 21.30. W stolicy mam dużo czasu, aby pospacerować po prawie pustych uliczkach. Autobus do portu odjeżdża o 12.30 i o 2.30. Mój prom odpływa o 3.40. Czekam w porcie w poczekalni, ale ponieważ prom płynie z Aten i Mykonos, a odcinek Santorini-Kreta jest ostatnim, prom trochę spóźnia się, zdążyłam się więc zdrzemnąć. Na promie też śpię.

Dzień 9. Po pięciu godz. jestem w Heraklionie. Bezpośrednio z dworca naprzeciw portu jadę autobusem do Agia Nikolaos. Na dworcu otrzymuję mapkę z rozkładem autobusów, lecz nikt nie chce udzielić żadnej informacji słownej. Odsyłają mnie do biura turystycznego obok. Udaję się do zarezerwowanego wcześniej Regina Hostel, położonego ok. 700 m od dworca, w uliczce, do której dochodzę po schodach w górę, ok. 200 m od jeziora w centrum. W drzwiach głównych od ulicy jest klucz, co świadczy o niesamowicie bezpiecznej okolicy. Dostaję pokój z kuchenką i łazienką, przylegający do artystycznie urządzonego podwórka wewnętrznego. Właścicielka Elwira Pitropaki jest artystką, wykonującą mozaiki. Akurat kończy zajęcia z paniami i mam okazję obejrzeć ich prace. Dla chętnych udziela w domu lekcji mozaiki, a wszystko odbywa się w pięknej scenerii ze wspaniałym widokiem z jej balkonu na jezioro i rosnące przy domu drzewko cytrynowe. Elwira jest bardzo gościnna i otwarta. Ten hostel w zupełności przypomina pensjonat. Tutaj wreszcie zrelaksowałam się całkowicie. Przechadzam się deptakiem przez centrum miasta. W centrum znajduje się połączone kanałem z morzem, słynne słodkowodne jezioro – Wulismeni. Od strony wyższego brzegu jest ładny widok na morze, mostek i liczne tawerny.

Dzień 10. Jadę na plażę Vai. Najpierw autobusem z Agia Nikolaos dojeżdżam do Sitia górską drogą z serpentynami. Siadam z lewej strony w autobusie, gdyż na lewo są wspaniałe widoki na morze, plażę i zatoczki. Z Sitia mam autobus bezpośrednio na plażę Vai. Jest niedziela, a ja jestem jedyną pasażerką autobusu na plażę, tak samo jest również w drodze powrotnej. Dojazd jest łatwy, dobra droga asfaltowa, a trasa malownicza. Wszyscy więc przyjeżdżają tu samochodami. Około 1 km po zjechaniu z głównej drogi jedziemy ładną aleją palmową prosto na duży parking. Jestem jeszcze przed

południem i ludzi niewiele. Przed wejściem i po bokach, w oddali od wody rośnie alejka palm, pod którymi można schronić się w upalne dni. Plaża jest szeroka, położona w ładnej zatoce, otoczonej formacjami skalnymi, ale nie ma tu nic szczególnego, co mogłoby wprawić w zachwyt. Owszem, jest punkt widokowy na skałę z zatoką, przejrzysta woda, restauracja, bar. Pływam, lecz woda jest chłodna. Jest jeszcze przed sezonem, więc nie ma parasoli, dodających kolorytu, a wczasowicze leżą na ręcznikach. Do Agia Nikolaos wracam z przesiadką w Sitia, tak jak poprzednio.

Dzień 11. W Agia Nikolaos w informacji turystycznej w pobliżu przystanku autobusowego dostaję broszurki i dane dotyczące Spinalonga, wyspy odległej kilkanaście km od Agia Nikolaos, niegdyś weneckiej, a potem tureckiej warowni, obecnie znanej głównie jako miejsce zesłań chorych na trąd. Aktualnie wyspa jest niezamieszkała. Z tego przystanku planuję jechać do miejscowości Plaka, skąd wyspa widoczna jest z bliskiej odległości. Autobus jeździ tam rzadko, więc jadę najpierw do Eloundy, z której odpływają łodzie motorowe co 30 min na wyspę za 5 euro w jedną stronę. Miasteczko jest niezwykle urocze, ciekawa jest też trasa z Elounda do rybackiej wioski Plaka, odległej o 5 km, którą przebyłam nabrzeżem, podziwiając wspaniałe widoki. W okolicy Plaki zatrzymuję się na punkcie widokowym, skąd z bliskiej odległości mogę przyglądać się wyspie Spinalonga. Z Plaki płynę na wyspę za 4 euro w jedną stronę. Wstęp dodatkowo wynosi 2 euro. Wspinam się stromą ścieżką na górę fortu, oglądam budynki leprozorium i cmentarz trędowatych. Z Plaki wracam do Agios Nikolaos, mijając po drodze Elounda, a potem do Rethymno, aby następnego dnia pojechać na Preveli Beach. Mieszkam w tym samym hostelu, co poprzednio.

Dzień 12. Plecak zostawiam w hostelu i pierwszym autobusem, o godz. 9.00 jadę do Preveli. Autobus zatrzymuje się w nadmorskim kurorcie w Plakias. Tam wszyscy przesiadają się do skoordynowanego czasowo busika i na tym samym bilecie po 12 km krętej i wąskiej, górskiej drogi dojeżdżają do Piso Moni Preveli, położonym na wzniesieniu, na końcu drogi. Bilet wstępu – 2.5 euro. W godz. 13.30–15.30 klasztor jest nieczynny. Przy wejściu jest niewielkie muzeum, a w nim cenne ikony. Znajduje się tu krzyż, na którym jest drzazga z krzyża Chrystusa, uznana za relikwię. Na dziedzińcu jest kościół, a z dwóch jego stron cele mnichów. Jest też zagroda ze zwierzętami i ptakami, tj. pawie, kaczki i lamy. Z monasteru schodzę drogą asfaltową w dół, ok. 1.5 km, mijając ogrodzony pomnik, upamiętniający walkę aliantów i mnichów przeciw hitlerowskim okupantom, co jest przedstawione w postaci obelisku pośrodku oraz mnicha i żołnierza po bokach. Dochodzę do rozwidlenia drogi po prawej stronie, którą idę do parkingu, a potem schodzę w dół zbocza, najpierw schodami, niżej kamienistą ścieżką, a po ok. 20 min jestem na plaży. Z góry jest wspaniały widok na palmy i rzekę wpływającą do morza o cudownym zielonym kolorze i lasek palmowy po obu jej stronach oraz plażę. Na plaży jest cafe bar i tawerna. Spaceruję skalistym wąwozem, wzdłuż rzeki pośród gęstego lasu palmowego z typowymi palmami kreteńskimi, a później pływam; woda jest dosyć chłodna, a na dodatek wieje wiatr. Sama plaża jest niewielka, ale urokliwa ze względu na usytuowanie pośród skał i kanionu. Rzeka, która u ujścia wąwozu Kourtaliotiko przepływa przez plażę, tworzy mały staw, a następnie wpływa do morza. Właśnie ta cała sceneria, szczególnie widziana z góry i nietypowe dojście sprawiają, że to miejsce zachwytiło mnie najbardziej. Z Plakias i sąsiednich miejscowości można tu przyplłynąć łódką. O 18.30 wracam autobusem do Rethymno. Trzeba wziąć pod uwagę, że są tylko

dwa autobusy powrotne: o 11.30 i 18.30, a z Rethymno trzy kursy o: 9.00, 11.00 i 18.00. Po odebraniu plecaka z hostelu jadę do Chanii. Tym razem mieszkam w Nea Hora Beach w Constatino's Studios, w 3-osobowym pokoju z kuchnią, balkonem i łazienką za 12 euro. Constatino's Studios jest miejscem, gdzie są pokoje 1 lub 2-osobowe, recepcja, internet (dla mieszkańców 30 min dziennie gratis) i tam należy się zameldować. Jest to ok. 15 min od dworca, natomiast do dormitoriów, zlokalizowanych nieco dalej, bo 25–30 min od dworca, właściciel dowozi samochodem.

Dzień 13. Wybieram się do wąwozu Samaria. Są dwa autobusy o: 7.45 i 8.45. Jadę o 8.45 za 14.30 euro w obie strony i po 0.5 godz. jestem już na miejscu w Xyloskalo, gdzie zacznę wędrowkę. Wstęp 5 euro. 16-kilometrowa trasa przez wąwóz i dodatkowe 2 km dojścia do morza zajmują mi 5 godz. Niektórzy potrzebują więcej czasu na przejście. Na chętnych czekają też osiołki. Szlak prowadzi cały czas w dół i zaczyna się od schodów, zabezpieczonych drewnianymi balustradami, a potem jest typowa trasa górską. Trzeba więc mieć buty właściwe na górską wyprawę. Co pewien czas są ławeczki, gdzie można odpocząć, napełnić butelki źródlaną wodą i podziwiać widoki. Początkowo skały są wapienne, a za wysiedloną wioską Samaria zaczynają się piaszkowce o różnokolorowych warstwach skalnych, w szczelinach których rosną drzewka, a wąwóz staje się bardzo wąski. Przez wąwóz przepływa strumień. Można tu spotkać dziko żyjące kozy kri-kri, będące pod ochroną. Ten odcinek jest najciekawszy. Po opuszczeniu terenu PN w Agia Roumeli, pokonuję jeszcze 2 km odcinek do miejsca, skąd odpływa statek. Można także skorzystać z autobusu, który robi wiele kursów, zawożąc turystów do morza za 2 euro. Po takim marszu z rozkoszą wskakuję do morza, aby popływać i nawet woda nie wydaje się być za zimna. Dlatego warto było wziąć ze sobą strój kąpielowy. Ponieważ wzdłuż wybrzeża nie ma żadnej drogi lądowej, wszyscy o godz. 16.30 płyną przez 1 godz. promem do Hora Sfakion (za 11 euro), a tam już czekają liczne autobusy do różnych miast, których odjazd powinien być o 17.30. Specjalna osoba kieruje turystów do poszczególnych autobusów.

Dzień 14. O 9.00 jedynym autobusem jadę na Elafonisi Beach. Bilet w jedną stronę – 10 euro. Na dworcu spotykam młodego Polaka, którego wcześniej miałam okazję poznać w Constatino's Studios. Dzięki temu mogę przyjemniej spędzić ostatni dzień pobytu na Krecie. Po 2 godz. jazdy jesteśmy nad płytką laguną, z wodą sięgającą w głębszych miejscach do kolan. Przez lagunę przechodzimy boso aż do plaży z charakterystycznym piaskiem o bladoróżowym odcieniu, który jest efektem kruszenia muszli koralowca. Z morza wyłaniają się ogromne głazy i skały, a woda jest klarowna. Plaża jest rozległa, ale przy skałach można znaleźć kameralne miejsca. Woda całkiem znośna do pływania, ale niedługiego, gdyż wieje wiatr. Niesamowicie piękny jest kolor wody, która w zależności od odsłaniania się słońca zza chmur przybiera miejscami kolor głęboko zielony, czasami lazurowy, niekiedy granatowy. Jest to bardzo specyficzna plaża. Wracamy jedynym powrotnym autobusem o 17.00.

Następnego dnia z dworca jadę autobusem na lotnisko, a stamtąd mam lot do Katowic.

Rafał W. Zarębski

Macedonia



Termin: Podróż odbyła się w dniach 2–11 lipca 2013 r.

Dojazd: Miałem mało czasu i jak zwykle dużo dobrych chęci. Wybór padł na Macedonię: ciekawie, tanio i blisko. Do wyjazdu udało się namówić jeszcze trzy osoby. Początkowo myślałem o dotarciu do Sofii samolotem lub autobusem, a stamtąd do Skopje. Na szczęście na forum Travelbit ktoś podrzucił mi informację o regularnych liniach autokarowych na trasie Polska–Serbia–Macedonia–Grecja. Wkrótce zostaliśmy nabywcami czterech biletów z Rzeszowa do Skopje i z powrotem w cenie 580 zł od osoby. Przewoźnikiem była firma Adamis Tours. Autokar w sezonie wakacyjnym jeździł raz w tygodniu.

Z/do Macedonii łatwo dostać się do/z Bułgarii, Kosowa, Serbii czy Albanii. Ze względu na ograniczenia czasowe postanowiliśmy skupić się na samej Macedonii.

Dokumenty: Lepiej mieć paszport, nawet jeśli niektóre kraje bałkańskie spoza strefy Schengen umożliwiają wjazd na dowód osobisty. Nawet zdarza się, że Serbowie wbijają jeszcze na granicy stempelki.

Przewodnik: Pascal „Czarnogóra, Serbia, Macedonia, Kosowo i Albania” 2011. Na krótki wyjazd wystarczył, jednak dla osób planujących dłuższe i bardziej szczegółowe poznanie Bałkanów informacje tam zawarte mogą być zbyt ogólne. Przydałyby się lepsze mapki (np. Tetowa).

Pieniądze: Wymiana euro i dolarów nie następuje trudności. Gorzej może być z bankomatami, o które nie tak łatwo poza dużymi miejscowościami. Rachunek po macedońsku to „smetka”, a cena to „cena”. Przykładowe ceny w denarach macedońskich: brzoskwinie 40–50 MKD, jogurt 1 litr 48 MKD, pizza serowa 190 MKD (Tetovo), kiełbasa z frytkami 100 MKD (Svati Naum), sałatka macedońska 100 MKD, herbata 4 MKD, potrawa tavce gravce 80 MKD, kotlet pleskawica 80–180 MKD, wstępy do obiektów przeciętnie 50–100 MKD. Niekiedy można płacić w euro.

Noclegi: Korzystaliśmy z hostelu w Skopje, prywatnych kwater w Ochrydzie i w Brajčinie oraz ze starego, sypiącego się hotelu w Bitoli. Hi Skopje Hostel <http://hi-skopjehostel.com>/nie jest może najtańszym obiektem tego typu w stolicy (tańszy jest

np. Art Hostel, który ma jedną łazienkę dzieloną na wszystkich gości), za to ma wiele atutów: położenie, ogródek, niewielkie, ale smaczne śniadanie w cenie oraz współwłaściciel o polsko-macedońskich korzeniach, który jest kopalnią wiedzy o kraju.

Najtaniej było, o dziwo, w bardzo turystycznej Ochrydzie, gdzie duża konkurencja wymusza niskie ceny (równowartość 20 PLN od osoby). W Brajčinie zawiodły noclegi z przewodnika, ale znaleźliśmy inną kwaterę na dwie noce. Tani hotel w Bitoli znajduje się przy drodze biegnącej do dworca autobusowego. Pamięta czasy Jugosławii, lepi się od brudu i przydałby mu się generalny remont, ale jedna noc jest do przeżycia. Cena za łóżko w dwuosobowym pokoju to około 8 euro od osoby.

Transport: Poruszaliśmy się busikami, autobusami oraz taksówkami.

Przykładowe ceny taksówek poniżej.

Skopje: trasa hotel Continental–HI Hostel 3 euro (za 3 osoby);

Ochryda: dworzec w Ochrydzie–prywatna kwatera 350 MKD (w tym mocno zawyżona prowizja taksówkarza za pośrednictwo w znalezieniu noclegu), kwatera w Ochrydzie – dworzec w Ochrydzie 60 MKD.

Dworzec autobusowy to po macedońsku „avtobuska stanica”.

Przykładowe ceny busów i autobusów: Skopje–Tetovo 110 MKD, Tetovo–Ochryda 440 MKD (2,5–3 h jazdy); Ochryda – Svati Naum 110 MKD.

RELACJA Z PODRÓŻY

Skopje

Autokar wypuszcza nas koło hotelu Continental. Bierzymy stamtąd taksówkę do „HI Skopje hostelu”. Leży w zacisznej uliczce, do centrum zaś można stamtąd dojść w 15 minut. Współwłaściciel hostelu ma polskie korzenie, świetnie włada językiem Mickiewicza i posiada dużą wiedzę na temat podróżowania po Macedonii.

Wkrótce poznajemy topografię Skopje: smutne i skromne muzeum, deptak z Domem Matki Teresy z Kalkuty (wstęp wolny), kolosalny pomnik Aleksandra Wielkiego z fontanną, most, jeszcze więcej ogromnych fontann i pomników, stare miasto o orientalnym klimacie, górującą nad miastem twierdzą. Część „zabytków” Skopje jest dopiero w budowie, w tym gigantyczny gmach Muzeum Archeologicznego, ale rozmiary inwestycji i tak robią wrażenie. Najwyraźniej władcy kraju nie oszczędzają na wizerunku stolicy młodego państwa. Niedługo trudno będzie odróżnić stare od nowego. Prawdziwych staroci jest tam jednak dość, żeby zadowolić turystów, a posiłek w restauracji czy lody w kawiarni nie drenują aż tak bardzo polskiego portfela. No i jest bałkański klimat. W samym centrum stolicy blisko słynnego Kamiennego Mostu i gmachu muzeum w środku rzeki stoi beztroski wędkarz i łowi ryby.

Kanion Matka

Do kanionu wybieramy się na jednodniową wycieczkę ze Skopje. Łapiemy autobus nr 60 na głównej pętli autobusowej Skopje (10 kursów dziennie, około 40 minut jazdy, cena w jedną stronę około 3 PLN). Tama (gdzie nie wolno robić zdjęć) oraz widoki robią wrażenie. Na bazę gastronomiczną i ewentualną kąpiel można liczyć tylko na początku kanionu. Jest też ładna zabytkowa cerkiew. Dalej czeka już tylko wędrówka przez las, krawędzią urwiska, praktycznie bez żadnych zabezpieczeń. Widoki piękne, ale osoby cierpiące na lęk wysokości może powinny odpuścić.

Po powrocie tą samą drogą, na początku kanionu wykupujemy przejażdżkę łódka po rzecze, co pozwala obejrzeć krajobrazy z innej perspektywy. Wycieczka obejmuje także zwiedzanie jaskini.

Tetowo

Jest zdominowane przez Albańczyków, co widać na każdym kroku: albańskie flagi, albańskie napisy, albańskie orły. Przyjeżdżamy tam ze Skopje na obiad i kilkugodzinne zwiedzanie. W ścisłym centrum znajduje się wielki i pustawy plac. W jego pobliżu oprócz chińskich zabawek i butów można kupić albańskie chorągiewki i instrumenty muzyczne. W poszukiwaniu toalety trafiamy do restauracji Sky Bar Ilyria. Aby znaleźć to miejsce, należy kierować się na napis Burger King (ale Burger Kinga tam nie ma). Restauracja serwuje włoskie dania i wina; króluje spaghetti i pizza (w tym pizza Berlusconi). Najlepszy jest dach budynku, z którego można obserwować miasto, jednocześnie delektując się posiłkiem. Potem kolejno odnajdujemy porzrzucone po Tetowie zabytki. Najważniejszy Malowany Meczec jest niestety zamknięty, ale i tak warto go zobaczyć. Najtrudniej przychodzi nam odnalezienie muzułmańskiego klasztoru Bekteşi Tepe, który znajduje się już na peryferiach miasta, w pobliżu cementarza. Po klasztorze oprowadza nas groźnie wyglądający brodac. Porozumiewamy się zlepkim słów polskich, tureckich, serbskich, rosyjskich i macedońskich. Oprócz nieco zmodernizowanej starodawnej zabudowy w klasztorze można zobaczyć wiszące obok siebie flagi turecką, macedońską, amerykańską oraz zieloną islamską.

Ochryda

Do Ochrydy przyjeżdżamy nocą. Nie mamy zarezerwowanego noclegu, za to mamy adres hostelu na starówce. Nasz taksówkarz, biegle znający rosyjski, niby chce nam pomóc: dzwoni do recepcji. Tak naprawdę jednak robi co może, żeby nas zniechęcić do tego noclegu. W hostelu są miejsca, ale nadal się wahamy. Taksówkarz proponuje nam o wiele ciekawszą ofertę „u swojej sąsiadki”. Nocleg znajduje się poza starówką, ale blisko jeziora i centrum. „Sąsiadka” okazuje się sympatycznym facetem, a kwatery będzie nie tylko najlepsza, ale i najtańsza podczas całego pobytu w Macedonii. Za około 20 zł od osoby dostajemy dwa duże, wygodne pokoje (kuchnia i łazienka na korytarzu). Taksówkarz życzy sobie słone prowizji (zdecydowanie za wysokiej). Płacimy bez szemrania. Uznajemy, że i tak się nam opłaca. Cena i zalety kwatery wprawiają nas w dobry nastrój. Spędzamy tam trzy noce.

Po Ochrydzie można snuć się bez planu i odkrywać ciekawe miejsca. Ładnych widoków i zabytkowych cerkiewek, malowniczych ruin jest tam mnóstwo. Można zajrzeć do wytwórni czerpanego papieru (wstęp bezpłatny). Wieczorami przy deptaku toczy się życie. Trafiamy też na pochód ludowych grup z Bałkanów i Turcji.

Jeżeli ktoś chciałby znaleźć w Ochrydzie oprócz cerkwi kościół rzymskokatolicki, to takowy znajduje się przy ul. Partizanska. Msze święte są odprawiane w języku chorwackim.

Sveti Naum

Do miejscowości Sveti Naum przyjeżdżamy z Ochrydy na jednodniowy wypad. Dysponując wolnym czasem, najlepiej znaleźć tam kwatery lub rozbić się na kempingu.

Turyści wychodzący z autobusu od razu trafiają na coś w rodzaju deptaka wypełnionego straganami z pamiątkami i punktami gastronomicznymi. Nasza grupka rusza jednak prosto do słynnego sanktuarium (w środku zakaz robienia zdjęć). Oprócz watorów mistycznych i historycznych, sanktuarium oferuje piękny widok na okolicę, w tym

na Jezioro Ochrydzkie. Po zwiedzaniu ruszamy na plażę, która też oferuje ciekawe widoki. Dalej jest już Albania.

Czekamy na autobus powrotny do Ochrydy, ostatecznie jednak dogadujemy się z prywatnym kierowcą, który tam jedzie. W cenie biletu autobusowego, za to nie na dworzec tylko do centrum. Dzięki temu mamy czas, żeby wynająć łódkę z wiosłarzem przewodnikiem i popływać po parku narodowym Galicica (przystań przy restauracji Ostrovo). Ładne i urokliwe miejsce, gdzie można zobaczyć bijące źródła albo (bliżej restauracji) zamówić biesiadę z orkiestrą na sztucznej wyspie.

Potem posilamy się przy deptaku. Obiad nie zachwyca ani rozmiarami, ani ceną, ale generalnie jest w czym wybierać.

Brajčino i okolice

Za radą papierowego przewodnika jedziemy z Ochrydy w góry w pobliżu granicy z Grecją. Do Brajčina dotrzeć można z Ochrydy z przesiadką w miejscowości Resen. Przejazd Ochryda Resen 150 MKD, Resen – Brajčino 100 MKD i sporo cierpliwości w oczekiwaniu na przesiadkę. Oficjalne i oznakowane noclegi są już zajęte, choć żadnych turystów nie widać. W sklepie spożywczym każą nam czekać na kogoś, kto za trzy czy cztery godziny może będzie mógł nam coś zaproponować. Zatem czekamy i w międzyczasie szukamy na własną rękę. Zgodnie z informacjami z przewodnika można przenocować też w starym monasterze, który znajduje się na wzgórzu jakieś 20–30 minut piechotą od wioski (o drogę trzeba pytać mieszkańców).

Kiedy jednak docieramy do monasteru, cele noclegowe są zamknięte na głucho. Oprócz przyjacielskiego psa nie kręci się tam nikt, kto chciałby udzielić noclegu lub pobrać jakąkolwiek opłatę. W ciepłą noc nie powinno być tam jednak problemu z rozłożeniem maty i śpiwora w podcieniach pod dachem, zupełnie gratis. Mogą tak zrobić plecakowcy – turyści z walizkami na kółkach będą mieć problem: po drodze jest trawa, woda i błoto. Do klasztoru warto zajrzeć, nawet jeśli nie chcemy tam nocować. Oprócz samego monasteru warto bezpłatnie obejrzeć tamtejszą kapliczkę, wcale niemniej ciekawą niż ochrydzkie cerkwie – muzea. Jeśli chodzi o nocleg, ostatecznie w jednym z gospodarstw sami znajdujemy i wynajmujemy pokoje z dostępem do kuchni za jakieś 6–7 euro od osoby.

Z Brajčina robimy dwie wycieczki. Jedną nad jezioro Prespa, wzdłuż drogi prowadzącej przez pustkowia i sąsiednią wioskę Lubojno. Podejście do jeziora nie jest łatwe, wokół królują grzęzawiska. Poznana na drodze Szwedka informuje nas, że niedaleko szosy jest plaża (w okolicy mieszka sporo Szwedów i innych przybyszów z Zachodu). I rzeczywiście po dojeździe do miejscowości Dolno Dupeni można dotrzeć do plaży, kierując się w stronę Grecji. Dostrzegamy plażę w oddali i musimy zawrócić. Nadchodzi zmierzch, część kilkukilometrowej powrotnej trasy i tak jesteśmy zmuszeni przejść w egipskich ciemnościach.

Na drugą wycieczkę wybieramy się w góry. Z Brajčina odchodzą kilkugodzinne szlaki (nie wszędzie dobrze oznaczone) m.in. nad górskie jezioro. Niestety, mamy pecha i podczas wędrówki łapie nas burza. Ostatecznie w strugach deszczu decydujemy się wrócić na kwatere.

W Brajčinie nie ma baru, jest tylko sklep spożywczy. Zapewne można też wykupić posiłki w niektórych kwaterach agroturystycznych. Restauracja z prawdziwego zdarzenia jest w sąsiednim Lubojno (30–40 minut spacerem) – pyszna domowa kuchnia po przystępnych cenach (i najlepiej po wcześniejszym telefonicznym zawiadomieniu).

Bitola

Ze względu na bliskie położenie i dobre połączenia do Skopje decydujemy się spędzić w Bitoli ostatni nocleg przed opuszczeniem Macedonii. Nocleg czekał kilkaset metrów od dworca autobusowego w postaci obskurnego hotelu dobrze pamiętającego komunistyczne czasy. Cena za dwa pokoje i cztery łóżka wyniosła równowartość 8 euro od osoby i było to najmniej przyjemne miejsce spośród kwater podczas podróży.

Sztandarową atrakcją Bitoli są greckie ruiny Heraklionu. Owszem, zaliczamy ruiny – droga z centrum jest oznaczona drogowskazami. Jednak nie oszukujemy się – w basenie Morza Śródziemnego można znaleźć wiele znacznie ciekawszych i spektakularnych pozostałości po Grekach i Rzymianach.

Sama Bitola nie jest jednak taka zła. Przez coś w rodzaju starówki biegnie sympatyczny deptak. W parkach wokół odbywają się koncerty, po mieście jest też rozrzuconych trochę fotogenicznych zabytków: pomniki, cerkwie, meczety, katolicki kościół i wieża zegarowa. Największe wrażenie robi na mnie cerkiew św. Dymitra ze wspinałym ikonostasem (a widziałem ich już wiele). Wchodzę tam z kolegą, podczas gdy dziewczyny wahają się, czy warto płacić za bilet. We dwóch podziwiamy ikonostas, w międzyczasie koleżanki dowiadują się, że z kartą ISIC/ITIC wstęp do cerkwi jest darmowy. Niestety, dla mnie jest już „po barszczu”. Kolejna nauczka z cyklu: zawsze pytaj o zniżki i nie zrażaj się odmowami.

Jak ktoś chce, w Bitoli znajdzie się też i zoo, i miejski basen (mimo upału niespecjalnie zatłoczony). Jest też zupełnie nieturystyczny bazar. Szewc kaletnik poproszony o dorobienie kilku dziurek w pasku odmawia przyjęcia zapłaty. Kawałek dalej na targu warzywnym kupujemy wielki kawał arbuza – sprzedawca informuje, że jego koszt to „blagodaram” (po macedońsku: dziękuję). Jeśli ktoś lubi w podróży tzw. „autentyczność”, to pod tym względem Bitola bije słynną Ochrydę na głowę.

Z Bitoli do Skopje kursuje wiele autobusów dziennie (średnio co 1–1,5 h), ale praktyczniej jest dopytywać o połączenia w kasie niż ufać wywieszonemu rozkładowi.

Skopje – powrót

Po dotarciu do stolicy dzielimy się na dwie grupy. Żeńska grupa chce jeszcze wejść na górę Vodno z krzyżem wznoszącym się nad miastem (miejskim autobusem, ale jest też kolejka linowa), męska grupa chce macedońskiego jadła i piwa w klimacie starówki. Ostatecznie po zrealizowaniu planów wszyscy spotykamy się przypadkiem na zakupach w centrum handlowym.

Na koniec jeszcze zgrzyt: taksówkarz, który po miłej rozmowie dowozi nas na miejsce odjazdu autokaru, czuje się pokrzywdzony. Stawka, którą chcemy zapłacić, wydaje mu się za niska (mimo że przed wejściem do pojazdu się na nią zgodził, a po angielsku mówił naprawdę niezłe). Spieramy się z kierowcą, w końcu musimy go postraszyć policją, ale jesteśmy tak skołowani, że sami już nie wiemy, co o tym myśleć. Warto znać miejscowe ceny przy negocjacjach, ale, jak widać, nawet to nie chroni przed nieprzyjemnymi sytuacjami.

Spod hotelu Continental zabiera nas busik przewoźnika i transportuje na stację benzynową poza Skopje. Tam, po przetrwaniu krótkiej ulewy i paru godzinach leniuchowania ładujemy się do właściwego autokaru, który zawiezie nas do Polski.

Danuta Wojciechowska i Adam Stępiński

Mołdawia, Naddniestrze, Bukowina i Maramuresz



Od dawna chcieliśmy odwiedzić skalne klasztory w Mołdawii i malowane cerkwie na Bukowinie oraz te w dolinie Izy – tak się szczęśliwie złożyło, że mogliśmy wspólnie wybrać się na kilka dni. Chcemy zaproponować trasę krótką, łatwo dostępną, tanio, przeznaczoną dla tych, którzy pamiętają sowieckie klimaty, lub dla tych, którzy ich nie znają, a przeżyją, podróżując po Naddniestrzu. Przeniesiecie się w czasie, widząc na drogach wozy konne, a w cerkwiach babuszki w barwnych chustkach i trolejbusy na ulicach miast. Warto też posmakowania wino mołdawskie i rumuńska palinka. Zapraszamy do lektury i organizacji wyprawy, może naszym szlakiem?

Termin: 6–17 września 2013 roku

Trasa: Lwów – Czerniowce (granica Mamałyga–Criva) – Saharna – Naddniestrze (Bendery–Tiraspol) – Iwancea – Orgei Vechi – Tipowa – Bielce – Soroki – Costesti – Stefanesti – Botosani – Suczawa – Radauti – Putna – Sucevita – Moldovita – Voronet – Humor – Gura Humorului – Borsă – Moisei – Bogdan Voda – Rozavlea – Barsana – Sighețu (granica) – Sołotwina – Mukaczew – Lwów

Uczestnicy: 2 osoby

Waluta:

Ukraina – hrywny: 1 hrywna – 0,40 zł

Mołdawia – lei mołdawski/MDL: 1 USD – 12,76 lei

Naddniestrze – ruble naddniestrzańskie: 1 lei MDL – 0,85 rubli naddn., 1 USD – 11 rubli, 1 euro – 14,40 rubli.

Rumunia – lei rumuńskie/RON: 1 USD – 3,35 lei.

Język: rosyjski, mołdawski, rumuński. My w Mołdawii posługiwaliśmy się rosyjskim, a w Rumunii dogadywaliśmy się, mieszając włoski z hiszpańskim, ponieważ dużo ludzi pracowało w tych krajach.

Uwaga: konieczny jest paszport.

Całość kosztów z zakwaterowaniem i transportem (często stopami) w Mołdawii wyniosła 100 USD/os., tyleż samo w Rumunii.

W Mołdawii mamy ciepłą, słoneczną pogodę, w Rumunii przywitał nas deszcz obfity, ale przelotny, było nieco chłodniej, zwłaszcza w górach.

RELACJA Z PODRÓŻY

Ukraina

Do Lwowa wyruszam z Krakowa, najpierw pociągiem do Przemyśla, gdzie wymieniam złotówki na hrywny, stąd bussem do granicy w Medyce (2 zł – 20 min), potem piesze przejście granicy i po odprawie w Szegini przejazd bussem do Lwowa (23 hr – ok. 2 godz.). We Lwowie spędzam kilka dni i wcześniej kupuję bilety na nocny pociąg do Czerniowiec na Ukrainie na godz. 0.40 (płackartnyj – 73 hrywny z pościelą, a sypialny – 93 bez pościeli). Już dzień przed odjazdem były to ostatnie miejsca. Do Czerniowiec jeździ kilka pociągów w ciągu dnia i jeden autobus rano (103 hr). Adam dojeżdża z Warszawy z Dworca Zachodniego autobusem ukraińskiego przewoźnika (90 PLN).

Dzień 1. Rano o 5.30 jesteśmy w Czerniowcach. Nie czekamy na trolejbus, jeden, długi przystanek do centrum idziemy pieszo. Dochodzimy do Placu Ratuszowego, spacerujemy Pańską reprezentacyjną ulicą i zachwycamy się tym pięknym, zadbanym miastem, podziwiając dobrze zachowane domy narodowe przedstawicieli największych grup etnicznych zamieszkujących miasto: Żydów, Rumunów, Ukraińców, Ormian, Polaków i Niemców. Szczególne wrażenie wywarł na nas modernistyczny Dom Niemiecki. Wstępujemy do kościołów różnych wyznań. Trolejbusem nr 4 jedziemy do awtostacji na Nowosielicu, stąd mamy autobus w kierunku na Mamałygę.

Mołdawia

Pieszo przechodzimy granicę w Mamałydze i jesteśmy już po drugiej stronie, w Mołdawii, w Crivie, stoją dwie marszrutki, jadące do Kiszyniowa przez Bielce. Nie mamy lei mołdawskich, mimo że na granicy jest bank, nie wymieniamy dolarów, uzgadniamy z kierowcą, że zatrzyma się w najbliższym miasteczku i tam w Western Union korzystniej dokonujemy wymiany: 1 USD – 12,72 MDL. Z granicy ruszamy o 11.55, a w Kiszyniowie jesteśmy o 19.25 (bilet 110 lei), po drodze mijamy Bielce (ok. godz. 17) i Orhei, główny węzeł komunikacyjny, skąd można jechać do różnych miast Mołdawii, także do Naddniestrza i Odessy na Ukrainie oraz pobliskich klasztorów w Saharnej, Tipowej i Orhei Vechi. Wzdłuż całej trasy szpaler drzew orzecha włoskiego, posadzone jeszcze za czasów komuny. Orzechy może zrywać każdy, ktokolwiek ma na to ochotę. Równinny, monotony pejzaż nie zachwyca, ale doskonale wiemy, że ciekawe miejsca w Mołdawii są z dala od głównych dróg i nie tak łatwo do nich dotrzeć transportem publicznym, gdyż przeważają drogi szutrowe, a busy jeżdżą tam rzadko. W Kiszyniowie wysiadamy na dworcu północnym (siewiernym) i marszrutką dojeżdżamy do dworca głównego. Wokół dworca duży bazar. W kantorze otwartym 24 h wymieniamy korzystnie dolary; 1 USD – 12,79 MDL. Na tym dworcu między sklepami jest hotel (gostinica), ale obecnie nieczynny. Dochodzimy do głównej ulicy i tuż przy przejściu podziemnym pytamy starszą kobietę o jakiś nocleg. Kieruje nas do dziadka, który siedzi obok swojej wagi, czekając na klientów. Ma wolne mieszkanie z łazienką i kuchnią, może je nam udostępnić 200 lei /2 os. za noc. Decydujemy się na 3 noce. Jedziemy z nim trolejbusem nr 5, sześć przystanków za 2 leje. Spisuje dane z paszportów i po praktycznej lekcji otwierania i zamykania drzwi, daje nam klucz. Potem codziennie widzimy go, przechodząc obok przejścia podziemnego w centrum.

Dzień 2. Marszrutką 163 za 3 leje jedziemy na dworzec pn. (siewiernyj), skąd o 10. 45 ruszamy marszrutką do Saharnej przez pobliską Rezinę (bilet 43 lei). Jeszcze przed Reziną, po prawej stronie jest droga do Tipowej (16 km) i do Lalowej (20 km). Jesteśmy na miejscu o 13.15, a powrót za dwie godziny tą samą, ostatnią w tym dniu marszrutką. Wchodzimy po schodach na wzgórze skalne z wydrążonymi, opuszczonymi pustelniami. Na szczycie znajduje się kaplica ze świętym kamieniem, w której wierni modlą się i skąd roztacza się wspaniały widok na wioskę, położony w dolinie, monastyr i nieco oddalony Dniestr. Po zejściu w dół oglądamy kompleks klasztorny, ważny dla Mołdawian. Jest niedziela, widzimy wiele par nowożeńców, ślubują sobie wierność, a świadkowie trzymają nad ich głowami złożone korony. W skład kompleksu klasztornego wchodzi dwie cerkwie (Św. Trójcy i Zwiastowania), refektarz wraz z kuchnią i piekarnią oraz cele mnichów. Na terenie monastynu jest cudowne źródło, a za bramą drewnianą, wiszący mostek, przez który dochodzimy do skalnych kaplic i cel mnisich. Jest to niesamowicie urokliwe miejsce, położone w malowniczym, wąskim i głębokim wąwozie, którego dnem płynie bystry strumień, słychać szum wodospadów, do których dochodzimy, idąc wzdłuż potoku. Z najwyższej kaskady woda spada do malowniczego jeziora, przy którym pielgrzymi i turyści fotografują się. W Saharnej jest przyklasztorny dom pielgrzyma (10 lei w zbiorowej sali) oraz sklepik z pamiątkami. Kusiło nas, aby jechać stąd do Tipowej (czytać należy Cypowa z akcentem na „y”), gdyż jest stąd droga na skrót – tylko 8 km i znaleźliśmy nawet kierowcę, który chciał nas podwieźć, ale było zbyt mało czasu, a w Kiszyniowie mieliśmy zapłacony nocleg. Wieczorem pochodziliśmy po Kiszyniowie, przechadzając się główną ulicą Stefana cel Mare, oglądając secesyjne kamieniczki, łuk triumfalny, katedrę, wstępując do cerkwi. W dużym parku, przy głównej ulicy, odnaleźliśmy pomnik Puszkina, w pobliżu którego młodzi usadowiła się z własnymi komputerami, ale chyba nie pisała wierszy...

Dzień 3. Dziś postanawiamy jechać do Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawii, czyli Naddniestrza (Pridniestrowia) – rejonu autonomicznego, niepodległego od 2 września 1990 r., państwa nieuznanego na arenie międzynarodowej, oficjalnie traktowanego jako część Republiki Mołdawii. Na dworcu centralnym wsiadamy do marszrutki jadącej do Bender, prawobrzeżnego miasta Naddniestrza. Marszrutki jeżdżą nawet co 15 min (bilet 25 lei – 1 godz. jazdy). Na granicy błyskawicznie sprawdzają paszporty i jesteśmy już po drugiej stronie. Na pobyt 1-dniowy nie trzeba wypełniać deklaracji, ani się rejestrować. Deklarację celną wypełniają ci, którzy przebywają dłużej niż dobę. Wsiadamy na dworcu, mijając przy wjeździe do miasta cerkiew położoną na terenie bazy wojskowej oraz twierdzę obronną, tuż za cerkwią. Przy dworcu, w jednym z licznych kantorów, wymieniliśmy leje mołdawskie na ruble naddniestrzańskie (1 MDL – 0,85 rubli NADD). Do Tiraszola – stolicy Naddniestrza mogliśmy jechać marszrutką z Placu Centralnego za dworcem (3 ruble), ale jedziemy trolejbusem nr 19 za 2 ruble. Przyglądamy się miastu. Na początku dominuje niska zabudowa. Idąc jednak w kierunku centrum, ujrzelśmy postsowiecką zabudowę: szeroką główną ulicę, liczne pomniki, duży plac centralny i ogromne budynki rządowe. Przed budowlą z okresu stalinowskiego, z czerwoną gwiazdą na wysokiej iglicy, z napisem Dom Sowietów ujrzelśmy pomnik z popiersiem Lenina. Na centralnym placu jest konny pomnik Suworowa, a idąc dalej, przed wielkim budynkiem parlamentu, o bryle podobnej do naszych bloków mieszkalnych, aczkolwiek monumentalnej, na bardzo wysokim filarowym postu-

mencie z czerwonego marmuru stoi betonowy pomnik Lenina, nazywany powszechnie Batmanem, gdyż powiewający płaszcz wodza przypomina skrzydła. Kiedy robię zdjęcia, podbiega do mnie mężczyzna, oznajmiając, że Lenina mogą filmować, ale nie budynek. Akurat zdążyłam wszystko sfilmować wcześniej. Po przeciwnej stronie ulicy, tuż nad Dniestrem są pomniki i tablice upamiętniające radzieckich żołnierzy poległych w wojnie w Afganistanie oraz obrońców Naddniestrza. Jest wiecznie płonący znicz oraz czołg, upamiętniający poległych żołnierzy i zasłużonych przodowników pracy i bohaterów Związku Radzieckiego. Wchodzę na most na Dniestrze i przyglądam się statkom wycieczkowym z głośną muzyką na pokładzie, a potem oglądam cerkwie. Wszędzie widać rosyjskie wpływy stacjonujących tu krasnoarmiejców, napisy są cyrylicą, na czerwono-zielonej fładze sierp i młot. Sklepy są pozamykane ze względu na wizytę patriarchy Wszechrusi. Zatrzymujemy na trasie marszrutkę, odjeżdżającą z dworca kolejowego. Okazuje się, że bilet do Kiszyniowa stąd jest droższy, bo kosztuje 45 lei, a z Kiszyniowa płaciliśmy 25 lei. Wydaje nam się to dziwne i rezygnujemy, wsiadając do trolejbusu za 3 leje, bo nie mamy już rubli, i wysiadamy przy twierdzy w Bendarach. Rano nie udało nam się jej obejrzeć, gdyż do cerkwi przyjechał patriarcha rosyjski i cały teren był zapelniony wiernymi, a ponadto mocno obstawiony wojskiem i policją. Twierdza i cerkiew leżą na terenie wojskowym i przy wejściu stoją żołnierze. O tej godzinie oficjalnie twierdza jest już zamknięta. Powiedzieliśmy więc, że idziemy do cerkwi. Po obejrzeniu cerkwi, ścieżką prowadzącą w dół, doszliśmy do obronnego zamku. Obejrzeliśmy go, a potem marszrutką, zatrzymaną tuż przed bramą twierdzy, dojechaliśmy do Kiszyniowa (40 lei). W Kiszyniowie, w barze przy dworcu centralnym można zjeść mamałygę z bryndzą za 12 lei lub z mięsem i z bryndzą za 38 lei.

Dzień 4. Wybieramy się do Orhei Vechi (można mówić Orgiejew), już z plecakami. Z dworca pn. jedziemy autobusem o 10.00 do Iwancea (czyt. Iwancy) – 15 lei. Stąd jest jeszcze 10 km do celu. Są marszrutki, można też dojechać taxi za 60 lei, my zatrzymaliśmy stopa. Trafił nam się emerytowany major, mieszkający w wiosce, który obwioził nas po okolicy i opowiedział ciekawe historie o rejonie i sytuacji politycznej. W przepięknej, malowniczej dolinie rzeki Raut – dopływie Dniestru, widzimy jaskinie naturalne i wykute w wapiennych skałach z wejściem od strony urwistego zbocza nad rzeką, trudno dostępne, już z daleka ładnie je widać. Mnisi przeznaczali je na cele mieszkalne i świątynie. Na szczycie jest cerkiew, do której wchodzimy przez przejście w skałę. Wieś jest bardzo ładna i ciekawa, z przydrożnymi studniami i ozdobnymi bramami na podwórza, licznymi pensjonatami i restauracjami, ale bardzo drogimi, noclegi nawet po 40 euro, dlatego niektórzy turyści jadą do pobliskiej Trebujeni, gdzie jest nieco taniej, tam też dojeżdża autobus z Kiszyniowa. Nasz major odwozi nas do głównej drogi, skąd jadą marszrutki. Zanim busik przyjechał, mamy okazję najeść się orzechów, które dosłownie spadają nam z drzew przy drodze. Jeden z gospodarzy podjechał konnym wozem, wszedł na drzewo i kijem strząsał orzechy. Jego żona je zbierała, a my podkradaliśmy. Posilamy się także jabłkami, spadającymi z przydrożnej jabłoni. Przyjeżdża autobus, którym dojeżdżamy do głównej drogi wylotowej w kierunku Reziny (6.5 lei). Celem naszym jest teraz Tipowa (czyt. Cypowa). Stąd przesiadamy się na mikrobus do Orhei (15 lei), potem okazjnie ciężarówką (10 lei), następnie zabieramy się z Rosjaninem, ale wywozi nas w szczerze pole. Na szczęście miejscowy mężczyzna, spytany o drogę, zamierza jechać do miejsca, do którego chcemy się dostać, my mu pomagamy

my przyśpieszyć decyzję i tym sposobem docieramy z nim pod samą cerkiew. Mnisi kierują nas do domu po przeciwnej stronie cerkwi, do Walentyny – wspaniałej kobiety, która za nocleg bierze po 30 lei od osoby. Zamawiamy u niej kolację z mamałygą i winem, idziemy na bardzo wysokie urwisko nad Dniestrem, gdzie jest skalny klasztor, w którym młody mnich rozdrabnia suszone zioła na uspokojenie, przeznaczone do sprzedaży dla turystów. Dochodzimy do krzyża na samej górze i zachwyceni patrzymy na zakola Dniestru, zachód słońca i widoczne po drugiej stronie domostwa wsi w Nad-dniestrzu. Po powrocie do Walentyny czeka na nas kolacja: ogromy talerz z mamałygą, kiełbaską, jajkiem i papryką, domowy chleb oraz dzban czerwonego, młodego wina domowej produkcji. Za całość z noclegiem za 2 osoby ostatecznie płacimy 150 lei. Rano dostajemy jeszcze na drogę spore woreczki z włoskimi orzechami.

Dzień 5. Wyruszamy na skróty z wnukami Walentyny do autobusu szkolnego na 6.30 rano do odległej o kilkaset metrów drogi. Za 5 lei dojeżdżamy do głównej drogi asfaltowej na trasę Rezina – Orhei – Kiszyniów. Bezpośrednio przesiadamy się w autobus do Orhei, który już czeka (15 lei). Stamtąd jedziemy do Bielc. Trolejbusem dojeżdżamy do Domu Polskiego z nadzieją noclegu. Stoimy z plecakami w progu kuchni, gdzie trzy panie przygotowują posiłki, nie zaproponowały nawet, aby spocząć, nie mówiąc już o noclegu. Stwierdziły, że nocować można tylko w niedalekiej wsi, ale wyłącznie w czasie wakacji, czyli do końca sierpnia, gdyż obecnie mieszka tam nauczycielka. Hotele w Bielcach są, niestety, bardzo drogie w porównaniu z innymi miastami w Mołdawii; sprawdziliśmy ceny w czterech, uznanych za najtańsze, oscylują między 375 a 400 lei za pokój, także w kasynie wojskowym, gdyż dla obcokrajowców są wyższe ceny. W odróżnieniu od Polaków, uczynnym okazał się młodzieniec pracujący na bazarze, który zadzwonił, aby dowiedzieć się o ceny kwater prywatnych, nieco tańszych, bo 300 lei za 2 os. z dowozem na miejsce. Uznaliśmy jednak, że dużo czasu straciliśmy na poszukiwanie noclegu, a i tak nie ma nic szczególnego w tym mieście, więc jedziemy do Sorok. Całe szczęście, że nie zatrzymaliśmy się w Bielcach na pierwszą noc, ale i tak musimy tu wrócić, aby przesiąść się na autobus do Rumunii. Jedziemy marszrutką do Sorok (ok. 70 km, 30 lei). Marszrutka odjeżdża co godzinę lub co 2 godz. Droga jest straszliwie wyboista, najgorsza z asfaltowych, którymi jechaliśmy, bus jedzie więc bardzo wolno. W Sorokach lokalną marszrutką dojeżdżamy do centrum, a tam młody Mołdavianin, który ma żonę Polkę, prowadzi nas do niedrogiego hotelu Nistro (Dniestr), w centrum, trochę w głębi, za główną ulicą (200 lei za pokój). W Sorokach oglądamy fortecę obronną hospodara Petru Raresza (1543) z zewnątrz, gdyż jest zamknięta do wiosny. W czasie wyprawy Jana III Sobieskiego na Mołdawię zamek należał przez siedem lat do Polaków a dziedziczu jest studnia „polska”. Spacerujemy wzdłuż płynącego obok Dniestru, a następnie wspinamy się stromą ulicą do części miasta, w której są przepiękne domy zbudowane na wzór pałaców; mieszkają w nich bogaci Cyganie. Oglądanie tych wymyślnych budowli z zewnątrz, jak i bogatych wewnątrz było dla nas niezwykle atrakcją. Cyganie okazali się bardzo gościnni, zapraszali nas na herbatę, częstowali winem i oprowadzali z dumą i radością po salonach, często jeszcze nieukończonych domów, zdobionych marmurami i różnymi drogimi materiałami. Gościliśmy też w domu barona, najważniejszej osoby wśród Cyganów w Mołdawii. Opowiadał nam o pochodzeniu Romów, o ich obecnej sytuacji, pokazał zbiór porcelany, który ma stanowić zaczątek muzeum romskiego. Jest on założycielem fundacji, a więc wspomogliśmy ją finansowo.

Rumunia

Dzień 6. Jedziemy do Bielc na dworzec autobusowy. Stamtąd o 12.10 mamy marszrutkę do granicy z Rumunią – do Costesti (34 lei). Autobus jedzie przez Floresti i Balti. Po dojechaniu do granicy okazuje się, że granicę w Costesti można przekraczać tylko samochodem. Poprosiliśmy więc kierowcę przejeżdżającego właśnie granicę o zabranie nas. Nie wyraził sprzeciwu. Po przekroczeniu granicy, słysząc, że jedziemy do Suczawy, wymienił sumę, jaką sobie życzy za podwiezienie, a nie była ona niska, więc przy samej bramce musieliśmy wysiąść i dalej iść pieszo. Po chwili jednak podjeżdża miejscowy chłopak i zawozi nas do pobliskiego Stefanesti (17 km), dajemy mu 70 lei mołdawskich, które nam zostały. Stąd miał być autobus do Botosani (32 km), ale zatrzymują się dwaj chłopcy i dowożą nas do centrum, nie mamy jeszcze wymienionych pieniędzy, dajemy im kilka dolarów. W centrum Botosani jest wiele banków i tu wymieniamy dolary, 1 USD – 3.35 lei, wartość podobna do naszej złotówki. Potem okazało się, że nas oszukano, między leje włożono mniej warte ukraińskie hrywny. Pogoda się psuje. Dotychczas było ciepło i słonecznie, a teraz zaczęło lać, mocno, ale krótko. Pieszo dochodzimy do dworca autobusowego, zaglądając po drodze do kościołów. Niestety autobus do Suczawy jest dopiero o 20.00, a pociąg z dworca obok, o 19.18. Kupujemy bilet kolejowy za 7.50 lei rumuńskich. O 21.00 jesteśmy w Suczawie. Znajdujemy hotel przy głównej ulicy, wychodzącej na wprost dworca kolejowego, po lewej stronie. Hotel Suczawa, z pokój z łazienką 60 lei, obok niego jest mniejszy hotel, trochę tańszy.

Dzień 7. Pieszo idziemy do centrum turystycznego i handlowego Suczawy – stolicy południowej Bukowiny. W oddali, na wzgórzu widzimy górujący nad miastem kościół św. Dymitra i inne cerkwie. Nie przypuszczaliśmy, że do centrum wiedzie tak bardzo długa ulica. Następnie razem wsiadamy do trolejbusu (2 leje). Trafiliśmy do Domu Polskiego, usytuowanego w samym centrum. Uzyskaliśmy tu cenne informacje odnośnie do dalszej trasy. Zachwyca nas w mieście monastyr św. Jana Nowego, kościół św. Dymitra, cerkwie św. Jerzego, twierdza tronowa i klasztor ormiański Zamca, zaglądamy też na bazar owocowo-warzywny w centrum, gdzie kupujemy przepyszne winogrona. Mamy zamiar zwiedzać malowane cerkwie i klasztory środkowej Bukowiny, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO: Moldovita, Voronet, Humor, Sucevita itd. Idziemy na przystanek marszrutek, w pobliżu bazaru warzywnego w centrum Suczawy, skąd odjeżdżamy do Radauti, sporego miasta, skąd z dworca autobusowego prawie co godzinę jeżdżą autobusy do Putnej, a z przystanku z ul. Szpitalnej odjeżdżają marszrutki do Sucevity. Wsiadamy z myślą, aby jechać do Sucevity, widząc jednak drogowskazy do Putnej, zmieniamy plan i wysiadamy na rozwidleniu dróg i dwoma stopami, z przystankiem na grupową wizytę w fabryce obuwia, zwiedzamy pierwszy na naszej trasie klasztor Putna – miejsce pochówku Stefana Wielkiego, mołdawskiego władcy, mądrego obrońcy mołdawskiej niezależności. Putna jest też symbolem rumuńskiej religijności, miejscem licznych pielgrzymek wiernych. W klasztorze mieszka 100 mnichów, jest możliwość noclegu na każdą kieszeń – u mnichów w extra pokojach wraz z posiłkami za 100 lei za pokój, w domkach turystycznych – za 10 lei, w licznych pensjonatach za 80–100 lei za pokój, za darmo w specjalnych salach za zgodą przełożonego lub w domu pielgrzyma w pokojach dwu-, czteroosobowych po 20 lei od osoby. My właśnie nocujemy w takim pokoju, na piętrze mamy kuchenkę i lodówkę do dyspozycji. Adam zamówił wspaniałą i obfitą kolację w klasztornym refektarzu za 20

lei. W sadzie domu noclegowego jest mnóstwo jabłoni i masa jabłek pod drzewami. Dużo czasu spędzamy w monasterze, podziwiając architekturę, malarstwo i uczestnicząc w wieczornym nabożeństwie.

Dzień 8. O godz. 9.00 jedziemy autobusem do Radauti (7 lei) i udajemy się na ul. Szpitalną na marszrutkę do Sucevity (7 lei). Po godzinie tuż przy drodze ukazują się czworoboczne mury obronne z bramami i basztami, a wewnątrz przepiękna cerkiew z malowidłami wykonanymi techniką freskową na zewnętrznych ścianach cerkwi, doskonale zachowane, o wyrazistych barwach, przedstawiają historie i przypowieści biblijne. Szczególnie uwagę zwraca fresk przedstawiający drabinę cnót. Ukazuje losy człowieka po śmierci. Aniołowie pomagają wspinać się po drabinie cnót, a szatani próbują ściągać z niej ludzi. Cerkiew ta urzekła nas tak bardzo, wspięliśmy się na jedno z otaczających ją wzniesień, aby z góry napawać się wspaniałym widokiem. W przydrożnych kramach kupujemy ręcznie malowane pisanki (5 lei). Łapiemy stopa do kolejnej malowanej cerkwi Moldovita. Ta również jest przepiękna, ale z trudniejszym dojazdem, bardziej na uboczu i nie ma tu tłumów, ani komercji, nie widzimy też pensjonatów. Na zewnętrznych murach zwraca uwagę fresk przedstawiający oblężenie Konstantynopola. Stąd chcemy dojechać do malowanej cerkwi Voronet, marszrutki stąd nie ma, łapiemy stopa (4 lei) do miejscowości Vama, gdzie jest skrzyżowanie z główną drogą, biegnącą w kierunku miasta Gura Humorului. Tu przy moście, mijając grzybiarzy sprzedających dorodne prawdziwki, zatrzymujemy kolejny samochód i wysiadamy przy wylocie drogi do klasztoru Voronet. Od głównej drogi jest jeszcze 4 km. Kolejny stop i już podziwiamy malowidła cerkwi otoczonej starymi drzewami, a przed wjazdem mnóstwo straganów i potężny płatny parking, z wieloma autokarami, jako że tutaj blisko jest od głównej drogi, biegnącej z Suczawy. Jest już późno i taxi za 5 lei jedziemy do centrum miasta Gura Humorului. Nie dowierzamy, że taxi do sąsiedniej miejscowości może kosztować równowartość naszych 5 zł, ale w Rumunii przejazdy są znacznie tańsze niż w Polsce. Z ronda w centrum udaje nam się zatrzymać samochód i dotrzeć do malowanej cerkwi: Humor. Oglądamy klasztor, przy wejściu na teren każdego z klasztorów powinno się płacić wstęp 5 lub 10 lei oraz kupić bilet na fotografowanie za 10 lei oraz oddzielny za kamerę video. Najbardziej tego pilnowały mniszki w Sucevita. Nocleg zaproponowała nam właścicielka trzygwiazdkowego pensjonatu tuż przy samym monasterze. Ściemniało się, a ona nie miała żadnych turystów u siebie i obniżyła cenę do 60 lei za pokój. Stragany przed wejściem były jeszcze czynne, od młodego sprzedawcy, znającego różne języki, uzyskaliśmy cenne informacje o interesujących nas połączeniach autobusowych na dalszą trasę, a od gospodyni kupiliśmy pisanki, z których słyną okolice malowanych klasztorów.

Dzień 9. Stopem jedziemy do centrum Gura Humorului, gdyż w niedzielę marszrutki nie jeżdżą. Udajemy się na dworzec autobusowy, skąd o 11.20 mamy marszrutkę jadącą z Suczawy do Satu Mare przez Sighetu. Mamy miejsca stojące, ale możemy usiąść na plecakach (bilet 25 lei do Borsy, do Satu Mare – 65). Opuszczamy Bukowinę, jej chaty malowane na zewnątrz w szlaczki, a marszrutka pokonuje malowniczą trasę, przejeżdżając przez przełęcz Prislop (1416 m n.p.m.), z widokiem na Karpaty, za którą mamy już Maramuresz – rejon drewnianych cerkwi ze strzelistymi wieżami i unikalną, drewnianą architekturą, ciekawie rzeźbionych bram do zagród i kościołów. My wysiadamy w połowie drogi, w górskim kurorcie Borsa, przy pensjonacie z pięknym wido-

kiem na góry, w którym chłopak objaśnia nam na mapie, jak dotrzeć do drewnianych cerkwi, z których osiem wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO, i częstuje nas palinką – rumuńską wódką. Podjeżdżamy marszrutką do centrum (2 lei) i idziemy dalej, skręcając w prawo, gdzie za nową cerkwią ukazuje nam się zabytkowa cerkiew ze strzelistą wieżą, a za nią cmentarz. Szukając kościołów, należy pytać o bisericę. Marszrutką jedziemy do Moisei (2,50 lei), a potem stopem do Sacel i dalej doliną rzeki Izy; ktoś uprzejmy podwozi nas do drewnianego kościoła św. Mikołaja w Bogdan Voda. Kościoły są zamknięte, ale na drzwiach podany jest nr telefonu, gdzie szukać kluczy. Niestety, gospodarza nie ma w domu, chociaż mieszka obok. Kolejny zatrzymany samochód wiezie nas w kierunku Rozavlea, gdzie chcemy obejrzeć drewniany kościół św. Archaniola. Przejeżdżamy jednak obok, a nasi dobroczyńcy podwożą nas do Barsany, gdzie jest przepiękny zespół nowych, drewnianych cerkwi, usytuowanych na wzgórzu w otoczeniu zieleni, niektóre z nich z bardzo wysokimi wieżami. Wszystko wykonano w drewnie bez użycia narzędzi mechanicznych i gwoździ. W dole, przy głównej drodze jest pensjonat trzygwiazdkowy prowadzony przez mniszki, niestety zbyt drogi – 100 lei/2 os. My przespaliśmy się u jednego z gościnnych gospodarzy, w jeszcze nie wyposażonym domu, bo właściciel wrócił przed 2 miesiącami z Hiszpanii, gdzie pracował przez 8 lat. Daliśmy mu 30 lei/2 os. W wiosce jest wiele pensjonatów, ale nie wyglądają na najtańsze.

Dzień 10. Rannym autobusem o godz. 7.00 (5 lei) wraz z gospodarzem jedziemy do Sighetu, oglądamy miasto, zatrzymujemy się na deptaku przed Muzeum Komuny, dalej przed pałacem kultury i pieszo przechodzimy przez główną ulicę miasta, aż do jej końca, zatrzymujemy samochód, jadący do Sapanty, gdzie udajemy się na Wesoły Cmentarz. Nad grobami Wesołego Cmentarza górują zadaszone, drewniane krzyże, wykonane z dębu, wszystkie są w kolorze niebieskim. Na nagrobkach namalowane są sceny przedstawiające portret osoby zmarłej i atrybuty zajęcia, zawodu przez nią wykonywanego. Widzimy nagrobki: nauczycieli, weterynarzy, traktorzystów, rzeźników, tkaczek, piekarzy itd. Epitafia na nagrobkach opisują słabości i upodobania zmarłych oraz okoliczności, w jakich zmarli. Cmentarz jest kilkaset metrów od głównej drogi, wracamy więc do niej i zatrzymujemy samochód, który zawozi nas do Sighetu, przed samą granicę z Ukrainą, która jest na końcu miasta, blisko jednak od centrum. Można dojść pieszo.

Ukraina – Polska

Granicę Sighetu – Sołotwina przekraczamy pieszo. Dochodzimy do dworca kolejowego. Pociąg do Lwowa jest dopiero o 17.20, idziemy więc dalej do głównej drogi, skąd jadą marszrutki do Użgorodu i do Mukaczewa. O 12.30 jedziemy do Mukaczewa za 45 hrywn, a na miejscu jesteśmy o 16.00. Z Mukaczewa mamy autobus dopiero o 18.40 (bilet – 76.45 hr). Zastanawiamy się, czy nie zostać tu na noc w komnacie oddycha na dworcu za 70 hr/os. W okolicy, 30 km stąd, są gorące źródła mineralne, ale powrót marszrutką możliwy dopiero nazajutrz. Jedziemy więc do Lwowa, gdzie jesteśmy o godz. 23.00. Na szczęście przypadkowo dowiadujemy się, że z dworca kolejowego jest autobus, linii Visitor z Kijowa do różnych miast w Polsce o godz. 22.30. Są jeszcze wolne miejsca. Za 100 zł jadę do Krakowa, a Adam za 120 zł do Warszawy. Granicę przekraczamy w Korczowej, niestety z 1,5 godz. przerwą na dokładną kontrolę autobusu.

Noclegi:

Kiszyniów: 200 lei/2 os. całe mieszkanie z kuchnią i łazienką, ul. Panduriłow, dawna Pugaczowa, m. 26, blok 14, konieczny wcześniejszy tel. 069-882-045 Waleri Iwanowicz – starszy pan, którego najczęściej można spotkać z wagą nad przejściem podziemnym w centrum.

Tipowa: nocleg u Walentyny – w domu naprzeciw cerkwi – 30 lei/os. W tej wsi mieszka się tanio w domach, które Walentyna poleca, gdy u niej brak miejsc.

Putna: dom pielgrzyma, z tyłu za domkami kempingowymi – 20 lei/os.

Humor: pensjonat przy klasztorze – 60 lei/2 os., ale w sezonie jest droższy, w okolicy jest więcej pensjonatów.

Barsana: 30 lei/2 os. u przypadkowego gospodarza, blisko kompleksu klasztornego. W miejscowości są droższe pensjonaty.

Przykładowe ceny:

Mołdawia, ceny w lejach: woda 0,5 l – 6, coca-cola w puszcze – 8, herbata – 3, bułka z serem – od 3 do 5, placenta z serem, ziemniakami lub kapustą – 3–6, mamałyga z bryndzą – 12, z bryndzą i mięsem – 38, winogrona – 10–12/kg, chleb ciemny – 4,70, jajko – 0,65, arbus 1 kg – 2, pomidory 1 kg – 4–5, toaleta – 3, karta telefoniczna najtańsza – 25, orzechy 1 kg – 25, a za darmo na ogólnie dostępnych drzewach, benzyna – 17,64/l, internet – 12 lei/h obok Mc Donald's w centrum Kiszyniowa, trolejbus – 2, marszrutka – 3, znaczek do Europy – 3, kartki 1–2 lei na pocztę.

Rumunia: ceny produktów zbliżone do polskich, znacznie tańszy transport, małe ikonki w drewnie – 12, pisanki ręcznie malowane – 5, haftowane – 7, palinka – 25/litr, ilustrowane książeczki z malowanymi cerkwiami – 10, wstępy na teren świątyni – 10, opłata za foto – 10.

Ukraina: barszcz ukraiński – 5–10 hrywien, pierogi (warieniiki) – 10, pielmieni – 10, bilety autobusowe – 2, trolejbus – 1,5, kwas chlebowy 2 l od 11–15.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Pieniądze wrzucone do rzymskiej fontanny di Trevi (ok. 3000 euro dziennie) zbierane są każdej nocy i oddawane na cele charytatywne.

Turcja i państwa kaukaskie samochodem osobowym



Podróż trwała od 13 maja do 8 czerwca 2013 roku. Świetna pora na tego typu wyprawę, mimo że czasem opady deszczu wymuszały na nas zmianę planów podróży. Podróżowaliśmy we dwie osoby (dwoje kierowców), samochodem osobowym, który palił ok. 7 litrów gazu na trasie. Całą wyprawę organizowaliśmy własnymi siłami.

Koszt na dwie osoby wyniósł 6131 zł (z czego samo paliwo kosztowało 3222 zł, opłaty drogowe 291 zł i opłaty za wjazd i wyjazd z Armenii ok. 300 zł. Reszta to koszt jedzenia, noclegów, biletów wstępu i drobnych pamiątek). Na wyprawę zabraliśmy niewielkie kwoty EUR i USD, a pieniądze lokalne wybieraliśmy z bankomatów. Za paliwo płaciliśmy głównie polskimi kartami bankowymi (w krajach, w których walutą nie jest EUR, to banki przeliczają lokalną walutę na USD, a potem drugi przelicznik z USD na EUR). Zalecane jest **ubezpieczenie podróży** (świat bez USA koszt: 3,24 zł/dzień) oraz obowiązkowo **zielona karta** na auto (w PZU karta ta jest bezpłatnie). Podczas całej wyprawy **polskie prawo jazdy** było wszędzie akceptowane. Jako że wyprawa miała być **niskobudżetowa**, więc nie korzystaliśmy z usług żadnych biur podróży i nie rezerwowaliśmy żadnego noclegu. Zabraliśmy ze sobą butlę z gazem 2 kg, a średnio co drugi nocleg spędzaliśmy w samochodzie (mieliśmy namiot, ale szybciej było rozłożyć fotele samochodowe i w miarę wygodnie się przespać).

Pranie podczas naszej wycieczki robiliśmy podczas noclegów w hotelach, a mokra bielizna szybko schła w nocy i podczas jazdy autem z otwartymi szybami.

Przejazd: Polska: Krosno – Słowacja (tranzyt), Węgry (tranzyt), Serbia (tranzyt), Bułgaria (tranzyt); Turcja: Edirne, Istambuł, Ankara, Jezioro Tuz, Goreme, Sanliurfa, Mardin, Van, Dogubayazit, Kars, Posof; Gruzja: Akhaltsikhe, Khashuri, Kutaisi, Zugdidi, Mestia, Kutaisi, Gori, Tbilisi, Signaghi, Tbilisi, Marneuli; Armenia: Alaverdi, Vanadzor, Dilijan, Sevan, Yerevan, Spitak, Stepanavan, Tashir; Gruzja: Tbilisi, Kutaisi, Samtredia, Kobuleti, Batumi, Sarpi; Turcja: Rize, Trabzon, Samsun, Sinop, Inebolu, Amasra, Kocaeli, Istanbul, Edirne; Bułgaria, Serbia, Węgry, Słowacja, Polska.

Węgry, tranzyt: 276 HUF/gaz, 427 HUF/ON. Winieta węgierska miesięczna: 4780 HU.

Serbia, tranzyt: 75,9 DIN/ gaz, 150 DIN/ benzyna, 147 DIN/ON. Serbskie winiety płaci się na bramkach. W sumie 1300 DIN w jedną stronę. Można płacić SRD, EUR, kartą Visa, Maestro, Master Card, American Express, Dina Card.

Bułgaria, tranzyt: 1,24 BGL/gaz, 2,57 BGL/benzyna, 2,62 BGL/ON. Winieta bułgarska 5,5 EUR/7 dni.

Średnie przeliczniki walut przy płatnościach kartami debetowymi: Serbia 1 SRD=0,039 zł, Bułgaria 1 BGN=2,31 zł, Turcja 1 TL=1,86 zł, Gruzja 1 GEL=2,11 zł, 1 EUR=4,43 zł.

Turcja: 2,51 TL/gaz; 4,71 TL/benzyna 4,12 TL/ON. UTC/GMT +2. Wjazd do Turcji wymaga **wizy** turystycznej, którą nabyliśmy na granicy „od ręki” za 15 EUR/osobę. Polacy standardowo dostają ją na 90 dni. Obecnie, aby przejechać północny most na Bosforze i bramki autostradowe, należy zakupić HGS, czyli **winięte**, którą można dostać na stacjach benzynowych lub na poczcie. My kupiliśmy ją zaraz za przejściem granicznym na stacji Shell za 40 TL lub 18,50 EUR. Nam ta winieta wystarczyła na przejazd całej Turcji, ale wracaliśmy już drogami zwykłymi, niepłatnymi. Winięte należy przykleić na przedniej szybie, tuż pod wstecznym lusterkiem. Obsługa stacji chętnie pomaga to właściwie zrobić. Przed bramkami należy zmniejszyć prędkość do 30 km/h, bo jeśli nie, to policja turecka zmusi nas do zatrzymania się☹. Niewielu Turków zna swój kraj, więc nie warto do końca im ufać. Nas ostrzegano przed wjazdem do Kurdystanu, bo tam niebezpiecznie, i odradzano przejazd do Gruzji przez Posof, bo droga wyboista i tamtędy tylko tiry przejeżdżają – my przejechaliśmy bez problemu. Z Turcji nie ma możliwości przedostać się do Armenii, mimo że państwa sąsiadują ze sobą. Oficjalnie są w stanie zimnej wojny. Generalnie Turcy mówią po turecku lub arabsku nawet w momencie, gdy język angielski znają. Tzn. wszyscy młodzi w szkołach uczą się angielskiego, ale jest albo zły sposób nauczania języka, albo Turcy zwyczajnie czują się dumni z tego, że są Turkami i angielskiego nie używają. Bardzo chętnie natomiast pomagają przyjezdnym, komunikując się za pomocą gestów, min i rąk.

Przez cały czas zwiedzania Turcji, ja jako kobieta nie nosiłam **nakrycia głowy**, nawet przy zwiedzaniu Kurdystanu Tureckiego, ale zwiedzałam kraj w długich spodniach i koszuli z długimi rękawami. Kilka razy odpowiadaliśmy na pytania, czy jesteśmy małżeństwem, więc wówczas pokazywałam obrączkę na palcu. Mało widzieliśmy kobiet tureckich w tradycyjnych strojach, a młode Turczynki spotykaliśmy ubrane całkowicie po europejsku, tzn. w spodniach typu jeans i barwnych koszulkach. W Turcji zakupy robiliśmy w marketach lub na bazarach, a ceny obiadów w restauracjach ustalaliśmy przed zamówieniem, aby nie dziwić się później rachunkowi. Przed wyprawą wykonaliśmy **szczepienia** na żółtaczkę A i B, tężec, błonicę, polio i dur brzuszny (pierwsze szczepienieki wybrane 6 tygodni przed planowanym wyjazdem). Ani razu nie odczuliśmy problemów żołądkowych, mimo że żywił się w lokalnych barach i pili wodę z ogólnie dostępnych źródeł, tam gdzie pili miejscowi.

Przed przyjazdem tutaj, warto nauczyć się nazwisk polskich piłkarzy grających w tureckich klubach, bo często rozmowa rozpoczyna się od futbolu, a dopiero potem można przejść do załatwiania spraw. W wielu miejscach Turcji, nawet w sklepie jubilerskim czy warsztacie samochodowym, serwowano nam słodką herbatkę. Alkoholu na półkach sklepowych nie widać, ale np. w Hasankeyf nad Tygrysem obsługa hotelu zapyała, czy życzymy sobie po piwku, bo mogliby dla nas to zorganizować.

Tutaj nie było żadnego problemu z **tankowaniem gazu**. Stacji jest bardzo dużo, a w okolicach miasteczek zdarza się, że stacje są co 10 metrów, przy czym ceny za paliwo różnią się czasem bardzo. Generalnie nie ma żadnych problemów z **płatnościami kartami** bankowymi. Podczas naszej wyprawy mieliśmy problem dwa razy, że terminale nie czytały naszych kart i trzeba było płacić gotówką (EUR lub USD). Z nocowaniem na parkingach przy stacjach benzynowych nie ma problemu, a jeśli poinformujemy obsługę o zamiarze przespania się, to możemy liczyć na poczęstunek herbatką i ustawienie nas w „bezpiecznym miejscu”, tzn. tuż pod świecą latarnią☺.

Uwaga: Jak informuje Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej w Ankarze, od 10 kwietnia 2014 roku zakup tureckiej wizy na przejściu granicznym nie będzie możliwy. Wizę turystyczną i biznesową będzie można od tego momentu uzyskać jedynie w placówkach dyplomatycznych Republiki Turcji bądź za pośrednictwem systemu E-visa. Tradycyjne wizy w formie naklejek odchodzą do lamusa.

Od granicy Kapitan Andrejevo do Ankary poprowadzona jest płatna autostrada, ale zaraz obok widoczna jest droga szybkiego ruchu (bezpłatna) dwupasmowa. **Drogi** mają bardzo dobre oznaczenia i są świetnej jakości. Przejazd przez Istantuł w godzinach przedpołudniowych trwał ok. godziny ze średnią prędkością 100 km/h i poza nielicznymi przyblokowaniami jazda jest płynna. Wszyscy uczestnicy ruchu przestrzegają przepisów drogowych, więc jedzie się dość dobrze, tylko uważać trzeba na motocykle, a szczególnie przy przewężeniach ulic, na wymuszające pierwszeństwo ciężarówki.

RELACJA Z PODRÓŻY

Zwiedzanie Turcji rozpoczęliśmy pod wieczór drugiego dnia od naszego wyjazdu z domu. Podczas naszej wyprawy Istantuł przejechaliśmy tranzytem, gdyż widzieliśmy to miasto kilka lat wcześniej.

14 maja. Jezioro Tuz. Zasolenie jeziora jest wyższe niż Morza Martwego, a w maju słona woda sięga prawie drogi głównej. W lipcu, do brzegu jeziora trzeba podobno iść kilka kilometrów. Kryształki soli świetnie wpływają na skórę, ale niestety w okolicy nie widzieliśmy słodkiej wody do splukania się, więc kąpieli w jeziorze nie mieliśmy. W okolicznych sklepikach nad jeziorem można kupić kosmetyki z soli.

15 maja. Docieramy do Kapadocji. Zwiedzanie zaczynamy od Selime, Belisiry i Ihlary – wstęp 8 TL/ karnet. Piękne miejsca, ale pod warunkiem, że zwiedza się je przed Kapadocją „właściwą”, bo skala fantastycznych form skalnych jest tu nieduża. Wrażenie natomiast robią kościoły chrześcijańskie wykute w skałach z pięknymi freskami, tylko szkoda, że w większości te ikony mają zniszczone twarze.

Derinkuju – podziemne miasto. Zwiedza się pięć z ośmiu poziomów, tj. do głębokości ok. 80 metrów. Wstęp 15 TL. Tutaj spaceruje się wąskimi schodami i takimi samymi korytarzami (osoby z klaustrofobią nie powinny w ogóle tam wchodzić), można obejrzeć ówczesne systemy wentylacyjne i ciekawe rozwiązania dostarczające wodę dla kilkunastu tysięcy mieszkańców. Ewentualnie, za dodatkową opłatą, można skorzystać z usług przewodnika po angielsku.

Nevsehir: wymiana klocków hamulcowych 30 min, cena 90 TL. Tutaj, aby dogadać się, to mechanik wynalazł w swoim komputerze słownik turecko-angielskiego i tak za pomocą słów pisanych w komputerze, i tłumaczonych za pomocą translatora, dogadywaliśmy się. Trzeba sobie radzić☺. W mieście jest tzw. rejonizacja, tzn. serwis sąsia-

duje z serwisem o takiej samej działalności. Po naprawie jedziemy do Uchisar. Wejście na skałę i zamek 5 TL/osobę. Świetny pomysł, aby tam się wdrapać tuż przed zachodem słońca i z dobrym aparatem – wspaniałe widoki na Goreme i okoliczne dolinki.

Nocleg: Uchisar, hotel w centrum Binder Gece Mediterrane w dobrym standardzie: 70 TL/pokój dwuosobowy ze śniadaniem (szwedzki stół).

16 maja. Kapadocja „właściwa”. Tutaj zdecydowanie warto zatrzymać się na dłużej i przespacerować się po okolicznych dolinach. Najbardziej znane miasteczko w okolicy to Goreme, do którego docierają wszystkie autokary z turystami. Tutaj można przebierać w zapchanych kawiarniach, restauracjach, sklepach z pamiątkami, ale jeśli ktoś szuka kontaktu z niesamowitą przyrodą, to najlepiej udać się do przepięknych okolicznych dolinek. Zwiedzanie muzeum w Goreme 15 TL, dodatkowo trzeba zapłacić za zwiedzanie Czarnego Kościoła 5 TL. Wejścia do dolin bezpłatne, tylko trzeba tam się dostać. W Goreme można wypożyczyć quada i nim się przemieszczać. Każda z dolin Kapadocji jest zupełnie inna, więc nie warto którejkolwiek opuszczać. W dolinach nie ma zbyt wielu turystów, więc przy wczesnym rozpoczęciu zwiedzania można swobodnie: Pigeon Valley (1–1,5 h), Love Valley (1 h), Red Valley i Rose Valley (3 h) zwiedzić w ciągu jednego dnia, ale nie warto się tu śpieszyć. Swobodnie można rozbić namiot wśród bajkowych skał (byleby nie na ścieżce) i rankiem podziwiać spektakl balonów nad Kapadocją. **Lot balonem** kosztuje 150 EUR/os., ale w punkcie informacji turystycznej (na górze po prawej stronie, jadąc od Uchisar) można się targować i cenę można zbić do 100 EUR/os. Dodatkowo w tym IT można uzyskać za darmo mapki regionu i informację w języku angielskim. Jeśli komuś nie zależy na locie balonem, a tylko chciałby obejrzeć spektakl balonowy, to polecamy przed wschodem słońca udać się na parking Sunset View Point i podziwiać. Balony startują ze wszystkich dolin, ale kierunek w którym polecą zależy od kierunku wiatru i osób, które próbują panować nad balonami. Obiad na placu głównym w Goreme: chicken kebab 4,50 TL, bakława 5 TL/os.

17 maja. Droga do Urfy. Przejeżdżamy przez rolnicze tereny z niezapomnianymi widokami na wulkan Erciyes Dagi. Sanliurfa (Urfa) to bardzo ciekawe miasto. Warto zobaczyć tutaj kompleks meczetów i jaskini Abrahama oraz piękny park. Miasto uważane jest za jedno z najstarszych na ziemi po opadnięciu wód biblijnego potopu. Urfa jest miejscem kultu religijnego dla muzułmanów i katolików, więc dużo tam jest pielgrzymów. W tym mieście często słyszeliśmy za sobą krzyki dzieci: „turist, turist”, a dorośli próbowali zagadywać po angielsku.

Nocleg: Sanliurfa, naprzeciwko bazaru Hotel Istiklal 70 TL/pokój dwuosobowy ze śniadaniem w średnim standardzie. Inne hotele w mieście: od 120 do 150 TL, ale zawsze można cenę targować. Nasz rekord to ze 150 TL zbiliśmy cenę na 90 TL/ pokój dwuosobowy.

Jedzenie przy bazarze: Lahmacun, Kunefe z puszką małej pepsi: 7 TL/ za dwie osoby. Przed jedzeniem obsługa polewa nam ręce cytrynowym odświeżaczem.

18 maja. Dojeżdżamy do Mardin, miasta usytuowanego na wzgórzu. Stąd w bezpieczny sposób z tarasów widokowych można obejrzeć niedostępną (z powodu wojny) dla turysty Syrię oraz spróbować odnaleźć wśród budowli miejskich, chrześcijański kościół w całkiem dobrym stanie – zwiedzanie bezpłatne, ale jest zakaz fotografowania. Przed miastem mijamy patrolę wojska z bronią palną w rękach gotową do strza-

łu. Mimo że mijamy kilka takich patroli oraz wozów opancerzonych, to tylko jeden patrol zatrzymuje nas na rutynową kontrolę. Panowie wojskowi nie znają żadnego języka poza tureckim, więc mieliśmy zabawną przygodę: wojskowy zatrzymał nasz samochód, gdy zobaczył za kierownicą kobietę, zdziwił się i nic nie mówił, tylko patrzył w oczy. Po dłuższej chwili pokazałam nasze paszporty i pytam, czy chce je zobaczyć, a wojskowy skinął głową. Podaliśmy paszporty, a on dalej patrzy się prosto w oczy. Więc pytam, czy chce dokumenty auta, wojskowy skinął głową. Popatrzył w dokumenty i powiedział OK, więc pojechaliśmy dalej.

Hasankeyf – starożytne miasto skalne nad brzegiem Tygrysu. Przejedźdżamy przez miasteczko, most i parkujemy na dużym „bezpłatnym” parkingu. Zaraz po zaparkowaniu podbiegają dzieci i próbują nam sprzedać przewodniki w języku tureckim po Hasankeyf. My nie dokonujemy zakupu, tylko idziemy na zwiedzanie miasta (stare miasto było zamknięte, bo kilka tygodni przed naszym przyjazdem odpadł kamień od skały i zabił turystę). Zwiedziliśmy więc jedną z prywatnych jaskiń skalnych za niewielką opłatą. Dla nas to miasto było obowiązkowym punktem w podróży, bo niedługo może się okazać, że projekt GAP (wybudowanie 22 zapór wodnych i 19 elektrowni na Tygrysie) zostanie zrealizowany i miasto zniknie pod wodą. Po powrocie do naszego auta podchodzi do nas ta sama „banda dzieciaków” z metalowym prętem i próbują wymusić na nas opłatę za pilnowanie auta – 5 TL. Troszkę nas przestraszyli, więc oddaliśmy im wszystkie nasze drobne, tj. 3 TL i „banda” sobie poszła. Z Hasankeyf do Van można dojechać lokalnym autobusem za 35 TL, odjazdy codziennie o 9.30.

Nocleg: w jedynym motelu Nad Tygrysem w Hasankeyf (10 metrów od mostu) po ostrym targowaniu, cena za nocleg w wiejskim standardzie i bez śniadania 30 TL/os. Wieczorem chwilowy brak prądu w motelu. Obsługa świetnie mówi po angielsku i rosyjsku.

19 maja. Jedziemy do Bitlis krętą drogą wzdłuż głębokiego kanionu (budowana jest nowa droga dwupasmowa). Wzdłuż drogi mijamy liczne budki obserwacyjne z kamerami i karabinami maszynowymi przygotowanymi do strzału. Przed Tatvan, po lewej stronie drogi, słabo widoczny drogowy znak na Nemrut Dagi: uśpiony wulkan. Można swobodnie wyjechać samochodem osobowym po szutrowej drodze na przełęcz pod Nemrut (ciężki dojazd po roztopach) oraz wjechać autem do szerokiej na 8 km kaldery wulkanu (21 km od drogi głównej do ciepłego jeziora). W kalderze znajduje się kilka jezior (jedno miało być ciepłe, ale w maju nie było). My wyjechaliśmy samochodem autem na wysokość ok. 2500 m n.p.m. Stamtąd na przełęcz pod Nemrut Dagi podrzucił nas terenowym autem uprzejmy doktor kurdyjski. Wyjście zajęło nam 1,45 h, a zejście 1 h. Na wysokość 3050 m n.p.m. udało się nam wejść bez żadnych problemów, mimo że oznaczeń ścieżki brak. Marsz musiał być na azymut (są tam liczne ścieżki udeptane przez pasterzy i bydło, więc uważać trzeba na psy pilnujące stad).

Dojazd do jeziora Van, nocleg w Tatvan nad jeziorem.

20 maja. W Tatvan można wjechać na prom towarowy i przepłynąć do miasta Van. Prom nie ma godzin załadunku, a płynie wówczas, gdy zostanie zapełniony. Statek płynie cztery i pół godziny, a koszt przepłynięcia samochodu z trzema osobami wynosi 14 TL. My objeżdżaliśmy jezioro stroną południową, wyszło 140 km dobrą, dwupasmową drogą. Widoki wspaniałe. Jezioro Van ma dwa kolory: lazurowy i... beżowy. Po dotknięciu wody palcami, palce są śliskie. Dalej przejeżdżamy obok Akdamar, uroczej

wyspy z kościółkiem. Dojazd na wyspę łodzią lub statkiem. Nad Vanem mijamy liczne plaże i campingi. Edremit – popularne miejsca wypoczynkowe dla mieszkańców miasta Van.

Dojazd do miasta Van od Gevas – bardzo dobrze oznaczony. Z daleka widać ogromną skałę z twierdzą i namioty zamieszkałe przez ludzi po ostatnim trzęsieniu ziemi w 2011 r. Cała twierdza była w remoncie. Wejść można od stron północnej – wstęp 3 TL. Na szczycie twierdzy zaczepia nas samozwańczy przewodnik i oprowadza po wszystkich zakamarkach twierdzy. Płacimy mu 5 TL. Kurdowie w okolicach Van są bardzo przyjaźni i serdeczni dla turystów, bardzo miło wspominamy krótki pobyt wśród nich. W parku miejskim Van chcieliśmy zrobić kilka fotek muzułmańskim kobietom, ale troszkę obawialiśmy się tego, a tu nagle niespodzianka: dwie kurdyjskie dziewczyny podbiegają do nas i pytają, czy mogą z nami sobie zrobić zdjęcie (dla nich to my byliśmy atrakcją!). Niestety, nie udało nam się zobaczyć ani jednego sławnego kota z Vanu ☹.

Dogubayazit – miasto, które leży zaledwie 30 km od Iranu. Przed miastem mijamy białe kurdyjskie zabudowy i uderza nas wszechobecny zapach krowich kup. Z obornika tam „buduje” się wysokie na metr płyty przydomowe, a w okresie zimowym płyty te/kupy służą za opał. Dogubayazit jest miastem, z którego startują wyprawy na Ararat. Na sławną górę wejść można tylko z lokalnym przewodnikiem. Większość wypraw organizowanych jest w lipcu lub sierpniu. Konieczne jest uzyskanie pozwolenia na przebywanie w strefie granicznej. Przeważnie wyprawa na górę trwa cztery do pięciu dni, w zależności od pogody (I dzień wyjazd i nocleg na 3200 m n.p.m., II dzień dojście na 4200 m n.p.m i nocleg w namiotach, III dzień wyjście o 1 w nocy i zdobycie góry ok. 7–8 rano, zdjęcia i zejście do bazy, IV dzień lub V transport na lotnisko).

Nocleg: Dogubayazit, Hotel Orta Dogu – pokój dwuosobowy 50 TL (pościel brudna, wieczorem brak ciepłej wody, piękny widok z balkonu na Ararat, a rankiem ciekawy widok na życie ulicy w mieście). Obiadokolację jemy w Asmali Konak Yolalti Sok. No.3, dwie przecznice od hotelu (pyszne jedzenie, świetny orientalny wystrój, niestety komunikacja tylko migowa lub w j. tureckim – mix szaszłykowy 10 TL, ayran 1,5 TL – do knajpki zaprowadziła nas obsługa hotelu).

21 maja. Ishak Pasza – piękny pałac łączący styl seldżucki, osmański, perski i ormiański. Porównywany jest do budowli z opowieści „Tysiaca i jednej nocy”. Kilometr przed pałacem znajduje się baza turystyczna dla tych, co wybierają się na Ararat. Z Dogubayazit do pałacu jedzie się 9 km po kostce brukowej. Od Tuzluci do Kars droga jednopasmowa, trochę wyboista. Dobre oznaczenie skrętu z obwodnicy Kars na ruiny Ani, dawnej stolicy Armenii. Do niedawna na żadnej mapie tureckiej nie można było znaleźć Ani. Na współczesnych Ani już jest. Zwiedzanie ruin Ani rozrzuconych po stepie trwa ok. 2,5 h z cytadelą, koszt biletu 5 TL. Tu spotykamy natręta, który chce nam upchać „zabytkowe” monety (trzeba być ostrożnym, bo na granicy Armeńskiej bardzo dokładnie prześwietlają bagaże i szukają takich właśnie zabytków). Z Kars jedziemy na granicę Gruzjińską w Posof. Tuż przed Posof pokonujemy przełęcz 2520 m n.p.m. Przejeżdżamy przez góry, droga jest dobrej jakości. Czasem zdarzają się dziury w nawierzchni. Przejście bardzo małe, otwarte 24 h. Odprawa szybka, ale pogranicznik cały czas powtarza „problem”, „problem” i tak przez 10 min. Ponieważ nie znaleźliśmy tureckiego, a on nie potrafił nam wytłumaczyć, w czym tkwił ów problem, więc w koń-

cu każe nam jechać. Później domyślamy się, że problem polegał na tym, że do Turcji jako kierowca wjeżdżałam ja, natomiast wjeżdżał mąż, a w paszporcie było zaznaczone, kto jest kierowcą (czasem dobrze jest nie rozumieć). Droga z granicy do Akhaltsikhe wąska, ale dobra.

Gruzja: 1 EUR=2,10 GEL, gaz 1,7 GEL/litr, benzyna 2,10 GEL/litr.

UTC/GMC +4, nie ma czasu letniego w 2013 r. Do Gruzji nie potrzeba Polakom **żadnych wiz**. Na każdym przejściu granicznym wjeżdżający muszą ustawić swoją twarz wprost do kamery. W Gruzji trzeba uważać na ulicach, gdyż bardzo powszechne jest bydło lub świnie chodzące po drogach (miejscowi trąbią bez opamiętania na bydło, więc my też musieliśmy się tej sztuki nauczyć). Drogi główne w Gruzji są dobrej jakości, ale te boczne wiejskie. Tutaj wszyscy znają j. rosyjski, ale Rosjan nie lubią, więc warto przyznać się, że przyjechalibyśmy z Polski i rozmawiać po rosyjsku. **Gazu** jest bardzo mało i z reguły można zatankować go na sieci Socar. Po wyjeździe z Gruzji mieliśmy problem z zatkaną instalacją gazową po podobno złej jakości gruzińskiego gazu. Dlatego polecamy tankowanie tylko benzyny. Jeśli chcemy uzyskać jakąkolwiek informację, należy pytać o to policję. Oni pomogą znaleźć hotel czy doradzą, jakiego piwa się napić: natakhtari. Policja raz zatrzymała nasz samochód, aby zapytać, czy dobrze się czujemy i czy nie potrzebujemy pomocy. Z informacji otrzymanych od naszych rozmówców, a niepotwierdzonych w innych źródłach wynika, że w Gruzji nie ma obowiązku badań technicznych pojazdów. Policja podobno dopiero za trzecim razem, jak zatrzyma pijanego kierowcę, to może zabrać prawo jazdy. Dwa razy wcześniejsze, tylko upomina. Inna ciekawostka usłyszana tam, to prawo jazdy w Gruzji dostaje każdy, kto zda tylko egzamin pisemny, dlatego też trochę ludzi z Europy jedzie tam tylko na testy, a wracają z kartonikiem prawa jazdy.

22 maja. Z Khashuri do Kutaisi poprowadzona jest jednopasmowa „autostrada”. Jedziemy na lotnisko w Kutaisi odebrać naszego kolegę Grześka, który przyleciał na pięciodniowy urlop. Brak oznaczeń dojazdu na lotnisko. Po drodze w Surami można kupić pyszny, gorący, słodki chlebek Nazuki – 2 GEL. Z lotniska Kutaisi do Mestii trzeba przejechać odcinek 230 km po dobrej nawierzchni. Przejazd z Zugdidi do Mestii nam zabrał 4 godziny jazdy malowniczym, wąskim kanionem. Mestia obecnie jest wielkim placem budowy, gdzie powstają drogi, lotnisko, siedziby władz i policji oraz hotele i pensjonaty. Jadąc do Mestii, odbijamy w lewo ok. 2 km, aby zobaczyć drugą co do wysokości na świecie, betonową zaporę na rzece Ingurii, 272 metry robią wrażenie. W Mestii jest jeden bank (9.30–17.30), bankomat i informacja turystyczna dobrze zapatrzona w mapki Gruzji. W Mestii można również wejść gratisowo na jedną z wież obronnych, znajdującą się na prawo od źródła z wodą. **Transport lokalny** z lotniska Kutaisi do Mestii – 20 EUR/os. Od jesieni 2013 r. firmy przewozowe już nie mogą podjeżdżać pod terminal (z wyjątkiem jednej uprzywilejowanej firmy) i dlatego też wszyscy, chcący wydostać się z lotniska do Swanetii, powinni czekać na transport na przystanku autobusowym po przeciwnej stronie ulicy.

Nocleg: Mestia w Nino Ratiani's guesthouse (po prawej stronie, na początku miasteczka) za 110 GEL ze śniadaniem i obiadem/3 os. Nasz pensjonat współpracuje z przewoźnikami, którzy codziennie rano wjeżdżają do Ushguli. W innych miejscach noclegi można dostać za 20 GEL/os., w hotelu na przystanku autobusowym lub

10 GEL/os. bez śniadania i z jedną wspólną łazienką w Gia Japaridze na ul. Guladi Japaridze 15.

23 maja. Ushguli, wioska położona na 2200 m n.p.m., dojazd tylko autem terenowym (200 GEL/ za auto terenowe 6-osobowe), podróż trwa 2,5 h, a powrót tylko 1,4 h. Czas wolny na zwiedzanie wioski to 3 h. Droga przez góry z Ushguli do Tsageri w zimie jest nieodśnieżana, natomiast końcem maja na rowerze można nią było przejechać. Obiad w Mestii: chaczapuri z serem słonym 3 GEL, piwo 2,5 GEL. Przy IT są miejsca, gdzie można zjeść ciepły posiłek. Ceny dań w Gruzji są prawie jednakowe we wszystkich lokalach niezależnie od standardu lokalu.

24 maja. Dojazd do Mazerii pod Uszbą (drogowskaz informuje Beczo), prowadzi drogą gruntową, ale swobodnie można tam dojechać autem (ok. 28 km od Mestii). Trekking pod Uszbę dość łatwy i dobrze oznaczony biało-czerwonymi pasami (my doszliśmy za wodospad, do granicy lodowca. Przejście zabrało nam 7 h). Przed wyjściem na szlak spotkaliśmy pograniczników, którzy wymagali od nas przepustki na podejście do rosyjskiej granicy. Po przekonaniu ich, że my jeszcze dziś będziemy wracać, dostajemy ustną zgodę na wyjście. Jadąc do Zugdidi, zatrzymujemy się w knajpcie na obiad (tam gdzie wszystkie busy robią postój). Chaczapuri z baraniną 4 GEL, placek jest duży, gorący, ale mięso bardzo zylaste.

25 maja. Jedziemy w kierunku Kutaisi, a po drodze zwiedzamy katedrę Martvili: wejście bezpłatne, warto zobaczyć, ale freski są bardzo zniszczone. Tuż przed Kutaisi zwiedzamy jeszcze jaskinię Sataplia Cave ze śladami dinozaurów i spacerujemy po lesie subtropikalnym: bilet 6 GEL. Polecamy dla dzieci, dorośli natomiast docenią świetny punkt widokowy na Kutaisi. Dalej zwiedzamy monaster Gelati, Mocameta i Bagrati – dojazd dobry, zwiedzanie bezpłatne. Obiad przy głównym placu w knajpcie: pyszne chinkali z mięsem 0,5 GEL/szt., piwo 2 GEL.

Nocleg: Gelati Gest House w Kutaisi, 26 Maisi Street 4, Lane 2: 70 GEL/3 os. ze śniadaniem. Świetna lokalizacja. Obsługa mówiąca po rosyjsku.

26 maja. Od rana pada deszcz. Odwozimy Grzeška na lotnisko. Ze względu na złą pogodę jedziemy do Sighnaghi w Kachetii. A po drodze zwiedzamy tylko Monaster w Urbnisi – wstęp wolny, mało ciekawy, bez fresków. Wieczorem bierzemy udział w uroczystościach z okazji Dnia Niepodległości. Sighnaghi bardzo ładnie odrestaurowane, jest tutaj sporo przytulnych knajpek i dobrze zaopatrzona informacja turystyczna w mapki po regionie. Można wejść na jeden z najbardziej solidnych systemów obronnych całej Kachetii za darmo, ale za zwiedzanie monasteru trzeba zapłacić samozwańcemu przewodnikowi 2 GEL (ceny: chleb 1 GEL, słodka bułeczka każda 0,5 GEL, czereśnie 2,5 GEL/kg, jabłka 2,5 GEL/kg).

Obiad: restauracja Venecia k/Gori (zjazd z autostrady na Tskhinvali ok. 2 km): odjahuri – pyszne mięso wołowe lub wieprzowe z opiekanymi ziemniakami i cebulą 6 GEL, kawa lub herbata 1 GEL, sałatka z pomidorów i ogórków 5 GEL. Świetny lokal, mają tam menu po angielsku, pomysłowa lokalizacja, a przy odrobinie szczęścia muzyka na żywo.

27 maja. Monaster Bodbe – do źródła schodzi się po 658 schodach (17 min do góry) świątynia była zamknięta. Dolina Alazanii: chyba piękna, ale my akurat trafiliśmy na intensywne opady deszczu. Kvareli – Wine House Kindzmarauli, biały budynek niedaleko twierdzy. Wejście od głównej ulicy. Warto tutaj wejść, bo humor od razu się

poprawia nawet przy niepogodzie☺. Wstęp i oprowadzanie po muzeum z rosyjskim przewodnikiem za darmo, a na koniec zwiedzania gratisowe degustowanie m.in. 5 gatunków świetnych gruzińskich win. Polecamy zaopatrzyć się tam w sprawdzone wino i czaczę. Ceny win wahają się od 6 GEL do 18 GEL. Czacza 0,5 l – 11 GEL. Dalej zwiedzamy Nekresi Monaster – nie można wjechać na wzgórze swoim samochodem, ale można wyjechać lokalną taksówką za 1 GEL (odjazd co pół godziny, jazda trwa 10 min). Dla ambitnych szybkim marszem 25 min pod ostrą górę. Dalej zwiedzamy: monaster Gremi – wstęp wolny, dużo fresków, ale muzeum z wieżą było zamknięte, Katedrę Alaverdi oraz kompleks klasztorny Ikalto, zwiedzanie bezpłatne. Obiad w Telavi: restauracja Martini (po schodach w dół) przy głównej ulicy: pyszne chinkali z mięsem i aromatycznym rosółkiem 0,60 GEL/szt.

28 maja. Za Gurjani skręt w prawo na monaster Kvelatsminda – bez fresków, ale monaster ciekawy, bo jako jedyny w całej Gruzji posiada dwie kopuły. Piękna panorama na Dolinę Alazanii i góry Kaukazu. Dobre miejsce na rozbiście namiotu. Dalej jedziemy w kierunku Rustavi i granicy z Armenią.

Armenia: 1 EUR=430 AMD, benzyna 500 AMD/litr

UTC/GMT +4, nie ma czasu letniego w 2013 r. Do Armenii Polacy już wizy nie potrzebują. Wjeżdżamy przez granicę w Sadakhlo – droga w miarę dobra. Na wjazdowej granicy musimy zapłacić 50 USD (podatek klimatyczny☺) i 3000 AMD (za wypełnienie dokumentów przez pograniczników). Dostajemy zgodę na wjazd na 15 dni. Musimy jeszcze w kantorze wykupić ubezpieczenie (niebieską nalepkę na przednią szybę za 7 USD/2500 DRAM na 10 dni). Trzeba sprawdzić daty ważności otrzymanych na granicy dokumentów i nie przekraczać tych terminów. Pogranicznik pyta o zapłacony gruziński **mandat** (bez zapłaty nie ma szans na opuszczenie Gruzji). W Ormiańskim kraju jest trudniej płacić **kartami**. Przed Erewaniem, na stacji paliw spotkaliśmy rodaka Marcina, pracownika stacji. Od niego dowiadujemy się, że w Armenii łąpówkarstwo kwitnie. Podobno za brak zapiętych pasów dostaje się mandat od 2000 AMD do 5000 AMD bez żadnego pokwitowania. A policja tylko czeka na najmniejsze przewinienia, aby wymusić łąpówkę. Nam udało się podróż bez mandatów, ale przestrzegaliśmy wszystkich przepisów. W Armenii przydałby się GPS ze względu na słabe oznaczenia dróg. **Gazu** LPG po prostu nie ma. Mają tylko CNG. W Armenii główne **drogi** są dość dobre, ale te boczne bardzo dziurawe. Za 1 km **taksówką** płaci się 100 AMD, ale trzeba pamiętać, że to jest cena dla miejscowych, a turyści muszą liczyć się ze znacznie wyższymi cenami. Podróż lokalnymi środkami jest dość tania.

29 maja. Jedziemy główną drogą do jeziora Sevan, a po drodze zwiedzamy Monaster Haghpat: piękny, potężny, robi wrażenie. Wstęp i parking bezpłatny, potem Monaster Sanahin, zwiedzanie też bezpłatne: aby tu dotrzeć, trzeba przejechać prawie całe miasto Alaverdi.

Nocleg: Alaverdi hotel/wieżowiec Debed, cena 17 000 AMD=30 EUR za super apartament z balkonem, łazienką i śniadaniem. Po targowaniu dostajemy ten apartament za 15 EUR i rano pyszne śniadanie. W hotelu jesteśmy sami, więc chyba dlatego udało nam się tę cenę tak zbić. Mniejszy pokój z łazienką kosztuje tutaj 20 EUR (cena wyjściowa). Pani z recepcji ładnie zna język angielski, więc pośredniczy nam w zamówieniu obiadu. Zamawiamy: spasz i khorowats. Na zamówienie czekamy półtorej go-

dziny, ale obiad pyszny z dostawą do naszego pokoju. Płacimy 5000 AMD za dwa obiady.

Droga do Vanadzor szybko mija, ale trzeba uważać na dziury. Monastyr Goshaivank – uroczy, ale po zobaczeniu wcześniejszych już nie robi na nas większego wrażenia. Parking przy monastyrze płatny 200 AMD.

Monastyr Sevanavank na półwyspie jeziora Sevan – piękny. Warto nad brzegiem jeziora Sevan zjeść rybkę SIC. SIC jest to ryba, która żyje tylko w jeziorze Sevan. Jako ciekawostka to w armeńskich restauracjach nie ma menu kart lub nie chcą turystom jej przedstawiać, więc zawsze przez podjęciem decyzji o zjedzeniu czegoś, należy się upewnić, ile zapłacimy za cały obiad. My decydujemy się na obiad w knajpce, przy której cumuje statek (namiot pepsi cola). W menu cena za samą rybkę wynosi 5000 AMD, natomiast my umawiamy się na 5000 AMD za dwie pyszne rybki z ziemniakami opiekany i surówkami, kawą i herbatą. Obsługa bardzo dobrze zna j. rosyjski. W Armenii kawę pije się gorzką, natomiast herbatę słodzi się.

Przejazd do Erewania dwupasmówką. Nad miastem pięknie góruje Ararat. Erewan wygląda jak europejska stolica. W centrum dużo kafejek, pysznych lodziarni oraz drogich restauracji i sklepów. W mieście widać przepaść pomiędzy ścisłym, bogatym centrum stolicy a bocznymi, zaniedbanymi uliczkami. Ciekawe i pięknie obsadzone kwiatami schody, które służą za punkt spotkań miejscowych. Drogi wyjazdowe z miasta są bardzo źle oznaczone, brakuje pasów na jezdni, więc po zmroku w dużym ruchu jest naprawdę trudno dojechać do obranego celu.

30 maja. Chor Wirap – Monastyr u stóp Araratu. Warto tu przyjechać. Najlepiej z samego rana kiedy jest mało turystów i nie grzeje jeszcze mocno słońce. Wejście do kościoła i parking bezpłatny. Echmiadzin: do katedry i do innych kościołów wejście jest bezpłatne. Po drodze bierzemy autostopowicza Vacika, który pokazuje nam i opowiada o okolicznych monastyrach i zachęca do spróbowania czarnych jagód z drzewa TUT. Podobno w czasach Stalina miejscowi produkowali z pysznych jagód TUT rewelacyjną wódkę, co napędzało okoliczny biznes, więc Stalin nakazał wyciąć wszystkie drzewa. Obecnie próbują odtworzyć tradycję wyrobu alkoholowego. Vacik za podrzucenie autem próbował się odwzięczyc i chciał załatwić zwiedzanie katedry Zvartnots, ale obsługa nie wyraziła zgody na gratisowe zwiedzanie, więc odpuściliśmy. Wstęp 700 AMD.

Jedziemy w kierunku Byurakan i dalej pod Aragats, najwyższy szczyt Armenii 4090 m n.p.m. Aragats to wygasły wulkan o czterech wierzchołkach. Za Byurakan (nie ma drogowskazu, ale jest napis na drodze) należy odbić ok. 2 km w lewo, aby dojechać do uroczej twierdzy Amberd, nawierzchnia dobra, droga bardzo kręta. Do wysokości 3200 m n.p.m. do Jeziora Kari Lich, swobodnie można dojechać samochodem osobowym, chociaż uważać trzeba na wyrwy w asfalcie. Obok jeziora znajduje się schronisko, w którym można się przespać lub zjeść coś ciepłego. Przy obserwatorium jest sporo płaskiej przestrzeni na rozbicie własnego namiotu. 30 maja na drodze dojazdowej był asfalt, ale zasypany na poboczach dochodziły miejscami do 3 m wysokości, a samo jezioro skute było jeszcze lodem. Rano temperatura wynosiła 6°C.

31 maja. O godz. 9.00 startujemy na Aragats. Brak oznaczeń szlaku albo oznaczenia zasypane śniegiem, w każdym razie my ich nie widzimy. Należy iść z prawej strony schroniska i cały czas pod górę. My podążaliśmy za grupą niemieckich turystów

z armeńskim przewodnikiem. Podchodząc na tę wysokość, spadło nasze tempo marszu. Dokładnie w południe stajemy na południowym wierzchołku Aragatsu, osiągając 3879 m n.p.m. Na pozostałe wierzchołki można wejść dopiero po stopnieniu śniegu, tj. około lipca, sierpnia. W ciągu godziny zbiegamy do auta (goni nas burza i zamieć śnieżna). Woda wesoło chłupie w butach. Zjeżdżamy z góry i po kilku godzinach jazdy docieramy do Aparan. Tutaj mamy okazję podglądać wypiek lokalnego chleba w piekarni. Obiad w barze bistro wśród miejscowych: zupa fasolowa z baraniną 430 AMD, lahmajun 600 AMD/4 szt., spasz 400 AMD, solidny obiad na nas dwójkę 2600 AMD, pycha. W barach **bistro** w Armenii jest smacowicie, duże porcje, a ceny znacznie niższe niż w turystycznych restauracjach. Jedyny minus to w tych barach trudno porozumieć się po angielsku.

Nocleg: w pensjonacie MM, ul. Niidy 9 Stepanavan 8000 AMD/apartament ze śniadaniem (cena wyjściowa opiewała na 12 000 AMD). Nazwa pensjonatu oznaczona jest po Ormiańsku i wygląda jak polskie UU. Na śniadanie dostaliśmy jaja na twardo, marmoladę z jabłek, ser biały, chleb, kawę i herbatę.

1 czerwca. Jedziemy kanionem rzeki Dzoraget w kierunku przejścia granicznego w Munganlo – droga wyboista i momentami asfaltu brak. Granica z Armenią: bez kolejki, odprawa trwa 1 h. Przejście jest malutkie, ale zostajemy bardzo dokładnie **prześwietleni**, a auto musiało wjechać na kanał i zostało sprawdzone od dołu. Nie interesuje pograniczników alkohol czy papierosy, ale szukają złota i biżuterii wywożonej z kraju. Na granicy wyjazdowej musimy zapłacić jeszcze 14 USD i 5 EUR (podatek ekologiczny i drogowy). I tu totalne zaskoczenie, bo pogranicznik bierze od nas pieniądze i przeprasza nas, ale takie przepisy.

Jedziemy w kierunku Tbilisi. Pogoda nie najlepsza, ale przynajmniej nie pada. Zwiedzamy: Bazylikę Anczischaty, Katedrę Sioni, Synagogę, Twierdzę Narikała, pomnik Matki Gruzji, łaźnie Siarkowe (w publicznych łaźniach można wykąpać się za 2 GEL), Świątynię Matki Bożej Metechskiej, Most Pokoju – wszystkie obiekty z wyjątkiem łaźni zwiedza się za darmo. Płatne są tylko parkingi miejskie, ale jeśli się trochę poszuka, to nawet zaparkować można za darmo, np. pod wiaduktem. W mieście jest mnóstwo klimatycznych kafejek i restauracji oraz sporo muzeów czy galerii. Tutaj nowoczesność miesza się z tradycją. Sporo obiektów jest odnowionych, ale też dużo w opłakanym stanie. Wyjazd z miasta słabo oznakowany, drogowskazy prowadzą tylko w kierunku nazw ulic. Aby wydostać się z miasta, trzeba jechać wzdłuż rzeki Kury. Po wyjeździe z Tbilisi kierujemy się na Mtskhety, dawną stolicę Gruzji i katedrę Tsveti Tskhoveli, parking 2 GEL, wejście bezpłatne. Spacerujemy po odnowionym miasteczku i docieramy do drugiego monasteru Samtawro.

2 czerwca. Wjeżdżamy na Gruzińską Drogę Wojenną. Od Mtskhety jest słabe oznaczenie, więc trochę błądzimy. Z pomocą nadjeżdża gruzińska policja i eskortuje nas przez labirynt skrzyżowań. Od Mtskhety do Stepancmindy (dawniej Kazbegi) trzeba przejechać 130 km, na początku po dobrej drodze, a potem 15 km trochę po dziurach, ale generalnie nie jest źle. Na GDW zwiedzamy twierdzę Annauri z cerkwią nad jeziorem Zhinvalis, przejeżdżamy przez najwyższy położony punkt – Przełęcz Krzyżowa 2379 m n.p.m., a kilkanaście kilometrów dalej po lewej stronie mijamy piękne rude trawertyny, deptanie po nich bezpłatne. Po dotarciu do Kazbegi można przebieierać w ofertach „terenowych taksiarzy”, którzy za opłatą 100 GEL wywiozą do kościoł-

ka Tsminda Sameba, pod Kazbekiem. My decydujemy się na przejście piesze: do góry w 1 h w butach trekkingowych i z kijkami, a zejście zajęło nam 30 min. Niestety Kazbek zasnuty mgłą. Kierujemy się w drogę powrotną. Dojeżdżamy do Gori, mocno pada deszcz, dodatkowo mamy informację z przewodnika, że w poniedziałki Uplistsikhe jest zamknięte, więc rezygnujemy i jedziemy w kierunku Batumi. Ceny przy drodze wojennej: 1 kg moreli 7 GEL, 1 kg czereśni 4 GEL, arbusz 10 GEL/szt. W Stepancmindzie nocleg łatwo można znaleźć za 20–25 GEL/os. – pytać taksówkarzy.

3 czerwca. Poti – ze względu na deszcz i silny wiatr przejeżdżamy tylko przez miasteczko bez żadnego postoju. Kobuleti – dalej pada, ale zatrzymujemy się, aby coś zjeść w przydrożnym barze. Oczekiwanie na pyszne chaczapuri adżarskie 10 min. Batumi – spacer nadmorską promenadą, przestało padać, ale jesteśmy sami. Batumi jako nadmorski kurort jest godny polecenia. Można tu znaleźć sporo różnych restauracji i hoteli o różnym standardzie i różnej cenie. Hotel Voyager oferuje ceny od 80 GEL do 60 GEL/ za pokój dwuosobowy. W innych hotelach ceny od 100 GEL do 160 GEL/pokój dwuosobowy. My nie znaleźliśmy pokoju poniżej 60 GEL, więc wyjechaliśmy stamtąd w kierunku granicy tureckiej Sarpi. Unikać tankowania gazu na stacji bez nazwy za rzeką w Gonio po prawej stronie (jedyna stacja LPG w okolicy, na której można płacić kartą).

Nocleg: Przed Gonio Fortes w hotelu ILDIZ. Cena wyjściowa 50 GEL, ale po targowaniu śpimy za 35 GEL/pokój dwuosobowy bez śniadania. Pokój wygodny, prysznic klaustrofobiczny. Ceny: kpl. 6 szkl. na turecką herbatę 6 GEL, chleb 0,65 GEL.

Mandaty w Gruzji trzeba płacić. Standardowo mandat jest płatny do 30 dni w kasie banku, prowizja 1 GEL. Bank wystawia potwierdzenie zapłaty, które należy trzymać do okazania na granicy wyjazdowej z Gruzji. Za wjazd na zakazie na most – mandat 50 GEL. Brak zapiętych pasów – 40 GEL. Zaskoczenie duże, ale przekonał się, że jak policja zatrzymuje za wykroczenie, to rozmowę nagrywają (w kieszeni munduru standardowo jest włączona kamera). Na mandacie, wydruku komputerowym, są dane kierowcy i pozycja GPS, gdzie doszło do wykroczenia. Nie ma możliwości na wyjazd z kraju bez zapłacenia mandatu.

4 czerwca. Sarpi. Tuż przed przejściem jeszcze po gruzińskiej stronie jest bardzo dużo sklepików spożywczych i knajpek. Odprawa na granicy trwa 45 min. Jedziemy bezpłatną autostradą nadmorską do Rise, tu odbijamy w lewo w góry Kackar. Na stokach gór i nad rzeką podziwiamy plantacje herbaty. Od czerwca trwają zbiory liści herbacianych. Mamy okazję zobaczyć z bliska, jak wygląda prawdziwa herbata zbierana przez tureckie kobiety. Po trzech i pół godziny dojeżdżamy na przełęcz 2640 m n.p.m. i idziemy w góry w kierunku północnym, było jeszcze dużo śniegu, brak jakichkolwiek oznaczeń. Po 1,5 h wracamy do auta. Dojeżdżamy do wybrzeża i dalej drogą szybko do Trabzonu, w którym odbijamy na Monastyr Sumela.

5 czerwca. Monastyr Sumela (9.00 do 19.00), wejście 8 TL/os. Przed monastylem jest szlaban z budką, ale w związku z tym, że zapomnieliśmy zmienić czas na naszych zegarkach i przyjechaliśmy na parking godzinę przed otwarciem, żadnych dodatkowych opłat nie ponieśliśmy (w naszym przewodniku mieliśmy informację, że za wjazd do parku trzeba coś zapłacić). Warto zwiedzać monastyr z samego rana, bo później przychodzą tutaj tłumy i trudno wyminąć się na wąskich schodach. Nie ma żadnych problemów z fotografowaniem fresków, ale bez flesza. Cudne malowidła w zagłębieniu

niach i wypukłościach naturalnych skał. Trabzon – wizyta w warsztacie naprawczym instalacji gazowej. Po godzinie auto gotowe do drogi, a wymiana filtra, czujnika gazu i podłączenie auta do komputera kosztuje nas 100 EUR/250 TL. Samsun – teraz już jedziemy tranzytem, bo doszły nas informacje z Polski, że w Turcji w dużych miastach zaczęły się zamieszki na ulicach. Gdzieś w okolicach Samsuna skończyła nam się bezpłatna dwupasmówka.

Nocleg: na kamienistej plaży przed Sinopem.

6 czerwca. Od Sinopu droga wąska, kręta, brak pobocza, a dostęp do morza jest możliwy tylko w sporadycznie mijanych miejscowościach. Trasa urocza (widoki na malownicze klify), ale trwa bardzo długo. Przejazd 400 km od Sinopu do Bartin zabiera nam 9 h, koszmar. Na tym odcinku jest mało stacji benzynowych, a ceny są dość wysokie, nawet jak na tureckie warunki. Jedziemy przez dzikie, bezludne tereny, choć trafiają się też piękne miasteczka: Inebolu – piękne kamieniste plaże (5 m szerokie) z wygodnymi ławeczkami i stolikami tuż nad brzegiem morza. Cide – piękna kamienista i długa plaża. Amasra – uroczne stare miasto, ale dla nas wygląda tak jak wiele chorwackich miast. Większość parkingów płatna 5 TL/h, ale można znaleźć parking za darmo przy samym morzu. Od Bartin znowu wygodna dwupasmówka.

7 czerwca. Tego dnia planujemy jechać tranzytem bez zwiedzania do późnego wieczora. Tym razem kierujemy się na port Istambułu, bo nie jesteśmy pewni, czy na naszym HGS coś środków zostało, a podobno mostu nad Bosforem inaczej się nie przejedzie. Z wycień wynika, że na most powinno starczyć (nie na wszystkich bramkach była informacja, ile kosztował przejazd poszczególnymi odcinkami autostrady). Od portu kierujemy się wąskimi uliczkami na most południowy. Kierunkowskazy nas dobrze prowadzą, więc udało się. Jesteśmy na południowym moście i... nigdzie nie widać informacji, aby nasz HGS był tu potrzebny. Tym razem przejazd zabiera nam 1 h 10 min. Teraz bezpłatną dwupasmówką jedziemy w kierunku Edirne, bo chcemy jeszcze zobaczyć to miasteczko. Niestety, dopada nas ulewa i nawet z auta trudno wyjść. Kupujemy tylko po kebabie 2 TL/szt. i jedziemy w kierunku Bułgarii. Odprawa na tureckiej granicy sprawna – 4 min. Kontrola tylko paszportów bez wysiadania z auta. Na granicy bułgarskiej czekamy pół godziny tylko na otwarcie naszego bagażnika i jesteśmy w Unii.

Podsumowanie:

W trakcie całej wyprawy w Turcji spotkaliśmy tylko jedną **rodaczkę**. W Gruzji już spotkaliśmy więcej rodaków, większość przyleciała samolotem, chociaż spotkani w Kachetii Jarek z Majką dotarli samochodem tak jak my, ale terenowym. Miłe spotkanie mieliśmy w Swanetii z krośnianinem, który przyleciał samolotem, a kraj poznawał na rowerze. Inne „ciekawe” spotkanie z rodakiem mieliśmy w Kacheti – chłopak z Warszawy, który samotnie spacerował, bo nie dał rady dotrzymać „kroku” kolegom. Mówił, że jego ekipa w Gruzji jest dopiero trzeci dzień, ale już pięć toastów zaliczyli. Kolejnych Polaków spotkaliśmy w Swaneti, którzy polecieli nam tani i fajny nocleg w centrum Mesti.

Na żadnej przekraczanej granicy państw nie czekaliśmy dłużej niż 1 godz. Generalnie wszystko szło gładko poza granicą serbsko-węgierską. Tam pogranicznik, po informacji że wracamy z Turcji, próbował nawet własnym szczyrzykiem odkręcać jakieś zaślepki w naszym aucie. Po nieudanej próbie zmagania się z tym, kazał jechać.

Podczas wyprawy nie spotkała nas żadna przykra sytuacja, poza „bandą dzieciaków” w Hasankeyf. Większość naszych podróży organizujemy własnym autem, co daje komfort zabrania większej ilości przydatnych rzeczy, a to znacznie obniża koszt całej wyprawy. Podróżując samochodem, mamy również komfortową sytuację negocjacji ceny noclegu. Jeśli cena jest za wysoka, to jedziemy dalej albo rozbijamy namiot, a posiłki przygotowujemy na butli gazowej. Podróżując, zawsze staramy się znaleźć czas na nawiązanie relacji z miejscowymi.

Powodzenia w organizowaniu własnych wspaniałych wypraw.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

W związku z restrykcyjnym prawem muzułmańskim na Malediwach nie można posiadać przy sobie Biblii (nawet turystom).

Jacek Kowalik

Gruzja, Armenia



Termin wyjazdu: 3–15 maja 2014 roku.

Uczestnicy: 2 osoby (na niektórych odcinkach 4 osoby – w celu oszczędności na transporcie).

Kursy walut:

1 USD = 1,75–1,76 GEL (gruzińskie lari)

1 USD = 412–413 AMD (armeński dram)

Pogoda:

W maju należy liczyć się z opadami deszczu, a także gorszą pogodą w górach.

Informacja turystyczna:

W Gruzji znajdziemy punkty informacji turystycznej wyposażone w mapy, plany i informatory. W Tbilisi na lotnisku oraz przy Placu Wolności od strony parku Puszkina.

W Armenii wydawane są informatory (np. Yerevan scope) oraz mapy i najłatwiej można je znaleźć w hotelach bądź agencjach turystycznych.

Komunikacja:

W obu krajach podstawą transportu dalekobieżnego są tzw. marszrutki, czyli mikrobusy poruszające się na ustalonych trasach, zatrzymujące się na żądanie (wsiadanie bądź wysiadanie). Oferują najniższe ceny. Problemem jest tylko to, że nazwy miejsc docelowych napisane są na tablicach w gruzińskim bądź ormiańskim alfabecie – trzeba pytać miejscowych.

Popularne jest podróżowanie taksówkami (oficjalnymi bądź nieoficjalnymi). To jest opłacalne, kiedy podróżuje kilka osób razem i w dodatku trzeba dojechać do wielu rozrzuconych miejsc.

W Armenii maksymalna cena za 1 km to 100 AMD.

W miastach jest bardzo dużo taksówek, ale należy bardzo uważać, bo kierowcy nie zawsze znają lokalizację miejsc, do których chcemy dojechać, mimo że kiwają głową potwierdzając, że wszystko wiedzą. Poza tym, wielu z nich próbuje po prostu naciągać, jeżdżąc do celu dłuższą drogą. Warto mieć po ręką plan miasta.

W Tbilisi i Erewanie funkcjonuje metro.

Noclegi:

Noclegi przedstawione w relacji zostały wybrane z serwisu booking.com. W okresie, w którym wyjazd został zrealizowany, nie ma jeszcze dużego ruchu turystycznego, stąd w obiektach wyższej klasy były znaczące obniżki cen. Oczywiście, można znaleźć noclegi o niższych cenach.

RELACJA Z PODRÓŻY

3 maja

Wylot z Warszawy o godz. 22.30.

4 maja

Przylot do Tbilisi o godz. 4.00 (zmiana czasu – o 2 godziny „do przodu”) – sprawna odprawa (nie jest wymagana wiza).

Lotnisko położone jest 18 km na wschód od miasta. Transport: oficjalna cena taxi 25 GEL. Kursują autobusy, a także kolejka (jeździ tylko kilka razy dziennie). W porcie lotniczym znajduje się biuro informacji turystycznej (bezpłatne mapy i plany).

Przeczekujemy do 6.00 i jedziemy prywatnym samochodem (40 GEL) – należy wyjść przed budynek terminala i się rozejrzeć, zawsze powinien znaleźć się chętny – do Mtskheta (Mccheta).

Kwaterujemy się w Tamarini Guest House (pok. 2-os. z łazienką i śniadaniem – 70 GEL) położonym tuż przy katedrze. Z właścicielem (Jemal) hotelu dogadujemy wycieczkę samochodem na trasie Mtskheta – kościół Jvari – lokalną drogą do Upliscyche – Gori i powrót autostradą do Mtskheta za 87,5 GEL. Wycieczka trwała od 7.30 do 12.00.

Upliscyche

Skalne miasto, nad którym góruje cerkiew z XII w. Jaskinie były zasiedlone już 1,5 tys. lat p.n.e. Potem było to miasto i forteca przywódców plemiennych, a nawet przejściowo siedziba królestwa. Zniszczone, opuszczone i przykryte ziemią zostało odkryte na nowo, odrestaurowane i obecnie cały kompleks to muzeum (wstęp 3 GEL).

Gori

W mieście, na skalistym wzgórzu, wznosi się twierdza. Na skraju miasta, na wzgórzu, na wschodnim brzegu rzeki Mtkvari (Kura), znajduje się kościół Goridżwai. W mieście Muzeum Historyczno-Etnograficzne i Muzeum Stalina. Przed budynkiem znajduje się, pod murem zadaszeniem, dom rodzinny Stalina, jego pomnik, a także wagon kolejowy, którym podróżował dyktator.

Mtskheta (Mccheta)

To dawna stolica gruzińskiego królestwa Iberii. Bardzo ładne miasto z zabytkami wpisanymi na listę UNESCO.

Katedra Svetitskhoveli (Sweti Cchoweli) – siedziba głowy Gruzjińskiego Kościoła Prawosławnego była i jest duchowym centrum kraju. W IV w. powstał drewniany kościół, a w V w. zbudowano kamienną świątynię, którą rozbudowywano i odbudowywano po zniszczeniach w czasie kolejnych najazdów. Warto być tutaj w niedzielę, kiedy odbywają się nabożeństwa bądź udzielane są śluby i chrzty.

Klasztor Samtawro

Szczególnie ciekawy jest kościół (groby pierwszego chrześcijańskiego króla Miriana i jego małżonki) i dzwonnica. Obok kościółek St Nino.

Kościół Jvari (Dźwari)

Z VI w. – pierwszy kościół w Gruzji na planie krzyża, dając początek stylu gruzińskich kościołów. Nad wejściem płaskorzeźba przedstawiająca wniebowzięcie krzyża przez aniołów.

Świątynia położona na wschodnim brzegu rzeki Mtkvari (Kura), na wzgórzu. Wspinały widok na miasto.

Forteca Bebritsikhe (Bebrisciche).

Muzeum archeologiczne.

Obok katedry biuro informacji turystycznej, sklepy z pamiątkami oraz restauracje.

Nocleg Tamarini Guest House.

5 maja

Z Mtskhety brak jest bezpośrednich połączeń do Kazbegi. Jedyne rozsądne wyjście to jazda marszrutką (1 GEL) z Mtskhety (postój marszrutek znajduje się na północ od fontanny) do Tbilisi. Próbujemy jednak złapać marszrutkę (lub stopa) na drodze przelotowej, która przebiega obok Mtskheta (wywozi nas tam Jemal). Nic się nie chce jednak zatrzymać. Kobiety, które łapią z nami okazję, tłumaczą, że to dlatego, że marszrutki ze stolicy jadą pełne i nie ma szans, aby się zatrzymały. Po godzinie przenosimy się na drugą stronę drogi i od razu łapiemy transport do Tbilisi (1 GEL) do dworca Didube. Jest to właściwie bazar, na którym jest dużo samochodów osobowych, mikrobusów i autobusów odjeżdżających do różnych miejscowości. Za szybami mają tablice z nazwami miejscowości docelowych, z tym że w większości przypadków w alfabecie gruzińskim (ewentualnie w cyrylicy). Normalna cena mikrobusem na trasie Tbilisi – Kazbegi to 10 GEL, z dodatkowym 15-minutowym stopem w Ananuri to 15 GEL, a to samo samochodem osobowym 20 GEL. Wyruszamy z Tbilisi na północ tzw. Gruzjińską Drogą Wojenną. Nazwa pochodzi z czasów rosyjskiej inwazji na Gruzję, kiedy była to kluczowa droga, którą podążali najeźdźcy. Obecnie jest w bardzo dobrym stanie. Annanuri to forteca z przełomu XVI/XVII w. Góruje nad nią wieża Szeupowari, a w obrębie murów znajduje się XVII-wieczna cerkiew Zaśnięcia NMP. Forteca jest położona malowniczo nad sztucznym jeziorem Żinwali. Po drodze przejeżdża się przez główny ośrodek narciarski Gruzji – Gudauri oraz przełęcz Jvari (2370 m n.p.m.). Czas przejazdu na trasie Tbilisi – Kazbegi trwa 2,5–3 godziny.

Kazbegi (Stepantsminda)

Miejscowość jest bazą wypadową do wspinaczki i trekkingów w masyw Kaukazu. Główny plac to przystanek marszrutek. Znajduje się tam pomnik pisarza Aleksandra Kazbegi. W miasteczku jest jego muzeum oraz muzeum alpinizmu. Wznosi się także XIX-wieczna cerkiew Michała Archanioła.

Kwaterujemy się w pokojach gościnnych Wasila (35 GEL/os. ze śniadaniem). Oprócz noclegów Wasil zapewnia także wyżywienie (warto skorzystać). Dysponuje również terenową ładą Nivą i oferuje różne wycieczki w okolice.

Wyruszamy jego pojazdem na północ, na granicę gruzińsko-rosyjską. Jedziemy pięknym wężozem. Przed przejściem granicznym wznosi się nowo wybudowana cerkiew Archaniołów Michała i Gabriela. Wyruszamy na ponad 2-godzinny trekking do wodospadu Gweleti, a potem do drugiego, którego nazwy nie ustaliliśmy.

Wracamy do Kazbegi na wystawną kolację do Wasila. Cena wycieczki (40 GEL za samochód).

6 maja

O 7.30 wyruszamy z Wasilem Ładą Nivą stromą i krętą gruntową drogą do kościoła Cminda Sameba (Świętej Trójcy) z XI wieku. Kościół jest pięknie położony (na wysokości 2170 m n.p.m.), a widoki są wspaniałe. Przy dobrej pogodzie zachwyca Kazbek – nieczynny wulkan, który wznosi się na wysokość 5047 m n.p.m. Według mitologii to właśnie do tej góry miał być przykuty Prometeusz za wykradzenie ognia bogom i przekazanie go śmiertelnym mieszkańcom Ziemi. Wycieczka samochodem trwa 1 godz. (40 GEL za samochód). Można wejść pieszo szlakiem (1,5 godz. w jedną stronę).

O 9.00 u Wasila serwują wystawne śniadanie.

Pokoje gościnne u Wasila to bardzo popularne miejsce wśród polskich turystów. Należy zwrócić uwagę, że standard jest podstawowy, a przede wszystkim jest jedna wspólna łazienka na 4 pokoje z małym kotłem. Stąd dość szybko kończy się ciepła woda i trzeba czekać aż się zagrzeje nowa. Wasil jest sympatyczny i pełen werwy, ale trzeba wszystko z nim dokładnie ustalać, sprawdzać, a – w razie potrzeby – targować się.

O 10.30 wyruszamy w drogę powrotną do Tbilisi. Pogoda piękna, a widoki zachwycające. Zatrzymujemy się kilkakrotnie, aby podziwiać i fotografować góry. Tradycyjne stopy to przełęcz Jvari (Krzyż; 2370 m n.p.m.), a chwilę później platforma widokowa (szpecząca krajobraz betonowa konstrukcja wzniesiona w 1983 roku).

Gudauri to kurort narciarski. Wybudowano tutaj kilkanaście hoteli i pensjonatów dla narciarzy, którym oferuje się 20 km szlaków narciarskich. Z kolei Pasanauri to miejscowość letniskowa; organizowane są tutaj spływy rzeką Aragwi.

Po ponad 3 godzinach lądujemy w Tbilisi (Didube). Za 5 GEL jedziemy taksówką do hotelu Charm (urządzony w starym stylu) świetnie położonego w centrum starego miasta (pokój 2-osobowy z łazienką i śniadaniem – 70 GEL). Z Didube można także jechać metrem do stacji Rustavelli w centrum miasta (0,5 GEL + 1,5 L GEL karta – zwrotna).

W Tbilisi jest także dworzec autobusowy Ortacha, skąd odjeżdżają autobusy do Erewania.

Zaczynamy spacer po Tbilisi i pierwszą część zwiedzania.

Wieczorem siedzimy sobie na tarasie naszego hotelu, mając przed sobą widok na iluminowany pałac prezydencki i na kościół Cminda Sameba.

Nocleg w hotelu Charm.

7 maja

Dalsza część zwiedzania miasta.

W sumie w Tbilisi można zwiedzić:

*Na wschodnim brzegu rzeki Mtkwari (Kura):

– Metekhi – cerkiew pod wezwaniem Matki Boskiej Metechskiej jest jednym z symboli miasta. To jedna z najcenniejszych świątyń miasta z 1278 r. (wielokrotnie dewastowana i odbudowywana). Przed świątynią znajduje się pomnik króla Wachtana Gorgasalego (1967).

– Pałac Darejan z XVII w.

– Ormiańska Katedra Echmiadzini.

– Cerkiew Cminda Sameba (1998–2004) – symbol odrodzenia narodowego, jedna z największych na świecie świątyń prawosławnych.

– Pałac prezydencki zbudowany już w XXI wieku (ma charakterystyczną oszkloną kopułę).

Ponizej, nad brzegiem rzeki urządzono Park Rike. Z Parku, na drugą stronę rzeki prowadzi nowoczesny pieszy most Mshvidoba (Pokoju).

Na klifowym, wschodnim brzegu rzeki Mtkvari (Kura) wznoszą się stare domy.

*Na zachodnim brzegu rzeki Mtkvari (Kura):

- Twierdza Narikala.
- System fortyfikacji z XVI wieku. Wewnątrz znajduje się cerkiew św. Michała.
- Pomnik Matki Gruzji (Kurtis Deda).
- Ogród botaniczny z 1845 roku.
- Łaźnie siarkowe.
- Katedra Sioni z VI w.; obecna budowla powstała w XI/XII w. W katedrze przechowywana jest najcenniejsza relikwia kościoła gruzińskiego – krzyż św. Nino.
- Muzeum historyczne.
- Synagoga Leselidze z 1910 roku.
- Bazylika Anchiskhati to najstarsza przetrwała świątynia w Tbilisi – VI w. z bardzo cenną XII-wieczną ikoną.
- Stare miasto to obszar zamknięty od wschodu brzegiem rzeki Mtkvari, od południa ulicą Jeruzalem, od zachodu Dadiani i Puszkina, a od północy ulicą Baratashvili. Znajdują się tutaj stare domy – częściowo odnowione, ale większość w złym stanie.
- Plac Wolności (Tavisuplebis Moedani).

Znajduje się tutaj gmach ratusza (od południa), a od północy Park im. Puszkina, gdzie jest pawilon informacji turystycznej. W centrum placu wznosi się kolumna ze złożonym posągiem św. Jerzego. Z placu prowadzi główna arteria miasta – Aleja Szoty Rustaweliego (Rustawelis Gamziri). Na końcu alei znajdują się Plac Rewolucji i Plac Rustaweliego. Przy Al. Rustaweliego znajdują się ekskluzywne sklepy, modne restauracje oraz szereg ważnych budowli: Gruziańskie Muzeum Narodowe, Parlament, dawny Pałac Gubernatora (obecnie Pałac Młodzieży), kościół Kashueti, Galeria Malarstwa (duży zbiór obrazów Niko Pirosmianiego), Teatr im. Szoty Rustaweliego, Opera, Filharmonia.

Mtatsminda

Święta góra (727 m n.p.m.) – na jej szczycie znajduje się park kultury i wypoczynku, a na zboczu kościół Mamadaviti oraz panteon gruzińskich osobistości.

Taksówką (5 GEL) jedziemy do dzielnicy Isani, skąd odjeżdżają marszrutki do Telavi (8 GEL, 2,5 godz. jazdy).

Po przyjeździe do Telavi na postój marszrutek (w północnej części miasta) taksówką (3 GEL) jedziemy na ul. Nadikvari 15 do pensjonatu Swietłany.

8 maja

Telawi to centrum regionu Kachetia, którego podstawą jest uprawa winorośli i produkcja wina. W mieście jest bardzo dużo taksówek, których kierowcy oferują wycieczki po okolicznych klasztorach. Centrum miasta jest odnowione i prezentuje się całkiem nieźle. Szczególnie ładna jest uliczka Cholokashvili z odnowionymi, tradycyjnymi domami oraz kościołem Ghvtismshobeli. Boczna uliczką można dojść do ruin zamku Dzweligdawani.

W centrum miasta znajduje się zamek Batoniscyche z XVIII w. Znakomicie zachowane są mury obronne, ale wewnątrz budynki znajdują się w bardzo złym stanie. Od strony wschodniej stoi konny posąg króla – bohatera narodowego – Herakliusza II.

Wycieczka samochodowa po najciekawszych klasztorach w okolicy miasta (3–4 godz., 40 GEL za samochód):

Gremi

Dawna stolica królestwa Kachetii w XVI/XVII wieku. Pozostały ruiny miasta – nie-liczne obiekty są rekonstruowane. Odnowiona została także cytadela wznosząca się na wzgórzu. W jej murach znajduje się cerkiew pod wezwaniem Archanioła Michała z roku 1565 (wewnątrz ciekawe freski) oraz dzwonnica, w której ulokowano muzeum.

Alawerdi

Zespół architektoniczny otoczony murami – w bardzo dobrym stanie. Katedra pod wezwaniem św. Grzegorza z XVI/XVII wieku to religijne centrum Kachetii. Dawny pałac szacha Abbasa z XVII w. W obrębie murów jest także mała winnica.

Ikalto

Zespół klasztorny składający się z klasztorów powstałych w okresie pomiędzy VI i XVII wiekiem. Główna cerkiew to Chwtaeba z VIII/IX w. Działała tutaj tzw. akademie (w XI/XII wieku).

W Telawi wśród polskich turystów popularni są:

Swietłana – prowadzi pensjonat (ul. Nadikvari 15). Pokoje bez łazienek (WC i łazienka są wspólne, zdarzają się problemy związane z niedoborem wody) w cenie 25 GEL/os. Dodatkowo można wykupić śniadanie (5 GEL) i kolację (15 GEL).

e-mail: sspiridon@rambler.ru

Dawid – organizuje wycieczki swoim samochodem osobowym i służy jako przewodnik (zna niezłe angielski).

e-mail: purgatorium@rambler.ru lub davi.luashvili@gmail.com

9 maja

Wyjeżdżamy samochodem z Telawi o 7.00 na wycieczkę po obranych miejscach w Kachetii. Odwiedzamy po kolei:

Tsinandali

XIX-wieczna rezydencja słynnej rodziny Chavchavadze. Otoczona jest pięknymi ogrodami. Wstęp: 2 GEL (ogrody), 5 GEL (rezydencja i ogrody), 20 GEL (rezydencja, ogrody i degustacja wina).

Sighnaghi

Miasto położone na wzgórzu górujące nad Niziną Alazańską. Zrekonstruowane piękne kamienno-drewniane domy, rozległe fortyfikacje (mury obronne z basztami), a także kościół pod wezwaniem św. Jerzego.

Muzeum etnograficzne – eksponowane są obrazy Pirosmianego.

Bodbe

Kompleks klasztorny – bazylika z grobowcem św. Nino (VI w.), a w jej sąsiedztwie wieża (XIX w.) i pozostałości budynków klasztornych. Niedaleko (trzeba zejść ścieżką w dół) znajduje się święte źródło.

Davit Gareja

Kompleks klasztorny (VI–XII w.) na zboczach masywu Garedża. Droga prowadzi przez półpustynną, malowniczą okolicę. Po drodze wioska Udabno – w niej Oasis Club, lokal prowadzony przez Polaków. Na końcu drogi murowany (odrestaurowany) klasztor, a pozostałe klasztory to wykute w skałach nisze. W niektórych z nich można podziwiać naskalne malowidła. Kompleks zwiedza się w czasie pieszej wędrowki. Na-

leży wspiąć się ścieżką, zaczynającą się tuż za parkingiem, po prawej stronie sklepu klasztornego. Trzeba dojść na szczyt, skręcić w lewo i maszerować stromą ścieżką nad klifem wzdłuż granicy z Azerbejdżanem (zaznaczona metalowym ogrodzeniem). Przy kapliczce należy wrócić na szczyt, a dalej zejść ścieżką w dół na parking. Przejście całej trasy zajmuje 1,5–2 godziny. Konieczne jest pełne obuwie i zachowanie ostrożności.

Około 14.30 wyruszamy w kierunku granicy gruzińsko-armeńskiej w Taxalo. Po drodze zatrzymujemy się na „wystawny” obiad złożony z różnych gatunków chaczapuri (ceny wynoszą od 0,5 do 2,5 GEL za sztukę).

O 17.00 jesteśmy na granicy. Całą trasę pokonaliśmy w 10 godzin, a cena za transport wyniosła 160 GEL (za samochód).

Odprawa po stronie gruzińskiej ekspresowa. Następnie trzeba pokonać ok. 500 metrów na piechotę, aby dojść do posterunku ormiańskiego. Tutaj także odpowiadają nam błyskawicznie (nie jest wymagana wiza). Z posterunku trzeba przejść jeszcze ok. 100 metrów przez plac poza szlaban (odprawa celna – tylko machnięcie ręki) i wychodzimy poza obszar placówki granicznej. Tutaj kantor wymiany walut, sklep i taksówki. Umawiamy się na cenę 6000 AMD i w ciągu godziny pokonujemy 50-kilometrową trasę do miejscowości Alaverdi, a właściwie do Haghpat, gdzie znajduje się kompleks klasztorny.

Kwaterujemy się w hotelu Gayene (pokój 2-osobowy z łazienką i śniadaniem za 16 000 AMD).

10 maja

Po śniadaniu (8.00) wyruszamy piechotą (15 minut) na zwiedzanie klasztoru Haghpat (kompleks z X wieku – kościół św. Grzegorza, kościół Nszana z żamatunem, kaplica Matki Bożej, dzwonnica, biblioteka, refektarz, grobowce, liczne chaczary).

Dogadujemy się z prywatnym kierowcą na wycieczkę z Haghpat do Sevan (20 000 AMD) ze zwiedzaniem klasztorów po drodze.

Najpierw klasztor Sanahin (kompleks klasztorny z X wieku – kościół Chrystusa Odkupiciela z żamatunem, kościół Harutjun, kościół Matki Bożej z żamatunem, biblioteka, dzwonnica, grobowce, liczne chaczary). W Sanahinie znajduje się pomnik Ariona Mikołajana jednego z konstruktorów samolotów MIG.

Potem jedziemy do miejscowości Dildjan (miasto w opłakanym stanie, częściowo zrekonstruowano jedną ulicę ze starymi domami), a stamtąd po kolei:

Klasztor Haghartsin (Hagarcin).

W świetnie zrekonstruowanym kompleksie (XIII wiek) znajduje się kościół św. Grzegorza z żamatunem, kościół Matki Boskiej z żamatunem, kościół św. Stefanosa.

Następnie:

Klasztor Goshavank (Goszawank).

Kompleks z XIII wieku (kościół Matki Boskiej z żamatunem, św. Grzegorza i św. Grzegorza Oświeciciela, biblioteka, kaplica św. Hripsime, szkoła klasztorna).

Około 16.30 przyjeżdżamy nad jezioro Sedan i kwaterujemy w luksusowym hotelu Akhtamar (pokój 2-osobowy ze śniadaniem za 20 000 AMD). Z okien piękny widok na jezioro. Hotel jest bardzo malowniczo położony na wzgórzu, ale do miasta Sedan jest jeszcze ponad 10 kilometrów.

„Trawimy” to, co widzieliśmy po drodze – nieczynne, rozlatujące się fabryki, opuszczone bloki mieszkalne, domy w bardzo złym stanie i samochody prawie się rozsypu-

jące. Ormianie, z którymi rozmawiamy, opisują to jako „sowiecki sojuz w rozsypce”. Jedynie co rzuca się w oczy w tym bałaganie, to całkiem liczne luksusowe samochody pasujące do otoczenia jak pięść do nosa.

11 maja

Z hotelu jedziemy do Sevan taksówką.

Jezioro Sevan, największy zbiornik kraju, leży na wysokości ok. 2000 m n.p.m. Na jego półwyspie (w części północno-zachodniej) położony jest klasztor Sevanavank (Sewanawank) – kościół pod wezwaniem Apostołów i pod wezwaniem Matki Bożej.

Dogadujemy się z kierowcą i za cenę 16 000 AMD zwiedzamy kawałek Armenii.

Tsaghkadzor (Carkadzor).

Zimowa stolica Armenii – stacja narciarska. Wznosi się tutaj klasztor Kecharis z XI wieku. Khor Virap (Chor Wirap).

Położony na wzgórzu kompleks klasztorny. Główny kościół Matki Bożej wybudowano w XII wieku. Obok wznosi się kaplica, w której (w studni – można wejść do niej) więziony był w IV wieku św. Grzegorz Oświeciiciel. Klasztor położony jest blisko granicy armeńsko-tureckiej (na zachód), a tam wznosi się góra Ararat (5165 m n.p.m).

Przyjazd do Erewania. Zakwaterowanie w hotelu Hrazdan (pokój 2-osobowy ze śniadaniem – 20 000 AMD).

12 maja

Dzisiaj zwiedzanie Edjmiadzin (Eczmiadzyn) i Yerevana (Erewania).

Dojazd marszrutką z dworca autobusowego położonego w zachodniej części miasta (Aleja Issakov; za fabryką Ararat) – 250 AMD. Dojazd do centrum miasta autobusem z dworca (100 AMD). Według informacji obsługi, z tego dworca odjeżdżają autobusy do Teheranu – odjazdy we wtorek, środę, piątek, niedzielę o 9.00 (34 godz. jazdy, cena 35 USD). Wiadomość wymaga weryfikacji.

Edjmiadzin

To najważniejsze miejsce (kompleks sakralny) dla kościoła ormiańskiego, siedziba katolikosy. Katedra została założona przez św. Grzegorza Oświeciiciela w 301-303 roku. Przebudowywana, ostatnio w XVII i XVIII wieku. W kompleksie między innymi siedziba katolikosy, muzeum, seminarium, dwa współczesne kościoły.

Do zwiedzenia jeszcze kościół św. Gajane z 630 roku, przebudowany w 1652–1653 (nieдалeko katedry) oraz kościół św. Hripsime z 618 roku, przebudowany w XVIII wieku (położony po prawej stronie na początku miejscowości od strony wjazdu z Erewania).

Z Edjmiadzin można wybrać się do Armawiru (ruiny z IV-II w. p.n.e.) lub do Sardarabad (pomnik i muzeum na polu bitwy wojsk ormiańskich z tureckimi w 1918 roku).

Przystanek marszrutek do Erewania – wychodząc z kompleksu Katedry północnym wyjściem, należy skręcić w lewo i przejść ok. 300 metrów.

Jadąc do Edjmiadzin, można w połowie drogi wsiąść z marszrutki, a następnie przejść 1100 m, aby dotrzeć do ruin katedry Zvartnots (Zvartnoc). Jest to kompleks z VII wieku.

Również przy drodze pomiędzy Erewaniem a Edjmiadzin (po prawej stronie) znajduje się pomnik w miejscowości Musaler, upamiętniający bohaterstwo obrońców wioski przed wojskami tureckimi.

Po powrocie do Erewania zwiedzanie centrum miasta.

Nocleg – hotel Hrazdan.

13 maja

Wyjazd taksówką do miejsca postoju marszrotek odjeżdżających do Garni. Znajduje się przy ulicy Gai (nieдалеко serwisu Mercedes, a także pomnika GAI, czyli bohaterów Armenii – Gierojow Armenii). Można tam dojechać z centrum miasta autobusem nr 22 (100 AMD). Trzeba wspomnieć, że po wschodniej stronie miasta, przy posterunku GAI (milicja drogowa) znajduje się przystanek marszrotek odjeżdżających do Sevanu i Dilidjanu. Kierowcy taksówek myślą te miejsca.

Garni

Kompleks świątynny (400 m od przystanku marszrotek w wiosce Garni), wstęp 1000 AMD. Najważniejszym zabytkiem jest świątynia grecka z I w. p.n.e. poświęcona bóstwu Mitrze. Poza tym można obejrzeć ruiny murów twierdzy, bramy i łaźni. Niedaleko znajduje się także kościół z XII wieku. Kompleks jest położony niezwykle malowniczo, a z niego roztaczają się piękne widoki.

Niestety załamała się pogoda – ulewny deszcz. Z tego względu nie pojechalśmy do klasztoru Gerhard (Gegard). Jest to kompleks, w którym najważniejsza jest katedra z XIII wieku.

Powrót do Erewania marszrutką (250 AMD) do postoju, a do centrum autobusem nr 22 (100 AMD).

Dalsza część zwiedzania Erewania.

W mieście można zwiedzić:

- Ulica Aboviana – główna arteria miasta.
 - Ciekawe kamienice oraz kościół św. Katogike, najstarsza przetrwała świątynia miasta.
 - Plac Republiki. Od północy zamyka go gmach, w którym mieści się Narodowe Muzeum Historii oraz Ormiańska Galeria Narodowa (www.gallery.am).
 - Plac Wolności z gmachem opery.
 - Kaskada – na północ od Placu Wolności – ciąg schodów wspinających się na wzgórze, gdzie wznosi się Centrum Sztuki Cafesjasijana (www.cmf.am).
 - Muzeum sztuki ludowej Armenii.
 - Muzeum Arama Khachaturyana (www.khachaturian.am).
 - Muzeum Matenadaran z pomnikami Ormian zasłużonych dla kultury kraju, a przede wszystkim wielka kolekcja cennych manuskryptów (www.matenadaran.am).
 - Muzeum historii Erewania (www.yerevanhistorymuseum.info.am).
 - Muzeum założenia miasta – na pozostałościach cytadeli Erebuni (www.erebuni.am).
 - Muzeum Martirosa Saryayana (www.saryan.am).
 - Muzeum Parajanova (www.parajanov.com).
 - Muzeum Hovhannesa Tumanyana (www.toumanian.am).
 - Muzeum sztuki współczesnej.
 - Muzeum sztuki rosyjskiej (www.musrussart.am).
 - Muzeum Zagłady Ormian (aktualnie w remoncie).
 - Park Zwycięstwa z muzeum wojskowym, także pomnik Matki Armenii.
 - Błękitny meczet.
 - Fabryka koniaku Ararat ze sklepem firmowym – wycieczki z przewodnikiem.
- Nocleg w hotelu Hrazdan.

14 maja

Planując wycieczki w Armenii, szczególnie rozpoczynające się w Erewanie, warto rozważyć wykupienie standardowych wycieczek, jakie oferują lokalne biura podróży.

Piotr Wiland

Atak zimy na Izrael i Jordanię – podróż z niespodziankami



Termin: 12–21 grudnia 2013 roku

Jak dolecieć do Tel Awiwu:

Wpierw przenocowałem w Berlinie, dokąd dojechałem własnym samochodem, gdyż lot miałem wcześniej rano. Zarezerwowałem hotel – Dorint Airport – Hotel Berlin Tegel, Gotthard str. 96, przez stronę z hasłem „parken and fliegen”. Cena za noc wraz z parkingiem na samochód na okres do 15 dni za jedno miejsce wynosiła mnie łącznie (bez śniadania) 100 EUR. Bilet z Berlina (Air Berlin) do Tel Awiwu: Berlin – 10.30 – Tel Awiw: 15.30 (4 h) – 12.12.2013; przylot 21.12.2013 – Tel Awiw – Berlin Tegel (Air Berlin: 16.45–20.10 (4 h 25 min)). Cena 1690 PLN. Na marginesie warto wspomnieć, iż do Izraela latają często samoloty tanich linii Wizzair z Katowic i Warszawy

Ceny i inne ważne informacje:

Izrael

Nie trzeba starać się wcześniej o wizę. Pieczętkę otrzymuje się bezpłatnie na lotnisku, ale należy zaznaczyć, aby wydano ją na osobnej kartce, którą jednak trzeba bardzo pilnować, aby jej nie zawieruszyć. Jest to związane z obostrzeniami niektórych państw na Bliskim Wschodzie, które odmawiają przyznawania wizy, jeśli w paszporcie jest udokumentowany wjazd lub wyjazd z Izraela. Ale należy mieć w pamięci, iż jeśli np. na granicy z Jordanią zostanie nam wbita do paszportu pieczętka przejścia granicznego, wtedy możemy być „namierzeni”, iż przebywaliśmy w Izraelu (a pieczętka jest pisana po arabsku).

Wymiana: 1 USD = 3,46 shekli.

Ceny wstępu: bezpłatny jest wstęp do Kościoła Świętego Grobu czy innych świątyń chrześcijańskich w Jerozolimie; 40 shekli wejście na teren ruin Cezarei; 45 shekli – wjazd i zjazd kolejką oraz wejście do Kofar Rosh Ha Niqra.

Przejazdy:

24 shekle – bilet na autobus nr 397 z lotniska do Jerozolimy; 50 shekli – minibus zbiorowy z 10 osobami z Jerozolimy do Tel Awiwu (cena zawyżona z uwagi na kiepskie warunki na drogach); 78 shekli – autobus Tel Awiw – Eilat (nr 390), jedzie około

5 h 15 min – 5 h 40 min; 35 szekli – taksówka z dworca autobusowego Eilat na granicę izraelsko – jordańską; 39 szekli – pociąg Tel Awiw – Akko, 105 szekli – opłata wyjazdowa z Izraela na granicy z Jordanią.

Sklep: 12 szekli – 1,5 l coca-coli, duża woda mineralna (1,5 l) – 6–7 szekli.

Restauracja: 40 szekli – sałatka, oliwki, falafel w bułce; 60–70 szekli – spaghetti; 50–60 szekli – lasagna; 12 szekli – rogalik słodki na stacji benzynowej; 22 szekle – duży sok pomarańczowy.

Hotele:

97 USD – noc w Agripas Boutique Hotel, Agripas 15, Jerusalem – Agrippa; Hotel de la Mer, Tel Awiw, Ziona Str. corner 62, Hayarkon str – 109 USD – 1 noc.

Ceny i inne ważne informacje – Jordania

Wiza do Jordanii:

Można ją otrzymać na granicy, z tym że należy pamiętać, iż nie dotyczy to przejścia granicznego na przejściu Allenby-King Hussein Bridge, gdyż według Jordanii nie jest ona właściwą granicą pomiędzy Izraelem a Jordanią, ale stanowi granicę z Palestyną. Stąd jeśli już ktoś posiada wizę, którą uzyskał wcześniej w ambasadzie Jordanii, można tędy wjeżdżać do Jordanii. Oczywiście przy wyjeździe z Jordanii, można przejeżdżać tędy, gdyż nie trzeba starać się o wizę. W pozostałych przypadkach należy skorzystać z przejścia pomiędzy Eilat – Aqaba (Yitzhak Rabin – Wadi Araba) na południu lub na północy w Galilei (Jordan River – Sheik Hussein). Ja osobiście skorzystałem z przejścia koło Eilat i okazało się, iż otrzymałem pieczętkę uprawniającą mnie do wjazdu na teren Jordanii, ale nie musiałem za to płacić. Pewne szczególne regulacje panują, kiedy zamierza się wjeżdżać na teren specjalnej strefy dookoła Aqaby, ale na pytanie dokąd jadę, odpowiedziałem, iż do Petry, która jest poza tą strefą i pomimo wszystko nie musiałem płacić. Natomiast wbrew temu co czytałem wcześniej, konieczna była opłata przy wyjeździe z Izraela.

Wymiana: 1 dinar jordański (JD) = 0,68–0,69 USD.

Ceny wstępu:

Zabytki Petry można zwiedzać nominalnie od szóstej rano do czwartej po południu w zimie, ale w grudniu jasno się robi znacznie później, zaś godzina 16 może oznaczać zakaz wchodzenia, a nie, iż wszyscy z tak wielkiego terenu mogą być wypraszani.

Cena za jeden dzień wstępu – 50 dinarów, za dwa dni wstępu 55 dinarów, za 3 dni wstępu – 60 dinarów; kosztowna okazała się formuła sprzedaży wiązanej, czyli dojazd na Wadi Rum z Petry i nocleg na pustyni, a następnie dojazd do Aqaby. Kosztowało 190 dinarów, w tym dodatkowo przejazd do Szobak z oczekiwaniem na zwiedzanie, następnie przejazd do Wadi Rum, 3 h przejazdu dżipem po pustyni, nocleg na pustyni w namiocie, kolacja i śniadanie w obozie Beduinów, przejazd do wioski, a następnie do Aqaba. Ta sama wersja, ale bez przejazdu do Szobak cena – 160 dinarów;

Przejazdy:

Na granicy Jordania – Izrael znajduje się tablica z oficjalnymi taryfami za przejazd z tego miejsca w dowolny punkt Jordanii uczęszczany przez turystów, w tym do: 8 JD – międzynarodowe lotnisko w Aqaba; 11 JD – centrum Aqaba; 22 JD – plaża na południe od Aqaby (rafa koralowa); 39 JD – dojazd do Wadi Rum; 55 JD – dojazd do Wadi Rum z oczekiwaniem na przejazd dżipem po pustyni; 55 JD – przejazd w jedną stronę do

Petry; 88 JD – przejazd do Petry z oczekiwaniem na zwiedzanie; 99 JD – dojazd nad Morze Martwe; 109 JD – przejazd do Ammanu czy jego dzielnic; 10 JD – podatek wyjazdowy z Jordanii na granicy z Izraelem.

Restauracja: 10 JD – potrawa pod nazwą Sawani Badawaidi; 2 JD – herbata; 1,12 JD – cheeseburger; inne: 4 JD – chusta tradycyjna na głowę.

Hotele:

45 JD – nocleg – Petra Palace Hotel; Sunset Hotel (Petra) – 30 JD; 76,50 JD (60 JD + 10% podatek + 16% podatek miejski) – Petra Guest House Hotel (Crown Plaza) – Wadi Musa.

Czas jest podobny jak w Izraelu, ale czas letni zamienia się na czas zimowy w nocy z 19/20 grudnia i wtedy o godzinę później niż w Polsce, czyli 22 w Polsce to 23 w Jordanii.

RELACJA Z PODRÓŻY

11 grudnia – środa

Początkowo planowałem lecieć z Wrocławia przez Warszawę do Tel Awiwu. Niestety, samolot przez Warszawę nie wylatywał w środę wieczorem, a przylot następnego dnia w piątek rano mógł się wiązać z utknięciem w Izraelu z powodu szabatu. Próby wynajęcia samochodu, aby być niezależnym, też się nie powiodły, gdyż trzeba było go pożyczyć przynajmniej na 3 dni; tak to przynajmniej było w tym czasie. Może przyczyna była prozaiczna, iż nie zamierzano zajmować się samochodem w okresie szabatu, czyli od piątku po południu (po zmierzchu) do soboty wieczorem. Stąd też ostatecznie wykupiłem lot z Berlina Tegel w czwartek rano.

Do hotelu w Berlinie dotarłem dopiero około 22. Następnego dnia skoro świt ruszyłem na lotnisko. Z relacji osób, które wcześniej wylatywały do Izraela, wynikało, iż należy być przynajmniej 3 godziny przed odlotem, gdyż samoloty lecące do Izraela miały podlegać szczególnej kontroli.

12 grudnia – czwartek

Na lotnisku niespodzianka. Stanowisko odlotu otwierali dopiero na dwie godziny wcześniej; trochę mi było szkoda, bo mogłem sobie dłużej pospać. Sama procedura sprawdzania wyłącznie podręcznego bagażu była standardowa. Żadnych pytań po co lecę, na jak długo. Przy zbliżaniu się do lądowania na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie pilot oznajmił, iż temperatura wynosi około 10 stopni. Byłem tym nieco zniechęcony. Nie po to przecież wyjeżdżałem w cieplejsze kraje niż Polska, aby nie odczuć wyraźnej różnicy w klimacie. Ale z początku miałem inne problemy na głowie niż zastanawiać się nad pogodą. Lotnisko w Tel Awiwie jest sporych rozmiarów; wyszedłem jako jeden z ostatnich, gdyż dane mi było siedzieć w ostatnim rzędzie. O dziwo, przy kontroli paszportowej nie musiałem długo czekać. Parę standardowych pytań, na jak długo przyjechałem, po co i już za chwilę otrzymałem swój paszport. Zamiast wbijanej pieczętki otrzymałem znaczek wjazdu do Izraela, który mogłem, ale nie musiałem, przykleić do paszportu. Jest bowiem parę krajów muzułmańskich jak Iran czy Liban, które wprost zwracają z granicy, gdy zobaczą przybitą pieczętkę kontroli granicznej Izraela.

Na lotnisku był też kantor, gdzie wymieniłem tyle, co było niezbędnie potrzebne na tę pierwszą dobę w Izraelu. Mieli niemiłe procedury, iż pobierali dodatkową opłatę za tę czynność, co mnie zniechęciło do wymiany jakiejś większej sumy na wszelki

wypadek. Na pierwszą noc w Izraelu miałem zarezerwowany Hotel Agrippa w Jerozolimie. Jedyne czego jeszcze nie wiedziałem, to jak tam dotrzeć. Opcji było kilka: od tej najdroższej (taksówka za ponad 200 szekli), następnie taksówka zbiorowa za około 60 szekli i przejazd autobusem z przesiadką. Wybrałem ten ostatni, bo chciałem wpięć dotrzeć na dworzec autobusowy, aby kupić bilet na następny dzień do Eilat. Wpięć miał to być autobus nr 5, potem czekała mnie przesiadka do autobusu nr 947. Byłem jedynym pasażerem autobusu nr 5. Na którymś ze skrzyżowań dróg musiałem się wytaskać ze swoją walizką, aby przejść dobre kilkaset metrów na inny przystanek, gdzie już oczekiwało spore grono osób. Na tablicy przy przystanku wyświetlała się informacja, jaki autobus niedługo nadjedzie. Niedawno padało, ale póki co parasol nie był potrzebny. Wreszcie po jakiejś pół godzinie pojawił się autobus 947. Połowę pasażerów stanowili młodzi żołnierze nierozstający się ze swoimi karabinami; większość z nich pewnie jechała na żydowski weekend. Następnego dnia popołudniu miał się zacząć szabat. Miałem nadzieję być już wtedy w Jordanii. Nie przejechaliśmy daleko. Gdy autobus miał skręcić na drogę do Jerozolimy, w poprzek stanął samochód policyjny, który nikogo nie puszczał. Czekaliśmy kilkanaście minut, ale wreszcie ruszyliśmy. Z lotniska do Jerozolimy trzeba się wspiąć dobrze utrzymaną wielopasmową drogą na wysokość ponad 700 do 800 metrów, na której położone jest Święte Miasto.

Zerkając na szosę, spostrzegłem na poboczu jakieś białe płachty. Czyżbym trafił na anomalię pogodową? Czyżby śnieg? W tym czasie w Polsce o śniegu w grudniu mogłem jedynie marzyć. Już niedługo okazało się coś więcej, gdy dotarliśmy na dworzec autobusowy. Chciałem kupić bilet do Eilat, ale wszystkie kasy były pozamykane, poza jednym okienkiem. Tam pewna kobieta odpowiadała bardzo standardowo: „Nie wiem czy coś odjedzie, tym bardziej nie wiem, czy coś odjedzie jutro”. Tak oto zaczęło się moje doświadczenie z największymi opadami śniegu w Jerozolimie od ponad 20 lat. Spadło już podobno trochę śniegu kilka godzin wcześniej i nawet przez jakiś czas droga łącząca Jerozolimę została zamknięta, a następnie ją otworzono.

Gdy odstawiłem swoje bagaże w hotelu, ruszyłem w miasto. Tuż po wyjściu z hotelu rozgrywały się scenki żywcem wzięte z ataku zimy w Polsce, gdy w telewizorze słychać o drogowcach, którzy znowu zaspali. Obok na rondzie młodzi ludzie pchali auto, które zakopało się w śniegu. W tym kraju rzadko kto myśli o zimowych oponach. Ale jeszcze było w miarę normalnie. Od czasu do czasu grupki młodych ludzi obrzucały się kulkami śnieżnymi i wtedy lepiej było nie znaleźć się na linii strzału. Na Jaffa Road – reprezentacyjnej ulicy Jerozolimy – od czasu do czasu przejeżdżał tramwaj, obrzucony od razu kanonadą kul śnieżnych.

W pobliskiej restauracji uzmysłowiłem sobie, że Izrael nie należy do tanich krajów. Pиво kosztowało ponad 20 szekli (6 dolarów), a talerz spaghetti trzy razy więcej. Ceny więc prawie jak w Australii w dobrej knajpie w Sydney. Posiłek sprawił, iż miałem siły ruszyć w kierunku Starego Miasta. Wszędzie kilkanaście centymetrów śniegu; o odgarnianiu z chodnika czy ulic nie było nawet co marzyć. A do tego znowu zaczęło prószyć i mocno wiać. Najprzyjemniej, choć nieprzyjemnie pusto, było więc w zaułkach Starego Miasta, gdzie większość ulic to jeden wielki stragan. Są więc zadaszone, ale żywego ducha ledwie można było doświadczyć, zaś nieliczne sklepiki zamknęły już swe podwoje. Zamknięta była też mała furka, prowadząca na dziedzińiec Kościoła Świętego Grobu. Tuż przy małej tabliczce z napisem Saint Sepulchre stało dwóch żołnierzy izra-

elskich, mających tam swój postereunek. Powrót do hotelu nie był łatwy. Strasznie wiało, a brodzenie po zaspach śniegu wzdłuż murów Jerozolimy w letnich butach było niezapowiedzianą atrakcją.

13 grudnia – piątek. Jerozolima

W nocy spadło naprawdę mnóstwo śniegu. Nie byłem na tyle ambitny, aby zrywać się przed szóstą i jechać planowanym autobusem o siódmej rano. Wpierw wybrałem się na śniadanie, które serwowali w pobliskim hotelu. Niby blisko, chyba niecałe dwieście metrów, ale śniegu było po 30–40 centymetrów. Na taksówkę w tym dniu do dworca autobusowego nie było co liczyć. Został więc tylko spacer. Jeżeli dzień wcześniej było sporo śniegu, to gdy w nocy jeszcze dosypało, rajd z walizką był wyzwaniem dla zdeterminowanych. Nie byłem jednak w tym osamotniony. Tory tramwajowe stanowiły wąską drożynkę dla sznurka pieszych. Co jakiś czas mijałem się z innymi osobami ciągnącymi swoje walizki do tego samego celu co ja. Dookoła zaś zasypałyne samochody, zamknięte biura czy sklepy, z jednym wyjątkiem. Piekarnie pachnące świeżymi wypiekami zapraszały klientów w swoje progi, aby mogli zdążyć kupić chałki przed szabatem. Jak grzyby po deszczu powstawały pierwsze bałwany. Najtrudniej było przejść na kolejnych skrzyżowaniach, gdzie trzeba było zejść z utartych kolein. W końcu po może trzech kwadransach znalazłem się przed dworcem autobusowym. „Nie ma żadnych autobusów i nie będzie, może w niedzielę, a może i w poniedziałek” – na te słowa mogłem się obrócić na pięcie i wrócić skąd przyszedłem.

I tak oto spędziłem kolejne dwie noce i dwa dni w hotelu Agrippa. Na brak atrakcji nie miałem na pewno co narzekać. Najważniejsze było jednak – już po kolejnym zameldowaniu – abym mógł się nieco podsuszyć, a w szczególności moje buty. Wzorem innych owinąłem je w plastik, co miało zabezpieczyć moje obuwie przed rozmakającym w słońcu śniegiem. Nie tylko spadło mnóstwo śniegu, ale w nocy szalał wiatr i sporo drzew było połamanych. Było dobrze, gdyż od rana świeciło słońeczko i nie śnieżyło. Było źle, bo w wielu miejscach brodziło się prawie w wodzie zmieszanej z lodem i śniegiem. Do Starego Miasta idzie się w normalnych czasach z piętnaście – dwadzieścia minut. Ale przy tych warunkach przeskakiwania podtopionych chodników czy chwajnego utrzymywania równowagi na śliskiej powierzchni trwało to o wieki dłużej. Nadal wszystko było pozamykane, nie tylko szkoły, ale – to, co dla mnie było najważniejsze – również i punkty wymiany walut. Musiałem się ograniczyć w wydatkach, gdyż najważniejsze było mieć fundusze na kupno biletu do Eilat.

Był piątek – dzień świąteczny dla muzułmanów, więc wiele ze straganów było pozamykanych. W Kościele Świętego Grobu było pusto. W jego wnętrzach mieści się zarówno Góra Kalwarii, gdzie ukrzyżowano Chrystusa, jak również miejsce, gdzie odbyło się złożenie Jego Ciała do grobu i Jego Zmartwychwstanie.

Kościół stanowi istny labirynt pomieszczeń, przestrzeni, gdzie tuż obok najświętszych miejsc znajdują się pomieszczenia, w których składa się drabiny, deski czy nie wiadomo komu potrzebne różne sprzęty. Kaplica Świętego Grobu wzmocniona jest rusztowaniami, które postawione przed ponad stu laty po trzęsieniu ziemi, nadal się tam znajdują, bo nie ma zgody między wyznawcami różnych odmian chrześcijaństwa co do rekonstrukcji kościoła.

Via Dolorosa czy też Droga Krzyżowa, której ostatnie pięć stacji znajduje się wewnątrz Kościoła Świętego Grobu rozpoczyna się już w dzielnicy muzułmańskiej. Aby

jednak tam dojść, musiałem mieć się na baczności, by nie doświadczyć śnieżnej intifady. Ustawieni w strategicznych miejscach młodzi Arabowie, często w kominiarkach, rzucali śnieżnymi kulami we wszystko, co się ruszało. Ten odcinek pomiędzy drugą a trzecią stacją Drogi Krzyżowej był ich ulubionym miejscem, czego doświadczyłem też i następnego dnia.

Niedaleko Bramy Lwów znajduje się kościół św. Anny, opisywany często jako najpiękniejsza świątynia w mieście. Ale drzwi były zamknięte, a na nich gwoli informacji wywiesił ktoś kartkę: zamknięte z powodu niepewnej pogody. Tuż przy kościele św. Anny przez Bramę Lwów wyjść można poza mury otaczające ze wszystkich stron Jerozolimę. Można było tam przejść na cmentarz muzułmański. Na pierwszym planie były groby otulone śnieżną pierzynką, a w dali rozciągał się widok na Górę Oliwną.

Nie zostało zbyt dużo czasu do zmroku. Najbliżej bramy, za potokiem Cedronu, znajdowały się dwie świątynie – w odróżnieniu od kościoła św. Anny – otwarte o tej porze dnia i pomimo śnieżnej pogody: Kościół Wszystkich Narodów oraz Grób Maryi Panny. Nad miastem po raz kolejny nadciągnęły ciemne chmury. W Kościele Wszystkich Narodów czy Kościele Agonii była – tak jak wszędzie w tym dniu – zaledwie garstka osób.

Z początku powrót do hotelu, gdy przechodziłem pod dachami arabskiego suku, był całkiem znośny. Po drodze czekała mnie kontrola plecaka, zbliżałem się bowiem pod Ścianę Płaczu. W piątek wieczorem w szabat, zwykle Żydzi gromadzą się tutaj licznie. Tym razem pogoda ich wyraźnie odstraszyła. Przy ścianie było zaledwie dwóch śmiałków. Po wyjściu z zadaszonych uliczek Starego Miasta czekała mnie jeszcze raz śnieżna zadyma mokrego śniegu. Byłem cały przemoczony: od butów do kurtki przedwieszczowej.

Gdy dotarłem do hotelu, mogłem się zabrać za suszenie, bo na wyjście do restauracji żadnych szans nie miałem. W Jerozolimie szabat przestrzegany jest w sposób szczególny i rzadko można w zwykłym czasie spotkać otwarte restauracje, a co dopiero jak spadnie śnieg i miasto jest odcięte od świata, w tym również od dostaw żywności. Tak jak doradzano w telewizji najlepiej w takim czasie nie wychodzić z domu, czemu zresztą sprzyjała pora posiłku rozpoczynającego szabat.

Rzuciłem się za to do wiadomości, co tam piszą na świecie o Jerozolimie i oczywiście jak to będzie z pogodą. Nie było dobrych wiadomości. Opady śniegu tej nocy miały być jeszcze większe niż poprzedniego dnia. Ten atak zimy został ogłoszony za największy od roku 1992. Ponadto do tej pory jeśli zdarzał się śnieg, to zwykle w styczniu. Wyglądało na to, że Izrael – bliskowschodnia militarna potęga – nie potrafi sobie poradzić ze śniegiem. Pewnie czekają aż wszystko się samo stopi.

14 grudnia – sobota. Jerozolima

Kolejny dzień śnieżny i wciąż ta niewiadoma, kiedy to się wreszcie skończy i ruszy odwilż. Tym razem komunikacja nie działała z dwóch powodów. Po pierwsze szabas, a po drugie i tak było ślisko, drogi wciąż były zasypane. W nocy ponownie spadło mnóstwo śniegu i trzeba było znowu wszędzie dojść na piechotę. Pobożni Żydzi mieszkający w hotelu zrezygnowali z przejścia się pod Ścianę Płaczu i wystarczyła im modlitwa zbiorowa w tradycyjnych strojach przed ścianą w hallu hotelowym.

Tak jak dnia poprzedniego ponownie musiałem brnąć na piechotę w śniegu, a było go znacznie więcej – nie wspominając już, że miejscami tworzyły się mokre bryje. Nie

pomagały już prowizoryczne ochraniacze z plastiku, bo po godzinie i tak buty stawały się mokre również w środku. W sobotę wszystkie muzea w Izraelu są z reguły nieczynne, ale tyle było do oglądania na ulicy, że tego mi nawet nie było szkoda.

Plany zwiedzania przykroiliśmy nieco do pogody. Przeszedłem przez Dzielnicę Ormiańską, aby wyjść przez Bramę Syjonu i zawitać do Kościoła Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny. (Dormitio). Gdy wszedłem, okazało się, że jest przerwa. Obok sklepiku z pamiątkami znajdował się też i czynny bar kawowy z typowym Apfelstrudel. W tym dniu było to wyjątkowe. Ze względu na szabat prawie wszystko było w starej Jerozolimie zamknięte. Można w tym barze płacić w euro, co nie było dla mnie bez znaczenia.

Mając to w pamięci, postanowiłem tu niedługo wrócić, aby wykorzystać godzinne okienko otwarcia świątyń muzułmańskich na Wzgórzu Świątynnym. Z Bramy Syjonu można tam było dojść przez Dzielnicę Żydowską. Ta część miasta posiada bardziej charakter mieszkalny i łąni czystością w odróżnieniu od dzielnicy muzułmańskiej, gdzie panują niepodzielnie sklepiki. I tym razem otwarta była jedynie Ściana Płaczu, ale nie Wzgórze Świątynne; oczywiście wszystko przez tę pogodę, która uniemożliwiła otwarcie specjalnego przejścia na wysokiej rampie. To jedyne wejście, przez które są wpuszczani w ściśle określonych godzinach niemuzułmanie. Zapewniono mnie, że może będzie otwarte następnego dnia, ale może i jeszcze, jeszcze później.

Wróciłem więc z powrotem na Syjon, do Kościoła Zaśnięcia Marii Panny. Obok siebie znajdują się symboliczne miejsca związane z takimi zdarzeniami opisanymi w Ewangelii, jak rozstanie się ze światem Maryi, Ostatnia Wieczerza czy Zesłanie Ducha Świętego. Wejście do dwukondygnacyjnego kościoła było tym razem otwarte. Ponownie byłem sam w tym miejscu. Nie zawsze mi to pomagało. Gdy z kolei próbowałem odnaleźć znajdującą się w pobliskim budynku salę Wieczernika, nie miałem o to kogo się zapytać, bo w tym dniu o zwiedzających było trudno. Próbowałem na własną rękę znaleźć wejście do Sali Ostatniej Wieczerzy, ale nadaremnie. Co mi zostało, to smak dobrej kawy i rozgrzewający grog z ciastkiem w barze kawowym.

Droga powrotna wiodła mnie przez Dzielnicę Ormiańską, gdzie w sobotę czynny był mały minimarket. Ruszyłem ponownie wzdłuż Drogi Krzyżowej, zahaczając o takie zakamarki, jak znajdujące się na dachu bazyliki w rzucie Krypty św. Heleny cele mnichów etiopskich czy też lepiej oznaczony kościół Ubiczowania, po łacińsku Flagellatio przy drugiej stacji Drogi Krzyżowej. Zaszedłem też na drugą stronę dziedzińca do Kaplicy Skazania na Śmierć. Przy pobliskiej uliczce znajdowało się wejście do Klasztoru Panien Syjońskich – Ecce Homo, gdzie za 9 szekli przywitano mnie z wielką estymą jako piątego turystę w tym dniu. W tym muzeum (8.30–17.00) schodzi się do podziemi, gdzie znajduje się pamiętająca czasy starożytne wykuta w skale sadzawka Strution (po grecku „wróbel”). Spływa tam woda z dachu klasztoru, której w tym dniu było aż nadto.

Sobotni wieczór to też i zakończenie szabat. Niemniej z dużym trudem odnalazłem kawiarnię, gdzie mogłem spożyć pierwszy ciepły posiłek tego dnia. Jeszcze tylko zdjęcie z bałwankiem i miałem nadzieję, że następnego dnia mój śnieżny, jerozolimski epizod dobiegnie końca. Ale tylko tak myślałem, choć z wiadomości wynikało, że nawet odprawiono w sobotę pierwsze dwa pociągi do Tel Awiwu. Następnego dnia – pocieszała mnie dziewczyna w recepcji, pochodząca z Mińska – mogło być więc tylko lepiej.

15 grudnia – niedziela

Miało być podobno już normalnie. Ale taksówki nadal nie funkcjonowały. Musiałem, tak jak dwa dni wcześniej, brnąć z walizką przez śnieg na piechotę. Tramwaje wciąż nie kursowały, śnieg nieco odgarnięto, ale szyny były wciąż pokryte lodem. Pewnie sporo czasu może upłynąć zanim to wszystko wróci do normy. W nocy ponownie temperatura spadła poniżej zera i było bardzo ślisko. Na dworcu autobusowym było tak, jakby się nic nie zmieniło od piątku. Nic nie jeździło, zarówno wszystkie kasy, jak i punkt informacyjny, były zamknięte na cztery spusty. I tylko ten mały pobłysek optymizmu, że kiedy trochę zelżeje, to kto wie, może i około dziewiątej rano wznowią połączenia. Został mi wprawdzie pociąg, ale szkopał był w tym, iż trzeba było przejechać w odległą część Jeruzolimy. Nie było jednak sposobu, aby tam dotrzeć, bo miejskie autobusy i taksówki nie jeździły w taką pogodę. Ale od czego prywatna inicjatywa. Tuż przy wejściu stał minibus, który aż kusił napisem Tel Awiw. Miał odjechać, jak tylko zbierze się komplet pasażerów. Nie było się co zastanawiać. Tuż przed siódmą ruszyliśmy wśród zasp śniegu, gdzieśgdy odrzuconych na pobocze głównych dróg. Droga do Tel Awiwu była zupełnie opustoszała. Wciąż dręczyła mnie niepewność, czy aby nie natrafimy na jakąś nadzwyczajną przeszkodę. W połowie drogi minęliśmy ostatnie wspomnienia po śniegu. Gorzej mieli ci, którzy chcieli dostać się do Jeruzolimy. Ustawili się w wielkim korku, czekając, aż policja otworzy im drogę.

Na dworcu autobusowym Tel Awiwu kolejny autobus do Eilat nad Morzem Czerwonym miałem za następne półtorej godziny. Dworzec przypominał jednostkę wojskową. Wszędzie było pełno zarówno żołnierzy, jak i żołnerek. Izrael to jedno z nielicznych państw na świecie, które wprowadziło równouprawnienie pod względem obowiązkowej służby wojskowej. W takim towarzystwie to można służyć w wojsku nawet te trzy lata. Większość z podróżujących żołnierzy nie rozstaje się nawet na chwilę ze swoimi karabinami, zarówno w knajpie, jak i obejmując żołnierkę czy stojąc przy pisuarze. W moim autobusie na 25 pasażerów było dwudziestu mundurowych, co skrupulatnie policzyłem, a do tego jeszcze jeden w cywilu też miał przy sobie giberę.

Jazda do Eilat z Tel Awiwu trwa niemal 5 godzin z dwoma przystankami po piętnaście minut na przydrożnych stacjach benzynowych z barem i szybkiej obsługi i toaletami. Będąc już w Eilacie, zapomniałem o zimie. Gdy złapałem taksówkarza, który miał mnie zawieźć na granicę z Jordanią (około 3–4 km za 30–35 szekli), niedawne wspomnienia znowu odżyły. Zmroził mnie swoimi słowami: „Nie wiem, czy nie będziesz musiał wracać z powrotem, jeśli chcesz jechać do Petry, bo droga jest zamknięta z powodu śniegu”. A więc jak zimowe wakacje to zimowe zarówno w Jeruzolimie, jak i w Jordanii. Ale z początku nie było tak źle. Granica Izraela z Jordanią była otwarta, choć byłem jedyną osobą na przejściu. Z jednej strony na granicy izraelskiej oskubano mnie ze 105 szekli będących podatkiem wyjazdowym, ale za to w Jordanii nikt ode mnie nie chciał żadnych pieniędzy za otrzymaną wizę.

Był też i punkt wymiany waluty. Gdy już wszystkie formalności na granicy były poza mną, czas było ruszać w drogę. Na tablicy przy wyjściu miałem przynajmniej wypisane oficjalne taryfy przejazdu taksówką w każdy interesujący punkt Jordanii. O moim nadejściu było już głośno. Utargowano na mnie jeszcze dodatkowych 5 dinarów do obowiązującego kursu 55 dinarów do Petry i mogłem ruszać w drogę. Mój kierowca dawno już o mnie wiedział, bo jego brat sprawdzał mi paszport. W czasie drogi pro-

ponował mi jeszcze cały szereg wariantów mojej wyprawy, jak nocleg w Wadi Rum, a potem przejazd do Petry; miał dla mnie też w zanadru atrakcyjny hotel w Petrze. Do tej pory nie zdążyłem niczego zamówić przez booking.com, bo dotarcie do Petry stało pod dużym znakiem zapytania. Zresztą gdybym jakimś cudem wyrwał się wcześniej z Jerozolimy, to i tak bym mógł utkwąć nad Morzem Czerwonym. W Jordanii bowiem zima zaatakowała z równą zaciekłością jak w Izraelu. Mój kierowca, który mieszkał w Wadi Musa, pokazywał mi obrazki przez mnie widziane już w Jerozolimie. Śnieg okrył również samochody mieszkańców Wadi Musa. Już wiedziałem, że podróż na północ Jordanii mogę sobie spokojnie darować. Do miasta Jerash, gdzie znajdują się słynne ruiny miasta z czasów antycznych, można było mieszkańcom dostarczyć podstawowe produkty spożywcze jedynie helikopterami.

Na drogach ruch był dość spory. Ale miał on specyficzny charakter. Co drugi samochód jadący w przeciwną stronę miał na masce samochodu ulepionego bałwana różnych rozmiarów. Zbliżaliśmy się bowiem do Alaski, jak zwał tę krainę śniegu mój kierowca. Prowadziła przez tę niegościnną krainę boczna droga w kierunku Petry. Nie dziwiło mnie, że jeszcze poprzedniego dnia nie można było tędy przejechać. Dla mieszkańców Akaby, miasta, które w lecie praży się w słońcu, stanowiło to sporą atrakcję, bo do rafy koralowej można się szybko przyzwyczaić. A jak już wysiadali z samochodu przy temperaturze poniżej zera i silnym wietrze, to od razu zaczynali bitwę na kulki i zabierali się za toczenie bałwana, tak aby tego dodatkowego pasażera dowieźć nad Morze Czerwone. Do Wadi Musa, miejscowości stanowiącej zaplecze hotelowe dla Petry, dojechaliliśmy już po zachodzie słońca. Kierowca zatrzymał się pod hotelem, prowadzonym oczywiście przez jakiegoś swojego kuzyna, ale wolałem wybrać położony tuż obok hotel prezentujący się zdecydowanie korzystniej. Stąd już było niecałe kilkadziesiąt metrów od wejścia na teren Petry. Wieczorem temperatura spadała prawie do zera, nie od rzeczy było więc znaleźć jakieś okrycie głowy. Do wyboru za 4 dinary miałem jordańską chustę w czerwonej kratę lub palestyńską w czarną kratę, rozstawioną przez Arafata. Wybrałem kolor czerwony, wzorując się na królu Jordanii. Sprzedawca pokazał mi jak się to zakłada. Nie byłem zbyt pojętym uczniem, bo następnego dnia podczas rajzy po Petrze kilkakrotnie udzielano mi pomocy przy zakładaniu tego w sposób właściwy na głowę.

W Wadi Musa wieczorową porą parę knajpek zachęcało do wejścia tych nielicznych turystów, którzy dopiero w tym dniu mogli przedrzeć się przez dotychczas zamknięte drogi. Królowała kuchnia beduińska, a w wybranej przeze mnie knajpce można było nie tylko zamówić pyszne Sawani Badawaidi, ale i odebrać e-maile czy porozmawiać na skype. W hotelu, niestety, Internet był tylko na parterze, co mi nie było w smak. Poszukałem więc na kolejny dzień nieco bardziej wypasiony hotel i do tego położony tuż przy wejściu do starożytnego miasta, Petry.

16 grudnia – poniedziałek. Petra

Założyłem swoje buty, ciesząc się w duchu, że przynajmniej nie dane mi będzie taplać się w śniegu, i ruszyłem drogą biegnącą wzdłuż strumienia Wadi Musa, aby zobaczyć to, co zostało po Nabatejczykach, Rzymianach i Bizantyjczykach. Trzeba było też uiścić słońcu opłatę – 50 dinarów – przy Visitors' Centre. Przy wejściu spora grupa Arabów natrętnie zachęcała do skorzystania z bryczki ciągniętej przez osiołka czy jazdy na koniu. „To jest wliczone w koszt biletu” – wykrzykiwali, ale nie miałem

ochoty im wierzyć. Bardziej ufałem własnym nogom. Z pewnością później znaleźli-
by tysiące sposobów, aby na takim pasażerze wymusić właściwy bakszysz. Niedługo
później droga skręcała do ciągnącego się około półtora kilometra wąwozu zwanego
Sik Wewnętrzny. Tu jeszcze raz sprawdzono mi bilety; samego wejścia pilnowali do-
datkowo dwaj wojownicy przydający temu miejscu smaczku dawnej historii. Przez
wąski wąwóz, czasem tylko mierzący i trzy metry szerokości, nie da się przejść szybko
i obojętnie. Trzeba mieć nie tylko oczy otwarte, ale i uszy. Wiele razy stukot kopyt po
bruku ostrzegał mnie, aby przytulić się do jednej ze ścian, gdyż kierujący rozpędzo-
nymi wózkami ciągniętymi przez osiołki czuli się wyłącznymi panami tego krętego
wąwozu. Przy kolejnym zakręcie światło wąwozu prawie w całości wypełniło się zja-
wiskową budowlą. Przedemną był Skarbiec – Chazne. O ile fasada może wzbudzić
zachwyt, to już wnętrze nie wyróżnia się czymś szczególnym. Zresztą i tak wstęp do
środką nie był w tym dniu możliwy.

Od miejsca, gdzie zbudowano Chazne, wąwóz Sik się znacznie rozszerza i skręca
w prawo, zmieniając też swoją nazwę na Sik Zewnętrzny. Słońce operowało w tym dniu
dość mocno i nie mogłem się oprzeć, aby po myszkowaniu wśród wielkich skalnych
grobow czy pieczar nie usiąść w małej restauracyjce. Tam mnie i napojono, i ułożono
na głowie ponownie moją chustę. Na co nie można narzekać w Petrze, to na obfitość
monet zachwalanych jako dopiero co odkopanych i rozdawanych prawie za darmo
albo sprzedawanych po kryjomu jako wielka okazja. Patrząc się na czterokrotnie droż-
sze butelki z napojem, od razu wiedziałem, kto tutaj robi złoty interes. Poprzestałem
na metodzie tzw. „braku zainteresowania”. Przedemną było jeszcze sporo do przejścia.

Na deser, a może i dlatego, aby poznać, ile jeszcze jestem w stanie przejść, zosta-
wiłem sobie Deir, czyli Klasztor. Droga była niesamowicie malownicza, z widokami na
Grobowce Królewskie, przepastne wąwozy czy rysujące się w oddali wianki śnieżne
na pobliskich wierzchołkach. Wreszcie zza skał wyłoniła się wprawdzie wielka urna, któ-
ra znajdowała się na szczycie budowli. Kilka minut później – po wejściu na rozległy
plac – mogłem wreszcie ujrzeć tę imponującą budowlę w całej swej okazałości. Obok
była kawiarnia; nie mogłem się temu oprzeć. Po chwili, popijając kawę z kardamonem,
sączyłem ten cały smaczek; nie był potrzebny nawet cukier. Wystarczyło mi wrażenie,
jakie sprawiała mi ta konstrukcja wyłaniająca się z poszarpanych i zwietrzałych skał
podłoża. Zacząłem schodzić, aby po około 90 minutach szybkiego marszu znaleźć się
już mocno zziębnięty i wyczerpany w moim nowym hotelu.

Wieczorem odwiedziłem Zaman Tours & Travel. (www.zamantours.com). Zapłaci-
łem im za wycieczkę zgodnie ze wstępnie ustalonym planem mojej wędrowki przez
Wadi Rum wraz z noclegiem oraz przejazdem do zamku Szobak. Zima nadal odci-
skała swój ślad na moich planach. Chociaż byłem porządnie umęczony całodziwną
wędrowką po Petrze, to miałem jeszcze ochotę na atrakcję w rodzaju „Petra by ni-
ght” (www.labeleduinatours.com; www.zamantours.com). Kosztowało to nie aż tak dużo
w porównaniu do ceny wstępu, zaledwie 12 dinarów. Organizowane jest to trzy razy
w tygodniu: poniedziałek, środa i czwartek. Rozpoczyna się to o godzinie 20.30 przy
wejściu do Petry (Visitors' Centre) i następnie cała grupa chętnych jest prowadzona
przez głęboki wąwóz Sik, który oświetlony jest lampkami. Co mi z tego atrakcyjnego
opisu, skoro z powodu temperatur bliskich zeru organizatorzy zrezygnowali z wyjścia.
Otrzymałem więc tylko ulotkę i może kiedyś indziej w cieplejszych czasach uda mi się
w tym wziąć udział.

17 grudnia – wtorek. Wadi Rum

Wpół do jedenastej czekał na mnie mój kierowca. Ruszyliśmy na północ. Wystarczyło wyjechać z Doliny Mojżesza do górnej części Wadi Musa, aby znaleźć się ponownie w objęciach Dziadka Mroza. Gdzieś tam utrzymywały się spore płachty śniegu. Było tak aż do Szobak, będącego sporą atrakcją ze względu na znajdujący się w pobliżu zamek krzyżowców. Znajdował się on kilka kilometrów od ruchliwego arabskiego miasteczka.

Na Wadi Rum miało być już znacznie cieplej. Pustynia jest położona znacznie bliżej Morza Czerwonego, jak i znacznie niżej niż Petra. Miałem zapewniony transport aż do obozu Beduinów. Tam czekał na mnie już nocleg w namiotach. Po zjechaniu z głównej drogi Aqaba-Amman mineliśmy tory kolejowe stanowiące część stycznej magistrali kolejowej zbudowanej przed ponad 100 laty jeszcze za czasów Imperium Tureckiego. Z moim kierowcą pożegnałem się przy małym domku w jedynej osadzie tej okolicy. Tu oczekiwałem na samochód terenowy, który mógł wjechać na pustynię. Wioska sprawiała liche wrażenie, niemniej w tym domku skracałem sobie czas, buszując po Internecie. Samochód i kierowca w czarnej chuście był do mojej wyłącznej dyspozycji. Niedaleko wioski znajdują się ruiny świątyni nabatejskiej, ale po wspaniałościach poprzedniego dnia moją uwagę przyciągnęły bardziej okoliczne skały wznoszące się ostro w pionie na wysokość kilkuset metrów. Słychać było wyraźne głosy, ale gdzie byli ci ludzie? Wreszcie odnalazłem ich małe sylwetki przychepione gdzieś kilkadziesiąt metrów wyżej do czerwonej skały. Bo Wadi Rum stanowi atrakcję nie tylko dla podglądaczy wschodów i zachodów słońca, ale przyciąga też miłośników wspinaczki skałkowej.

Późnym popołudniem dojechałem do obozowiska czarnych namiotów. Tym razem mogłem czuć się prawie samotny. Było nas zaledwie osiem może dziesięć osób. „Hotel” na piaskach mógł przyjąć znacznie więcej turystów, ale frekwencja wzrasta w przededniu wiosny – marcu czy kwietniu, kiedy czerwone piaski ożywają się i wprost błyszczą od kwiatnych kobierców. Tym razem każdy z nas miał swoją skałę, gdzie mógł czuć swoją samotność i chłonąć krajobraz. Tej nocy porządnie zmarzłem i to pomimo kilku kołder i wszystkich ciepłych rzeczy, które na siebie włożyłem. Co jakiś czas budziłem się z zimna, marząc o wschodzie słońca.

18 grudnia – środa. Aqaba

Jeden z Jordańczyków na pytanie zadane podczas kolacji, kiedy można spodziewać się wschodu słońca, odpowiedział, że nie wie, bo nigdy o tak wczesnej porze nie wstaje. Co innego było ze mną. Nie byłem tym wschodem słońca zafascynowany, ale czułem, iż tylko pierwsze promyki słońca będą końcem tej lodówki. Jednakże pobliskie góry skutecznie powstrzymywały słoneczną kulę, która mogła wlać w tę okolicę więcej ciepła. Jedyne co mogło nas rozgrzać, to ciepłe jęczmieńskie placki, jakie rozdawano na śniadanie w namiocie. Z miłą chęcią zabrałem się samochodem terenowym do osady, skąd następnie w ramach ustalonej opłaty czekał na mnie taksówkarz z Aqaby. Ale nawet w tym najdalszym południowym punkcie Jordanii poranki były też chłodne.

Mieszkałem w hotelu w samym mieście, ale rafa koralowa była dostępna kilkanaście kilometrów dalej na południe. W tym dniu statek zabierający amatorów snorkelingu nie wypłynął, było zaś już nieco za późno na wypad na południe na rafę. Po południu miałem po raz pierwszy trochę odpoczynku.

19 grudnia – czwartek. W drodze do Tel Awiwu

Z centrum miasta do granicy to tylko kilka kilometrów, ale strefa przygraniczna jest wielkim pustkowiem. Na granicy jordańskiej formalności przebiegły dość szybko, poza tym że musiałem wysupłać na opłatę wyjazdową 10 dinarów, tak jak to musiałem poprzednio zapłacić Izraelczykom przy wyjeździe z ich kraju. Poza mną nie było nikogo więcej na przejściu granicznym. Jordanię dzieli od Izraela może dwustumetrowy pas ziemi niczyjej. Na granicy izraelskiej przeszedłem pierwszy raz szczegółową kontrolę swojej walizki. Nie była aż tak irytująca. Najbardziej interesowały ich moje liczne książki. Poza tym padały standardowe pytania: „Po co przyjeżdżam?“, „Co zamierzam robić?“, itd.

W Eilat nie miałem żadnych kłopotów z wymianą pieniędzy. Kantorów przy dworcu autobusowym było kilkadziesiąt. Pomny na moje poprzednie przygody po przylocie do Jerozolimy, wolałem to zrobić natychmiast, zwłaszcza że następnego dnia był już szabas. Na dworcu autobusowym wszystkie informacje były wyświetlane w języku hebrajskim i rosyjskim. Nic w tym dziwnego, gdyż Izrael stał się w latach 90. domem dla prawie miliona osób przybyłych z Rosji, którzy przyznawali się do swych korzeni żydowskich. W autobusie proporcja cywili do żołnierzy układała się tym razem już inaczej: tylko 1:1. Po zmroku dojechałem do Tel Awiwu, gdzie miałem na ostatnie dwie noce zarezerwowany hotel de la Mer. Usytuowanie było dobre, zaledwie przecznica od promenady nadmorskiej. Bacząc na szabasowe utrudnienia w komunikacji publicznej, odpowiednio przygotowałem się do tego. Parę dni wcześniej, będąc jeszcze w Jordanii, zamówiłem i zapłaciłem przez internet w Tour Plan Israel za wycieczkę wzdłuż Morza Śródziemnego, której marszruta zapowiadała się ciekawie: Cezarea, Hajfa, Akka i jaskinie Rosh Hanikra.

20 grudnia – piątek. Wycieczka na północ

Mały mikrobus był istną wieżą Babel, ludzie z różnych kontynentów, w tym również i rodzina z Nigerii. Już wkrótce mogłem skonfrontować swój indywidualny tryb zwiedzania z rygiem wycieczki i trzymania się ściśle określonego planu. Do przejechania mieliśmy w jedną stronę około 120 kilometrów, powrót do Tel-Awiwu według informacji z Internetu był przewidziany około 18. Pierwszym punktem wycieczki były ruiny Cezarei Nadmorskiej. Św. Paweł spędził uwięziony w Cezarei dwa lata, my zaś przebywaliśmy w nim zaledwie pół godziny, bo taki był program naszej wycieczki. Wyglądało to na prędkość w japońskim stylu zwiedzania Europy w kilka dni. Nawet o wyjście samochodu na minutę, aby strzelić fotkę położonemu nad brzegiem morza akweduktowi, trzeba było się wykłócać. Do Hajfy, trzecim pod względem wielkości miastem w Izraelu i największym porcie Izraela, prowadzi z Tel-Awiwu autostrada. Autobus wspiął się serpentynami aż do miejsca widokowego, z którego rozpościerała się panorama tego portowego miasta. Jak na wyciągnięcie ręki mieliśmy osobliwy widok. W centrum miasta, gdzie ceny gruntu są bardzo wysokie, znajdował się sporej wielkości park, a w jego centrum połyskiwała złotem kopuła sanktuarium bahaistycznego. Wewnątrz złożono do grobu szczątki Baba, założyciela nurtu religijnego określonego jako bahaizm. Sanktuarium jest celem licznych pielgrzymek tej religii mającej swych wyznawców rozsianych po całym świecie. Wspólnota jest liczna, bo szacuje się na około pięć milionów wyznawców. Więcej informacji można poszukać na stronie <http://www.ganbahai.org.il/en>. Przed wejściem do ogrodów czekało nas wszystkich

sprawdzenie, czy nie wnosimy czegoś niebezpiecznego. Na przejście po ogrodach do sanktuarium ścieżkami parku, ulokowanymi na 19 tarasach północnych stoków góry Karmel, nie było już czasu.

Akka ma w sobie sporo atrakcji, w tym m.in. dawne miasto krzyżowców, które zwiedza się osiem metrów poniżej poziomu współczesnego miasta. Ta część, która została odkopana i udostępniona dla zwiedzających, należała kiedyś do Zakonu Rycerskiego Szpitalników. Tym, co najbardziej może zadziwić, jest sala kolumnowa, gdzie rycerze spożywali posiłki. Z podziemi przez sklepik z biżuterią wychodzi się na gwarną ulicę, gdzie interes prowadzony jest głównie przez Arabów, którzy zamieszkują domy na Starym Mieście. Przyszedł czas na posiłek w małej knajpce, równie długi jak zwiedzanie Akki. Wczesne piątkowe popołudnie to również godzina szczytu. Utkwiliśmy więc w sporym korku aut wyjeżdżających z Akki na północ.

Rosh Hanikra – to zarazem ciąg jaskiń, jak i wysokie kredowe klify, których kształt wciąż jest formowany przez morze. Z parkingu na poziom jaskiń można się dostać kolejką linową, która te kilkadziesiąt metrów w dół pokonuje w niespełna pół minuty. Ale co przyprawia o dreszczyk emocji, to zrobienie sobie sesji zdjęciowej na samej granicy Izraela z Libanem. Pozostaje ona stale zamknięta, a tablica „Closed military area. Photography is forbidden” dodaje jeszcze odpowiedniego kolorytu zdjęciom. Ostatni większy konflikt zbrojny miał miejsce w 2006 roku, ale od czasu do czasu dochodzi do jakiejś wymiany ognia. Tym razem było spokojnie, zarówno na lądzie, jak i na morzu, choć wody przybrzeżne są bardzo ściśle kontrolowane przez oba państwa.

21 grudnia – sobota

Sobotni poranek w kosmopolitycznym Tel Awiwie ma zupełnie inny odcień niż w Jerozolimie. Położone nad brzegiem morza kawiarnie pękały w tym dniu w szwach od klientów okupujących każdy stolik. Dla mnóstwa ludzi ten słoneczny sobotni poranek okazał się tak jak na całym świecie okazją do rodzinnych spacerów wzdłuż plaży. Na horyzoncie, ale nie tak znowu daleko, rysował się wzgórek ukoronowany wieżą należącą do franciszkańskiego kościoła św. Piotra w Jafie. Dzieliło mnie do tego miejsca około trzy kwadransy spaceru.

Nazwa Jafy przez cztery tysiąclecia ulegała tylko niewielkim zmianom. Za czasów nam współczesnych zostało jej przypisane najbardziej urocze określenie „Piękna”, czyli po hebrajsku „Jaffa”. Skoro na temat Jafy wzmiankuje się kilka razy w Ewangelii, stąd nic dziwnego, że można się tych miejsc doszukać i po dwóch tysiącach lat. Dom Symona-Garbarza był zamknięty z powodu remontu. Mała tabliczka informowała również, iż jest to dom rodziny Zakarian, którzy są ormiańskimi chrześcijanami. Przed remontem przyjmowali gości do swego domu za opłatą.

O umówionej porze czekał na mnie już taksówkarz. Ruch uliczny wczesnym popołudniem w szabatową sobotę był niewielki i to zarówno na ulicach Tel-Awiwu, jak i na autostradzie oplatającej położone kilkanaście kilometrów dalej lotnisko Ben Guriona. Kontrola bagaży czy nawet osobista jest czymś, co wielu zraża do ponownego przyjazdu do Izraela. Ale w tym dniu było to dla mnie do zniesienia. Wpierw należało przepuścić swój cały bagaż przez urządzenie skanujące; następnie poproszono mnie o otwarcie walizki, zadano parę standardowych pytań i mogłem przejść już dalej. Czasu miałem aż dosyć, iż jeszcze pobuszowałem po sklepie muzycznym, aby wyłowić jakieś perełki żydowskiej czy orientalnej muzyki.

Jedyne co mi jeszcze zostało do załatwienia to odbiór (refund) VAT. W Izraelu wynosi on 18%. Wpierw przystawiono mi pieczętkę przy samym wejściu na lotnisko (ale musiałem pamiętać, aby można było pokazać wszystko, na co był wystawiony rachunek), a dopiero po przejściu przez kontrolę paszportową i bagażową w wewnętrznej strefie lotniska można było odebrać kwotę. Nie było tego zbyt dużo. Z sumy 638 szekli otrzymałem zwrotnie sumę 15 euro i 10 szekli, za które udałooby się kupić na lotnisku jedynie małą butelkę wody mineralnej. Lot trwał niecałe cztery godziny, a potem czekała mnie jeszcze prawie pięciogodzinna jazda samochodem do Wrocławia w ostatnią sobotę przed świętami Bożego Narodzenia. Nie było więc dziwne, że nawet po północy autostrada była dosłownie zatłoczona pojazdami, których właściciele wracali do swych domów rodzinnych na Dolnym i Górnym Śląsku.

• *Rozmaitości ze świata* •

*61 000 ludzi znajduje się w samolotach nad Stanami Zjednoczonymi Ameryki
o dowolnej porze dnia*

Jacek Kowalik

Oman, Kuwejt



Termin: 12–21 marca 2014 roku.

Ekipa: 2 osoby.

Przelot:

Wykorzystano promocje Lufthansy i trasę skonstruowano w ten sposób, że przelot nastąpił do Muscatu, a wylot powrotny z Kuwejtu. Przelot na trasie Muscat – Kuwejt – linie lotnicze Gulf Air z przesiadką w Bahrajnie (osobny bilet kupiony w internecie). Dysponując większą ilością czasu, można zatrzymać się i zwiedzić Bahrajn.

Wizy:

Otrzymuje się „od ręki” na lotniskach w Muskacie oraz w Kuweicie przy przylocie.

Waluty:

Omański Rial (OMR) 1 USD = 0,38 OMR

Kuwejcki Dinar (KWD) 1 USD = 0,28 KWD

Podróżowanie po Omanie

Po Omanie podróżowano samochodem Nissan Pathfinder. Na opisanej trasie nie był potrzebny napęd 4x4. Duży samochód wybrano ze względu na planowane nocowanie w samochodzie. Istotne jest posiadanie moskitiery, którą należy rozwiesić wewnątrz samochodu, co ratuje przed komarami.

Wyżywienie:

Najtaniej (i całkiem dobrze) jest korzystać z usług Cofee Shop-ów. Prowadzą głównie Hindusi.

RELACJA Z PODRÓŻY

12 marca – środa

Przelot na trasie Rzeszów – Frankfurt – Muscat.

Po przylocie (23.30) odbiór samochodu Nissan Pathfinder.

13 marca – czwartek

Wyjazd z lotniska i przejazd do As Serb. Nocleg w samochodzie na parkingu pod McDonalds. O 7.30 wyjazd. Najpierw w kierunku miejscowości Barka, a potem drogą

nr 13 do Nakhl. Najpierw gorące źródła – możliwość kąpieli w naturalnym zbiorniku (free).

Zwiedzanie fortu w Nakhl (wstęp 0,5 OMR).

Droga powrotna – można wrócić tą samą drogą do Barka, a następnie autostradą w kierunku Muscatu, skąd odchodzi odnoga (droga nr 15) w kierunku Nizwa. Jest możliwość skrótu z drogi nr 13 do drogi nr 15 przez miejscowość Faniah – droga jest źle oznakowana.

Przejazd do Jabrin – zwiedzanie fortu (0,5 OMR). Przejazd do Bahla – zwiedzanie suku i fortu (brak wstępu, tylko z zewnątrz). Przejazd do Nizwa – zwiedzanie meczetu i fortu (0,5 OMR). Wewnątrz bardzo ciekawa ekspozycja – historia, etnografia, rękodzieło, ciekawostki. Spacer po mieście i wizyta na suku (część „turystyczna”).

Nocleg Noor Majan Camp.

14 marca – piątek

Nizwa – wizyta na suku. Piątkowy suk (od 7.00 do 11.00) to wielkie targowisko dla miejscowych. Handluje się wszystkim, w tym zwierzętami, a nawet bronią. Przejazd do Misfah – zwiedzanie wioski. Przejazd do Ghul. Są to ruiny dawnego miasta położone na zboczu góry, które zostało opuszczone na początku XX wieku. Jazda terenowa, a potem piesza wędrowka Wadi Ghul. Jest to piękna dolina. Przejazd w kierunku pasma górskiego Jebel Shams. Asfaltowa droga wznosi się do góry, miejscami jest dość stroma i pełna zakrętów. Na odcinku kilku kilometrów brak jest asfaltu. Dojeżdżamy do kanionu Al-Nakhur (nazywany także przez miejscowych Grand Canyon).

Można wybrać się w góry i wejść na najwyższy szczyt Dżabal Szams (3009 m n.p.m.).

Przejazd do Tanuf – ruiny zbombardowanej w 1954 roku wioski, siedziby rebeliantów. Nocleg w samochodzie.

15 marca – sobota

Wycieczka w góry Al. Sabal Al. Akhdar. Wyjazd z Nizwa. Przyjazd do Birkut Al-Mawz. Zwiedzanie zamku oraz systemu nawadniającego (falaj); jest wpisany na listę UNESCO. Jazda drogą do Checkpoint. Policja sprawdza pojazdy i rejestruje wjazd. Wpuszczane są wyłącznie pojazdy 4x4. Nieco dalej znajduje się centrum informacji turystycznej. W góry prowadzi znakomita droga asfaltowa – jest sporo zakrętów i stromych podjazdów. Cała trasa i infrastruktura jest przygotowana dla turystów, a także dla wojska.

Dojazd do Wadi Bani Habit. Jest tutaj koniec drogi, a dalej pieszy szlak do opuszczonych osad, przyklejonych do zbocza gór – As Sab i Al. Bilad. Przy powrocie wieś Al. Ayn (szczątki samolotu, który rozbił się tutaj w 1958 r.). Przejazd do miejscowości Al. Qanfarah gdzie znajduje się punkt widokowy Diana's Point (była tutaj księżna Diana). Można podziwiać okoliczne góry, a szczególnie osady Al. Aqur (uprawa róż na perfumy), Ash Shirayjah (tarasy uprawne i falaj) oraz Al. Casha.

Można pojechać do Sayq (główna miejscowość w paśmie Al. Sabal Al. Akhdar).

W Hayl Al. Yaman stare gliniane domy.

Powrót do Birkat Al Mawz. Przejazd drogą nr 33 do Ash Ahawayl, stąd (szosa bez numeru) do drogi nr 23, a nią do Al-Mintrip (zamek, muzeum) i dalej do Al.-Hawiyah. Jest to oaza z ruinami zamku i plantacją palm daktylowych. Wycieczka po okolicznych wydmach. Spotkanie z wielbłądami.

Nocleg w samochodzie. W nocy leje.

16 marca – niedziela

Wyjazd z Al. Areesh Desert Camp. Nasz Nissan grzęźnie w piachu pustyni, ale wypycha go obsługa. Jazda krętą, z podjazdami drogą nr 23 do Mural.

Miejscowość leży w paśmie górskim Al. Hajarash Sharqiyash. Jest to piękna dolina z przełomem strumienia spływającego z gór. Teren jest zagospodarowany – pawilony widokowe położone nad turkusowymi jeziorkami. W głąb doliny, do jaskini na końcu, prowadzi pieszy szlak.

Cały czas pada – ewakuacja przez policję.

Powrót tą samą drogą do szosy nr 23. Po drodze zamek w Al-Kamil. Dojazd do Sur. Tutaj przestaje padać.

Zwiedzanie:

– dwa forty;

– muzeum morskie (wstęp free); obok budynku dhow i kilka łodzi.

Nadmorska promenada prowadzi do starego miasta. Po drodze zwiedzanie stoczni, gdzie buduje się tradycyjne statki – dhow.

Przejazd przez most (stąd świetny widok na miasto, stocznie i leżącą po drugiej stronie miejscowość Ayja).

Przejazd do Ras-al-Jinz – centrum ochrony żółwi zielonych (www.rasaljinz.org). Rezerwacja udziału w wycieczce na plaże.

Wyjazd i zwiedzanie Ras-al-Hadd. Ładny fort i meczet.

Powrót do Ras-al-Jinz. O 20.30 rozpoczyna się sprzedaż biletów (3 OMR). O 21.00 początek wycieczki na plaże (najpierw dowożą autobusem potem idzie się pieszo). Obserwowanie jak żółwice wychodzą z morza na plaże, gdzie wykopują doły, w których składają jaja. Doły te zakopują, a przy okazji wykopują nowe dla zmyły przed lisami, które szukają jaj. Potem wracają do morza. Zwykle można podziwiać wędrówki małych żółwików, które po wylęgnięciu się pełzną do morza. Ponieważ jest pełnia księżycy, żółwiki wstrzymują się z wędrówką do morza, bo jest zbyt jasno.

Nocleg w samochodzie (przy centrum ochrony żółwi WC z umywalkami – można się umyć).

17 marca – poniedziałek

Dzisiaj piękna pogoda – bezchmurne niebo. Powrót do Sur. Powtarzamy fotografowanie stoczni, ekspozycji przed muzeum oraz widoczków. Ruszamy w kierunku Muscatu. Po kilku kilometrach rozpoczyna się autostrada – można także jechać nadmorską drogą.

Przejazd do Qalhat. Stare miasteczko – częściowo zrujnowane.

Przejazd do Wadi Tiwi. Można wjechać w głąb doliny betonową drogą, przejeżdżając kilka brodów.

Przejazd do Wadi Ash Shab. Można wjechać jedynie na parking. Potem trzeba przepłynąć się na drugi brzeg motorówką (1 OMR w obie strony). Przez dolinę prowadzi pieszy szlak. Na końcu jest jaskinia.

Po drodze do Muscatu można jeszcze zwiedzić Hawiyat Najm Park – znajduje się tutaj wielkie zagłębienie (sinkhole) Bait Al. Afreet wypełnione wodą.

Przyjazd do Muscatu i zakwaterowanie w hotelu.

Odpooczynek i wypad do starego miasta (wizyta na suku).

Nocleg w hotelu.

18 marca – wtorek

Zwiedzanie miasta.

Wielki meczet (wstęp dla niewiernych bezpłatny, do godz. 11.00).

Przejazd przez nowy Muscat.

Muzeum Bait al Baranda (wstęp 1 OMR).

Spacer Corniche (nadbrzeżna promenada), a potem uliczkami za pierwszym szeregiem domów (wiele z nich jest starych – dawne domy kupieckie). Zwraca uwagę szyciki meczet wyłożony ceramiką. Centralny suk (Souq al.-Dhalam).

Podejście pod Muttrah fort – można oglądać jedynie z zewnątrz.

Park Riam (góruje wielki pomnik w kształcie tradycyjnej kadzielnicy).

Najstarsza dzielnica miasta (Muttrah):

– pałac sułtana (z zewnątrz),

– widok na forty Al Mirani oraz Al Dżalali,

– muzeum Bait Al Zubair,

– Galeria Bait Muzna,

– Omańsko-Francuskie Muzeum – Bait Fransa – dawna siedziba francuskich konsulów,

– spacer uliczkami,

– brama miejska (Muzeum w bramie – Muscat Gate Museum).

Statek na rondzie (replika typowej dhow, na której Tim Severin pożeglował do Chin).

Powrót do Corniche – wizyta na bazarze i cofee shopie.

Sprawdzamy dojazd na lotnisko, a potem wyszukujemy miejsce na nocleg w samochodzie.

19 marca – środa

Rankiem jedziemy na lotnisko, oddajemy samochód i przenosimy się do sali odlotów.

7.45 wylot liniami Gulf Air do Bahrajnu, tam przesiadka i po 12.00 lądujemy w Kuwejcie. Jedziemy taxi (8 KWD) do hotelu Carlton Tower (dzielnica Salhiyah).

Po kąpeli i odpoczynku (krótkie spanko) idziemy na spacer Fahad Al Salem St. Przede wszystkim buszujemy po wielkim suku.

Nocleg w Carlton Tower Hotel.

20 marca – czwartek

Wymeldowujemy się z hotelu, gdzie zostawiamy bagaże i ruszamy w miasto.

Ulicą Al Shuhada kierujemy się w stronę morza i skręcamy w Arabia Gulf Street. Przy niej (lub w jej pobliżu) znajduje się większość ciekawych obiektów. Wszystkie muzea – wstęp bezpłatny.

Budynek National Assembly.

Stare budynki:

– Bayt Al-Badr (zbud. 1838–1848) przykład starej rezydencji; ciekawe drzwi frontowe,

– As Sadu (zbud. 1936) – pierwszy kamienny budynek w Kuwejcie; obecnie ekspozycja pokazująca tradycyjne kuwejskie tkactwo (wystawa tkanin i ubiorów, warsztaty tkackie).

Muzeum Narodowe:

– dział archeologii (szczególnie wykopaliska z wyspy Faylaka),

– dział etnograficzny (rekonstrukcje wnętrz domostw, suku),

- dział sztuki islamskiej – zamknięty,
- planetarium,
- ekspozycja repliki statku (dhow) Muhallab II (oryginał z 1930).

Po drodze wiele małych meczetów – jest to teren, na którym dawniej rozpościerały się gliniane domy starego Kuwejtu. Obecnie zostały zburzone – pozostawiono jeden przy Muzeum Sztuki Współczesnej.

Stary i Nowy Pałac Szejka.

Wielki Meczet.

Meczet Al-Khalifa (z 1714) – najstarszy meczet w Kuwejcie.

Port rybacki – bardzo dużo rybackich dhow; dalej używane do połowów, obok suk rybny.

Marina i suk Sharq (eleganckie sklepy).

Po przeciwnej stronie Arabian Gulf Street (na wysokości Suk Sharq) znajduje się Muzeum Morskie (przed nim eksponowane są stare dhow), a także Muzeum Sztuki Współczesnej.

Na końcu cypla wznoszą się Kuwejt Towers.

Powrót także nadmorską promenadą. Wizyta na suku i powrót do hotelu.

Taksówką (5 KWD) przejazd na lotnisko.

21 marca – piątek

Przelot Kuwejt – Frankfurt – Rzeszów

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

W Las Vegas znajduje się najwięcej pokoi hotelowych na świecie

Piotr i Grażyna Wiland

Północne Indie i Nepal



Termin wyjazdu: 10–27 lutego 2013 roku.

Przeloty samolotem: Warszawa – Wiedeń (Austrian Airlines); Wiedeń – Delhi – Austrian Airways; Jet Airways Delhi-Kathmandu (10.02.2013); Kathmandu – Delhi (26.02.2013); Delhi – Monachium (27.02.2013) Lufthansa; Monachium – Wrocław Lufthansa

Ceny:

Indie (ceny w rupiach indyjskich)

Wymiana: Wymiana pieniędzy na lotnisku 1 USD = 49,80, za wymianę potrącono przy kwocie 7470 Rp (150 USD) – 70 Rp – otrzymałem 7400 Rp, czyli 4933 Rp za 100 USD; wymiana w kantorach 1 USD = 51 Rp, w hotelach 1 USD = 48–49 Rp

Ceny wstępów:

Wejście do Taj Mahal – Agra – 750 Rp; wejście do City Palace (Jaipur) – 300 Rp, opłata za kręcenie nieprofesjonalną kamerą – 200 Rp; wejście do Hawamahal (Pałac Wiatrów, Jaipur), Jantar Mantar, Albert Hall, Nahargarh i Amber Palace – bilet łączony – ważny przez 2 dni – 300 Rp – wstęp od 8–17.30 (Amber) – 300 Rp (od 9–17.00); wejście na teren Kutb Minar, Delhi – 250 Rp, wejście na teren Mauzoleum Humayun – Delhi – 250 Rp; Keloadeo National Park – 400 Rp/os., wynajęcie roweru – 40 Rp. Bilety na Blue Lotus Festiwal – 2 pełne dni oraz jeden wieczór – dla 2 osób – 632 PLN = 10 562 Rp.

Transport:

Organizowane przez Designer Indya (Mintu Deka) www.designerindya.com za 666 USD (w tym bilet kolejowy, 3 noclegi – Bharaktapur, Jaipur, Delhi) i transport oraz objazd po Delhi i odbiór z lotniska; Bilet: Ajmer Shtbdi (Ajmer-Delhi, klasa CC, 15.45–22.40) – cena dla 2 osób 1450 Rp, km 443; Cena biletu na samolot za osobę: 3470 PLN – odcinek Warszawa – Wiedeń – Delhi – Frankfurt – Warszawa / osobę; 890 PLN – za loty Jet Airways.

Wyżywienie:

Restauracja, ceny netto (Umwaid Mahal A Heritage Castle, Bihari Marg C-20B/2, Bani Park): woda mineralna – 1 litr – 40 Rp (45), zupa szpinakowa – 165 Rp, ryż gotowany – 110 Rp, Tandoori Aldo – 190 Rp, Tandoori Roti – 40 Rp, Mutton Tikka Magala – 350 Rp, naan (cebulowo-czosnkowy) – 70 (60) Rp – ceny netto, do tego dochodzi

10–11% podatku, ale czasem nie jest to określane jako usługa, czyli można ewentualnie zostawić napiwek; inne miejsca: (netto bez 10%) Kadamb Kunj Resort, Fatehpur Sikri Road, Bharaptur: Chicken Curry – 250 Rp, Żółty Dal Tadka – 140 Rp, ryż gotowany – 100 Rp, Chicken Sweet corn soup – 130 Rp.

Noclegi:

The Grand Sarwan Raj Singh Complex, Kapasphera, New Delhi, tel 91 11 250 63333, www.thesarwan.com – 4000 Rp oraz dodatkowo podatek.

Gulab Niwaas Palace, Parikrama Marg Pushkar – pokój typu twin deluxe (www.gulaabniwaas.com), cena za pokój dwuosobowy – 4200 Rp x 3 noce = 12 600 Rp (ceny wyższe z uwagi na odbywający się w tym czasie Blue Lotus Festival).

Nepal (ceny w rupiach nepalskich)

Wiza na mniej niż 15 dni – 25 USD; otrzymuje się ją na lotnisku.

Wymiana (02.2013): 1 USD = 85 Rp.

Opłaty za wstęp i wycieczki:

Wstęp do Chitwan NP. – jeden dzień – 1500 Rp/osobę; wycieczki organizowane – przejazd dżipem po Chitwan NP. – za pół dnia od 13.00–17.30 – 12 500 rp (4–6 osób) – zapłaciliśmy 6250 Rp za 2 osoby; przejażdżka na słońcu przez 2 godziny po terenach Chitwan NP. – 1850 Rp/os. (jeśli się nie zakłada, iż tylko dla 2 osób, bo wtedy kosztuje dla 2 osób 6000 Rp); przepłynięcie łódką po rzece (canoe trip) – mieści się w łódce do około 10 osób i wizyta w Elephant Breeding Centre (cena wliczona w wycieczkę) – 1750 Rp/os. – do wszystkich tych cen doliczono nam 13% podatek VAT;

Pokhara – wejście na teren Seti River Gorge – 23 Rp, wejście na teren Devi's Fall – 20 Rp, Gurkha Memorial Museum Nepal, Pokhara – 150 Rp, robienie zdjęć – 10 Rp, kręcenie filmu – 50 Rp, International Mountain Museum, Pokhara – 300 Rp;

Bhaktapur – wejście na teren starego miasta – 1100 Rp; Bhaktapur – National Art. Museum – 100 Rp, opłata za robienie zdjęć aparatem fotograficznym – 50 Rp; Kathmandu – wejście na teren Durbar Square – 750 Rp, w tym wstęp do pałacu;

Patan – wejście na Durbar Square – 500 Rp, ale za wejście do Muzeum Patan – dodatkowo 250 Rp (warto); Swayambhunath – wejście – 200 Rp.

Wyżywienie:

Restauracja: – ceny netto – zupa szpinakowa, pomidorowa – 190 Rp, Dal Makhani 225 Rp, Spagetti – 325 Rp, woda mineralna – 1 litr 50 Rp, 0,33 l Fanta – 60 Rp, Barahi Veg Thali – 450 Rp, duży dzbanek herbaty – 155 Rp, Chicken Tikka Lababdar – 450 Rp (do tego należy dodać dodatek za usługę 10% i VAT 13%), czyli ceny brutto są większe niż podane wyżej o 23%.

Noclegi:

Katmandu – Kathmandu Eco Hotel, Thamel Bhagwaitbahal – cena za pokój dwuosobowy twin deluxe – wliczone podatki (13%) i opłata serwisowa (10%) – 70 USD; Hotel Barahi Pokhara, Barahi Path, Lake Side, Pokhara-6, www.barahi.com, cena za pokój 105–135 USD, Hotel Teh Shanker Hotel Katmandu – 105 USD (z wliczonymi podatkami) www.shankerhotel.com.np.

Transport:

Taxi – okolica Pałacu Narayanhiti – lotnisko – 600 Rp, ta sama okolica – Patan-Durbar Square – i z powrotem z oczekiwaniem około 2–3 h – 1600 Rp.

RELACJA Z PODRÓŻY

10 lutego – niedziela

Celem naszego przylotu do Indii był udział w organizowanym po raz pierwszy festiwalu naszym znanym Blue Lotus Festiwal, który miał się odbyć w Puszkarze. Zanim jednak tam mieliśmy dotrzeć, zaplanowaliśmy kilkudniowy przejazd trasą Żółtego Trójkąta: Delhi-Agra-Jaipur. Dla mnie to był już czwarty pobyt w Indiach, natomiast dla mojej żony Grażyny miał to być jej pierwszy raz na tym subkontynencie.

Po siedmiu i pół godzinach lotu wylądowaliśmy już po północy na lotnisku w Delhi. Od mojego ostatniego pobytu w Delhi przed 4 laty zaszły spore zmiany. Lotnisko znacznie rozbudowano i unowocześniono. Kontrola paszportów przebiegała dość sprawnie. Na lotnisku czekał na nas jeden z pracowników firmy Travel Designer Group. Część zaliczki już wpłaciłem z wielkimi trudnościami przez system Pay Pal. Mieli oni nam zorganizować w pierwszym tygodniu pobytu w Indiach przejazd samochodem, noclegi i na końcu zwiedzanie Delhi. Klucząc samochodem ciemnymi uliczkami, dotarliśmy do zarezerwowanego przeze mnie hotelu Grand Sarwan w pobliżu lotniska. Następnego dnia rano rozliczyłem się finansowo z chłopakiem z Travel Designer Group, który nas przywiózł. Wręczył mi on vouchery na hotele po drodze do Puszkary i obiecał, iż w najbliższą sobotę ktoś od nich będzie na nas czekał na dworcu kolejowym w New Delhi.

11 lutego – poniedziałek

Recepcja zaś była zwykłym biurkiem, przy której urzędował, a w zasadzie drzemał wąsaty jegomość. Będąc jeszcze na lotnisku, wymieniłem jedynie 150 dolarów, gdyż resztę po korzystniejszym kursie miałem wymienić w biurze firmy Travel Designer Group. Ale jak to w Indiach, wszystko się zmienia. Właściciel firmy, z którym najczęściej korespondowałem, był chwilowo nieobecny. Ale usprawiedliwienie było niepodważalne. Miał właśnie swój ślub i do pracy miał wrócić po „honeymoon” we wtorek. W hotelu o godzinie ósmej rano miał na nas czekać już kierowca, ale przyszło nam na niego trochę poczekać. W hotelu mogłem wymienić dolary, ale po nieco niekorzystnym kursie, czyli 48 rupii za dolara. Wpierw jednak musiałem wyłożyć gotówkę, następnie wąsaty jegomość słał umyślnego na motocyklu, i za kolejny kwadrans miałem już upragnione rupie. Nasz kierowca, poganiany przez telefon, zjawił się z półgodzinnym opóźnieniem. Mogliśmy ruszyć w Indie, które stały przed nami otworem.

W Agrze mieliśmy być za około 4–5 godzin. Niełatwo jednak było wyrwać się z Delhi. Jechaliśmy obrzeżami miasta. Gdzie tylko były jakiegokolwiek światła czy skrzyżowanie, galimatias na naszej drodze przybierał swoje ostre, indyjskie formy. Każdy próbował się choć trochę wyrwać do przodu, zajechać komuś drogę, zdobyć kolejne metry czy centymetry w tej walce. Do tego jeszcze na drodze wałęsali się jacyś piesi czy krowy, po prostu chaos na całego. Południowa część Delhi – dzielnica Gurgaon przeżywa swój boom. Mijaliśmy nowoczesne bloki czy centra handlowe, które sąsiadowały z szalarami bezdomnych i pustymi przestrzeniami. Brukowane chodniki nie istniały, istniała ziemia niczyja, gdzie wciąż ktoś ryje jakieś rowy, doły, rzuca wszystkie śmieci. A w dobie plastiku było ich coraz więcej. Krowy – czyścicielki tego nie zjedzą, a miotły Hindusom służą bardziej, aby jeszcze więcej zakurzyć, niż cokolwiek sprzątnąć.

Po dobrych dwóch godzinach jazdy wydostaliśmy się na czteropasmową szosę łączącą Delhi z Agrą. Kierowca w Indiach jest absolutnie niezbędny. Nie wiem nawet, czy

cudzoziemcom pożyczono by samochód na jakichś przyzwyczajonych warunkach. Specyfika jazdy w mieście to jedna rzecz, ale nawet na takiej „prawie autostradzie” zdarzają się różne niespodzianki. Droga czasem przebiegała przez miasteczko, gdzie oczywiście nie było żadnych bezkolizyjnych skrzyżowań czy jakichkolwiek świateł. Zbawienne są wtedy zwalniające „garby policjanta”, których jest w każdej miejscowości zatrzęsienie. Do tego często w pobliżu miasteczka nikomu się nie chce nadkładać drogi, jadąc właściwym pasem, i co chwilę ktoś jedzie pod prąd. To prawie norma, norma indyjska. A że sztuka kierowania samochodem to umiejętność przewidywania, więc najlepiej jak przy kierownicy siedzi jednak człowiek stąd, którego nic nie zadziwi.

Agra i Taj Mahal. To był nasz cel. Zanim tam dojechaliśmy, nasz troskliwy opiekun z Travel Designer Group przedzwonił, troszcząc się, czy nam czegokolwiek nie potrzeba. Trzeba przyznać, iż czynił to codziennie, co niewątpliwie podnosiło w naszych oczach rangę jego firmy. Zaproponował nam też usługi przewodnika, który podobno miał nas nic nie kosztować. Ale to tylko teoria. Proponowany młodzieniec wsiadł do naszego samochodu już w Agrze. Zapewniał nas, iż możemy spokojnie dalszą drogę kontynuować nawet w godzinach wieczornych, gdyż droga do Dżajpuru jest znakomita. Był hiper... hiperentuzjastyczny. Ale wejście do Taj Mahal to cała skomplikowana procedura, którą trzeba wcześniej dokładnie zaplanować.

Cena nie zmieniła się. Nadal obowiązywało 750 rupii dla cudzoziemców, którzy dzięki temu mają jakieś tam swoje przywileje. Mogą otrzymać ochraniacze na buty i butelkę wody. Można było wnieść aparat fotograficzny czy nawet kamerę wideo, za którą trzeba osobno płacić za filmowanie i to tylko z platformy przy bramie. Znacznie dłuższa była lista rzeczy, których nie można było wносить. Nie sposób było ich spamiętać, na pewno niczego co nadawało się do spożycia.

Z miejsca, gdzie wysiedliśmy z samochodu, do Taj Mahal było około 800 metrów. Jak nie jest za gorąco, a dysponuje się czasem, nie trzeba wcale korzystać z riksy czy wózka ciągniętego przez wielbłąda. Zresztą towarzystwo jakiegokolwiek Hindusa, czy to znajomego czy też wynajętego przewodnika sprawia, iż ma się spokój z natrętnym ofiarowywaniem wszelkich usług. Ale liczba turystów, w tym i zagranicznych, była przeogromna. Stąd też i proporcja tych naprzykrzających się do ich ofiar była całkiem znośna. Nie byliśmy ich ostatnią życiową szansą w tym dniu.

Przed pierwszą bramą długi sznur Hindusów oczekiwał cierpliwie ceremonii sprawdzania przez bramki. Dla cudzoziemców była krótsza ścieżka. Niestety, laptop okazał się być przedmiotem niedozwolonym i nasz przewodnik odniósł to do zamykanej na kluczyk skrzynki. Była godzina piętnasta, do zachodu słońca było niecałe 3 godziny, ale zwiedzających było zatrzęsienie. Dziennie odwiedza Taj Mahal około 30 tysięcy osób. Próbowaliśmy dostać się do wnętrza mauzoleum, gdzie znajdują się dwie marmurowe cenotafy. Nie było łatwo ani wejść, ani też i wyjść. W uszach miałem tylko ciągłe gwizdanie strażników próbujących bezskutecznie opanować ten chaos. Jeszcze przed zachodem słońca dotarliśmy w pobliże Bharatpur, gdzie znajdował się hotel Kadam Kunj, wybrany i opłacony przez naszą agencję. Po chaotycznej i głośniejszej Agrze, znaleźliśmy tutaj wreszcie upragniony spokój.

12 lutego – wtorek

Budzik w komórce zaterkotał w parę minut po szóstej. Ale za oknami było wciąż ciemno. Nasz kierowca zawiózł nas tam tuż po świcie. Cena za wejście 400 rupii, a wy-

najęcie przewodnika to dodatkowy koszt 750 rupii. Najtaniej wyszły rowery, po 40 rupii, ale ich jakość nie poprawiła się od czasów, gdy byłem tu po raz pierwszy w 2002 roku.

Mogliśmy się tylko pocieszać, iż nie ruszamy tym dwuśladem w Tour de France czy Wyciąg Pokoju. Przed ponad dziesięcioma laty była susza i gdzieś tam tylko na pół wyschnięte bajory. Ale obecnie było lepiej. Wody było w bród, a więc i ptaki dopisywały. Oczywiście najwięcej wody jest w czasie monsunu – od lipca do sierpnia. Wtedy też jest okazja, by zwiedzać park, płynąc łodzią. W pobliżu znajduje się ujście dwóch rzek: Ganbhir i Banganga, skąd wodę kieruje się na rozlewiska i mokradła Keloadeo.

Dróżki stopniowo się zapełniały odwiedzającymi. Niektórzy wybierali rower, ale większość korzystała z rowerowych riks. Bywały i rikse tylko z jednym pasażerem, gdyż obok na siedzeniu spoczywały wielkie bagaże z olbrzymimi teleobiektywami. Bo Keloadeo o tej porze roku ściga nie tylko ptaki z północy i południa, ale również spędzających tu wiele dni ornitologów i zapalonych „ptasich” fotografów. Robiło się coraz tłoczniej, a nam spieszyło się na śniadanie, które miało na nas czekać do dziesiątej rano. Wsiadliśmy więc na nasze skrzypiące rowery i wróciliśmy do bram parku.

Krajobraz po drodze do Dżajpuru był monotony, ale przez te dziesięć ostatnich lat główne drogi się zmieniły. Aż do Dżajpuru jechaliśmy drogą szybkiego ruchu o czterech pasach, aby od czasu do czasu zatrzymać się po drodze w miejscach zbudowanych dla zorganizowanych turystów, którzy masowo zwiedzają Indie, pokonując trójkąt Delhi–Agra–Dżajpur. Obowiązkowo w takim miejscu jest sklep z pamiątkami, bar-restauracja i toalety dla turystów. Było to też obowiązkowe miejsce spotkań kierowców wożących tych turystów. Czy chcieliśmy lub nie, to zawsze czekała nas przeprawa na pogawędkę pomiędzy szoferami.

Popołudniową porą wjechaliśmy do Różowego Miasta – Dżajpuru. Chaos w tym miejskim krajobrazie był do przewidzenia. Aż cud, iż przez miasto przedzieraliśmy się nie dłużej niż pół godziny. Pałac maharadzy był więc dla nas oazą spokoju przed tym zgiełkiem, choć i tu zwiedzających były całe rzesze. Oprócz samego pałacu zaglądnęliśmy też na teren obserwatorium astronomicznego wybudowanego przed 300 laty. Aby tam wejść, należało wyjść z pałacu i znaleźć drogę biegnącą do tego obiektu. Wszystko byłoby wspaniałe na terenie tego obserwatorium, tylko po co ten gwizdek za pięć piąta. Hinduscy strażnicy skutecznie nas wszystkich przepłoszyli i to jeszcze zanim cień rzucany przez cienki pręt na tarczę precyzyjnie wskazał piątą po południu – moment zamknięcia obiektu.

Trzecią wielką atrakcją Dżajpuru – Pałac Wiatrów – musieliśmy odłożyć na następny poranek. Pojechaliśmy wreszcie spocząć w hotelu Umhaid Bhawan Palace zarezerwowanym przez nasze biuro. Zbudowano ten hotel przed kilkunastu laty, ale zarówno wystrój wnętrza, jak i przebogate sztukaterie czy kapiąca od zbytkownych ozdób zewnętrzna bryła budynku były imponujące. Równie wystawna okazała się być i kolacja na dachu hotelu. Gdzieś w oddali, niczym szum wiatru dochodziły dźwięki klaksonów, pyrkających aut.

13 lutego – środa

Z bagażami ruszyliśmy w dalszą podróż. Z samego ranka zawitaliśmy do Pałacu Wiatrów (Hawa Mahal), którego pięciokondygnacyjna fasada jest jednym z najczęściej fotografowanych miejsc w Indiach. Niektórym przypomina gigantyczny plaster miodu pomalowany na kolor ceglasto-różowy, inni zaś widzą w tym koronę boga Kryszny.

Aby tam się dostać, wejścia musieliśmy poszukać na bocznej uliczce od tyłu budowli. Nie zapomnieliśmy również o zachowaniu do kontroli łączonego biletu zakupionego dzień wcześniej w Obserwatorium Astronomicznym, który był ważny też na Pałac Wiatrów. Wdrapaliśmy się na te pięć kondygnacji i mogliśmy poczuć się jak te damy hare-mowe spoglądające na zatłoczoną ulicę przez któreś z 953 małych okienek.

Kilkanaście kilometrów dalej, gdy precyzyjnie się przez malowniczy przesmyk skalny, ujrzyliśmy na pobliskiej górze Amer Fort. Można to też wymawiać jako Amber Fort, co nieodmiennie się kojarzy z zesłorocznym upadłym parabankiem. Ale pałacowi maharadzów nie grozi żadne bankructwo. Turystów było mnóstwo, i to oni musieli się ustawić w kilometrową kolejkę, aby po pół godzinie oczekiwania wsiąść na słońia i triumfalnie wjechać w mury potężnej warowni. Spory tłum nie pozwalał zapomnieć, iż znajdowaliśmy się w tzw. Złotym Trójkącie Turystycznym: Delhi – Agra – Dżajpur. Podobno rocznie przybywa tutaj prawie półtora milionów turystów, co daje dziennie przyływ ponad pięciu tysięcy odwiedzających. Przynajmniej połowa ma ochotę wjechać na słońiu i jak się ich rozstawi czwórkami na słoniowym siodle, to słońie muszą co najmniej wykonać ponad pięćset kursów.

Pozbyliśmy się swojego samochodu, który miał na nas czekać przy wyjściu z fortu, ale nie uśmiechało się nam czekanie w kolejce. Trzeba było znaleźć drogę dla pieszych. Tą, po której człapały słońie, lepiej było się tam nie pchać. Słońie szły jedne za drugim i ani nie myślały, aby ustąpić miejsca. Ale nawet idąc specjalną ścieżką dla pieszych, dwukrotnie trzeba było przejść na drugą stronę słoniowej magistrali. A w Indiach kto większy i silniejszy ma zawsze pierwszeństwo. Sporo się tam naczekaliśmy, szczególnie gdy w grę wchodziło przejście przez bramę – Sun Gate – wiodącą na rozległy dziedziniec pałacowy.

Słońie bynajmniej nie miały ochoty ustąpić pieszemu w bramie. Codziennie wdrapują się na tę pałacową górę, aby tam pozbyć się pasażerów i następnie już bez zbędnego balastu zejść w dół, gdzie w końcu czekał ich zasłużony odpoczynek. Czasem wracały kilkanaście kilometrów do swojej stajni gdzieś pod Dżajpurem.

Pałac stanowi labirynt schodków, korytarzy, komnat, bram. Dziedzińców jest cztery, każdy z nich na coraz wyższym poziomie. Wchodząc po kolejnych schodach, wkraczaliśmy z przestrzeni publicznej do prywatnej dawnych władców. Symboliczną granicą była Brama Ganesi, hinduskiego boga o głowie słońia, który usuwał swoim wiernym wyznawcom wszelkie przeciwności losu. Po zwiedzeniu ruszyliśmy drogą szybkiego ruchu z Dżajpuru aż do samego Adżmeru. Stamtąd do Puszkaru dzielił nas tylko kilkanaście kilometrów jazdy. Centrum Puszkaru – wielkiego centrum pielgrzymkowego Hindusów – stanowi święte jezioro. Tam każdy pielgrzym może zejść po schodach, czyli ghatach i wykąpać się w nim, aby zmyć swoje grzechy. Ale dla takich jak my – nie-Hindusów nie było łatwo wjechać do Puszkaru. Na granicach miasta grupka mężczyzn skutecznie kontrolowała ruch. Tylko miejscowi mogli wjeżdżać bez przeszkód. Naszego kierowcę zatrzymano, dopóki nie wykupił się kilkudziesięcioma rupiami.

Blue Lotus Festiwal był jednym z naszych głównych celów tego wyjazdu. Odnaleziony kiedyś w „Zwierciadle” z listopada 2012 roku artykuł o tym festiwalu rozpalił moją wyobraźnię. Taki był zaczyn naszej lutowej wędrówki. Przez Internet wykupiłem bilety na spektakle poranne, popołudniowe i wieczorne przez pierwsze trzy dni. W tym dniu nasz kierowca podwiózł nas na miejsce zbiórki, Mela Ground. Dobrze, że zaraz nie

odjechał. Było pusto, ciemno. Prawie godzinę od planowanego spotkania uczestników w tym miejscu pojawiło się jakieś kilka aut i wysypało się z nich kilkudziesięciu uczestników Blue Lotus Festival, w tym i gwiazda tego wieczoru, Raza Khan, uprawiającego muzykę sufich. Zapakowaliśmy się wszyscy na wózki ciągnięte przez wielbłądy i tak się zaczęła nasza muzyczna podróż na wydmy.

Miejsce było wyborne. Trochę wprawdzie wiało, ale prawie na każdego widza czekało łożo z poduszkami. Bo najlepsza pora na słuchanie muzyki to pierwsze godziny nocy, gdy świeci księżyc i milknie gwar uliczny.

14 lutego – czwartek

Wczesnym rankiem pomknęliśmy do położonego z drugiej strony miasteczka centrum festiwalu – kompleksu hotelowego Ananta Spa & Resorts, gdzie odbywały się poranne i popołudniowe koncerty. Tuż po obiedzie był codziennie wyjazd do świątyni w centrum miasteczka, gdzie odbywał się darmowy występ. W godzinach popołudniowych po raz kolejny dwa lub trzy zespoły grały na świeżym powietrzu w Ananta Spa Resorts; wieczorem zaś kolejna mobilizacja na „muzyczne wydmy”.

Ze spodziewanych tysięcy widzów na koncertach w hotelu bywało kilkanaście czasem kilkadziesiąt słuchaczy. Wyglądało na to, iż słuchaczy było mniej niż tych 350 ściągniętych muzyków z całych Indii. Ale bilety po 40 USD za osobę na cały dzień to było za drogo dla samych Hindusów. Wśród gości zagranicznych grupa z Polski była chyba najliczniejsza. Wieczorem zaczęło się jak dnia poprzedniego. Wielbłądy pociągnęły dwukołowe wózki, była ta sama scena i relaksujące łoża dla widzów. Konferansjerka, tak jak co dzień, założyła kolejne, olśniewające, kolorowe sari. W połowie drugiego występu nagle wszystko ucichło. Przyjechał gazik z kilkoma policjantami, którzy zarządzili zamknięcie koncertu na wydmach. Dlaczego, dlaczego? Krążyły różne wersje. A to, że znalazł się jakiś właściciel tego pustkowia, i przypomniał sobie, że nikt mu za to nie zapłacił. Inni zaś mówili, iż pewnie zbliża się pustylna burza i policja próbowała nas ostrzec. Ale byli i tacy, co uważali, iż policja nie otrzymała swej doli i szuka okazji na pokazanie swojej władzy, że o niej nie należy zapominać. A na władzę nie ma mocnych. W połowie koncertu wróciliśmy do hotelu, grubo, grubo przed północą. Przynajmniej można się było wyspać.

15 lutego – piątek

Pogoda była nadal wymśniona. Nic dziwnego. Przecież była to pora sucha. I do tego Radzastan, przylegający do Pustyni Thar. Na przedpołudniowym koncercie w Ananta Spa na scenie wystąpili Baul Fakirs, w świątyni zaś w centrum Puszkaru w porze obiadowej była muzyka z Radzastanu. Gdzie pojedziemy wieczorem? To była wciąż niewiadoma. Organizatorzy mieli spory orzech do zgryzienia po tym policyjnym incydencie na pustyni. Wieczorne występy odbyły się w końcu w zupełnie innym miejscu, na terenie hotelu Pushkar Fort położonego parę kilometrów od miasta. Tym razem mieli wystąpić ci muzycy, którym policja uniemożliwiła występ poprzedniego wieczoru na pustyni. Nosili za sobą chyba jakieś fatum, gdyż po kwadransie muzykowania nagle zerwała się wprost tropikalna burza i wszyscy schronili się pod dachem. Trzeba jednak przyznać, iż pomimo tylu przeszkód koncert jednak się odbył.

16 lutego – sobota

Pora było wynieść się z Gulab Niwaas Palace. Nasz kierowca zawiózł nas z bagażami do centrum festiwalowego. Miały być tam przed południem dwa koncerty, ale

zmienna pogoda pokrzyżowała szyki organizacyjne. Sobotnie poranne występy odbywały się w małej salce. Żał było nam wyjeżdżać, tak nam ta atmosfera festiwalowa przypadła do gustu.

Nasz kierowca zawiózł nas tylko z Puszkaru do Adżmeru na stację kolejową, gdzie przekazał nas w ręce tragarza. Za 150 rupii miał się nami zaopiekować. Zaniósł on nasze bagaże do poczekalni, a po pewnym czasie wniósł je nam do naszego wagonu. Zgodnie chyba z angielskim zwyczajem – podobnym do spotykanego w Kenii – nasze nazwiska mogliśmy odczytać na liście przywieszonej na wagonie.

Wagon swoje lata miał. Podobnie jak i jego angielscy pasażerowie słusznego wieku, którzy przypominali nam bohaterów filmu „Marigold Hotel”. Za 17 dolarów kolej hinduska nie tylko przewiozła nas z Adżmeru do Delhi, ale i każdego karmiła bardzo obficie, co by nam wystarczyło na dwa dni. Po obfitych frykasach w Ananda Resort nie byliśmy w stanie prosić o jakąkolwiek dodatkę ani nawet spróbować kęsa z kolejowej kuchni.

Po 6 godzinach jazdy, nieomal punktualnie pociąg wjechał na stację New Delhi. Nie mogę złego słowa powiedzieć na temat biura, które nas obsługiwało. Czekał na nas ich przedstawiciel już przy peronie. Następnego dnia miał jakiś kierowca od nich przyjechać i pokazać nam Delhi. Hotel Shanti Palace, w pobliżu lotniska, zewnętrznie nie imponował jakimś przesadnym luksusem, ale pokoił był wygodny.

17 lutego – niedziela

Trudno było przewidzieć, iż w porze suchej Delhi powita nas mżawką. Ale po piątkowej ulewie w jednym z najsuchszych miejsc w Indiach nic nas nie mogło zadziwić. Gęste chmury zasnuły się nad miastem, a prognoza pogody na ten dzień nie brzmiała optymistycznie.

Okutani w kurtki odnaleźliśmy, już nieco zniecierpliwieni tą niepunktualnością, naszego nowego kierowcę pod hotelem. Siedział sobie w samochodzie, nie afiszując swojej obecności. Był jeszcze bardziej ściszony niż nasz poprzedni kierowca, a kontakt z nim jeszcze trudniejszy. Musieliśmy więc przyjąć go takiego, jakim był. Przynajmniej wiedział jak dojechać do India Gate, mającego takie samo znaczenie symboliczne jak dla nas Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Deszcz siępał, więc najlepszym pomysłem było zwiedzenie jakiegoś muzeum pod dachem. Indira Gandhi Memorial Museum było wspaniałym wyjściem na taką pogodę. Wstęp jest wolny, ale jak to często bywało, obowiązywała kontrola rzeczy osobistych; nie można było wносить żadnej żywności czy napojów.

W środku były całe tłumy zwiedzających, przede wszystkim Hindusów. To miejsce, to muzeum ma bowiem dla nich symboliczne znaczenie. Indira Gandhi była premierem Indii przez ponad 15 lat od 1967 do 1977 i następnie od 1980 do 1984 roku. Wybrała ona sobie na swoją rezydencję ten względnie nieduży, biały, parterowy dom. Po jej tragicznej śmierci został on w jakiś czas później zamieniony w muzeum. Dalsze zwiedzanie Delhi stało jednak pod znakiem zapytania. Naszemu kierowcy podczas oczekiwania na nas udało się wrzucić kluczyki do bagażnika, a następnie zamknąć auto. Patrzył tylko błędnym wzrokiem na te kluczyki za szybą i zachęcał nas do cierpliwości. Próby otwarcia innymi kluczykami pożyczonymi od innych kierowców spełzyły na niczym.

Wreszcie pożyczył od kogoś inny samochód i zawiózł nas do Mauzoleum Humajuna, pierwowzoru Taj Mahal. Stopniowo się rozpogadzało. Mauzoleum to chyba jed-

no z najlepszych miejsc do zwiedzania w Delhi. Budynki stanowią kombinację czerwonego piaskowca i białego marmuru w stylu perskim, nie tak jak śnieżnobiały Taj Mahal. A do tego ciągle się coś jeszcze nowego dobudowuje, jak np. turkusowe wieżyczki na szczycie budowli. Nie było już takich tłumów jak w Agrze, nikt nie gwizdał przy wchodzeniu do wnętrza mauzoleum, bo i po co. Gdy zakończyliśmy zwiedzanie i wróciliśmy na parking, czekał na nas już kierowca, tym razem już ze swoim samochodem. Kosztowało go to tysiąc rupii, bo tyle warta była wybita boczna szybka. Na domiar wszystkiego wczesnym rankiem na parkingu padł jeszcze ofiarą innego użytkownika dróg, który mu wgniół boczne drzwi auta. Był więc na pewno w tym dniu mocno stratny. Ale w Indiach mało kto wzywa policję. Rano wziął od winowajcy zwitek banknotów i być może na tym zdarzeniu wyszedł nawet na plusie, ale z wybitej szybki swojemu szefowi się już chyba nie wytłumaczy.

Ogrody Lodi są warte polecenia, szczególnie właśnie w niedzielę, gdzie wielu mieszkańców Delhi przyszło się rozkoszować coraz lepszą pogodą. Patyny i dostojęstwa nadają tej oazie zieleni w New Delhi dawne grobowce władców Delhi z XV wieku. Jaka tylko szkoda, iż czasu mieliśmy tak mało. Kierowca dał nam jedynie 20 minut, abyśmy mogli jeszcze zobaczyć przed zamknięciem położony dalej na południe kompleks Qutb Minar. Nawet w niedzielę korki były spore, ale udało się dotrzeć we właściwym czasie. Przed wejściem do zespołu Qutb Minar tabliczki ostrzegają, iż prawie niczego nie można wnosić, w tym również żadnych toreb. Ale jedyne co sprawdzają przy wejściu to bilety, a bramka do wykrywania metali jest już tylko zwykłą bramką, która jednak prawie stale piszczy, bo to jedyne przejście. Taka jest i praktyka w prawie każdym z lepszych hoteli, które coś takiego były zobowiązane zainstalować, ale nikomu nie przychodzi do głowy, aby to używać.

Na lotnisku przy stanowisku Jetstar byliśmy ponad dwie godziny wcześniej. Lot do Katmandu nie trwa dłużej niż półtorej godziny. Wiza do Nepalu na 15 dni kosztuje na osobę 25 dolarów, ale jeszcze trzeba mieć zdjęcie. Jak ktoś nie jest zapobiegliwy, to płaci kolejne 300 rupii indyjskich za 2 zdjęcia zrobione na poczekaniu. Na lotnisku już na nas czekał chłopak z Eco Katmandu Hotel, gdzie mieliśmy zarezerwowane miejsce. Droga z lotniska do hotelu to już nie była jazda trzypasmową autostradą, ale podskakiwanie na jakichś wertepach. Nasz hotel mieścił się w dzielnicy Thamel, która tuż przed północą jeszcze się w najlepsze bawiła.

18 lutego – poniedziałek

Katmandu jest bramą wjazdową dla większości przybywających do Nepalu. Brzmi zawsze z odrobiną tajemniczości, ale ten czar szybko mija, gdy wjedziemy taksówką na którąkolwiek z ulic wypełnioną po brzegi wszystkim, co terkocze, jeździ, wzniesia kłęby dymu. Zanim jednak wyjechaliśmy, wziął nas do biura First Environmental Trekking (P.) Ltd., czyli jakiś brat czy swat kogoś z hotelu; zaczęliśmy negocjacje szczegółów biznesowych naszej wędrowki przez Nepal. Koniec końcem otrzymaliśmy do swojej dyspozycji samochód z kierowcą i przewodnikiem, który miał nas zawieźć z Katmandu do Chitwan, następnie do Pokhary i z powrotem do Katmandu. Oczywiście według dyrektora tej firmy wszystko było znacznie poniżej kosztów, omal wyglądało, że dokładał do tego interesu. Ale liczby były spore. Wpierw wolałem wiedzieć, ile sobie życzy za sam transport bez jakichkolwiek kosztów za hotele. Wyszło na 500 USD za sześć dni podróży z kierowcą, choć do tego jeszcze miał być wliczony przewodnik, który miał nam

służyć swoim doświadczeniem podczas całej podróży. Potem zaczęły się kolejne koszty. Dobry hotel Bahari w Pokhara miał kosztować 135 USD za jedną noc, a druga noc była warta 105 USD, hotel na szczycie w Sarangkot oraz transport innymi samochodami w okolicach Pokhary kosztować miał dodatkowo około 120 USD. Do tego jeszcze wycieczka za 42 USD w okolice Kathmandu.

Trochę zmitrężyliśmy czasu w tym biurze. Pora było ruszać w obiecaną wycieczkę w miasto. Katmandu jest największym miastem w Nepalu. Położone w kotlinie, co przy tych setkach tysięcy pyrkających pojazdach powoduje, iż nie można tam mówić o zdrowym, górskim powietrzu. W ostatnich latach, w sposób dość chaotyczny zamienił się w sporą, milionową metropolię. Gdy do tego dodać sąsiadujące miasteczka i miasta, to ludność aglomeracji tego miasta należy szacować na dwa i pół miliona. Zdążyliśmy zobaczyć największą stupę Azji – Bodhnath oraz położoną w innym miejscu świątynię Pashupatinath – główne sanktuarium hinduizmu. Cena za wstęp była tam znacznie wyższa dla cudzoziemców – wynosiła 500 rupii za osobę i nie dotyczyła wejścia do świątyni. Albowiem tam mają prawo wejść tylko wyznawcy hinduizmu, czyli miejscowi. Turystom pozwolono zaś oglądać wszystko albo z zewnątrz albo z wysokich tarasów (Wzgórza Mrigasthali). Zanim przekroczyliśmy most na rzece Bagmati – po jej drugiej stronie zobaczyliśmy kilka stosów pogrzebowych. Spoczywały na nich ciała zmarłych przykryte pomarańczowym całunem z nagietków lub, już podpalone, z których unosił się gęsty dym. Tuż za mostem natrafiliśmy na kolejną grupę samych mężczyzn niosących na marach ciało zmarłego okryte szatą, którą posypywano pomarańczowymi płatkami nagietek. Przy wyjściu nie omieszkałem sfotografować czteroosobową grupkę sadhu, którzy, siedząc na ławce, aż zapraszali do zrobienia zdjęć. Oczywiście za wolne datki. Cenę można jednak negocjować i sto rupii po czterokrotnie większej sumie wyjściowej też zaakceptowali.

Po powrocie do samochodu okazało się, że nastąpiła niespodziewana zmiana planów. Następnego dnia miały się odbyć w całym kraju protesty i strajki inspirowane przez partię opozycyjną, która się wyodrębniła z współrządzącej komunistycznej partii Nepalu i droga z Katmandu na ten dzień miała być zamknięta. Trudno było przełożyć wszystkie już wcześniej zarezerwowane noclegi. Stąd też mieliśmy przerwać nasze zwiedzanie i ruszyć późnym popołudniem do Parku Chitwan, gdzie planowo mieliśmy ruszyć następnego dnia o poranku.

Nasz dyrektor biura ustalił już nocleg w innym hotelu na tę noc, ale oczywiście musiałem dopłacić sumę 6000 rupii (4000 rupii za hotel, a 2000 rupii pewnie dla kierowcy i przewodnika, którzy mieli być w drodze jedną noc dłużej i też mieli gdzieś tam spać) i po szybkim lunchu ruszyliśmy w drogę. Po godzinie było już zupełnie ciemno, zaś samochodów, szczególnie tych ciężarowych, wielkie zatrzęsienie. Droga z Katmandu w pierw wznosiła się wysoko w górę – może nawet na 1600 m n.p.m., aby po dwóch czy trzech godzinach zjechać na około 400 m n.p.m. Szosa była wąska, w wielu miejscach w bardzo złym stanie (podobno z powodu pory monsunowej, która się skończyła już pięć miesięcy temu), nasz kierowca czasem wyprzedzał ślimaczące się wielkie ciężarówki buchające ciemnym, a niekiedy prawie czarnym dymem, naciskając klakson do dechy, aby ostrzec tych z przeciwka. Nieraz i nas mijano, i to autobusy, których o takie przyspieszenie bym nigdy nie podejrzewał. Ale one miały swoją masę i przez swą wielkość łatwiej je było zobaczyć z naprzeciwka. Na miejscu byliśmy około 22.30, czyli po

prawie sześciogodzinnej jeździe. Sporą niespodzianką okazał się hotel na skraju miejscowości Sauraha. Tuż przed północą była wciąż ciepła woda i znacznie lepsze warunki niż w poprzednim Eco Hotel.

19 lutego – wtorek

Po śniadaniu wzięliśmy bagaże i przejechaliśmy miejscowym transportem do wcześniej zarezerwowanego za 55 USD za noc Sapana Village Lodge. Obiekt był naprawdę godny polecenia. Mieszkaliśmy na piętrze w domkach wolno stojących, bardzo gustownie urządzonych, a menadżer ośrodka czynił wszystko, aby nam dogodzić. Zbudowano go podobno z pomocą przyjaciół z Holandii, toteż i goście często trafiają z tego kraju. Za naszego pobytu prawie połowa gości pochodziła z Holandii. Nie ma się co dziwić, że tam przyjeżdżają. Okolica była prześliczna. Rankiem gęste mgły opalały rzekę, aby odślonić się zawsze punktualnie za piętnaście ósma.

Z tarasu restauracji, gdzie spożywaliśmy śniadanie, rozciągał się widok na leniwie płynącą rzeczkę i miejscowych wieśniaków, łowiących w niej ryby. Stanowiła też miejsce kąpieli słoń, zawsze pomiędzy 11 a 12, zwykle z aktywnym udziałem gości ośrodka. Żelaznym punktem kąpieli było, oprócz szorowania samego słońca, polewanie gości przez słońca. Trąba słońca ma bowiem różnorodne zastosowanie. Tereny parku narodowego Chitwan znajdowały się bardzo blisko naszego hotelu. Spośród licznych ofert składanych przez menadżera ośrodka wybraliśmy na pierwszy dzień jazdę jeepem przez tereny parku. Cena za jeepa za pół dnia wynosiła 12 500 rupii, ale można było się podzielić ceną z Nowozelandczykami, którzy byli naszymi współtowarzyszami. Trwać to miało około czterech godzin (od 13 do 17.30). Naturalną granicę parku Chitwan stanowi rzeka Rapti. Można się przez nią przeprowić wąskimi łodziami, które wydają się, iż za chwilę zatoną, jak wszędzie jeden pasażer więcej. Ale rzeka jest płytka w miejscu przeprawy i suchą nogą przeprowialiśmy się na drugą stronę, gdzie oczekiwał nas już jeep.

Ruszyliśmy, oczekując w każdej chwili, iż przespaceruje po drodze jakieś wielkie zwierzę. W parku zamieszkuje ponad 500 nosorożców i ponad 100 tygrysów. Lista do zobaczenia jest dość długa, ale gęsty las liściasty nie daje nam zbyt dużych szans na spotkanie tych drapieżników oko w oko. Jeep był odkryty, ale mogliśmy czuć się bezpiecznie, szczególnie gdy mijaliśmy wędrujących po dżungli turystów w asyście przewodnika uzbrojonego jedynie w gruby kij. Piesze wędrowki po Chitwan trwają często po 2–3 dni; mają oni wtedy dużo większą szansę na zobaczenie nosorożca czy tygrysa, ale już znacznie mniejszą szansę na ucieczkę przed nimi.

Park jest usiany różnej wielkości zbiornikami wodnymi; przy jednym z nich leżakują i ładują swoje „akumulatory” krokodyle. Wczesne popołudnie to najlepsza dla nich pora na wylegiwanie się w pełnym słońcu. Sporadycznie pokazywały się nam bardzo płochliwe cętkowane jelenie chitwan. Honor parku pełnego zwierzyny ratowały tylko pawie, dla których droga była często miejscem zalotów.

Dobrze przynajmniej, iż w centrum parku znajdowała się tzw. ochronka dla gawiali, bliskich krewniaków krokodyli i aligatorów. Przynajmniej nasze oczy mogły na czymś spocząć. Liczba gawiali katastrofalnie spadła w ostatnich latach, stąd był pomysł na taki ośrodek (Gawial Breeding Centre). Za wysoką siatką trzymane są one od momentu wyklucia z jaja aż osiągną wiek dorosły ok. 5–6 lat. Następnie z powrotem trafiają na wolność. Tuż przed zachodem słońca powróciliśmy nad rzekę i do hotelu. Na pocie-

szenie usłyszeliśmy od napotkanych Holendrów, iż chociaż wzięli jeepa na cały dzień, to też niczego nie udało im się zobaczyć. Ale za to jazda na słońiu była według nich znacznie bardziej ekscytująca. A to mieliśmy w planie już następnego ranka.

20 lutego – środa

Byliśmy umówieni na rozpoczęcie naszej przygody ze słońiem na piętnaście po ósmej, ale spóźniliśmy się o akademicki kwadrans. I być może nadal byśmy się notorycznie spóźniali, gdyby nie menadżer hotelu, który uświadomił nam, iż w Nepalu czas jest inny niż w Indiach. Różnica niewielka o 15 minut, ale wbiło to w dumę tych, którzy kiedyś to wymyślili, iż Nepal jest niepodległym państwem i zasłużył sobie na inny czas niż w Indiach. To nie jedyna ciekawostka co do panującego tutaj czasu. Naszemu przewodnikowi z pewną trudnością przychodziło przeliczanie roku 2013 na ich nepalski kalendarz, który już posunął się do 2069 roku.

Tuż obok naszego domku mieściła się stajnia dla słońi. Wiele ośrodków w miejscowości Sauhara trzyma swoje słońie. Mają one zapewniony ośmiogodzinny dzień pracy. Ze swoimi opiekunami wędrują na miejsce zbiórki w pobliżu rzeki, aby następnie czterokrotnie (rano od 7 do 9 i od 9 do 11 oraz po południu od 13 do 15 i 15 do 17) w czasie dwugodzinnego spaceru po dżungli przewieźć na swoich grzbietach turystów. Zwykle na specjalnym siodle może się pomieścić do czterech osób, ale nasz słoń musiał udźwignąć tylko 3 pasażerów; mnie przypadła jazda w drugim rzędzie, czyli prawie na ogonie. Widok miałem ograniczony, gdyż zamykaliśmy tę całą karawanę liczącą sobie może i piętnaście czy dwadzieścia słońi. W drodze powrotnej nastąpiło nagle wielkie poruszenie w pobliskich zaroślach. Dobrze kilka metrów niżej w krzakach buszowały dwa nosorożce: matka i jej dziecko. Nie miały z nami łatwego życia. Wszyscy chcieliśmy je koniecznie zobaczyć i nosorożce z tej matni same wyjść nie mogły. A więc coś nam się jednak udało, gorzej z nosorożcami, dla których pewnie nie była to pierwszyna.

Popołudniową porą (od 14.30) wyruszyliśmy ponownie. Pływaliśmy łódką wzdłuż Rapti River do ośrodka, gdzie dorastały słońie do wieku dorosłego, pozostając całkowicie na utrzymaniu rządu nepalskiego. Spacer po dżungli z naszym przewodnikiem dał nam przedsmak tego, co mogą poczuć ci, którzy wędrują przez kilka dni. Dzień wcześniej zapytany przez nas przewodnik przyznał się, że tygrysa w swoim życiu widział nie więcej niż siedem razy. Przyciskany do muru dodał, że trzeba by wyjechać podczas eskapady jeepem z trzydzieści razy, aby ujrzeć pana dżungli. I choć kręciliśmy się po tym lesie, szukając jakiejś przygody, to przygoda znalazła sobie jakiś inny adres. Co chwilę natrafialiśmy na liczne kopce termitów na wysokość może i metra, choć nie tak wysokie, jakie kiedyś widzieliśmy w Australii.

W końcu doszliśmy do miejsca, gdzie trzymane są słońie. Głównym celem ośrodka jest wytrenowanie słońi do różnorodnych prac, ale tutaj zajmują się przede wszystkim wożeniem turystów. Początek tego treningu wygląda okrutnie. Mały słoń, w wieku 2–4 lat jest oddzielany od swojej matki i przywiązywany liną i łańcuchami bardzo blisko słupa, ogranicza mu się również jedzenie i picie. Trwa to przynajmniej 3–4 tygodnie. Ale nie ma innej drogi, aby słoń w czasie tego treningu nie uczynił krzywdy swojemu trenerowi, a w przyszłości i turystom.

21 lutego – czwartek

Nepal – według naszego przewodnika Madhu – jest nie tylko nazwą państwa, ale i synonimem Never Ending Peace And Love. Przez ostatnie dni nie widzieliśmy żad-

nego pożytku z naszego przewodnika, który zniknął na cały dzień, ale też nam nie był zbyt potrzebny. Tym razem przed nami były Himalaje. Droga trwała ponad 5 godzin. Już w trakcie jazdy ukazały się przy idealnie czystym niebie białawe szczyty kilku ośmiotysięczników.

W Pokharze hotel Bahari, zaproponowany jako wysoki standard przez nasze biuro, położony był w dzielnicy Lakeside. Do brzegu jeziora Phewa (Fewa) i przystani mieliśmy może z 400 metrów do przejścia. Niedługo potem, tym razem już z naszym przewodnikiem, ruszyliśmy nad wodę. Było słonecznie, ale na wysokości siedmiu czy ośmiu tysięcy metrów nadciągnęły chmury. Można było do woli wybierać w oferowanych łódkach. Przybiliśmy na drugi brzeg jeziora, aby wspiąć się o 300 metrów wyżej do śnieżnobiałej Pagody Światowego Pokoju. Wzniesiona ona była z japońską pomocą, aby szerzyć na świecie pokój. Po godzinie byliśmy na górze. Nagrodą były widoki. W tym momencie szczyty wyłoniły się z otulających je chmur. Ponownie zaczęliśmy poznawać kolejne szczyty Annapurny, którą to nazwą ochrzczono aż cztery wierzchołki (od I do IV w kolejności wysokości, nie usytuowania).

22 lutego – piątek

Niespiesznie opuściliśmy hotelowe pielesze, zostawiając większość bagaży, aby wynajątą taksówką przez naszą firmę udać się w pobliskie góry. Mieszkańcy Pokhary bronią się przed konkurencją z innych miast i miejscowe przepisy nie pozwalają samochodom z innych regionów Nepalu obwozić turystów po okolicach. Tak nam to relacjonował nasz przewodnik. Nasz kierowca mógł więc sobie zrobić wolne przez te trzy dni, bo w góry zawiózł nas jakiś miejscowy taksówkarz. W towarzystwie naszego przewodnika wjechaliśmy wysoko do miejscowości Naudanda, aby przez kolejne 10 kilometrów zrobić sobie przyjemny spacer, czy też nazwijmy to poważniej: odbyć trekking do Sarankot.

Droga była płaska, a co najbardziej nam dokuczało, iż widok śnieżnych szczytów był przed nami ukryty. Za to życie mijanych wiosek mieliśmy jak na dłoni. Żółte pola, bardzo często ułożone tarasowato, o tej porze ukwiecone były gorczycą, z której wytwarza się olej. Minęła już pora monsunu (czerwiec – wrzesień), kiedy sadi się również ryż. Domki były parterowe, czasem jednopiętrowe w zależności od zamożności gospodarzy. Dachy były płaskie i niestety najczęściej przykrywane blachą falistą, szybko rdzewiejącą. Na niej kładzie się ciężkie kamienie, aby pokrycie domu nie poprunęło w stronę dal. Często w tym samym domu na parterze trzymane są zwierzęta domowe, najczęściej kury czy kozy.

Sarankot stanowi kultowe miejsce dla zjeżdżających z całego świata miłośników paralotniarstwa. Najlepsze wiatry w tej okolicy są pomiędzy 11 a 13, stąd niebo aż zaroilo się od różnokolorowych skrzydeł. Aż dziw brał, że przy tej liczbie jakoś rzadko dochodzi do zderzeń w powietrzu. Rozsiadliśmy się na trawie, aby przyglądać się, jak to się wlatuje w niebo. Czasu mieliśmy dużo, bo do zachodu słońca było jeszcze daleko. Mogliśmy trochę podpytać się naszego przewodnika, jak mu się tutaj żyje. Madhu od ponad 10 lat pracował w tej agencji, którą wynajęliśmy. Standardowy dzień na trekkingu to około 4–6 godzin marszu, ale dla Madhu znacznie intensywniejsze chodzenie nie sprawiało trudności. Ale nawet jeśli turyści, którzy zaplanowaną 10-dniową trasę przejdą dwa razy szybciej, to i tak na tym nie oszczędzają. Podczas trekkingu płaci się za wstępy do parków narodowych, np. Annapurny, płaci się tragarzom, stąd ceny trekkingu nie są wcale małe. Panuje zwyczaj, iż za wszystkie napoje ciepłe czy zimne, klient

płaci sam. Biorąc pod uwagę, że w górach trzeba dużo pić, to często turysta płaci więcej za napoje niż agencja za jego wyżywienie i schronisko. Nas to też dotknęło. Zamawialiśmy sobie podwójne herbaty czy wodę mineralną i wyszło nam 800 rupii, choć posiłki w Szerpa Resort mieliśmy wliczone w cenę naszej eskapady.

Po tych wszystkich rozmowach i wynurzeniach naszego przewodnika nadeszła pora wspiąć się na szczyt Sarankotu. Amatorów zachodu słońca coraz więcej przybywało. Część z nich w pobliżu nocowała, a niektórzy przyjechali na ten spektakl z Pokhary, aby o właściwej porze wejść na ten szczyt.

23 lutego – sobota

Wschód słońca miał zupełnie inny scenariusz. Ludzi było wprawdzie równie dużo, ale było też i znacznie chłodniej. Nie od razu weszła zza widnokręgu słoneczna kula, zakryły ją kłębiące się warstwy chmur. Za to co kilka minut każdy z wielkich szczytów stopniowo nabierał jasnych kolorów, na początku położony gdzieś tam hen, hen na horyzoncie Dhaulagiri, a po kilkunastu minutach to zjawisko dotarło nad masyw Annapurny.

Czas było wracać do Pokhary. Była sobota, dzień dla Nepalu świąteczny i dzień wolny od pracy. Toteż w tym dniu wiele osób udaje się o poranku do świątyni z *pują*, czyli ofiarą. Wstąpiliśmy do położonej na wzniesieniu świątyni Bindhya Basini poświęconej Durdze, żonie Sziwy. Niedaleko stamtąd znajdowało się muzeum poświęcone Gurkhom. Ich motto „Lepiej umrzeć niż okazać się tchórzem”, najlepiej oddaje ich waleczność. Z kolei w południowej części miasta postawiono spory budynek będący siedzibą International Mountain Museum. Opowiada ono eksponatami, opisami i makietami o górach Nepalu, jej mieszkańcach i himalaistach. Do 1964 roku zdobyto wszystkie ośmiotysięczniki. Gdy pierwsi polscy himalaiści przybyli w latach siedemdziesiątych do Nepalu, zabrali się za odkrywanie nowych dróg wejścia na poszczególne ośmiotysięczniki czy też wchodzenie w porze zimowej. Śledząc dokładne opisy wejść na różne szczyty, odnajdywaliśmy i polskie nazwiska, uświadamiając naszego przewodnika Madhu, iż Polacy sporo zastrzyżyli się w historii zdobywania szczytów Himalajów.

24 lutego – niedziela

Nie mieliśmy już czego szukać w Pokharze. Wyjechaliśmy z niej wczesnym raniem. Droga do Katmandu zajęła nam ponad sześć godzin. Najtrudniejsze odcinki do pokonania znajdują się już w pobliżu Katmandu. Droga wznosi się serpentynami z doliny rzeki prawie tysiąc metrów wyżej. Przez kilkanaście kilometrów trwały wzdłuż drogi wielkie prace rozbiórkowe. Okazało się, iż rząd, aby móc poszerzyć drogę, co mu się chwali, bo czasem to wyprzedzanie na zakrętach dymiących ciężarówek ma w sobie coś z rosyjskiej ruletki, nakazał wszystkim mieszkańcom opuszczenie domów położonych zbyt blisko głównej magistrali Nepalu. Setki domów w jednym czasie były wyburzane, a porządku pilnowały silne oddziały policji.

Po wcześniejszej, intensywnej korespondencji z dyrektorem naszego biura mieliśmy pojechać bezpośrednio do Bhaktapuru, jednego z trzech najważniejszych miast w Dolinie Katmandu w okresie dynastii Mallów. Łatwo było zaprojektować, gorzej z realizacją. W tym dniu wszyscy się uwzięli, aby przyjechać lub wyjechać z Katmandu. A tymczasem raz się jakaś rura popsowała, a gdzieś tam dalej stanęła ciężarówka i postoje mieliśmy murowane. Nie ma mowy o jakichś zasadach ruchu drogowego w tej części świata, każdy chce pierwszy przejechać.

W mieście trzeba sporo zapłacić przy wejściu do centrum: 15 USD za osobę. W pałacu w Bhaktapurze przy placu Durbar mieściło się muzeum. Zbiory może były i interesujące, ale co z tego, jak trafiliśmy na tzw. planowe wyłączenie prądu. Do tego trzeba przywyknąć w tym kraju, w którym podobno produkowana energia zabezpiecza nieco więcej niż połowę zapotrzebowania na prąd. Te lepsze hotele mają swoje generatory i po chwili ciemności prąd włącza się ponownie, ale w innych hotelach, jak np. Sapan Village Lodge, generator pracował tylko po zmroku. Oczywiście są to wyłączenia planowe i Madhu w swoim domu wiedział, w jakich godzinach i w jakich dniach prądu mieć nie będzie. Zresztą nawet korespondencja mailowa na tym cierpi. Gdy wysłałem maila do naszego dyrektora, to odpowiedział mi dopiero po 2 dniach, gdyż miał komputery wyłączone z powodu przerwy w dopływie prądu.

Wróćmy jednak do Bhaktapuru, który zamieszkuje sto tysięcy mieszkańców. Znajduje się kilkanaście kilometrów od Katmandu. Praktycznie w każdym z tych trzech miast Doliny Katmandu spotkać można Plac Durbar, czyli pałacowy, gdyż każde z nich było osobnym królestwem ze swoim własnym królem. Na tym placu mogłem poczuć, iż świat nie jest taki wielki. Trzy dziewczyny zagadnęły, czy czasem nie jestem z Polski. Poznały mnie, gdyż kiedyś widziały mnie jako prelegenta podczas OSOTT w Szczyrku w 2010 roku na prelekcji o święcie Holi.

Powróciliśmy późnym popołudniem do Eco Hotel. Ale kolejną, ostatnią noc w Nepalu chcieliśmy spędzić w lepszych warunkach. Okazało się, iż można było następnego dnia przenieść się do hotelu Teh Shanker Hotel Katmandu z imponującym ogrodem, położonym vis-à-vis dawnego pałacu królewskiego.

25 lutego – poniedziałek

Do serca Katmandu, czyli Placu Pałacowego (Durbar) było stamtąd około kilometra. Mając w pamięci potworne korki w poprzednim dniu, postanowiłem dojść tam na piechotę. Trzeba zdać się na to, iż wszystkie drogi pewnie i tak prowadzą na ten plac, gdyż o tabliczkach z nazwami ulic należy zapomnieć. Jedynym punktem orientacyjnym były więc kolejne świątynki, z których Kathesimbhu Stupa przyciągnęła mnie oczyma Buddy podobnymi do widzianych już w Buddastupa.

Wreszcie doszedłem do celu. Przed wejściem, na teren usiany wprost świątynkami podobnymi do tych widzianych w Bhaktapurze, cudzoziemiec musi wykupić bilet wstępu. Jego cena wciąż rośnie. Przed dwoma laty wzrosła z 300 rupii na 750 rupii. Nie było żadnego ogrodzenia pomiędzy ulicą a Placem Durbar w Katmandu. Wszystko było dość umowne, bo przez plac i tak przejeżdżają bokiem wszelakie pojazdy, to cudzoziemca i tak zawsze można wyłowić i sprawdzić. Dobrze przynajmniej, iż bilet ten był ważny na wejście do pałacu. Po tym co widziałem w dniu poprzednim, byłem już nieco rozczarowany. Wszystkie trzy miasta w Dolinie Katmandu, które stanowiły siedzibę odrębnych królestw aż do połowy XVIII wieku, chełpiły się świątyniami poświęconymi tym samym bóstwom i oczywiście wszędzie stawiano pałac królewski. Ale to samo może powiedzieć Nepalczyk, gdy przyjedzie do Wrocławia czy Krakowa i uzna, że te kościoły są chyba wciąż takie same. Różnica tkwi w szczegółach.

Sam pałac rozczarowywał. Najczęściej spotykałem tabliczki „No photography” lub „No entry” albo było zamknięte. Można było tylko wejść na pierwsze piętro i obejrzeć komnaty królewskie, ale po zdeponowaniu plecaków w skrytce. Przy Durban Square znajduje się dom, który zamieszkuje żywa bogini Kumari. Milczącej audiencji udziela

wszystkim zebranych na małym dziedzińcu. Byłem tam może dziesięć minut, a w tym czasie pokazała się aż dwa razy. Ostry makijaż na twarzy zupełnie nie pasował do jej dziesięciu może dwunastu lat. Obok niej w oknie siedział mężczyzna, który pilnował m.in. czy aby czasem ktoś nie wyciąga aparatu fotograficznego, gdyż jest to surowo zabronione. Audjencja była skończona, mogłem wracać do hotelu Eco. Opuściliśmy dzielnicę Thamel, aby ostatni dzień spędzić w hotelu Shanker. Położony w pobliżu pałacu królewskiego Narayan był dla nas ostoją i schronieniem przed wiecznym zgiełkiem i kurzem Katmandu. Popołudniową porą ruszyłem sam do trzeciego królewskiego miasta Patan. Miejscowość położona jest po drugiej stronie rzeki Bagmati, na południe od Katmandu. Można ją traktować jako przedmieście stolicy kraju. Wybrałem się tam wynajętą taksówką, która miała na mnie czekać aż do zachodu słońca. Cena za przejazd wynosiła 1600 rupii (nieco mniej niż 20 USD). Pałac królewski w Patanie jest siedzibą Muzeum Patanu, które ze wszech miar mogłem określić jako perełkę muzealną. W swoich wnętrzach zaprezentowano tam przegląd tego, co najważniejsze w pantheonie bóstw hinduistycznych i licznych wcieleń Buddy. Tym razem nie było mowy o wyłączeniu światła albo trafiłem na odpowiednią porę. Doskonałe opisy przybliżały odwiedzającym, szczególnie tym, którzy się w to chcieli wgłębić, zawłości religii, odpowiadały na liczne wątpliwości.

26 lutego – wtorek

Skoro świt, tuż po śniadaniu, podjechałem taksówką do położonej na przedmieściach Katmandu świątyni Swajambhunath. Taksówka podrzuciła mnie prawie na sam szczyt góry, ale pielgrzymi zwykle wstępują po 300 stromych schodach. Czasem mówi się o niej jako świątyni małp, ale tego poranka królowały psy, układające się do spoczynku w każdym prawie z wolnych miejsc do leżenia, konkurując przy tym ze zmęczonymi pątnikami. Małpy wybrały jako swój teren łowiecki schody biegnące na świątyni i trzymały się nauk Buddy z daleka. Wokół zaś rozciągało się milionowe Katmandu zanurzone w swoim kurzu i spalinach.

Zaczynał się i dla nas powrót do domu. Taksówką na lotnisko jechaliśmy zwyczajowo strasznymi wertepami, przypominając nam nasz pierwszy wieczór. W bagażniku z trudem mieściła się jedna walizka, drugą zaś ustawiliśmy obok kierowcy na przednim siedzeniu. Po drodze kontrolowała nas policja, czy czasem nasz kierowca nie robi jakichś machlojek z taksometrem. Dla nas to nie miało dużego znaczenia, bo cena była i tak ustalona z góry (600 Rp). Najczęściej taksówką w Katmandu bywa samochód produkcji indyjskiej marki Maruti Suzuki, mogące mieć na oko jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat. Wśród samochodów na ulicy królują indyjskie pojazdy. Oznaką luksusu i dobrej jakości jest posiadanie japońskiego samochodu. Zdarza się też zobaczyć Skodę Superb. O pojazdach z Chin natomiast nepalscy taksówkarze mają podłe zdanie.

Na lotnisku w Katmandu – tak jak w całym mieście – było tłoczno, ale za to rygory bezpieczeństwa potrafiły wzbudzić rozbawienie, szczególnie tych, którzy mają łaskotki. Czterokrotnie przechodziliśmy kontrolę osobistą: pierwszy raz przy wejściu na lotnisko, następnie przy sprawdzaniu bagaży, po raz kolejny przy wyjściu z bramki do autobusu, a na sam koniec czekało nas to jeszcze przed wejściem do samolotu. Stąd przy sprawdzaniu osobna była kolejka dla mężczyzn i kobiet. Nic więc dziwnego, że zaleca się zgłaszanie na 3 godziny przed odlotem samolotu. Zdążyliśmy jeszcze w sklepiku na lotnisku upłynnić ostatnie nepalskie rupie i w drogę.

Podczas lotu z daleka rysował się śnieżny łańcuch Himalajów, a my cofaliśmy się w zegarowym czasie o 15 minut. To nie był jedyny przeskok. Indie na prowincji czy w bocznych uliczkach Delhi niczym nie różniły się od Nepalu. Tu i tam porządek dotyczy tylko własnego obejścia czy sklepiku, tuż przed nim może być olbrzymie śmietniko, ale to nikogo już nie interesuje. Ale co innego, kiedy przylatujemy czy odlatujemy z Delhi. Po opłaceniu taksówki w punkcie prepaid taxi, mogliśmy spokojnie poszukać naszego wehikułu. O tej porze dnia nie podbiegał do nas żaden tłum ludzi polujących na tych, co właśnie przybyli do Indii. Mogłem o sobie z dumą powiedzieć, iż to jest już mój piaty pobyt w Indiach. Ale nikt się nawet o to nie pytał. W hotelu Shanti Palace byliśmy już po raz drugi. Niedługo później zmrok zapadł nad Delhi. Byliśmy coraz bliżej domu. W hotelowej restauracji wtorek był dniem wegetariańskim. Ale przy tej różnorodności potraw wcale mnie to nie zmartwiło.

27 lutego – środa

Na lotnisku w Delhi należało być 3 godziny wcześniej przed odlotem. Po iluś tam godzinach lotu i przesiadce w Monachium wieczorową porą dotarliśmy wreszcie do Wrocławia.

• *Rozmaitości ze świata* •••••

RPA posiada jedną dziesiątą, czyli około 23 200 kwitnących gatunków roślin świata, z czego 19 000 to rdzenne afrykańskie rośliny. RPA posiada 1,7 razy więcej gatunków kwiatów niż Brazylia.

Anna i Paweł Manczyk

Birma



Termin wyjazdu: 21 lipca – 17 sierpnia 2013 roku

Koszt całkowity: ok. 13 600 zł; na 1 os. – 6800 zł

z czego:

bilety lotnicze – 3675 zł/os.

na miejscu – 3000 zł/os.

ubezpiecznie – 155 zł/os.

Przelot:

Emiratem: Warszawa – Dubai – Bangkok oraz Kuala Lumpur – Dubai – Warszawa:
2900 zł/os.

Air Asia: Bangkok – Mandalay: 355 zł/os.

Air Asia: Yangoon – Kuala Lumpur: 420 zł/os.

Wizy:

Najłatwiej wizę birmańską załatwić w Bangkoku. Przychodzi się rano przed 9.00 do ambasady Birmy (w pobliskim punkcie ksero kupuje się za 5 THB – 50 gr wnioski wizowe), stojąc w kolejce wnioski wizowe się wypełnia, dołącza dwa zdjęcia i ksero paszportu. Gdy ambasada zostaje otwarta, przechodzi się do okienka, gdzie dokumenty są sprawdzane i otrzymuje się numerki. Następnie czeka się na swoją kolej. Podchodzi się do kolejnego okienka, gdzie wnioski wizowe jest odbierany wraz z paszportem. Należy uiścić opłatę (jeśli chcemy ekspresową na ten sam dzień, to wymagane jest ksero biletów lotniczych), ekspresowo na ten sam dzień 1260 THB, najtańsza za dwa dni około 800 THB. Odbiór tego samego dnia o godzinie 15.30. Uwaga odbiór jest tylko od 15.30 do 16.30. W Polsce nie ma ambasady Birmy. Można załatwić w Berlinie.

Ambasada:

W Birmy nie ma ambasady polskiej.

Czas:

Na terenie Birmy czas w stosunku do czasu polskiego to +4,5 godzin latem, w Malezji +6, w Tajlandii +5.

Waluta:

Waluta to Kyat (MMK). W lipcu 2013 przelicznik wynosił 1 USD – ok. 976 MMK, przy czym miejscowa ludność dla wygody często liczy 1 USD – 1000 MMK (stąd warto płacić w dolarach).

Wymieniać pieniądze można w bankach praktycznie w każdej miejscowości. Bankomaty w Birmie zaczęły się pojawiać, ale podobno przy wypłacie jest spora prowizja (nie próbowaliśmy, więc do końca nie wiemy). Płatność kartą to na razie w Birmie rzadkość. Stąd należy zaopatrzyć się na czas podróży w gotówkę w USD. Najlepiej w banknotach 100 USD, gdyż te mają najwyższy kurs. Na dodatek muszą być wydane po 2006 roku i być nieskazitelne (bez zgięć, zabrudzeń itp. – o czym sami się przekonaliśmy). Birmańczycy mają bzika na punkcie idealności banknotów. Trzymają je w idealnym stanie w kopertach. W wielu hotelikach za nocleg płaci się w dolarach i często jest problem, bo nie mają wydać reszty. Stąd też dobrze mieć mniejsze nominały na opłaty za noclegi. W dolarach również zapłacimy za bilety kolejowe czy bilety wstępu do regionów turystycznych, jak Bagan, Inle, Mandalay.

Przelicznik pozostałych walut w 2013 r.:

– dla Tajlandii: 10 THB – ok. 1 zł,

– dla Maleszji: 1 MYR – ok. 1 zł.

Pogoda:

Jak zwykle, kiedy jedziemy do Azji w porze monsunowej, pogoda nam dopisuje. Deszczu było niewiele, głównie nocą lub podczas jazdy autobusem. Bagan okazał się być najsuchszym miejscem w całej Birmie. Nawet krajobraz tego regionu przypomina bardziej sawannę niż region z monsunami.

Birma leży w większości swojego obszaru w strefie klimatu zwrotnikowego, monsunowego, dotyczy to także obszarów na samym południu kraju, gdzie klimat posiada wybitnie morską, wilgotną odmianę. Krańce północne znajdują się pod wpływem klimatu podzwrotnikowego i także o monsunowej odmianie. Jeśli chodzi o wilgotną odmianę, to ta dotyczy się nie tylko obszarów leżących na południu kraju, zwłaszcza wybrzeża zachodniego, ale i Gór Arakańskich oraz regionu Szan.

Birma jest regionem azjatyckim, który zalicza się do strefy klimatów gorących. Na obszarach nizinnych średnia temperatura roczna wynosi od +25 do +27°C, a na południu kraju jest nieco wyższa i dochodzi do +32°C. W kraju nie występują dni z dużymi upałami, średnie wartości termiczne nie przekraczają +32°C. Izotermie mają przebieg zbliżony do równikowego, zwłaszcza na południu nad Morzem Andamańskim, to oznacza, że na większości terytorium Birmy amplitudy termiczne są niewielkie. Inaczej jest w górach, gdzie wraz ze wzrostem wysokości maleją średnie wartości termiczne. Obszary najwyżej położone, szczególnie regiony górskie na północy kraju (w pobliżu granicy z Chinami) cechują się chłodnym klimatem, gdzie średnia temperatura roczna nie przekracza +10°C. Do częstych zjawisk w najwyższych partiach Hengduan Shan należą mrozy, które występują nie tylko zimą, ale i latem, choć w dzień temperatury nieznacznie przekraczają 0°C. Tereny te są przez cały rok przykryte śniegiem, gdzie granica wiecznego śniegu przebiega na wysokości 4000 m n.p.m.

Wysokość opadów jest ściśle uzależniona od wiatrów monsunowych i obecności oceanu. W kraju występują dwie pory – sucha i deszczowa, która trwa mniej więcej od

maja do listopada. Równina Irawadi, będąc obszarem osłoniętym od zachodu Górami Zachodniobirmańskimi, otrzymuje niewielkie wartości opadowe – średnio około 800 mm rocznie. Obszary wysoko położone są bardziej wilgotne, np. tereny góryste Szan to opady rzędu od 1000 do 2000 mm rocznie. Poza terenami górskimi obfitymi regionami są delta rzeki Irawadi, która rocznie otrzymuje około 2500 mm deszczu. Najbardziej obfite w opady są regiony nadmorskie, na południu kraju, gdzie suma opadów dochodzi do 5000 mm rocznie.

Przewodniki:

W Birmie korzystaliśmy z przewodnika Lonely Planet w wersji anglojęzycznej. Wiele opisów na naszych stronach: www.anna.manczyk.net i www.nusatenggara.blox.pl

Transport:

W Birmie korzystaliśmy na długich trasach z transportu **autobusowego**. W miejscach odwiedzanych przez turystów bilety (trochę po wyższej cenie) można kupić w hotelowej recepcji. Plusem takiego rozwiązania jest darmowa „podwózka” na dworzec autobusowy albo wręcz sam autobus podjeżdża pod hotelik. W takich miejscach jak Mandalay czy Bagan większość podróżnych w autobusie to zagraniczni turyści. Na większości tras autobusy są mniej lub bardziej klimatyzowane. Za bardziej należy rozumieć, że jest tak zimno, że trzeba nałożyć polar, a mniej – czyli klimatyzacja to otwarte okno i hulający wiatr. Nocne autobusy często mają tylko ponad 30 miejsc – bardzo dużo miejsca na nogi, poduszkę, wodę do picia, szczoteczka i pastę do zębów. Czas przejazdu autobusu jest bardzo zróżnicowany. Trasa Yangon – Mandalay to autostrada, więc autobusy mkną bardzo szybko, natomiast w okolicach, takich jak Jezioro Inle, gdzie jedzie się przez góry, czas przejazdu jest znaczący.

Trzeba uważać na nocne przejazdy, gdyż w wielu regionach stan dróg się poprawił i czas przejazdu jest krótszy, ale godzina odjazdu została taka sama, i teraz często autobus dojeżdża do miejsca docelowego o 3. nad ranem. Może to być znaczącym problemem, bo większość hotelików do godziny 5 jest zamknięta na cztery spusty.

Ciekawostką może być dojazd do Bago od północy (np. znad Inle). Jest to najczęściej autobus nocny jadący do Rangun. Podróżny jadący do Bago zostaje wysadzony na autostradzie o 5 rano w miejscu krzyżówki dróg. Stoją tam taksówki (drogie) i pick-upy (tanie), które wiozą podróżnego do Bago około godziny.

Po Birmie można też poruszać się **pociągami**. Warto choć raz się przejechać tym środkiem transportu. Jest tańszy niż autobus, ale zdecydowanie wolniejszy. Super trasa jest z Mandalay do Hsipaw (można ją sobie skrócić i wsiąść w Kiakume), bo mija się po drodze ogromny wiadukt kolejowy Gokteik z początku XX wieku.

W Birmie działa też kilka **linii lotniczych**, które łączą ważniejsze miasta. Jednak ceny zaczynają się od 80 dolarów w górę.

Innym środkiem transportu są **pick-upy**. Ten rodzaj transportu, raczej dobry na krótkie trasy, choć mieszkańcy jeżdżą nim bardzo często. Jednak są one zapchane do granic możliwości pasażerami i tobołkami, do tego stopnia, że część ludzi i towarów jedzie na dachu, a część stoi na podeście z tyłu samochodu.

Jak w całej Azji Południowo-Wschodniej popularne są wszelkiego rodzaju **riksze** – moto czy rowerowe. Oczywiście to dobry środek transportu lokalnego.

Jeśli chodzi o **skutery**, to tylko jako „podwózka” na tylnym siedzeniu. W większości miejsc obowiązuje zakaz wypożyczenia skuterów turystom (nie da się w Mandalay,

Bagan, Inle, dało się tylko w Hpa-An). W wielu miejscach za to dobrą opcją jest jazda na rowerze. Wypożyczenie roweru jest tanie, a w razie złapania gumy, np. w Bagan, można przy każdej świątyni znaleźć panów od pamiątek, którzy w trzy sekundy rozłożą zakład wulkanizacyjny. W Bagan istnieje też możliwość jazdy na **rowerze elektrycznym**. Zabytki można również zwiedzać na **dwukołowce** zaprzęgniętej w karłowate konie.

Na większe odległości można wynająć samochód – **taxi** z kierowcą na cały dzień, co akurat jest dobrą opcją w Mandalay, aby pozwiedzać centrum i wyjechać w kilka miejsc za miastem. Koszt nie jest zbyt wysoki (20 dolarów za 8 godzin jazdy po okolicach Mandalay).

CENY PRZEJAZDÓW BANGKOK, BIRMA, MALEZJA

Trasa (Tajlandia)	Środek transportu	Cena za 1 os. THB, (10 THB – około 1 zł)
Lotnisko w Bangkoku – okolice Mo Chit	Airport express + skytrain	45 i 31
Mo Chit – Taksim Ferry	Skytrain	42
Taksim Ferry – przystań w okolicy Khao San	Statek – Express boat	15
Khao San Road – Mo Chit	Taksówka	85 (za taxi wg licznika, brak korków)
Mo Chit – Surasak	Skytrain	42
China Town – Mo Chit	Taksówka	120–150 (za taxi bez włączania licznika)
Okolice Mo Chit – lotnisko Don Muang	Taksówka	250 (za taxi, cena uzgodniona w hotelu przy rezerwacji taxi)
Trasa w Birmie	Środek transportu	Cena za 1 os. MMK, (1 USD – ok. 970 MMK)
Lotnisko – Mandalay centrum	Shuttle bus Air Asia	Free
Objazd po świątyniach Mandalay – 3 godziny	Taksówka	9 USD (za taxi)
Objazd – Mandalay – Saigang – Amarapura – Mandalay (8 godzin)	Taksówka	20 USD (za taxi)
Mandalay – Mingun – Mandalay	Statek	5000 (w obie strony)
Hotel – dworzec kolejowy (o 3 nad ranem)	Taksówka	5000
Mandalay – Kyaukme (ok. 9 godzin)	Pociąg	3 USD
Kyaukme – Mandalay (ok. 4 godzin)	Autobus	3500
Dojazd pod wzgórze w Mandalay	Riksza rowerowa	2000 (za riksze)
Transport na wzgórze w Mandalay	Pickup	2000
Mandalay – Bagan (Nyaung U) (ok. 4 godz.)	Autobus	12 000
Dworzec w Nyaung U – hotel	„taxi” dwukołowka konna	1000 (2 os)

Nyaung U – Mount Popa – Nyaung U	Samochód z hotelu	9000
Bagan – Kalaw (ok. 7,5 godz.)	Autobus	10 000
Przełknięcie w poprzek Inle z Mine Thauk do Khaung Dain (z rowerami)	Łódka	7000 (2 os.+rowery)
Nyaung Shwe – Bago (ok. 11 godz.)	Autobus	14 000
Autostrada – Bago (1 godz)	Pickup	1000
Bago – Kinpun (Golden Rock) (2,5 godz.)	Autobus	6000
Transport do złotej skały Mount Kyaiktiyo (45 minut)	„pancerna” ciężarówka	5000 (w jedną stronę)
Kinpun – Hpa-An (z podwózką 15 km do autobusu)	Autobus + pickup	8000
Hpa – An – Rangun (ok. 7 godzin)	Autobus	5000
Dworzec Północy w Rangunie – China Town	Taksówka	8000 (za taxi)
China Town – Shwedagon Paya	Taksówka	2000 (za taxi)
Na lotnisko w Rangunie	Taksówka	8000 (za taxi)
Trasa w Malezji	Środek transportu	Cena za 1 os. MYR (1 MYR – około 1 zł)
Lotnisko Kuala Lumpur LCCT – stacja Central	Autobus	8
Sentral – Tittwangsa	Monorail	2,5
Kuala Lumpur – Jerantut (ok.3 godz.)	Autobus	16,8
Jerantut – Kuala Tahan – Taman Negara (park narodowy)	Łódka	40
Kuala Tahan – Jerantut	Busik	7
Jernantut – Kuala Lumpur	Autobus	16,8
Sentral – Batu Caves	Kolejka podmiejska	1
Sentral – Lotnisko Kuala Lumpur KLIA	Autobus	10

Elektryczność:

Gniazdko – w Tajlandii i Birmie europejskie wtyczki pasują, w Malezji gniazdko brytyjskie. W Birmie czasem napięcie jest dosyć niskie (170–180 V). Zdarzają się zaniki prądu.

Bezpieczeństwo:

Birma wydała nam się bardzo bezpieczna, ale to prawdopodobnie dlatego, że po takich terenach się poruszaliśmy. Nadal turyści mogą zobaczyć tylko 20% kraju, reszta jest zamknięta, albo też wymagane są specjalne zezwolenia. Czasami niektóre regiony są zamykane dla turystyki na pewien czas, jak np. w chwili obecnej zabytkowe Mrauk U.

Ubezpieczenia:

Mieliśmy ubezpieczenie Uniq, 155 zł za osobę. Wiele polis sprzedawanych w Polsce nie obejmuje kosztów leczenia chorób tropikalnych, więc trzeba uważać przy wyborze. Na szczęście nie mamy doświadczenia, czy polskie polisy w Birmie działają.

Telefony:

Polskie telefony w Birmie są „martwe” (brak roamingu). Można zakupić lokalną kartę SIM (20–25 USD, po wyczerpaniu kredytu trzeba kupić następną kartę).

Internet:

Internet w tej chwili jest już w większości miejsc. Jednak jego prędkość najczęściej jest bardzo niska. Na dodatek wiele stron jest blokowanych i nie da się ich otworzyć.

Wyżywienie:**Napoje:****Tajlandia – Bangkok (THB):**

- sok z pomarańczy i marakui – 40
- sok z pomarańczy – 30
- woda 0,5 l – 6
- coca-cola – 10
- piwo w hotelu – 30–65

Birma (MMK):

- coca-cola (mała butelka lub puszka) – 300–1000
- coca-cola w sklepie 1 l – 1200
- sok z trzciny cukrowej – 300–500
- sok z mango – 500–1000
- sok z dragon fruita – 1000
- lemoniada (sok z limonki z wodą i cukrem) – 500
- birmańskie odpowiedniki coli, fanty, np. starcola 0,4–0,5 l – 300–400
- woda 1 l – 250–400
- piwo Myanmar 0,6 l – 1700
- piwo Dagon – 1000
- piwo Mianmar w puszcze – 1000
- rum Mandalay 0,35 l – 1000
- rum Mandalay 0,7 l – 1500
- wino Red Mountain duże od 8000, mała butelka 5500

Malezja (MYR):

- woda 0,5 l – 1,5
- herbata 1,5
- coca-cola 0,5 l – 2,2
- napój icetea z marakują – 2,5
- puszka napoju w automacie – 1

Dania i obiady:

Ku naszej radości na tegorocznym wyjeździe nie było ostrych potraw. W Birmie można do woli jeść potrawy kuchni indyjskiej bez obawy o ostrość. Kucharze birmańscy chilli nie dodają do potraw. Jeśli chcemy mieć ostrą potrawę, to zawsze możemy dorzucić chilli, bo dostaniemy ją w dodatkowej miseczce.

W Birmie w większości restauracyjek do zamówionego dania głównego otrzymuje się darmową zupełę. Na południu kraju dodatkowo przed posiłkiem wjeżdża talerz świeżych warzyw. Natomiast po posiłku zdarzało nam się jeszcze otrzymać de-

ser w postaci owoców lub słodczy. Zielona herbata zawsze jest za darmo (stoi w termosach na stole).

Tajlandia (Bangkok) (THB):

- zupa z kurczaka i zieleniny z makaronem kupiona na ulicznym straganie – 45
- pad thai – makaron z kurczakiem – 40
- zupa z pierożkami – 35
- danie z ryżem i wieprzowiną – 40

Birma (MMK):

- Mandalay – rest. Lashlo Lay: wieprzowina w kawałkach, kurczak w kawałkach, 3 sałatki z miliona warzyw, 2x ryż, 2x zupa, butelka wody – 5200 (dwie osoby);
- najlepsze curry po drodze do Saigang – 18 miseczek z różnościami – 1700 za osobę;
- Kyakume – rest. Thiri Pyitsayar – makaron shan – 500; zupa na kurczaku 1000, ryż po tajsku 2000, piwo w puszcze 1000, cola blue mountain 400;
- na trasie Mandalay – Bagan – 4 miseczki curry, 2x ryż, cola – 1500;
- Nyaung U – rest. Mann Sabai – kurczak słodko-kwaśny 2000, makaron z wieprzowiną 1500, 2x sok z limonki po 500, zupa i sałatka pomidorowa gratis;
- Nyaung U – rest. Mann Sabai – curry z 7 miseczkami – 1700;
- wioska pod Mount Popa – zupa 1000, ryż z warzywami 1500;
- zupa tajska, makaron z warzywami i wieprzowiną oraz 2 soki mango – 3500;
- na trasie Bagan – Kalaw: zupa 1500, makaron z wieprzowiną 1800, sok z limonki 500;
- Nyaung Shwe – rest. 4 Siostry – ryba, wieprzowina, 3 miseczki warzyw, 2 limonkowe soki, ryż – 8400, gratis zupa i owoce;
- rest. na jeziorze Inle – zupa z makaronem i warzywami, makaron z wieprzowiną, 2 soki limonkowe, gratis: zupa i chrupki – 7500;
- Nyaung Shwe – sok mango 1000, makaron Inle 1000, piwo lane 600;
- Mine Thauk – 2 soki ananasowe, 2 zupy – 5500;
- Nyaung Shwe – rest. Min Min – curry z ziemniaka 2300, zupa z makaronem 2300, sok z mango 1000;
- Bago – rest. Shwe Li – makaron z wieprzowiną 1700, wieprzowina słodko-kwaśna 2200, piwo 0,65 l – 1700, gratis zupa;
- zupa na Mount Kyaiktiyo – 800;
- Kinpun – rest. Sea Sar – makaron z wieprzowiną, warzywa z wieprzowiną, 2x ryż, 2 razy sok z limonki – 5200;
- Hpa-An – rest. Lucky – piwo lane 600, papadam 200, kurczak w sosie curry 2500, ryż 300, żeberka 3000, gratis zupa;
- Hpa-An – rest. San Ma tan – warzywne curry 500, rybne curry 1500, ryż 500, gratis talerz świeżych warzyw, cukierki;
- Hpa-An – rest. Khit-Thit – makaron z wieprzowiną 1800, wieprzowina słodko-kwaśna z ryżem – 1800, piwo 700, sok z limonki 700, gratis rosółek;
- Rangun – rest. Danuphyu Daw Saw Yee – ryż 500, każdy talerz z warzywami 500.

Malezja (MYR):

- Kuala Tahan – pływająca restauracja Wan – ryż, kurczak z warzywami, sałatka z kapusty, omlet, pomarańcza, sok ananasowy – zestaw dla 1 osoby – 17;
- kurczak słodko-kwaśny 5, ryż 15, sok 3, zupa 4.

Przegryzki, czyli coś na szybko z budki:

Tajlandia (Bangkok) (THB):

- pampuszki PAO (z mięsem i jajkiem) – 16
- lody z mrożonek oranżady lub coca-coli – 7

Birma (MMK):

- Mandalay róg ulic 24/83 – ciapati z dhalem – 150
- ciasteczka – 100–600
- kolba gotowanej kukurydzy – 100
- samosa 50–100
- placek paratha – 200
- śniadanie w Bago (niedaleko motelu San Francisco) – 2x herbata, 1 sadzone jajko, 3 ciapatki, 4 samosy – 600
- paluchy niczym pączki – 200
- ciastko w cukierni New Day w Hpa-An od 300
- śniadanie w Hpa-An 5 minut od Soe Brothers – herbata, 2 pampuszki Pao, omlet, naleśnik z jajkiem, chleb, smażony na głębokim oleju bananowy rolls – 1800
- śniadanie w Hpa-An 5 minut od Soe Brothers – herbata, ryż z jajkiem, zupa, 3 rollsy kapuściane, 1 bananowy, omlet, chleb – 1600
- słodkie 4 bułeczki – 400
- małe chipsy – 200
- mini babeczka – 500
- śniadanie na ulicy w Rangunie: ciapati, nadziewane smażone pierożki 1400

Malezja (MYR):

- Kuala Lumpur – Burger King – zestaw cola, hamburger, frytki – 16,90
- Kuala Tahan śniadanie w Wan: hamburger 5, herbata 1,5
- paczka ciastek 2,5–3
- roti z jajkiem – 2
- roti z bananem – 3
- McDonald: cola, frytki, hamburger – 5,95
- pampuszek Pao z wołowiną 2,20
- kokosowe ciasteczka na Pasar Seni – 2,8
- lody w McDonalddie – 1,8

Owoce (w Birmie, MMK):

- obrany ananas 400–500
- 2 mango – 500
- woreczek obranego arbuza od 100
- 2 limonki – 50
- papaja – 400
- pomelo – 1000

Ceny noclegów:

W Birmie standard większości noclegów nie jest adekwatny do ceny. Jednak jak zapisane w tabelce, praktycznie w każdym hotelu wliczone w cenę jest śniadanie. Najczęściej dosyć obfite. Najlepsze było w Inn Wa (Nyaung U) oraz w Gypsy Inn (Nyaung

Shwe). Byliśmy w Birmie w lipcu–sierpniu, czyli w niskim sezonie turystycznym, ceny w wysokim sezonie mogą być nieco wyższe.

Miasto	Hotel	Cena za pokój 2-osobowy
Bangkok (Tajlandia)	Udee Hotel 49, Pradiphat Soi 19, Pradiphat Rd. Samsennai, Phayathai, Bangkok 10400 http://www.udeebangkok.com/ (wi-fi, klimatyzacja, łazienka, śniadanie)	1000 THB
Mandalay	Hotel Nylon Corner of 25 th & 83 th street tel 02-33460, 02-66550 email: nylonhotel25@gmail.com (klimatyzacja, łazienka, ręczniki, internet bardzo wolny przy recepcji, śniadanie)	20 USD
Kyaukme	A Yone Oo Guest House Shwe Phi Oo Road jedyne miejsce w mieście przyjmujące turystów zagranicznych. Niestety najtańsze pokoje są raczej norą. Trzeba się liczyć z pogryzieniem przez żyjątko żyjące w materacu. Toaleta w szopce, łazienka to pojemnik z wodą, z którego można się polewać	12 USD
Nyaung U	Guest House Inwa Main Road (klimatyzacja, łazienka, ręczniki, wi-fi w pokoju, śniadanie)	18 USD
Kalaw	Golden Lily Guest House 5/88 Natsin Road, Kalaw e-mail: aung.harri@gmail.com lub kalawtrek@gmail.com tel. 09428338036, 0958150820 (ręczniki, łazienka, śniadanie)	14 USD
Nyaung Shwe	Gypsy Inn 82 Kann Nar Road, Nyaung Shwe tel. 95-081-209084, 209144 e-mail: gypsyinnhotel@gmail.com (klimatyzacja, łazienka, ręczniki, śniadanie, internet)	20 USD
Bago	San Francisco Motel 14 Main Road tel. 22265 (wiatrak, łazienka, ręczniki)	15 USD
Kinpun	Pann Myo Thu Inn (klimatyzacja, łazienka, ręczniki, śniadanie)	16 USD
Hpa-An	Soe Brothers 2/146 Thitsar Street (klimatyzacja, łazienka, ręczniki)	18 USD

Rangun	Agga Guest House 88 th , 13 th Street, Middle Block, Rangun blisko China Town tel. 095-1-224654 e-mail: aggaguesthouse@gmail.com (świetne miejsce blisko centrum, czysto (!!!) pokój jednoosobowy w zasadzie może być dla dwóch; klimatyzacja, ręczniki, łazienka na korytarzu, szybkie wi-fi w pokoju)	Pokój jednoosobowy – 15 USD Pokój dwuosobowy – 20 USD
Jerantut (Malezja)	Sri Emas 46, Jalan Besar tel. 609-2601779; 2664499 www.taman-negara-nks.com e-mail: enquiry@taman-negara-nks.com (klimatyzacja, łazienka na korytarzu, śniadanie, ręczniki)	35 MYR
Kuala Tahan (Malezja)	Abot Guest House Kampung Kuala Tahan tel. 017-916-9616 (klimatyzacja, ręczniki, łazienka)	

CENY WSTĘPÓW/ WYCIECZEK

Miasto	Miejsce	Cena:
Bangkok	– Wat Po – Wat Arun	100 THB 50 THB
Mandalay	– bilet na najważniejsze zabytki (np. Pałac Królewski)	10 USD*
Mingun-Saigang	– Mingun – wszystkie obiekty	3 USD
Amarapura	– U bain bridge – łódka	5000 MMK
Bagan	– Bagan – wszystkie obiekty	15 USD**
Kalaw	– 2-dniowy trekking Kalaw – Inle (około 37 km pieszo)	30 USD***
Inle – Nyaung Shwe	– wstęp nad region jeziora (+ świątynie) – łódka na cały dzień (brak opłat wstępu) – pokaz marionetek – degustacja win w winnicy Red Mountain (za 4 rodzaje)	5 USD (ale ma być w nowym sezonie 10) 18 000 **** 3000 MMK 2000 MMK
Bago	– Bago – wszystkie obiekty	10 USD *****
Mount Kyaiktiyo	– Złota Skała	6000 MMK
Hpa-An	– Wycieczka po jaskiniach – transport – wstęp Kawgoon Cave	30 000 MMK (za tuk-tuka, im więcej osób tym taniej) 3000 MMK
Rangun	– wstęp Sule Paya – wstęp Shwedagon Paya	2000 MMK 5000 MMK

Malezja (Taman Negara – park narodowy)	– wstęp	1 MYR
	– „permit” na robienie zdjęć	5 MYR
	– łódka do parku (na przeciwległy brzeg w Kuala Tahan)	1 MYR
	– nocne safari samochodowe (ok. 2 godz.)	35 MYR
	– wstęp na Canopy walkway (wiszące ścieżki między drzewami)	5 MYR

* – Jeśli nie chcemy oglądać pałacu i paru innych świątyń w centrum miasta, można ominąć tę rządową opłatę i zobaczyć w Mandalay cały szereg darmowych świątyń.

** – Opłata wnoszona jest przy wjeździe do miasta. Autobus zatrzymuje się i w przydrożnym baraku należy dokonać zakupu biletów. Bilet wymagany jest w hotelach przy rejestracji.

*** – Najtańsza oferta jest u Hindusa z Golden Lily w Kalaw (o czym świadczy fakt, że trekking kupowali u niego również turyści z innych hosteli). W tej cenie był przewodnik (fantastycznie, jeśli jest to ów Hindus Robin, przez 2 dni trekkingu mówił jak najęty o Birmie, jej sytuacji, o ludziach, a jego wiedza o okolicznej florze niesamowita), transport na punkt startowy trekkingu, nocleg w klasztorze buddyjskim, transfer dużych plecków do hotelu nad Inle, łódka przez Inle do Nyaung Shwe, i mega wielkie posiłki: lunch na trasie 1. dnia, wielka kolacja w klasztorze, śniadanie 2. dnia, i lunch po południu. Nic dodać, nic ująć. Jedyne co należało kupować do posiłków to napoje.

**** – Łódkę załatwiliśmy w Gypsy Inn (cena całej łódki 18 000, maksymalnie 5 osób). Pływanie trwało od 8 rano do 19 (chyba byliśmy ostatnimi, co o zmroku już wracali z jeziora, ale nasz sternik w momencie gdy widział, że robimy zdjęcia, to zwalniał praktycznie do zera, abyśmy mieli czas na zrobienie zdjęć). Podczas całego dnia łódka płynie do: codzienny market (każdego dnia gdzie indziej), fabryka srebrnej biżuterii, fabryka papierosów, kuźnia, fabryka bambusowych parasolek i papieru, fabryka jedwabiu, ogląda się charakterystycznych dla tego jeziora rybaków, fabryka łodzi, Daw Oo pagoda, Klasztor, gdzie kiedyś był skaczący kot, kobiety – długie szyje, wioska Indein, pływające ogrody z pomidorami, bakłażanami itp. Jedne miejsca są bardzo interesujące, inne bardzo komercyjne i można być zawiedzionym. Generalnie bardzo fajny dzień.

***** – W Bago można ominąć tę opłatę, bo większość jest za darmo, a płatne są Shwemawdaw Paya (opłata tylko przy zachodniej bramie, przy innych brak) oraz Shwethalyaung Buddha (złoty leżący Budda) – tutaj trzeba wejść po 17.00, gdy poborcy rządowych opłat idą do domu. O tych niuansach oficjalnie można dowiedzieć się w motelikach. My zostaliśmy pokierowani przez panią z recepcji w San Francisco Motel.

Pamiętki:

- spodnie w Bangkoku – od 120 THB
- 2 longi – 22 USD
- obrazki na płótnie w Bagan (dostępne w większości świątyń) od 1 USD, średnio około 8–10 USD
- dzwonki z mosiądzu około 8–9 USD
- kamienne jaja wulkaniczne (jak grzechotki) spod Moun Popa – 1000 MMK
- strój birmański (longi + bluzka) – 12 000 MMK
- t-shirt – od 3000 MMK
- 2 tacki z laki, 1 pudełko, 3 małe szkatułki – 15 000 MMK
- drewniana figurka kota 3000 MMK
- bransoletki 2 sztuki 3000 MMK
- kolczyki w fabryce srebra 10 000 MMK
- maska 10 000 MMK

- 5 papierosów z fabryki – 200 MMK
- lampiony z papieru bambusowego 500–1000 MMK
- parasolka z papieru bambusowego – 1500 MMK
- wachlarz z papieru bambusowego – 1000 MMK
- duża parasolka – 2000 MMK
- ręcznie robiona torba – 7000 MMK
- drewniana figurka słonia – 4500 MMK
- drewniane 2 figurki kobiety i mężczyzny – 4000 MMK
- koperty z papieru bambusowego – 1000 MMK
- bransoletka z laki – 2000 MMK
- zegarek Casio – 1500–2000 MMK
- tacka, dzbanek, 2 filiżanki z laki – 20 000 MMK
- 3 miseczki z laki i bambusa 6000 MMK

Inne przykładowe ceny:

- Repelent na komary w Bangkoku – 180 THB
- klapki od 45 THB
- formularz wizowy w punkcie ksero – 5 THB
- lokalna rozmowa telefoniczna w Birmie (z tel. stacjonarnego) 100 MMK za minutę
- pocztówki 30 sztuk – 5000 MMK
- opłaty w niektórych świątyniach za robienie zdjęć od 300–1000 MMK
- wypożyczenie roweru w Inn Wa Guest House w Nyaug U – zwykły 1000, z przerzutkami 2000, elektryczny 8000 MMK
- zaklejenie 4 dziur w dętce roweru w Bagan – 1000 MMK – lokalni płacą 100 MMK za zaklejenie jednej dziury
- znaczki do Polski – 500 MMK
- internet od 300–600 MMR za godz.
- cukierki durianowe – 600 MMK
- cukierki melonowe, mangowe – 450 MMK
- makarony ryżowe i inne od 300 MMK
- przyprawy 300–400 MMK

• *Rozmaitości ze świata* •••••

Góra Stołowa jest jedną z najstarszych gór świata. Swoją spłaszczony wygląd zawdzięcza lodowcowi. Ma ponad 1000 m wysokości i jest widziana z oceanu na odległość 200 km.

Ewa Wilczyńska-Saj, Romek Saj



Sri Lanka zimą

Termin: 21 stycznia – 12 lutego 2014 roku.

Uczestnicy: Ewa i Romek

Przyloty: Katowice – Kijów – Dubaj – Kolombo – Dubaj – Kijów – Katowice (1900 PLN/os.).

Wydatki: całość wyprawy ok. 10 000 PLN/2 os. (w przybliżeniu: noclegi: 1750 PLN, transport po wyspie: 1120 PLN, bilety wstępu: 900 PLN, loty: 3800 PLN, jedzenie i zakupy: 1650 PLN).

Wiza: wymagana, ale bez problemu do uzyskania poprzez internet (30 USD) lub na lotnisku (35 USD).

Należy pamiętać o ważności paszportu (min. 6 miesięcy) i posiadaniu przy sobie biletu wylotowego.

Waluta: rupia lankijska (LKR), kurs na początku 2014 r.: 1 USD = 127 LKR (1 PLN = 40 LKR).

Języki: urzędowe: syngaleski i tamilski, w kręgach turystycznych komunikatywny angielski (w większości przypadków).

Pogoda: styczeń i luty to środek gorącego sezonu dla płd.-zach. części wyspy, natomiast pn.-wsch. część jest pod wpływem monsunowym ze strony Zatoki Bengalskiej (jednak podczas naszego pobytu i tam było niemal bezdeszczowo, więc warto śledzić prognozę i nie rezygnować z zaplanowanych miejsc).

Bezpieczeństwo: ludzie są przyjaźni i zwykle uprzejmi, cenią też turystów za możliwość zarobku na nich, więc dbają o swoich klientów, ale trzeba uważać na kieszonkowców i przesadnych naciągaczy.

Zdrowie: malaria – niewielkie zagrożenie, głównie na północy wyspy; denga – nieco większe ryzyko, ale wciąż stosunkowo niskie. Warto mieć ze sobą repelenty i obserwować zachowanie organizmu. Ogólnie rzecz ujmując – nie ma obowiązkowych szczepień, jednak dobrze jest zasięgnąć indywidualnej rady w punktach medycyny podróży.

Prawo jazdy: respektowane międzynarodowe prawo jazdy wydawane we własnym kraju (z tym że lepiej najpierw poobserwować miejscowy styl jazdy – tak bardzo odmienny od europejskiego).

Udogodnienia: internet 3 G (dostępny w większości miejsc turystycznych), rozbudowana sieć bankomatów w całym kraju, wiele miejsc przystosowanych do transakcji kartami płatniczymi.

Trasa: Negombo – Kolombo – Galle – Unawatuna – Ahangama – Mirissa – Matara – Ella – Nuwara Elija – Horton Plains – Kandy – Dambula – Sigirija – Polonnaruwa – Nivalveli – Trincomalee – Negombo

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1. Kraków – Pyrzowice – Kijów

Na spotkanie z „Łżą Indii” wyruszamy z Krakowa. Z Dworca Głównego do Pyrzowic udajemy się busem Wizzair (45 PLN/os.) o godz. 6.40. Stamtąd wylot do Kijowa (Żuliany) mamy o 10.45, gdzie – dzięki linii Wizzair – lądujemy planowo o 13.25. Ponieważ wieczorem mamy lot z innego lotniska, to szukamy przystanku miejskiego, by dostać się do centrum (nie ma bezpośrednich połączeń między portami lotniczymi). Znajdujemy go zaraz za postojem taksówek, gdzie wsiadamy w mały autobusik do Dworca Centralnego (2,5 UAH/os.). Podczas poszukiwań kolejnego autobusu, wszystko – śnieg, deszcz, wiatr, mróz i nasze niezimowe ubrania „na cebulkę” dają nam tak w kość, że siadamy w pobliskim KFC na gorącą herbatę i posiłek, korzystamy z darmowego WiFi i udajemy się na autobus, który widać z okien restauracji. Skybus-y odjeżdżają stosunkowo często sprzed wejścia na dworzec Kijów Centralny, i jadą bezpośrednio na lotnisko Boryspol (40 UHR/os.), na które docieramy (po niemałych korkach) w około półtorej godziny. Szykujemy się powoli na nocny lot z międzylądowaniem w Dubaju, samolotem linii Emirates, który startuje o godz. 22.30.

Dzień 2. Dubaj – Negombo

Na lotnisku w Dubaju jesteśmy około 5 rano, a kolejny lot (tymi samymi liniami) zaplanowany jest na godz. 9.05. Zajmujemy więc wygodne leżanki (warto poszukać – są rozlokowane po całym lotnisku), gdzie można się zdrzemnąć czy komfortowo usadzić i skorzystać z darmowego WiFi. Wylatujemy planowo i na Sri Lance jesteśmy na kilka minut przed godz. 15. Przy wyjściu wita nas kierowca z zarezerwowanego wcześniej hoteliku oraz cudownie upalne słońce. Z niegasnącym uśmiechem na twarzy jedziemy wygodnym vanem do Negombo, gdzie będziemy mieli trochę czasu na zaaklimatyzowanie się w nowym miejscu. Pokój w Ocean View jest skromny, z wiatrakami, ale czysty i w pełni wystarczający (3800 LKR/noc). Położony jest kawałek od centrum miasta, ale nieopodal plaży i przy turystyczno-restauracyjnej ulicy, gdzie znajduje się tylko jeden bankomat w promieniu kilku kilometrów (ale jest i działa). Na kolację siadamy w jednym z lokali – Japan Lanka, gdzie dostajemy bardzo smaczne rice&curry (490 LKR) oraz ryż smażony z warzywami i krewetkami (400 LKR) z piwem (300 LKR) i sokiem ze świeżych owoców (200 LKR). Tam też postanawiamy – po raz pierwszy od dawna – iść spać bez wstawania na budzik.

Dzień 3. Negombo

Pierwsza pobudka jest iście wakacyjna – budzimy się koło godz. 13. Romek idzie „zbać teren”, obchodząc Negombo, a ja szykuję śniadanie z pozostałego prowiantu

i jeszcze trochę leniuchuję przed dwoma tygodniami planowanej objazdówki po wyspie. Potem udajemy się na drugie śniadanie do Pancake house, zamawiając naleśniki z bananami (390 LKR) i mieszanką owoców (440 LKR) z sokiem (230 LKR) i colą (80 LKR). Następnie idziemy na plażę i spacer po miejscowych sklepikach. Podczas obiadokolacji (rewelacyjny krab grillowany z czosnkiem za 900 LKR, fried rice – 450 LKR i 2x sok – 500 LKR) obmyślamy plan na kolejny dzień.

Dzień 4. Negombo – Kolombo – Negombo

Tym razem pobudka o 6.30, by zdążyć podjechać na słynny targ rybny w Negombo (tuk tuk za 200 LKR), mieć okazję powdychać tę niezapomnianą woń, zrobić nieco fajniejszych zdjęć, porozmawiać z życzliwymi Lankijczykami i przejść spacerkiem do dworca w centrum miasta (ok. 2 km). Po drodze można zobaczyć kilka ciekawych miejsc, zatoczek, portów i – przede wszystkim – życie codzienne mieszkańców. Przed samym dworcem uzupełniamy niedobór kofeiny (kawa 180 LKR) i wsiadamy w klimatyzowany, elegancki autobus do Kolombo (150 LKR/os). Niemal godzinna trasa przebiega najpierw powolnie przez miasto (z zatrzymywaniem co krok i nawoływaniem przez konduktora potencjalnych pasażerów), a dalej śmigając sprawnie autostradą. W Kolombo, przedzierając się przez część wielkiego bazaru Petta, udajemy się w kierunku ulicy Galle, przy której miał stać piękny Galle Face Hotel w stylu kolonialnym, z niezwykle urokliwą restauracją połową i widokiem na Ocean. Początkowo upieramy się na spacer, by móc możliwie dobrze poznać miasto, ale po ponad kilometrze – w największym upale oraz męczących spalinach od tłoczących się wszędzie pojazdów – łapiemy z rezygnacją tuk tuka pod hotel. Ten okazuje się być w trakcie remontu, co zaskakuje samego kierowcę, ale wzrusza ramionami i odjeżdża. Natomiast my – szukając alternatywy – odnajdujemy inne wejście do tylko częściowo remontowanego (jak się okazuje) budynku i zostajemy na mały, angielski obiad, w pięknych ogrodach (fish&chips, sałatka Cesar, piwo i dzbanek kawy – 2000 LKR z napiwkami). Dalej wynajmujemy tuk tuka na godzinę (300 LKR), by zawiózł nas pod hinduską świątynię Kadiresan. Ale po długiej wycieczce – pełnej spalin w nozdrzach – okazuje się, że jest zamknięta, a mużułmański kierowca nie bardzo potrafi nam wytłumaczyć dlaczego. Robimy więc z daleka zdjęcie i wracamy powoli na dworzec, by wrócić do Negombo na kolację. Wsiadamy w dokładnie ten sam – klimatyzowany autobus, konduktor z uśmiechem wita nas słowami „hello friends” i kasuje znów po 150 LKR/os. Z dworca bierzemy tuk tuka pod hotel (200 LKR) i po ogólnym ogarnięciu się, idziemy obejrzeć zachód słońca na plażę i kolację w Peacock Restaurant (dwa dania plus napoje – 1100 LKR).

Dzień 5. Negombo – Kolombo – Galle – Unawatuna

Pobudka zaraz po wschodzie słońca (ok. godz. 6 rano), bo opuszczamy zachodnią część wyspy i udajemy się na południe. Standardowo już tuk tuk na dworzec w Negombo (wytargowane 200 LKR) i wsiadamy w dobrze nam znany autobus do Kolombo. Na miejscu idziemy piechotą na dworzec kolejowy, bo pamiętamy drogę i jest nie dalej niż kilometr od autobusowego. Jednak tam okazuje się, że najbliższy pociąg do Galle jest za kilka godzin, a nam szkoda dnia, więc wracamy na dworzec autobusowy, by zorientować się, jak wygląda kwestia pospiesznego transportu. Nikt nam nie jest w stanie pomóc, bo albo nie rozumieją, albo wskazują cały czas zwykły autobus międzymiastowy. Ale my nie chcemy jechać transportem, który zatrzymuje się co sto metrów

i nagania ciągle to nowych pasażerów, tylko zależy nam, by dotrzeć autostradą szybko do Galle – nie mamy ochoty tracić całego dnia na przejazd nieco ponad 100 km. Ostatecznie ryzykujemy, by podejść w miejsce, które kiedyś mijaliśmy i wyglądało na dodatkowy dworzec autobusowy. Przechodzimy więc na drugą stronę ulicy i idziemy kilkaset metrów w kierunku przeciwnym do dworca kolejowego. Okazuje się, że jest to dworzec busowy, a że owe busy mają być „pospieszne”, to chętnie ładujemy się w odpowiedni (do Galle) i zajmujemy miejsca. Nasze plecaki położono na jednym siedzeniu za kierowcą, po czym dostajemy 3 bilety, czyli za każde zajęte miejsce siedzące. Trochę niezadowolony, że nie powiedziano nam wcześniej o płatności za bagaże, decydujemy się wziąć je pod nogi, dzięki czemu cena wraca do dwuosobowej, czyli 590 LKR (295 LKR/miejsce). Jak się jednak okazuje, styl jazdy jest identyczny z autobusowym, czyli cała droga polega na naganianiu pasażerów, nawet gdy nie ma już miejsc siedzących, przez co podróż mocno się wydłuża. Z plecakami pod nogami, w upale i ścisku docieramy do Galle po trzech godzinach, skąd zmordowani jedziemy od razu tuk tukiem (400 LKR) do hoteliku w Unawatuna – Peacock Guest House (3000 LKR/noc). Standard przyčetny, pokój z wiatrakiem, ale położenie nad samą wodą i restauracja hotelowa z tarasem na Ocean, bardzo poprawia ocenę miejsca. Jedzenie smaczne i niedrogie (rice&curry 480 LKR, sok 185 LKR).

Dzień 6. Unawatuna – Galle – Koggala – Ahangama – Unawatuna

Po śniadaniu w hotelu (tosty z kawą lub herbatą 480 LKR/os) jedziemy tuk tukiem pod fort w Galle (400 LKR). Docieramy na samo upalne południe, co staje się przyczyną solennego postanowienia – nigdy więcej nie zwiedzamy nic w tych godzinach! Gdy spacerujemy uliczkami w stronę Latarni i wzdłuż wybrzeża, nie ma nawet skrawka cienia, więc dość szybko chowamy się pod parasolkami sympatycznej restauracyjki na dachu jednej z kamienic – w Mamas Galle Fort. Tam zjadamy lunch: thosai (350 LKR), banana fritters (400 LKR) z dzbankiem herbaty (225 LKR) i piwem (400 LKR). Dalej kierujemy się w stronę centrum Galle i na tuk tukowy postój, by dotrzeć do Unawatuna, bo chcemy jeszcze podjechać pod plażę z rybakami na palach (podobno najlepiej w godz. 15–17). Tuk tuk z hotelu do plaży w Koggala i z powrotem (z opcjonalnymi przystankami w wybranych miejscach) wytargowaliśmy na 1200 LKR. Jednak na miejscu okazuje się, że pale są puste i nagle – jak spod ziemi – wychodzą wyglądający na bezdomnych mężczyźni, którzy deklarują, że za 2 tys. rupii wejdą na pale do zdjęć. Mocno rozczarowani taką „szopką” pod turystów, nie decydujemy się na ten „występ”. Kolejni turyści zbulwersowani tak stawianą sprawą, również rezygnują z płacenia i wszyscy fotografujemy puste kije oraz Ocean. Widząc to, nasz kierowca załatwia z szefem, że bez dopłaty zawiezie nas jeszcze pod plażę w Ahangama, gdzie jest większa szansa na spotkanie autentycznych rybaków. Tam faktycznie trafiamy na łowiących, choć od razu podchodzi do nas mężczyzna informujący, że za darmo nie ma robienia zdjęć. Targujemy się na 500 LKR i nie dajemy naciągnąć, że skoro korzystaliśmy z dwóch aparatów, to wychodzi 1000 LKR. Płacimy więc wyjściowo ustaloną kwotę i odjeżdżamy. Po drodze kierowca (i zarazem kelner z hotelu – Pate) zabiera nas do swojego domowego ogrodu, gdzie częstuje kokosami i kawałkiem aloesu. W Peacock GH jemy obiadokolację (rice&curry, jako „specjalność szefa kuchni” kosztuje 700 LKR), wykupujemy rejs na oglądanie wielorybów na następną dzień (8200 LKR/2 os.) i idziemy spać.

Dzień 7. Unawatuna – Mirissa – Unawatuna

Tym razem pobudka o 5 rano, bo 40 minut później wyruszamy spod hotelu do Mirissa. W porcie zostajemy skierowani do jednej z łodzi, którą – po dwugodzinnym oczekiwaniu na spóźnialską rodzinę prezydenta – wypływamy na pełną wodę. Pogoda jest kiepska, łodzią rzuca niemiłosiernie i po godzinie większość pasażerów zmagają się z chorobą morską. Po kilku godzinach natomiast, zmordowani turyści mają okazję zobaczyć kilka małych delfinów, jednak wielorybów nie udaje się spotkać. Do portu wpływamy bardzo rozczarowani, choć ja odczuwam ogromną przyjemność z możliwości postawienia nóg na stałym lądzie. Czeka na nas właściciel hotelu, który zaskoczony, że nie udało się zobaczyć wielorybów (na co dawał nam gwarancję), załatwia możliwość ponownego wypłynięcia na następny dzień, bez dopłaty za rejs. Romek, który nie wie co to choroba morską, waha się, czy nie płynąć ponownie, jednak gdy okazuje się, że sam musi sobie organizować transport do Mirissy (co jednak znacznie zwiększa koszty i zmusza nas do zostania noc dłużej w Unawatuna), rezygnuje z tej opcji. Po powrocie do Peacock GH siadamy do obiadu (ok. 1200 LKR z napojami) i resztę dnia spędzamy na regenerującej drzemce i pływaniu przy plaży.

Dzień 8. Unawatuna – Galle – Matara

Rano pakujemy się i jedziemy tuk tukiem za 300 LKR na dworzec kolejowy w Galle. Kupujemy bilety do Matara na 2 klasę, co kosztuje 80 LKR/os. Warunki w pociągu całkiem w porządku jak na tak niską cenę i do tego naprawdę szybko (po ok. godzinie) jesteśmy w Matarze. Tam piechotą kierujemy się na dworzec autobusowy, który jest w odległości około kilometra od kolejowego. Na miejscu dowiadujemy się o godziny odjazdu autobusów do Ella i postanawiamy zostać na noc gdzieś w okolicach plaży. Jednak – ku naszemu zaskoczeniu – nie ma w tym mieście za wiele takich hoteli, gdyż miejscowość nie jest specjalnie turystyczna, więc kierowca tuk tuka podwozi nas 500 metrów dalej pod Matara Rest House. Miejsce wygląda na drogie i ekskluzywne, więc chcemy jechać gdzieś indziej, ale podchodzi ktoś z obsługi i z ciekawości pytamy o ceny noclegu. Okazuje się, że są bardzo atrakcyjne, więc zaskoczeni od razu decydujemy się zostać w pokoju z wiatrakiem za 2700 LKR. Warunki bardzo dobre, kuchnia w restauracji wysmienita i pięknie wszystko podane, zaskakująco spokojne i przyjemne miejsce nad samą plażą (która – notabene – jest najładniejszą plażą, jaką dotąd widzieliśmy na wyspie). Ceny dań są dość wysokie, ale warto (dania obiadowe w przedziale 500–900 LKR). Wieczorem spada ulewny deszcz, bo zbliżamy się na wschód wyspy, ale po dwóch godzinach przechodzi i idziemy jeszcze na spacer po miasteczku oraz małe zakupy w supermarkecie. Miasto, plaża, hotel, jedzenie, klimat i brak turystów podoba nam się w Matara tak bardzo, że decydujemy się zostać tam jeszcze jedną dobę.

Dzień 9. Matara

Rano okazuje się, że nie ma już wolnych pokoi z wiatrakiem na najbliższą noc, więc przenosimy się do klimatyzowanego (4000 LKR) i po śniadaniu (550 LKR/os.) idziemy na plażę i spacer po okolicy. Nieopodal jest mała wysepka, na którą prowadzi klimatyczna kładka z plaży. Całość zaadaptowana została na świątynię buddyjską i naprawdę warto się tam przespacerować (wejście za wolny datek do puszki, obok miejsca na obuwie). Naturalnie, trzeba pamiętać o zakrytych ramionach i kolanach, ale wystarczy owinąć się szalem i chustą zakryć nogi. Następnie idziemy jeszcze na miasto, w sklepie z alkoholami kupujemy lokalne piwo Lion (200 LKR/0,5 l) i wracamy na obiadokolację

do RH. Tutaj rice&curry wystawiany jest na zasadzie szwedzkiego stołu i nakłada się samemu dowolną ilość oraz wybrane dodatki, plus deser (wszystko to 700 LKR/os) na co decyduje się Romek, ja biorę sałatkę z kurczakiem i ananase, podaną atrakcyjnie w połówce wielkiego ananasa i za tę wielką porcję sałatki płacę 450 LKR.

Dzień 10. Matara – Ella

Pobudka o godz. 7 rano i po śniadaniu wsiadamy w autobus nr 31 do Ella. Odjazd jest punktualnie o 9.50 z pobliskiego dworca, a koszt biletu to 246 LKR/os. Już wiemy, że droga potrwa długo, bo poznaliśmy styl jazdy miejskich autobusów, a do tego wjeżdżamy w tereny góryste i na trasie mamy sporo zawijasów. Po około dwóch godzinach trasy jest jeden postój pod sklepem z toaletą (10 min.). Po drodze mijamy też słynny wodospad Rawana, który faktycznie sprawia ciekawe wrażenie, więc planujemy tam wrócić później. Na miejsce docieramy ok. godz. 15. Ella okazuje się małym, turystycznym, ale spokojnym i klimatycznym miasteczkiem, gdzie życie toczy się dużo wolniej niż w odwiedzonych dotychczas miejscach. Główna ulica to tak naprawdę same hotele i restauracyjki pod przyjezdnych, ale jest w czym przebierać i można bardzo dobrze zjeść. To pierwsze miejsce od przylotu na Sri Lankę, gdzie pijemy mocną, czarną kawę z ekspresu (standardowa, lankijska kawa jest bardzo lurowata i nieraz ma zabarwienie mocniejszej herbaty, dlatego gdy chce się dobrą, mocną kawę, to trzeba podkreślić to wyraźnie przy zamawianiu). Do niej bierzemy rice&curry z mięsem i rybą (680 LKR/os.) i piwko, a za całość płacimy nieco poniżej 2 tys. LKR. Knajpka nazywa się Dream Cafe – naprawdę godna polecenia, choć nie najtańsza. Nocujemy w Shadow Inn, gdzie przekonujemy się, że im bliżej centrum wyspy, tym ceny za noclegi zaczynają zaskakiwać. Za pokój z trzeszczącym wiatrakiem i nie do końca czystą łazienką płacimy 4000 LKR. Jednak podoba nam się położenie w ogrodzie – z dala od dróg i zarazem 300 metrów od głównej ulicy miasteczka, więc zostajemy, bo dużo taniej nic tutaj nie znajdziemy. Wieczorem wracamy jeszcze do Dream Cafe na desery: tradycyjny lankijski „watalapp” za 220 LKR (smaczny, choć bardzo słodki) oraz ananasową tartę na ciepło z lodami za 250 LKR z dzbankiem herbaty (230 LKR). Do pensjonatu wracamy przed godz. 22, bo właściciele czekają na nas z zamknięciem drzwi...

Dzień 11. Ella – Little Adam's Peak – Rawana – Ella

Mamy jeden dzień i kilka punktów do odwiedzenia, więc wstajemy o 6.30 i idziemy na śniadanie (w cenie noclegu, ale zaskakująco duże i smaczne). Następnie szukamy Grand Ella Motel, gdzie można podobno z tarasu kawiarni podziwiać piękne widoki na okoliczne góry. Hotel jest praktycznie w samym centrum, ale tak sprytnie położony, że faktycznie widoki zachwycają. Siadamy na kawie z ciastkiem (duży dzbanek 360 LKR i 2 ciastka 300 LKR). Następnie tuk tukiem za 100 LKR jedziemy pod wejście na Little Adam's Peak. Górka wydaje się niewielka, ale najpierw idzie się wzdłuż plantacji herbaty, a im wyżej, tym widoki piękniejsze i u samego szczytu ma się wrażenie, że wyszło się całkiem wysoko. Podejście jest dość łatwe (poza ostatnią partią stromych schodów), ale należy pamiętać o kremie na słońce, bo wiatr, pot i górskie powietrze zostawiają na skórze znaczne ślady nasłonecznienia... Po zejściu jedziemy znów tuk tukiem do miasta, by coś zjeść, ale część restauracji jest zamknięta, więc z powodu bardzo dużego ruchu w tych otwartych, wracamy do stojącego nieco na uboczu centrum – Grand Ella Hotel. Tam zamawiamy półmisek grillowanych mięs i owoców morza dla 2 osób (1500 LKR), colę (100 LKR) i sok (180 LKR). Słońce już powoli chyli się ku zachodowi, ale my

jeszcze szybko bierzemy tuk tuka do Rawany (800 LKR w obie strony) i Romek decyduje się na szybką kąpiel pod wodospadem. Choć stoi tam mała tabliczka informująca o tym, że może to być niebezpieczne, to wiele osób – zwłaszcza miejscowi – często korzysta z takiej kąpeli. Wieczorem idziemy jeszcze na miejscowy przysmak „rotti”, biorąc z miodem (250 LKR) oraz wołowiną (300 LKR) i decydujemy tam, że porannym pociągiem pojedziemy dalej – do Nuwara Elija.

Dzień 12. Ella – Nanuoya – Nuwara Elija

Bezpośrednio po śniadaniu pakujemy się i podjeżdżamy tuk tukiem (100 LKR) na pociąg do Nanuoya, czyli do najbliższej miejscowości przy Nuwara Elija z dworcem kolejowym. Wyjeżdżamy o godz. 9.23, całkiem wygodnym i bardzo długim pociągiem. Po blisko 3 godzinach niezwykle atrakcyjnej widokowo trasy docieramy do celu. Tam zagaduje do nas niejaki Eddie, który za 800 LKR zawozi swoim vanem do NE. Początkowo zastanawiamy się, czy nie przepłacamy za przejazd dużym autem, bo może tuk tuk byłby tańszy, jednak droga okazuje się tak fatalna, wyboista i zakurzona, że ze współczuciem patrzymy na pojedyncze tuk tuki ginące w tumanach pyłu (ale trasa jest remontowana, więc z czasem może być coraz lepiej). Tym razem nie mamy rezerwacji na żaden nocleg, bo w internecie znaleźć można było jedynie bardzo drogie pokoje, a po przyjeździe często jest się zasypywanym atrakcyjnymi ofertami. Pytamy więc Eddiego (bo tak swobodnie mówi po angielsku, jak dotąd mało który Lankijczyk), czy nie zna jakichś niedrogich, fajnych miejsc. I choć pierwsze, gdzie nas zabrał, było daleko od centrum i z grzybem w łazience, tak drugie już okazało się bardzo trafione. W Glen Fall Resort płacimy 4500 LKR/noc, co jest bardzo dobrą ceną jak na położenie i do tego zawierającą śniadanie. Pokój jest wprawdzie malutki, ale w NE jest zaskakująco zimno, a nie ma ogrzewania, więc odpowiada nam jego wielkość. Decydujemy się zostać 2 noce, bo na następny dzień zamawiamy u Eddiego wycieczkę do Horton Plains, czyli tzw. „końca świata”. Zostawiamy woreczek prania do pralni (płatne od sztuki, w zależności od wielkości; nam wychodzi 800 LKR) i idziemy rozejrzeć się po mieście. Zjadamy w połowym barze – Restaurat Two – obiad (nasi goreng 500 LKR, kurczak z frytkami 700 LKR, mały sok 250 LKR, piwo 400 LKR) i na kawę udajemy się do słynnego Grand Hotel. Miejsce godne polecenia, kawa z ekspresu przelewowego, piękny hotel i fajny widok na ogrody. Dalej kierujemy się do centrum (ceny do Victoria Park: dla miejscowych 60 LKR, a zagranicznych 300 LKR – oficjalnie napisane nad kasami...), kupujemy owoce, miejscowe smakołyki i wracamy do hotelu, bo czeka nas krótka noc.

Dzień 13. Nuwara Elija – Horton Plains – Nuwara Elija

Pobudka o 4.30 i godzinę później jest już po nas kierowca. Nie jest to Eddie – co nas zaskakuje, bo zależało nam na jego komunikatywności – a jeden z jego kierowców, który bardzo słabo mówi po angielsku, wręcz tylko pojedyncze słowa. Sprawdza się więc opinia, że „jak czegoś na Sri Lance nie dopytasz, to zawsze możesz być rozczarowany”. Ale już trudno – wsiadamy w vana i jedziemy do parku. W drodze obserwujemy przepiękny wschód słońca w górach i ok. godz. 7, powoli docieramy do bramy wjazdowej. Za wynajem vana z kierowcą (w obie strony) płacimy 4000 LKR, a opłaty wjazdowe, bilety i podatki to dodatkowo 5730 LKR. Droga „spacerku” jest długa, ale bardzo przyjemna i choć inaczej wyobrażaliśmy sobie sam „koniec świata”, tak okoliczności przyrody i miejsce odizolowane od spalin oraz zanieczyszczeń warte jest odwiedzenia. Trzeba zabrać ze sobą prowiant, bo to jest kilka godzin do przejścia

(ale z plastików można wnieść do parku jedynie butelki z wodą, tylko bez etykietek). Po południu zjadamy w hotelu obiad z kawą (1300 LKR/2 os.) i wynajmujemy hotelowego vana z kierowcą (3000 LKR) do podobno najlepszej fabryki herbaty w okolicy. Po drodze udaje nam się sfotografować z bliska zbieraczki herbaty, które chętnie pozują i równie chętnie wyciągają rękę po pieniądze za tę atrakcję. Na miejscu nasz kierowca załatwia zwiedzanie fabryki Mackwood z przewodniczką (darmowe), co kończy degustacja najbardziej popularnej herbaty (BOP) w kawiarni przy sklepie. Tam też robimy niemałe zakupy i wracamy do hotelu.

Dzień 14. Nuwara Elija – Kandy

Po śniadaniu w hotelu pakujemy się i zostawiamy bagaże przy recepcji, a sami bierzemy tuk tuka do Sita Elija Temple za 1000 LKR (świątynia okazuje się spory kawałek od centrum NE). Przy wejściu dostajemy bilecik (100 LKR), za który otrzymać można błogosławieństwo podczas ceremonii. Do centrum wracamy na zakupy: przyprawę na targu, szafiry na kolczyki w sklepie jubilerskim z certyfikatem (za dwa małe kamienie – 1000 LKR[!]) i męską kurtkę North Face (4100 LKR). Następnie idziemy do hotelu po plecaki i z nimi już na dworzec, by udać się dalej do Kandy. Znow wsiadamy w ciasnego busa, ale tym razem wolimy dopłacić za bagaże na siedzeniu przed nami i przez to trzy miejsca kosztują razem 660 LKR. Po ok. 3 godzinach drogi (połowa to głównie serpentyny...) docieramy wieczorkiem do tej „kulturalnej stolicy Sri Lanki”. Bierzymy tuk tuka za 150 LKR do hotelu Charlton Kandy Rest (3000 LKR/noc), gdzie mamy rezerwację na dwie noce. Od początku są problemy, bo mają bałagan w rezerwacjach, w końcu dostajemy kiepski pokój przy kuchni, bez okna i łazienki (generalnie wszystko w tym hotelu jest na „nie”, więc go nie polecamy), ale jesteśmy zmęczeni i postanawiamy zostać, bo cena jest przynajmniej przyzwoita. Na kolację idziemy do centrum. Siadamy w White House i decyzja ta jest bardzo trafiona, bo jedzenie po prostu pyszne (złote krewetki 550 LKR, hamburger z frytkami 320 LKR, espresso 300 LKR, cola 150 LKR i sok 170 LKR). Wracamy spacerkiem do hotelu.

Dzień 15. Kandy

Rano jemy szybkie śniadanie z kawą (490 LKR/os), a następnie idziemy kupić bilety na wieczorny spektakl „Kandyjskich Tancerzy” (500 LKR/os) w Young Men Buddhist Association (No. 5 Rajaphila Mawatha, Kandy). Stamtąd przechodzimy spacerkiem do Świątyni Zęba Buddy, gdzie już koniecznie trzeba mieć zakrycie dla kolan oraz ramię i warto zabrać ze sobą skarpetki (obuwie zdejmuje się przed wejściem do kompleksu świątynnego i chodzi dalej po bardzo gorącej od słońca posadzce). Cena to 1000 LKR/os. i miejsce zdecydowanie warte odwiedzenia. Po wyjściu załatwiamy na następny dzień transport (w jedną stronę) do Polonnaruwa (z przystankami w Dambula i Sigirija) w biurze turystycznym obok świątyni – Travel Choice – za 10 000 LKR. Przed koncertem jemy obiad w restauracji naprzeciw White House (makaron z owocami morza, ryż z wołowiną, sok i cola kosztują ok. 1300 LKR). W samym White House siadamy na małe espresso i idziemy obejrzyć prezentację miejskiego folkloru. Spektakl trwa około godziny i jest w pełni godny polecenia, bo choć jako muzykolog miałabym kilka uwag do niektórych wykonawców, tak uważam, że zawsze warto poznawać obce kultury, przynajmniej za pomocą takiej namiastki, jaką jest owe przedstawienie. Po zakończeniu – w drodze powrotnej do hotelu – spotykamy Lankijczyka, który proponuje zaprowadzić nas na miejską halę targową z m.in. „ciuchami światowych firm”

po dużo niższych cenach (bo szyte są na wyspie). Jest nam to na rękę, bo słyszeliśmy, że Kandy, obok Nuwara Elija i Kolombo, jest najlepszym miejscem na takie zakupy. Na owej hali – w centrum miasta – kupujemy więc połówkę Ralpa Laurena (1200 LKR), słynne, miejscowe olejki i kilka dodatkowych drobiazgów na suweniry. Ten sam Lankijczyk prowadzi nas pod sklep z alkoholem, gdzie proponuje nam, byśmy się zaopatrzyli w piwko na wieczór i niezbyt subtelnie sugeruje, że też by się chętnie napił. Naturalnie kupujemy też dla niego, choć mamy wrażenie, że w sklepie nieco nas naciągają (800 LKR/2 piwa). Ale cen nie ma, więc machamy ręką, dziękujemy przedsiębiorczemu Lankijczykowi i po dodatkowych zakupach w supermarkecie, wracamy na miejsce noclegu. Tam pada prąd oraz internet, więc – ciesząc się, że to ostatnia noc w tym fatalnym hotelu – idziemy spać.

Dzień 16. Kandy – Matale – Dambula – Sigirija – Polonnaruwa

Wstajemy ok. godz. 4 rano, bo na 6.00 mamy zaplanowany wyjazd spod hotelu. Jednak samochód nie pojawia się i gdy dzwoniemy pod numer telefonu z wizytówki, wszystko wskazuje na to, że ktoś pomylił dni i teoretycznie vana z kierowcą mamy zamówionego na kolejny dzień. Po dłuższych wyjaśnieniach wysyłają nam jednak kierowcę, no a wyjazd opóźnia się o godzinę. Po drodze do Dambula kierowca zatrzymuje się na szybkie zdjęcia przy ciekawszych świątyniach w Matale i okolicach, po czym dojeżdżamy na parking pod wielkiego Buddę, jeszcze przed południem. Do samych jaskiń trzeba podejść pod górę i bilety sprzedawane są praktycznie przed wejściem (1500 LKR/os.). Po przejściu przez kolejne groty wracamy na parking i kilkaset metrów dalej – w kierunku Sigiriji – zatrzymujemy się w jedynym okolicznym zajeździe na późne śniadanie (700 LKR za tosty z frytkami i dzbanek kawy). Ruszamy dalej i pod słynną górą „szalonego władcy” jesteśmy ok. godz. 13. Jest bardzo gorąco, ale po obejrzeniu zaciemionego muzeum, wcieramy w siebie sporo kremu z filtrem i ruszamy na pokonanie 853 schodów (Romek liczył). Początkowo jest ciężko, ale po minięciu fresków na ścianach większość odcinka jest zaciemiona, dlatego podejście jest znośne. U góry widoki przepiękne, a już w trakcie wchodzenia czy schodzenia jest co podziwiać. Cała ta przyjemność jest jedną z najdroższych do zwiedzania – 3900 LKR/os. – ale zdecydowanie warta poświęceń. Dalej jedziemy już prosto do Seyara Holiday Resort w Polonnaruwa. Jest to miejsce polecane przez spotkanych w Kandy turystów z Polski i zdecydowanie polecamy kolejnym. Opłata za pokój to 4000 LKR/noc, ale z klimatyzacją i tradycyjnym śniadaniem, ogrodem wokół i bardzo ciepłą gościną w rodzinnym pensjonacie. Na powitanie dostajemy po soku owocowym i zamawiamy kolację, czyli rice&curry na dwie osoby, piwko i herbatę (1100 LKR). Zmęczeni bardzo aktywnym dniem, idziemy spać bez nastawiania budzika.

Dzień 17. Polonnaruwa

Rano schodzimy na późne, syngaleskie śniadanie (cały zestaw miejscowych przysmaków, w cenie noclegu), po czym uzgadniamy, żeby zamówiono nam tuk tuka „z polecenia” na godz. 13 (za cenę 1500 LKR jest kilka godzin zwiedzania, max. do godz. 18.00). Sympatyczny kierowca, choć ze słabym angielskim, cierpliwie obwozi nas po całym zabytkowym kompleksie (bilety za wszystkie obiekty – 3750 LKR/os.). Zmęczeni, ale bardzo zadowoleni z wycieczki, wracamy do pensjonatu na kolację. Czeka na nas zamówiony rano makaron z miksem dodatków na 2 osoby oraz herbatą i piwem (całość 1100 LKR). Wieczorem w części jadalnianej korzystamy z internetu, zamawiamy na

następny dzień (również z polecenia) transport do Nilaveli (obok Trincomalee) oraz rezerwujemy kolejne noclegi.

Dzień 18. Polonnaruwa – Nilaveli

Po śniadaniu podjeżdża po nas lekko rozklekotany van, ale sami się na to pisaliśmy, bo targowaliśmy najniższą możliwą cenę (która i tak wg nas była spora – ostatecznie nasza trasa Polonnaruwa – Nilaveli to koszt 7500 LKR). Jednak to ostatnie dni na Sri Lance i nie chcemy tracić całego dnia na transport publiczny, który w tej części wyspy jest słabo rozbudowany. Odległość ok. 100 km pokonujemy w 3 godziny, co może uświadomić, jak kiepskie drogi są miejscami na tej trasie i jak powoli jeżdżą kierowcy nawet wynajętymi samochodami (to akurat efekt azjatyckiego sposobu jazdy, czyli koniecznie-miej-oczy-dookoła-głowy!). W końcu docieramy do hotelu Shahira nieopodal plaży, który wygrywa – bez dwóch zdań – konkurs o „najgorszy hotel naszej wyprawy”. Kiepskie warunki pokoiów, łazienki pełne ogromnych robaków wyłazających z rur, nieprzyjemny zapach i do tego kuchnia w restauracji fatalna z ciągle wybrakowanym menu (a jeśli już coś podają, to danie takie nie ma smaku – co jest wybitnym osiągnięciem w „królestwie przypraw”...). Co ciekawe, cena za noc wynosi 4900 LKR, czyli najwyższa jak dotąd w naszej podróży. Ale Nilaveli Beach słynie wśród Lankijczyków jako najładniejsza plaża Sri Lanki, więc korzystają. Nieco podłamani, że zdecydowaliśmy się na internetową rezerwację w ciemno, idziemy na plażę. Jest ładna, ale najładniejsza – według nas – została w Matara. Niemniej jednak na tej plaży spędzamy trochę czasu i decydujemy się wykupić na następny dzień rejsik na wyspę – Pigeon Island – widzianną z plaży w Nilaveli (która to przyjemność kosztuje ok. 5000 LKR/2 os.).

Dzień 19. Nilaveli – Pigeon Island – Nilaveli – Trincomalee

Pobudka o 7.30 i godzinę później płyniemy już z plaży na wyspę. Po wspomnieniu rejsu za wielorybami cieszę się, że tym razem płyniemy łodzią z silniczkami, nie dłużej niż 10 min. Wyspa jest cudowna! Niewielka, ale bardzo ciekawa, woda przezroczysta i ciepłutka, wszędzie leżą fragmenty rafy koralowej, a bardzo niedaleko brzegu są miejsca, gdzie pływają „snoorklujący” turyści, podziwiając tutejszą rafę pod wodą. Romek od razu bierze sprzęt, by dołączyć do fanów podwodnego świata, a ja zostaję na brzegu i cieszę się tym miejscem po swojemu. Spędzamy tam kilka cudownych godzin, ciesząc się ostatnimi chwilkami nad Zatoką Bengalską. Pomimo że jest to okres monsunowy z tej strony wyspy, pogoda jest idealna i nie zanosi się na szybką zmianę. Jednak po powrocie do Nilaveli – pomimo zamówionej dodatkowej nocy – decydujemy się uciekać z tego hotelu i rezerwujemy internetowo dwa miejsca na nocny pociąg z Trincomalee do Kolombo. Po posiłku, który z braku smaku trzeba było zalać ketchupem, oraz sałatkę owocową z lodami (bez lodów, bo „nie ma na nie sezonu”...?)! posypanej (bez pyłania) dużą ilością cukru, pakujemy się i czekamy na tuk tuka na dworzec kolejowy. W tym czasie płacimy za dotychczasowy pobyt (i tutaj jedyny plus ze strony szefa hotelu – zwraca nam połowę kwoty za noc, której już u niego nie spędzimy). Tuk tuk do Trincomalee rusza o godz. 17 (800 LKR) i ponieważ mamy na tyle czasu, prosimy o podrzucenie do centrum miasta, by jeszcze zjeść coś smaczniejszego niż wcześniej. Trochę chodzimy i szukamy, bo to niedziela, miejscowość nie bardzo turystyczna (przez co z plecakami na plecach budzimy spore zainteresowanie), jednak wciąż nie możemy znaleźć jakiejś interesującej knajpki z jedzeniem. Dopiero po zapuszczeniu się między ulice z domami i dość ciekawych spotkaniach z miejscowymi ludźmi, zostaje-

my skierowani do niewielkiego baru, który wygląda całkiem schludnie, a jedzenie jest tanie i pyszne. Z Nawa Restaurant, gdzie za 300 LKR udaje nam się najeść i napić coli, bierzemy tuk tuka (100 LKR) na dworzec kolejowy. Z rezerwacją internetową idziemy bezpośrednio do wejścia na peron, gdzie pociąg już czeka. Ponieważ zamówiliśmy dużo droższe miejsca niż standardowo w pociągach – wagon „expo” – to mamy zapewniony posiłek, napoje, WiFi i rozkładane fotele. Taki bilet to 1900 LKR/os., ale za całą noc w drodze i sporo udogodnień – wg nas – warto. I wszystko byłoby super, gdyby nie kiepska jakość torów, co rzutuje dość znacznie na komfort jazdy. Gdy dostajemy kawę, to tylko 1/3 wysokiego kubka, a i tak nieco się rozchlapuje. Jednak zmęczenie zмага nas tak, że spokojnie przesypiamy resztę trasy (ogólnie opcja transportu godna polecenia, choć dobrze jest zabrać aviomarin, jeśli ktoś zwykle potrzebuje).

Dzień 20. Kolombo – Negombo

Na stacji głównej w Kolombo jesteśmy 10 minut przed 5 rano. Dobrze nam już znaną drogą tuptamy na dworzec autobusowy, podziwiając, jak to miasto już teraz budzi się do życia, choć jeszcze niemal godziny brakuje do wschodu słońca. Klimatyzowany autobus do Negombo stoi już z częścią pasażerów na stanowisku. Ruszamy ok. 5.30 i choć mocna klimatyzacja daje nam w kość, to i tak większość trasy drzemimy. Na miejscu wsiadamy w tuk tuka (200 LKR) pod zarezerwowany Marine Tourist Guest House, ale niestety nie mają jeszcze wolnego pokoju, więc musimy czekać na swój, który dostępny będzie dopiero od godz. 13. Wyglądamy chyba na bardzo zmarnowanych, bo stróż w GH proponuje nam sięść w lobby i przynosi gorącą herbatę. Jesteśmy dokładnie obok hotelu, gdzie spędziliśmy trzy noce po przylocie na wyspę, więc czujemy się w tych rejonach „jak w domu”. Dlatego zostawiamy plecaki i idziemy poszukać ulubionych knajpek, by zjeść śniadanie z kawą, ale tutaj miasteczko dopiero budzi się do życia i jeszcze nie ma otwartych jadłodajni. Włóczymy się więc jakiś czas plażą, aż w końcu zaraz po godz. 8 siadamy w Pancake House (naleśniki x2, sok i kawa – 1200 LKR) i wracamy do GH sprawdzić, czy coś wcześniej się nie zwolniło. Gdy okazuje się że nie, decydujemy się pojechać jeszcze raz do centrum Negombo na pocztę i ostatnie zakupy, bo w nadchodzącą noc mamy lot powrotny. Łapiemy tuk tuka pod pocztę (250 LKR), wysyłamy pocztówki i ruszamy po sklepach z lankijską muzyką oraz straganach z przyprawami, po czym wracamy do hotelu, by się umyć i przespać choć kilka godzin. Drzemka jest krótka, bo na koniec chcemy skorzystać z jeszcze jednej zalety Sri Lanki – masaży – ale okazuje się, że wybrany salon zamykany jest przed wieczorem i jeśli nie zdecydujemy się od razu, to możliwość przepada. Dlatego wstawiamy szybko i zostajemy podwiezieni do kompleksu spa na obrzeżach miasteczka – Jasmin Villa Ayuverda Resort (2100 LKR/os masaż całego ciała). Cali wyłuszczeni acz szczęśliwi idziemy jeszcze w drodze powrotnej dokupić srebrną herbatę na wagę i kilka drobniaków ręcznej roboty w sklepikach przy głównej ulicy. Udaje nam się sporo potargować, bo tłumaczymy, że nie mamy już za wiele rupii i raczej wszyscy spuszczają cenę „na pożegnanie”. Po wszystkim siadamy na obiadokolację w naszej pierwszej restauracji po przylocie – Japan Lanka i bierzemy dokładnie ten sam zestaw co kiedyś, czyli rice-&curry, ryż z krewetkami i warzywami, sok i piwo, za co płacimy 1300 LKR. Po zjedzeniu wracamy do hotelu na prysznic i drzemkę, po czym pakujemy wszystko już pod kątem podziękowań bagaży do samolotu. O 24.15 czeka na nas – na hotelowym parkingu – samochód z kierowcą na lotnisko.

Dzień 21. Dubaj – Kijów

Samolot do Dubaju (liniami Emirates) ma odlecieć o 2.55, więc za bramkami mamy jeszcze trochę czasu na ostatnią, miejscową herbatę. Wylatujemy planowo i o godz. 6 rano jesteśmy na lotnisku w Emiratach Arabskich. Tam do 17.10 mamy czekać na kolejny lot, więc udajemy się do stoiska linii Emirates po darmowe bloczki na ciepły posiłek (dostępny w różnych restauracjach lotniska). Dalej szukamy wolnych leżanek, na których drzemaliśmy poprzednim razem i idziemy spać na ok. 3 godziny. Śniadanie jemy na własny koszt (za 2 zestawy z kawą w McDonalddie płacimy kartą kredytową – ok. 45 PLN), a bloczki zostawiamy na późniejszy obiad. Lotnisko jest ogromne i bardzo atrakcyjne, więc pomimo wielu godzin wolnego czasu trudno się na nim nudzić. Obiad odbieramy w pizzerii (Romek) i w sushi bar (ja), po czym planowo wylatujemy do Kijowa. Na Boryspolu jesteśmy ok. 20.30, więc jedziemy Skybusem do centrum i tam, nieopodal dworca Kijów Centralny, mamy zarezerwowany nocleg w Iris Hotel (323 UAH). Hotelik bardzo przyjemny, choć niełatwo tam trafić i obsługa kiepsko mówi po angielsku (a i po polsku nie bardzo można się dogadać). Jednak w końcu mamy okazję położyć się wygodnie w łóżku na całą noc i to jest coś, co bardzo cieszy po dwóch nocach spędzonych w drodze.

Dzień 22. Kijów – Pyrzowice – Kraków

Śniadanie jest w cenie, więc zjadamy w biegu tosty z kawą i jedziemy taksówką na lotnisko Żuliany (50 UAH). Bez większych przeszkód wylatujemy planowo o 9.35 do Pyrzowic pod Katowicami. Przed godz. 11 (polskiego czasu) jesteśmy w Pyrzowicach i wsiadamy w najwcześniej jadący bus Wizzair-a do Krakowa. Wprawdzie mamy rezerwację na później, ale kierowcy nie robią problemów, by zabrać się wcześniej. Ponad godzinę później jesteśmy w domu.

Podsumowanie

Wyspa jest bardzo ciekawym miejscem, mającym wiele pięknych terenów i zabytków, jednak dosłownie za wszystko trzeba tam zapłacić i często są to ceny bardzo wysokie. Prawie nie ma hosteli (nieliczne okazje) i – jak trafnie powtarzają przybywający tam turyści – nie jest to miejsce dla backpackerów. Na wyspie alkohol – poza lokalami – można kupić tylko w specjalnych, okratowanych sklepach, nie ma opcji w standardowym spożywczym czy supermarkecie i jest dość drogi. Warto zwracać uwagę na często doliczane do rachunków napiwki, a gdy nie są doliczone, to pamiętać, by jednak coś od siebie zostawić (kelnerzy zwykle do bogaczy nie należą). No i trzeba się targować – zwłaszcza o transport – bo nieraz przesadzają z podejściem do turysty jako do „worka pieniędzy z zachodu”. Więcej informacji i opisów na blogu: www.gonimyslonce.pl

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

W 1930 r. stewardesy nie mogły ważyć więcej niż 52 kg.

W krainie suzani, ak-kalpak, jurt i dumbra (Kazachstan)



Od dawna wybieraliśmy się do krajów Azji Środkowej, ale ograniczeniem były głównie skomplikowane procedury uzyskiwania wiz czy stan bezpieczeństwa. W końcu udało się nam uzyskać zaproszenie i wizy do Uzbekistanu oraz zorganizować wyjazd do Turkmenistanu za pośrednictwem lokalnego biura turkmeńskiego.

Jadąc tam myśleliśmy, iż zastaniemy kraje Azji Środkowej w stanie „upadłym”, a na miejscu okazało się, iż kraje te szybko się rozwijają (w szczególności Kazachstan i Uzbekistan) i nie bazują już tylko na dawnej świetności miast Jedwabnego Szlaku, z wyjątkiem Kirgistanu, w którym czas się zatrzymał, tak jakby nie upadł ZSRR.

Termin: 26 kwietnia – 7 maja 2013 roku.

Wiza:

Rosja – wizę wyrabialiśmy w konsulacie Rosji w Warszawie – wiza tranzytowa na 2 dni za 35 EUR (wniosek musi być wypełniony i wydrukowany za pomocą specjalnej strony internetowej Departamentu Konsularnego MSZ Rosji: <http://visa.kdmid.ru> – należy dołączyć bilety lotnicze, wizę państwa docelowego, 1 zdjęcie i ubezpieczenie zdrowotne (koszt około 19 zł na osobę).

Kirgistan – ruch bezwizowy do 60 dni pobytu.

Kazachstan – wiza jednokrotna na okres do 30 dni załatwiana w Konsulacie Kazachstanu w Warszawie za 35 EUR (bez potrzeby przedstawiania zaproszeń, voucherów czy rezerwacji hotelowych) – należy przedstawić zaświadczenie o zatrudnieniu i czeka się około 5 dni roboczych.

Turkmenistan – wyjazd (objazd samochodem z noclegami wraz z załatwieniem zaproszenia i wizy) załatwialiśmy za pośrednictwem biura „Owadan Tourism” z Aszchabadu – koszt 380 USD/os. (z wyłączeniem opłat za wizę i opłat za wejście do muzeów) na 3 dni z 2 noclegami i samochodem terenowym Lexus z kierowcą (bez przewodnika i wyżywienia) na trasie Farab-Merv-Mary-Aszchabad – Darwaza – Konya Urgencz – Khojeli; koszt wizy turystycznej na 10 dni na granicy to 55 USD + opłata dodatkowa 2 USD + tzw. migration tax za 12 USD (w tym opłata dodatkowa 2 USD). Zgoda na wjazd (akceptacja zaproszenia) jest wydawana przez lokalne MSW (my na taką zgodę czekaliśmy około 3 miesiące).

Uzbekistan – zaproszenie (voucher) oraz wizę załatwialiśmy za pośrednictwem portalu wizaserwis – wiza na 15 dni dwukrotna za 80 USD/os. + 210 PLN za voucher/os. + pośrednictwo 70 PLN/os.

Czas:

Rosja – +2 h w stosunku do Polski,
Uzbekistan, Turkmenistan – +3 h w stosunku do Polski,
Kazachstan, Kirgistan – +4 h w stosunku do Polski.

Pieniądze (kurs na dzień 27.04.2013 roku):

Kazachstan 1 USD = 148 tenge (KZT), 1 EUR = 195 KZT

Kirgistan 1 USD = 47 somów (KGS), 1 EUR = 63 KGS

Uzbekistan 1 USD = 2066 somów (UZS), 1 EUR = 2686 UZS

Turkmenistan 1 USD = 2,85 manatów (TMT), 1 EUR = 3,71 TMT

Rosja 1 USD = 31 rubli (RUB), 1 EUR = 40 RUB

W Uzbekistanie najlepiej wymieniać dolary na „czarnym rynku”, czyli na bazarach – wówczas 1 USD = 2770 UZS.

Komunikacja:

W Uzbekistanie czy Kazachstanie warto przemieszczać się pociągami (w szczególności na trasach z Taszkontu do Samarkandy czy Urgencz oraz na trasie z Ałmaty do Astany).

W Kazachstanie ze względu na odległości warto przemieszczać się również samolotami linii „Air Astana” – bardzo dobre, bezpieczne linie z nowymi samolotami Airbus.

„Turkmenistan Airlines” oraz „Uzbekistan Airlines” (tutaj można trafić na Airbusa albo na stary rosyjski Tupolew) nie są zbyt bezpieczne – chociaż korzystając z nich, można znacznie skrócić czas podróży (w Turkmenistanie drogi są remontowane i pełne dziur – przejazd zajmuje dużo czasu).

Najlepszym rozwiązaniem jest przejazd samochodem z kierowcą (ewentualnie dzielony z innymi osobami) – w Turkmenistanie, oprócz przelotów samolotem, jest to jedyna możliwość podróżowania po kraju. Jest to również korzystna forma podróży w Kirgistanie (możliwość zatrzymania się w dowolnym miejscu po drodze, np. na zdjęcia).

Noclegi:

W Uzbekistanie warto korzystać z oferty B&B – w Samarkandzie czy w Bucharze można znaleźć pensjonaty w starych, historycznych budynkach z patio i ogrodem (około 50 USD za pokój ze śniadaniem).

W Kirgistanie w większości stare, sowieckie hotele (tanio). W Kazachstanie hotele raczej drogie, w szczególności w Ałmaty czy w Astanie (powyżej 50 USD – chociaż można znaleźć coś w granicach 20–30 USD). W Turkmenistanie hotele zwykle uwzględnione w cenie objazdu (czyste, na europejskim poziomie i ze śniadaniem).

Koszty:

Największy koszt to koszt zaproszeń i wiz do krajów Azji Środkowej (z wyjątkiem Kirgistanu).

Aby wjechać do Turkmenistanu należy skorzystać z oferty przygotowanej przez lokalne biuro podróży (istnieje jeszcze możliwość uzyskania 5-dniowych wiz tranzytowych), co znacznie podwyższa koszty.

Do Azji Środkowej (do Taszcentu, Ałmaty lub Biszkeku) najlepiej (można znaleźć promocje na przelot – 2000–2500 PLN w dwie strony) dolecieć liniami „Aeroflot”, „Turkish Airlines” czy „Air Baltic”.

Bezpieczeństwo:

Ogólnie bezpiecznie. Należy przestrzegać zasad dotyczących rejestracji w OVIR:

- w Kazachstanie rejestracja nie jest wymagana, jeśli pobyt nie przekracza 5 dni,
- w Kirgistanie brak obowiązku rejestracji,
- w Uzbekistanie w hotelach otrzymuje się karteczki z potwierdzeniem rejestracji (nie trzeba samemu się rejestrować) – często jest to sprawdzane przy wyjeździe,
- w Turkmenistanie – w terminie 3 dni od wjazdu lokalne biuro podróży powinno dokonać rejestracji w OVIR (niezbędne jest 1 zdjęcie i tzw. „karta wjazdu” z granicy) – pieczętka z rejestracją jest wbijana do paszportu.

RELACJA Z PODRÓŻY

26 kwietnia

11.10 – przelot liniami rosyjskimi „Aeroflot” do Moskwy na lotnisko „Szeremietiewo” – 1 h 40 min.

W Moskwie słonecznie – około 12 st. C. Lotnisko „Szeremietiewo” zostało ostatnio zmodernizowane – dobudowano terminale – obecnie prezentuje się na europejskim poziomie.

Po szybkiej kontroli paszportowej przechodzimy na stację kolejową, skąd nowoczesnym pociągiem „Aeroexpressem” jedziemy na Dworzec Białoruski (przejazd około 30 minut, koszt 640 RUB w 2-strony od osoby).

Obiad w restauracji „Traktir” w okolicach ulicy Arbat – bufet z zimnymi przekąskami (śledzie, sałatki) za 390 RUB od osoby, pielmieni, placki serowe, pierogi ruskie, kwas chlebowy, kawa – razem 1780 RUB.

Przejazd metrem ze stacji „Smoleńska” na Dworzec Białoruski i następnie powrót na lotnisko pociągiem „Aeroexpress”.

22.40 – lot liniami „Aeroflot” do Taszcentu – 3 h 30 – catering z daniami na gorąco – nad Kazachstanem niezłe turbulencje.

27 kwietnia

Rano lądujemy na lotnisku w Taszkencie. Od razu uruchamia się biurokratyczna machina – należy wypełnić deklaracje celne i wpisać szczegółowo, ile posiadamy walut obcych oraz wartościowych sprzętów (aparat fotograficzny) – ponoć zdarzają się przypadki weryfikacji przez celników, czy wszystkie posiadane środki/sprzęty zostały wpisane do deklaracji.

Z lotniska jedziemy zamówioną wcześniej jeszcze z Polski (przez Internet za pośrednictwem lokalnego biura „Advantour”) taksówką za 15 USD na dworzec kolejowy (przy okazji od kierowcy odbieramy bilety na przejazd pociągami po Uzbekistanie). Dworzec kolejowy w Taszkencie bardzo nowoczesny – można wejść do środka dopiero po okazaniu biletów na przejazd.

Na dworcu w barze – paszteciki z mięsem po 1500 UZS za sztukę.

8.00 – pociąg „Afrosiyob” do Samarkandy, 2 h, 35 USD/os. (z prowizją agencji – normalna cena to 50 000 S/os.) – nowoczesne hiszpańskie pociągi Talgo, przedziały otwarte z fotelami lotniczymi i monitorami pokazującymi prędkość (ponad 200 km/h) oraz trasę.

Dworzec kolejowy w Samarkandzie nowoczesny. Z dworca przejazd taksówką za 10 000 UZS do hotelu.

Zatrzymujemy się w B&B „Antica” – pokój z łazienką i ze śniadaniem za 50 USD – miejsce klimatyczne (patio z ogrodem).

Rozpoczynamy zwiedzanie Samarkandy: Gur-i Mir (wejście 9000 UZS/os.) z XV w. z grobowcem Timura oraz jego rodziny, Registan (wejście 14 400 UZS/os.) – ogromny plac otoczony 3 medresami obkładanymi bogato płytkami, w środku każdej z medres znajdują się sklepy z pamiątkami – najciekawsza jest medresa Shir Dar z portalem przedstawiającym zwierzę podobne do lwa oraz meczet zdobiony w środku złotymi liśćmi.

Przejazd taksówką za 6000 UZS do Shah-i-Zinda (w tłumaczeniu „Grób Żywego Króla”) – aleja z mauzoleami Timurydów bogato zdobionymi płytkami (wejście 6000 UZS/os.). Przejazd taksówką za 6000 UZS do Obserwatorium Ulughbeka. Zwiedzanie Obserwatorium (wejście 9000 UZS/os.) – najciekawszy jest zachowany sekstant.

Przejazd taksówką za 4000 UZS do restauracji „Karimbek”.

Obiad w restauracji „Karimbek” – 2 sałatki z bakłażanem, sałatka grecka, lulje kebab (szaszłyk) z cebulą, lepioszka (chleb), woda, herbata, kawa, butelka wina uzbeckiego – 50 200 UZS.

Przejazd taksówką w okolice Registanu za 4000 UZS.

Kontynuujemy zwiedzanie Samarkandy, w tym meczetu Bibi Chanum (wejście 9000 UZS/os.) – wybudowanego na zlecenie żony Timura; meczet zawalił się w czasie trzęsienia ziemi w XIX w. (ciekawy marmurowy Koran na dziedzińcu). Spacerujemy po bazarze Siob (najciekawsze i najbarwniejsze są kobiety w uzbeckich strojach, które sprzedają suszone owoce czy jogurt).

Warto skrócić z głównej ulicy spacerowej „Tashkent” przez bramę do starej części miasta z wąskimi, brudnymi uliczkami z poprowadzonymi na zewnątrz rurami z gazem (ta część miasta w całości oddzielona murem od wysprzątanej, przeznaczonej dla turystów strefy).

Woda mineralna 1,5 l w sklepie – 1000–2000 UZS.

Wieczorem oglądamy podświetlone medresy Registanu.

28 kwietnia

Śniadanie w hotelu – naleśniki, ser, kiełbasa, placki ziemniaczane, domowe konfitury z moreli, kawa.

Przejazd wynajętym przez hotel samochodem z kierowcą do Buchary – 45 EUR, ok. 3 h 30 – droga dwupasmowa w dobrym stanie (po drodze kolejki przy stacjach benzynowych – problem z dostawami benzyny), częste kontrole policji.

Nocleg w Bucharze w B&B „Hovli Poyon” – pokój z łazienką i śniadaniem za 50 USD – dobre warunki, duży wewnętrzny dziedziniec z miejscami do odpoczynku (hotel w dawnej medresie – w sali restauracyjnej bogate zdobienia). W hotelach w Uzbekistanie często otrzymuje się na przywitanie orzeszki oraz herbatę (zastawa z porcelany, zdobiona we wzory bawełny).

Zwiedzamy Bucharę: kryty bazar Taki-Sarrafon, główny plac Lab-i Hauz z basenem pośrodku oraz otoczony medresami: Kukaltasz i Diwana Begiego. Zwiedzamy Medresę Ulughbek (wejście 1000 UZS/os.) – wystawa kaligrafii w dawnych celach zajmowanych przez studentów, oraz Medresę Abdul Aziz Khan (wejście 2000 UZS/os.) – wewnątrz drewniane stalaktyty oraz sklepy z pamiątkami.

Najciekawsze jednak miejsca w Bucharze to meczet Kalon (wejście 2000 UZS/os.) z bogato zdobionym w cegle minaretem o wysokości 46 m oraz Medresa Mir-i Arab (tylko z zewnątrz, gdyż jest to czynna medresa).

Spacer do cytadeli Ark (wejście 7500 UZS/os.) – mało ciekawa i podniszczona wewnątrz (muzeum przyrodnicze, minaret) – ciekawy widok z murów na stare miasto.

Na piechotę przez park idziemy do Mauzoleum Ismail Samani (wejście 1000 UZS/os.) – małe, ale ze wzorami na ścianach z wypalanych cegieł.

Przejazd taksówką za 8000 UZS do Char Minor i powrót do Lab-i Hauz.

Zwiedzamy Char Minor (za darmo) – zachowane wejście do medresy z czterema bogato zdobionymi minaretami – w środku znajduje się sklep z pamiątkami, gdzie można zakupić m.in.: suzani za 7 USD (tkaniny jedwabne, dekorowane w rozmaite wzory) czy lalki w typowych uzbeckich strojach za 12 000 UZS.

Obiad w restauracji „Lab-i Hauz” – sałatka grecka, lepioszka, sałatka z bakłażana, jogurt, laghman (makaron z kiełbasą), kotleciki z frytkami, herbata, piwo – 53 700 UZS.

Spacer wieczorem po bazarach.

W restauracji „Chashmai Mirob” (z dachu restauracji widok na meczet i minaret Kalon) – kieliszek wina uzbeckiego za 4000 UZS.

29 kwietnia

Śniadanie w hotelu: naleśniki, wędlina, ser, dżem, kawa.

Przejazd samochodem z hotelu na granicę z Turkmenistanem w Farab – 35 USD, 1 h 30. Kontrola po stronie uzbeckiej bardzo sprawna. Przejazd przez strefę graniczną minibusem za 1000 UZS/os. na posterunek kontroli granicznej Turkmenistanu (ok. 1 km). Po stronie turkmeńskiej czekamy około 3 h (natrafiamy na godzinną przerwę obiadową koło 13, która się znacznie wydłuża). Na granicy czeka na nas kierowca z dokumentami (pozwoleniami na wjazd, promesą wizy itp.) Musimy uiścić opłaty za wjazd i wizę: wiza za 55 USD + opłata dodatkowa 2 USD + tzw. migration tax za 12 USD (w tym opłata dodatkowa 2 USD).

Z granicy jedziemy do Merv samochodem z biura „Owadan Tourism” z Aszchabadu (Lexus 4 W) – ok. 3 h 30 – droga w bardzo złym stanie (dziury, miejscami brak asfaltu). Turkmenistan, zamiast modernizować drogi, dofinansowuje krajowy transport lotniczy (tanie przeloty, ale linie „Turkmenistan Airlines” niezbyt bezpieczne). Każdy z obywateli ma talony na darmową benzynę oraz nie ponosi kosztów dostaw gazu i elektryczności. Państwo ponadto zniósło cła na samochody sprowadzane m.in. z UAE. Po drodze na bazarze w Turkmenabat kupujemy: 6 somsa (pierożki z mięsem) za 4,80 TMT, lepioszka (chleb) za 1,40 TMT, woda 1,5 l + pepsi za 2,60 TMT i 0,5 kg suszonych moreli za 8 TMT.

Zwiedzamy ruiny Merv (wejście 11,40 TMT/os. + 5,70 TMT za aparat fotograficzny): Kyz Kala (cytadela z mułu), Mauzoleum 2 Ashkhab (w części zniszczone), Mauzoleum Sułtana Sandżara (kolorowe wzory w środku), Mauzoleum ibn-Zeid – ogólnie brak turystów i ze względu na duży obszar najlepiej poruszać się po całym terenie tylko samochodem.

Przejazd przez Mary do hotelu „Dayanc” (ok. 20 km od Mary) – nocleg w pokoju z łazienką i ze śniadaniem za 250 TMT (w cenie objazdu po Turkmenistanie)

Kolacja w restauracji w hotelu – 4 szaszłyki z mielonego mięsa, sałatka z pomidorów, chleb, kurczak z cebulą, butelka wina mołdawskiego – 51,20 TMT.

30 kwietnia

Śniadanie w hotelu – naleśniki, kiełbasa, twaróg, omlet.

Wczesnie rano przejazd do Aszchabadu – 5 h (droga w złym stanie – dziury, w części remontowana) – ostatni odcinek prowadzi wzdłuż granicy z Iranem.

Przed wjazdem do stolicy rozpoczyna się wielopasmowa, nowoczesna droga szybkiego ruchu.

Nocleg w Aszchabadzie w hotelu „Ak Altyn” – nowoczesny pokój z łazienką (w cenie objazdu po Turkmenistanie).

Przejazd taksówką za 4 TMT do centrum miasta – jako taksówkę można zatrzymać każdy samochód na ulicy i należy ustalić stawkę za przejazd.

W kawiarni „Shokoladnica” – 4 samsa z mięsem, 2 bułki z serem, miodownik, woda, 2 kawy – 36 TMT.

Zwiedzanie centrum Aszchabadu – miasta pełnego fontann i ogrodów różanych: Pałac Turkmenbaszy z połączoną kopułą (dużo policji – zakaz robienia zdjęć), Pomnik Trzęsienia Ziemi z 1948 roku, Bazar Rosyjski, Pomnik Lenina.

Powrót do hotelu taksówką za 5 TMT.

Wyruszamy samochodem na objazd Aszchabadu: Muzeum Dywanów (wejście 33 TMT/os.) – nowoczesne z mnóstwem dywanów, dzielnica Berzengi – nowoczesne wieżowce (niektóre niezamieszkałe) i pomniki m.in. Pomnik Niepodległości Turkmenistanu (w kształcie pieczętki) ze złotym pomnikiem Turkmenbaszy (jeden z wielu w kraju). Następnie jedziemy pod tzw. Łuk Neutralności (w kształcie rakiety) – nieczynny jest wjazd na taras widokowy i do Gypjak do Mauzoleum (grób Turkmenbaszy) i Meczetu Turkmenbaszy.

Ogólnie parki czy budynki użyteczności publicznej wydają się atrapami (prawie brak ludzi), np. nowoczesny Szpital Onkologii wyglądał jak nieczynny.

Powrót do Aszchabadu do restauracji „Minara” w dzielnicy Berzengi. Restauracja na dachu centrum handlowego z ogromną fontanną z widokiem na całe miasto (klimatyczne miejsce).

Jemy roladki z bakłażana, sałatkę grecką, kurczaka z grilla, manty (pierogi z mięsem z rosołu), lody czekoladowe, woda – 113 TMT.

Przejazd taksówką (samochód z ulicy) za 5 TMT w okolicy hotelu „Ak Altyn”.

Wieczorem idziemy w okolicach hotelu do baru „Iceberg” – kufel lokalnego piwa za 3 TMT.

1 maja

Śniadanie w hotelu – ser, wędlina, oliwki, pomidor, kawa.

Samochodem jedziemy wyremontowaną drogą w kierunku Darwaza (na części drogi prace drogowe w toku) do powstałego w wyniku wybuchu gazu krateru na Pustyni Karakum.

Po drodze zatrzymujemy się w Jerbent – osadzie na pustyni Karakum, składającej się z jurt i pasących się wielbłądów.

Przed wjazdem do krateru zmieniamy samochód na terenowy ze względu na drogę szutrową (piaszczystą) – krater to wielka dziura z wypalającym się cały czas gazem (nie można podchodzić blisko krateru ze względu na opary gazu i gorąco).

Następnie jedziemy do Konya Urgencz – 4 h (ostatnie 80 km to droga w bardzo złym stanie z dziurami i prawie pozbawiona asfaltu).

Zwiedzamy ruiny w Konya Urgencz – wejście 11,40 TMT/os. + aparat 5,70 TMT – Turabeg Khanym Mauzoleum z kopułą zdobioną płytkami, minaret Gutlug Timur o wysokości 59 m, Mauzoleum Sultan Tekesh, cmentarz tzw. Kyrk Molla, Mauzoleum II-Arslan. Ogólnie w porównaniu do zabytków w Uzbekistanie – Konya Urgencz nie robi dużego wrażenia i pozostało mało, dobrze zachowanych budowli.

Obiad w lokalnym barze w Konya Urgencz – pielmieni z rosółem, 2 kawy, chleb – 20 TMT.

Jedziemy ok. 10 km na granicę w Khojeli z Uzbekistanem. Posterunki graniczne Turkmenistanu i Uzbekistanu są położone niedaleko siebie – sprawna kontrola celna i paszportowa.

Przejazd taksówką (Daewoo Damas) za 10 USD do Nukus.

Następnie przejazd taksówką (dzielona z jeszcze jedną osobą) do Chiwy za 100 tys. UZS – ok. 2 h 30 min.

Nocleg w hotelu „Isakjon&Umidabonu” – 35 USD za pokój z łazienką i śniadaniem (dobre warunki).

Kolacja w restauracji „Kheivak” – sałatka z bakłażana, sałatka grecka, szaszłyk z kurczaka, lula kebab (szaszłyki z mielonego mięsa), butelka wina uzbeckiego, herbata, bakława – 58 000 UZS.

2 maja

Śniadanie w hotelu – naleśniki, kiełbasa, ser, kawa, sok.

Za wejście na teren otoczonego murami Starego Miasta (tzw. Iczan Kala) w Chiwie należy zapłacić 12 USD lub 25 000 UZS + opłata za aparat 3 USD lub 6000 UZS.

Zwiedzamy Chiwę: cytadela Kunja Ark (meczet i sala tronowa zdobiona niebieskimi płytkami), Minaret Kalta Minor (nieukończony – robiący wrażenie ogromną podstawą), medresa Mohammed Rakhim Khan (mało ciekawe muzeum), Mauzoleum Pahlavon Mahmud (wejście 4000 UZS/os.) – bogato zdobione niebieskimi płytkami, Medresa Is-lom Hoja (mało ciekawe – muzeum z kaligrafią i drewnianymi rzeźbieniami).

Odwiedzamy również pracownię, gdzie wyrabia się dywany oraz suzani.

Zwiedzamy pałac Tosh Hovli z 2 dziedzińcami zdobionymi płytkami oraz Meczet Dżuma z drewnianymi, zdobionymi kolumnami.

Obiad w kawiarni na Starym Mieście: 2 samsy z mięsem, plov, manty z mięsem, 2 sałatki z pomidorów i ogórków, kapusta nadziewana mięsem, woda, piwo lokalne – 60 000 UZS.

Spacer po bazarze Dekhon, gdzie można wszystko kupić, poczynając od owoców, ubrań, a kończąc na pamiątkach.

Odbieramy bagaż z hotelu i taksówką za 5 USD jedziemy do Urgencz – ok. 30 min.

Dworzec kolejowy w Urgencz nowoczesny (tak jak większość dworców w Uzbekistanie, w szczególności w tych miastach, które odwiedzają turyści).

O godz. 16.10 wyjazd pociągiem do Taszkontu – 16 h, 332 000 UZS/2 osoby (w agencji bilety kupowane po 100 USD/os.) – przedział 2-osobowy (kupe). Pociąg czysty – można wieczorem się wyspać. W wagonie restauracyjnym – piwo lokalne, ciastka, herbata – 9000 UZS.

3 maja

Przyjazd do Taszkontu o 10.25. Z dworca kolejowego przejazd taksówką za 6000 UZS do hotelu „Rovshan” (w hotelu zostawiamy tylko bagaże – warto tam nocować – 130 tys. UZS za pokój z łazienką i ze śniadaniem).

Z hotelu przejazd taksówką (można zatrzymać na ulicy każdy samochód) za 4000 UZS do stacji metra Oybek.

Przejazd metrem za 800 UZS/os. do stacji Chorsu. Spacer po bazarze Chorsu – najciekawszy i jeden z największych bazarów w Uzbekistanie – kobiety w kolorowych, kwiecistych sukienkach sprzedające owoce, sery czy okrągłe lepioszki (na bazarze można kupić mniej więcej wszystko).

Przejazd taksówką za 3000 UZS do Khast Imom. Zwiedzanie medres i meczetu w miejscu, gdzie rezydują władze religijne Uzbekistanu.

Przejazd taksówką za 10 000 UZS do restauracji „Caravan”. Obiad w restauracji (jedno z klimatycznych miejsc w Taszkencie – drogo) – manty, 2 szaszłyki z kurczaka, humus, sałatka z pomidorów, woda, herbata czarna, baklava – 83 000 UZS.

Przejazd taksówką za 4000 UZS do parku Navoi – spacer po parku i w okolicach budynku Parlamentu.

Przejazd metrem ze stacji Milliy Bog do stacji Mustaqillik Maydoni. Spacer po centrum Taszkentu: Senat, pomnik tzw. Płaczącej Matki, Plac Timura i hotel „Uzbekistan”.

W lokalnej restauracji – butelka uzbeckiego wina za 25 000 UZS.

Powrót taksówką za 3000 UZS do hotelu. Odbieramy bagaże i przejazd taksówką za 11 000 UZS na lotnisko – ok. 15 min.

23.50 – przelot liniami „Air Astana” (bardzo dobre kazachskie linie lotnicze z kapitałem brytyjskim) do Astany – 2 h 05 (bilety najlepiej kupować przez Internet na stronie „Air Astana” na kilka miesięcy naprzód – około 580 PLN/os.).

4 maja

2.55 – przylot do Astany – lotnisko nowoczesne (szybka kontrola paszportowa).

Przejazd z lotniska do centrum Astany do hotelu „Aka” – 2000 KZT – ok. 30 min.

Nocleg w hotelu „Aka” (Prospekt Zhenis 79) niedaleko stacji kolejowej – 9000 KZT za pokój z łazienką i ze śniadaniem (dobre warunki, czysto).

Śniadanie w hotelu – omlet, ser, chleb, kawa.

Z hotelu przejazd autobusem nr 12 (bilet 60 KZT/os.) w okolice nowoczesnego centrum handlowego „Mega Astana”. W kawiarni „Costa” – kawa latte za 650 KZT.

Zwiedzamy Atameken (Kazachstan w miniaturze) – wejście 400 KZT/osobę – mapa Kazachstanu z odtworzonymi w miniaturze zabytkami oraz ukształtowaniem terenu, w tym makieta Astany.

Przejazd autobusem nr 32 do Khan Shatyr – centrum handlowego w budynku zaprojektowanym przez Normana Fostera i pokrytego materiałem utrzymującym cały rok stałą temperaturę ok. 25 st. C (w środku dużo roślinności i na dachu park wodny).

Spacer po Nurzhol Bulvar i zwiedzanie Islamic Centre (meczet bogato zdobiony w środku) oraz zaprojektowanej przez Normana Fostera wieży Bajterek o wysokości 105 m (w kształcie drzewa ze złotą kulą na szczycie). Kształt wieży nawiązuje do opowieści ludowej o „mitycznym drzewie życia i magicznym ptaku szczęścia” – ptak Samruk włożył złożone przez siebie jajo w szczelinę między dwie gałęzie drzewa topoli będącego drzewem życia podtrzymującym niebo i w ten sposób powstało słońce. Wjeżdża się windą na szasklony taras widokowy (widok na otaczający Astanę step) – wewnątrz można przyłożyć rękę do odlewu ręki Prezydenta Nazarbajewa.

Oglądanie z zewnątrz Pałacu Prezydenckiego Ak Orda oraz przejazd autobusem nr 40 w okolice tzw. Piramidy Pokoju (Pałac Pokoju i Zgody). Wejście do Piramidy za 500

KZT/os. (zwiedzanie z przewodnikiem) – budynek zaprojektowany przez Normana Fostera i przeznaczony na spotkania przedstawicieli różnych, światowych religii – najciekawsze to ogromna tzw. Opera Hall, atrium oraz pokój spotkań położony na szczycie Piramidy. Z zewnątrz oglądamy tzw. Pałac Niepodległości (obecnie muzeum), Pomnik z orłem na szczycie (tzw. Kazak Yeli) oraz szklany budynek tzw. Shabyt.

Przejazd autobusem nr 32 na ulicę Republiki. Obiad w gruzińskiej restauracji „Tiflis” – 0,5 l wina gruzińskiego, sałatka z serem, chaczapuri z serem, chinkali, roladki z bakłażana z orzechami – 11 500 KZT (jeden z najdroższych obiadów – ceny w restauracjach w Astanie bardzo wysokie – do wyboru bary z kebabami lub drogie restauracje).

Przejazd autobusem nr 10 w okolice dworca kolejowego. Odbieramy bagaże z hotelu i przejazd autobusem nr 10 na lotnisko (60 KZT/os., około 1 h).

22.35 – lot liniami „Air Astana” do Ałmaty – 1 h 10 – catering (baton i kanapka na ciepło) – bilety kupowane przez stronę „Air Astana” w cenie około 500 PLN za osobę (cena porównywalna do przejazdu na tej trasie nowoczesnym hiszpańskim pociągiem Talgo – ok. 12 h).

5 maja

Z lotniska w Ałmaty przejazd taksówką za 1500 KZT do hotelu „Turkestan” ok. 20 min.

Nocleg w hotelu „Turkestan” – 5000 KZT za pokój z łazienką (prysznic na korytarzu).

Śniadanie w kawiarni – 4 bliny z twarogiem, 2 samsa z serem, 2 kawy latte – 840 KZT.

Zwiedzamy Sobór Zienkowa z początków XX w. – cały z drewna i pomalowany w jaskrawe kolory – bogaty ikonostas w środku. Następnie idziemy do Muzeum Kazachskich Instrumentów Muzycznych (wejście 200 KZT/os.) – nowoczesne z możliwością odsłuchania różnych instrumentów począwszy od dumbry (podobny do bałałajki z dwiema strunami), a kończąc na kobyz (podobny do skrzypiec). W Muzeum są również instrumenty ludowe z innych państw, w tym dudy z Polski.

Udamy się do łaźni „Arasan” – 1000 KZT/za 1 h 30/os. + 300 KZT za klapki i prześcieradło do okrycia się – łaźnie ponoć najbardziej nowoczesne w Azji Środkowej (oddzielne dla kobiet i mężczyzn sauny suche i mokre oraz basen do kąpieli).

Przejazd metrem ze stacji Zhibek Zholy do stacji Abaya (bilet 80 KZT/os.) – metro nowoczesne (koreańskie wagony), mozaiki na ścianach.

Idziemy na Plac Republiki z Pomnikami Niepodległości ze statuą tzw. Złotego Człowieka (kopia odkrytego niedaleko Ałmaty uzbrojenia scytyjskiego wojownika), Ratuszem oraz Pałacem Prezydenckim.

W centrum handlowym pod Placem Republiki warto zakupić tanie pamiątki – koszulki w barwach flagi Kazachstanu (2200 KZT), pokrywki w kształcie jurty na czajnik, miniaturowe jurty czy lalki w narodowych strojach.

Następnie zwiedzamy tzw. Central State Museum (wejście 100 KZT/os.) – miniaturowe znane budowle Kazachstanu, replika zbroi tzw. Złotego Człowieka, wystawa jurty oraz życia na stepie oraz współczesnej historii Kazachstanu (ogólnie muzeum mało nowoczesne i niezbyt ciekawe).

Idziemy do kolejki linowej na wzgórze Kok Tobe o wys. 1100 m – przejazd w dwie strony za 2000 KZT/os. – z tarasów widok na miasto oraz na pobliskie góry Alatau, pomnik zespołu „The Beatles”, mini zoo oraz restauracje i sklepy z pamiątkami.

Zjazd kolejką do centrum i obiad w restauracji „Kimep Grill” – restauracja samoobsługowa – makaron z mięsem i warzywami, 2 samsy z serem, sałatki warzywne, woda, owoce – 2220 KZT.

Przejazd metrem ze stacji Abaya do stacji Zhibek Zholy i wieczorem spacer po centrum Ałmaty.

6 maja

Rano przejazd taksówką na dworzec autobusowy Sayran za 800 KZT.

Na dworcu w barze – woda 1 l za 110 KZT + samsa z kurczakiem za 80 KZT/sztukę.

Przejazd taksówką (dzielona z 3 osobami jeszcze) na granicę z Kirgistanem w Kor-day za 2500 KZT – ok. 3 h (taksówki czekają przed dworcem Sayran). Na granicy szybka kontrola paszportowa i celna zarówno po stronie Kazachstanu, jak i Kirgistanu.

Z granicy przejazd taksówką do „Sakura Guesthouse” za 300 KGS.

Nocleg w „Sakura Guesthouse” za 1000 KGS za pokój.

W kawiarni „Fatboy” – kawa za 110 KGS + woda za 55 KGS.

Przejazd samochodem z „Sakura Guesthouse” nad Jezioro Issyk-Kul za 96 USD (w dwie strony i zwiedzaniem po drodze Burana Tower). Droga nad jezioro w budowie przez Chińczyków – wspaniałe widoki na góry Alatau i wąwóz rzeki Chuy, przy drodze jurty sprzedające w sezonie kumys czy ryby. Nad jeziorem postój w Balykchy i w Tam-chy – miejscowościach z brudnymi i zaniedbanymi plażami (ogólnie ładne widoki na góry Alatau schodzące w kierunku jeziora).

W drodze powrotnej do Biszkeku zatrzymujemy się przy Burana Tower – wejście 110 KGS/os. wraz ze zwiedzaniem muzeum – ciekawy minaret z cegły oraz tzw. balbals (kamienne posągi nagrobne).

Powrót do Biszkeku na Plac Ala Too z pomnikiem Manasa (bohater kirgiskiej epopei narodowej) i ogromną flagą narodową.

W restauracji obiad – manty (pierożki z koniną), sałatka z pomidorów i ogórków, 4 samsa z mięsem, woda – 1280 KGS.

W sklepie – mała woda za 20 KGS.

Wieczorem spacer po Biszkeku (w szczególności wieczorem niezbyt bezpiecznie ze względu na liczne parki i słabo oświetlone ulice).

7 maja

Na śniadanie – chleb (lepioszka) w sklepie za 20 KGS + w kawiarni espresso za 180 KGS.

Ogólnie Biszkek sprawia wrażenie prowincjalnego miasta, tak jakby ZSRR nadal istniał – blokowiska, parki z pomnikami ku czci żołnierzy radzieckich, pomniki Lenina i muzea w socjalistycznym stylu.

Zwiedzamy Muzeum Historyczne (State Historical Museum) – wejście 150 KGS/os. – w dawnym Muzeum Lenina z metalowymi płaskorzeźbami przedstawiającymi historię Rewolucji Październikowej oraz zbiorami etnograficznymi (jurty). W sklepie w Muzeum warto kupić pamiątki – miniatura jurty za 200 KGS czy mała czapka kirgiska (ak-kalpak) za 200 KGS. Następnie oglądamy z zewnątrz: Pałac Prezydencki, budynek Parlamentu, Dom – Muzeum Michaiła Frunze (wejście 50 KGS/os.) – zachowany drewniany dom, w którym urodził się Frunze, oraz Plac Zwycięstwa z pomnikiem w kształcie jurty i tzw. wiecznym ogniem.

Wizyta w TsUM – centrum handlowym bardzo dobrze zaopatrzonym jak na Kirgistan.

Cezary Wasyluk

Dalekistan



Pomysł na wyprawę Dalekistan rodził się w mojej głowie od dłuższego czasu. Nazwa wyprawy składa się z słowa Daleki – od mojego projektu podróżniczego daleka-droga.pl, w którym opisuję moje przygody i staram się szerzyć bakcyła podróżniczego wśród ludzi. Natomiast drugie słowo to Stan, które kryje w sobie miejsca, gdzie postanowiłem pojechać, oczywiście na motocyklu: Kazachstan, Uzbekistan, Tadżykistan, Kirgistan oraz dodatkowo Mongolia. Tego roku towarzyszył mi Paweł Zgódka i jest to o tyle ciekawe, że przed wyjazdem w ogóle się nie znaliśmy. Po długich i poważnych przygotowaniach nasza przygoda zaczęła się pod koniec Lipca.

RELACJA Z PODRÓŻY

Przejazd przez Ukrainę i Rosję był męczący i nudny. Wraz z Kazachstanem zaczęła się przygoda. Krajobraz przeobraził się w stepy sięgające horyzontu. Na drogach zamiast krów zaczęły się pałętać wielbłądy. Ludzie zdecydowanie ubożsi, miejscowości to głównie jednopiętrowe budynki. Dzieciaki biegające boso stanowiły codzienny widok. Droga z początku była beznadziejna, później zdecydowanie się polepszyła. Skończyła się możliwość płacenia na stacjach benzynowych kartą, od Kazachstanu musieliśmy się posługiwać tylko gotówką. Prócz wielbłądów charakterystycznym widokiem był stale towarzyszący gazociąg prowadzony wzdłuż drogi.

Przejście graniczne z Uzbekistanem okazało się najgorszym koszmarem w moim życiu. Nie z tego powodu, że ktoś nam robił problemy, tylko dlatego, że spędziliśmy na nim 5 godzin. Uzbekcy przywożą z Rosji kompletnie wszystko, od lusterek, przez opony i rowery po magnetowidy, przez to granica jest zatłoczona, a celnicy nie mają chwili oddechu. Jak się okazało, w Uzbekistanie jest kryzys z benzyną, która jest tylko 2 razy w tygodniu na stacjach benzynowych. Jak mawiają Uzbekcy: „U nas zaprawka mnoga, ale benzin niet” i faktycznie, przez cały Uzbekistan tylko dwa razy zatankowaliśmy na stacji. Niesamowity jest, niczym z Mad Maxa, widok dzieci stojących przy wjeździe do miasta sprzedających benzynę w butelkach półtoralitrowych. Sporo czasu spędzaliśmy na szukaniu benzyny w różnych miejscowościach u mieszkańców. Z początku konieczność jazdy na benzynie 80-oktanowej była dla nas przerażająca, z czasem okazało się to normalnością.

Pierwszym punktem do odwiedzenia było Morze Aralskie, widok osadzonych barek rybackich na pustyni aż po horyzont daje do myślenia. Jezioro Aralskie było kilkadziesiąt lat temu czwartym z największych jezior świata. Jednak Rosjanie postanowili głównie z Uzbekistanu zrobić światowego producenta bawełny i w tym celu zmienili bieg głównej rzeki dopływowej. Doprowadziło to do systematycznego wysychania jeziora i ogromnej katastrofy ekologicznej. Dzisiaj pozostawione łodzie są symbolem ludzkiej głupoty. Następnie udaliśmy się do Chiwy, gdzie czekały na nas architektoniczne perełki Jedwabnego Szlaku. Stare miasto, które całe jest otoczone wysokim murem, kryje w sobie mauzolea, medresy, meczety, cytadele oraz pałac chana Tasz Chauli. Niestety z zobaczenia zabytków Buchary i Samarkandy musieliśmy zrezygnować z powodu kończącej się wizy. Gdzieś po drodze doszły nas słuchy, że przejście graniczne, na które się kierujemy, jest zamknięte. W Samarkandzie, która jest położona 50 kilometrów od granicy, dla pewności pytałem kilku policjantów i wedle nich granica powinna być otwarta. Zrobiła się godzina 19, powoli się zbieramy do opuszczenia Samarkandy i spotykamy Włochów na motocyklu. Powiedzieli, że jednak granica jest zamknięta, a główne przejście znajduje się 300 kilometrów na północny zachód. Zrobiło się nerwowo, tego samego dnia kończyła nam się wiza, postanowiłem zadzwonić do ambasady. Okazało się, że granica faktycznie jest zamknięta i poradzono mi, byśmy nawet tam nie jechali, bo to strata czasu. Najbliższe przejście znajduje się 200 kilometrów na południe, ale po jakiś 100 trzeba skręcić w pustynię i najlepiej ludzi pytać, gdzie, bo samemu ciężko tam trafić. Na pytanie, co się stanie, jak nie uda nam się opuścić Uzbekistanu, usłyszałem, że... czeka nas deportacja, ponieważ Uzbekistan nie bawi się w przedłużanie wiz. W każdym razie obiecali trzymać za nas kciuki i życzyli nam powodzenia. Czekala nas ostra jazda po nocy. Ze względu na niepewne południowe przejście wybraliśmy to polecane przez Włochów. Jazda była szalona, raz prawie władowałem się w nieoświetlony wóz konny, a drugi raz na czołówkę wyskoczyła mi jakaś wyprzedzająca osobówka. Szczęśliwie i cało udało się dojechać do przejścia i na 40 minut przed północą opuścić Uzbekistan.

Tadżykistan przywitał nas przygodą, w której w kilka sekund przez oczy przewinęło mi się całe życie. Pierwszej nocy, z powodu ucieczki przed deportacją, przyszło nam szukać noclegu po nocy. Po godzinie szukania w końcu udało się znaleźć kawałek równego terenu, na którym można by rozbić namioty. Zmęczeni zabieramy się za rozpakowywanie motocykli i w pewnym momencie Paweł mówi, że jakiś ciółek idzie po nocy bez latarki. Nie minęła minuta, jak zostaliśmy przywitani w języku całego świata – dźwiękiem odbezpieczanej broni maszynowej. Kolejne kilkanaście sekund wydawały się trwać wiecznie. W takiej sytuacji kompletnie nie wiadomo, czego można się spodziewać, a droga od odbezpieczanej broni do wystrzału jest bardzo krótka. Paweł powiedział, byśmy tylko nie świecili po oczach, zaczął mówić do mroku po polsku, jednak po standardowej kwestii (my turyści z Polski, czy możemy tutaj rozbić namiot), nastąpiła znów wiecznie trwająca kilkunastosekundowa cisza. W końcu się ocknałem i zacząłem nadawać łamanym rosyjskim, minęły kolejne sekundy, aż wreszcie ktoś chrząknął i chwilę potem z trzech stron wyszli żołnierze. Trzech z kałachami, na każdym był nałożony bagnet, jeden z rkm-em i jeden, jak przypuszczam oficer, trzymający w jednej dłoni pistolet, w drugiej bagnet. Widok i sytuacja nie do zapomnienia aż po kres dni. Wymieniliśmy kilka słów, na szczęście nie robili żadnych problemów, tylko

musieliśmy w trybie natychmiastowym zmienić miejsce noclegowe, bo jak się okazało, rozbijaliśmy się na terenie wojskowym. Czując się jak nowo narodzeni, rozbiliśmy się po drugiej stronie ulicy. Z początku jazda w Tadżykistanie była czystą przyjemnością, asfalt był bardzo dobry, a widoki zapierały dech w piersiach. Ludzie, prócz towarzyszenia nam na każdym postoju i zadawania nam tysięcy pytań, pozdrawiali nas z ulic, kierowcy też albo machali, albo po prostu radośnie trąbili. Wraz z wjazdem do Pamiru drogi zaczęły się pogarszać. Po pokonaniu pierwszych przełęczy czekała nas niespodzianka. Okazało się, że przejeżdżający tir zarwał most. Rzeka okazała się za głęboka i rwąca na przejazd motocyklem. Trzeba było znaleźć inne rozwiązanie albo zawrócić. Naszym rozwiązaniem okazał się Kras – stara, będąca w opłakanym stanie ciężarówka, na którą załadowaliśmy motocykle i przepawiliśmy się przez rzekę. Kilkaś kilometrów dalej miałem okazję jechać najpiękniejszą drogą mojego życia. Wiodła ona wzdłuż granicy z Afganistanem, a krajobrazy korytarza wahańskiego zrobiły na mnie niesamowite wrażenie. Przed opuszczeniem Tadżykistanu czekało na nas jeszcze jedno wyzwanie – jedna z najwyżżej położonych na świecie dróg. „Pamir Highway” na przełęczy liczy 4655 m n.p.m. Wjazd motocyklem na taką wysokość do łatwych nie należy, z powodu braku powietrza silnikowi brakuje mocy. Teresa była wyjątkowo kapryśna, ale trochę pokląłem, pochuchałem, podmuchałem i jakoś razem daliśmy radę zdobyć najwyższą przełęcz mojego i mojej, a także Teresy żywota.

Wjeżdżając do Kirgistanu człowiek zaczyna się sam do siebie uśmiechać, a to dlatego, że jest tutaj w końcu zielono i występuje o wiele więcej zwierząt. Tadżykistan natomiast był bardzo surowy. Pierwsze większe miasto – Osh okazało się mieć, moim zdaniem, najbardziej charakterystyczny azjatycki klimat. Totalny mętlik na drogach, wąskie uliczki, obszerne stragany, na których można wszystko kupić, od piskląt po filmy z Jackie Chanem – był nawet sklep, gdzie były filmy tylko z jego udziałem. Do tego chodniki i dróżki są bardzo zatłoczone, a wszystkiemu towarzyszy milion zapachów wydobywający się z równie licznych przydrożnych knajpek i smażalni. Po opuszczeniu Biszkeku, stolicy Kirgistanu, udaliśmy się nad jezioro Song Kul, do którego prowadził bardzo przyjemny szuter. Nad samym, krystalicznie czystym jeziorem Kirgizi hodują bydło i okresowo mieszkają w obozowiskach składających się z jurt. Z Song Kul ruszyliśmy nad jezioro Yssi Kul, jak nam się wydawało skrótem. Asfalt szybko się skończył, pojawił się szuter, którym spokojnie można było jechać 100 kilometrów na godzinę. Jednak po kilkudziesięciu kilometrach frajdy i pięknych widoków szlak zaczął się psuć. Pojawiły się potężne głązy na ziemi, sama droga była często pozarywana przez powstałe rzeki, dlatego było sporo brodenia. Sam podjazd pod przełęcz, która liczyła ponad 3900 m n.p.m., okazał się jeszcze trudniejszy. Droga była bardzo stroma, a nawierzchnia skalna. Był to taki hardcor, że z tego odcinka nie mam ani jednego zdjęcia, po prostu martwiłem się o siebie, a nie o robienie zdjęć. Kilkanaście kilometrów po przekroczeniu przełęczy między górami pojawiło się na horyzoncie upragnione jezioro. Ta trasa licząca 150 kilometrów jest zdecydowanie najtrudniejszą, jaką w życiu pokonałem. Jezioro Yssi Kul jest pięknie usytuowane, praktycznie całe jest otoczone górami z ośnieżonymi szczytami. Woda jest bardzo przejrzysta, a dodatkowo są czyste, piaszczyste plaże, na których w zasięgu wzroku nie dostrzeżemy człowieka. Po górskiej jeździe trochę tutaj odpoczęliśmy i ruszyliśmy w kierunku Mongolii.

Przed Mongolią czekał nas przejazd przez Kazachstan i Rosję. W pierwszym z tych krajów po drodze zobaczyliśmy Kanion Szaryński. Liczy on 150 kilometrów długości, a wysokość niektórych ścian dochodzi do 80 metrów. My z powodu niewiedzy, gdzie szukać najlepszych widoków, widzieliśmy tylko jego kawałek. Z kolei w Rosji zaczęło się pasmo górskie Ałtaj, czyli kolejne wspaniałe krajobrazy, przez które prowadził nas asfalt dobrej jakości, liczący wiele zakrętów.

Wraz z wjazdem do Mongolii skończyła się bujna roślinność, która występowała w Rosji, a zaczął się suchy step z widokiem na wierzchołki gór w oddali. Po zobaczeniu Mongolii zostały mi mieszane uczucia. Już pierwszego dnia ukradli mi rękawice, kiedy byliśmy z Pawłem w sklepie. Z Mongołami praktycznie nie można się dogadać, bo oni ani rosyjskiego, ani angielskiego nie znają. Na każde zadane pytanie tylko kiwają głową. Ze względu na surowy klimat w sklepach nie można kupić warzyw i owoców, a najbezpieczniejsze wydają się być konserwy. Jedzenie w restauracjach pozostawia jeszcze więcej do życzenia. Jedynym mięsem jest baranina, która podana składa się głównie w 80% z tłuszczu, a w 20% z mięsa. Jedynym plusem takiego posiłku jest fakt, że już przy samym podaniu człowiek sobie uzmysławia, że w sumie nie jest głodny. Odległość do Ułan Bator, jaką mieliśmy pokonać, wynosiła 1700 kilometrów. Poruszaliśmy się główną drogą, która dopiero w tym roku zaczyna być asfaltowana. Zazwyczaj droga jest szutrem wyjeżdżonym przez auta w stepie, który potrafi być bardzo równy, ale również często zdarzała się występować „tarka”, która skutecznie utrudniała jazdę. Po ponad 1000 kilometrów pojawił się kawałek pustyni, na którym mieliśmy okazję spróbować swoich sił z wielbłądami. Wycieczka trwała około 20 minut, a koszt takiej przyjemności to śmieszne 6 złotych. Przed Ułan Bator zwiedziliśmy Erdene Zuu Khiid – okazały monaster buddyjski, po którym skierowaliśmy nasze maszyny w stronę stolicy, a następnie w kierunku granicy z Rosją.

Wraz ze zbliżaniem się do Rosji zaczęło się robić zielono, pojawiały się drzewa, głównie iglaste. W Ułan Ude, w centrum miasta zaczęli nas Rosjanin, który zaprowadził nas do swojego kuzyna motocyklisty, aby nas z przyjemnością ugościć. Począwszy od tego momentu aż praktycznie do samej Moskwy rosyjscy bajkerzy podawali nam kontakt do kolejnego miasta, w którym byliśmy goszczeni. Niesamowici ludzie i brać motocyklowa. Całe szczęście, że na nich trafiliśmy, ponieważ pogoda już była paskudna, przez tydzień jazdy przez Syberię temperatura nie była wyższa niż 5 stopni, a w nocy regularnie minus. Po drodze przyszło nam zobaczyć Bajkał, ale ze względów pogodowych, ciężko się wypowiedzieć na temat atrakcyjności tego jeziora. Droga przez Syberię mierzyła 5500 kilometrów, a widoki to głównie tajga, lasy brzoźowe, bagna oraz łąki. Po dwóch tygodniach dojechaliliśmy do Moskwy, która była ostatnim ciekawym punktem naszej wyprawy. Po trzymiesięcznej przygodzie i 23 tysiącach kilometrów do Polski wróciliśmy przez Łotwę i Litwę.

Więcej na www.dalekadroga.pl

Motocyklem przez Himalaje – Ladakh i Zanskar



Uczestnicy: Witold Palak – ojciec, Adrian Palak – syn (16 lat).

Termin: 15 sierpnia – 12 listopada 2012 roku.

Ponieważ była to jedynie część 8-miesięcznej wyprawy przez pół świata, bilety lotnicze kupowaliśmy tylko w jedną stronę. Wyszło taniej i nie martwiliśmy się o zmiany rezerwacji powrotnych. Bardzo solidne biuro z biletami – Kalejdoskop, Lublin, p. Krzysztof Smoleń, e-mail: kalejdoskop@kalejdoskop.pl Korzystam z jego usług od 15 lat.

Trasa: Warszawa – Kiev – Delhi. Przewoźnik – Aerosvit – 1304 PLN (w jedną stronę).

Trasa wyprawy motocyklowej:

Indie: New Delhi – Shimla – Manali – Mandi – Daramsala – Srinagar – Kargil – Padum – Kargil – Leh – Khardung – Leh – Sarchu – Darcha – Keylong – Manali – Kullu – Jalore Pass – Shimla – Rishikesh;

Nepal: Mahendranagar – Pokhara – Kathmandu – Sinduli – Ilam – Karkavitta;

Indie 2: Siliguri – Darjeeling.

Ceny – dla ułatwienia podaję w USD. My mieliśmy kurs: 52–55 rupii/1 USD. Ja przyjmę bezpieczny przelicznik, z poprawką na zmianę kursu: 1 USD= 50 rs. Warto wymieniać w dużych miastach. W Ladakhu – niewiele banków, kurs gorszy, obowiązkowa gotówka. Reszta przykładowych cen – na końcu.

Kupno motocykla w Delhi:

Najstłynniejszym miejscem, rozpropagowanym przez Westów dealerem jest Lalli Singh. Adres – 1740-A/55 Hari Singh Nalwa St, Abdul Azis Road, Karol Bagh. Zaraz obok niego – niemniej znany Tony Bike Center. Akcesoria motocyklowe: największy wybór i najlepsze ceny – Choppra Electronic. Wszystkie te lokale mieszczą się obok siebie, na Karol Bagh, 2 stacje metra od Ramakrishna Ashram Marg. Lalli Singh i Tony nastawieni są na wypożyczenie motocykli (w zależności od długości okresu wypożyczenia – 20–25 USD/dzień). Jeśli chce się jechać dłużej niż 1 miesiąc – warto pomyśleć o kupnie własnego, używanego. Nawet po sprzedaży za połowę zapłaconej ceny – wyjdzie taniej, a nie trzeba się martwić o oddanie w to samo miejsce, każdą rysę, zmniejszającą pozostawioną kaucję. Można więc, tak jak my, przejechać na drugi koniec Indii, wjechać

do Nepalu i sprzedać bez problemu sprzęty. Za motocyklami można rozglądać się na Karol Bagh; jest kilka uliczek, na których stoją maszyny. Najbardziej popularne motorki 125–250 cc to Bajaj, Honda, Yamaha. Nieco mniej jest Royal Enfield, a te są najlepsze na górskie drogi. My kupiliśmy motocykle tuż obok naszego hotelu, na Pahar Ganju. Firma Vintage, Classic & Customized Bikes, 2332 Rajguru Road. Właściciel – D.D. (Didi). Ceny oscylują w granicach 40–60 tys. rupii. Wiek czy przebieg nie mają większego znaczenia. Przeciętnie trzeba liczyć ok. 1000 USD za używany motocykl Royal Enfield, 350 lub 500 cc. Ceny na nowe akcesoria (nasze zakupy): kask Ninja – 30 USD, ochraniacze na kolana i łokcie – 16 USD, rękawice – 8 USD. My nic nie braliśmy z Polski, na akcesoria na 2 osoby wydaliśmy 100 USD. Był to sprzęt średniej klasy, ale można kupić też dużo lepsze i droższe. Za 2 motocykle Royal Enfield 350 cc – 12-letnia Electra i 20-letni Bullet Classic, plus torba części zapasowych, zapłaciłem 2000 USD.

Do zakupu praktycznie niepotrzebne są żadne dokumenty. Sprzedawać najlepiej w miejscach turystycznych, niskobudżetowych. Sprzedaż w rejonie (stanie) Indii innym niż w tym, w którym zarejestrowany motor, jest mniej korzystna cenowo, ale bez problemu. Dobrą cenę, czasem nawet 100% zainwestowanej sumy, mogą dać inni turyści, pragnący kupić Enfieldy. W Indiach teoretycznie wymagane jest międzynarodowe prawo jazdy, ale my nigdy nie mieliśmy sprawdzanych dokumentów. Policja bardzo uprzejmie traktuje obcokrajowców, o ile nie łamią przepisów. W ogólnym chaosie komunikacyjnym najczęściej przyrymka oko.

Zasady jazdy:

W Indiach i Nepalu obowiązuje ruch lewostronny. Nie jeździć po zachodzie słońca, nie wpaść na krowy, mieć sprawny klakson, ustępować pierwszeństwa ciężarówkom i ZAWSZE – autobusom. ZAPOMNIEĆ O PRZEPISACH RUCHU DROGOWEGO! Owszem, starać się ich samemu przestrzegać, ale ABSOLUTNIE nie liczyć, że Hindus je zna lub respektuje. Mieć pod ręką kilka banknotów po 100 rs – w razie kontaktu z policją zdecydowanie pomagają. W przypadku niegroźnej stłuczki – nie dyskutować, tylko jak najszybciej zmykać z miejsca kolizji. Błyskawicznie robi się zbiegowisko, rośnie agresja, a Hindusi często w takiej sytuacji pomagają sobie kijami, kamieniami lub gumowymi klapkami ściągniętymi ze stopy. PO POJAWIENIU SIĘ POLICJI – WINA ZAWSZE BĘDZIE NASZA. Kanistry z zapasem benzyny – zawsze odpinać na noc i zabierać do pokoju. Nie tankować do pełna przed końcem dnia, bo w nocy mogą spuścić nam benzynę. Zakładać łańcuch, spinać motocykle do siebie i do elementu trwałego (słup, krata). Mieć ze sobą taśmę klejącą, drut wiążałkowy, kombinerki – to oprócz kompletu kluczy. W górach – mieć zapas tarcz do sprzęgła. Kosztują 10 USD, wymienić je łatwo, a na błotnistych podjazdach – równie łatwo je spalić, ciągnąc na półsprzęgle (częsty błąd niezbyt wprawionych kierowców). W Enfieldach często pada elektryka – warto kupić zapasowe kable, żarówki, śruby do skręcania rozlatujących się części. Należy co kilka dni sprawdzać spawy, bo na indyjskich wybojach często puszczają. W każdej większej wsi jest spawarka i wulkanizacja (usługa – od 1 USD).

RELACJA Z PODRÓŻY

16 sierpnia. Lądowanie w Delhi w środku nocy. Na lotnisku czekamy do rana (można się zdrzemnąć na fotelach, jeśli jedna osoba pilnuje bagaży). Porannym Airport Bus (150 rs – 3 USD) dojechaliśmy na New Delhi Railway Station. Stamtąd trzeba tyl-

ko przejść na drugą stronę dworca i jesteśmy na Main Bazaar – długiej ulicy pełnej tanich hoteli, knajpek, sklepów z bądziwiem potrzebnym na wędrowkę, no i turystami z niezbyt pełną kieszenią, za to z głowami pełnymi cennych informacji. Dzielnica – to najszlachetniejszy wśród plecakarzy Pahar Ganj. Dojechać tam można też metrem. Należy wysiąść na stacji Ramakrishna Ashram Marg i za 5 minut jesteśmy „na śmietniku”, jak pieszczotliwie nazywam Pahar Ganj. Hotele – 7–15 USD za double room. Jest ich nieskończoność, jeden za drugim. Nie podaję nazwy naszego, bo wybór jest tak ogromny, że każdy w tym przedziale znajdzie coś dla siebie.

Pierwsze 6 dni – to rozglądanie się za dealerami motocyklowymi, przygotowywanie sprzętów do jazdy. Prawdziwy początek podróży nastąpił tydzień po wylocie z Polski.

22 sierpnia. Dzisiaj nareszcie start! Pobudka 3.45. Błyskawiczne pakowanie. Niebo, od 4 dni zachmurzone i deszczowe, dziś nieco łaskawsze. O 6.00 – start spod hotelu. Bardzo ważny jest wczesny przejazd przez Delhi, nawet o 5 rano, bo od godz. 8 jest koszmar. Wyjazd z Pahar Ganj – na Karnal Road, kierunek – Chandigarh. National Highway 1 – na północ. Niezła droga, 260 km pokonujemy w 6 godzin. To pierwszy dzień na Enfieldach, więc jedziemy ostrożnie, a kilka razy chowamy się przed deszczem. Chandigarh traktujemy tranzytowo, kierujemy się na Shimla. To tylko 100 km, ale wszyscy mówili, że to 4 godz. jazdy. Kręta, wąska droga, szaleńcy w ciężarówkach i autobusach. Dziś, pierwszego dnia jazdy, robimy 30 km. Tego rekordu nie pobijemy już do końca podróży! Noclegi w okolicy Shimla – wyższe niż w Delhi, a trzykrotnie wyższe niż w pozostałych miejscach w Indiach. My stajemy w przydrożnym motelu „Nature Inn”, za mocno targowane 17 USD.

23 sierpnia. Piękna, góraska trasa przez Solan. Tam w serwisie Royal Enfield pierwsze naprawy – tarcze sprzęgła, łożyska, 2 pierścienie w skrzyni biegów. W sumie 6 usterek, 6 godzin pracy i zapłata – jedynie 40 USD! W Barog nocleg w przydrożnym Highway Hotel, 9 USD. Po rozmowie z właścicielem wyszło, że jego syn mieszka z żoną Polką w Warszawie i prowadzi hinduską restaurację.

24 sierpnia. Ulewa. Śpimy do 9. Wyjazd w deszczu. Kierujemy się na Shimla. Miasto pięknie położone, godne postoju, lecz deszcz i mgła wyganiają nas w trasę. Przez Shimla musimy i tak wracać, a za miesiąc ma być lepsza pogoda. Kręte, strome drogi, prędkość 20–25 km/godz. Fatalne nawyki lokalnych kierowców. Musimy non stop uważać. Ślisko, a nasze opony bardziej nadają się do hinduskiego ogródka niż na zabłoczone drogi. Jesteśmy przemoczeni, ubłoceni i wyczerpani. Nocleg w Darlaghat, w przydrożnym Guest House, piękny pokój, łazienka z gorącą wodą – 12 USD.

25 sierpnia. Leje! Siedzimy w hotelowej restauracji, spakowani, czekamy na przelew w polewaniu. Następuje takowa o 15.00. Ruszamy, aby nie siedzieć w miejscu. Wiele nie przejechaliśmy. Nocleg w Sunder Nagar, elegancki Raja Hotel. Bierzemy najtańszy pokój, 10 USD, z wygodami i gorącą wodą.

26 sierpnia. Dojeżdżamy do Mandi. Miasto wielu świątyń, mostów, skrzyżowanie dróg. Tu musimy podjąć decyzję, którą trasą wjeżdżać do Ladakhu. Droga na północ – przez Manali i Rohtang Pass – to najkrótsza trasa do Leh, stolicy Ladakhu. Ponieważ my mamy robić pętlę, możemy wybrać też trasę na północny wschód – do Kaszmiru, aby ze Srinagaru wjechać do Ladakhu przez przełęcz Zoji La. Ważnym czynnikiem jest

pogoda. Wybieramy północ, aby jak najszybciej mieć owiany złą sławą Rohtang za sobą. Tuż za Mandi zaczyna się piękna trasa. Coraz więcej gór, dość duży ruch. W Kullu kolejny rozjazd – można jechać lewym lub prawym brzegiem rzeki Beas. Obie równoległe. Prowadzą do Manali. Zachodnia trasa szybsza i lepsza, wschodnia – bardziej romantyczna, choć z gorszą nawierzchnią. Jedziemy szybszą. Stajemy na nocleg w cichej wiosce Katrain, 20 km przed Manali. Porządny Bhalla GH, wielki pokój za 7 USD.

27–28 sierpnia. Manali. Jeszcze niedawno raj hippisowski, marycha na każdym kroku, tanie noclegi, rewelacyjny, niemal polski klimat, góry dookoła, coś na kształt Zakopanego. Teraz z użytkami gorzej i mniej bezpiecznie (sporo agentów na usługach policji, sprzedających ganję lub haszysz turystom, a potem łupiących ich po kieszeni wspólnie ze skorumpowaną policją. Można też skończyć za kratami). Mimo to co chwila słyszymy szept „smoke? smoke?”. Manali dysponuje ogromną bazą noclegową. Dużo plecakarzy zatrzymuje się w Old Manali, dzielnicy pełnej świątyń, stromych uliczek, sklepów, knajpek, ale też i smrodu spalin, hałasu klaksonów i tłumów ludzi. My wybieramy Vashisht, wioskę 3 km od centrum, położoną na zboczu górskim. Mnóstwo tanich hoteli, restauracji i białasów. Gorące źródła siarkowe, położone wewnątrz dziedzińca świątyni. Wstęp wolny. Trudno o zaparkowanie motocykli. Green GH, miły pokój z łazienką za rekordowe 4 USD! Syn właściciela organizuje grupy motocyklowe. Na Enfieldach jeżdżą do Leh. W Vashisht znajduje się też najlepszy warsztat naprawy lub wynajmu motocykli – Anu Workshop. Można u niego również zakupić sprzęty. Anu – właściciel serwisu, to młody, sympatyczny chłopak, udzielający cennych porad i mający dobrych mechaników. Co prawda, w Manali jest więcej warsztatów naprawy Enfieldów, lecz to Anu ma najlepszą renomę. Manali jest dla większości motocyklistów punktem startowym wyprawy do Ladakhu. Tutaj należy też zaopatrzyć się w baniaki na zapas benzyny, gumowce, części zapasowe. Poza tym – można tu siedzieć całymi miesiącami. Fantastyczna atmosfera i okolice.

29 sierpnia. Przejazd przez Rohtang Pass jest niemożliwy we wtorek. Jest to dzień serwisowy: naprawa nawierzchni, usuwanie lawin kamieni, błota. Dziś środa, pora ruszać. Pierwszy błąd to wyjazd o 10 rano. Mimo że do przełęczy tylko 50 km, wyjechać należy o świcie. Ostatnie 20 km – to droga przez mękę. Błoto, wyboje, lawiny kamieni tarasujące drogę. Do tego choroba wysokościowa. Zakupiliśmy Diamox – lek na tę dolegliwość, lecz choroba jest silniejsza. Po kilku godzinach walki poddajemy się i zarządzam odwrót. Nocleg w tym samym Green GH w Manali. Posiada on niewielki plac na parking dla motorów.

31 sierpnia. Po całodniowym odpoczynku dziś wracamy w stronę Kullu. Tym razem drugim, wschodnim brzegiem rzeki Beas, malowniczą Doliną Kullu. Dużo ciekawsza trasa, kręta i wąska, lecz wiodąca przez wioski i ogrody jabłkowe. Po drodze, w Naggar, zwiedzamy drewniany zamek królewski oraz muzeum i galerię malarstwa Roerichów.

1–4 września. Po noclegu w Mandi kierujemy się na północny-zachód, do Daramsali, a dokładniej – do McLeod Ganj, 10 km dalej i pół km wyżej, gdzie znajduje się siedziba Dalaj Lamy. Bardzo turystyczne, piękne miejsce, rewelacyjny klimat, bogata i tania baza noclegowa, dużo restauracji, także z europejskim menu. Hotele od 4 USD wwyż. Świetna okolica na trekking, gorsza na jazdę motocyklami – tłok i stro-

mizny. Udaje nam się dostać wejściówki na wykład Dalaj Lamy (koszt: 30 groszy!). Kilka tysięcy słuchaczy, dużo białasów, zakaz wnoszenia aparatów foto i komórek. W McLeod Ganj to kolejne świetne miejsce na dłuższy postój. Kursy medytacji, szkoły tybetańskie dla turystów, trekking.

5–7 września. Nareszcie słońce! Dziś „robimy” 3 stany: Himachal Pradesh, kilka kilometrów przez Punjab, wreszcie Jammu&Kashmir. Przejazd b. wąskim tunelem Banihal (bezpłatny). Dolina kaszmirska zaskakuje nas ...brzydota! Pewnie głównie za sprawą pogody, bo znów łało nieustannie. Paskudne, zaniedbane miściny, błoto, co chwila posterunki lub koszary wojskowe. Konieczna rejestracja dla obcokrajowców (bezpłatna), tuż przed tunelem, przy drodze. Po 2 dniach dojeżdżamy do Srinagaru.

8–11 września. Bardziej z musu niż ochoty 3 dni spędzamy w Srinagarze. Nocleg na jednym z setek house-boat’ów, zacumowanych przy brzegu Dal Lake. Kajuta w pływającym hotelu – od 10 USD. Obowiązkowy punkt programu – pływanie po jeziorze Dal shikarą – łodzią z baldachimem – utargowałem na 5 USD za 2-godzinny rejs. Ceny niskie, bo ciągle brak turystów. My odbieramy Kaszmir jako bezpieczne, przyjazne i tanie miejsce. Gdyby nie ten codzienny deszcz... W Srinagarze ostatnia szansa na Internet. Następna –za 450 km.

10 września. Korzystając chwilowej przerwy w polewaniu, opuszczamy gościnny Srinagar i kierujemy się w stronę Zoji La – przełęczy będącej kolejną bramą wjazdową do Ladakhu. To tylko 100 km. Tym razem już piękne widoki. W wiosce Ganderbal oficjalnie opuszczamy Kashmir Valley i wjeżdżamy w Great Himalaya! Jedziemy wzdłuż Sind. Niestety, ogromna ulewa zatrzymuje nas w wiosce Sonamarg, 22 km przez przełęczą. Ostatni możliwy nocleg przed Zoji La. Kilka hoteli – 6–10 USD.

11 września. Data dziś symboliczna – więc pora na atak! Pierwsze 10 km – super, ale potem zaczyna się! Walczymy z błotem, ciężarówkami, gasnącymi silnikami, chorobą wysokościową i przepaściami. Wąska droga, musimy ustępować pierwszeństwa większym pojazdom. Wreszcie zdobywamy Zoji La – 3529 m i wyłożoną kostką brukową szosą (!) wjeżdżamy do Ladakhu. Nareszcie sucho i słonecznie. Zimno. Niemal brak ruchu na drodze. Mijamy Drass – najzimniejsze zamieszkałe miejsce w Indiach. W zimie temperatura spada do minus 50°C. Nocleg w Kargil (2704 m) – ortodoksyjnie muzułmańskie miasto. Stąd wiedzie jedyna bita droga do Zanskaru. Nocleg w Paradise GH, naprzeciwko szpitala – 7 USD.

12 września. Z 250 km do Padum, stolicy Zanskaru, jedynie pierwsze 70 to asfalt. Reszta to kamienista dróżka, z nielicznymi wioskami, w których ciężko o jedzenie. Bardzo uboga baza noclegowa. Kargil to ostatnia baza zaopatrzeniowa. Brak alkoholu. Co kilka dni jeździ do Padum zdezelowany autobus, przerobiony z ciężarówki. Można też wynająć prywatny transport taxi. Tu też należy zatankować i zabrać zapas paliwa. W Padum bywa benzyna, ale nie zawsze. Jeśli chce się pojeździć po Zanskarze – trzeba paliwa na 700 km. Robimy więc zapasy i po południu ruszamy. Najpierw doliną, wzdłuż rzeki Suru – żyzne pola, zielono, miło. Suru Valley to spichlerz Ladakhu. Możliwe noclegi w wioskach: Sankoo, Namsuru, Panikhar, Tangol, Parkachik. Ceny – 4–8 USD. Kiepsko z jedzeniem. Lepiej liczyć na siebie. Nas noc zastała w górach, więc kiedy w Tangol widzimy nieczynny Alpine Hut – włamujemy się do środka. Budzimy tym stróża, który chętnie zezwala nam na nocleg (4 USD).

13 września. Piękna pogoda, super widoki, m.in. na 7-tysięczniki Nun I Kun. Za wioską Parkachik (jest tam następny z sieci Alpine Hut) roboty drogowe. Wsadzanie skał dynamitem. Na czas naszego przejazdu wybuchy zostają wstrzymane. Szosa – od 20 km po kamieniach. Liczne strumienie, które musimy pokonać. Zero ruchu. Zero wiossek. Tylko nas dwóch – i Himalaje. Na 13 dojeżdżamy do Rangdum – wioski na ogromnym plateau, mniej więcej pośrodku drogi do Padum. Mimo że do Padum tylko 120 km, zarządzam postój. W wiosce jest Alpine Hut (nieczynny), kilka baraków z błotnych cegieł i blachy falistej, pełniących rolę hotelu, restauracji i sklepu. Ceny: 5–8 USD. My stajemy na nocleg w Rangdum Gomba. Mnisi pozwalają na nocleg – za symboliczną opłatą. My płacimy naszą średnią – 5 USD. Nocleg w monasterze.

14 września. Poranna *puja* w klasztorze – i w drogę, 29 km dalej – brama wjazdowa do Zanskaru – przełęcz Pensi La – 4406 m. Jedziemy skrajem lodowca Drang-Drung, doliną rzeki Stod. Pustkowie. Nieliczne wioski. Brak bazy noclegowej. Jedyne w wiosce Phey widzę sztyl „Tourist GH”. W Padum jest sporo hoteli. Te dalej od centrum, czyli 1 km, lepsze i tańsze. My bierzemy „Chamling Kailash”, w samym centrum, z parkingiem na wewnętrznym dziedzińcu, restauracją – 10 USD.

15–18 września. Szukamy jakiegoś warsztatu. Jest jeden w całej stolicy Zanskaru, ma też spawarkę. Brak prądu cały dzień, więc jeździmy po okolicy. Odwiedzamy okoliczne monastypy – Karsha, Stongde, a także stare Padum. Trafiamy na jedyną stację benzynową – tankujemy do pełna i pozbawiamy się stresu. Na drugi dzień spawamy rozlatujący się bagażnik, wymieniamy niektóre linki, korzystamy maksymalnie z możliwego serwisu – całość za 10 USD. Odwiedzamy Zangla – dawną stolicę i najdalszy punkt, do którego prowadzi droga. Zwiedzamy monastypy Bardan i Sani. Trafiamy na muzufmańskie wesele. Dla smakoszy – w Padum brak kurczaków i jajek.

19–21 września. W nocy spadł śnieg, więc uciekamy z Padum, zanim zasypie nas na 8 miesięcy! Wracamy tą samą drogą – przez Zoji La, Rangdum, Parkachik – do Kargil. Tam porządniejszy warsztat – reanimujemy nasze sprzęty. Kilka godzin napraw, dwukrotne rozbieranie skrzyni biegów, nowe oleje, nowe śrubki – razem płacę 20 USD.

22–23 września. Z Kargil kontynuujemy jazdę „himalajską autostradą” – przez Mulbeck (rewelacyjna Chamba Statue przy drodze, monastyr na szczycie góry, kilka hotelików – 6–8 USD/pokój). Dobra nawierzchnia, choć częste roboty drogowe. Fantastyczne widoki. Dwie wysokie przełęcze – Namika La (3718 m), Fotu La (4094). Nocleg w bajkowo położonym Lamayuru. Stąd zaczyna się trasa trekkingowa do Zanskaru, więc bogata baza noclegowa. Stajemy w Tharpaling GH, przerobionym na hotel dużym, typowym ladakhowskim domu rodzinnym. Przesympatyczna domowa atmosfera, kolacja na zamówienie, ogromny pokój za 6 USD. Wspinaczka na wzgórze – rewelacyjny widok na zabudowania klasztorne, wioskę i księżycowy krajobraz.

23 września. Za Lamayuru zaczyna się Moonland – jedno z najbardziej charakterystycznych miejsc w Ladakhu. Przeciskamy się przez potężny kanion. Po drodze zajeżdżamy pod Rizong Gomba, a po 2 godzinach – do jednego z najsłynniejszych monastypów – w Alchi. Tam muszą gimnastykować się z mnichem, bo nie wolno robić zdjęć wewnątrz klasztorów, ale udaje mi się zrobić kilka bez lampy. W Alchi dobra baza hotelowo-gastronomiczna, miejsce – jak na Ladakh – bardzo turystyczne. Hotele – 6–20 USD. Wjechaliśmy do krainy monastypów, więc po drodze zwiedzamy kolejne

– w Likir, Basgo, Spitok. Przed Leh zaczyna się świetna szosa, rozpędzamy się po raz pierwszy w tej podróży do setki!

24 września. Leh, stolica Ladakhu, posiada lotnisko. W zimie – jedyna szansa na połączenie z resztą Indii – to samolot. Dużo hoteli, w tym niemal luksusowych. W klasie turystycznej – ceny ok. 8–12 USD. Jest bank, kantory, kafelki internetowe. Wolny net – 1 USD/godz. Obcokrajowcy mogą wykupić permit na tereny kontrolowane (Dolina Nubra, Tso Moriri, Tso Pangong) jedynie przez biuro podróży. Bezpłatny oficjalnie permit kosztuje 10–15 USD. Trzeba wypisać jak najwięcej miejsc, których i tak się nie zdąży zwiedzić, bo permit jest na 6–10 dni. Należy zrobić kilka odbitek ksero permitów, bo są zabierane na każdym check-poincie. Prąd w Leh jest często wyłączany – ładować baterie, gdy tylko jest. Z reguły włączają prąd o 19 i jest do 7 rano. Świetne stare budynki, przerobione na hoteliki, są na Starym Mieście, tuż pod pałacem królewskim. Najsympatyczniejszy – Old Leh GH – 8–10 USD. Małe piekarnie – rano pieczywo prosto z pieca. Pyszne sery z mleka jaka. Wieczorem – liczne garkuchnie z momo. Sklep monopolowy, apteki, świetnie zaopatrzona księgarnia, pamiątki i sprzęt turystyczny. Możliwość wypożyczenia motocykla lub wykupienia rajdu do Manali. Zwiedzanie Leh Pałace – od wschodu do zachodu słońca – 2 USD.

25 września. Rwie nas do spotkania z Khardung La – najwyższą przejezdną przełęczą na świecie – 5602 m. Zamiast przejrzyć motory – z rana „wydzieramy” w stronę przełęczy. Mamy ciepłe ciuchy, zapas paliwa i jedzenia. 39 km non stop pod górę. Pierwszy check-point w South Pullu, 4847 m i kończy się asfalt. Głazy, pył skalny, wyboje, roboty drogowe. Ruch czasami jednokierunkowy – balansujemy nad przepaściami. Teoretycznie jazda z Leh w stronę Nubra dozwolona jest od 9 do 13, potem tylko w odwrotnym kierunku. Nie dotyczy to pojazdów wojskowych, które co jakiś czas spychają nas na krawędź skalnej drogi nad urwiskiem. Po 2 godzinach wjeżdżamy na przełęcz. Khardung La zdobyta! Zimno, wiatr, problemy z oddychaniem. Gorąca herbata w najwyższej na świecie kafeterii. Z ogromnym wysiłkiem ledwie podchodzę kilkanaście schodów do gompy. Sporo samochodów, żadnych motocykli. Jesteśmy obfotografowywani jak gwiazdy rocka. Po godzinie chcemy już zjeżdżać w dół. W South Pullu niezynny hotel z restauracją. Zjeżdżamy dalej w dół – lepsza nawierzchnia, brak ruchu. Przed nami pasmo Karakorum. Kierujemy się w stronę Nubra Valley, ale tuż przed zachodem słońca, w samym środku gór, pada skrzynia biegów w motocyklu Adriana. Najbliższa wioska – 6 km wstecz, delikatnie pod górę. Holuję syna na sznurku od suszenia bielizny, ale rwie się i robi za krótki. Na szczęście jedzie samochód i bierze Adriana na hol – do Khardung Village. Tam noclegi nieczynne – po sezonie. Udaje nam się wyłagać pokój – norkę za 6 USD. Kąpiel – w wiadrze, toaleta – dziura w ziemi i łopatką do zasypywania. Jedyna czynna paszarnia oferuje odsmażany ryż ze śladową ilością warzyw.

26–27 września. Od rana stoimy przy drodze, chcemy złapać jakąś ciężarówkę z powrotem do Leh. Ruch zerowy, jedynymi pojazdami są ciężarówki Indian Army, lecz ci nie stają. Dopiero o 15 zabiera nas pusty trak, jadący do Leh. Ładujemy motory na pakę i wspinamy się z powrotem na 5602 m. Kierowca jest pijany, a jazda tuż nad przepaściami, więc na przełęczy wysiadamy. Płacę kierowcy 20 USD. Zostawiamy Enfieldy na przełęczy i z innym kierowcą wracamy do Leh. Na drugi dzień, po eleganckim noc-

legu w hotelu, wracamy okazją na przełęcz – za 4 USD. Zjeżdżamy na luzie pod sam hotel w Leh – 40 km. Od razu umawiam mechanika na naprawę.

28 września – 1 października. Kilka dni przymusowego postoju w Leh przeznaczamy na piesze wędrówki po okolicy. W tym czasie fachowcy reanimują nasze sprzęty. Wymiana amortyzatorów, nowa głowica przy kierownicy, kilka nowych elementów w skrzyni biegów, nowe tarcze sprzęgła, komplet zębatek, nowy łańcuch, wymiana żarówek i wszystkich olejów – w Bullecie Adriana oraz kapitalny remont silnika, nowy układ napędowy, tarcze sprzęgła, regulacja skrzyni biegów, naprawa świateł plus montaż metalowego kosza bagażowego w mojej Electrze – za to wszystko płacę 400 USD.

2 października. Po południu wyjazd z Leh. Kierujemy się na południe, w stronę Manali. To niemal 500 km przez górskie, księżycowe tereny, bez stacji benzynowych, serwisu, z nielicznymi miejscami na nocleg czy skromny posiłek. Zwiedzamy pałac królewski w Shey, wielki kompleks klasztorny w Thoksey, monastyr w Hemis. 80 km od Leh, w wiosce Rumtse, na wys. 4267 m, stajemy na nocleg w przydrożnej kantynie/noclegowni dla kierowców ciężarówek. Za dnia siedziska restauracyjne, w nocy – robią za łóżka. Jest to jednocześnie jedyny sklep. Cena: 2 USD za „łóżko”.

3 października. 30 km za Rumtse znajduje się druga najwyższa przejezdna przełęcz na świecie – Tanglang La (5328 m). Podjazd zajmuje nam 2 godziny. Zimno, wichura, lecz widoki niezwykłe. Zjazd na długie na 50 km plateau – Morey Plains, równinę położoną na wys. 4 tys. m. Mróz, choć słonecznie. Totalne odludzie. Nie decydujemy się na następną przełęcz i pomimo wczesnej jeszcze godziny zostajemy na nocleg obok koszar wojskowych w Pang. To kilka ruder, w jednej jest coś w rodzaju sklepiku, restauracji, za ścianą zaś – graciarnia, magazyn i noclegownia w jednym. Nasz najwyższy dotąd nocleg – 4767 m – 2 USD/os. 500 m dalej jest więcej lepszych namiotów i knajpek (nocleg – 5 USD/os.), prosty gorący posiłek – 1–2 USD.

4 października. W nocy zamarzała nasza woda w butelce. Kierowcy ciężarówek paliłi ogniska pod zbiornikami z paliwem. Spaliliśmy we wszystkich ciuchach, jakie mieliśmy ze sobą. Kolejne przełęcz – Kangla La (4878), Lachalung La (5085), Nakeela Pass (4739), zjazd przez Gatta Loops – 21 ostrych serpentyn, wzdłuż rzeki Yunam – aż do Sarchu. To miejsce postoju dla autobusów i innych pojazdów, które w 2 dni pokonują trasę do Manali. Kilka knajpek, sklepy z alkoholem, noclegownie w prymitywnych budach (2–4 USD/os.) Są też bardziej luksusowe namioty z łazienkami, gorącą wodą, prądem i posiłkami: 15–20 USD/os. My ryzykujemy dalszą jazdę – non stop góorskimi drogami, ale już asfaltowymi. Wjeżdżamy w śnieg. Za przełęczą Baralach La (4891), długi zjazd serpentynami, przez Zing Zingbar, gdzie jest poserunek wojskowy, lecz brak noclegowni i jedzenia. Robi się zimno i powoli się ściemnia. W wiosce Patseo jest Rest House, lecz nie było w nim żywej duszy. Jedziemy w zapadających ciemnościach 15 km dalej do wioski Darcha, gdzie zaczynają się lub kończą trasy trekkingowe do Lamayuru. Tam też bardzo uboga baza noclegowa. Kilka hangarów wojskowych, przerobionych na noclegownie, stoi tuż przy drodze. Śpimy na składanych leżankach (2 USD/os.), razem z 3-pokoleniową rodziną gospodarzy. Pichcą nam coś prostego. Można tu też kupić coś na drogę do jedzenia.

5 października. Błazniana toaleta na zewnątrz, zimna woda z rury w ziemi. Jedziemy dalej. Coraz lepsza droga, wioski – nareszcie siedziby ludzkie. W Keylong, a raczej

6 km dalej, w Tandii, jest pierwsza od 380 km stacja benzynowa. Tankujemy paliwo. Stąd do Manali tylko 108 km, lecz za 57 km musimy po raz drugi zmierzyć się z Roh-tangiem. Tym razem pogoda dobra, podjazd trudny, ale dajemy radę. Z Rohtang Pass zjazd 51 km do Manali.

I tu kończy się nasza przygoda motocyklowa z indyjskimi Himalajami. Z Manali je-dziemy jeszcze przez Kullu, ostry i rewelacyjny Jalori Pass, przez Shimla – na niziny. Przez Rishikesh udajemy się na przejście graniczne z Nepalem, w Mahendranagar. Tam wiza na granicy (4 tyg. – 40 USD), cło na motocykle – 1,5 USD/szt/dzień. Przez 4 tygo-dnie przemierzamy cały Nepal, docieramy do granicy w Karkavitta i wracamy do Indii. Ważna uwaga: mimo, że mamy wizę indyjską wielokrotnego wjazdu, musi być inter-wał czasowy – 2 miesiące pomiędzy kolejnymi wjazdami do Indii. Taki indyjski Paragraf 22. Aby wjechać wcześniej, należy w konsulacie Indii w Kathmandu, uzyskać pieczęt-kę wjazdu powrotnego – Visa Endorsement – 12 USD – załatwiane w 1 dzień. Zdjęcia, ksero można zrobić w kantorku obok konsulatu.

Dojeżdżamy do Darjeelingu i sprzedajemy – z jakimś trudem, nasze sprzęty, za 1000 USD, czyli połowę ceny zapłaconej 3 miesiące wcześniej w Delhi. My sprzeda-liśmy je lokalesom, ale najlepiej szukać innych białasów, którzy chcą kupić Enfielda.

Przykładowe ceny:

Kurs: 1 USD = 55 rs w Delhi (w stolicy najlepszy kurs). 50–52 rs/1 USD w Leh. Wa-luta USA jest najchętniej widziana. W małych wioskach inne waluty są niechętnie ogł-a-dane. Brak banków i ATM. W Zanskarze konieczna gotówka, choć w Padum jest już 1 bank. W Leh – jest bank i ATM oraz kilka kantorów.

Hotel, guest house, homestay: 4–10 USD. Cena – jak w całym Indiach – za pokój, nie za osobę. Jeśli za 1 osobę – zaznaczyłem. W wioskach – warunki dla hardcorowców.

Benzyna: 72–78 rs/ (1,5 USD/l). W Padum – 86–95 rs/l.

Autostrady: dla motocyklistów bezpłatne. Również darmowe przejazdy przez przełęcze i tunele.

Jedzenie: w przydrożnych *dhabach* – restauracjach – ryż smażony z warzywami – 1–1,5 USD. Chowmein – smażony makaron – odrobinę drożej. Przepyszne tybetańskie pierożki *momo* – 0,60–1,2 USD/ porcja 8–10 szt. Często brak wegetariańskich, tylko z baraniną. Pyszny *kashmiri bread* – prosto z pieca *tandoor* – 15 placków/1 USD. W tej samej cenie podpłomyki – *chapati*. Dla miłośników chipsów – *pakora* – smażone we wrzącym oleju kawałki ciasta z przyprawami. W nieco lepszych restauracjach można najeść się do syta za 3–5 USD.

Picie: woda 1,5 l – 0,5 USD, napoje Limca, Cola, Mirinda – 1–1,2 USD/ 1,5 l/, piwo – 1,5–2 USD/ duża butelka. W Leh są 2 punkty sprzedaży alkoholu, w Srinagarze – 3 skle-py, w Padum – jeden bar. Czasem trafić można na *chang* – rodzaj tybetańskiego piwa z jęczmienia. W Nepalu, w tanich restauracjach można kupić „spod lady” raki – takie słabe sake. 1 l za 1 USD.

Serwis motocyklowy: tanio jak barszcz. Mechanik, wulkanizator i spawacz – w każdej większej wiosce. Części zapasowe trzeba wozić ze sobą. W większych mia-stach – dostępny serwis Royal Enfield i sklep z częściami.

Krystyna Olszewska

Kambodża w porze monsunu



Termin: 7–30 lipca 2013 roku.

Liczba uczestników: 2 osoby.

Przylot: Warszawa – Doha – Bangkok (Qatar Airways – 2700 zł).

Waluta: Kambodża – riel (1 USD = 3800 KHR) lub dolar amerykański (prawie wszędzie można płacić dolarami, lepiej wziąć więcej małych banknotów);
Tajlandia – baht (1 USD = 30 BHT).

Wiza: Kambodża: na lotnisku lub na lądowym przejściu granicznym za 20 USD + 1 zdjęcie;

Tajlandia: do 30 dni na lotnisku wejście na podstawie biletu powrotnego bez wizy, na przejściu lądowym z Kambodżą przy wjeździe można otrzymać pozwolenie na okres do 14 dni.

Trasa: Bangkok – Aranyaprathet – Siem Reap – Angkor Wat – jezioro Tonle Sap – Kratie – Sen Monorem – Phnom Penh – Kampot – Silhanoukville – Koh Kong – Hat Lek – Bangkok.

RELACJA Z PODRÓŻY

7 lipca. Bangkok

Wyruszamy z lotniska do centrum miasta pociągiem Expres Train (z poziomu B1, 90 BHT).

Dojeżdżamy do stacji końcowej Phaya Thai, gdzie przesiadamy się na linię kolejki miejskiej Subhumit Sky Train do stacji Ratchthatawi. Stamtąd, po lewej stronie od wyjścia, jeździ autobus nr 79 w kierunku turystycznej dzielnicy Than Khao San z licznymi hotelami.

Jedziemy bardzo długo, ponad godzinę, ze względu na liczne korki. Wsiadamy przy Pomniku Demokracji i po przejściu na drugą stronę ruchliwej ulicy już po 5 minutach jesteśmy przy Khao San. Miasto tętni życiem i zachęca do zwiedzania. Znajdujemy miejsce w hotelu NAT.

Guest Hause (500 BHT – pokój 2 os. z łazienką i klimatyzacją).

Najpierw chcemy poprobować pyszności z lokalnych straganów, które kuszą nas swoim zapachem (gorący ryż z owocami morza i sałatką – 50 BHT, naleśniki z miodem i bananami – 20 BHT, sajgonki – 10 BHT jedna, sok ze świeżych owoców – 30 BHT). Z nowymi siłami ruszamy na zwiedzanie pobliskiego centrum miasta ze wspaniałym Pałacem Królewskim, budynkami rządowymi i licznymi świątyniami. W pobliżu naszego hotelu jest wiele agencji turystycznych oferujących niedrogo wycieczki do płynących targów. My jednak dokładniejsze zwiedzanie okolic Bangkoku zostawiamy na koniec wyprawy, a teraz postanawiamy wyruszyć do Kambodży.

8 lipca. Bangkok – Siem Reap (Kambodża)

Wczesnie rano ruszamy na dworzec autobusowy. Najpierw jedziemy autobusem nr 79 (14 BHT) do stacji Ratchthatawi, skąd kupujemy bilety na Subhumit Sky Train do stacji Mo Chit (35 BHT). Jest to Dworzec Północny, z którego autobusy odjeżdżają w kierunku Kambodży. Od stacji kolejki miejskiej trzeba przejść przez park do miejsca, skąd odjeżdżają autobusy. Lepiej jest wziąć tuk tuka (skuter z przyczepką dla pasażerów), bo to jest trochę daleko, jak nie mamy zbyt dużo czasu do odjazdu. Bardzo sprawnie kupujemy bilety do miejscowości granicznej Aranyaprathet (234 BHT, 6 godz. jazdy). Do granicy z Kambodżą dojeżdżamy tuk tukiem (80 BHT). Oczywiście, kierowca podwozi nas pod biuro jakiejś agencji. Szybko nam wręczają druczki do wypełnienia i żądają 1000 Bh za wizę. Kiedy się orientują, że znamy aktualną jej cenę, po prostu wyrzucają nas z biura. Granicę przekraczamy same, bez długiego czekania (20 USD + 1 zdjęcie). Po stronie kambodżańskiej, od granicy jeździ darmowy shuttle bus, który zabiera pasażerów na dworzec autobusowy, gdzie kupujemy bilety do Siem Reap (9 USD lub 3700 KHR). Jest też kantor wymiany walut (1 USD = 3800 KHR), ale tak naprawdę to ta wymiana jest niepotrzebna, bo wszędzie można płacić dolarami i są one chętniej przyjmowane. Na razie jest mało egzotycznie, ponieważ autobus jest pełen turystów zagranicznych zmierzających na zwiedzanie Angkor Wat. Pomimo niezbyt wielkiej odległości jedziemy dosyć długo. Jesteśmy na miejscu ok. 20.00. Nie omija nas małe naciąganie, ponieważ wszyscy pasażerowie (turyści zagraniczni) zostają zawiezieni na przystanek daleko od centrum, do którego trzeba dojechać obowiązkowym tuk tukiem i zapłacić dodatkowo 2 USD od osoby. Jest późno i ciemno. Daje też znać o sobie zmęczenie całonocną podróżą, więc nie mamy siły się targować i jedziemy do hotelu Bun Seda Angkor Villa (9 USD za 2 osoby).

9 lipca. Angkor Wat

W nocy cały czas pada. Pomimo złej pogody nie chcemy marnować dnia. Wczesnie rano ruszamy na zwiedzanie Angkor Wat. Ta świątynia-miasto jest uważana za jeden z największych na świecie obiektów sakralnych. Wraz z fosami zajmuje powierzchnię ok. 203 ha. Okres angkorski (802–1431 r.) zaczął się z chwilą, gdy Dżajawarman II koronował się na czakrawartina, czyli władcę wszechświata i ustanowił w Hariharalai (dzisiejsze Roluos – 13 km od Siem Reap) swoją stolicą. Obok stolicy rozkazał wzniesienie królewskiej świątyni – Angkor Wat. Do XIV wieku była to świątynia hinduska poświęcona bogu Wisznu, później została przejęta przez buddyzm. Po upadku Angkoru w 1431 r., miasto zostało porzucone, ale na terenach świątyni nieprzerwanie mieszkali mnisi, aż do zawładnięcia krajem przez Czerwonych Khmerów, którzy przyczynili się do dużego jej zniszczenia, rozbijając młotami historyczne mury. Na zwiedzanie całego zabytkowego kompleksu trzeba poświęcić dużo czasu, dlatego wykupujemy bilet

3-dniowy (40 USD). Jednodniowy kosztuje 20 USD. Przy sprzedaży biletu robione jest zdjęcie i od razu jest drukowane na nim, więc nie można go nikomu odstąpić. Ze względu na deszcz oraz rozległość terenu świątyni wynajmujemy tuk tuka (12 USD za dzień). Kierowca jest bardzo sympatyczny i skrupulatnie, z miłym uśmiechem obwozi nas po wszystkich obiektach do późnego wieczora. Do głównej świątyni podchodzi się groblą wznoszącą się nad 190-metrowej szerokości fosą. Zabytki są imponujące, ale dużo w nich turystów. W drugiej świątyni Bayon atakują nas małpy. Na początku są łagodne i bawimy się z nimi, ale kiedy zauważają jedzenie, są agresywne. Sytuacja staje się groźna, bo chcą nas pogryźć i porwać plecak. Na szczęście pomagają nam bardziej doświadczone w tej dziedzinie turystki, które kamieniami odganiają atakujące nas zwierzęta. Ze wszystkich zwiedzanych obiektów największe wrażenie robi na nas świątynia Ta Prohm. Wygląda tak jak została odkryta – tajemnicze ruiny oplecione korzeniami pochłaniającej je dżungli. Olbrzymie figowce szukają spękań w historycznych murach i ściśle je oplatają. Dzień kończymy zjedzeniem soczystego arbuza podarowanego nam przez naszego życzliwego kierowcę tuk tuka.

10 lipca. Angkor Wat i okolice

Pogoda poprawia się, więc zmieniamy środek transportu. Wypożyczamy rowery na cały dzień (4 USD/dzień). Później okazuje się, że była to nasza najwyższa opłata. W innych regionach płacimy za ich wypożyczenie znacznie mniej (1,0–1,5 USD/dzień). Teraz, na rowerze, świat wygląda inaczej. Można trochę oddalić się od zwiedzających tłumów i przyjrzeć się pracy zwykłych ludzi. Naszym celem jest świątynia Banteay Srei oddalona 37 km od Siem Reap. Po drodze robimy zdjęcia bawołom kąpiącym się w wodzie oraz wieśniakom sadzącym ryż. Można też zapoznać się z problemem zaminowania terenów oraz łagodzenia ich skutków w Kambodżańskim Muzeum Min. W drodze powrotnej jeszcze raz zaglądamy do wczoraj zwiedzanych świątyni, aby w pełni wykorzystać nasz 3-dniowy bilet. Wieczorem spacerujemy po pięknie oświetlonym mieście. Kupujemy też bilety na jutrzejczy rejs po jeziorze Tonle Sap (15 USD/os.).

11 lipca. Jezioro Tonle Sap

Punktualnie o 9.00 przyjeżdża tuk tuk, aby zabrać nas do portu. Najpierw płynie rzeką Tonle Sap, która jest niezwykła, ponieważ sezonowo zmienia kierunek swojego biegu. Kiedy topniejące śniegi na Wyżynie Tybetańskiej powodują podnoszenie się poziomu wody w Mekongu, rzeka Tonle Sap zaczyna płynąć w drugą stronę i wtłaczać wodę do jeziora Tonle Sap. Zwiększa ono swoją powierzchnię 4–5-krotnie (z 2,5 tys. km² w porze suchej na 10 tys. km² deszczowej), dlatego ludzie mieszkają w domach na palach nad wodą bądź we wsiach unoszących się na jej toni. My płynie do Prek Toal, Chong Khneas i Kampong Pleuk. Pływające wsie są zorganizowane na wzór tych na stałym lądzie. Funkcjonują tu wszelkie niezbędne urzędy oraz punkty usługowe. Są tutaj sklepy, stacje benzynowe, kwaciarnie, szkoły, a nawet niektóre z nich są wyposażone w pływające świątynie. Mieszkańcy Chong Khneas trudnią się łowieniem i hodowlą krokodyli. Łodzie mają silniki, aby można było się przemieszczać przy zmianie poziomu wody. Trochę chyba na potrzeby wzrastającego ruchu turystycznego, małe dzieci prezentują swoje umiejętności pływania w misce na głębokiej wodzie. Wracamy do Siem Reap ok. 15.00. Wypożyczamy rowery i jeszcze raz jedziemy do świątyni Angkor Wat na zachód słońca. Niestety, z zarośniętej dżunglą Ta Prohm wypląsa nas gwałtowna burza. Wracamy do hotelu. W drodze powrotnej decydujemy się na wyjazd

nad Mekong do Kratie. Są 2 autobusy dziennie o 5.00 i 7.30 (10 USD). Bilety można kupić praktycznie w każdej agencji. W Kambodży wygodniej jest kupować bilety na przejazd w agencjach lub hotelach, ponieważ w cenę wliczony jest dowóz tuk tukiem i nie trzeba ponosić dodatkowej opłaty, żeby dostać się na dworzec, czasami bardzo odległy.

12 lipca. Siem Reap – Kratie

Autobus mamy o 7.30, ale kierowca tuk tuka ma jeszcze innych pasażerów i przyjeżdża po nas godzinę wcześniej. Szybko się pakujemy i ruszamy w drogę. Miałyśmy jechać bezpośrednio do Kratie, jak poinformowała nas pani w agencji, ale przesiadka oczywiście jest w Kampong Thom. Prawie 2 godziny czekamy na następny autobus, który na dodatek psuje się po drodze. Jesteśmy w Kratie ok. 20.30. Jest ciemno, ale miły pan z tuk tukiem zawozi nas do hotelu nad samym Mekongiem (Marhautdom Hotel – 6 USD/pokój 2 os. z łazienką).

13 lipca. Kratie – Kampi

Wypożyczymy rowery w restauracji Delfin (1,25 USD za dzień). Po przeciwnej stronie znajduje się informacja turystyczna, gdzie dostajemy mapkę z planem tras rowerowych. Jedziemy do odległej 14 km miejscowości Kampi. Z tego miejsca można wyruszyć łodzią na obserwacje rzadkiego gatunku delfina krótkogłowego. Ssaki te są ciemnopopielate, mają zaokrągloną płetwę grzbietową i tępo zakończoną głowę. Żyją w Mekongu między Kratie i granicą z Laosem. Przy przystani jest kasa, gdzie można wykupić bilety na rejs. Cena uzależniona jest od liczby uczestników: 2 osoby na łodzi – po 9 USD, 3–4 osoby na łodzi – 7 USD. Rejs trwa około 2 godzin. Delfiny rzeczywiście są i co chwilę jakiś wyskakuje z wody. Można im się przyjrzeć i zrobić zdjęcia. Do Kratie wracamy powoli drogą nad Mekongiem. Obserwujemy życie codzienne Kambodżan zamieszkujących domki na palach. Sprawnie funkcjonują tu różne warsztaty. Dzieci ćwiczą trochę j. angielski, krzycząc: hello!, ale są bardzo miłe i łagodne. Zjeżdżamy nieco z trasy połą drogą, aby dostać się do świątyni Phnom Sambok. Klasztor dostojnie góruje nad ryżowymi polami i można go dostrzec z daleka. Na szczycie świątynnego wzgórze prowadzą strome schody z posągami mnichów po obu stronach. Na wzgórzu można obejrzeć budowle sakralne z malowidłami przedstawiającymi wizje buddyjskiego piekła. Pora monsunowa daje znać o sobie. Do miasta wracamy w deszczu. Jeszcze jedna atrakcja została nam do zaliczenia: zachód słońca nad Mekongiem. Według autorów przewodnika Lonely Planet jest on w tym miejscu najpiękniejszy.

14 lipca. Kratie

Ruszamy na wyprawę rowerową na południe od Kratie. Droga jest bardzo ruchliwa. Jest dziś niedziela, więc jeżdżą busy i tuk tuki z flagami i przez głośniki agitują do głosowania na Kambodżańską Partię Ludową w zbliżających się wyborach. Skręcamy w połą drogę, aby dotrzeć do małych wiosek, gdzie życie toczy się spokojniej. Otarczają nas pola ryżowe z pracującymi na nich wieśniakami. Krajobraz urozmaicają pojedyncze palmy cukrowe (arnegi pierzaste). Przy drodze, na drzewach są też tabliczki z trupią czaszką ostrzegające przed niebezpieczeństwem wkraczania na zaminowane tereny. Przypominają także nam, aby nie stracić czujności i nie zbaczać z wydeptanych ścieżek. Zatrzymujemy się w przydrożnej świątyni. Nie jest tu zbyt czysto, trochę zaniedbane oraz zaśmiecone jest jej otoczenie, ale jest także mnich, który uzdrawia i ustawia się do niego długa kolejka miejscowych. Po południu chcemy poprobować

smaku ryby z Mekongu (5000 RHR porcja), a na deser jest soczysty ananas (1000 KHR). W Kambodży trzeba pamiętać, aby podawać banknoty z szacunkiem, dwoma rękami patrząc na rozmówcę. Tak robi nawet najdrobniejszy sklepikarz. Nie wypada też zapominać o zdejmowaniu butów przed wejściem do prywatnego domu czy hotelu. Kratie ma problem z elektrycznością. Prąd często jest wyłączany. Na szczęście, nasz hotel ma swój własny generator i jest oświetlony.

15 lipca. Kratie – Sen Monorem

Jeszcze niedawno dotarcie do Sen Monorem w porze deszczowej było niemożliwe. Teraz wybudowano nową drogę i betonowe mosty, więc przejazd odbywa się w miarę sprawnie. Jedziemy bardzo zatłoczonym porannym bussem (7 USD/os., 5 godz. jazdy). Na przystanku autobusowym w Sen Monorem, właściciel Lodge Tree proponuje nam nocleg w bambusowej chatce na palach (3 USD/2 os.). Umawiamy się też z nim na zorganizowanie 2-dniowego trekkingu do dżungli. Jutro wyrusza grupa 3 Holendrów, do których dołączamy (20 USD za dzień od osoby). Odczuwamy wyraźny wpływ monsunu – ciągle pada, ale mimo deszczu wybieramy się po południu na spacer do położonego 4 km za miastem wodospadu. Wodospad taki sobie, mocno nas nie zachwyca, ale jest przy nim słoń i robimy mu zdjęcia. W drodze powrotnej dokonujemy zakupów (gorące banany w cieście – 2000 KHR, świeżo upieczone ciasto – 1000 KHR, bagietka – 1000 KHR, woda – 2000 KHR). Wieczorem nasza chatka znalazła się na drodze wędrowki tropikalnych mrówek. Ta niewielka niedogodność jest wynagrodzona przez wspaniały koncert odgłosów z dżungli.

16 lipca. Trekking w dżungli

Całą noc mocno pada. Nasza chatka jest trochę podtopiona i mamy mokre rzeczy w plecakach. Mimo to ruszamy na trekking. Nasza grupa składa się z 7 osób: trzech młodych Holendrów, my dwie i dwóch lokalnych przewodników z plemienia Thongów. Pierwsza część trasy prowadzi przez nieco przetrzebioną dżunglę, polnymi drogami. Później trasa staje się trudniejsza. Potykamy się o korzenie. Ześlizgujemy się po stromych stokach i musimy przekraczać potoki, które mocno wezbrały po obfitych opadach. Nasi przewodnicy, co jakiś czas zatrzymują się, aby zgromadzić zapasy żywności. Wycinają młode pędy z ratana. Zbierają do woreczków foliowych mrówki, żaby i ślimaki. My w tym czasie możemy wsłuchiwać się w odgłosy dżungli i doskonalić technikę odrywania małych, czarnych pijawek, które w natrętny sposób przyczepiają się, gdzie tylko mogą do naszego ciała. Jeszcze w tej chwili nie jesteśmy świadomi, że wszystkie zebrane przez przewodników w lesie produkty, staną się później podstawą naszego żywienia. Nocleg jest bardzo prosty. Rozbijamy się w dzikich chaszczach. Za dach służy nam kawałek folii. Do spania mamy bardzo dobre hamaki, wyprodukowane przez Kambodżę na potrzeby armii amerykańskiej w czasie wojny z Wietnamem. W pobliżu płynie mała rzeczka, gdzie można się umyć. Bardzo mocno pada, więc uciekamy do hamaków pod daszek foliowy i wsłuchujemy się w odgłosy dżungli. Naszym przewodnikiem deszcz tak mocno nie przeszkadza, ponieważ udają się na polowanie na iguany.

17 lipca. Trekking w dżungli

Całą noc trwa ulewa, ale nasza folia z daszku jest bardzo mocna i mimo gromadzących się w jej zagłębieniach wielkich ilości wody – nie pęka. O godz. 7.00 rano zbieramy się do dalszej drogi. Trasa jest długa i trudna. Mamy wiele kilometrów do pokonania, a dodatkowe trudności stanowią silnie wezbrane po całonocnej ulewie strumienie. No

i znowu trzeba stanąć do walki z małymi pijawkami, które na nas przeskakują z mokrych liści. Mijamy niewielkie gospodarstwa na polanach wypalonych w lesie. Rolnicy za pomocą bardzo prostych narzędzi uprawiają tutaj ryż i podstawowe warzywa. W jednej z takich chatek zatrzymujemy się na lunch. Gospodarze, gdzieś poszli. Cały ich dobytek został w chacie. Budzi nasz podziw, jak niewiele rzeczy, w porównaniu z nami, ci ludzie potrzebują do codziennego życia. Nasi przewodnicy przygotowują lunch z produktów zebranych wczoraj w lesie, dorzucając pieczoną iguanę, ryż i kilka przypraw zebranych z pobliskiego poletka w dżungli. Widok pływającej w zupie żaby, ślimaków oraz mrówek niezbyt zachęca do jedzenia, ale to nasz jedyny posiłek do wieczora. Ok. 17.00 docieramy do wioski naszych przewodników na granicy lasu, skąd zabiera nas do Sen Monorem właściciel hotelu Tree Lodge. Sen Monorem położona wśród gór i lasów, wciąż spokojna miejscowość jest bazą wypadową do dziewiczych terenów zamieszkałych przez górskie plemiona Phongów. Niechęć miejscowej ludności budzi wykupywanie ziemi w okolicy przez bogatych Chińczyków i wycinanie lasów w celu eksploatacji surowców. Niedaleko od Sen Monorem znajduje się kopalnia złota. W pobliżu realizowany jest także międzynarodowy projekt „Słoniowa Dolina”. Uczestnicy projektu ciężko pracują, aby ochronić szybko znikającą dżunglę i zamienić ją w ostoję dla słoni. Daje to także zatrudnienie dla lokalnej mniejszości etnicznej Phongów. W czasie wojny wietnamskiej region ten doświadczył dywanowych nalotów amerykańskich.

18 lipca. Sen Monorem – Phnom Penh

Gospodarz Tree Lodge odwozi nas do centrum miasta na autobus do Phnom Penh (8 USD i 8 godz.). Przejazd nowo wybudowaną drogą odbywa się sprawnie. Dopiero przy wjeździe do stolicy zatrzymuje nas korek uliczny. Odbywa się parada tuk tuków reklamujących partie uczestniczące w wyborach. Nocleg znajdujemy bardzo blisko centrum, 5 minut drogi od Pałacu Kólewskiego (Nawin Guest House – 10 USD/os.). Wyruszamy na zwiedzanie centrum miasta. Niestety, utrudnia nam to burza z ulewnym deszczem.

19 lipca. Phnom Penh – Kampot

Podróż do Kampot zaczynamy od długiego oczekiwania na autobus, który nie może przedostać się na przystanek przez korki w mieście. Zajmuje mu to dwie godziny. Na trasie napotykamy na liczne roboty drogowe i przejazd z 4 godz. wydłuża się do 7 godz. Chociaż tak naprawdę to nie mamy po co się śpieszyć, bo cały czas deszcz pada intensywnie. Tu na południu kraju monsun daje znać o sobie w zmasowanej sile. Znajdujemy nocleg w Blisful Guest House (6 USD/2 os.). W informacji turystycznej kupujemy bilety na wieczorną wyprawę łodzią, aby oglądać świetliki (8 USD/ os.). Wycieczka jest bardzo ciekawa. Płyniemy w górę rzeki Kampong Bay. Jest zupełnie ciemno tylko gdzieniegdzie błyskają światła domów na brzegu. Nagle całe drzewa iskrzą się jak choinka setkami świetlików. Idziemy przez płytką wodę do brzegu, aby je obejrzeć z bliska. Teraz rozumiem, dlaczego restauracje i sklepy w mieście są w środku lata udekorowane lampkami choinkowymi.

20 lipca. Kampot

Niestety, pora deszczowa nie odpuszcza. Padało przez całą noc i teraz też mocno pada. My też nie odpuszczamy. Nie chcemy marnować dnia, siedząc w hotelu. Wypożyczamy rowery (1 USD za dzień). Chcemy wybrać się do jaskiń, ale ze względu na intensywny deszcz zmieniamy plany i jedziemy do Tek Chhouu Rapids (wstęp 1 USD).

Nad bystro płynącą rzeką są miejsca piknikowe z ładnymi widokami. Można też obejrzeć największą w Kambodży zaporę zbudowaną przez Chińczyków. Przy jej budowie zalano część terenów Parku Narodowego Bokor. Wracamy do miasta, obserwując pracę rolników na polach ryżowych. Deszcz się wzmacnia. Postanawiamy go przecze-kać pod daszkiem na ganku pagody, gdzie właśnie młodzi mnisi studiują księgi. Miasto Kampot znane jest z uprawy duriana, więc wieczorem idziemy obejrzeć jego pomnik na centralnym placu. Oczywiście, trafiamy na wiec przedwyborczy. W Kampot można też zrobić zdjęcia 3-metrowym pędem pieprzu. W pobliżu miasta można zwie-dzić jego plantacje.

21 lipca. Kampot

Jedziemy do jaskini Phnom Chhnork, w której chcemy zobaczyć stalaktyty w kształcie słońca. Znowu pada, więc droga jest pełna czerwonego błota zalepiającego nam rowery. W dodatku, na trasie do Kep trwają prace drogowe i nie możemy znaleźć tablicy z napisem „Phnom Chhnok Resort”, gdzie po 5 km należy skręcić w lewo, w polną drogę. Na szczęście, miejscowi są zyczliwi i pomagają nam znaleźć właściwy kierunek. Nadal błoto utrudnia nam jazdę, ale widoki są ciekawe. Po obfitych opadach, wszyscy wyszli sadzić ryż. Na każdym skrawku pola ktoś pracuje. Po 6 km docieramy do świątyni. Miejscowe kobiety, widząc stan naszego „ubłocenia”, prowadzą nas na podwórko swojego domu, gdzie możemy się umyć i oczyścić rowery. W świątyni jest teraz pora posiłku i kobiety z pobliskiej wioski przyniosły mnichom ryż. W porze deszczowej do jaskini można dojść tylko pieszo przez pola ryżowe, zapadając się ciągle w błoto. Wstęp do jaskini jest płatny (1 USD), można też wypożyczyć latarkę (1 USD). Wewnątrz groty jest także dużo nietoperzy. W drodze powrotnej zajeżdżamy do jeszcze jednej świątyni, gdzie młodzi mnisi chcą poćwiczyć j. angielski, bo mają mało okazji do bezpośrednich konwersacji i chyba najzwyczajniej w świecie po prostu trochę się nudzą. Odpowiadamy grzecznie na serię standardowych szkolnych pytań i ruszamy do Kampot. Wieczorem dokonujemy zakupu różnych gatunków lokalnego pieprzu.

22 lipca. Silhanoukville

Do Silhanoukville jedziemy minibusem (6 USD, 2 godz.). Droga jest asfaltowa i bez jakichkolwiek prac. Miasto niezbyt nam się podoba. Jest nowoczesne i hałaśliwe. Trzeba pokonywać duże odległości między centrum a plażami. Jedziemy z dworca tuk tukiem (3 USD) na plażę Victory Hill w poszukiwaniu taniego noclegu. Wynajmujemy bambusową chatkę w Saltan Bungalow (8 USD za domek). Na razie nie jest zbyt optymistycznie. Bardzo mocno pada i miejscowi mówią, że w porze deszczowej tu jest tak zawsze. Idziemy na wzgórze w poszukiwaniu wypożyczalni rowerów. Po sezonie nie jest to łatwe, ale w końcu jakąś otwartą znajdujemy. Widać tutaj już wpływ dużego miasta i turystyki. Przy wypożyczaniu żądają depozytu i dokumentów tożsamości. Nie chcemy zostawiać paszportów. Na szczęście, po negocjacjach wystarczają nasze legitymacje nauczycielskie (2 USD wypożyczenie roweru i 20 USD depozyt). Jedziemy w deszczu na odległą kilka kilometrów plażę Independence. Ocean jest ciepły, ale woda po obfitych opadach jest mętna i wzburzona. Wracamy do naszej chatki owiniętej metrowymi liśćmi scindapsusa, aby posłuchać koncertu cykad.

23 lipca. Silhanoukville

Cały czas pada. Jedziemy na plażę Serendipity i Occheuteal. Trochę spacerujemy i kąpiemy się we wzburzonym oceanie. Podczas ulewy dołączamy do miejscowych

Kambodżan, którzy urządzili sobie piknik pod daszkiem. Często są nas owocami i lokalnymi specjałami. W przystani przy moście pytamy o wycieczki na wyspy, ale nie ma jednoznacznej odpowiedzi, kiedy się odbędą. Na razie pogoda jest niesprzyjająca, a fale bardzo wysokie. W drodze do hotelu przytrafia się nam awaria hamulców rowerowych, które naprawiamy w pobliskim warsztacie (0,5 USD).

24 lipca. Park Narodowy Ream

Rano, w recepcji naszego hotelu, dowiadujemy się, że fale są mniejsze i łódź wypływa dzisiaj do Parku Narodowego Ream. Wykupujemy całonocną wycieczkę (15 USD/os. – śniadanie, lunch, łódź i wędrowka przez dżunglę w cenie). W sumie jedzie nas 9 osób (my, dwie Niemki i rodzina Holendrów). Podwożą nas busem do przystani 15 km za miastem, skąd zaczyna się nasza wyprawa łodzią. Płyniemy przez mangrowce, obserwując ptaki. Widzimy bociany zaliczane do bardzo rzadkiego gatunku oraz orły niosące w szponach węże. Miejscowi rybacy brodzą w wodzie, łowią małże. Do brzegu wyspy łódź nie dopływa. Musimy dojść bosą nogą przez wodę. Na pytanie o węże, przewodnik odpowiada, że ich tu w tej chwili nie ma (Być może wszystkie zostały już wypłoszone przez orły.). Wyspę zamieszkuje 60 rodzin rybackich. Jest także szkoła dla 50 dzieci w wieku od 6 do 13 lat. Idziemy na 45-minutowy spacer przez dżunglę do wioski Andouk Toeuk. Zatrzymujemy się na wspaniałej, tropikalnej plaży, aby zażyć kąpieli. Słychać odgłosy zbliżającej się burzy, więc wracamy w pośpiechu na łódź. Płynąc w stronę przystani, zostajemy uraczeni niesamowitym spektaklem latających ryb, które bardzo się uaktywniły przed deszczem i tłumnie wyskakują wysoko wokół naszej łodzi.

25 lipca. Wycieczka na tropikalne wyspy

Okazuje się, że mamy trochę szczęścia. Pogoda poprawia się i rusza wycieczka na tropikalne wyspy (15 USD/os. – śniadanie, lunch, dowóz, łódź oraz sprzęt do nurkowania w cenie). Nareszcie świeci słońce. Pierwszy postój jest przy wyspie Koh Ta Kiew. Można tu ponurkować bądź poskakać do wody z wysokości. Krystalicznie czysta, ciepła woda skusiła w końcu nawet najbardziej zdystansowanych Japończyków do założenia kapoków i wskoczenia do oceanu. Następny postój jest przy wyspie Koh Russel (Wyspa Bambusowa). Tu zatrzymujemy się na 3 godziny. Jest jak w raju. Dzika plaża i tropikalna roślinność. Idziemy na spacer na drugą stronę wyspy, gdzie jest jeszcze bardziej pusto, za to fale są wyższe. W drodze powrotnej zatrzymujemy się jeszcze w jednym miejscu, aby poskakać do wody. Wieczór spędzamy na progu naszej bambusowej chatki, wsłuchując się w szum oceanu, po raz pierwszy bez deszczu odkąd przyjechaliśmy na południe Kambodży.

26 lipca. Silhanoukville – Koh Kong

Powoli zmierzamy w kierunku Tajlandii. Jedziemy do przygranicznego miasteczka Koh Kong (9 USD). Przejazd jest bardzo wolny. Wydłuża się z 5 do 7 godzin. Drogę blokują tuk tuki i busy z agitatorami startującej w wyborach Kambodżańskiej Partii Ludowej. W Górach Kardamonowych, na skutek ulewnych deszczy nastąpiły obrywy i część drogi jest w remoncie. Przed Koh Kong przejeżdżamy przez rzadko zaludnione, dziewicze tereny, które objęte są ochroną w formie ustanowionego przez rząd pasa chronionego krajobrazu. Pokryte lasem stoki Gór Kardamonowych schodzą tutaj bezpośrednio do oceanu. Na dworcu autobusowym daje się odczuć wpływ „cwaniactwa przygranicznego”. Atakuje nas mafia tuk tukowa, próbując naciągnąć na wysoką opłatę za przewóz do

hotelu. Negocjacje przyspiesza ulewny deszcz, z którego woda spływa na nasze plecaki. Trochę przepłacamy (3 USD za przewóz do centrum) i jedziemy na nabrzeże poszukać taniego pokoju. Znajdujemy niezbyt sympatyczny pokój w małym hoteliku przy pomocy (8 USD/ 2 os.). Ruszamy na zwiedzanie miasta. Nie jest ono zbyt ciekawe. Trochę brudne i hałaśliwe. Idziemy na spacer 2,5 km mostem nad rzeką. Załatwiamy też w agencji 2-dniowy trekking w Góry Kardamonowe (30 USD/os. za 2 dni).

27 lipca. Koh Kong – wycieczka do wodospadów

Dzień nie zaczyna się dobrze. Po raz pierwszy, od początku naszego pobytu w Kambodży spotykamy się z niesolidnością agencji turystycznej. Do tej pory ludzie w tym kraju wykazywali się wielką uczciwością i rzetelnością. Życzliwość prostych ludzi uspiła naszą czujność. Może to znowu wpływ niedalekiej granicy. Jedziemy na trekking, ale nie na ten, który zamówiliśmy. Zamiast w góry wiozą nas do wodospadów z noclegiem na wyspie. Wczoraj młody chłopak w agencji pokazywał nam inne ulotki, chyba licząc na to, że się nie zorientujemy. Na dodatek nasz przewodnik bardzo słabo mówi po angielsku. Zna tylko kilka pojedynczych słów. Nasze pertraktacje nie mają wielkiego sensu. Dzwonimy do agencji, ale to niewiele zmienia, oprócz straconego czasu, którego już zbyt dużo nie mamy, aby dłużej pozostać w tym miejscu. Płyniemy przez mangrowce, oglądając Góry Kardamonowe z wody. Podejście do wodospadów jest strome, ale widok z góry jest wart poświęcenia. Nasz przewodnik próbuje trochę ratować zaistniałą nieprzyjemną sytuację i nawet zabiera nas na wędrowkę po dżungli. Nie zna jednak ścieżki i chyba bardziej od nas boi się, aby jej nie zgubić. Po 2 godzinach krążenia wkoło i 3-krotnym przekroczeniu tego samego potoku, wspólnymi siłami odnajdujemy powrotną drogę do wodospadu. Nocujemy w chatce na wyspie, w której jest telewizor i głośna muzyka. Zbuntowane, prosimy o zawieszenie dla nas hamaków na zewnątrz, z dala od hałasu. Wieczorem opływamy wyspę i oglądamy świetliki. W nocy szaleje burza. Silny wiatr prawie porywa nasze hamaki, ale nie martwi nas to zbyt. W końcu przyjechałyśmy tu, by doświadczyć sił dziewiczej natury.

28 lipca. Koh Kong

Rano nasz przewodnik gdzieś bardzo się śpieszy i chce nas zawieźć do miasta 2 godziny wcześniej przed ustalonym powrotem. I tu mamy odmienne oczekiwania. Dla nas to miasto nie jest na tyle atrakcyjne, żeby do niego szybciej wracać. Teraz my nie rozumiemy jego angielskiego i spokojnie zajmujemy się podziwianiem widoków, meldując się w łodzi zgodnie z wczorajszymi ustaleniami. Po powrocie zmieniamy hotel na Bluemoon Guest House (6 USD za 2 os. z łazienką). Po południu wypożyczamy rowery (1,25 USD) i jedziemy do wodospadów 8 km za miastem (wstęp 1 USD). Dzisiaj jest niedziela i okolice wodospadów są trochę zatłoczone. Całe rodziny przybyły tutaj na piknik nad wodą. Szkoda, że nikt nie zbiera plastikowych naczyń po skończonej uczcie. To piękne krajobrazowo miejsce jest po weekendzie mocno zaśmiecone.

29 lipca. Koh Kong

W nocy szaleją burze. Teraz też mocno pada. Czekamy na poprawę pogody. Około południa bierzemy rowery i jedziemy do odległych o 18 km wodospadów Tatai. Niestety, awaria roweru uniemożliwia nam dotarcie do celu. W drodze powrotnej jeszcze raz zatrzymujemy się przy wczorajszym miejscu piknikowym. Dzisiaj jest cicho i spokojnie. Po weekendowych tłumach zostały tylko śmieci. W kąpielisku nad rzeką miejscowe dziewczyny robią pranie. Wieczorem robię zakupy ostatnich pamiątek. Mój po-

byt w Kambodży się kończy. Jutro muszę wracać do Tajlandii na samolot. Moja współtowarzyszka podróży ma więcej czasu i jeszcze tu zostaje.

30 lipca. Koh Kong – Bangkok

O 7.30 wyruszam tuk tukiem (7 USD z podatkiem) do przejścia granicznego w Hak Leak. Na razie jest tutaj pusto. Nie omija mnie drobna próba naciągnięcia na 200 BHT. Jakiś przedstawiciel agencji bezpośrednio przy okienku odprawy mówi, że tyle muszę zapłacić za pieczętkę, bo będę długo czekać (choć nie widzę żadnej kolejki). Podchodzę do drugiego pustego okienka i bez opłaty, w 2 minuty mam pieczętkę. Trochę dłużej trwają formalności na granicy tajlandzkiej, bo trzeba wypełnić jakieś druczki, ale i tak o 8.15 już jestem w busie jadącym do Trat (120 BHT). Po 1,5 godz. dojeżdżamy do celu. O godz. 10.00 mam autobus do Bangkoku (265 BHT). Cieszę się, że wcześniej będę na miejscu. Niestety, jest to złudzenie, bo autobus wlecze się 7 godzin. Na szczęście, przyjeżdżamy na Dworzec Wschodni (Ekkamai), skąd jeździ bezpośrednia kolejka miejska Sky Train do stacji Ratchathewi (45 BHT, bilet w automacie). Do ulicy Khao San dojeżdżam autobusem nr 79. Nocuję, tym razem w NAT 2 (260 BHT pokój z łazienką). Wieczorem idę popróbować tajskich potraw oraz nacieszyć się wystęпами ulicznych artystów. Jutro rano wracam do Polski.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Neuschwanstein to zamek jak z bajki, ozdobiony balkonami i mnóstwem wieżyczek, które wznoszą się wysoko ponad drzewami w Alpach bawarskich. Jego budowa trwała 17 lat. Jest on niezwykle, przypomina raczej scenografię teatralną, którą wymyślił król Ludwik II Bawarski jako tło do odgrywania scen z germańskich legend. Ludwik dorastał w pobliskim zamku Hohenschwangau, średniowiecznej fortecy odbudowanej przez jego ojca, Maksymiliana II.

Wnętrze zamku Neuschwanstein jest tygłem różnych stylów architektonicznych, mieszanką mauretańsko-gotycko-barokową, w której znajdują się zarówno stalaktyty, jak i sala tronowa w bizantyjskim przepychu oraz ogromna Sala Śpiewaków, rzęsiście oświetlona i przeznaczona do przedstawień wagnerowskich.

Joanna Kusiak

Malezja z Borneo oraz Singapur



Podróżnicy: Joanna i Tomasz Kusiak, dzieci: Kacper Kusiak (6 lat) i Nina Kusiak (4,5 roku) oraz Ewa Mizera-Skrzyńska.

Termin podróży: 27 dni w sierpniu 2013 roku.

Przelot: Lufthansa: Wrocław – Frankfurt nad Menem – Singapur; Singapur – Frankfurt nad Menem – Wrocław.

Czas przelotu w jedną stronę: (16 h, 30 min, w tym 2,45 h na przesiadkę).

Różnica czasu: +7 h.

Waluta: ringit malezyjski: 1 ringit (RM) = 1 zł,
dolar singapurski: 1 SUSD = 2,5 zł. Korzystaliśmy z bankomatów.

Wiz brak

Prąd: 220 V, wtyczki – konieczne przejściówki.

Zdrowie: nie ma obowiązkowych szczepień, niewielkie zagrożenie malarią, ale wiosną 2013 r. w Singapurze panowała epidemia dengi, dlatego też stosowaliśmy repelenty (mugga).

Przykładowe ceny:

Pokój czteroosobowy: od 50 zł do 175 zł.

Pokój dwuosobowy: od 50 zł do 140 zł.

Kartka + znaczek – 1,50 zł.

1,5 l wody mineralnej – 2–3 zł.

Smażony ryż/ makaron z kurczakiem/ krewetkami: 5–7 zł.

Soki: 2–4 zł.

RELACJA Z PODRÓŻY

1 dzień. Singapur – Malezja: Johor Bahru

Wylądowaliśmy na lotnisku w Singapurze około godz. 16.00 i po sprawnie przeprowadzonej odprawie udaliśmy się na przystanek, z którego odjeżdżał autobus do Malezji, do Johor Bahru – 7 SUSD bilet dla osoby dorosłej, 3,5 SUSD bilet dla dziecka. Przejazd przez granicę był dosyć uciążliwy z uwagi na pokonywanie na piechotę wie-

lu kondygnacji w budynku stanowiącym przejście graniczne. Autobus podjeżdżał pod budynek, następnie musieliśmy wszyscy wysiąść i wejść do budynku na kontrolę paszportową. Nasze bagaże zostały w autobusie. Po kontroli paszportowej ze strony singapurskiej wracaliśmy do autobusu i jechaliśmy do Malezji, gdzie czekała nas kolejna kontrola paszportowa i kolejne kondygnacje schodów, korytarzy, przejść. Tym razem musieliśmy je pokonywać już z bagażami.

Przejście graniczne po stronie Malezji jest jednocześnie kompleksem handlowym i dworcem autobusowym. Wypłaciliśmy tam pieniądze z bankomatu i ruszyliśmy na poszukiwanie taksówki, która zawiozłaby nas do zarezerwowanego już na booking.com hotelu. O adres hotelu pytaliśmy kilku taksówkarzy i za każdym razem otrzymywaliśmy kompletnie różne odpowiedzi: że to bardzo blisko i lepiej byśmy poszli na piechotę, że to bardzo daleko i tu padała astronomiczna kwota, że nie wiedzą, gdzie to jest. No cóż, wyboru odpowiedzi dokonaliśmy sami, w ciemno, licząc, że będzie właściwy – poszliśmy pieszo we wskazanym kierunku. I trafiliśmy. Okazało się, że rzeczywiście nasz hotel „Dragon Inn Hotel” znajdował się blisko. Warunki noclegowe mieliśmy bardzo dobre, a cena na booking.com była niższa, niż na miejscu – 148 zł za pokój 5-osobowy z łazienką i klimatyzacją.

2 dzień. Johor Bahru – Mersing – Tioman

Jetlag zrobił swoje i wszyscy obudziliśmy się w środku nocy (sytuacja powtarzała się jeszcze przez 3 dni). Z ciężkimi powiekami dotrwaliliśmy do rana i taksówką za 10 zł dojechaliśmy na dworzec autobusowy Larkin Bus Stadion, z którego ruszyliśmy do Mersing (bilety: 13 zł dorosły, 6,40 zł dziecko). Wszystkie autobusy, jakimi podróżowaliśmy w Malezji, były dobrej jakości, klimatyzowane – jak dla nas było w nich za zimno, ubieraliśmy długie spodnie oraz bluzy.

W Mersing musieliśmy pokonać około 1 km, aby dotrzeć do portu, gdzie była przeprawa promowa na wyspę Tioman. Bilety w dwie strony kosztowały 35 zł dla dorosłego i 30 zł dla dziecka. Zanim je kupiliśmy, obsługa zapytała się nas, w której części wyspy mamy wynajęty pokój, gdyż prom docierał do 6 zatok. W kwietniu zarezerwowałam nam 2 pokoje w hotelu „Panuba Inn Resort”(www.panubainn.com) i już nie było tańszego pokoju dwuosobowego (pokój 4-osobowy ze śniadaniem – 185 zł, pokój dwuosobowy ze śniadaniem – 80 zł). Wracając do promu – zapakowano do niego dobrze ponad setkę osób, a wszystkie bagaże ulokowano na pokładzie, przykrywając je plandeką. Przeszło nam przez myśl, że może widzimy je po raz ostatni. Po około 1,5 godziny i 4 przystankach po drodze dotarliśmy do naszej zatoki Panuba ze wszystkimi bagażami w komplecie. Szacunek dla załogi promu.

Wyspa Tioman przywitała nas popołudniowym deszczem, który podczas naszego kwaterowania zniknął tak szybko, jak się pojawił. Pokój czteroosobowy z balkonem mieliśmy tuż przy plaży z widokiem na lazurową lagunę ze złotym piaskiem. Ewa, która w swojej dwójce nie miała podobnych luksusów, przychodziła na nasz balkon, rącząc się relaksującym widokiem. W hotelu trzeba było zapłacić depozyt za klucz – 10 zł, i ręcznik – 20 zł. Przy wykwaterowaniu nie było żadnych problemów z odzyskaniem pieniędzy. W naszej zatoce był tylko ten jeden hotel, w którym mieściła się restauracja, sklep i kafejka internetowa. Śniadania mieliśmy w formie bufetu (jajecznica, parówki, tosty, naleśniki, smażony makaron i ryż z warzywami, kawa, herbata, soki), obiady i kolację się zamawiało. Mimo bycia monopolistą ceny nie były wygórowane:

ryż smażony w krewetkami – 9,80 zł, ryż smażony z kurczakiem – 8,30 zł, sałatka pomidorowa – 5 zł, naleśnik – 5,20 zł, frytki – 6,20 zł, sok z wyciskanych owoców – 5,70 zł, woda mineralna 1,5 l – 3 zł.

3 dzień. Tioman

Ranek przywitał nas tropikalnym słońcem, które towarzyszyło nam przez cały dzień poświęcony na plażowanie i snorklowanie. Tuż przy brzegu znajdowała się całkiem ciekawa rafa koralowa obfita w różnorodne ryby i ślimaki.

4 dzień. Tioman – Kuala Besut

Po śniadaniu o godzinie 9.00 wypłynęliśmy promem w drogę powrotną do Mersing. W planach mieliśmy dotarcie do Kuala Terenganu, a następnie do kolejnej miejscowości portowej Kuala Besut na północy kraju, z której chcieliśmy się przeprawić na wyspę Perhentian Besar. Tu mieliśmy już zarezerwowany i częściowo zapłacony pokój w hotelu. Wiedzieliśmy jednak, że będziemy mieli z tym problem. Okazało się bowiem, że ze względu na koniec Ramadanu i rozpoczęcie 3-dniowego Święta Hari Raya Puasa wszystkie bilety autobusowe do dużych miast zostały wykupione już pół roku wcześniej. Niezrażeni tym faktem w Mersing udaliśmy się na dworzec autobusowy, pytając o bilety do Kuala Terenganu. Udzielono nam takiej samej odpowiedzi, jak wielu innym turystom biegającym z obłędem w oczach – „nie ma biletów”. Wzięliśmy zatem taksówkę. Ze znalezieniem kierowcy nie było żadnego problemu. Ten, którego myśmy wybrali, zaproponował nam dojazd do dużego miasta na interesującej nas trasie – do Kuantan – z myślą, że tam dostaniemy jeszcze bilety do Kuala Terenganu. Za odległość ponad 200 km wziął 310 zł. W Kuantan na nowym i bardzo nowoczesnym urzędowym dworcu autobusowym dostaliśmy bilety do Kuala Terenganu – 19,70 zł za osobę (brak zniżki dla dzieci). Dotarliśmy tam około godz. 23.00 i od razu zaczęliśmy poszukiwać transportu do Kuala Besut. Na pytanie o autobus, otrzymywaliśmy odpowiedź – „owszem, ale za pięć dni”. Dlatego też ponownie zwróciliśmy się do taksówkarzy i już za chwilę jechaliśmy do Kuala Besut – około 100 km za 130 zł.

Na miejsce dojechaliśmy około godziny 1.30. Kierowca razem z nami udał się do o dzwo, jeszcze otwartego biura w porcie, w którym kupiliśmy bilety na łódź na Perhentian Besar – 70 zł dorosły / 35 zł dziecko – w dwie strony. Przy zakupie biletów sprzedawca poinformował nas o konieczności przybycia do portu o godz. 5.30. Zatem nie kalkuloowało nam się szukać hotelu na jakieś 4 godziny, stąd zapytaliśmy się go, czy możemy przespać się u niego w biurze. Bez mrugnienia okiem dał nam 2 maty dla dzieciaków, które rozłożyliśmy na ziemi, zostawił nam klucze i poszedł sobie. Po około 2 godzinach męczenia gości na mocno zużytych fotelach drzwi do biura nagle się otworzyły i ukazał się w nich jakiś Malezyjczyk. Dał nam znać byśmy sobie nie przerywali, a sam ochocz przystąpił do robienia interesów (około godz. 4.00!) z kolejnymi podróżującymi na Perhentian Islands. Postanowiliśmy, że też skorzystamy z okazji i kupimy już bilety autobusowe na podróż za 4 dni do Taman Negara – 75 zł za osobę (dzieci bez zniżki). Ucieszeni faktem, że wreszcie będziemy odbywać dalszą podróż bez komplikacji, bo mieliśmy już bilety w kieszeni, ustawiliśmy się w kolejce do łodzi na Perhentian. Załadunek, który rozpoczął się o godz. 6.00, był bardzo mozolny, trwał ponad godzinę, podpływało wiele łodzi i tak naprawdę system kierowania ludźmi na nie był bardzo niezrozumiały.

Po około 30 minutach rejsu małą szybką łodzią dotarliśmy na Perhentian Besar do naszego wcześniej zamówionego hotelu „Flora Bay Resort”. Nieprzystomni z niewy-

spania dowiedzieliśmy się, że nasz pokój (jak większości przybyłych) nie jest jeszcze gotowy. Bagaze zostawiliśmy przed recepcją i poszliśmy na śniadanie. Chyba z tego zmęczenia dopadło nas jakieś zaćmienie umysłu, gdyż przy wszystkich pysznościach w karcie dań zamówiliśmy wstrętne śniadanie amerykańskie – 15 zł za tosty, parówki i jajecznice. No, ale gdy tylko ciepło zrobiło się w żołądku, to zaraz odpłynęliśmy po nieprzespanej nocy. A że ja i Ewa szybciej od Tomka złożyliśmy nasze ciała na plaży, to on niestety musiał pilnować dzieci, które ochoczo zabawiały się z miejscowymi przedstawicielami ich pokolenia. Ostatni poranny moment tego dnia, który pamiętam, to styczność z ciepłym, białym piaskiem. Potem nastąpiła przyjemna ciemność. Około południa jak przez mgłę zaczął docierać do mnie bełkot mojego nieprzytomnego ze zmęczenia męża, który błagał mnie o to, bym się obudziła i przypilnowała dzieci, bo on bez snu już nie wytrzyma. Jednocześnie zbiegło się to z możliwością zakwaterowania w hotelu. Dokonując wpłaty za pokój 4-osobowy z dostawką 1 łóżka w domku przy plaży, okazało się, że recepcjonistka pomyliła się na naszą korzyść o jakieś 200 zł. Pokój z łazienką, klimatyzacją i lodówką powinien był nas kosztować 525 zł za 3 noclegi.

Ja z Ewą oraz dziećmi udałyśmy się na plażę, pozwalając Tomkowi wypaść się już w pokoju. Kiedy wróciliśmy się rozpakować, to córka, bawiąc się przed bungalowiem, dostrzegła jaskrawozielonego węża wpłzającego na krzak. Entuzjastycznie uwieczniliśmy go na zdjęciu, jednocześnie dowiadując się od obsługi hotelu, że był jadowity. Po tym doświadczeniu kazaliśmy dzieciom bacznie patrzeć pod nogi.

5–6 dzień. Perhentian

Przez kolejne dwa dni cieszyliśmy się żarem tropików, pysznym jedzeniem w hotelewej restauracji i orzeźwiająjącymi shake'ami mocca cafe. Razem z mężem skorzystaliśmy z oferty wycieczki dotyczącej snorklowania w 3 punktach: na rafie koralowej (fish garden), pływanie z żółwiami morskimi i pływanie z rekinami. Kosztowało to nas 25 zł od osoby i trwało około 2 godzin. Wszystkie ww. atrakcje gwarantowane!

Przykładowe ceny posiłków serwowanych przez „Flora Bay Resort”:

Musli owocowe – 8 zł – jedna miseczka spokojnie wystarczała dla dwójki dzieci i jeszcze my dojadaliśmy po nich:

- omlet – 8 zł,
- talerz owoców – 8 zł,
- herbata – 4 zł,
- shake – 7 zł (soki były niesmaczne, shake był pyszny),
- krewetki – 10 zł,
- makaron smażony z kurczakiem i warzywami – 7 zł,
- naleśnik – 7 zł,
- 1 smażone jajko – 1 zł,
- ryba – 13 zł,
- zestaw śniadaniowy (3 tosty, jajecznica, dżem, herbata) – 7 zł.

7 dzień. Perhentian – Taman Negara

Około godz. 9.00 po śniadaniu wypłynęliśmy z wyspy, by dotrzeć na czas na autobus do Taman Negara. My zjawiliśmy się w biurze, w którym kupiliśmy bilety, odpowiednio przed czasem. Przywitał nas sprzedawca i po wymienieniu z nami kilku słów zrobił niewyraźną minę. Wkrótce okazało się, że nasz obrotny biznesman sprzed 4 dni nie panował jednak nad interesami i sprzedał za dużo biletów na ten sam kurs. Za-

miast spędzić jeszcze kilka godzin na plaży, siedzieliśmy w miejscowym przydrożnym barze, czekając na kolejny autobus, który przyjechał późnym popołudniem. Do Taman Negara dojechaliliśmy około północy. Kierowca wysadził nas pod hotelem „TRV hotel”, w którym za pokój dwuosobowy z łazienką i ciepłą wodą oraz śniadaniem musieliśmy zapłacić 150 zł za noc (dopłata za materac 10 zł).

8–10 dzień. Taman Negara

Rano Tomek udał się na poszukiwanie tańszego noclegu, ale nie przyniósł dobrych wieści. Wiele miejsc było zajętych, a te, które zostały, były godne pożalowania: pokój dwuosobowy z zadaszeniem z eternitu, podłogą w postaci klepiska, bez łazienki (łazienkę stanowiło wiadro umieszczone w ustronnym miejscu) kosztował 100 zł. Wysoki sezon dał w kość naszym portfelom, ale chcąc nie chcąc zostaliśmy na 2 noclegi w naszym hotelu.

Dwa dni spędziliśmy na włączeniu się po parku Taman Negara. Wędrówki były banalnie proste, gdyż korzystaliśmy z wybudowanych pomostów. Treking w głąb dżungli to jeszcze nie była atrakcja dla naszych dzieci. Wstęp do parku dla rodziny czteroosobowej kosztował 5 zł, łódź – 1 zł za osobę w jedną stronę. Przeszliśmy po canopy walkway: 5 zł osoba dorosła, 3 zł dziecko. Szczęście w oczach mojej czterolatki, która maszerowała po mostach zawieszonych w koronach drzew na wysokości 70 metrów nad ziemią, zmusiło mnie do pokonania lęku wysokości i przejścia 280 metrów trasy. Moja rodzina twierdziła, że widoki były niezapomniane, mąż z wysokości dostrzegł potężną kobrę wygrzewającą się w słońcu.

Wybraliśmy się też na wycieczkę, by przyjrzeć się życiu wymierającego już plemienia Orang Asli. Kosztowało nas to 240 zł za 4 osoby. Do wioski doptywało się łodzią. Wszystkie nasze drogocenne rzeczy spakowano do worka. I ruszyliśmy. Łódź przełomym pokonywała tak, że zalewały nas fale wody. Dla dzieciaków (i nie ukrywajmy – dla nas też) była to dodatkowa atrakcja. Wysiedliśmy na brzeg mokrzy od stóp do głów, ale po 15 minutach całe ubranie było suche jak pieprz. Oczywiście dotarliśmy do plemienia, które miało kontakty z cywilizacją, bo ci, którzy ich nie mieli, byli dla nas niedostępni. Ale i tak opowieści przewodnika oraz możliwość nawet krótkiego obcowania z tymi ludźmi żyjącymi tak blisko natury było bardzo cennym doświadczeniem. Ciekawe, czy jak moje dzieci dorosną, to plemię będzie jeszcze istniało? Obawiam się, że zostaną im tylko zdjęcia...

11 dzień. Taman Negara – Cameron Highlands

Bilety na bus z Taman Negara do Cameron Highlands kosztowały nas 85 zł od osoby. Tańszą opcję stanowił przejazd do Jerantut i szukanie stamtąd transportu, ale nie chciało nam się tam tarabanić. W Cameron w miejscowości Tanah Rata mieliśmy wcześniej zarezerwowany przez agoda.pl pokój w Gerard House – pokój 3-osobowy ze śniadaniem za 130 zł. To była bardzo fajna miejscówka. W nowoczesnym mieszkaniu urządzono hotel. Co prawda, jedna łazienka była na 3 pokoje, ale międzynarodowemu towarzystwu i nam kompletnie to nie przeszkadzało. Do dyspozycji mieliśmy salon z telewizorem oraz kuchnię, w której samemu przyrządzało się śniadania. Właścicielka była bardzo obrotną kobietą, która udzielała wszelkich informacji, załatwiała wszelkiego typu bilety oraz wycieczki.

Należy pamiętać, że w Cameron Highlands trzeba wcześniej wynająć pokój i nie planować podróży w piątek. Wtedy to na weekend zjeżdżają się Malezyjczycy, korkując dojazd do tej krainy z każdej ze stron świata.

12–13 dzień. Cameron Highlands

Tu nie tylko hotel przypadł nam do gustu. Klimat miejscowości był rewelacyjny z temperaturą nieprzekraczającą 25 stopni, knajpką z pysznym hinduskim jedzeniem pn. „Kumar Restoran” oraz ogromnym wyborem owoców.

Aby zobaczyć pola herbaciane, nie można się było wybrać po prostu pieszo, jak to np. ma miejsce na Sri Lance, ale trzeba było wykupić wycieczkę za 25 zł od osoby i 15 zł od dziecka. W pakiecie oprócz ładnych widoków pól herbacianych mieliśmy dużo mniej ciekawy zestaw obowiązkowy: zwiedzanie farmy pszczół, rosarium, plantacji truskawek oraz fabryki herbaty, w której bez komentarza przewodnika oglądało się ludzką pracę, spoglądając przez pleksi.

14 dzień. Cameron Highlands – Kuala Lumpur

Bilety autobusowe do stolicy kosztowały nas 30 zł od osoby. Nasz zarezerwowany na booking.com pokój 4-osobowy w hotelu „Palmer's Guest House” za 50 zł ze śniadaniem okazał się bardzo kontrowersyjny. Jego niewątpliwą zaletą była cena oraz położenie: ulica, na której się mieścił – Hang Kasturi – była tuż przy food corner (tania i dobra kuchnia hinduska oraz chińska), Central Market oraz stacja kolejki. Rodzinny pokój był duży, ale Ewa gnieździła się w małym pokoju bez okna, który w dodatku dopiero co był malowany. Niezwykłe było to, że hotel przyjmował gości podczas remontu. Malowane były wszystkie pokoje, korytarz, drewniane podłogi i poręcze. Wszędzie było czuć farbę i trzeba było uważać, by się nie ubrudzić. Ale z uwagi na to, że ciągle byliśmy poza hotelem, to tak bardzo nam to nie przeszkadzało. Obsługa hotelu ciągle zapominała, że wykupiliśmy pokój ze śniadaniem. I dlatego też nieustannie musieliśmy się wykazywać asertywnością i przypominać, że nam się ono należy. Na szczęście odnosiło to skutek pozytywny.

15–17 dzień. Kuala Lumpur

W stolicy zostaliśmy na 3 noclegi. Po mieście poruszaliśmy się głównie kolejką (plany wszędzie dostępne) oraz wycieczkowym autobusem „hop-on-hop-off” – za 45 zł od osoby (dzieci gratis), korzystając z jednego biletu ważnego przez 24 godziny, mogliśmy wsiadać i wysiadać na dowolnych przystankach usytuowanych przy najważniejszych atrakcjach Kuala Lumpur. Z uwagi na to, że głównym hobby Malesyjczyków są zakupy, to po mieście można też poruszać się darmowymi autobusami jeżdżącymi między centrami handlowymi, które są wybudowane przy wielu innych atrakcjach. My z tego nie korzystaliśmy. Obejrzeliśmy ekspozycję Muzeum Miejskiego (wstęp gratis) przy Merdeka Square, w którym prezentowana była m.in. podświetlana makietka stolicy Malezji. Wielki Meczet był zamknięty z powodu remontu. Petronas Twin Towers podziwialiśmy w nocy i w dzień, nie korzystając z płatnego (95 zł) wjazdu na taras widokowy. Wjechaliśmy za to na Menarę – wieżę telewizyjną – 47 zł/22 zł. Cena była dosyć wygórowana, ale możliwość obejrzenia panoramy Kuala Lumpur ze sławnymi wieżami Petronas przeważała. I co zaskakujące – to było doskonałe miejsce na kupno pamiątek, gdyż było tanio.

Zrezygnowaliśmy z odwiedzenia drogiego Parku Ptaków (49 zł/ 38 zł) na rzecz bardzo ciekawej Motylarni za 20 zł/ 10 zł. Następnie udaliśmy się do Batu Caves (dojeżdża tam kolejka) z pominięciem Dark Cave (35 zł) i Art Galery (15 zł/7 zł).

18 dzień. Kuala Lumpur – Melaka – Kuala Lumpur

Dzień wcześniej kupiliśmy bilety autobusowe do Melaki za 13,60 zł. Rano mieliśmy pecha, bo zepsuła się kolejka i spóźniliśmy się na autobus. Musieliśmy kupić bilety na

kolejny autobus – były tańsze – 9 zł. Po 2 godzinach dojechalśmy do Melaki na Dworzec Sentral Melaka, skąd wsiadliśmy do autobusu nr 17, by w 20 minut dojechać do centrum Starego Miasta (Town Square lub Dutch Square) za 1,30 zł. Wracając, wsiadaliśmy na tym samym przystanku, ale autobus jechał o wiele dłużej – prawie 1 godzinę. Przez to ledwo zdążyliśmy na autobus powrotny do Kuala Lumpur.

W Melace zwiedzaliśmy kościoły i świątynię chińską, wędrowaliśmy uliczkami Starego Miasta, podziwiając architekturę kolonialną.

19 dzień. Kuala Lumpur – Kuching (Borneo)

Bilety lotnicze mieliśmy kupione już wiele miesięcy przez podróżą. Lecieliśmy liniami „Air Asia”. Stolica Malesji jest doskonale skomunikowana z lotniskiem. Z dworca Kuala Lumpur Sentral, wykupując bilet „KLIA to LCCT” za 12,50 zł/ 6.30 zł, jechaliśmy kolejką oraz autobusem na lotnisko. Przejazd zajął około 2 godzin. Wejście na odloty krajowe znajdowało się koło Mc Donalda. Formalności na lotnisku trwały dosyć długo.

Taxi z lotniska do centrum kosztowała 26 zł i cena nie była do negocjacji. W Kuching mieliśmy już zarezerwowany pokój 5-osobowy w „Tai Pan Hotel” za 35 USD. To była kolejna fajna miejscówka, gdyż tuż pod nami znajdowały się jadłodajnie z tanim i pysznym jedzeniem oraz biura podróży. Do końca dnia zwiedzaliśmy miasto, wędrując wzdłuż deptaku nad wodą w centrum miasta. Mieliśmy też szczęście odwiedzić przeważnie zamkniętą chińską świątynię.

20 dzień. Kuching – Park Narodowy Bako

Skorzystalismy z oferty jednego z biur podróży, gdyż okazało się, że dojazd do „Sarawak Cultural Village” na własną rękę (czyli taxi) kosztowałby nas tyle samo, a tak-sówkarz nie pełniłby roli przewodnika. Za 90 zł od osoby dorosłej (dzieci gratis, ale trzeba było to negocjować) dojechalismy do tego skansenu prezentującego domy, zwyczaje i kulturę plemion zamieszkujących Malesję. Zwiedzilismy to ciekawe miejsce wraz z przewodnikiem. W cenie był też bardzo interesujący pokaz tańców plemiennych – godz. 11.30 (drugi był wieczorem).

Po południu udalimy się na przystanek autobusowy (wskazany przez miejscowych), skąd mielibymy jechać do Parku Narodowego Bako. Autobus miał być za 30 minut. Po godzinnym wyczekiwaniu we wściekłym upale dalismy za wygraną i złapalimy taxi – 35 zł za kurs. Do przystani, skąd odpływały łodzie, dostalimy się w ostatniej chwili – na ostatnią łódź w tym czasie o godz. 17.00. Koszt łodzi w dwie strony wyniósł 94 zł. Wstęp do Parku – 20 zł, dzieci gratis. Bungalow (lub pokój/ łóżko) w Parku należało zarezerwować dużo wcześniej. Ja zamówilam go około pół roku wcześniej przez stronę internetową www.sarawakforestry.com. Do Parku można przyplłynąć tylko, gdy ma się rezerwację noclegu lub gdy wykupi się wycieczkę z biura podróży. Za 2 noce w domku z dwoma pokojami 3-osobowymi i łazienką zapłacilismy 318 zł. W ośrodku była stołówka z przyzwoitymi cenami posiłków. Jak zwykle w takich miejscach, dosyć droga była woda mineralna (cena dwukrotnie wyższa od normalnej). Bardziej zapobiegliwi turyści przywozilili ze sobą do Bako zgrzewki wody mineralnej i napoje w puszkach.

Wieczorny spacer po plaży wśród małych i dzików zaowocował wykupieniem wycieczki na tzw. nocne safari po Parku – 10 zł/ 5 zł. Była to ponad dwugodzina piesza wyprawa z przewodnikiem, całkowicie bezpieczna dla dzieci i ... ciekawa tylko dla nich. Nie spotkalimy żadnych dzikich ssaków, tylko tarantulę, patyczaki, 2 jadowite węże i dwucentymetrową żabę. Ale dla dzieci nocny spacer po dżungli był nie lada atrakcją.

21 dzień. Park Narodowy Bako

Cały dzień poświęciliśmy na wędrówki szlakami. Wrażenia niezapomniane! Dzieci jak kozice pokonywały korzenie i skały. Często słyszeliśmy buszujące wśród drzew nosacze, ale nie mogliśmy ich dostrzec. Jak tuż przed zachodem słońca dotarliśmy do naszego bungalowu, to okazało się, że żerowały sobie na drzewie tuż przy nim. Mieliśmy okazję podziwiać te niezwykle małpy z bardzo bliskiej odległości.

Dostępne trasy turystyczne okazały się dość zróżnicowane pod względem trudności, jednak każdy w zależności od predyspozycji i sił mógł dobrać coś dla siebie. Można też było wynająć przewodnika – nie skorzystaliśmy. W Parku panowała dość duża wilgotność. Obsługa odradziła nam kąpiel na pobliskiej plaży z uwagi na obecność na dnie niebezpiecznych płaszczek.

22 dzień. Park Narodowy Bako – Kuching

Z wielką niechęcią upuściliśmy to niezwykle miejsce – na naszej liście malezyjskich atrakcji – absolutne „must see”. Wróciliśmy do naszego wypróbowanego hotelu w Kuching, by po południu (na godz. 15.00) wreszcie wybrać się do miejsca, które przywiodło mnie na Borneo – do „Semengoh Orangutan Sanctuary”. Wycieczka do Centrum Rehabilitacji Orangutanów kosztowała 75 zł/ 37,5 zł. Obecność dzieci okazała się problematyczna. Małpy nie lubią dzieci z uwagi na ich hałaśliwość i nieobliczalność, stąd mogą je zaatakować. Ale pragnienie realizacji marzenia zobaczenia w naturalnym środowisku zagrożonych wyginieciem orangutanów było tak przemożne, że nie zrezygnowaliśmy z odwiedzenia tego miejsca. Po prostu przestrzegaliśmy dzieciaki, że kategorycznie mają być cicho, nie mogą się kłócić i płakać. Dzieci rozumiały powagę sytuacji.

Zaprowadzono nas do miejsca w środku dżungli (takich miejsc było tam kilka), w którym dokarmiano orangutany przystosowywane do życia na wolności. Tam mogliśmy zostać tylko godzinę. Po 30 minutach oczekiwania jak już prawie wszyscy straciliśmy nadzieję, a córka zaczęła się niecierpliwić, przybyła samica z miesięcznym maleństwem. Ten widok uczonego maminego futra oseska rozczulił wszystkich. Czas wizyty dobiegł końca, a tu nikt nie chciał odejść. Na szczęście w drodze powrotnej w innym miejscu mieliśmy okazję obejrzeć kolejną troskliwą małpią mamę z jej dzieciątkiem. Czas pobytu w tym wzruszającym miejscu został znacznie przekroczony.

Do Semengoh najłatwiej było się dostać taksówką lub wziąć wycieczkę, która równała się cenie taxi. Autobus miejski nie dojeżdżał do tego miejsca, zatrzymując się ponad 2 km przed rezerwatem.

23 dzień. Kuching – Miri

Tym razem do Miri lecieliśmy liniami Malaysia Airlines, gdyż bilet lotniczy kilka miesięcy wcześniej udało nam się kupić taniej niż bilet autobusowy na tej trasie. Lot trwał 1 godzinę, a przejazd autobusem zabierał około 10–12 godzin. Z lotniska za 29 zł dojechaliśmy taksówką do hotelu „Coco House” (za 2 pokoje i 2 noce ze śniadaniem zapłaciliśmy 71 USD).

W planach mieliśmy zwiedzić jaskinię Niah. Aby je sprawnie zrealizować, zdecydowaliśmy się znowu na taxi – 300 zł za kurs w dwie strony. Dojazd w jedną stronę zajął 1,5 godziny. Wstęp do Parku kosztował 20 zł (dzieci gratis). Następnie musieliśmy przepłynąć łodzią przez rzekę (cena 1 zł/ 0,50 zł) i przejść około 3 km przygotowaną trasą (chodnik) przez dżunglę. Jak wyruszyliśmy o godz. 11.30, to wróciliśmy z powrotem do samochodu o godz. 16.30. Jaskinia Niah należąca do największych na świe-

cie była przepiękna, o niesamowitych kolorach i strukturze skał. Z uwagi na to, że żyją tam miliony nietoperzy, oczywiście mieliśmy być potraktowani ich odchodami. Kwestią sporną miało być tylko, kto będzie pierwszy, a to że będzie, było pewne. Jeśli tak na to patrzeć, to wróciliśmy nieco „rozczarowani”, gdyż nikt z nas nie został naznaczony. Do zwiedzania jaskini konieczne były własne latarki. Część trasy wiodła przez całkowite ciemności, pozbawione sztucznego oświetlenia. Do robienia zdjęć warto zabrać statyw ze względu na długi czas naświetlania zdjęć. W jaskini było gorąco i parno. Nie trzeba było zabierać ciepłej odzieży.

24 dzień. Miri

Zrezygnowaliśmy z horrendalnie drogiej (przemnożyć przez liczbę osób) farmy krokodyli – cena 68 zł / 34 zł. W zamian postanowiliśmy wypocząć na plaży o romantycznej nazwie Hawaii Beach. W tym celu udaliśmy się na pobliski dworzec autobusowy. Czekając koło godziny na lokalny transport, już prawie nieprzytomni od spalin, resztką sił zaczęliśmy szukać powoli znieawidzonych wyciągaczy pieniędzy, czyli taksówkarzy. Negocjacje zajęły nam dobre 30 minut, w tym czasie nie podjechał żaden autobus, a miejscowi też zaczęli umykać w stronę taryf. Za 30 zł dojechaliliśmy do celu i umówiliśmy się z kierowcą na godzinę powrotu.

Plaża była piaszczysta, szeroka i absolutnie pusta. Byliśmy jedynymi plażowiczami. Morze w tym miejscu nie było przejrzyste. Mąż ochoczo wskoczył do ciepłej wody i równie ochoczo z niej wyskoczył. Okazało się, że miał bliskie spotkanie ze sporej wielkości krabem, który użarł go w nadgarstek. Zatem resztę dnia spędziliśmy jedynie na kąpielach słonecznych. Dopiero po południu zorientowaliśmy się, że zostaliśmy pogryzieni przez małeńkie muchy. Nikt z nas nie czuł, jak nas kąsały, ale później jeszcze wiele dni odczuwaliśmy swędzące skutki tego owadziego proceduru.

Powrót do hotelu też okazał się mało przyjemny, bo nasz taksówkarz zażądał więcej niż się z nami umówił. Ale swego zamiaru nie zrealizował. Wieczorem postanowiliśmy się wybrać na spacer po mieście. I tym razem spotkało nas wielkie zaskoczenie – recepcjonistka z naszego hotelu odradziła nam wieczorny spacer, ostrzegając, że nie jest bezpiecznie. Nie dowierając jej do końca, ziściliśmy nasze plany, obserwując, jak około godz. 19.00 wszystkie sklepy i lokale były zamykane z hukiem opadających krat, a miasto błyskawicznie pustoszało. Poszliśmy w ślady miejscowej ludności i zaszyliśmy się w hotelowej restauracji, dogadzając kubkom smakowym.

25 dzień. Miri – Singapur

Przełot liniami Air Asia do Singapuru odbył się sprawnie. Z lotniska w Singapurze, korzystając z taxi, dojechaliliśmy za 19 SUSD do dzielnicy Little India, w której mieliśmy zarezerwowany pokój w hostelu „Footprints Hostel” na ul. Perak 25 A (193,48 USD za 2 noce w pokoju 5-osobowym ze śniadaniem). Było tam czysto, przyjemnie i co najważniejsze – po wymeldowaniu mogliśmy zostawić bagaże (za darmo), udając się na całodzienną wояażę, a następnie skorzystać z prysznicza przed wylotem do Polski (także za darmo).

Singapur przywitał nas deszczem, który towarzyszył nam, z przerwami, przez cały pobyt tam. Poruszaliśmy się metrem (około 0.30 SUSD za przejazd 1 stacji, dzieci do 120 cm gratis). Wjechaliliśmy na taras widokowy Marina Bay Sands – 20 SUSD/ 14 SUSD. Wieczorem obejrzeliśmy pokaz laserów z Marina Bay Sands, który był najlepiej widoczny z Merlion Park (na wybrzeżu za Fulerton Bay Hotel). Pokazy odbywały się: niedziela–wtorek: godz. 20.00, 21.30; poniedziałek, środa – sobota godz. 20.00, 21.30, 23.00.

Adam Stępiński

Maleldo – Wielkanoc na Tajwanie i Filipinach



Bardzo lubię podróżować do Azji, zachwyca mnie jej zróżnicowanie kulturowe, dlatego w kolejnej, samotnej wyprawie postanowiłem odwiedzić kraje, w których odmienne są religia i poziom cywilizacyjny, poza tym chciałem uczestniczyć w Maleldo – uroczystościach wielkotygodniowych na Filipinach. Pan Paweł z biura AeroCenter w Warszawie, przy ul. Nowolipki 21/49, wyszukał dogodne połączenia, loty z Warszawy do Hong Kongu i Taipei oraz z Manili do Hong Kongu, Frankfurtu i Warszawy, generalnie za bilet w Catay Pacific, zapłaciłem 3500 PLN. Warunki podróży w klasie ekonomicznej były komfortowe.

Termin: 26 lutego do 4 kwietnia 2013 roku bardzo dogodny, na Tajwanie wiosna w pełni, kwitną wiśnie (sakura), rododendrony, kalle i lilie, które są ich narodowymi kwiatami. Na Filipinach pora sucha, jeszcze przed upałami, uroczystości Wielkiego Tygodnia.

Trasa: Warszawa – Amsterdam – Hong Kong – Taipei – Yeliou – Haulien – Kenting – Tainan – Alishan – Sun Moon – Lugang – Taipei – Clark (Manila) – Puerto Princessa – Cebu – Bohol – Cebu – Masabate – Pilar – Manila – San Fernando Pampanga – Baguio – Sagda – Botoc – Batad – Banaue – Manila – Hong Kong – Frankfurt – Warszawa.

Pieniądze: bardziej przydatne dolary amerykańskie USD, kurs zmienny, trzeba sprawdzić w Internecie. 1 USD ok. 30 dolarów tajwańskich (TWD). Na Filipinach: 1 USD ok. 40 peso (P).

RELACJA Z PODRÓŻY

27 lutego

Przed południem przylot do Taipei, dojazd do centrum miasta autobusem nr 2061 (90 TWD). Z hali przylotów trzeba zejść w dół, zgodnie ze strzałkami, wprost do kas różnych linii autobusowych; warto zorientować się w cenach biletów, zaczynają się od 85 TWD, wszystkie autobusy z lotniska jadą do centrum ponad godzinę i kończą trasę na dworcu autobusowym, który jest bardzo blisko Centralnego Dworca Kolejowego (Taipei Main Station). Zarezerwowałem nocleg w hostelu TaiwanMex (taiwanmex@hotmail.com), do którego jest ok. 10 minut piechotą, należy przejść kładką od północ-

nej strony dworca, obok miejskiego dworca autobusowego, skrócić w pierwszą ulicę w lewo, dojść do świateł i zaraz za nimi po lewej stronie brama do hostelu. Nocleg ok. 8 EUR, kawa, herbata gratis, pokoje, a raczej klitki, jednoosobowe i dwuosobowe bez okien. Obsługa bardzo miła, mają jeszcze kilka pokoi w innym budynku na Mua Ying Stret, przy której mieści się Muzeum Sztuki Współczesnej.

Leje deszcz, wchodzę do hostelu całkowicie przemoczony, padam, zmęczony długą podróżą. Po południu w banku wymieniam pieniądze, zwiedzam Muzeum Sztuki Współczesnej, wstęp gratis dla emeryta, w barze „50” za 50 TWD można wybrać porcję mięsa np. udko kurczaka, ryż i trzy rodzaje warzyw oraz nalewać sobie zupę do miseczki w dowolnych ilościach. W hostelu jest darmowy dostęp do Internetu.

28 lutego

Obok bramy hostelu jest wejście do stacji metra Zhongshan, jadę kilka stacji do Shlin, wychodzę wyjściem 5 na przystanek autobusu nr 30 lub nr 14 do National Palace Museum, wstęp 160 TWD; nie uwzględniają żadnych praw do zniżek, ale to przecież najbogatsze muzeum sztuki chińskiej: kilka sal z porcelaną, brązami, cudernkami z jadeitu; ustawiają się kolejki zwiedzających do poszczególnych ekspozycji. Wszedłem o 10, zaraz po otwarciu, potem pewnie jeszcze większe tłumy. W każdej sali folderki po angielsku; kilka godzin podziwiam te skarby. Boczny wejściem wchodzę do parku przy muzeum, chcę odpocząć, przed słońcem chronią charakterystyczne chińskie altanki, podziwiam wodne kaskady, fontanny i kwiaty, tu wiosna w pełni, dziś jest piękna, słoneczna pogoda. Czerwoną linią metra, tą samą, którą przyjechałem, dojeżdżam do Mauzoleum Czang Kai-Szeka, jest częściowo w remoncie, ale dostępne muzeum (wstęp gratis), w którym zgromadzono osobiste pamiątki oraz limuzynę, odtworzono gabinet faktycznego twórcy współczesnego Tajwanu. W pięknym parku Teatr – Opera Narodowa, Filharmonia, budowle w stylu chińskim. Spacerem idę w stronę Pałacu Prezydenckiego, oglądam historyczne gmachy, które powstały w okresie okupacji japońskiej. Docieram do świątyni Longshan, w której odbywają się uroczystości religijne, obok jest najstarsza uliczka w Taipei, w niewielkich kamieniczkach są kawiarenki, sklepy z pamiątkami. Idę w stronę Czerwonego Domu (Red House), młodzież czeka na koncert swojego ulubieńca. Dochodzę do Bramy Północnej, od której prosta droga do Main Station i mojego hostelu.

1 marca

Przystanek autobusu nr 260 (30 TWD) znajduje się od strony północnej dworca, ok. godziny i jestem w PN Yangmingshan, idę do Centrum Informacji, pytam o możliwość taniego noclegu, niestety brak hostelu lub pensjonatu; wracam do Taipei, z dworca autobusowego jadę do Kellungu (40 TWD), a potem A-970 do Yeliou. W jednym z budynków na terenie szkoły, obok informacji i kas biletowych PN mieści się schronisko, nie jest oznakowane. Pokój z łazienką 300 TWD, automat z gorącą wodą w holu. Kupuję zniżkowy bilet (25 TWD) na legitymację PTSM (HI). Tłumy niewyobrażalne! Postanawiam zacząć zwiedzanie jutro rano, a teraz idę obok portu do Wielbłądziej Skały; w pobliżu inne fantastycznie ukształtowane kamienie, w niezwykłych kolorach, jakby ktoś krówką ciągutką oblepił skały. Oj, chyba muszę iść na kolację.

2 marca

Ok. 8 idę do PN Yeliou, aby zobaczyć skalne grzyby; pada deszcz, wieje silny wiatr, jeszcze wcześniej, ale już są autokary z wycieczkowiczami. Wiatr i wilgotna mgła przy-

pominają, kto jest sprawcą tych niezwykłych tworów. Odnajduję panterę, głowę księżnej, smoka, but itd., ale mnie zachwycają wyraźne rysunki kwiatów, jakby złożone z muszelek, a to zastygłe w lawie rozgwiazdy, które zachowały żywe kolory!

Wracam do schroniska po plecak, potem ok. 0,5 km do głównej drogi, autobusem nr 970 do Kellungu, z którego jest autobus nr 971 do Bitou Geogical Park. Oglądam ciekawe formacje skalne, centrum dydaktyczne i rekreacyjne. Już po południu, jadę do Sauo, niewielkiego miasteczka, nadmorskiego kurortu, w przydworcowym barze zjadam obiad i tym razem pociągami, bilet 450 TWD, ok. 3 godz. dojeżdżam do Haulien. Po wyjściu z dworca, po prawej stronie osobny budynek Informacji Turystycznej, podają mi adres Hostelu Amigos, który bardzo polecam, 400 TWD łóżko w dormitorium, kawa, herbata gratis, śniadanie wliczone w cenę noclegu, zaledwie 10 minut piechotą od dworca.

3-4 marca

Przed dworcem po prawej stronie są kasy i stanowiska autobusów Taroko Tourist Shuttle, opłaca się kupić 1-Day Pass za 250 TWD, można wsiadać i wysiadać na dowolnych przystankach. W autobusie dostępne mapki trasy i atrakcji w pobliżu danego przystanku. W folderze, dołączonym do biletu, są podane godziny odjazdu z poszczególnych miejsc; kursy zaczynają się od 7.50 ostatni odjazd o 17.00 z Tianxiangu. Tyle jest do zobaczenia, że trudno zmieścić się w jeden dzień, ewentualnie można nocować w Youth Activity Center, blisko kościoła katolickiego, schronisko HI bardzo drogie, jest to raczej ekskluzywny hotel. Jako pierwszy przystanek proponuję Taroko Park. W Visitor Center można zasięgnąć nie tylko informacji, ale też zwiedzić muzeum, w którym zapoznają się z kulturą materialną plemion, które kiedyś zamieszkiwały te tereny. Polecam spacer wzdłuż strumienia, który płynie dnem bardzo głębokiego kanionu, dojsz do Buluowan, zejść z drogi i iść wzdłuż strumienia, najciekawsza trasa wiedzie do Tunel of Nine Tums, odcinek skalnego tunelu ze starą drogą jest zamknięty, ale ja go przeszedłem bezpiecznie do Lushi. Atrakcje: przejście wiszącym mostem i ścieżką ponad zsośa i przeciskanie skalnym tunelem. **Uwaga!** warto mieć ze sobą latarkę!

Z ostatniego przystanku autobusu w Tianxiangu można dojsz do Xiang De Temple, polecam obowiązkowo wycieczkę do wodospadów, kilka z nich znajduje się w jaskiniach! (Water Cutratin) **Uwaga!** konieczna latarka i peleryna. Wracając lub zaczynając wycieczkę, trzeba zatrzymać się w Changchun, jest tu kilka świątyń buddyjskich; najbardziej fotogeniczna Eternal Spring Shirine, doskonale widoczna z drogi.

5 marca

Kupiłem bilet na pociąg do Fangshan (570 TWD), nie uwzględniają praw do zniżek, bilety bez miejscówki są w tej samej cenie co z miejscówkami, pasażerowie respektują numery miejsc. Przed dworcem w Fangshan są przystanki autobusów do Kenting (180 TWD). Zatrzymałem się w Kenting Youth Hostel, tuż przy przystanku autobusów, blisko bramy do PN, 300 TWD bez śniadania, pokoje czteroosobowe, bardzo czysto, ale smrodek grzybiczy! Idę na spacer nad Ocean Spokojny, na plażę, jest ciepło, można się rozebrać i opalać, ale kąpiel tylko na plaży strzeżonej za Rock Chuanfan, przy której jest Blue HI Hostel, wstęp 30 TWD. Zauważyłem, że w miasteczku jest bardzo duży wybór noclegów, przy głównej ulicy restauracje i wózki z tanim jedzeniem.

6 marca

Wybieram się do Kenting National Forest Recreation Area. 80 tys. lat temu było tu dno oceanu, koralowce zbudowały gigantyczną rafę. Zmiana klimatu, czynniki geolo-

giczne i atmosferyczne spowodowały powstanie jaskiń z stalaktytami i stalagmitami. Niesamowity jest spacer korytarzami między koralowymi skałami, przeciskanie się przez szczeliny w jaskiniach. Przypominają się mi świątynie w Angkor w Kambodży, ale tu korzenie drzew wrastają w rafę, tworzą kompozycje zupełnie abstrakcyjne. Trzeba jednak uważnie chodzić, co chwila są ostrzeżenia przed wężami, niestety, jeden z nich wypełził na ścieżkę, którą szedłem, miał ok. 1,5 metra długości, zielony, raczej wypasiony. **Uwaga!** chyba dobrze wybrać się w zakrytych butach, ja spaceruję w sandałach. Docho-
dzę do wysokiej wieży, rozpościera się widok na okoliczne wzgórza, ocean i przylądek z latarnią morską. Wracam zachwycony spacerem po dnie oceanu; po krótkim odpoczynku i kąpeli w hostelu idę na plażę, jak zawsze patrzę oczarowany na zachód słońca.

7 marca

Idę wzdłuż plaży do Nauwan Visitor Center, oglądam wystawę o historii i przyrodzie Kenting NP. Informują mnie, że z Hengchuen o każdej równej godzinie, od 9,00 kursują autobusy niebieskiej linii do Moobitou, okazuje się jednak na dworcu, że informacja jest nieaktualna, próbuję stopem dostać się na przylądek, który tworzą rafy już obumarłe. Uczynny młody człowiek zatrzymuje się i podwozi mnie do wjazdu na parking, parkuje kilkanaście autokarów z młodzieżą szkolną, chociaż miejsce nie jest tak atrakcyjne, jak je przedstawiają foldery turystyczne, po prostu rozległy widok na Ocean Spokojny. Zachęcony informacjami z przewodnika idę do Kenting Hi Word; jest to bardzo nowoczesny ośrodek naukowy i dydaktyczny, można poznać procesy geologiczne, które spowodowały powstanie raf i podwodnych skał. Dostępne do zwiedzania oceanarium z odtworzoną rafą, pełną bajecznie kolorowych rybek. Latem, a nawet teraz, są rejsy stateczków ze szklanym dnem; według mnie, aby nurkować, woda jest jednak zbyt zimna. Kiedy wychodzę do głównej drogi, zatrzymuje się motocyklista i podwozi mnie pod mój hostel. Późniejszym popołudniem idę na plażę, aby odpocząć i pożegnać słońce, które kolejny dzień było mi bardzo życzliwe.

8 marca

Jadę do Hengchuen, aby zwiedzić to stare miasto; zachowane są mury obronne, po których można spacerować, bramy, najciekawsza północna, przez którą wjeżdża się z Kentingu. Najbardziej efektowna baszta, nadbudowana stylowym pawilonem jest właśnie w remoncie. Uzyskuję zniżkę na bilet w autobusie, który dowozi mnie do Gaioxiongu, ogromnego, wielomilionowego miasta. Blisko dworca autobusowego, na który przyjeżdżam, jest dworzec kolejowy, z którego jadę do Tainanu, miasto przez kilkadziesiąt lat było stolicą Tajwanu. Znajdują się w nim zabytkowe świątynie, Muzeum Narodowe Literatury, modernistyczne budynki, które powstały w czasie okupacji japońskiej. Znajduję nocleg w samym centrum w Fugi Hostel (fugitainan@gmail.com). Wszystkie ważniejsze zabytki mam w zasięgu ręki, a raczej nóg.

9 marca

Najbliżej hostelu jest Muzeum Narodowe Literatury, nazwa trochę myląca, oczywiście zobaczymy fantastycznie kaligrafowane teksty, przyrządy do pisania, ale zapoznamy się również z historią gmachu, który jest okazały i stanowi ciekawe połączenie dawnej i współczesnej architektury, możemy obejrzeć zdjęcia historycznych budowli i ulic Tainanu. Za muzeum zaczyna się dość rozległy park, w którym znajduje się kompleks świątyni konfucjańskiej, najstarszej w mieście i chyba na Tajwanie, z roku 1664, do tej świątyni należy wykupić bilet, do innych wstęp jest bezpłatny. W okolicy do zwiedze-

nia stara szkoła japońska i muzeum Yeh-Shyr-Tau najbardziej znanego pisarza Tajwanu. Wymieniam pieniądze w banku, którego architektura nawiązuje do egipskich piramid i świątyń, eklektycznych, okazałych budowli znajdziemy więcej, w niektórych znajdują się ośrodki kultury z ciekawymi wystawami. Pomędzy reprezentacyjnymi budynkami, w bocznych uliczkach, jest kilka świątyń, ciekawsze są taoistyczne i buddyjskie, ze względu na bogate wnętrza i piękne rzeźby. Ważnym zabytkiem jest Chihkan Tower, faktycznie to najstarszy w tej części Azji uniwersytet, obecnie muzeum, ciekawe stele z nazwiskami profesorów i absolwentów, do obiektu wykupuje się bilet. W Tainianie są również kościoły chrześcijańskie, m.in. katolicki.

10 marca

Na dworzec kolejowy z hostelu jest również niedaleko, kupuję bilet do Chiayi (139 TWD). Wychodząc z dworca, trafiam na przystanek autobusu do Alishon, jadę ok. 40 minut, chociaż cały czas pod górę, widać coraz wyższe góry, najwyższe osiągają prawie 4000 m n.p.m. Dojeżdżam do bramy PN i wjazdu do miasta, należy zapłacić 150 TWD, ale uwzględniają mój wiek i płacę 10 TWD. Zaraz za bramą, w lewo odchodzi droga do strefy hotelowej, pierwszy budynek po lewej stronie to schronisko katolickie, płacę 400 TWD, bez śniadania, warunki spartańskie, sale wieloosobowe, zimno! Wybieram się na spacer po najbliższej okolicy, muszę przekroczyć kolejną bramkę i okazać bilet wstępu do PN. Piękną, widowską drogą dochodzę do parku, kwitną wiśnie (sakura), magnolie, rododendrony oraz kwiaty rabatowe, podchodzę do Zhaoping Station, ale nie mam ochoty na przejażdżkę kolejką wąskotorową, chcę spacerować po bardzo starym lesie, pnie drzew dwutysięcznych i starszych (!!!) tworzą fantastyczne kompozycje, można wchodzić do niektórych pni, przechodzić pod nimi, spacerować pomiędzy – niesamowite wrażenie! Dochodzę do końcowej stacji kolejki, tuż przy torach leży pień „świętego drzewa”, miało trzy tysiące lat! Zauroczony wracam w stronę parku, z punktu widokowego obserwuję zachód słońca, skaliste góry różowieją i bardziej różowe są kwiaty wiśni (Yoshino Cherry). Musicie tu przyjechać! Alishon jest na wysokości naszych Rysów, w pokoju jest więc zimno, zakładam na siebie wszystko, co mam ciepłego do ubrania, przy łóżku stawiam termos z gorącą herbatą.

11 marca

Hura, nie zamarzłem! Spałem znakomicie, ale przed 8.00 idę do lasu, tym razem zaczynam spacer od „drzewa trzech pokoleń” i przemierzam Trasę Gigantów, tych największych drzew jest ok. 30, są to Czerwone Cedry Tajwańskie (*Chamaecyparis Formosensis*), tłumaczenie z angielskiego. Pnie drzew mają po kilkanaście metrów obwodu i sięgają kilkudziesięciu metrów wysokości! W takim miejscu jeszcze nie byłem, widziałem wiekowe dęby w Polsce, ogromne sekwoje, stare sykomory, fikusy (baniany), ale te endemiczne cedry (właściwie Cyprysiki Tajwańskie) są absolutnie niezwykłe!!! Wracając do schroniska, przechodzę obok Muzeum i Alishon House, który należał do japońskiej rodziny cesarskiej. Oglądam Shoujhey Temple, ale dla mnie ciekawsze są endemiczne rododendrony (Tajwan Alpinie Rododendron), fioletowe grona kwiatów Purplevine i piękne Tajwan Pleione (endemiczny gatunek storczyka).

Około 13.00 mam bezpośredni minibus do Lake Moon. Po drodze zatrzymujemy się przy wytwórni miejscowego alkoholu i słodczy z soku winogron oraz innych owoców. Oczywiście częstują gości tymi specjałami. Około 16.00 jestem na miejscu; w Shushe Pier brak taniej bazy noclegowej, 600 TWD to najniższa cena za pokój w hotelu.

12 marca

Wstaję rano i idę na spacer nadbrzeżną promenadą, prowadzi ona dokoła jeziora, jej przejście wymaga całego dnia, a ja mam o 11.25 autobus do Taichungu. Docho-
dzą do altany, którą ufundował Czang Kai-Szek, obok stoi rozeschnięta łódka, któ-
rą pływał po jeziorze, z daleka widać pagodę, też był jej fundatorem. Na nabrzeżu
w porcie kupuję okazynie bilet na rejs stateczkiem, zamiast 300 TWD płacę 50 TWD.
Opływa się Lalu Island i przybija do Xuanzong Temple, można ograniczyć się do jej
zwiedzenia lub autobusem pojechać do świątyni z pagodą, którą widziałem z brze-
gu. Dalej statek płynie do portu, z którego zaczyna się trekking Than Lakeside Tra-
il, bilet jest ważny cały dzień, na jego odwrocie jest mapka i godziny rejsów. Muszę
wracać do portu. Ok. 13.00 dojeżdżam do Taichungu, informują mnie, że do Taichun-
gu Youth Hostel (HI) powinienem dojechać metrem do Taiynan. Przygodny pasażer
pomaga mi kupić bilet w automacie za 520 TWD; trochę się dziwię wysokiej cenie
przejazdu, ale kolejarze potwierdzają prawidłowość kupionego biletu. Okazało się
jednak, że przejechałem ok. 200 kilometrów szybkim pociągiem (do 300 km/h) i zna-
lażem się w mieście, którego nazwa pisana po angielsku jest identyczna do nazwy
dzielnicy Taichungu. Wróciłem do miejsca wyjazdu, zwrócono mi za bilety i przepro-
szono za udzielenie błędnych informacji przez kolejarzy; moje rozmowy z nimi zosta-
ły zarejestrowane przez kamery. Tym razem zapłaciłem 18 TWD, przejechałem trzy
stacje do dworca miejskiego i dalej autobusem nr 15 dojechałem pod samo schro-
nisko, nie uwzględniono zniżek PTSM (HI), niestety w jego bliskiej okolicy brak skle-
pów i barów, ale spacer dobrze mi zrobi.

13 marca

Zdecydowałem się na nocleg w schronisku, ponieważ ma bezpośrednie połącze-
nie z dworcem kolejowym i autobusowym, a cena 350 TWD jest przystępna. Zapła-
nowałem zwiedzenie Lugangu, w którym podobno brak taniej bazy noclegowej, a bi-
lety autobusowe, ze zniżką, z Taichungu są tanie, cała podróż wyniosła mnie poniżej
100 TWD. Lugang jest najstarszym miastem Tajwanu, a kamieniczki kupców chińskich
pochodzą z XVIII wieku, mieszczą się w nich sklepy z pamiątkami i kawiarenki. Moż-
na zwiedzać świątynie taoistyczne i konfucjańskie. Autobus z Lugangu przyjeżdża pod
dworzec kolejowy w Taichungu, zorientowałem się, że mogę kupić bilet dla seniora do
Taipei za 155 TWD, a więc kupuję go na 15 marca.

14 marca

Dzień poświęcam na spacer po leśnych parkach i okolicznych wzgórzach. Warto
zacząć od Hepingidizhen Park, początek trasy wśród straganów, jeden szlak odchodzi
w prawo po schodach, jest bardzo stromy, wybieram ten w lewo, pod szczytem szla-
ki łączą się, można więc schodzić tym bardziej stromym, ale na razie proponuję bez-
płatne śniadanie, serwowane przy świątyni, o ile będziecie do 9.00, potem dostępny
jest wrzątek, a nawet herbata, oczywiście zielona. Wracając do schroniska, przed Uni-
wersytetem Technicznym w lewo pod górę biegną schody do świątyni buddyjskich, są
to nowe obiekty, ale bardzo stylowe, z wieży widokowej rozległa panorama okolicy.

15 marca

Bez problemów autobusem nr 15 dojeżdżam na dworzec, umieszczają mój багаж
w luku autobusu, jest kilka minut do odjazdu, idę więc do toalety, kiedy wychodzę,
widzę, że mój autobus odjeżdża, zdenerwowany wpadam na dworzec, dzwonią gdzieś

i mnie uspakajają. Wsiadam w następny autobus, który zatrzymuje się na przystanku w centrum miasta, donoszą mój plecak i już spokojny mogę jechać do stolicy. Pamiętam doskonale drogę do hostelu, więc nie błędzę, zostawiam bagaż i idę do mojej ukochanej knajpki „50”, a potem do Muzeum Narodowego, z Main Station (od strony południowej) jest prosta droga, do zamknięcia została godzina, a więc wstęp jest bezpłatny. Interesująca ekspozycja słynnej Mumii z Pekinu, a zatem nawiązują współpracę? Wnętrza ciekawe ze względu na architekturę z początku XX wieku. Za muzeum rozciąga się bardzo zadbane park, znajduje Muzeum Pamięci, jest już zamknięte, ale obok gmachu na tablicach są nazwiska poległych bohaterów i ich fotografie. Wychodzę z parku i odnajduję kolejne, ciekawe budynki z okresu okupacji japońskiej. Wracam do hostelu ulicami pięknie oświetlonymi, w kawiarniach dużo młodych ludzi.

16 marca

Autobusem nr 260 jadę do PN Yangmingshan, tym razem wybieram trasę w stronę Datun Nature Park, oglądam wodospady, trafiam do doliny białej od kwitnących kalli, ale kusi mnie góra, która jest wulkanem, na zboczach można zobaczyć fumarole, a w kraterze turkusowe jezioro. Idę coraz wyżej, zmienia się roślinność, brak drzew, które wycieli japońscy okupanci, podziwiam „srebrną trawę”, bardzo wysokie jej kępy tworzą korytarz, w którym po kamieniach pnie się wyżej i wyżej. Na sam szczyt wejść nie można, ponieważ znajdują się na nim przekaźniki i radary wojskowe. Schodzę w inną stronę, wprost na niewielkie jezioro, potem dochodzę do autobusu, którym dojeżdżam do metra – jego stacja jest przy moim hostelu. Szlaków w PN jest dużo, można po nich wędrować zależnie od czasu czy kondycji.

17 marca

Zjadam spokojnie śniadanie, spacerkiem idę na dworzec autobusowy, za 90 TWD kupuję bilet na lotnisko, lot do Clarku na Filipinach mam o 14.00 Za bilet zapłaciłem 41 EUR w AirAsia. Pobyt na Tajwanie był bardzo udany, zachwycała mnie przyroda, kultura i uczynność ludzi oraz łatwość podróżowania.

FILIPINY

17 marca

Łąduję ok. 17.00 w Clark, dawnym, wojskowym lotnisku, dlatego teren przyległy do portu lotniczego jest ogrodzony, ale podobno dojeżdżają jeepneje, którymi można dojechać do autobusu, jadącego do centrum Manili. Przy wyjściu do miasta po prawej stronie jest stanowisko, gdzie sprzedają bilety do centrum stolicy i na Terminal 3, za 450 P. Okazuje się, że lotnisko, z którego jutro polecę na Palawan, jest w mieście, robię więc zakupy spożywcze i zjadam kolację w ulicznej knajpce. Decyduję się spędzić noc na lotnisku, ponieważ lot mam jutro o 8.00, a trzeba być wcześniej. Do tej pory spałem w hotelach, a więc na jedną noc nieprzespaną mogę sobie pozwolić. W informacji proponują mi nocleg w hotelu, z którego po mnie przyjadą i jutro mnie przywiozą na lotnisko, pokój ma kosztować 1000 P. Widzę strzałki do komfort room, pewnie to luksusowa poczekalnia, wygodne, rozkładane fotele... ale okazało się, że w ten sposób Filipińczycy określają toalety. W hali odlotów jest miejsce wydzielone, którego pilnują policjanci, sprawdzają bilety lotnicze, legitymują, można czuć się bezpiecznym, jednak komfortu na twardych, plastikowych siedzeniach się nie zazna, ale można obok rozłożyć karimatę.

18 marca

Nawet trochę pospałem. Kilka minut przed 6.00 odnajduję stanowiska odpraw Cebu Pacific, tłum pasażerów, ogólny bałagan, dobrze, że jestem wcześniej, nie ponoszę opłat lotniskowych, bo one obecnie obowiązują przy lotach międzynarodowych (500 P lub 13 USD). O 9.30 ląduję na niewielkim lotnisku w Puerto Princesa, na wyspie Palawan. Przechwycony zostaje przez mafię przewozową, umieszczony w rikszy i odwieziony do Amelia Pension, ok. pół kilometra od lotniska, za pokój z wiatrakami płacę 400 P. Odpoczywam trochę i idę do centrum, muszę wymienić pieniądze, jest kilka kantorów. Na ulicach widzę wielu Białasów. Chcę zwiedzić katedrę oddaloną od centrum, jest mało ciekawa, ale obok jest zejście na przystań, na brzegu bardzo nędzne domki rybaków, miejsce raczej nieprzewidywane do zwiedzania przez turystów. W mieście znajduje się kilka hoteli, różnej klasy, stanowią one bazę dla tych, którzy planują wycieczkę do Honda Bay. Zorientowałem się, jak mam jutro dojechać na dworzec autobusowy San Jose.

19 marca

Obok siedziby władz miasta i prowincji wsiedlam w jeepneja do dworca autobusowego. Wśród pasażerów do Sabany jest grupka turystów z Francji, traktują pewnie ten przejazd jako atrakcję turystyczną. Oczywiście nie tylko ludzie jadą tym rozklekotanym gratem, Filipińczycy wiozą w tekturowych pudełkach koguty, które pieją, chociaż trudno im wyciągnąć szyję. Bilet 150 P, trasa bardzo widowiskowa, kilka godzin jazdy. Po przyjeździe udaję się do informacji turystycznej, polecają mi Blue Bambo, hotel składa się z kilku bambusowych chatek. Dormitorium to szeroki materac, rzucony w jednej z trzech klitek, które oddzielają ściany z wyplatanych mat, są jednak moskitiery, światło tylko kilka godzin wieczorem. Chatki stoją w ogrodzie nad samym morzem, można bujać się w hamaku, owiewanym morską bryzą. Za dwa noclegi płacę 500 P z rejestracją, dostawszy pokwitowanie idę do biura PN Underground River, w którym płaci się 600 P za wstęp i wycieczkę łodzią podziemną rzeką. Wycieczkę zamówiłem na 8.30, późniejsze godziny były zarezerwowane.

Uwaga! Wycieczka cieszy się ogromnym powodzeniem, dawno zarezerwowane są rejsy łodzią przez biura turystyczne, dlatego zaraz po przyjeździe i rejestracji w hotelu trzeba iść do biura PN, wtedy jest szansa wypłynięcia o najwcześniejszej godzinie, czyli o 8.00. Niestety trzeba się liczyć z możliwością braku miejsc nawet na dzień następny, dlatego dobrym rozwiązaniem jest nocleg w Sabana. Biuro PN jest czynne do 16.00. Po południu wybieram się na spacer do wodospadu, z Blue Bambo skręcam w lewo, dochodzę do świątyni buddyjskiej, obowiązuje rejestracja, mile widziana datki. Trasa ok. 1 km, ale warto wziąć buty, bo idzie się po kamieniach, pod wodą spadającą wprost do morza można się ochłodzić, miejsce jest raczej odludne. Po powrocie idę na piaszczystą plażę, aby popływać i zobaczyć, gdzie zaczyna się „mała szlak”.

20 marca

Kilka minut po ósmej idę na przystań i do biura PN, dokonuję wpłaty 600 P i zostaję dołączony do grupki Japończyków. Przewodniczka informuje, który numer łodzi zostaje nam przydzielony, płyniemy ok. 20 minut do małej zatoczki, która stanowi ujście Podziemnej Rzeki. Trochę czekamy na następną łódź, którą wpłyniemy pod skały. Na dziobie jest umieszczony reflektor, w jego świetle dostrzegam dziesiątki kolonii nietoperzy, które odrywają się od skał i szybują w półmroku. Wpływamy do ogrom-

nej groty nazwanej katedrą, w której widzę skały uformowane tak, że łatwo sobie skojarzyć świętą rodzinę u żłobka. Japończycy odnajdują postać Buddy. Ciekawe co ty zobaczysz, drogi czytelniku mojej relacji. Pływa się łodzią ok. 40 minut, oczywiście w asyście innych łodzi, a wycieczka trwa ok. 2 godziny. Po powrocie idę na spacer po okolicznych wsiach, fotografuję białą czapkę na karku bawoła. Znalazłem też czas, aby poleżeć „bykiem” na plaży i popływać.

21 marca

Dwa razy dziennie o 7 i 13 odjeżdżają minibusy (vany) do El Nido, mnie interesuje dojazd do Honda Bay, van odjeżdża o 12.45. Postanowiłem iść na spacer Monkey Trail. Z plaży za ujściem Mangrowcowej Rzeki ścieżka pnie się ostro pod górę, dochodzę do tablicy z ostrzeżeniem kary za brak pokwitowania opłaty za pobyt w PN. Ze wzgórza widok na zatoki morza Sulu. Dochodzę do wieży widokowej, na której jest maszyna i liny, po nich można rzucić się w dół nad zatoką do ujścia rzeki; jest wcześniej, więc chętnych brak. Schodzę wprost do punktu informacyjnego PN, sprawdzają kwit opłaty za wejście. Niestety, do zatoki Podziemnej Rzeki nie mogę zejść, ale dostępny jest szlak wzdłuż Mangrowcowej Rzeki, taka możliwość bardzo mi odpowiada. Na początku ścieżki widzę dwa warany, jakiś endemiczny gatunek dla Palawanu, potem tylko słyszę plusk wody, do której te stwory skaczą ze ścieżki, którą schodzę do brzegu rzeki. W gałęziach drzew buszują małpy, stąd nazwa szlaku. W dżungli są dwa gatunki dużych papug, dzioborożec i endemiczne gatunki pawie, niestety, tylko słyszę ich odgłosy. PN obejmuje 22 tysiące km. kwadratowych. Mangrowcową Rzeką można pływać łódką z przewodnikiem, rejsy od 8.00 za 100 P za godzinną wycieczkę. Mam czas, aby odpocząć na plaży, popływać i zjeść obiad wcześniej zamówiony w restauracji, w której zostawiłem plecak. Dwie godziny zajmuje przejazd vanem do Handa Bay, najlepiej jechać do końca półwyspu (cypla); blisko od parkingu jest pensjonat, nie ma wyboru, ale za przyjemny pokój z wiatrakami płacę 350 P. Idę na spacer do dużego kompleksu buddyjskiego klasztoru i świątyni.

22 marca

Po ósmej jestem w biurze przy porcie, cena wycieczki zależy od liczby wysp, do których chce się dopłynąć, płaci się również za wstęp na wyspę, wynajęcie miejsca do biwakowania, a raczej stół, do którego przyniosą rybne danie, które można zamówić.

Przy pierwszej wyspie, do której dopływamy (Star Fish), nie ma rafy, ale przy samym brzegu pływa mnóstwo ryb, m.in. białe iglicznice; piasek na plaży i na dnie przy brzegu jest też zupełnie biały. Przy drugiej wyspie (Snake Island) jest piękna rafa, a przede wszystkim ławice kolorowych rybek; takiego bogactwa stubarwnych ryb jeszcze nie widziałem. Następne wyspy porastają drzewa mangrowcowe, które wychodzą dość daleko w morze, jest przyływ, nie widać lądu, a tylko drzewa jakby wyrastające z wody. Wróciliśmy wcześniej niż planowaliśmy, a przy porcie, z którego wypływaliśmy, brak plaży, za wycieczkę zapłaciłem 600 P.

23 marca

Rano idę na przystanek jeepneja, którym dojeżdżam do Puerto Princesa, wysiadam przy ratuszu, a więc do lotniska ok. pół kilometra. Tym razem odprawa poszła bardzo sprawnie i po dwóch godzinach lotu Fihilippine Airlines ląduję w Cebu na wyspie Tañon. Port lotniczy ogromny, nie spodziewałem się, że Cebu to milionowe miasto. Pani w informacji wręcza mi plan Cebu. Dojazd do portu, z którego popłynę na Bohol, dość

skomplikowany, ale koszt taxi może doprowadzić do bankructwa. Z górnego tarasu budynku vis a vis informacji i wyjścia jest dojście platformą do postoju Yellow Multi-cab do Main Corner, potem jeepnej do SM City Cebu i następnym jeepnejem do Pier I. O 16.30 odpywa prom do Tubigon (230 P), z tego portu jest najdogodniejsza komunikacja do Czekoladowych Wzgórz, płynę ok. godziny, o 18.00 jest ostatni van (100 P) do Carmen. Czekając na odjazd, zjadam kolację; knajpek w okolicy dworca jest dużo, robię zakupy, nareszcie duży wybór pieczywa. Do Carmen jedzie się krócej niż godzinę, obok szpitala jest bardzo sympatyczny pensjonat, wyboru zresztą nie ma, ale cena 300 P jest do zaakceptowania.

24 marca

Z pensjonatu do Chocolate Hills jest ok. 4 km, ale kiedy wychodzę na szosę, podjeżdża autobus, za 8 P podjeżdżam do drogi, prowadzącej do wejścia. Jest przed ósmą, w kasie nie ma nikogo, wstęp kosztuje 50 P. Do punktu widokowego jest ok. 500 metrów. Na platformę widokową trzeba wykupić osobne bilety za 100 P. Znajduje się tu drogi hotel, ale można z jego tarasu podziwiać widoki, wzgórze faktycznie przypomina rozsypane czekoladki, te nieporośnięte roślinnością przypominają praliny Wedla czy Wawelu, wzgórze mają wysokość ok. 50 metrów. Czytałem, że są tu tłumy, mam szczęście, bo tylko ja jestem na tarasie widokowym. Pora wracać, znów autobus podjeżdża i jestem bardzo szybko w pensjonacie; chwilę odpoczywam, biorę plecak i na dworcu, który jest bliźniutko, stoi już bezpośredni autobus do Loboc. Dziś niedziela palmowa, ale jeszcze nie zastłonili ołtarzy w kościele z XVI wieku, jednym z najstarszych na Filipinach. W kościele panie prezentują mi misternie wykonane palmy z młodych liści bananowca. Zwiedzam muzeum w dawnym klasztorze jezuitów, budynki są zaniedbane, ale tworzą niepowtarzalną aurę przeszłości, wstęp 20 P, na bilecie jest pełna historia kościoła. Wsiadam w zatłoczony jeepnej, po czasie zorientowałem się, że przejeżdżaliśmy obok najstarszego kościoła na Filipinach w Baclayon. Dojeżdżam do Tagbilaran City, reprezentacyjny skwer w środku miasta, kościół na górze, jestem przekonany, że dojechałem do Tubigon. Kiedy się zorientowałem, że to pomyłka, zacząłem pytać o port, ale promy płynące stąd do Cebu są trzykrotnie droższe. Jadę więc rikszą na dworzec i autobusem do Tubigon. Przejeżdżam przez Corelli, w której znajduje się „ogród zoologiczny”, można zobaczyć Tarsiery (*Tarisisus Syrichata*), o ogromnych ślepkach zwierzątka, które wyglądają jak maskotki. Zwierząt tych na wolności żyje niewiele, są odławiane, przestawia się im zegar biologiczny, aby turyści mogli oglądać je w zaciemnionym pomieszczeniu, ale przecież biologii nie da się oszukać i w niewoli prędko umierają; nie popieram takich praktyk, nie wysiadam i nie idę do Phil. Trasier and Wildlife Sanctuary... Tym razem dojeżdżam do Tubigon, wykupuję za 220 P bilet do Cebu. Zauważyłem poprzednio, że Pier I jest blisko dawnego fortu hiszpańskiego i historycznego centrum miasta. Vis a vis katedry znajduje się ogromne schronisko Patria Pension, pokój ze wspólną łazienką z drugim pokojem 300 P. Nie można dziś wejść do żadnego kościoła, są tłumy nawet na dziedzińcach, wszyscy świętują niedzielę palmową.

25 marca

Między innymi w poniedziałki wypływa prom do Masabate, idę więc do portu (Pier III), w jego pobliżu w agencji kupuję bilet, odstawszy ok. godziny w kolejce. Bilet w drugiej klasie kosztuje 480 P. Wracam do centrum, wstęp do fortu jest płatny, ale ekspozycja nie wydaje się ciekawa, idę wzdłuż dawnych, portowych magazynów, czę-

ściowo przebudowanych na współczesne centra handlowe. Na reprezentacyjnym Placu Ratuszowym jest kaplica, w jej wnętrzu kolejna replika krzyża Magellana, bo właśnie w tym miejscu w 1521 roku został wbity w Nową Ziemię króla Filipa. Obok jest jedno z wejść do bazyliki del Santo Niño, ufundowanej w 1565 roku. Ołtarze już zasłonięte fioletowym materiałem, z arkadowego dziedzińca jest wejście do kaplicy Dzieciątka Jezus, można robić zdjęcia, ale figurka znajduje się w szklanej szkatule. W krużgankach wiszą stare obrazy, na których przedstawiono historię katolicyzmu na Filipinach i legendę opowiadającą o znalezieniu cudownej figurki Dzieciątka Jezus. Wystarczy przejść przez ulicę i widać katedrę, bardzo przebudowaną, ale zachowała cechy hiszpańskich kościołów kolonialnych. Obok katedry, w stronę The Heritage of Cebu Monument, kilka starych, drewnianych domów-rezydencji, w których znajdują się muzea, niestety w poniedziałek zamknięte, ale ten najstarszy z 1675 roku otwarty. Nie wiem, czy bezpieczna, ale malownicza jest ta dzielnica, jednak stare domy ustępują miejsca bezstylowym biurowcom. Doba w Patria Pensjon kończy się o 13.00, a więc mogę odpocząć po zwiedzaniu miasta, wziąć kąpiel, zostawiam plecak i idę na obiad, później spaceruję po starych uliczkach, powtórnie nawiedzam te piękne świątynie. Ok. 15.00 odbieram plecak i spacerkiem idę do portu. Suma, którą zapłaciłem, nie zgadza się z tą na bilecie, bez dyskusji kasjer zwraca mi ponad 200 P, a więc sprzedał mi bilet dla emeryta, o który wcześniej prosiłem. Odprawa przebiega sprawnie, ale wypływamy po 18.00. Na promie brak kabin, pokłady zastawione są piętrowymi, metalowymi pryzkami, w drugiej klasie działa klimatyzacja, przy pryzcy jest miejsce na bagaż, w Masabate prom powinien być ok. 7.00 rano.

26 marca

Wydaje się, że w środku nocy prom dobija do brzegu, ale dochodzi 6.00, zanim wysiadłem jest już widno. W porcie rzucają się na pasażerów taksiarze, ale ja idę do jeepnej. Do Masabate 200 P, podróż trwa ponad dwie godziny, z dworca jeepnej trzeba dojść do portu ok. 20 minut. Linia Montenegro zapewnia rejsy do Pilar, już na wyspie Luzon, bilet kosztuje 396 P; jest to rodzaj wodolotu, ponad godzinę i jestem na miejscu, tylko kilka kroków do miejsca, z którego odjeżdża jeepnej do Donsol. Bez trudu odnajduję Hernandez Guest House, za pokój z wiatrakami i wspólnym wc płacę 400 P. W tomie XV *Przez świat* jest nieaktualna informacja, że dwa razy dziennie odpływają łodzie w celu pływania z rekinami. Ok. 11.00 doszedłem do centrum nurkowania, zostałem dołączony do grupy siedmiu osób, ale zapłaciłem za trzygodzinny rejs prawie 800 P, za wypożyczenie maski i rurki 150. Czekając na grupę turystów, oglądam film o warunkach bezpiecznego nurkowania i o samych, olbrzymich rekinach wielorybich. Podziwiam odwagę autorów relacji, bo łódź nie jest dostosowana do skoków, ani wejścia z wody na pokład, nawet brak koła ratunkowego! Olbrzymi pływają podobno pod samą powierzchnią wody, więc niepotrzebne są dobra maska i butla z tlenem, łatwo je wypatrzeć obłudze łodzi, mam pecha! Nie pojawia się żaden rekin, a może mam szczęście, bo nie wiem, czy odważyłbym się skoczyć pomiędzy burtą a drągami, które stanowią rodzaj katamaranu. Załoga łodzi rzuca kotwicę, zatrzymujemy się nad rafą, jest ona bardzo zniszczona i kolorowych rybek niewiele. Za taką wycieczkę 1000 P to drogo, proszę zastanowić się, czy będziecie mieli odwagę na szaleńczy skok? Do miasta wracam krótszą drogą, tuż za mostem w prawo, oglądam domy rybaków na palach, akurat zachodzi słońce, ten widok i nastrój chwili łagodzi gorzki smak nieudanej wycieczki.

27 marca

Jeepniejem wracam do Pilar; okazuje się, że są bezpośrednie autobusy do Manili, tylko wypisane nazwy dworców, na które przyjeżdżają, wprowadzają w błąd. Mój autobus odjeżdża o 13.00, mogę więc zjeść obiad, zrobić zakupy, bilet kosztuje 450 P. Trasa jest bardzo malownicza, mijam wulkany, jadę przez tropikalny las, oglądam zielone pola ryżowe.

28 marca

Przyjeżdżam do Manili ok. 2.00 w nocy! Na ulicach tłummy, czynne knajpki. Blisko mam na dworzec Victory Liner. Ludzie stoją w bardzo długich kolejkach do kas. Dyżurny ruchu wsadza mnie do autobusu, który jedzie przez San Fernando. Płacę dość dużo za bilet. Przejeżdżam San Fernando Pampanga, autobus zatrzymuje się w centrum gastronomicznym, jest już widno, trudno dopytać się mi o nocleg i miejsce, w którym powinienem się zatrzymać, aby uczestniczyć w uroczystościach wielkoczwartkowych. W końcu trafiam w okolice katedry; są otwarte kantory, wymieniam pieniądze po niekorzystnym kursie. W mieście są wyłącznie hoteliki na godziny, ale motel Tropikana ma przyjemne patio i obsługa jest wyjątkowo miła, obskurny pokój z wiatrakami 400 P, karaluchy gratis. Na ulicy spotykam chłopaka, który okazuje się być studentem z Poznania, poszukuje sympatyczniejszego pokoju od tego, który wynajął w hoteliku obok katedry, polecam mu Tropikanę i sprowadza się ze swoją dziewczyną Jaśminą. Po południu idę do kościoła, na ulicach spotykam biczowników i niosących krzyże, zmierzają do katedry, ale zatrzymują się u jej wejścia. Co bardziej gorliwi leżą krzyżem, a ich przyjaciele uderzają ich deskami, plują na nich, chodzi o jak najwierniejsze naśladowanie umęczenia i prześladowania Chrystusa. Twarze mają zasłonięte, na głowach wianki jakby cierniowe korony. Większość biczowników ubrana jest w dżinsy, wielu jednak ma białe spodnie jako znak, że pierwszy raz zdecydowali się na ten sposób okazywania pobożności. W świątyni zamiast ciemnicy i grobu przygotowano ołtarz ozdobiony rozłożonym ogonem pawia, to symbol rezurekcji. Wieczorem z Jaśminą i Tomkiem dzielimy się refleksjami z obserwacji tych wydarzeń.

29 marca

Trudno dopytać się o miejsce krzyżowania, ale w końcu trafiam na tłum, zmierzający na Golgotę. Ulice udekorowane fioletowymi flagami, wiszą plakaty Maleldo 2013. W biurze-namiocie i informacji bezskutecznie próbuję wydębic wejściówkę do namiotów vipów. Orientuję się, że przychodzą zorganizowane grupy, a więc biura turystyczne już położyły łapę, zwęszyły interes. Żądają, abym pokazał legitymację prasową, tłumaczę, iż zostawiłem dokumenty i pieniądze w hotelu, bo obawiam się kieszonkoców. W końcu otrzymuję wejściówkę, nie muszę stać w tłumie, w pełnym słońcu, siedzę w pierwszym rzędzie, mogę robić zdjęcia, obserwuję biczowników, którzy przychodzą tu na wzgórze w San Pedro, kłękają pod jednym z trzech krzyży, modlą się i zawieszają wianki, które mieli na głowach. Niektórzy, niosący wielometrowe krzyże, padają ze zmęczenia, wówczas koledzy pomagają im podnieść się i zanieść krzyż na wzgórze, na tych krzyżach będą ukrzyżowani ochotnicy, pragnący naśladować mękę Chrystusa. Około 15.00, na białych koniach przyjeżdżają żołnierze rzymscy, doprowadzony zostaje Jezus przed oblicze Piłata i zaczyna się inscenizacja fragmentów Ewangelii. W tym roku jest ośmiu chętnych do ukrzyżowania, niektórzy nie wytrzymują 10 minut powieszenia na krzyżu. Kiedy gwoździe wbijane są w ich ręce, krzyczą z bólu. Po kilkunastu

minutach do zdejmowanych z krzyża podbiegają z noszami sanitariusze i opatrują ich rany w namiocie medycznym. Podobno powrót do zdrowia trwa kilka tygodni.

Wieczorem w mieście odbywają się procesje pasyjne, ludzie niosą zapalone świece. Niestety, Tomek został okradziony, na posterunek policji zgłosiło się dziesięciu poszkodowanych, Japończyka obrobili na ponad tysiąc dolarów. Tomek otrzymał pisemne potwierdzenie zgłoszenia kradzieży, co może stanowić certyfikat uczestnictwa w Maleldo 2013.

30 marca

Czyli już po świętach, otwierane są centra handlowe np. SM, przy którym zatrzymują się autobusy dalekobieżne i tu należało przyjechać z Manili. Spotykam Jaśminę i Tomka w autobusie do Baguio. Przyjeżdżamy o 14.00, a o 13.00 odjechał ostatni autobus do Botoc, taxi jedziemy na dworzec, z którego jutro o 5.30 będziemy jechali na północ w Cordiliera Central. Kwaterujemy się w hoteliku, bierzemy wspólny pokój za 600 P. Buszujemy po bazarze, ludzie są bardzo życzliwi, chętnie pozują do zdjęć, odpowiadają na nasze pytania. Sprzedawcy ryżu mają go kilka gatunków, w różnych kolorach i cenach. Nie decydujemy się na kupno balutów jajek kaczych z kilkunastodniowym zarodkiem już wyraźnie ukształtowanym, podawane są ciepłe i amatorzy wypijają ich zawartość – dobre na potencję. Tomek kupuje dorodne liście tytoniu i zestaw betelu do żucia, spożywamy po pieczonym sumie. Na straganach z warzywami sprzedawane są kwiaty dyni, które smaży się w głębokim tłuszczu. Wracam do hotelu, niebawem przychodzą Jaśminka z Tomkiem, objuczeni zakupami, zaczynają się dla nas wesołe święta. Okazuje się, że filipiński rum nie jest drogi, a mango i inne owoce dojrzałe i wyborne, objadamy się truskawkami, w Polsce będziemy musieli na nie długo poczekać, bo wiemy, że nasz kraj jest przykryty śniegiem, chociaż to święta wielkanocne się zaczynają.

31 marca

W środku nocy zrywamy się, ale do dworca tylko kilka kroków, Tomek kupuje ulgowe bilety dla studentów i emeryta. Autobus jedzie szczytami gór, w najwyższym punkcie osiąga 2450 metrów. W Sagdzie jesteśmy tuż przed południem. Hotelików i pensjonatów bardzo dużo, za pokój bez łazienki płacę 250 P, nareszcie niepotrzebne są wiatrak i moskitiera. Po krótkim odpoczynku idę w stronę szpitala, tuż przed kościołem jest droga w prawo do Doliny Echa, trzeba przejść przez cmentarz, a potem bardzo stromą ścieżką w dół, na skałach widoczne są wiszące trumny. Odszukałem też jaskinię i odnalazłem wodospad, ale największą atrakcję stanowią skały-cmentarze. Po obiedzie wybrałem się do najbliższej wsi, wskazują mi drogę, którą schodzę niżej i niżej, aby zobaczyć tarasy ryżowe. Warto też odwiedzić jaskinię Sumagon, gdzie zgromadzono kości ze spróchniałych trumien. W Sagda jest biuro przewodnickie i można wynająć cicerone, który pokaże ciekawe miejsca, gdzie nie docierają wszyscy turyści – tak zrobili Jaśminka i Tomek, postanowili również zostać jeszcze jeden dzień, aby dokładniej zwiedzić okolice.

1 kwietnia

Do Batoc dość często kursują jeepneje (150 P). Kierowca zatrzymuje się przy ulicy, na której czekają vany do Banaue, też 150 P. Trasa fantastyczna, kilkakrotnie widać amfiteatralnie rozmieszczone tarasy ryżowe, przed Banaue przejeżdżamy przez punkt widokowy, dojeżdżam jednak do końca, schodzę prosto w dół do informacji tu-

rystycznej. Dowiaduję się, że o 15.00 będzie jeepnej do Batad, zalecają, aby wcześniej zająć miejsce. Zostawiam plecak i wracam do punktu widokowego; trochę poniżej przy sklepie z pamiątkami zatrzymuję się, aby robić zdjęcia tarasów, ale również kobietom i mężczyznom z plemienia Ifugao; faktycznie są filigranowi, małymi, skośnymi oczkami wypatrują pieniędzy za pozowanie, na głowach mają korony z kogucich piór, ubrania pasiaste z przewagą czerwieni, samodziałowe. Wracam do centrum i odnajduję jeepnej do Batad, zostawiam na siedzeniu plecak i idę do knajpki na obiad, ostatnio pojawiły się automaty, w których za 5 P można wypić namiastkę kawy z ekspresu z mlekiem i cukrem. Kupuję pieczywo i kurze jaja, gotowane na twardo. W miasteczku jest bardzo dużo sklepów z pamiątkami, które są wytwarzane przez miejscowych rzemieślników. Tuż przed odjazdem jeepnej pasażerowie zajmują miejsca i robi się ścisk, turyści, którzy nie zajęli sobie wcześniej miejsca, muszą przełożyć na następny dzień swój wyjazd. Dojeżdżamy tuż przed piątą, chociaż to niezbyt długi dystans, ale droga bardzo wyboista i niebezpieczna; mam szczęście, bo może zdarzyć się, zwłaszcza po okresie tajfunów, że drogą nie przejedzie żaden samochód. Na przełęczy Saddle Point są stragany z jedzeniem i pamiątkami, w jednym z nich zostawiam plecak, biorę tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Między dwoma straganami zaczynają się bardzo strome schody do wsi Batad, w prawo za ostatnim straganem jest początek drogi, mniej stromej, chociaż trochę dalszej. Nie wziąłem butów i w sandałach idę wolniej po kamieniach i wybojach, schodzę ok. godziny, do pokonania różnica wzniesień ok. 400 metrów. W górnej części wsi, przy punkcie informacyjnym znajduje się kilka hotelików, ceny ok. 200 P, wstęp do wsi 50 P. Jest jeszcze widno, ale niebawem zapadnie zmrok, nie mogę schodzić niżej tarasami, ponieważ nie wziąłem latarki, światła nie ma też w pokojach hotelowych, dobrze, że mam telefon komórkowy, posłuży mi jak latarka i budzik, nie potrzebuję wiatraka i moskitiery, koce zaś bardzo się przydadzą. W poszczególnych hotelikach są knajpki, siedzi w nich przy piwie mnóstwo Białośów. Myślę, że można znaleźć hotelik, który nie jest polecany przez przewodniki. Zachód słońca oglądam na jednym z tarasów; wznoszono je przez dwa tysiące lat, często na wysokość ponad kilometra, nic dziwnego, że znalazły się na liście światowego dziedzictwa ludzkości UNESCO.

2 kwietnia

Poniedziałek Wielkanocny, wspominam bliskich i w pocie czoła podchodzę pod górę do przystanku autobusu, odjeżdża ok. 9.00, wraca do Banaue. Wychodzę wcześniej, bo zatrzymuję się, aby robić zdjęcia, ale również rozkoszować się rześkim powietrzem, słuchać śpiewu ptaków. Odbieram plecak, mam czas, aby wypić kawę, zjeść śniadanie przy stole, ustawionym na widokowym tarasie. Rano nie ma wielu chętnych, jadę wygodniej w szoferce. W mieście spotykam Jaśminę i Tomka, na jutro wykupili wycieczkę za 400 P od osoby, o 8.00 wyjadą jeepnejem, we wsi będą mieć ok. trzy godziny na zwiedzanie, powrót po południu. Kupuję bilet zniżkowy za 350 P na autobus do Manili, odjazd o 18.30. To jest dodatkowy kurs, rejsowy autobus odjeżdża codziennie o 19.00. Zostawiam plecak w kasie dworca i idę na spacer po mieście, zwiedzam muzeum, schodzę do tarasów ryżowych za kościołem katolickim, kupuję upatrzoną wcześniej rzeźbę za 100 P; w punkcie informacji turystycznej sprzedają kawę filipińską 250 g za 150 P. Autobus odjeżdża punktualnie, jest w nim okropnie zimno, klimatyzacja nastawiona na 15 stopni, kierowca twierdzi, że na ma możliwości regulacji.

Uwaga: wyjmijcie z plecaka ciepłe rzeczy, łącznie z czapką i szalikiem.

3 kwietnia

Skostniały z zimna wysiadam z autobusu po 5.00 rano, jest jeszcze ciemno; dopytałem się, jak dojść do jeepneja, który jedzie do centrum, w okolicy ratusza. W najbliższym sklepie 7-eleven wypijam kawę, zjadam słodką bułkę. Kiedy się rozwidnia, idę w kierunku murów obronnych i starego miasta, z daleka jest widoczna kopuła katedry. Tuż przy murach obronnych vis-a-vis ratusza bezdomni koczują w krzakach, nieprzyjemne miejsce. Odnajduję kościół jezuitów z muzeum; należy wcześniej zamówić wejście, wyłącznie z grupą kilku osób, bo wstęp bardzo drogi; jest to prezentacja multimedialna historii Filipin i Manili. Bezpłatanie dostępna jest wystawa, a na dziedzińcu pomnik pierwszej świętej Filipin, która ufundowała ten kościół i klasztor. Idę w kierunku kościoła i dawnego klasztoru augustianów, te obiekty są na liście UNESCO, niestety, muzeum w klasztorze będzie dziś nieczynne, a kościół otworzą ok. 12.00. Po drugiej stronie ulicy znajduje się Casa Manila, jest zespół rezydencji Hiszpanów z XVI wieku, potem niestety przebudowanych, ale dziedzińce tworzą malowniczą uliczkę, szmerze woda w fontannach, wszędzie kwiaty w donicach, w niektórych rezydencjach są hotele i restauracje, w innych muzeum wewnątrz. Idę do katedry, niestety, będzie dziś zamknięta z powodu generalnego sprzątanía. O 10.00 otwierają Muzeum Narodowe, wstęp 150 P. Ogromne dwa gmachy z początku XX wieku, w jednym z nich kolekcja malarstwa filipińskich malarzy od końca dziewiętnastego wieku do współczesności. W drugim budynku ekspozycje: geologiczna, przyrodnicza i archeologiczna, dużo pustych sal. Wracam do augustianów, w kościele malarstwo iluzjonistyczne, dość późne wyposażenie, w krużgankach widzę stare meble i obrazy drugorzędnych hiszpańskich mistrzów. Wracam pod katedrę z nadzieją, że będzie otwarta, niestety! Odpoczywam w cieniu drzew, patrzę na okazałe gmachy i historyczne budowle. Okazuje się, że przy placu zatrzymuje się taksówka ośmioosobowa FX, która jedzie do Sucat, przejeżdża obok terminalu I, z którego odlatuję po południu do Hongkongu i dalej do Europy. Przy ulicy, z której skręca się na terminal I, znajdują się knajpki, stragany z żywnością, wodą, sklepy spożywcze, przy parkingu przed terminalem też są stoliki, przy których można zjeść gorący posiłek, serwowany z toreb i siatek oraz wypić kawę, swoista konkurencja dla barków i restauracji na lotnisku.

Uwaga: należy mieć 500 P lub 13 USD na opłaty lotniskowe, które nie są ujęte w cenie biletu lotniczego. Tak się bałem poruszania po Manili, a tak dobrze wszystko poszło, jednak zrezygnowałem ze zwiedzania cmentarza chińskiego, podróżując po Filipinach widziałem na cmentarzach kaplice-domy, nawet z balkonami i tarasami.

Wyspy Filipin nie są odkryte przez masową turystykę, odwiedziłem tylko te najpopularniejsze, może wybierzemy się razem na białe plaże, zielone wyspy i wysepki, zapraszam.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Hotel The Venetian & The Pallazzo, który mieści się w Las Vegas, posiada 8108 pokoi i jest uznawany za największy hotel na świecie.

Joanna i Artur Morawiec

Indonezja – z wizytą u Toradżów



Termin: 8–29 października 2012 roku.

Trasa:

Jawa (Jakarta) – Celebes (Makassar, Tana Toraja) – Lombok – Gili Meno – Bali (Amed, Ubud) – Jawa (Bandung).

Powód wyjazdu:

Głównym celem naszego wyjazdu było odwiedzenie kraju Toradżów na Celebesie. Chcieliśmy wziąć udział w niezwykłych uroczystościach pogrzebowych Toradżów, zobaczyć ich architekturę i... cmentarze. Jako że podróżowaliśmy z dwójką dzieci (7- i 4-letnim), podczas wyjazdu chcieliśmy także trochę czasu spędzić nad morzem. Dzieci bardzo chciały też zobaczyć wulkan.

Wiza:

Wizę można nabyć na lotnisku w Jakarcie, cena to 25 USD.

Przełot:

Leciliśmy liniami Qatar Airways z Wenecji z międzylądowaniem w Doha, a z Jakarta wracaliśmy do Frankfurtu przez Dohę. Przy wylocie z Jakarty należy doliczyć 150 Rp podatku lotniskowego. Za bilety (kupione w promocji) na tej trasie zapłaciliśmy 1400 zł za dorosłego i 1100 zł za dzieci.

Do Wenecji dolecieliśmy Rayanaiem z Wrocławia. Lądowaliśmy na lotnisku Wenecja – Treviso. Bilety kosztowały nas 386 PLN za 4 osoby z 1 dużym bagażem i 4 podręcznymi (tak udało nam się spakować). Z Treviso autobusem lotniskowym przejechaliśmy do Mestre (bilet dorosły 7 EUR, dziecko za darmo), a kolejnym autobusem za 2 EUR na lotnisko Marco Polo w Wenecji, skąd mieliśmy lot do Dohy.

W drodze powrotnej po wylądowaniu na głównym lotnisku we Frankfurcie przejechaliśmy autobusem lotniskowym do lotniska Frankfurt Hahn. W rejonie lotniska (odległość 800 m) mieliśmy nocleg za 90 EUR – pokój rodzinny w hotelu My Place – Hauptstrasse 8 Lautzenhausen, a następnego dnia samolotem Wizzair wróciliśmy do Katowic. Za 4 bilety z 2 dużymi bagażami (przewidywaliśmy – i słusznie – powrót z bagażami napchanymi zakupionymi w Indonezji pamiątkami) zapłaciliśmy 180 EUR.

Zdrowie:

Nie są wymagane żadne szczepienia przed wjazdem do Indonezji. Warto przed wyjazdem zadzwonić do Sanepidu lub poradni chorób tropikalnych, aby uzyskać informacje na temat zalecanych szczepień. Przed każdym wyjazdem warto pomyśleć o szczepieniu przeciwko żółtaczce.

Malaria – zażywaliśmy Malarone dorośli po 1 tabletkę, a dzieci odpowiednio do wagi. Malaria występuje w środkowym Celebesie (miejscowi uważają, że nie ma, rzeczywiście nie było komarów), czasami też na wysypach Gili.

Denga – używaliśmy repelentu zawierającego DEET (Ultrahton).

Zdrowie dziecka:

W przypadku wyjazdu z dzieckiem – należy zasięgnąć rad pediatry. Pediatra przepisze stosowne lekarstwa tak „na wszelki wypadek” przeciwko biegunce, gorączce czy odpowiedni antybiotyki.

Trzeba pamiętać o ochronie przed komarami, a także o ochronie dziecka przy wysokich temperaturach czy silnym słońcu (czapeczka, długi rękaw, krem).

Język:

Można porozumieć się w języku angielskim, chociaż w miejscach poza trasami turystycznymi czasem są trudności.

W turystycznych miastach angielski jest na porządku dziennym.

Wymiana pieniędzy:

Podczas naszego pobytu uzyskiwaliśmy następujące kwoty za EUR i USD:

1 EUR – 12 100–12 350 Rp,

1 USD – 9500 Rp.

Pamiątki (wyroby rzemiosła):

Pamiątki można właściwie kupować wszędzie. Na Celebesie pamiątki są związane z krajem Toraja, których już nie spotkamy gdzie indziej. Na Bali są sklepy z markową odzieżą, a także outelty z niskimi cenami oraz pamiątki z całej Indonezji.

Pamiątki kupowaliśmy w Ubud, głównie na targu po długotrwałym targowaniu.

W Ubud jest wiele galerii obrazów i można kupić ciekawe prace miejscowych artystów.

Podróżowanie samolotem po Indonezji:

Ze względu na odległości i ograniczony czas planowaliśmy korzystać z przelotów wewnętrznych w Indonezji. Zakup biletów lotniczych z Polski przez Internet może być utrudniony – strony lokalnych linii lotniczych odrzucają płatności większości kart kredytowych wystawianych w Polsce (tak czytaliśmy w Internecie, sami próbowaliśmy zarezerwować 3 różnymi kartami i transakcje były odrzucane). Na szczęście w Indonezji często można zakupić tanie bilety lotnicze prawie „z dnia na dzień”. Istnieje duża konkurencja między wieloma lokalnymi przewoźnikami. Dla nas problemem było to, że dolatywaliśmy do Jakarty o 22.00, a jak najszybciej chcieliśmy przelecieć na Celebes. Ładowaliśmy na terminalu 2, większość odlotów krajowych jest z terminalu 1. Między terminalami kursują bezpłatne autobusy. Na lotnisku ustaliliśmy, iż do późna w nocy czynne są biura lokalnych linii oferujących połączenia z Makasarem na Celebesie:

Lion Air – przy terminalu 1A, czynne do 1.00 w nocy,

Batavia Air – przy terminalu 1C, czynne do 2.00 w nocy.

Samolot do Makassaru następnego dnia kosztował 1,5 mln, a dwa dni później 566 tys. Rp. Najtańsze bilety były po 500 tys. Rp. (po kilku dniach od zakupu). Zdecydowaliśmy więc zostać 2 dni w Jakarcie i kupiliśmy bilety w liniach Batavia za 566 tys. Rp.

Kolejne bilety kupiliśmy w biurze w Jakarcie (duża liczba biur oferujących sprzedaż biletów lotniczych w rejonie II Jaksa):

Makassar (Celebes) – Lombok – 750 tys Rp – Garuda Air,
Denpasar (Bali) – Jakarta – 450 tys. Rp – Sriwijaya Air.

W Indonezji do ceny biletu należy doliczyć pobierane przed odlotem opłaty lotniskowe. Jedynie podróżując rządowymi liniami Garuda, opłaty lotniskowe mamy ujęte w cenie biletu.

Co należy zabrać dla dziecka:

dokumenty: nasz syn miał wyrobiony swój paszport, obecnie zmieniły się przepisy i paszport wyrabiany jest na 5 lat, a nie na rok, co było absurdem. Cena – 30 zł;

wózek – już dla prawie czterolatka niekonieczny, więc nie braliśmy. O podróżowaniu z niemowlakiem pisaliśmy w XI tomie *Przez świat*. Gdy jedziemy z dziećmi, to trzeba pomyśleć o przyjemnościach dla małych podróżników. Na wyspach Indonezji są piękne plaże, więc warto zabrać wiaderko, łopatkę itp.;

zabawki – zabieramy ulubioną przytulankę, kilka zabawek, książeczek, na miejscu też można kupić zabawki;

ubranie – można zabrać mało rzeczy, bo jest gorąco. Zabieramy kilka podkoszułek, które zawsze można przeprać. Trzeba chronić skórę dziecka kremem ochronnym. Nie zapominamy o czapeczce;

apteczka – należy poradzić się pediatry;

moskitiera i krem odstraszący komary.

Indonezyjczycy lubią dzieci, więc chcą je dotykać, ścisnąć, robić sobie z nimi pamiątkowe zdjęcia. Dzieci niestety to męczą. Starszy syn był zachwycony, jak uczniowie w szkole piszczeli na jego widok, podawali mu rękę czy obdarowywali prezentami.

RELACJA Z PODRÓŻY

Jakarta (Java)

Do Jakarty przylecieliśmy w nocy i ponieważ na lotnisku nie udało nam się znaleźć samolotu na Celebes, musieliśmy pojechać do centrum miasta. Ceny taxi kształtują się w granicach 120–150 tys. Rp za przejazd z lotniska do centrum. Autobusy z lotniska do dworca kolejowego w nocy już nie kursowały.

Zwiedzaliśmy Jakartę podczas naszego wcześniejszego pobytu w Indonezji, więc postanowiliśmy zabrać dzieci do ciekawego oceanarium, wstęp – 50 tys. Rp. Niedaleko organizowane są pokazy zwierząt za 90 tys. Rp. Obok w parku jest wesołe miasteczko, wstęp dorosłym 220 tys., a dzieci do 125 cm 50 tys., a do 100 cm – wstęp darmowy.

Taxi z centrum do Ancol, gdzie znajdują się wszystkie te atrakcje – 50 tys. Rp.

Nocleg:

Spaliśmy w hotelu Invati na ul. Jalan Jaksa 7. Za pokój płaciliśmy 250 tys. Rp, pokój de luxe kosztował 325 tys. ze śniadaniem za 4 osoby – 2 dorosłych i 2 dzieci.

Ceny hoteli w okolicy były podobne. Na Jalan Jaksa jest dużo knajpek i biur podróży. Przejazd:

Jakarta – Makassar cena 560 tys. Rp (plus 40 tys. Rp opłat lotniskowych) liniami Batavia.

Makassar (Celebes)

Po wylądowaniu pojechaliśmy taksówką za 65 tys. Rp na dworzec autobusowy (Daya Terminal). Autobusy do Rantepao w kraju Toraddzów w zależności od firmy przewozowej i standardu kosztowały: 95 tys Rp, 115 tys Rp, 120 tys. Rp, 140 tys. Rp lub 155 tys. Rp. Większość autobusów odjeżdża wieczorem i na miejsce dociera rankiem. Najdroższe autobusy są bardzo wygodne – bardzo szerokie siedzenia rozkładane prawie do pozycji leżącej, każdy pasażer otrzymuje poduszkę i koc.

Rantepao (Celebes)

Nocleg:

Wynajęliśmy domek w stylu Torajów w Wisima Mandarana za 300 tys. Rp.

Hotel Toraja Misiliana – jeden z droższych hoteli w Rantepao (około 2 km na południe od miasta). Korzystaliśmy tu z basenu (wstęp 15 tys. Rp.) Ceny noclegów: od 550 tys. za pokój do 1.200 tys. za wynajem domku.

Jeżeli nie mamy wybranego hotelu, to kierowca autobusu na pewno nas podwiezie pod jakiś hotel. Lepiej wcześniej wybrać miejsce noclegowe, bo do Rantepao przyjeżdża się ok. 5.00.

Przejazdy:

Po mieście i okolicy można poruszać się riksami (cena zależna od dystansu, od 5 do 15 tys. Rp).

W mieście wiele biur firm transportowych oferujących przejazdy do różnych miejscowości na wyspie.

Jedzenie:

W Rantepao jest kilka przyjemnych knajpek z dobrym jedzeniem. Są bardziej tradycyjne, gdzie jedzą też miejscowi, ale są i typowo urządzone pod turystów, ale też z dobrym jedzeniem.

Tradycyjny obiad – 45–50 tys. Rp,

Kurczak + frytki – 40 tys. Rp (główna potrawa dla naszych dzieci),

Frytki – 20 tys. Rp,

Piwo duże – 35 tys. Rp,

Kawa – 5–10 tys. Rp,

Sok – 10 tys. Rp.

Kraj Toraja (Celebes)

Wybraliśmy się w krainę Toraja, aby zobaczyć, jak żyją mieszkańcy, a przede wszystkim, aby uczestniczyć w specyficznych obrzędach pogrzebowych.

Naszą bazą wypadową było Rantepao. Tu wynajęliśmy przewodnika z samochodem. Naszym przewodnikiem był Nico, którego możemy polecić – tel 081 342 430 789. Cena za 2 dni od rana do wieczora – 1.300 tys. Rp. W trzeci dzień zostaliśmy zabrani extra przez naszego przewodnika na jeszcze jeden pogrzeb. Naszym zdaniem warto wynająć przewodnika, albowiem samemu trudno jeździć busikami od wioski do wioski i szukać, gdzie akurat są pogrzeby. Miejscowi słabo lub w ogóle nie mówią w języku angielskim.

Pogrzeby trwają od 2 do 7 dni. W trakcie uroczystości jest rytualne zabicie bawołów od 1–100 w zależności od statusu społecznego zmarłego. Żałobnicy ubrani na czarno (dawniej na biało) godzinami śpiewają jednostajne pieśni o śmierci oraz o życiu zmarłego i tańczą w koło, członkowie rodziny wygłaszają mowy pożegnalne, które wzbudzają zadumę lub wesołość. Gdy trumna jest wynoszona na plac, to członkowie rodzin, a także

wynajęte płaczki lamentują – im głośniej i żałośniejszy, tym lepiej. Turyści chętnie są przyjmowani na pogrzebach – często zapewnia im się najlepsze miejsca do obserwacji rytuałów. Mieliśmy wrażenie, iż przybycie turystów podnosi wg miejscowych rangę pogrzebu.

Goście przybywający na pogrzeb przynoszą podarunki dla rodziny zmarłego, jak np. świnie, cukier itp., turysta również winien dać jakiś dar. My za radą przewodnika dawaliśmy wagony papierosów. Rodzina częstuje napojami, ciasteczkami, mięsem bawolim z grilla lub z bambusa (papiong). Warto spróbować wszystkiego. Nasze dzieci ciągle były czymś częstowane lub dawano im podarki.

W przewodnikach jest wymienionych kilka miejsc, do których warto się udać, my odwiedziliśmy m.in.: Palawę z ciekawymi tongkonami, Lokomata, Bori z megalitami i ciekawymi cmentarzami z grobami wykutymi w skałach, Londę z cmentarnymi jaskiniami i silikonowymi tau-tau, Lemo z najbardziej widowiskową skalną ścianą pełną grobowców, przejeżdżaliśmy przez Ke'te Kesu. Byliśmy także w wielu wioskach, o których nie wspominają przewodniki – wioski te były naturalne, a ludzie bardzo gościnni. Oczywiście warto zobaczyć grobowce, nawet przy małych wioskach są one ciekawe.

Oglądając wioski czy obrzędy pogrzebowe, należy pamiętać o tym, że:

- nic nikomu nie płacimy w wioskach i na pogrzebach, obecnie to nobilitacja dla rodziny, że turyści chcą ich odwiedzić w trakcie pogrzebu;
- odpowiedni strój – polecany jest czarny;
- napoje lepiej zabrać ze sobą (możemy też zostać poczęstowani na pogrzebie lub kupimy w jednej z restauracji);
- należy zabrać podarunek dla rodziny zmarłego.

Makasar (Celebes)

Do Makasaru z kraju Torajów wróciliśmy wcześniej rano na dobę przed wylotem z Celebesu, mieliśmy więc trochę czasu na zwiedzenie miasta. Sam Makasar nie jest zbyt ciekawy. Głównym zabytkiem jest fort Rotterdam (wstęp – wolne datki) – w sumie nic ciekawego. Ciekawsze – jeśli ktoś nie widział wcześniej – są chińskie świątynie w dzielnicy portowej (naszym dzieciom się podobały). W odległości 3 km na północ od miasta jest stary port Paotere. Cumują tam drewniane dwumasztowce plemienia Bugis. Wstęp do portu 5 tys. Rp. Przez cały dzień wrze praca – statki są załadowywane lub rozładowywane towarami. Taxi z centrum do portu – 20 tys. Rp.

Nocleg:

Zatrzymaliśmy się w hotelu Pondok Suada Indah (II Hasanuddin 12) – cena 250 tys. Rp za pokój 2-os. ze śniadaniem, plus 100 tys. Rp za dodatkowe łóżko. Hotel zajmuje stary kolonialny budynek, pokoje przestronne i wygodne. Hotel Pantai Gapura Makasar – urocze chatki na palach stojące na morzu. Ceny pokoi (na łodzi) od 500 tys. Rp. Duży basen – wstęp dla osób spoza hotelu – 40 tys. Rp.

Przejazd:

Minibusy pełniące funkcję autobusów – 3 tys. Rp,

Taxi z Centrum na lotnisko (23 km) – 100 tys. Rp,

Samolot z Makassaru do Mataram (Lombok) – 750 tys. Rp (GARUDA).

Lombok

Na wyspie Lombok tym razem byliśmy jedynie przejazdem. Wylądowaliśmy na nowym lotnisku otwartym w 2012 r., położonym kilka km na południowy wschód od starego. Taksówka z lotniska do Bangsal, skąd odpywają łodzie do Gili – 205 tys. Rp.

Pusuk Pass – przełęcz, przez którą przejeżdżaliśmy taksówką. Piękne widoki plus ciekawskie mały.

Bangsar – wioska będąca bramą do wysp Gili. Pełno tu naciągaczy i oszustów. Ceny transportu publicznego na poszczególne wyspy:

Gili Air – 8 tys. Rp,

Gili Meno – 9 tys. Rp,

Gili Trawangan – 10 tys. Rp.

Transport publiczny po południu przestaje funkcjonować, pozostaje wówczas czarter łodzi – należy się targować, cena 100–150 tys. Rp.

Gili Meno

Spędziliśmy tu 4 dni na odpoczynku i morskich kąpielach.

Nocleg:

Kon Tiki Meno – bardzo przyjemny, 2-os., z wiatrakiem – 350 tys. Rp, 2 os. AC – 500 tys. Rp. Ze śniadaniem – www.kontikibungalows.com. My za 4 osoby płaciliśmy 450 tys. Rp za duży pokój z wiatrakiem.

Jedzenie:

Świeża ryba z ziemniakami i kukurydzą – 50 tys. Rp,

Ryba z grilla – 50–200 tys. Rp (zależy od wielkości),

Piwo duże: Bintag – 35 tys. Rp, Haineken – 38 tys. Rp,

Soki świeże – 20 tys. Rp,

Coca-cola, fanta – 10–12 tys. Rp.

Przejazdy:

Na Gili nie ma samochodów ani motocykli. Można poruszać się na piechotę lub przejechać bryczką ciągnioną przez konika (cena za przejazd przez wyspę 80 tys. Rp, dookoła wyspy 175 tys. Rp, można się targować).

Łódź publiczna do Bangsar na Lomboku – o 8.30 rano – cena 10 tys. Rp. Przejazd do Ubud na Bali przez Lombok (łodzią do Bangsar na Lomboku, stamtąd przejazd autobusem do Lembar, promem do Padangbai i autobusem do Ubud) – cena 200 tys. Rp, wybraliśmy szybszą opcję:

Z Gili bezpośrednio na Bali wodolotem do Padangbai, a następnie autobusem do dowolnego miejsca na wyspie – cena 350 tys. Rp (dzieci ½ ceny).

Inne przejazdy (prom do Bangsar + autobus):

– Mataram (stolica Lomboku) – 75. tys. Rp,

– Lembar (port z promami na Bali) – 125 tys. Rp,

– Padangbai (port na Bali) – 160 tys. Rp,

– Denpasar, Kuta Bali, Kuta Lombok – 200 tys. Rp,

– Sumbawa – 250 tys. Rp.

Amed (Bali)

Amed wybraliśmy na miejsce odpoczynku na Bali. Jeszcze w Polsce poprzez www.booking.com wynajęliśmy 200-metrową willę w balijskim stylu z prywatnym basenem w ośrodku Only You. (<http://www.onlyyou-bali.com/>). Cena – 100 EUR za dobę. Na miejscu mieliśmy trochę kłopotów (właściciele twierdzili, że nastąpiła pomyłka w ich relacjach z booking, cena za willę, którą wybraliśmy, w zależności od sezonu winna wynosić od 300 do 500 EUR za dobę i oferowali nam mniejszy domek), ale ostatecznie otrzymaliśmy klucze do luksusowej willi i spędziliśmy 2 dni w orientalnym komforcie.

Jedzenie:

W Amed nie ma dużego wyboru lokali gastronomicznych. Polecamy Barong Cafe – jedzenie pyszne (www.barongcafe.com).

Wycieczki:

Z Amed chcieliśmy pojechać do Ubud, po drodze zwiedzając część wyspy. Zorganizowaliśmy sobie przejazd i wycieczkę, wynajmując samochód z kierowcą (samochód wynajęliśmy w Barong Cafe). Cena po negocjacji – 480 tys. Rp. Wycieczka obejmowała pałac w Tirta Gangga, plantacje kawy, tarasy ryżowe, punkty widokowe na wulkan i jezioro Batur, świątynie w Kintamani plus wiele interesujących miejsc po drodze (mogliśmy zatrzymać się w każdym momencie). Wieczorem dojechalismy do Ubud.

Ubud (Bali)

Centrum kulturalne Bali i naszym zdaniem jedno z najciekawszych miejsc na wyspie.

Noclegi:

Bardzo duży wybór noclegów. My wynajmowaliśmy przepiękny bungalow z wielkim tarasem urządzone jak taras pałacu/świątyni (meble, rzeźby) w hotelu Narasoma – wspaniałe miejsce, basen. Adres; Jalan Monkey Forest, Gang Beji No 35 Ubud, www.narasoma.com.

Narasoma – 500 tys. Rp za bungalow.

Przejazdy:

Busy do:

- Sanur/lotnisko Denpasar/ Kuta – 9.00, 12.30, 15.30 – 50 tys. Rp,
- Nusa Lembangan – 9.00 – 125 tys. Rp,
- Pandagbai – 7.00, 8.30, 11.00 – 50 tys. Rp,
- Candi Dasa – 7.00, 8.30, 11.00 – 60 tys. Rp,
- Kintamani (Penelokan) / Bedugul Mundug – 11.00 – 95 tys. Rp,
- Tirta Gangga / Amed / Tulamben – 11.00 – 120 tys. Rp,
- Lovina – 11.00 – 125 tys. Rp,
- Munduk – 11.00 – 150 tys. Rp.

Transport busami na Lombok:

- Autobusy o 7.00, 8.30 i 11.00 do:

- Lembar – 95 tys. Rp,
- Mataram – 130 tys. Rp,
- Senggigi – 135 tys. Rp,
- Gili Air / Gili Meno/ Gili Terawangan – 150 tys. Rp.

Kuta (Lombok) – 7.00 – 200 tys. Rp,

Gili Terawangan – bus + woodlot – 7.00, 11.00 – 450 tys. Rp.

Przejazd taxi na lotnisko – 180 tys. Rp,

Taxi do Amed – 320 tys. Rp.

Wycieczki:

Ubud jest miejscem, skąd można zorganizować wycieczki w każdy zakątek wyspy. Jest wiele biur organizujących wycieczki. Przykładowe trasy i ceny (wybór wycieczek jest znacznie większy):

- Sayan (tarasy ryżowe) – Mengwi (świątynia) – Umaluang (tarasy ryżowe) – Bedugul (ogród botaniczny, jezioro) – start o 9.00, cena 135 tys. Rp;

- Mengwi (świątynia) – Bedugul (ogród botaniczny, jezioro) – Git Git (wodospad) – Lovina (plaża) – Banjar (gorące źródła) – Munduk (plantacje kawy) – start o 8.30, cena 200 tys. Rp;
- Goa Gajah (świątynia) – Pejeng (świątynia) – Gunung Kawi (świątynia) – Tampaksiring (świątynia) – Penelokan (punkt widokowy na wulkan i jezioro Batur) – Kintamani (świątynia) – Pujung (tarasy ryżowe) – start o 9.00, cena 135 tys. Rp;
- Goa Gajah (świątynia) – Tampaksiring (świątynia) – Kintamani (świątynia) – Besakih (największa ze świątyń balijskich) – Bukit Jambul (tarasy ryżowe) – start o 9.00, cena 150 tys. Rp;
- Gianyar (manufaktury rzemieślnicze) – Klungkung – Besakih – Sibetan (plantacje owocowe) – Candi Dasa (plaża) – Tenganan (wioska) – Goa Lawah (świątynia – jaskinia nietoperzy) – start 8.30, cena 175 tys. Rp;
- Mengwi (świątynia) – Bedugul (ogród botaniczny, jezioro) – Jati Luwih (tarasy ryżowe) – Tanah Lot (świątynia, zachód słońca) – start 10.00, cena 175 tys. Rp.

Atrakcje:

- Safari z delfinami (www.bluefinbali.com);
- Noc w zoo (www.bali-zoo.com) dorosły – 65 USD, dziecko 46 USD, rodzina (2+2) 198 USD
- Ubud to także centrum masażu – warto skorzystać, bo ceny są atrakcyjne. Każdy dostanie dużo ulotek i będzie mógł wybrać masaż, który mu odpowiada. Można skorzystać z Beji Ayu (www.bejiayu.com), masaże w cenie od 55 tys. Rp za 30 minut
- W Ubud prowadzonych jest także wiele kursów gotowania – co może być ciekawą formą poznania zwyczajów miejscowej ludności. Kursy prowadzą agencje lub restauracje.

Ubud – Denpasar

Z Ubud na lotnisko w Denpasar – taxi za 180 tys. Rp. Z Denpasar do Jakarty – cena 450 tys. Rp (plus 40 tys. Rp podatek) liniami Sriwijaya Air.

Jakarta – Bandung

Po wylądowaniu w Jakarcie chcieliśmy od razu jechać autobusem do Bandung. Autobusy kursują średnio co 30 minut w godz. Od 7.30 do 24.00 i potem o 2.00 w nocy. Koszt autobusu to 75 tys. Rp. Kursują też minibusy firmy Extrem – 100 tys. Rp., a dzieci – 90 tys. Rp. Koszt taksówki – 600–650 tys. Rp.

Taksówkarz wracający do Bandung zaoferował nam cenę 300 tys. Rp, co stanowiło tyle, ile mieliśmy łącznie zapłacić za autobus, a dodatkowo mogliśmy podjechać bezpośrednio pod hotel. W taksówce było już 2 pasażerów, ale i my z dziećmi i naszymi bagażami zostaliśmy upchani. Z Jakarty do Bandung jest autostrada i trzeba pokonać jedyne 150 km. Radzimy nie jechać w weekend lub święta, ponieważ autostrada może zostać zakorkowana przez powracających mieszkańców do Jakarty. My w drodze powrotnej staliśmy w 100 km korku i trasę **Bandung – Jakarta** pokonaliśmy w 4 h – ledwo zdążyliśmy na samolot.

Bandung

Bandung, zwany Paryżem Jawy, w swoim centrum kryje kilka ciekawych budynków art deco. Jednakże dzisiaj jest to miasto rozwijające się z problemami komunikacyjnymi. Obecnie mieszkańcy Jakarty spędzają tu weekendy, a także przyjeżdżają na zakupy

Walenty Zajkowski

Indonezja i trochę dalej (Australia)



Termin: 20 sierpnia – 13 września 2013 roku.

Uczestnicy: Joanna i Walenty Zajkowsy.

Trasa: Warszawa – Dubai – Jakarta – Yogyakarta – Denpasar – Singapur – Malakka – Kuala Lumpur – Sydney – Dubai – Warszawa.

Koszt pobytu: ok. 9000 zł/os.

Na trasie Warszawa – Jakarta i Sydney – Warszawa podróżowaliśmy liniami Emirates, natomiast na trasie Denpasar – Singapur i Kuala Lumpur – Sydney liniami Air Asia. Rezerwacji na Air Asia można dokonać na praktycznie każdej wyszukiwarce lotów, ale chyba najkorzystniej zrobić to bezpośrednio na stronie linii lotniczych. Wymaga to co prawda logowania, ale stwarza możliwość zbierania punktów do promocji na przyszłość, ułatwia dokonanie odprawy elektronicznie i wybór najlepszych miejsc w samolocie. Łączna cena biletów lotniczych na całej trasie to koszt 5100 zł/os. Jakość obsługi klienta w liniach Emirates odpowiada pozycji przewoźnika w rankingu linii lotniczych, natomiast popularna wśród obywateli Air Asia to typowa tania linia lotnicza (bez monitora, posiłków, koca, z dodatkową opłatą za bagaż w zależności od deklarowanego ciężaru). Cena jednak jest tak skalkulowana, że nie wypada marudzić.

Bilety w Emirates kupiłem w lutym, aby mieć dostateczną ilość czasu na wyszukanie tanich przelotów na azjatyckich trasach i tanich noclegów w miejscach, gdzie w ostatniej chwili mógłby być z tym problem. Trasa Denpasar – Singapur i Kuala Lumpur – Sydney to właściwie trasa zastępcza. W pierwotnej wersji miało być po prostu Denpasar – Sydney, ale dzięki promocjom Air Asia okazała się droższa od naszej trasy okrężnej przez Singapur.

W czasie pobytu korzystaliśmy z *Indonesia – Lonely Planet (2009)*, *Australia – Pascala (2006)* i oczywiście ze wszystkich informacji wyłuskanych na forach i relacji poprzedników.

Przed wyjazdem ubezpieczyliśmy się w Warcie, chociaż na Australię polecałbym Allianz, bo jest obecny na tym rynku i ewentualna pomoc mogłaby się pewnie odbyć bezgotówkowo.

Wizy:

- Singapur i Malezja: nie wymagają wiz;
- Indonezja: 25 USD na lotnisku;
- Zjednoczone Emiraty Arabskie: przy podróży liniami Emirates, linie lotnicze pośredniczą w uzyskaniu 96-godzinnej wizy. Koszt 190 AED. Czas oczekiwania kilka dni. Wizę należy wydrukować i okazać na lotnisku;
- Australia: bezpłatnie w ciągu jednego dnia elektronicznie.

Kursy walut w stosunku do 1 USD:

- Indonezja: 10 000 rupii indonezyjskich (IDR) na lotnisku w kantorze, 10 500–10 900 w kantorach na Bali, 10 857 z bankomatu,
- Singapur: 1,25 dolarów singapurskich (SGD) z bankomatu,
- Malezja: ok. 3,1 ringgitów (RM),
- Australia: 1,06 dolara australijskiego (AUD) z bankomatu,
- Zjednoczone Emiraty Arabskie: 3,6 dirhamów (AED) z bankomatu.

W celu pozyskania lokalnej waluty najczęściej korzystaliśmy z bankomatów.

Przykładowe ceny w miejscowej walucie:

Indonezja:

- Woda 1,5 l – 3000–4600, puszka coli – 6000, cola 1,5 l – 9900–15 500, piwo 0,65 l – 27 800–37 000.

Singapur:

Woda 1,5 l – 1,1–2,8, cola 1,5 l – 2,25–3,6, chleb tostowy – 1,8–2,5.

Malezja:

Woda 1,5 l – 1,8, sok 1 l – 3,3, piwo w lokalu – 15–20.

Australia:

Piwo – od 3,5, chleb tostowy – od 2, cola 1 l – 3, woda 1 l – 1–2, mały słoiczek dżemu – 3, bułka w McDonalddie – od 5.

Zjednoczone Emiraty Arabskie:

Cola 1 l – 3, mała cola – 1, mały sok w kartonie – 1, ciastko w kawiarni – 15–20, kawa w McDonald – 5–7, mała bułka w McDonald – 5–8.

RELACJA Z PODRÓŻY

20 sierpnia

O godz. 13.45 wystartowaliśmy z Okęcia pełni wiary, że to będzie kolejna podróż życia (jak zwykle). Ze względu na sześciogodzinną przerwę w podróży linie Emirates zafundowały bezpłatny posiłek. Na lotnisku w specjalnym okienku wbijają pieczętkę, będącą voucherem na posiłek. Zresztą im dłużej się czeka na przesiadkę w liniach Emirates, tym ciekawsze atrakcje oferuje przewoźnik, łącznie z noclegiem i zwiedzaniem miasta. Szczegółowo wszystko można znaleźć na stronie linii lotniczych.

21 sierpnia

Po południu przed 16.00 wylądowaliśmy w Jakarcie (wiza na lotnisku – 25 USD). Po wyjściu z hali przylotów należy kierować się w lewo. Na końcu podjazdu są stanowiska autobusów jadących do miasta (bilet 30 000 IDR w kasie obok lub w autobusie), w tym również na stację kolejową Gambir, skąd już tylko dwa kroki na ulicę Jl. Jaksa z najpopularniejszymi tanimi hotelami. Przypadkowo trafiliśmy do polecanego przez Lonely Planet hotelu Tator. Lekko sfatygowany i wymagający odświeżenia, ale cena 160 tys.IDR

za dwójkę jak najbardziej do zaakceptowania (klimatyzacja, śniadanie, 100 000 IDR depozyt za klucz).

Wieczorem udaliśmy się na stację Gambir, aby bezpiecznie z wyprzedzeniem kupić bilet do Yogyakarta na pojutrze. Koszt biletu to 360 000 IDR w klasie eksekutyf, tej najlepszej. Pociąg startujący o 8.30 ma tylko takie wagony. Tańsze zestawy wyruszają ze stacji Pasar Senen. Na stacji Gambir bilety w przedsprzedaży kupuje się w okienkach 6–9.

22 sierpnia

Dzisiaj zaplanowaliśmy wypad na zachodnie wybrzeże Jawy, trochę z nadzieją na ujrzanie na horyzoncie zarysu Gunung Krakatau, najszynniejszego wulkanu świata. Autobusy na wschód jadą z dworca Kalideres. Na dworzec łatwo dostać się komunikacją miejską. Autobusy zatrzymują się przy specjalnych metalowych podestach, będących przystankami. Tam też można kupić bilety, a jeśli zakomunikujemy wszem i wobec, gdzie chcemy jechać, to obsługa i współpasażerowie dopilnują, żebyśmy się nie zgubili. Metoda sprawdzona i skuteczna na całym świecie. Dzięki wydzielonym buspasom komunikacja funkcjonuje sprawnie i w wiele miejsc można się szybciej przedostać niż taksówkami, które muszą zmagać się w godzinach szczytu z korkami. Zasada działania komunikacji autobusowej jest zbliżona do metra w niektórych miastach. Jeśli nie opuścimy podestu (platformy), możemy przesiąść się na inny autobus na ten sam bilet. Cena pojedynczego biletu 2000, lub 3500 IDR (nie wiem, od czego to zależy).

Za bilet z dworca Kalideres do Labuan zapłaciliśmy po negocjacjach 40 000 IDR/os., przy cenie wywoławczej – 200 000 IDR (ze względu na roboty drogowe 5 godzin w jedną stronę). Z Labuan do Carity kursują liczne busy, ale cena też umowna. Negocjacje są utrudnione, gdyż wsiada się praktycznie w biegu. Będąc w środku busa, byliśmy już skazani na pазernych kierowców. Podejrzałem, że miejscowi płacili po 2000 IDR, my niestety po 20 000. Taka cena to porażka. Nie jest to wielka kwota, ale zasada cierpi. Porażką były również widoki. Krakatau tak jak na pocztówkach jest widoczny pewnie rzadko, tylko przy dużej przejrzystości powietrza, a być może widoki reklamowane jako te z Carity są robione z zupełnie innego miejsca. Na pocieszenie zostanie w pamięci barwna podróż lokalnymi autobusami z licznymi sprzedawcami lokalnych przysmaków i różnymi grajkami. Atmosfera jak na jarmarku.

Żeby nacieszyć oczy widokiem Krakatau, nie da się tego z Jakarty zrobić w jeden dzień. Wulkan jest dobrze widoczny dopiero po 2 godzinach rejsu tanią i wolną łódką, a żeby dostać się w jego pobliże, trzeba 5 godzin. Najlepiej łódkę znaleźć rano lub umówić się na rejs dzień wcześniej, gdyż po południu ceny już są zaporowe.

23 sierpnia

Ok. 16.00 dotarliśmy do Yogyakarta, przez wszystkich zwanej Yogya (praktycznie tylko ten skrót obowiązuje w mieście, lub używana przez Indonezyjczyków nazwa Jogja).

Niedaleko dworca kolejowego Tugu, między ulicami Malioboro i Jogonegaran znajduje się mnóstwo niskobudżetowych hotelików. Ceny zaczynają się od 120 000 IDR/2-os. pokój z klimatyzacją. Nasz wybór padł na Losman Lucy z Lonely Planet, ale szybko skorygowaliśmy nasz wybór, ze względu na niesprawną klimatyzację. Sąsiedni Ridomas Hotel natomiast jest jak najbardziej godny polecenia. Cena 200 000 IDR za czystutki pokój z klimatyzacją i skromnym śniadaniem. Niestety wi-fi na całej trasie rzadko było dostępne w hotelowych pokojach. W Yogya koszt połączenia internetowego

towego to 3500 IDR/pół godziny. Z bankomatów można korzystać w centrum handlowym przy ul. Malioboro, na I piętrze w rogu.

Na dzisiaj zaplanowaliśmy jeszcze wynalezienie wycieczki na wulkany Bromo i Ijen z transferem na Bali. Zdecydowaliśmy się na imprezę zorganizowaną ze względu na czas. Koszt samodzielnego dotarcia do ww. wulkanów byłby niewiele niższy.

Oferty licznych w okolicy ul. Sosrowijayan agencji turystycznych są bardzo różnorodne, ale zbliżone cenowo.

Satu Dunia Tour and Travel ul. Sosrowijayan Gang I/70 (nasze):

- Bromo 2 dni – 380 000 IDR,
- Bromo, Ijen 3 dni – 580 000 IDR (nasza),
- jw., ale z Sukamade Turtle Beach 5 dni – 300 EUR (podobno wspaniała),
- Bromo, tylko transport – 180 000 IDR,
- Merapi trekking 5–14 godz. – 125 000–225 000.

Inne godne polecenia agencje to Ari Tour & Travel ul. Sosrowijayan 26 lub Bromo Tour & Travel ul. Sosrowijayan 16.

24 sierpnia

System komunikacji miejskiej w Yogya jest podobny jak w Jakarcie i funkcjonuje równie sprawnie. Na dzień dzisiejszy zaplanowaliśmy Prambanan i Sangiran. Prambanan to oczywiście standard, więc naiwny turysta zapłaci za wejście każdą cenę, podobnie jak Borobudur. Biorąc pod uwagę indonezyjskie realia, obie ceny są dziesięciokrotnie zawyżone. Sangiran (miejsce odkrycia „człowieka z Jawy” – *Pithecanthropus erectus*) to taka moja ekstrawagancja. Brak turystów i ceny normalne.

Do Sangiran najłatwiej dostać się z Solo. Najtaniej dotrzemy tam z dworca autobusowego Giwangan lokalnym autobusem za 15 000 IDR w ciągu 2,5 godziny (wstęp na dworzec, do strefy autobusów międzymiastowych – 500 IDR). Na dworzec Giwangan z Malioboro kursuje autobus miejski 3A. Za kurs z dworca w Solo do muzeum w Sangiran i powrót wynegocjowaliśmy z taksówkarzem cenę 120 000 IDR. Muzeum dość ciekawe z interesującą ekspozycją. Czas zwiedzania to ok. 1 godz., bilet wstępu 11 500 IDR.

Z Solo do Prambanan lokalny autobus za 10 000 IDR jedzie 2 godziny. Główne świątynie udostępnione zwiedzającym zajmują niewielki obszar. Całkiem sympatyczny dzień popsuty wejściówką za 171 000 IDR.

Z Malioboro do Prambanan kursuje autobus miejski 1A za 3000 IDR. Od końcowego przystanku do bramy wejściowej do świątyni jest ok. 500 metrów, idąc w kierunku Solo.

25 sierpnia

Borobudur to żelazny punkt każdego turysty w Indonezji. Dlatego ciągle rosnąca cena wejściówki obecnie zatrzymała się na poziomie 190 000 IDR, chociaż dzisiaj może być już wyższa. Borobudur jest piękne, ale tłumy i komercja na każdym kroku psują ten obraz. Miły akcent w postaci kawy i wody z lodówki przed wejściem nie zatrze niesmaku, jaki zostawiają takie miejsca.

Do Borobudur autobusy też jadą z dworca Giwangan, a cena dla cudzoziemców jest „umowna” i mieści się między 10 000 IDR a 20 000 IDR, chociaż wywoławcza może sięgać i 40 000 IDR.

Po powrocie na krótko zajrzeliśmy do Gambiraloka Zoo (20 000 IDR), aby upewnić się, ile tracimy, omijając Komodo, gdyż jedną z większych atrakcji jest tam właśnie

słynny waran. Mam nadzieję, że na wolności są bardziej aktywne, bo ten na wybiegu jedyny ruch jaki wykonał to powieka. W naszym odczuciu prawdziwą gwiazdą zoo jest mały hipopotam (na lewo od wejścia). Czarował wszystkich „wyłudając” pożywienie i przy swojej bezradności wychodziło to całkiem skutecznie. Zoo to niezłe miejsce na miłe popołudnie. Na Malioboro wróciliśmy autobusem miejskim 1B. Nie ma potrzeby pamiętania numerów autobusów. Obsługa przystanków i podróżni pomogą w razie potrzeby, a nawet, jeśli nie oczekujemy pomocy, to i tak zaproponują. Taki jest cały Daleki Wschód, bez względu na wyznanie.

Wieczorem, na pożegnanie z Yogya spacer po mieście. Polecam wizytę w Mesjid Besar (Wielki Meczet). Chętnie zapraszają do środka i opowiadają o meczecie i religii. Można robić zdjęcia. I znów ta nienaganna uprzejmość. Nikt nie nalega na żadne datki, inaczej jak w krajach arabskich. Ale to zupełnie inni muzułmanie. Tak to odczułem z perspektywy kilkuletniego pobytu w krajach arabskich.

Malioboro noszą to prawdziwe tętniące życiem serce Yogya. Wszechobecny handel praktycznie wszystkim i nieustannie przewalający się tłum ludzi.

26 sierpnia

Punktualnie o 8.30 spod hotelu wygodnym busem udaliśmy się w dziesięciogodzinną podróż do Probolinggo, a następnie już mniej wygodnym do strefy hoteli pod Bromo (1 godzina). Zakwaterowanie w zależności od wykupionego standardu. My dostajemy najskromniejszy, ale z ciepłym prysznicem, a noc i tak nie będzie długa. Temperatura spadła poniżej 10 stopni.

27 sierpnia

Wykupiliśmy opcję z dojazdem jeepem na punkt widokowy (100 000 IDR). Trudno zrezygnować z najpiękniejszego widoku na wulkan. Wystartowaliśmy o 3.30 i po kilku minutach byliśmy u podnóża stromej wspinaczki na punkt widokowy. Rześkie powietrze, temperatura nie przekracza 5 stopni. Przydały się swetry i kurtki, które przezornie zabraliśmy z kraju. Najlepszy widok wcale nie jest z najwyższego miejsca, ale z przedostatniej platformy widokowej. Przekonaliśmy się o tym, już schodząc w dół. Ok. 5.30 przejazd na krawędź wulkanu i znów forsowna wspinaczka, tym razem po schodach. Praktycznie niemożliwe jest pokonanie stromizny bez odpoczynku. Ok. 7.30 powrót do hotelu na śniadanie, które okazało się w cenie, i prysznic. O godz. 9.30 powrót do Probolinggo, zmiana busa i o godz. 11.00 przejazd w kierunku Ijen. Droga w bardzo złym stanie, wąska i dziurawa. Tylko 170 km, ale do celu dotarliśmy dopiero o godz. 17.30, uwzględniając półgodzinną przerwę na posiłek (obfity za 25 000–45 000 IDR). Hotel (Catimor Homestay) tym razem ze wszystkim i bardziej niż przyzwoity. Ciepły prysznic, kawa, herbata, basen pływacki, basen z gorącą wodą z miejscowego źródła.

28 sierpnia

Pobudka znów w środku nocy. O 3.30 śniadanie i pół godziny później wyjazd do parku narodowego, którego główną atrakcją jest wulkan Ijen. Na 17 km potrzebowaliśmy godzinę z okładem. W międzyczasie wcisnęli nam bilety wstępu, co wraz z pozwoleniem na robienie zdjęć kosztowało 55 000 IDR/os. Przy bramie parku od razu „zaopiekował się” nami miejscowy przewodnik (być może na co dzień górnik) i nie odpuścił łatwego zarobku już do końca. Zwyczajowo za sprowadzenie do krateru i powrót opłata wynosi 100 000 IDR od przewodnika. U nas to było rozbite na 3 osoby.

Najbardziej wyczerpujące jest podejście na krawędź wulkanu – 1,5 godziny ostrej wspinaczki z pięknymi widokami. To, co się dzieje później, wynagradza w zupełności ten trud i powiem więcej, że jest warte każdego wysiłku. Może dlatego, że widoki nie są tak spopularyzowane jak te z Bromo. Na krawędzi wulkanu pierwsze wrażenie – niezemskie, spotęgowane wszechobecnym zapachem i oparami siarki. Zejście na dno krateru (ok. pół godziny w jedną stronę), to jak zejście do wnętrza Ziemi. Nikt nie pilnował wejścia, chociaż na forach czytałem, że niektórzy mieli problemy. Może tym problemem była ta wejściówka za 55 000 IDR. Jeśli ktoś stanie przed takim dylematem, to w mojej opinii są to najlepiej wydane pieniądze na całym wyjeździe.

Im niżej, tym coraz bardziej widoki są niesamowite. Od połowy zejścia to już żaden opis nie jest w stanie zobrazować miejsca i panującej atmosfery. Przesadzone są opisy o duszących oparach siarki, a może to emocje wzięły górę do tego stopnia, że nawet nie potrzebowaliśmy masek. Zresztą opary siarki w takim stężeniu nie są szkodliwe, a magię miejsca trzeba chłonąć wszystkimi zmysłami.

Na dnie bryły siarki są ładowane w kosze i wynoszone przez górników na powierzchnię. Jednorazowy ładunek to 60–80 kg. Katorżniczy wysiłek. Męczące jest podejście nawet bez ładunku, a oni tę czynność powtarzają codziennie. Powrót do bram parku zajmuje ok. 1 godziny.

Było to ostatnie miejsce na trasie podróży, gdzie potrzebowaliśmy ciepłych ubrań. Wracając, obdarowaliśmy jednego z górników niepotrzebnymi już swetrami. Radość w jego oczach – bezcenna. W rewanżu dostaliśmy wyrzeźbione z siarki żółwika i kwiatek. Najpiękniejsze z możliwych pamiątek z niezwykłego miejsca.

Do portu w Ketapang jedzie się 1,5 godziny. Po drodze dokupiliśmy w agencji transport do Denpasar za 75 000 IDR/os. Drogo, ale na nocleg chcieliśmy zdążyć do Padangbai i chyba odczuwaliśmy trochę zmęczenie tymi ostatnimi nocnymi pobudkami. W porcie byliśmy o godz. 10.00 (na Bali + 1 godz.). Prom na Bali 6500 IDR (u nas był w cenie). Do Denpasar dotarliśmy o godz. 16.30, a właściwie do Mengwi, gdzie jest nowy terminal. Potwierdziły się w pełni informacje o nie najlepszej komunikacji zbiorowej na Bali. Żeby nie eksperymentować, z terminalu autobusowego wzięliśmy taksówkę do Padangbai za 300 000 IDR, szczególnie że przejazd na terminal w Batubulan, gdzie ewentualnie można szukać busa do Padangbai, to koszt przejazdu taksówką „na licznik” ponad 100 000 IDR.

W Padangbai za namową przypadkowo spotkanego Anglika trafiliśmy na 5 nocy do Celagi Inn (150 000 IDR/pokój – skomplikowane dojście, ale każdy wskaże drogę). Świetny wybór. Co prawda tylko z wiatrakami (znośnie), ale z obfitymi śniadaniem na tarasie na dachu z widokiem na całe miasteczko. Pokoje z klimatyzacją w mieście to ceny od 300 000 IDR wzwyż.

29 sierpnia – 1 września

Czas na leniuchowanie na Bali. Padangbai leży nad zatoką z piękną plażą, która niestety obecnie pełni rolę portu pasażersko-rybackiego. Promy odpływają na Lombok, jak również na pobliskie mniejsze wysepki, będące miejscem do wypoczynku i dobrymi terenami do nurkowania (rejsy już od 100 000 IDR). Taki mało zachęcający widok zatoki skutecznie odstrasza turystów. Zatrzymują się tylko ci, którzy wiedzą, jakie skarby kryją dwie sąsiednie niewielkie zatoczki. Blue Lagoon Beach to doskonałe miejsce do nurkowania z fajką. Na plaży za 50 000 IDR można wypożyczyć maskę na cały dzień

i nurkować bezpośrednio z brzegu. Piękne, kolorowe ryby, wspaniałe korale, jak w bajce. Zatoka po drugiej stronie miasteczka, Bias Tugal, to doskonałe kąpielisko z rajską plażą jak z najlepszych turystycznych folderów (uwaga na silną falę powrotną). Na plażę prowadzi skrót. Ok. 100 m za pocztą kamienista droga pnie się stromo pod górę i po ok. 300 m ze stromego brzegu widać biały piasek zatoki. Miejscowi chętnie pokażą drogę. Dodatkową zaletą obu plaż jest to, że do południa są kompletnie puste, a po południu to max 20 osób.

W Padangbai komórki są poza zasięgiem, natomiast Internet chodzi w każdej restauracji. Są również trzy kafejki internetowe, ale godzinne korzystanie (12 000 IDR) to jest mniej więcej tyle, co skromny posiłek w restauracji i darmowy Internet. Wyśmienity ryż (nasi) z dodatkami w restauracji to koszt 25 000–30 000 IDR.

W agencji turystycznej obok portu (Perama Tourist Service) wykupiliśmy w pakiecie półdniowe zwiedzanie Bali (Pura Besakih, tarasy ryżowe Bukit Jambul, Semarangura) oraz transfer na lotnisko w Denpasar w ostatnim dniu pobytu. Cena 500 000 IDR, nie do osiągnięcia przy zakupie osobno. Taksówka na lotnisko z Padangbai to koszt 300 000 IDR, z szansą wynegocjowania na 250 000 IDR. Busy na lotnisko są dopasowane do wieczornych i nocnych lotów. Cena 75 000 IDR, ale wyjeżdżają dopiero od 9.00 i jadą 3–4 godziny, gdyż kursem okrężnym przez Ubud, Sanur i Kutę. Przy naszym wylocie o 12.55 nie do przyjęcia.

Pura Besakih, rozległy kompleks świątynny, na pewno wart odwiedzenia. Bilet wstępu kosztuje 15 000 IDR + 5000 IDR parking. Miejscowi przewodnicy żądają 100 000 IDR, ale i tak nie wejdą tam, gdzie nie ma wstępu, więc wydatek raczej zbędny. Zresztą, zwiedzając samodzielnie, nikt nam niczego nie zabraniał, mimo że były jakieś uroczystości religijne. Sarongi nie są obowiązkowe, mimo że wszyscy po drodze twierdzą inaczej.

Tarasy ryżowe Bukit Jambul można sobie darować. Nie są obecnie użytkowane i spełniają raczej rolę ogrodu przy restauracji. Być może kiedyś wyglądały inaczej, bo na forach spotkałem bardzo pozytywne opinie.

Smarapura, ładna świątynia w centrum miasta. Bilet wstępu – 12 000 IDR.

2 września

Zgodnie z umową podstawionym busem przez agencję o godz. 8.00 wyruszyliśmy na lotnisko. Czas przejazdu z Padangbai to ok. 1,5 godziny. O 12.55 kierunek Singapur. Przed wylotem haracz 150 000 IDR opłaty wylotowej.

Hotele w Singapurze, Malakce, Kuala Lumpur, Sydney i Dubaju, rezerwowaliśmy przez Booking.com, gdyż w relacjach poprzedników czytaliśmy, że w tych miejscach w ostatniej chwili może być w hotelach drogo.

Z lotniska do centrum Singapuru najwygodniej dostać się metrem. Singapurski City Center Backpackers Hostel (42 SGD/dwójkę) okazał się norą, ale w dobrej lokalizacji. Dzisiaj jeszcze kupiliśmy bilety do Malakki na 4 września, w cenie 25 SGD/os. Autobusy do Malakki i Kuala Lumpur odjeżdżają z Beach Road, obok Golden Mile Complex. Tam też na parterze mieści się przedstawicielstwo linii, z której korzystaliśmy Star Mart Express Air Asia Liner.

3 września

Przed południem w pierwszej kolejności oczywiście Marina Bay, gdzie każdy fragment nabrzeża funduje piękne widoki. Nad zatoką dominuje Marina Bay Sands, trzy-

częściowa wieża połączona olbrzymią platformą na poziomie 56. piętra. Wjazd na platformę to obowiązkowy punkt zwiedzania miasta. Bilety kupuje się w podziemiach trzeciej wieży, a wejście jest zlokalizowane na zewnątrz budynku. Wspaniały widok rozciąga się na boisko piłkarskie na wodach zatoki, tor F1, piękne ogrody po drugiej stronie East Coast Parkway i basen na 57 piętrze. Wjazd windą na platformę – 20 SGD. Nieustanny tłok panuje przy Merlionie, symbolu Singapuru.

Do Raffles Hotel wstęp mają tylko goście, natomiast każdy może wpaść do Long Baru na szklaneczkę ginu i fistaszki (boczne wejście w hotelowym budynku).

Singapur to doskonałe miejsce do poznania różnych azjatyckich kuchni. Liczne chińskie, hinduskie, tajskie czy koreańskie restauracje oferują dania w cenie od 5 SGD, do 20 za koreańskie bulgogi.

Singapurska Chinatown, to jak skrawek Chin. Najbardziej autentyczna chińska dzielnica jaką widziałem. Mnóstwo jedzenia, od bezpiecznego ulicznego, po eleganckie restauracje. Wszechobecny uliczny handel. Atmosferę dopełniają kolorowe lampiony. Chinatown to również najlepsze miejsce na kupno owoców (trochę droższe niż w Polsce).

4 września

Rano o godz. 7.30, w deszczu, wyruszyliśmy do Malakki. Granicę przekroczyliśmy bardzo sprawnie i po 4 godzinach dotarliśmy do głównego dworca autobusowego w Malakce. Od razu w okienku nr 10, autobusów międzymiastowych, kupiliśmy bilet na najwcześniejszy kurs, na następny dzień, na terminal Air Asia (LCCT) w KL (jak nazywają w skrócie Malezjczycy). Czas przejazdu ok. 3 godzin, cena 24 RM/os. Z głównego dworca autobusowego do centrum można dostać się taksówką za 20 RM lub autobusem nr 17 za 1,3 RM. Autobus jedzie trasą okrężną, przejeżdżając przez centrum. Jedno kółko to ponad 1 godz.

Nasz Yellow Mansion Hotel znajduje się w centrum i na pewno jest godny polecenia (65 RM/dwójkę).

Malakka to miłe, urokliwe, typowo kolonialne miasto. Odnowianie centrum jest w końcowym etapie. Urzeka zwłaszcza romantyczna atmosfera nadrzecznych lokali (posiłki w cenie od 8 RM do 20). Zaskakuje natomiast brak turystów. Po rzece kursują tramwaje wodne. Kilkanaście przystanków usytuowano naprzemiennie, na lewym i prawym brzegu.

5 września

Autobus nr 17 zaczyna kursy od godz. 6.00. Droga na główny dworzec autobusowy jest dopełnieniem jego wczorajszej trasy okrężnej. Bilet kosztuje 2 RM, a podróż trwa prawie godzinę. Drogi w Malezji są w bardzo dobrym stanie. Główne trasy to autostrady i drogi ekspresowe. Przemieszczanie się to prawdziwa przyjemność.

Na terminalu Air Asia plecaki zostawiliśmy w przechowalni. Zdzierstwo, za dwa plecaki zapłaciliśmy w najtańszej opcji 65 RM. Nie było wyjścia, gdyż tak zaplanowaliśmy wypad do KL. Z terminalu do KL Sentral kursują wahadłowo autobusy co pół godziny. Przejazd w jedną stronę kosztuje 8–10 RM (1 godzina), a bilet powrotny 14 RM. Do Petronas Twin Towers z KL Sentral najłatwiej dostać się metrem, stacja KLCC. Kilka ciekawych miejsc znajduje się obok National Mosque: Islamic Arts Museum, Bird Park, Orchid Garden, a Butterfly Park można sobie darować.

Na terminalu wydaliśmy ostatnie malezyjskie ringgity w jednej z licznych restauracji (obfite posiłki w granicach 8–15 RM) i tak zakończyliśmy pierwszą, azjatycką część wyprawy.

6 września

To już Australia. Bezproblemowa, skrócona odprawa. Już na lotnisku mieliśmy wrażenie, że jako gości z Europy traktują szczególnie. Dopiero później mieliśmy się przekonać, że oni po prostu tacy są. Ta izolacja od „starego świata” sprawiła, że są jak na polskie standardy nienaturalnie uprzejmi. Takie przynajmniej zostało wrażenie po kilkudniowym pobycie. Nieuprzejmość jest traktowana jako dziwne zachowanie i być może wymaga leczenia psychiatrycznego. Chyba znaleźliśmy swoje drugie miejsce na Ziemi.

Na lotnisku nie sposób nie trafić na ulotkę zachęcającą do podróży do centrum po ciągiem. Aby dostać się na naszą Kings Cross Station, na lotnisku wsiedliśmy na pierwszej platformie. Na Central Station konieczna przesiadka i z 24. platformy dotarliśmy do celu. Bilet na całej trasie 17 AUD. Tam już tylko dwa kroki do Challis Lodge, przy Challis Ave na Potts Point. Cena 71,25 AUD/dwójkę. Lokalizacja idealna w bardzo spokojnej części Kings Cross z dala od trochę hałaśliwych okolic stacji metra. Pobliski Holiday Inn przy Victoria Street jest punktem startu licznych wycieczek w okolicach Sydney i busów na lotnisko (12 AUD).

Poznanie Sydney zaczęliśmy od Bondi Beach – luzerskiego symbolu Sydney i całej Australii. Oczywiście powodem wizyty nie było plażowanie. Magnesem są słynni surferzy (na każdym kroku surferski lifestyle i pozdrowienia shaka). Trochę nie mieliśmy szczęścia, gdyż trafiliśmy na grupę raczej początkujących. Szpanerskie marki Billa-bonga czy Quiksilver to na Bondi strój codzienny, tak jak u nas np. Wólczanka. Na Bondi Beach najwygodniej dostać się biletem łączonym metro + autobus za 9 AUD. Wsiada się na stacji Bondi Junction, a następnie autobusy nr 333, 381, 382 przejeżdżają obok plaży. W okolicy wszystko kręci się wokół surfingu.

7 września

Pełni nadziei wyruszyliśmy o 7.00 rano w kierunku Circular Quay. Po drodze piękny Royal Botanic Gardens i wypad do Mrs Macquaries Point, skąd o poranku jest prawdopodobnie najpiękniejszy widok na Sydney Harbour Bridge i operę. Na 10.00 wykupiliśmy jeszcze w kraju rejs na oglądanie walen. Można to zrobić spokojnie na miejscu. Oferta jest naprawdę bogata. Naszą imprezę „Whale Watching” wykupiliśmy w agencji turystycznej Viator, ale i tak większość rejsów obsługuje Captain Cook Cruises. Za 3-godzinny rejs zapłaciliśmy 82 AUD/os. Dopłynięcie do miejsca obserwacji zajmuje ok.1 godz., tyle samo wypatrywanie walen i powrót. Na oceanie obowiązują zasady, które uniemożliwiają podpłynięcie do wielorybów i do sąsiedniej łódki, na mniej niż 100 m. Z trzech łódek krążących w okolicy podglądaliśmy ukazujące się od czasu do czasu olbrzymie ich ciała. Wtedy stała się rzecz przedziwna. Jeden z młodych walen podpłynął do najmniejszej z łódek (niestety, nie nasza) i dał popis jak tresowana foka w cyrku. Wynurzał głowę, oglądał ludzi na pokładzie, machał im przed nosem ogonem, pokazywał się to z jednej, to z drugiej strony, ocierał się o kadłub. Najpiękniejszy spektakl natury jaki można sobie wyobrazić. Mijał powoli czas obserwacji i odrobinę rozczarowani zawracaliśmy w stronę portu. Mała łódka nie miała zamiaru wracać. Może turyści związali kapitana i nie mógł wrócić? Zrobiłbym tak samo, gdyby waleń wybrał naszą łódkę.

Po południu odwiedziliśmy Rocks z licznymi straganami i udaliśmy się na most, chociaż piękne widoki zasłaniają kraty. Wejście na południowy pylon mostu – 11 AUD.

Wieczorami Australijczycy i turyści masowo okupują restauracje. Ceny w restauracjach zaczynają się od 20 AUD za średniej wielkości danie. Dużo taniej jest w barach szybkiej obsługi, gdzie można porządnie zjeść już za 8 AUD.

8 września

Na Kings Cross o godz. 7.00 w niedzielę zabawa trwa jeszcze w najlepsze od soboty. Nie są to ani pijackie burdy, ani krzyki podchmielonych imprezowiczów, tylko pogodni młodzi ludzie co najwyżej o lekko ekstrawaganckim wyglądzie.

Fish Market warto odwiedzić tylko w czasie giełdy. Poza – to właściwie zwykłe sklepy z rybami. Pobliskie akwarium (38 AUD) na pewno powinni odwiedzić ci, którzy nie planują nurkowania na Wielkiej Rafie Koralowej. Są jeszcze przezroczyste tunele podwodne. Obecnie to już standard w każdym większym tego typu obiekcie.

Zakupy to przede wszystkim Pitt Street. Jeśli ktoś nie jest fanem zakupów, to też warto tam się udać ze względu na barwne życie australijskiej ulicy.

9 września

Góry Błękitne, to chyba najciekawsza propozycja jednodniowego wypadu poza Sydney. Jeszcze w Polsce zarezerwowaliśmy wycieczkę z Oztrek. Cena 59 AUD, płatne na miejscu i dodatkowo 35 AUD za rundę po górach z wykorzystaniem 2 kolejek linowych i szynowej, oraz spacer pomostami po dolinie. Firma godna polecenia i najtańsza.

10 września

Busem spod Holiday Inn udaliśmy się na lotnisko. Już wiem, 4 dni to nawet tylko na Sydney za mało. Australia nie jest tania, ale warta każdych pieniędzy. Choroba, chyba trzeba będzie wrócić!

11 września

Dubai to ultranowoczesne miasto ze starą arabską zabudową u ujścia Dubai Creek. Bardzo funkcjonalne i nowoczesne metro spina cały rozległy obszar miejski. Budowana właśnie trzecia linia nadbrzeżna zapewni dojazd do wszystkich najważniejszych obiektów. Bilet całonocny kosztuje 16 AED. Wszystkie stacje metra i pociągi są klimatyzowane, podobnie jak kładki dla pieszych nad główną arterią miejską czy przystanki autobusowe. Można się jeszcze zachwycać wspinałymi wieżowcami, najbardziej luksusowym hotelem na świecie Burj Al Arab (wstęp tylko gościom; zdjęcia z odległości ok. 100 m), największym centrum handlowym na świecie The Dubai Mall czy najwyższym budynkiem na świecie Burj Dubai (wjazd windą 126 AED), ale i tak ma się wrażenie sztuczności. Nierzeczywisty obraz całości. Nie da się również zmienić mentalności tubylców. Trzeba czasu, żeby nikt nie oszukał, wydając resztę na stacji metra, albo taksówkarz nie krążył po mieście nabijając licznik (tanie taksówki; złamanie chorągiewki – 3,5 AED, w nocy – 7).

W Dubai zatrzymaliśmy się w dzielnicy Al Rigga w hotelu Al Jawhara Metro Hotel za 175 AED + 10% opłaty serwisowej + 10% opłaty miejskiej (?).

12 września

Czas do domu. Sześciogodzinny lot do kraju wydaje się teraz jak wypad za miasto.

Pukając do wrót Herhora (Egipt)



Każda, nawet największa podróż, zaczyna się od małego, pierwszego kroku. Gdy na dodatek krok ten stawiamy na ścieżce pełnej wyzwań i tajemnic, mając przed sobą niezwykłą, tak niezwykłą, że aż wydającą się nierzeczywistą, szansę dokonania bajkowego odkrycia, mogącego przejść do historii ludzkości, wygląda to na sen. Tymczasem ten istnieje na jawie, istnieje także skarb i owa ścieżka. To prawda, że długa, pełna trudności i niebezpieczeństw, ale jest... i nic tego nie zmienia.

Moja podróż wiedzie do Górnego Egiptu, na południe, do Teb Zachodnich. Tam nad Nilem, na wschodnim brzegu, ponad 600 km od Kairu leży Luxor, a z drugiej strony rzeki wieś znana w całym świecie archeologicznym – Gurna¹. To ona dała początek egiptomanii. Potocznie zwana jest wioską złodziei grobowców, bo przez wieki jej mieszkańcy budowali swe domostwa na stoku tebańskiego gębla, w którym starożytni drążyli ostatnie miejsca spoczynku dla swych bliskich, i z okradania których żyli dostatnio. By jednak oddać głos prawdzie, ta fascynacja i zauroczenie kulturą faraonńskiej cywilizacji, trwające zresztą po dziś dzień, zawdzięcza swą oszałamiającą karierę i drugiemu czynnikowi. A była nią wyprawa Napoleona do Egiptu, która rozpoczęła się w maju 1798 roku i trwała do października roku 1801.

Wraz z oddziałami cesarza, i za to światowa nauka powinna być mu dożgonnie wdzięczna, przybyła nad Nil 187-osobowa grupa naukowców. Mieli badać kraj i jego historię, co też skrupulatnie robili. Efektem ich pracy było nie tylko 12-tomowe dzieło *Description de l’Egypte*, ale także założenie w Kairze Instytutu Egipskiego. Trudno także nie wspomnieć wielkiego odkrycia, jakim okazało się znalezienie kamienia z Rosetty, który posłużył Jean-François Champollionowi do odczytania hieroglifów. Niebagatelny wkład w rozpowszechnienie kultury faraonńskiej w całym nowym świecie miał także Dominique Vivant Denon, którego ryciny ukazujące monumentalne grobowce i starożytne świątynie zachwycają swą magią do dziś.

¹ Stara Gurna została wybudowana na wzgórzach, w których – jak się szacuje – wykopano ponad 900 grobowców, choć co rusz mówi się o kolejnych, nieujawnionych odkryciach. Kilka lat temu rząd podjął decyzję o przeniesieniu mieszkańców do nowego osiedla. Olbrzymią część wsi wyburzono. Do dzisiaj zachował się jedynie niewielki kwartał domów, z których tylko kilka jest jeszcze zamieszkałych.

Tak więc zapraszam Ciebie czytelniku do Egiptu.

Dzisiaj, z ekonomicznego punktu widzenia, najlepiej wybrać się tam Alitalia. Włoski przewoźnik oferuje bilety w cenie około 1200–1300 PLN, oczywiście bukowane z odpowiednim wyprzedzeniem, choć ostatnio niezbyt dużym. Około miesiąca. Cena to plus, a czas to minus tego połączenia. Najpierw lecimy z Warszawy (start 13.25) do Rzymu. Polecam serwowany przez stewardesy włoski sok pomarańczowy.

Lądujemy w stolicy Włoch o 15.45, mając przed sobą upojne 6 godzin do kolejnego startu. Nasza kreatywność ma wówczas pole do popisu. Możemy na przykład pojechać metrem z lotniska prosto do centrum, tam zjeść dobrą pizzę lub pyszne włoskie lody, trochę pomyszkować między ruinami, otwierając wrota naszej wyobraźni, by przenieść się w czasy gladiatorów i wrócić na Fiumicino. Albo też możemy zostać na lotnisku, wyciągając się na fotelu z książką w rękę lub po prostu, wiedząc, że lądujemy w Kairze o 2.20 czasu miejscowego, próbując się zdrzemnąć.

W Kairze wita nas ciepły powiew Afryki. Przed odprawą paszportową kupujemy wizę za 25 dolarów i przechodzimy przez bramkę. Ważna sprawa. Zanim wyjdziemy z lotniska nie zapomnijmy wymienić dewiz, by mieć na kurs taksówką do hotelu. Jeżeli zatrzymujemy się w Helipolis, cena będzie wynosiła około 50 funtów egipskich. Jeżeli w centrum, nie płaćmy więcej niż 70. Przy czym cenę ustalamy przed wejściem do taksówki, mając przy sobie odliczoną kwotę, bo dziwnym trafem po dotarciu na miejsce, a będzie środek nocy, kierowcy nigdy nie mają reszty.

Teraz czas na etap Kair – Gurna. Ze względu na zagrożenie zamachami terrorystycznymi Bractwa Muzułmańskiego, pociągi nie kursują. Zostają autobusy lub wynajęcie samochodu, ale to drugie rozwiązanie jest i zbyt kosztowne i – dla Europejczyka – zbyt stresujące, zwłaszcza ze względu na obowiązujące w Egipcie zasady ruchu drogowego, gdzie główną zasadą jest... brak jakichkolwiek zasad. Jazda nocą bez świateł, na ciągłym klaksonie czy „pod prąd” to normalność. Tymczasem wypadków nie widać, ale konia z rzędem temu, kto pokaże samochód bez rysy lub wgniecenia.

Pozostaje więc autobus. Możemy jechać linią państwową z dworca Ramzes, ale to i drożej, i dłużej. Bilet kosztuje ok. 140 funtów, a podróż trwa ok. 11 godzin. Polecam linię prywatną, której przystanek znajduje się przy ulicy Ramzesa („szaria Ramzis”) prawie tuż przy wejściu do szpitala koptyjskiego („Mustaszwa Gupti”). I taki adres powinniśmy podać taksówkarzowi, by wiedział, gdzie nas zawieźć: *Szaria Ramzis, mustaszwa Gupti*. Z praktyki podpowiem, że powinniśmy wybierać taksówki korporacji, której znakiem szczególnym jest biały kolor. Mają wielki plus. Otóż każda z nich posiada taksoometr. I to jego wskazania są wiążące w kwestii ceny.

Tuż przed tym charakterystycznym budynkiem odchodzi w prawo mała uliczka. Po 50 metrach z lewej na rogu jest biuro, w którym kupujemy bilet. Problem w tym, że pracujący tam Egipcjanie mówią tylko po arabsku, lecz i na to znaleźli sposób. Gdy zjawia się „hałaga” (biały) wyciągają telefon i dzwonią do szefa, z którym można dogadać się po angielsku. I po problemie. Za bilet płacimy 65 funtów. Dla pewności należy spytać się, skąd autobus odjeżdża, bo z tym bywa różnie, chociaż te miejsca są od siebie niezbyt oddalone. Góra kilkadziesiąt metrów. Planowo o 20.30 powinniśmy ruszyć, lecz, jak to w Egipcie, to tylko teoria. Zazwyczaj ma minimum pół godziny poślizgu, co nie powinno nas zwieść, że zdołamy kupić bilet przed samym odjazdem u kierowcy. Bardzo często jest komplet i po bilet najlepiej wybrać się rano lub dzień wcześniej.

Po ok. 9 godzinach jesteśmy w Gurnie. Wstaje słońce, robi się ciepło, ptaki zaczynają śpiewać, a na ulicy budzi się życie. Jeżeli nie mamy zarezerwowanego lokum na miejscu, przeprawiamy się promem do Luxoru, co już samo w sobie jest wielką atrakcją, zwłaszcza że nad świątynią wschodniego brzegu wylania się słońce, a jest to widok bardzo malowniczy. Koszt takiej przyjemności to, dla hałagi oczywiście, bo miejscowi płacą mniej, zaledwie 1 funt egipski. W Luxorze sporo hotelików i nietrudno teraz znaleźć pokój ze śniadaniem za 40–50 funtów.

Tak więc jesteśmy w Luxorze. Stojąc nad Nilem, ujrzymy górujący nad horyzontem masyw tebańskiego gębla. Uświęcone miejsce starożytnych ze wspaniałymi świątyniami, niezliczoną liczbą grobowców wielmożów, a także z tym, co najbardziej przemawia do wyobraźni Europejczyków: Deir el-Bahari, Doliną Królów i – mniej znaną – Doliną Królowych.

To właśnie w Deir el-Bahari od 1999 roku prowadzi badania Misja Skalna prof. Andrzeja Niwińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. Misja, która na półce skalnej zawieszanej 100 metrów nad świątynią Hatszepsut, poszukuje grobowca faraona Amenhotepa I², po latach uzurpowanego przez arcykapłana, później także faraona, doskonale znanego z powieści Bolesława Prusa *Faraon*, Herhora³.

W ostatnich dniach zimowej odsłony misji roku 2014 na twarzy Andrzeja znowu pojawił się figlarny uśmiech i wstąpiła weń, co było widać na pierwszy rzut oka, nowa siła, animusz, nadzieja oraz chęć walki o wielkie marzenie. A bywało z tym, co muszę przyznać jako uczestnik wielu ciężkich chwil w historii naszych badań, różnie. Teraz, po latach, wydobyliśmy na światło dzienne spod setek ton skalnego gruzu, dobrze znane nam ślady celowej, rozmyślnej działalności starożytnych na terenie naszej koncesji.

Chociażby graffiti Butehamona, którego 7 podpisów odkryliśmy na ścianach gębla okalających naszą półkę. Sporo, a niewykluczone, że gdzieś jeszcze znajdują się inne, ukryte przed naszymi oczami. Starożytny urzędnik mógł je zostawiać, nadzorując wykonywanie grobowca, asystując procesji pogrzebowej faraona lub też doglądając czegoś, co skrywa jeszcze przed nami kamienny zasyp.

To namacalne świadectwa bytności tego wysokiego dostojnika w miejscu naszych poszukiwań. Minister króla wykonywał je na płaskiej ścianie gębla ostrym jak brzytwa zwykłym kamiennym odłupkiem. Choć minęły tysiąclecia, a nad Tebami przewinęły się niezliczone nawałnice, przyspieszając erozję skał, dalej są widoczne i możliwe do odczytania.

Całe szczęście, bo te graffiti, to jedne z ważniejszych dowodów potwierdzających przypuszczenia Andrzeja.

Wiemy, jak wyglądał Butehamon. Jego wizerunek zachował się do naszych czasów na sarkofagu znajdującym się w Muzeum Egipskim w Turynie. To właśnie w nim został pochowany ten nadzorca nekropoli tebańskiej. Był to średniej wysokości mężczyzna, korpulentny, by nie powiedzieć grubasek, któremu tusza z pewnością nie ułatwiała

² Panował od 1525 do śmierci w 1504 r. p.n.e. jako król Górnego i Dolnego Egiptu. Pozostawił państwo, którego granice rozciągały się od Tombos w Górnej Nubii aż do rzeki Eufrat w Mezopotamii. Przez kilka stuleci był czczony jako wielki i sprawiedliwy władca. Pierwotnie pochowany w Dra Abu el-Naga. Obecnie jego mumia znajduje się w Muzeum Egipskim w Kairze.

³ Panował w Górnym Egipcie od 1080 do śmierci w 1074 r. p.n.e. jako wielki kapłan boga Amona. Był dowódcą armii Dolnego i Górnego Egiptu. Jako pierwszy arcykapłan odważył się wpisać swe imię w kartusz królewski. Podczas swych rządów wznosił nie tylko nowe budowle, ale też troszczył się o swych wielkich poprzedników – faraonów, a zwłaszcza o ich mumie.

wspinaczki na półkę. A wejście jest i strome, i – przynajmniej momentami – niebezpieczne. A jednak wchodził. I to nie dla przyjemności. Widocznie miał ku temu powód i to nie licho. A jedynym powodem, jaki przychodzi mi na myśl, dla którego kilkakrotnie wybierał się w tę trudną, ciężką i wymagającą sporego wysiłku drogę, mógł być tylko... grób faraona!

Potwierdza to, przez analogię, wielkie graffiti Butehamona (jedno z największych w Tebach), które odnalazł w 2000 roku członek Misji Skalnej Mikołaj Budzanowski. Dostojnik faraona zapisał je kilka metrów powyżej szybu Skrytki Królewskiej, w której pod koniec XIX wieku bracia Rassul'owie ze wsi Gurna odnaleźli kilkadziesiąt mumii królewskich.

Są też na półce wykute w skale dreny do odprowadzania wody deszczowej podczas ulew, jakie nawiedzają Teby Zachodnie raz na 20 lat. To kolejny dowód na celową działalność starożytnych, mającą uchronić grobowiec, a szczególnie mumię, przed zniszczeniem. Bo miejscom wiecznego spoczynku faraonów zagrażały tylko dwa niebezpieczeństwa, wspomniana woda i złodzieje.

Droga na półkę nie jest długa, ale bezsprzecznie stawiająca przed każdym pewne wymagania: sprawność fizyczną, kondycję oraz podstawowe umiejętności alpinistyczne. Przydadzą się także buty chroniące kostkę, ale zapomnijcie o zabraniu z szafki traktorów, w których przemierzacie nasze Tatry. Bardzo szybko but się zagotuje i jedna z najbardziej niezwykłych wypraw w waszym życiu przerodzi się w koszmar. Poszukajcie więc obuwia odpowiedniego do wędrowek w strefie równikowej. Na przykład Aku Petra.

Najbardziej niewdzięczny jest – zdawałoby się – najprostszy odcinek. Liczące w linii prostej niewiele ponad 100 metrów podejście o kącie nachylenia ok. 45 stopni, którego podłoże stanowi drobny trap. Przy każdym kroku spod naszych stóp usuwa się rumosz, co wcale nie ułatwia marszu. Krok w górę, pół kroku w dół. Męczące i irytujące zarazem. Idziemy zygzakiem, bo tym sposobem łatwiej pokonuje się wzniesienie.

Po kilku minutach docieramy do „komina”, naturalnej rynny utworzonej w zboczu, przez którą będziemy mogli wspiąć się na kolejny poziom gębla.

Pierwszą część pokonujemy, ustawioną przez robotników, drewnianą drabiną, by po chwili wspiąć się po linie w wąskiej „skalnej rurze”. Tutaj najlepiej sprawdza się technika „moja – twoja”, ale trzeba uważać z wyborem oparcia dla stóp, bo wapienna skała ma swoje słabości i niekiedy to, co wygląda na solidne i stabilne, pęka niczym sucha gałązka pod ciężarem naszego ciała.

Kolejny poziom to dalsza wspinaczka po zboczu, początkowo wąską ścieżką, nad 60-metrową przepaścią. Ten odcinek, dla ułatwienia i bezpieczeństwa zarazem, został wyposażony w linowe poręcze przytwierdzone metalowymi kotwami do kurtyny gębla. Później już łatwo, po większych skalnych odłupkach, wprost na półkę.

Zapewne tę samą trasę pokonywali złodzieje, zwabieni skarbami złożonymi faraonowi w darze przez orszak żałobny.

A skoro o złodziejach mowa. Gdy już dotrzecie na sait i w górę, na półkę, poprowadzi was Andrzej albo ktoś z nas, to będziecie mieli okazję zobaczyć jedyny zachowany w Egipcie wkop złodziejski. Gdy po raz pierwszy odsłonił się jego wejście, w korytarzu białaty szczątki szkieletu z rozbitą czaszką. Nie wykluczone, że medżaju⁴ przyłapali hul-

⁴ Policjanci, strzegący nekropoli tebańskiej, najczęściej pochodzących z Kusz, krainy położonej na południe od Egiptu, stanowiącej część dzisiejszego Sudanu.

taja na gorącym uczynku, potraktowali z całą surowością, na jaką zasługiwali, i zostawili ku przestrodze naśladowców. Ale ten wkop, mimo ciężącego na nim odium, bardzo nas ucieszył. Złodzieje zawsze wiedzieli, bo bardzo często byli w zмовie z kapłanami lub strażnikami nekropoli, gdzie zlokalizowano konkretny grobowiec. Największym problemem było znalezienie sposobu, jak się do niego dostać? Zresztą, jak dzisiaj. Wiadomo, gdzie jest bank, szkopuł w tym jak otworzyć sejf?

Nieopodal stanowisko gafira. Dokładnie wyprofilowane w poziomie podłoże stanowiące idealną wprost podstawę do postawienia budki z zadaszaniem chroniącym przez słońcem. Gdy staniecie w tym miejscu, oczom waszym ukaże się półka w całej swej krasie.

Również w 2000 roku dokonaliśmy kolejnego znaczącego odkrycia. Tym razem w przysypanym piaskiem i skalnym gruzem pęknięciu tektonicznym, zresztą niezbyt głębokim, znaleźliśmy wykonaną z brązu główną część sztyletu. Jego wygięte w kształt półksiężycza ramiona obejmowały niegdyś okrągłe jabłko osadzone na centralnym trzpieniu służącym niewątpliwie za uchwyt. Natomiast z drugiej strony wystawały, tworzące swoistą ramę, dwie pionowe prowadnice, w którą starożytny rzemieślnik wpasował ostrze.

Była to, ponad wszelką wątpliwość, obsadka królewskiego sztyletu, niemal identyczna jak ta ze sztyletu znalezionej na mumii ostatniego króla XVII dynastii Kamose⁵, który Said Pasza⁶ podarował kuzynowi francuskiego cesarza Napoleonowi III. Dziś znajduje się w Królewskiej Bibliotece w Brukseli. Znalezionej przez nas sztylet jest także bardzo podobny do tego, jaki odkrył na początku lutego 1859 roku przy mumii królowej Ahhotep w Drahu Abu el-Naga August Mariette.

Niewykluczone, że przed wiekami sztylet, którego fragment po wiekach znaleźliśmy, został skradziony z królewskiego grobowca. Złodziej, dobrawszy się uprzednio do grobu, zabrał złoto i srebro, rezygnując z mniej cennego brązu. Być może miał w worku wyłącznie szlachetne metale... Właśnie... zabrał z grobu. Na półce skalnej nie ma żadnego grobowca poza tym, do którego szukamy wejścia.

Jako nielogiczne odrzucamy hipotezę, że zrzucił go z góry lub też, splądrowawszy jakieś miejsce pochówku w okolicach świątyni, wdrapał się z nim na górę, by tam rozebrać go na części. Dlaczego nie zagrzebał niepotrzebnego fragmentu gdziekolwiek na dole, lecz wybrał się z tym niewątpliwym dowodem swej zbrodni w długą i ryzykowną wycieczkę? Przyłapany przez medżaju niechybnie straciłby życie.

Zatem grobowiec powinien znajdować się w pobliżu!

I wówczas Andrzej doznał olśnienia. Jego stanowisko może skrywać poszukiwany przez wszystkich grób Amenhotepa I, dokładnie opisany w tzw. papirusie Abbotta! Obsadka sztyletu, którą znalezionej na stanowisku, jest bowiem typowa dla XVII i wcześniejszej XVIII dynastii. Grób Amenhotepa I mógł zostać obrabowany i następnie ponownie wykorzystany przez kogoś z XXI dynastii, np. przez Herhora! On przecież te zbezczeszczone i okradzione królewskie mumie restaurował, a Butehamon, którego graffiti znajduje się na ścianie powyżej, był związany z kultem rodziny zmarłego Amenhotepa I!

⁵ Panował od 1556 do śmierci w 1550 r. p.n.e. jako król Górnego i Dolnego Egiptu. Pochowany w Drahu Abu el-Naga. Znalezionej w połowie XIX wieku mumia zaginęła.

⁶ Said Pasza (1822–1863), syn Muhammada Alego, wicekról Egiptu od 1854. Zreorganizował podatki państwowe, wprowadzając podatek indywidualny. W 1854 udzielił F. Lessepsovi koncesji na budowę Kanału Sueskiego. Zwolennik nawiązania ścisłych kontaktów z Francją Napoleona III.

Niekiedy dziwnie się los plecie, ale tym razem strzępy świadectw starożytnej historii zaczęły układać się w logiczną całość. Papirus Abbota, o którym wspominałem, tylko uwiarygodnia tę łamigłówkę, przeobrażając nasze marzenia w zupełnie realne, choć jeszcze przecież transcendentne, wizje.

Oto bowiem kupiony w XIX wieku w pewnym kairskim antykwariacie przez angielskiego lekarza dr. Henry Abbotta papirus zawiera raport z inspekcji, jakiej za panowania Ramzesa IX dokonała specjalna komisja, mająca się przekonać, czy doniesienia o włamaniach do kilku królewskich grobowców są uzasadnione. Dziewięć spośród nich jest wymienionych tylko i wyłącznie z imienia. Natomiast jeden, nie wiedzieć czemu, bardzo precyzyjnie opisany. Przede wszystkim, nosi nietypową nazwę: „Horyzont Amenhotepa I”. Po drugie jest dokładnie umiejscowiony.

Raz jeszcze przyjrzyjmy się uważnie miejscu naszych wykopalisk.

Trudno nie zgodzić się z tym, iż dane zawarte w papirusie Abbotta wręcz idealnie pasują do stanowiska, które badamy.

Po pierwsze, ponad naszą półką piętrzą się skały sięgające 50 metrów. Na szczycie jest miejsce, z którego zawsze robimy zdjęcia, miejsce bardzo płaskie, na którym coś w starożytności mogło stać. Może kiosk, może jakaś stela...?

Gdy dalmierzem zbadaliśmy odległość do miejsca, w którym spodziewamy się odkryć wejście do grobowca, wynik jest idealnie zbieżny z danymi zawartymi w starożytnym dokumencie – 63 metry, czyli 120 łokci.

Świątynią zaś, którą w papirusie opisuje się jako świątynię Amenhotepa z Ogródu, jest zapewne świątynia Nebhepetre Mentuhotepa II⁷ położona na południe od naszych wykopalisk. Znalezione tam kilka obiektów związanych z Amenhotepem I – posągi ozyriackie tego króla oraz stelę, z której niedwuznacznie wynika, że w tej świątyni było miejsce kultu dwóch faraonów: Nebhepetre Mentuhotepa II i Amenhotepa I.

Do dzisiejszego dnia każdy może zobaczyć przed nią otwory po wielkich donicach wykutych w skale, gdzie były posadzone drzewa. Bo rzeczywiście przed tą świątynią rósł kiedyś ogród. Są tak widoczne dla wszystkich odwiedzających świątynię Hatszepsut, że aż niezauważalne.

Mam nadzieję, iż nie umknęło, drogi Czytelniku, twojej uwadze, że grobowiec, o którym mówię, nazwany został w papirusie Abbotta „Horyzontem Amenhotepa”. Nazwa oryginalna, by nie powiedzieć dziwna, to prawda, ale tylko do czasu aż się nie stanie na półce, gdzie prowadzimy prace. Spoglądając przed siebie, zobaczymy na drugim brzegu Nilu Karnak. Dla starożytnych Egipcjan świątynię najświętszą ze świątych i zarazem największą, jaką kiedykolwiek oglądał świat. Trochę w prawo mającą kolumny świątyni luksorskiej.

A pod nami?

A pod nami świątynia Hatszepsut⁸. Szczególnie pięknie wyglądająca o wschodzie, kiedy jej mury spowija czerwień wynurzających się zza horyzontu słonecznych pro-

⁷ Panował od 2046 do śmierci w 1995 r. p.n.e. jako król Górnego i Dolnego Egiptu. Mentuhotep kilkakrotnie zmieniał swą tytulaturę. Jego pierwsze, horusowe imię, brzmiało Seanchibtaui (Sanch-ib-taui – Ten, który ofiarowuje serce Dwóm Krajom); ostatnie – Semataui (Sema-taui – Zjednoczyciel Obu Krajów).

⁸ Panowała od 1479 do śmierci w 1458 r. p.n.e. jako król Górnego i Dolnego Egiptu. Swój zespół świątynny w Deir el-Bahari budowała przez 10 lat.

mieni. Sięgnęła po władzę faraonów przynależną dotąd wyłącznie mężczyznom, odsuwając czasowo od tronu Tutmosisa III, którego była regentką. Rządziła mądrze, przyczyniając się do znacznego rozwoju gospodarczego państwa, między innymi dzięki wielkiej wyprawie handlowej do krainy Punt.

Tuż obok ruiny świątyni faraona Nebhepetre Mentuhotepa II. Panował ponad 50 lat. Po podbojach na południu i północy stał się niekwestionowanym władcą zjednoczonego Egiptu. Nie przeniósł jednak stolicy na północ kraju. Pozostał w Tebach. To on jako pierwszy wybudował swą świątynię w Deir el-Bahari.

W końcu pozostałości świątyni Totmesa III⁹, faraona niezwykle walecznego, który w wyniku swych podbojów od Eufratu na północnym wschodzie po IV kataraktę na południu stał się twórcą egipskiego imperium. Z czasem uporządkował wewnętrzne sprawy państwa, doprowadzając je do gospodarczego i kulturalnego rozkwitu. Nie zapomniał także o Hatszepsut. Pamiętając o wielu bolesnych doświadczeniach i ponizeniach, jakich od niej doznał, nakazał niszczenie jej wizerunków i wymazywanie kartuszy z jej imieniem od Nubii aż do Synaju. Zrobił to niezwykle skutecznie, bo do początków XIX wieku nikt nie wiedział o jej istnieniu.

Horyzont Amenhotepa...

To miejsce aż tętni duchami minionych wieków...

W 1999 roku Misja Skalna rozpoczęła wykopaliska. Teren był usiany wielką ilością gigantycznych głazów, z których największe miały po kilkadziesiąt ton! Systematycznie odsłaniano coraz więcej śladów celowej działalności człowieka. Stało się też jasne, że gigantyczne bloki nie znalazły się tam w efekcie działania sił natury, lecz zostały rozmyślnie zrzucone przez starożytnych ze szczytu tebańskiego gębla.

Andrzej nabierał coraz większej pewności, iż zrobili to w celu zakamuflowania grobu niezwykle ważnego człowieka – faraona.

W ciągu sześciu sezonów wykopaliskowych włożono w poszukiwanie grobowca gigantyczną pracę.

Kilkakrotnie nadzieja na odkrycie graniczyła z pewnością i kilkakrotnie Andrzej przeżywał rozczarowania, smakując gorzyc porażki. Nadchodziły wówczas momenty zwątpienia, lecz po zimnym przeanalizowaniu odkrytych śladów, wszystko układało się w logiczną całość, potwierdzając diaboliczną przebiegłość starożytnych w ukryciu grobowca.

Po pierwszym sezonie wykopalisk w 1999 roku, którego wyniki były nader zachęcające, zabrakło pieniędzy na kolejne misje. Jedynym ratunkiem było znalezienie sponsorów. Opiekę medialną zaferowała „Gazeta Wyborcza”.

20 lipca 2000 roku ukazał się w niej artykuł „Odkryjemy grób Herhora”. Niestety, zasady sztuki dziennikarskiej, stosującej różnorodne skróty myślowe, stały w konflikcie z precyzją naukowego wyводу.

Środowisko źle przyjęło zbyt dosłowne porównania oczekiwanych efektów wykopalisk Andrzeja do odkrycia grobowca Tut-Anch-Amona. W artykule pojawiła się także dokładna data przewidzianego odkrycia – 18 października przed południem. Skąd? Otóż Andrzej stwierdził w rozmowie z dziennikarzem, że „...o ile szczęście nam dopisze, być może nawet już po 3 dniach dotrzemy do celu”. Misja miała rozpocząć się 15,

⁹ Mispshres, Mispshragmuthosis. Panował od 1458 do śmierci w 1425 r. p.n.e., jako król Górnego i Dolnego Egiptu. Pierwotnie pochowany w Dolinie Królów w Tebach Zachodnich. Obecnie jego mumia znajduje się w Muzeum Egipskim w Kairze.

więc nietrudno obliczyć. Autor artykułu zastosował jednak zbyt duży skrót myślowy i konsekwencje tego były nader poważne.

Wkrótce dyrekcja Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego poddała miążdżącej krytyce wszystkie dokonania misji Andrzeja, a pod jego adresem padły mocne słowa: kłamca i oszust. Jednocześnie odmówiła wystąpienia do Egipskiej Rady Najwyższej ds. Zabytków z wnioskiem o wznowienie koncesji, co równało się z pocałunkiem śmierci dla Misji Skalnejskiej.

Wielu jego kolegów, znających dorobek Andrzeja, zerwało z nim kontakty, argumentując, że „...nie będą współpracować z hochsztaplerem”.

„Polityka” z 23 grudnia 2000 roku napisała: „Archeolog profesor N ogłosił przy użyciu mediów, że 18 października odkopie drogę do grobu opisywanego przez Prusa egipskiego arcykapłana Herhora, potrzebuje tylko sponsorów. Przy okazji zdradził, że dziwi się tym archeologom, którzy 18 października nic nie znajdują. Herhor nie dał się jednak odnaleźć ani 18, ani później. Profesor ogłosił, że wobec tego znajdzie sobie inną mumię, których prawdopodobnie w Egipcie jeszcze trochę pozostało, a w przyszłym roku znów będzie 18 października.”

Tego, co wypisywano w Internecie, lepiej nie powtarzać...

Znamienne. Żaden z dostojnych krytykantów ani razu nie był na stanowisku wykopalisk, nie pofatygował się zapoznać z terenem badań, efektami rozmyślnych działań starożytnych... Żaden z nich! O innych dziwnych zdarzeniach napiszę przy kolejnej okazji, bo to temat sam w sobie, moim zdaniem, na dobrą powieść sensacyjną.

Po misji 2006 roku Andrzej kilkakrotnie starał się o uzyskanie licencji na dokończenie wykopalisk. Egipcjanie odmawiali. Dopiero po 3 latach usilnych zabiegów dostał zgodę. Przyjechalśmy do Egiptu, lecz, jak się okazało, nadaremnie. Przysłany z Kairu supervisor Aiman Hamid zabronił rozpoczęcia jakichkolwiek prac „...bo zagrażają świątyni Hatszepsut”.

Dopiero jesienią 2009 roku pozwolono na kontynuację rozbijania wielotonowych głazów, a bezpośrednią drogę do miejsca, gdzie, jak spodziewa się Andrzej, znajduje się wejście do grobowca, utorowała nam zimowa misja roku 2012.

Wówczas to w lutym i marcu zainstalowaliśmy na gęblu system rynien i zspów umożliwiający bezpieczne zrzucenie z półki kilku tysięcy ton skalnych odłamków, pozostałości po rozbiciu głazów, teraz mających formę redimów groźnie zwisających nad położonymi w dole świątyniami. Tym samym nasza misja stała się misją ratunkową, mającą uchronić te zabytki przed zniszczeniem lawiną kamienno-błotną, którą mogą wywołać zbliżające się ulewy.

Jakże wielkimi byliśmy optymistami, sądząc, że uda się nam tego dokonać w dwa tygodnie? Mordercza praca w upale przekraczającym 50 stopni w słońcu trwała dokładnie 2 miesiące. Ostatni element montowaliśmy w dniu wyjazdu z Luxoru do Kairu.

Gebel nauczył nas pokory.

Jeden element rynny ważył 30 kilogramów, a 5-milimetrowa blacha wciągana linami na górę cięła skałę jak żyłotka. Nagrzewała się przy tym do tego stopnia, że mogliśmy na niej smażyć jajecznicę. Przenosiliśmy je w rękawiczkach, lecz skręcać śrubami musieliśmy gołymi rękami. Większym wyzwaniem było wciąganie zspów. Cylindryczne elementy z grubej gumy, wzmocnione od środka stalową blachą, ważyły po 90 kilogramów. Nic dziwnego, że nikt nie wierzył, abyśmy mogli tego dokonać. Przecież w całej historii archeologii żadna misja nie stawiała czoła takiemu wyzwaniu. Zawszą

dochodzący nas głosy nie tylko powątpiewania, ale i kpin. Zdarzały się także gesty wrogości, o czym również warto wspomnieć, bo uzupełnia to obraz atmosfery, w jakiej przyszło nam pracować. Zwłaszcza od kolegów z innych misji.

A jednak.

A jednak dokonaliśmy tego, co jeszcze do niedawna inni uważali za niemożliwe!

Dzisiaj co bardziej spostrzegawczy mogą zobaczyć przyklejonego do skały metalowego tasiemca o niebagatelnej długości ponad 120 metrów i wadze prawie ośmiu ton!

Od jesieni roku 2012 rozpoczęliśmy zrzucanie kamiennych redimów. Sztuka niby niewielka, ale tylko z pozoru, bo jeden nierozważnie wyjęty ze ściany odłupek może spowodować tragiczną w skutkach lawinę. Obyło się jednak bez wypadku, a do zakończenia tegorocznej, zimowej odłosty naszej misji, posunęliśmy się tak daleko, że od punktu „zero”, w którym, jak przewiduje Andrzej, znajduje się wejście do grobowca, dzielą nas zaledwie 4 metry. To zaledwie jest określeniem na wskroś retorycznym, bo, aby tam dotrzeć, czekają nas minimum cztery tygodnie ciężkiej pracy.

Marzenie zaczyna się spełniać.

Oczywiście, archeologia to nie matematyka i wszystko może się zdarzyć, ale istniejące na naszej skalnej półce liczne ślady świadomej działalności starożytnych zdają się potwierdzać przypuszczenia Andrzeja. Egipcjanie wykonali tu gigantyczną pracę. I z całą pewnością nie zrobili tego bez powodu. Byli zbyt praktyczni.

Schodząc z gębla mijamy rzucające się w oczy świeżą bielą graffiti zawierające dziwną treść: „Byłem tu. Szafa. Tutaj jest sen o sławie i wielkości. 28.01.2007”. Napis ten przykrywa częściowo oryginalne starożytne graffiti egipskie, które Misja Skalna swego czasu zanumerowała i oznaczyła strzałką... To namacalny przejaw nie tylko typowego polskiego piekła, nie tylko archeologicznego barbarzyństwa, ale i ludzkiej zawiści. Przez moment zastanawiam się nad małością i nikczemnością autora tych słów.

Swego czasu jeden z adwersarzy Andrzeja stwierdził, że gdy znajdziemy grobowiec, to wejdzie pod stół i wszystko – swe wyrażane głośno wątpliwości i krytyczne docinki – odszczeka. Podejrzewam, że podobnych mu będzie więcej...

Jesteśmy w centrum starożytnego Egiptu. Miejscu spoczynku faraonów i wielmożów najpotężniejszego przed tysiącami lat państwa świata. Tu zostali pochowani ci, którzy byli bogami na ziemi, którzy posiadali władzę, jakiej nikt nigdy poza nimi nie doświadczył, którzy swymi skarbami przyćmiewali blask słońca.

Gdy spoglądam na pionowe skały tebańskiej góry, wznoszące się wysoko nad nami, nieodparcie nasuwa mi się skojarzenie z niezwykłym majestatem tego miejsca. Majestatem połączonym z potęgą, wielkością i magią egipskich wierzeń.

Przemierzając drogę wiodącą do Luxoru, mijamy marne resztki dumnej niegdyś i znanej w całym świecie wsi Gurna. Być może spoglądamy na miejsce, gdzie żyją potomkowie złodzieja, który przed wieloma wiekami obrabował grobowiec Amenhotepa I, pozostawiając na półce skalnej fragment sztyletu odnaleziony przez naszą misję...

Być może...

Wszystko, jeżeli los nie spleta nam jakiegś niespodzianki, powinno wyjaśnić się jesienią tego roku. Jeżeli mamy rację, będziemy świadkami największego odkrycia w dziejach archeologii, przy którym znalezienie grobowca Tut-Anch-Amona okaże się cieniem sukcesu polskiej nauki.

Życzenie nam tego z całego serca...

Tunezja między pustynią a morzem...



Termin: 23–31 października 2013 roku.

Uczestnicy: Ewa, Jarek

Trasa lotnicza: Warszawa – Enfidha (przełot czarterowy linii Enter Air). My wykupi-
liśmy tylko przełot w ofercie last minute w pewnym znanym biurze podróży.

Trasa lądowa: Bytom – Warszawa – Enfidha – Sousse – Kairuan – El Jem – Ga-
bes – Tatawin – Duz – Ksar Ghilane – Tauzer – Tunis – Sidi Bou Said – Kartagina – Tunis
– Enfidha

Koszty podróży: 749 zł (samolot) + 60 zł Polski Bus (2 strony/os.)+ 881 zł (288
USD koszty własne na miejscu) = 1690 zł na osobę z pamiątkami.

Kursy walut: 1 USD = 1,66 TND. Jednostką walutową jest dinar tunezyjski (TND).
Dinar dzieli się na 1000 milimów.

Czas: +1 h w stosunku do Polski, zimą czas się wyrównuje.

Bezpieczeństwo: Ogólnie jest bardzo bezpiecznie, Tunezyjczycy są pomocni
i uprzejmi.

Wizy: Od 2010 r. wizy nie są wymagane od obywateli Polski. Na terenie Tunezji
można przebywać przez okres 90 dni.

Język: Język urzędowy to arabski i francuski. Tunezyjczycy są urodzonymi poliglo-
tami i szybko uczą się języków obcych.

Pogoda: Przez cały nasz wyjazd mieliśmy słońce, a temperatura oscylowała wo-
kół 25°C.

Elektryczność: 220 V, gniazdko jak w Polsce.

Przewodniki: Tunezja z „Pascal” i „Gazeta Wyborcza”.

Jedzenie: Miejskowa kuchnia jest tania, smaczna, lekko ostra, w zależności co kto
lubi.

Koszty podróżnika: woda mineralna mała – 0,400 TND, duża – 0,700 TND, coca-
cola mała 0,750 TND, duża – 1,800 TND, chleb tostowy – 1 TND, bagietka – 0,220 TND,
piwo – 2,500 TND, wino 0,7 l – 5 TND, papierosy – 2–3 TND, internet – 1,5–2 TND/h,
kartka pocztowa – 0,200 TND (do dzisiaj jeszcze nie doszły), znaczek – 0,600 TND, her-
bata – 0,500 TND, kawa – 1 TND, 1 l ropy – 1,170 TND, 1 l benzyny – 1,570 TND.

RELACJA Z PODRÓŻY

23 października. Bytom – Warszawa

O godz. 23.45 wyjechaliśmy autobusem Polski Bus z Katowic.

24 października. Warszawa – Enfidha – Sousse – Kairuan

O godz. 4.00 dojechaliśmy do Warszawy na Stację Wilanowską, gdzie czekaliśmy na autobus nr 331, który o godz. 5.35 odjeżdża bezpośrednio na lotnisko (tylko 26 minut). Odlot mieliśmy o godz. 13.00. Cały czas byliśmy przekonani, że lecimy do Monastiru, gdzie ląduje większość samolotów czarterowych z Polski. Pilot poinformował, że będziemy lądować w Enfidha i trochę zbaranieliśmy, próbowaliśmy ustalić, gdzie leży ta miejscowość. Okazało się, że jest to nowe lotnisko pomiędzy Hammamet a Monastirem, specjalnie wybudowane, aby pogodzić obie miejscowości wypoczynkowe. Tak więc po 3 godzinach lotu wylądowaliśmy w Tunezji. Z lotniska zabraliśmy się do Sousse busikiem, który rozwoził turystów po hotelach. Zapłaciliśmy rezydentce za przejazd 25 USD/2 os. (czyli około 40 TND). Po drodze oczywiście okazało się, że kierowca był przekonany, że wiezie nas do hotelu, a nie do miasta. Tak zaczęła się nasza pierwsza słowna potyczka z Arabem. No cóż, przekonaliśmy go, że zapłacone mamy za przejazd do centrum Sousse, bo my nie zostajemy w żadnym z hoteli. Tak więc, dowiózł nas do bram medyny.

Należy wspomnieć, że kantor na lotnisku był zamknięty, więc musieliśmy szukać banku lub kantoru w mieście. W jednym z wielkich marketów Jarek dokonał wymiany: 1 USD=1,66 TND.

Uwaga!!! Należy zatrzymać paragon w celu ponownej wymiany nadwyżki waluty w drodze powrotnej do kraju. Stąd wzięliśmy taksówkę, aby dojechać do dworca louages (jest to odpowiednik busa-taksówki zabierającego 8 osób). Za przejazd, według taksometru, zapłaciliśmy 1,5 TND. Tutaj panuje ta sama zasada, jak w innych krajach arabskich, tzn. naganiacze wykrzykują nazwy miejscowości i zachęcają do zajmowania miejsc w busie. Jak jest pełny, to odjeżdża. Rozkład jazdy jest sprawą umowną. Oczywiście do południa kursów jest więcej niż wieczorem, a nocą ruch jest sporadyczny, tak więc trzeba sobie dobrze rozplanować podróż.

My postanowiliśmy dostać się do Kairuan (57 km), za przejazd zapłaciliśmy 4,700 TND/os. + 0,100 TND/os. za serwis, czyli wypisanie biletu. Kairuan jest to jedno z czterech świętych miast islamu, najważniejszy ośrodek religijny w Tunezji (znajduje się tu około 130 meczetów). Próbowaliśmy na własną rękę znaleźć hotel „Sabra”, ale polegliśmy. Sabra to jakieś popularne słowo w tym mieście i miało wiele znaczeń. Był to warsztat, sprzedaż opon, restauracja, no i hotel. Zatrzymała się jakaś kobieta i swoim samochodem zawiozła nas, klucząc po ulicach i dopytując innych mieszkańców o drogę.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Okazało się, że „Sabra Hotel” leży tuż przy głównej bramie do starego miasta. Hotel jest kilkupiętrowy, w jego pobliżu znajduje się Wielki Meczet, a na przylegającym placu przesiadują mężczyźni pijący herbatę i palący fajkę wodną. Taki obrazek też zastaliśmy. Wchodząc do hotelu na chwilę zamarło życie, a większość ludzi ciekawie nam się przyglądała. Pozdrawiali nas, pytali, skąd jesteśmy. Recepcjonista był trochę zdziwiony, bo nie miał nigdy turystów z Polski. Meldunek w hotelach tunezyjskich to przede wszystkim wypełnienie druczku dla policji. Za nocleg zapłaciliśmy 28 TND/pokój (śniadanie w cenie). Posługiwaliśmy się starym prze-

wodnikiem Pascala z 2004 r., tak więc ceny i opisy niektórych miejsc bardzo odbiegały od wskazówek. Hotel lata świetności ma już za sobą, ale jest czysty i skromny. Poszliśmy na mały rekonesans i zjedliśmy pierwszego brika – 2 TND, pieczonego w głębokim tłuszczu (naleśnik z jajkiem, ziemniakami, harisą), bardzo dobra przekąska, w miarę sycąca. Zazwyczaj do tego podawane są frytki, które stanowią podstawowy dodatek do wszystkich dań. Są jedzone na zimno i ciepło, grube i cienkie, jako wkładka do bułek, naleśników, kebaba, szalarmy, a czasem jako przystawka do pizzy. Ceny przekąsek są różne, ale ogólnie jest tanio. Do tego spróbowaliśmy napoju gazowanego w typie „Sprit” – 1,8 TND.

25 października. Kairuan – Sousse – El Jem – Gabes

O godz. 7.00 mieliśmy w hotelu śniadanie. Byliśmy mile zaskoczeni, że nie był przysłowiowy tost i łyżeczka dżemu, ale w miarę solidne kontynentalne śniadanie. Potem ruszyliśmy do historycznej medyny, która została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego UNESCO. Najpierw dotarliśmy do Meczetu Trzech Drzwi. Jako, że dzisiaj mamy piątek, wszystko jest pozamykane, więc robimy zdjęcia z zewnątrz. Wiemy też, że i tak nie weszlibyśmy do środka, bo nie jesteśmy muzułmanami. Tak więc, chodziliśmy po starym mieście, które dopiero budziło się do życia. Otwierały się dopiero zakłady tkackie, z których słynie miasto. Weszliśmy do jednego z nich, przyglądając się, jak tkane są jedwabne chusty. Właśnie w Kairuan warto zakupić dywan, bo charakteryzują się tu ciekawymi wzorami i są stosunkowo tanie. Obok Wielkiego Meczetu Sidi Okba za murami miasta znajduje się cmentarz muzułmański Shorfa. Następnie udaliśmy się do Basenów Aghlabidów (które zbudowane zostały w celu magazynowania wody).

Obszar jest rozległy i płaski, więc poprosiliśmy o możliwość wejścia na taras budynku. Stąd rozciąga się widok na okolicę i owe baseny. Postanowiliśmy jechać dalej i poszliśmy szukać dworca autobusowego. Trzeba dojść do mauzoleum Abi Zamaa al-Balawi, potem skrócić w prawo w uliczkę, gdzie widać mury i bramę wjazdową dworca. Tu kupiliśmy bilety do Sousse za 2,960 TND/os. z firmy Soretrak. Odjazd miał być o godz. 10.30. Autobus typu „miejski przegubowy” pokonał trasę w godzinę. Z dworca autobusowego wzięliśmy taxi za 1 TND do dworca louages, skąd dalej pojechaliśmy do El Jem. Podróż kosztowała 4,650 TND/os. i trwała godzinę. Busik zatrzymuje się w centrum miasteczka, skąd piechotą przeszliśmy do słynnego Koloseum. El Jem jest niewielkim miasteczkiem, którego główną atrakcją jest ogromny amfiteatr, trzeci co do wielkości w cesarstwie rzymskim (po Koloseum w Rzymie i amfiteatrze w Kapui). Ten gigantyczny amfiteatr wzniesiony został na przełomie II/III w. i mógł pomieścić 27 tys. widzów.

Elipsa jego obwodu wynosi 427 m (wstęp 10 TND/os). Obeszliśmy kilka razy całą budowlę, zeszlismy też do podziemi. Poniżej areny znajdują się pomieszczenia i korytarze, gdzie gladiatorzy, zwierzęta i ofiary oczekiwali na swoją kolej. Potem wróciliśmy na dworzec, rozpytując o połączenie do Sfaks. Zjedliśmy w jednej z przydrożnych knajpek obiad w postaci tuńczyka z puszki, frytek, sałatki i jajka sadzonego. Do tego podawana jest zazwyczaj bagietka. Po dłuższym oczekiwaniu okazało się, że busik do Sfaks pojedzie, ale jak zapłacimy za pozostałe miejsca.

Kierowca chciał policzyć miejscowych za normalną cenę, a my mieliśmy dopłacić za pozostałe wolne miejsca. Wiadomo, że takie numery z nami nie przejdą. Okazało

się, że za 30 minut jest pociąg do Sfaks. Poszliśmy więc na dworzec kolejowy. Tutaj dowiedzieliśmy się, że o godz. 16.00 pociąg pojedzie aż do Gabes, co nas jeszcze bardziej urządziło. Kupiliśmy bilety za 10,400 TND/os. Pociąg się spóźnił, ale nas to już nie martwiło, bo chcieliśmy już tylko dojechać do tego miasta, gdzie planowaliśmy kolejny nocleg. Po 4 godzinach dotarliśmy na miejsce. Podróż pociągiem tunezyjskim jest w miarę wygodna. Podział jest na 3 klasy (1,2 oraz komfort), różnica tkwi w klimatyzacji, jej braku i fotelach. Problem słabej infrastruktury kolejowej powoduje, że pociągi przepuszczają się nawzajem i czasem trzeba dłużej czekać na przejazd. W Gabes udaliśmy się do hotelu polecanego przez przewodnik „Hotel Ben Nejima” za 18 TND/pokój. Poszliśmy jeszcze na dworzec autobusowy sprawdzić połączenia do Tatawin, ale rozkład jazdy napisany był po arabsku, a ludzie nie potrafili nam odpowiedzieć na nasze pytania po angielsku. Wróciliśmy do hotelu i w knajpce obok zjedliśmy pyszne lawasze z salami i sałatkami. Dzisiaj pokonaliśmy około 320 km.

26 października. Gabes – Tatawin – Duz

Okolo godz. 6.30 pobudka, dłużej spać nie możemy, co jest zawsze dziwne na wakacjach. W domu o tej godzinie zawsze rodzi się bunt i chęć pospania dłużej. Poszliśmy na dworzec i zaczęliśmy szukać busa do Tatawin. Samochód szybko zapełnił się podróżnymi i za 8 TND/os. pojechaliśmy dalej. Po drodze naszą uwagę zwracały prowizoryczne stacje benzynowe, czyli beczka napełniona benzyną i lejek z gumowym wężem zamontowanym na stelażu. Jak się dowiedzieliśmy później, paliwo było przemycane z Libii. Po dwóch godzinach byliśmy na miejscu.

Tu zaczęliśmy szukać taksówki, aby objechać okoliczne ksary (czyli ufortyfikowane spichlerze). W końcu jeden z kierowców zgodził się pojechać za 75 TND/pół dnia. Ustaliliśmy, że chcemy zobaczyć Haddada, Chenini, Douiret i Guermessa, i w tej kolejności rozpoczęliśmy zwiedzanie. Wszędzie wstęp jest wolny, chociaż można zostawiać datki na konserwację tych miejsc.

Przejechaliśmy około 120 km w 5 godzin. Miejsca są warte odwiedzenia z uwagi na ich położenie i historię. Haddada wykorzystana została do kręcenia filmu „Gwiezdne Wojny” i część jest odrestaurowana, a pozostała część to gruz. Można więc porównać, jak wyglądało wcześniej. Mimo wszystko miejsce to zachwyca labiryntem wąskich uliczek i dziedzińców. Chenini jest najciekawszą z ksar. Warto nawet poświęcić dwie pozostałe i spędzić tu więcej czasu. Ksary położone są na stoku góry i wspina się do nich ułożoną, kamienistą drogą. Z dołu wygląda na bardzo stromą i wymagającą trasę, ale jest to spacer. Można zajrzeć do środka budowli, w centralnej części ściany skalnej ulokowany jest biały meczet, który wyraźnie kontrastuje z żółtymi skałami. Tego obrazka dopełnia piękne, błękitne niebo. Można stać i przyglądać się, podziwiając pomysłowość i sztuka architektoniczne mimo wszystko prostych ludzi, a nie wybitnych inżynierów. Pozostałe ksary położone są na wzgórzach, w większości zniszczone, chociaż mieszkańcy powoli je odbudowują, zamieszkują i przystosowują do ruchu turystycznego.

Z dworca w Tatawin udaliśmy się busem za 8 TND/os. do Gabes, a stąd mieliśmy autobus do Duz. Bilet na godz. 19.40 kosztował 8,970 TND/os. Po 2,30 godz. byliśmy na miejscu. Tu zatrzymaliśmy się w „Hotelu 20 Mars” za 20 TND/pokój. Tym razem sięgnęliśmy do hotelu z przedziału „ceny umiarkowane” i okazało się, że często był to lepszy wybór. Hotel jest oblegany przez turystów indywidualnych z plecakami, jak

i wycieczki zorganizowane. Można zauważyć, że stanowi bazę wypadową dla rajdowców, którzy organizują wyprawy na pustynię.

27 października. Duz – Ksar Ghilane

Śniadanie – kabaret kuchnię obsługiwał chyba niespełniony aktor, przypominający Samuela L. Jacksona. Przedrzeźniając nas i śmiejąc się z turystów, serwował kawę, kakao, herbatę, wywołując śmiech. Udaliśmy się na miasto szukać agencji, która zorganizowałaby nam wycieczkę na pustynię. Okazało się, że w niedzielę agencje nie pracują. Tak więc spotkaliśmy po drodze Alego, który zaproponował nam swoje usługi. Wynegocjowaliśmy cenę 170 TND/ za cały dzień pobytu na pustyni. Nie chcieliśmy lunchu, wielbłądów, relaksującej kąpeli i innych ofert, tylko zwiariowaną przejażdżkę po wydmach. Poczekaliśmy trochę na przyjazd kierowcy, który pickupem dowiózł nas do wrót Sahary, tzw. Wielkiego Ergu Wschodniego. Jest to miejsce, gdzie nie kursuje żaden publiczny środek transportu. Jadąc do Ksar Ghilane, po drodze mijamy Beduinów, którzy korzystali z kąpeli w gorących źródłach bijących pod pustynią. Niesamowite wrażenie. Wokoło otaczają nas rozgrzane przez słońce piaski, a z wnętrza wybija gorąca, siarkowa woda. Można natrzeć się błotem i relaksować. Po dwóch godzinach dotarliśmy na miejsce. Tu Ali i kierowca wykorzystali moc Toyoty 4X4, jeżdżąc po wydmach i wzbijając tumany piasku. W sumie byliśmy zadowoleni z samochodowego safari. Na pustyni trwała wyprawa ciężkich samochodów ciężarowych, jeepów itp. maszyn w ramach akcji na rzecz dzieci niepełnosprawnych. Tu mogliśmy przyglądać się tym „samochodowym potworom” pokonującym wydmy bez żadnego wysiłku, spalając przy tym dziesiątki litrów ropy. Super sprawa, szczególnie widząc uciechę niepełnosprawnych osób. Podczas przeprawy jeepem przez piaski pokonuje się wydmy, które w zależności od pory dnia i zmieniającego się światła przyjmują barwę złota i czerwieni. Mniej więcej 2 km od oazy znajdują się ruiny rzymskiego fortu Tisavar. Wróciliśmy do Ksar Ghilane, gdzie jest dobrze przygotowana baza turystyczna, przyciągająca poszukiwaczy przygód. Można tu zażyć kąpeli w stawie zasilanym wodą z gorących źródeł. W jednej z knajpek zjedliśmy brika za 3,5 TND. Następnie poszliśmy zwiedzać okolicę. Najpierw znaleźliśmy parking, gdzie stały wielkie ciężarówki i samochody terenowe. Mogliśmy podpatrzeć przygotowania logistyczne, wielkie pakowanie prowiantu oraz wody. Dla nas to ciekawe sprawy. Następnie poszliśmy do położonego obok kempingu dla ekskluzywnych turystów. No, trzeba powiedzieć, że robi wrażenie wybudowany na pustyni duży basen z podgrzewaną, zdrojową wodą, palmy, leżaki i piękny widok pustyni. Goście mają do dyspozycji klimatyzowane namioty, urządzone w stylu afrykańskim. Jest sala ogólna, jadalnia, punkt widokowy. Urokliwe miejsca. Obok są tańsze, ale równie sympatyczne ośrodki wypoczynkowe. Każdy znajdzie tu dla siebie odpowiedni przedział cenowy. Prawdopodobnie z własnym namiotem też nie byłoby problemów. Wracając, spotkaliśmy grupę mężczyzn wynajmujących quady i wielbłądy. Jarek postanowił pojeździć na quadzie. Zapłacił 40 TND za godzinę jazdy. W tym czasie Ali załatwił nam wielbłądy (25–30 TND/os.) i trochę się wkurzył, że samowolnie coś zorganizowaliśmy bez niego. No cóż. Ponownie wytłumaczyłam mu, że nie jesteśmy naiwnymi turystami, którzy nie rozumieją realiów ich biznesu. Obniżenie nam ceny wycieczki spowodowało, że liczył na naciąganie nas na dodatkowe atrakcje w cenie wskazanej przez niego. Nie przyszło mu do głowy, że jesteśmy w stanie rozeznaczyć ceny, potargować się i nie jest nam do tego potrzebny. Dla niego ważna był prowizja od tych atrakcji.

Jarek wrócił zadowolony, bo w końcu poszalał quadem na wydmach. Jednym z najpiękniejszych tworów Sahary jest występująca tu róża pustyni, misternie ukształtowana przez piasek, z kryształkami powstającymi z wapnia i soli. Wracając do Duz, Ali wciąż skarżył się, że nic dziś nie zarobił, że jest głodny itp. No, stwierdziliśmy, że się chłopak narobił, siedząc w cieniu kilka godzin i czekając na nas. Więc jeśli spotkacie szczerbatego mężczyznę głośno zachwalającego swoje usługi na mieście, to jest to Ali. Człowiek już zmęczony, zanim zacznie pracę. Do Duz wróciliśmy po zachodzie słońca, pokonując dzisiejszego dnia ponad 300 km. Postanowiliśmy zostać na noc w tym samym hotelu. Kolację zjedliśmy w postaci miski kuskusu z warzywami, kurczaka z ryżem, solidnie i tanio. W okolicach dworca weszliśmy do Teehaus na miętową herbatkę i fajkę wodną (1,5 TND). Wzbudziliśmy małą sensację, a ja na pewno, bo nie jest to widok spotykany, aby turystka przesiadywała w takim miejscu i paliła sziszę. Oczywiście o kobietach tunezyjskich nie wspomnę.

28 października. Duz – Kebila – Tauzar

Śniadanie to powtórka z rozrywki z udziałem Pana Murzyna. Potem poszliśmy na dworzec louages, skąd dojechalibyśmy do Kebili. Płaciliśmy 2,100 TND/os. Do Tauzar busy odjeżdżają z innego rejonu. Trzeba przejść przez targowisko i na następnej ulicy jest kasa biletowa. Zapłaciliśmy 6,350 TND/os. Trasa wiedzie przez Wielki Chott-el-Jerid (Szott-el-Dżerid), który jest jednym z trzech tunezyjskich słonych jezior (największe w Afryce Północnej). Tu można obserwować jedno z najbardziej fascynujących zjawisk na Ziemi – fatamorganę. Jest to złudzenie wywołane załamaniem promieni słonecznych w warstwach powietrza o różnej temperaturze. Przez większą część roku jezioro jest suche, jego dno pokryte jest kryształkami soli. Przez jezioro biegnie asfaltowa szosa na dwumetrowej grobli – z Kebili do Tauzar. Wrażenie robi pokonanie natury i wykorzystanie potencjału takiej przestrzeni. W Tauzar wynajęliśmy rowery za 20 TND/os. na pół dnia i pojeździliśmy po okolicy. Odwiedziliśmy plantację daktyli, gdzie akurat trwały zbiory. Rosną tu najsmaczniejsze daktyle deglat ennour, czyli „palec światła”. Nasycenie ich kryształkami cukru jest tak duże, że owoc wydaje się być przezroczysty. Po drodze znaleźliśmy wielki magazyn, gdzie siedziały kobiety i oglądały każdy owoc, sprawdzając, czy nie ma czasem „lokatora na gapę”, czyli robaka. Zajrzeliśmy do środka, gdzie mogliśmy porobić kilka zdjęć, z zastrzeżeniem, że nie wrzucimy ich na facebooka. Ok! Dostaliśmy jeszcze pół reklamówki przebranych już daktyli, i pojechaliśmy dalej w kierunku skały Belvedere, czyli wzgórza, z którego rozciąga się wspaniały widok na okoliczne gaje palmowe. Okazało się, że teren jest ogrodzony, a wokół rozciąga się pole golfowe. Obszar został zaadoptowany jako miejsce relaksu, jest plac zabaw dla dzieci, ławeczki, a skały zostały przyozdobione podobiznami „kogoś”, nie wiemy kogo. Przypomina to skały z wykutymi sylwetkami prezydentów USA w Mount Rushmore. Tutaj od miejscowych dowiedzieliśmy się, że o godz. 20.30 odjeżdża pociąg do Tunisu. Pojechaliśmy do centrum i zaczęliśmy szukać dworca. Jeden z zapytanych mężczyzn wsiadł na motor i podprowadził nas do...sali treningowej. Okazało się, że dla nich „train” brzmi jak trening, a nie pociąg. Pokazaliśmy w przewodniku transkrypcje po arabsku i w końcu dojechalibyśmy do dworca. No to była droga, dzięki której kilka siwych włosów przybyło. Poruszając się zdezelowanymi rowerami z hamulcami na „słowo honoru”, pokonywaliśmy główne ulice miasta, wśród ogólnego ruchu ulicznego. Każdy skręca, kiedy chce, pokazując ruchem ręki, że chce skręcić w lewo lub

w prawo. Jest to ruch niedostrzegalny w normalnych warunkach i powoduje kraksy. Ja jechałam z Jarkiem i dałam się na kierowców, jak tylko zauważyłam ich niecny zamiar wjechania mi w drogę. Słów nieparlamentarnych nie cytuję. Kupiliśmy bilety do Tunisu na godz. 20.30 za 20,100 TND/os. w 2 klasie. Zwróciliśmy rowery, a następnie w jednej z pizzerii zjedliśmy przepyszne szafarmy. Pociąg przyjechał przed czasem, ale trzeba go było jeszcze posprzątać. Zdziwiło nas, że tak dużo piasku jest w środku, ale wyjaśnienie miało pojawić się już za parę chwil. Gdy pociąg ruszył, zaczęły dostawać się do niego chmury piasku. Okazało się, że wjechaliśmy w pustynię, a jego prędkość wznieca tumany kurzu i pyłu, który zasysa do środka. Planowo na miejscu mieliśmy być o godz. 5.00. Okazało się, że co parę godzin zmienialiśmy lokomotywę, przepuszczaliśmy inne pociągi, tak więc mieliśmy 5 godzin opóźnienia.

29 października. Tunis – Sidi Bou Said – Kartagina

Nad ranem wciąż byliśmy w drodze do Tunisu. Około godz. 8.00 byliśmy już w Sousse, tu postanowiliśmy się przesiąść na szybki pociąg, który zmierzał do stolicy. Konduktor sprawdził nasze bilety, ponarzekał, ale nie kazał dopłacać. Około godz. 10.00 dotarliśmy na miejsce, znajdując pokój w hotelu „Bretagne” za 35 TND/pokój. Ceny wyższe, o! stolica! Zmyśliśmy z siebie pustynny kurz i pojechaliśmy podmiejskim pociągiem linii TGM do Sidi Bou Said. Bilet kosztuje 2 TND/os., trasa kończy się w Carthage Residence, bo remontowane jest torowisko. Dalej do centrum Sidi Bou Said podwozi nas autobus (oczywiście sytuacja może ulec zmianie i pociąg będzie znów dojeżdżał do La Marsa). Tu opanowało nas fotograficzne sałeństwo. Miasteczko jest jednym z najładniejszych z całej naszej trasy. Błękitny i biały to kolory dominujące pałaców, domów, świątyń, nieba i morza. Trzeba przejść się jego uliczkami, piękny jest tu każdy detal i szczegół, m.in. misternie zdobione balkony z kutego żelaza, okiennice, drzwi i pnącza bugenwilli. Czego można chcieć więcej! Poświęciliśmy kilka godzin na włóczenie się po zakamarkach uliczek i podwojek. Warto również wybrać się do położonej na szczycie klifu restauracji „Cafe Sidi Chabanne” oferującej jedno z najpiękniejszych widoków w tym rejonie. Bardzo nam się podobało. Potem podjechaliśmy do Kartaginy, wstęp 10 TND, gdzie zwiedziliśmy ruiny amfiteatru, odnowiony teatr oraz kilka starożytnych kolumn. Teren antycznej Kartaginy jest rozległy i warto pomyśleć o taksówce lub rowerze. Przy drugiej opcji należy wziąć pod uwagę upa! Obecnie jest to wielkie rumowisko, wokół którego rosną pachnące eukaliptusy i mimozy. Wróciliśmy do Tunisu, spacerując główną ulicą Ave Habib Bourguiba. Jest to najbardziej reprezentacyjna ulica miasta, znajdują się tu liczne kawiarnie i restauracje oblegane przez miejscowych, fast foody oraz eleganckie butiki. Następnie zjedliśmy kolację i podeszliśmy jeszcze do medyny, ale wszystkie kramy z pamiątkami po godz. 19.00 były już pozamykane.

30 października. Tunis

Po śniadaniu ruszamy zwiedzać miasto. Najpierw oglądamy katolicką katedrę St. Vincent de Paul. Następnie nasze kroki kierujemy do medyny. Wizyta na suku (czyli targu) jak zwykle jest niezapomnianym przeżyciem. To prawdziwy festiwal ulicznego gwaru, „fotograficznych kadrów” i egzotycznych smaków. To tutaj tętni serce tej aglomeracji. Jest to gęszcz ślepych zaułków i uliczek. Oglądamy, jakże znane nam widoki: porcelana, garnki, szisze, przyprawy, perfumy, buty, świecidełka, lampy, szale, pluszowy wielbłąd. Są tu warsztaty tkackie, pracownie malarzy, rzeźbiarzy i rękodzielników. Błądząc uliczkami, znajdujemy poszczególne atrakcje turystyczne, takie jak meczety, m.in.

Az-Zajtuna, wstęp 5 TND (jest jedynym meczetem w mieście otwartym dla niemuzułmanów), medresy, bogate domostwa, ale większość jest niedostępna dla innowierców. Robimy rozeznanie w cenach, dobijamy targu, kupując parę pamiątek, mając nadzieję na zrobienie dobrego dla nas interesu. Udało nam się wejść na dwa tarasy widokowe, z których rozciągała się panorama medyny. Na chwilę wychodzimy z płataniny uliczek na Place du Gouvernement, oglądając budynki rządowe i siedzibę władz miasta. Następnie zostawiliśmy w hotelu nasze łupy, czyli zakupione pamiątki, i ruszamy do nowej części miasta. Tu zobaczyliśmy wieżę zegarową i hotel „Du Lac” stylizowany na budynki z „Gwiezdných Wojen”. Architektoniczny koszmarek, górujący nad budynkami z czasów kolonialnych. Tunis bardzo przypomina francuskie lub włoskie miasta. Znaleźliśmy też kilka piwiarni (2,200–2,500 TND za małe piwo). Potem podjechaliliśmy metrem nr 4 (w rzeczywistości jest to tramwaj) za 0,400 TND/os. do Muzeum Bardo (otwarte od 9.30–16.30), gdzie znajduje się największa na świecie kolekcja rzymskich i bizantyjskich mozaik przeniesiona z terenów całej Tunezji. Poza tym można tu zobaczyć marmurowe rzeźby, sarkofagi, maski, lampy, garnki. Wstęp kosztował 11 tys. TND/os., naprawdę warto tu przyjechać. Następnie metrem nr 2 udaliśmy się na stadion Stade Olympique w El Menzach, który służy dwóm drużynom: Club African Tunis i Espérance Sportive de Tunis. Akurat skończył się mecz i mogliśmy podejrzeć miejscowe gwiazdy futbolu afrykańskiego. Wróciliśmy do miasta i poszliśmy do Careffour’a, który znajduje się w pobliżu stacji République. Tutaj można zakupić mocniejszy alkohol. Okazuje się, że wielu Arabów zaopatruje się w wysokoprocentowe trunki i nikt nie robi z tego afery. Następnie piechotą dotarliśmy do dworca kolejowego. Plac de Barcelone to komunikacyjne serce miasta. Znajduje się tu dworzec louages, autobusowy oraz przebiegają tu wszystkie linie metra. Ustalliliśmy odjazdy pociągów do Enfidha i wróciliśmy w okolice hotelu.

Znaleźliśmy tanie jedzonko w postaci omletów w bułce. W tym rejonie jest mnóstwo różnych fast foodów za niskie ceny. Weszliśmy do jednej z herbaciarni i zapaliliśmy pożegnalną sziszę. Oczywiście, najważniejszą atrakcją było oglądanie meczu, który został brutalnie przerwany wiadomościami. Okazało się, że dziś wybuchła w Sousse bomba, gdzie zginął terrorysta. Tunezyjczycy nie pochwalają radykalnego islamu i są niezadowoleni z sytuacji u siebie, jak i w sąsiednich krajach arabskich. Chcą dalej żyć i wzorować się na krajach europejskich, a ich odnośnikiem jest Francja i Włochy. Są bardzo mobilni, dużo podróżują, wielu zna Polskę, mówią po polsku i znają realia naszego kraju. Zdają sobie sprawę, że akty terroru źle wpływają na wizerunek i traci ich gospodarka, która w dużej mierze utrzymuje się z turystyki. Wróciliśmy do hotelu, spakowaliśmy się i poszliśmy spać.

31 października. Tunis – Enfidha – Warszawa

O godz. 8.30 pojechaliliśmy pociągiem do Enfidha. Po 2 godzinach byliśmy na miejscu. Małutki dworzec utrzymany w biało-niebieskim kolorze jest podsumowaniem uroczych widoczków. Doszliśmy piechotą do centrum miasteczka i wstąpiliśmy do banku, mając nadzieję na wymianę ostatnich pieniędzy. Okazuje się, że bankom nie wolno wymieniać dinarów na dewizy, których zresztą i tak nie posiadają. Możliwe jest to tylko na lotnisku. Mając kilka godzin do odlotu, ja zostałam w jednej z knajpek, a Jarek poszedł zwiedzać miasto. Po jakimś czasie przyszedł z policyjnym tajniakiem, który zażądał paszportu. Potem kazał zabrać bagaże i udaliśmy się na komisariat. Tutaj

polecili pokazać zdjęcia, jakie zrobił. Okazało się, że Jarek robił zdjęcia w rejonie stacji benzynowej i dworca, stojąc obok komisariatu. Ponieważ sytuacja po wybuchu bomby była dosyć napięta, a w ostatnim czasie w wyniku zamachów zginęło 7 policjantów, byli więc trochę przewrażliwieni. W Tunezji nie wolno robić zdjęć obiektom wojskowym, posterunkom policji, budynkom rządowym, Po przejrzeniu karty pamięci okazało się, że wszystko jest w porządku.

Dodatkowe zdziwienie wzbudziła tablica rejestracyjna, którą Jarek skombinował w jednym z warsztatów samochodowych. Pooglądali z ciekawością nasze paszporty, pieczętki, wizy, pouczyli i puścili wolno. Wzięliśmy nasze bagaże, kupiliśmy jeszcze prowiant i pojechaliśmy podmiejskim autobusem na lotnisko. Przejazd kosztował 0,550 TND/os. Tutaj czekała nas kolejna przeprawa, tym razem z celnikami. Okazało się, że tablica rejestracyjna to nielegalny suvenir i nie możemy jej wywieźć. Panowie dzwonili, pytali szefostwa, ale nie odpuścili. Wzięli nas do pomieszczeń, o których pewnie nigdy byśmy nie wiedzieli, że istnieją, i zaczęli pytać, skąd mamy tablicę, czy kupiliśmy, za ile, od kogo, itp. Na takich rozmowach upłynął nam czas, tłumaczeniu, że podróżujemy samodzielnie, bez biur podróży, sami wszystko załatwiamy. Sprawdzili paszporty, pooglądali wizy z innych krajów. W końcu zapytali, co robimy w Polsce na co dzień. Jarek według nich musiał być żołnierzem, bo jego wygląd na takiego wskazywał. Co prawda, czasem pobiegnie w biegu wojskowo-przygodowym, ale żołnierzem nie jest... Zarekwirowali nam tablicę i pozwolili iść na halę odlotów. Wymieniliśmy jeszcze ostatnie dinary na dolary, zjedliśmy posiłek i czekaliśmy na samolot. Czas mijał nam na słuchaniu o podbojach naszych wczasowiczów, no cóż, po raz kolejny stwierdziliśmy, że nie jest to nasza bajka. Może za 50 lat ? Wróciliśmy do zimnej Warszawy i autobusem nr 175 podjechaliśmy do Dworca Centralnego. Tutaj spotykaliśmy okaleczonych, zakrwawionych ludzi, niektórym z ust sączyła się krew, inni mieli oklejone plastrami czoła, oczy. Znowu bomba? Nie to Halloween – nasze nowe, polskie święto. Obrazek kończy facet w pióropuszu indiańskim pomalowany na czerwono z drugim facetem z głową konia. Polska to dziwna kraina. O godz. 0.15 Polski Bus zabiera nas do Katowic, a o godz. 6.00 meldujemy się w domu.

Podsumowanie

Tunezja jest naprawdę ciekawa. Co najważniejsze, ludzie tutaj nie są tak uciążliwi, jak w innych krajach arabskich, gdzie każdy chce ci coś sprzedać. Prawdziwą, pełną niespodzianek Tunezję można odkryć tylko poza hotelowymi enklawami. Ogólna zasada: im dalej od kurortów, tym ciekawiej. Z Polski można tu dolecieć w niecałe 180 min. – czyli zdecydowanie krócej niż samochodem z Bytomia do Zakopanego!!! Codziennie rano można usłyszeć głośne nawoływanie muezina do modlitwy z mi-naretu: „Hajja ala, alssalah...”, czyli: „szybko chodźcie na modlitwę”, rozlega się pięć razy dziennie.

Najbardziej znanym Polakiem w tym kraju jest... były trener reprezentacji Tunezji Henryk Kaspercak. Cena kupna pamiątek jest wypadkową białej skóry (im turysta bielszy, tym krócej przebywa w Afryce), więc nie wie, ile co kosztuje. Tunezjki cieszą się niespotykaną w innych islamskich krajach swobodą. Nie noszą chust na głowach, mają prawo do rozwodu, a dziewczynki chodzą do szkoły tak samo jak ich bracia.

Kobiety są tu lekarzami, prawnikami, nauczycielkami, politykami i mają prawo do takiego samego wynagrodzenia jak mężczyźni. Jedyne na południu kraju, gdzie

Gambia i Senegal



Termin: 14–22 marca 2014 roku.

Trasa: Banjul – Kololi – Bijilo Forest Park – Tanji Fishing Village – Serrekunda – Banjul – Barra – Kaolack – Dakar – Lac Rose – Illa de Goree – Kaolack – Farafenni – Was-su – Kuntaur – Barra – Banjul – Bakau (Katchically Crocodile Pool).

Uczestnicy: 1 osoba.

Przelot: Kupiłam bilet na lot czarterowy Warszawa–Banjul – 1356 zł z puli Rainbow.

Transport: W Gambii przemieszczałam się minibusami (vanami), zwanymi tutaj gelli-gelli, kursującymi często, lub żółtymi shared taxi, które zatrzymują się w każdym punkcie na ulicy, wystarczy stać i machnąć ręką, wysiąść też można w dowolnym miejscu. Ceny ich są ustalone, na krótkich odcinkach kilkukilometrowych – 8 dalasi, na dłuższych nieco więcej, ale ogólnie bardzo tanie. Tzw. dworce, nazywane są tu Taxi garages. Podróżując po Gambii, nie unikniemy też transportu wodnego przez rzekę Gambia. Rzeka dzieli prawie cały kraj na północ i południe. Na całej długości Gambii nie ma mostów, a przeprawa z jednego brzegu na drugi możliwa jest tylko w dwóch miejscach: Banjul-Barra i Farafenni. Promy kursują od świtu do zmierzchu, ale są wolne i trzeba czekać na ich wypełnienie, dlatego ja, przepływając się na drugi brzeg, korzystałam z dużych łodzi, podobnie, jak większość tubylców.

W Senegalu także korzystałam z busów, tzw. ndiaga ndiaye oraz ze zbiorowych 7-osobowych taxi, tzw. sept place. Są one tanie, ale warunkiem odjazdu jest komplet pasażerów, dlatego chętniej wybierałam sept place.

Pieniądze: Gambia – 1 EUR = 52–54 GMB (dalasi).

Popularne są kantory Western Union. Jest ich dużo w pobliżu Senegambia hotel i oferują dobry kurs; na lotnisku nieco gorszy, a w hotelach najmniej opłacalny. Można wymieniać EUR lub USD, także w odwrotną stronę, gdy na koniec mamy za dużo dalasi. Na lotnisku można pozbyć się nawet niewymiernej sumy dalasi, gdyż mają cały wór monet EUR i centów. Lepiej mieć gotówkę, bo respektują tylko kartę Visa, a bankomaty są jedynie przy Senegambia i przy traffic lights (Kairaba Avenue).

Senegal – 1 EUR – 650 CFA (frank zachodnioafrykański, stabilny).

Wizy:

Do Gambii nie potrzebujemy wizy.

Wizę do Senegalu na 90 dni otrzymuje się na przejściu granicznym, płacąc 50 EUR i 5 EUR za usługę. Wymagana ważność paszportu min. 6 miesięcy.

Język:

W Senegalu – język francuski.

W Gambii – oficjalnym językiem jest angielski i łatwo można się nim porozumieć w ośrodkach turystycznych, ale w powszechnym użyciu są lokalne języki poszczególnych grup etnicznych, których na terenie Gambii jest wiele. Najliczniejsze jest plemię Mandinka, Fula, Wolof i Jola. Jakież było moje zdziwienie, gdy dojechawszy lokalnym minibusem z Barra do Wassu, nikt w busie, włącznie z kierowcą nie rozumiał po angielsku.

Szczepienia: Obowiązkowe jest szczepienie na żółtą febrę – zalecane minimum 10 dni przed wyjazdem – udokumentowane w żółtej książeczce. Sprawdzono mi ją nieoczekiwanie w Barra, w drodze do portu.

Profilaktyka przeciwmalaryczna: Nie należy jej lekceważyć, gdyż w rejonie tym komary przenoszą zarodkić sierpowy (plazmodium falciparum), wywołujący najcięższą postać malarii u ludzi. Ja stosowałam Malarone kupione w Ziko – 142 zł. Miałam ze sobą moskitierę, chociaż w hotelach zawsze była, oraz repelenty z DEET (Insect ekran – spry zakupiłam we Francji). W Polsce dostępna jest Mugga. Pomocne są też palące się 12 godz. spiralki przeciwmoskitom. Tym razem komarów było bardzo niewiele.

W trosce przed uniknięciem innych komplikacji zdrowotnych trzeba pamiętać o picciu wody butelkowanej, przegotowanej, ewentualnie z woreczków. Stosować kremy z mocnym filtrem, a wieczorami okrycia ciała.

Elektryczność: W większości hoteli wtyczki są typu europejskiego, ale w moim pokoju spotkałam się z wtyczką typu G – angielską, z trzema płaskimi bolcami. Częste są przerwy w dostawie prądu. Wtedy pozostaje świeczka i własna latarka, którą radzę wziąć z sobą. W każdym domu i niższej klasy hotelach mają przenośne palniki elektryczne i zawsze można poprosić o zagotowanie wody na herbatę.

Bezpieczeństwo:

W Gambii czułam się bezpiecznie. Mieszkańcy Gambii okazali się łagodnymi, przeziębionymi, uprzejmymi i nie tak bardzo zmanierowanymi, jak to ma miejsce w innych krajach Afryki Zachodniej. Jedyne ci przy plażach i luksusowych hotelach nagabują białych, ale uśmiech i grzeczna odpowiedź często skutkuje. Rozbestwieni są przez panie w średnim wieku i starsze z Anglii i Niemiec, które spacerują z młodymi Gambijczykami, trzymając się za ręce, a zapewne na tym się nie kończy. Spotkałam wiele takich par w okolicy Senegambii. Panie zapewne doznają rozkoszy, a młodzieńcy w łatwy sposób zarabiają pieniądze. Wielu białych mężczyzn, zarówno młodych, jak i starych, spotykałam przesiadujących w restauracjach z ładnymi Gambijkami. Tu żaden biały nie może być niezauważony. Młodzi chłopcy proszą też często o adres e-mail i telefon. W minibusach i zbiorowych taksówkach, którymi przemieszczałam się między poszczególnymi miasteczkami, nie zaczepiają, jedynie w drodze do hotelu są nieustępliwi. Na widok hotelowego security, szybko jednak znikają. Przed wejściem do hoteli jest zawsze ochrona, także na plażach. Zauważyłam, że z plaż hotelowych korzystają tylko bia-

li, niekoniecznie zakwaterowani w danym hotelu. Pojawiają się jedynie nieliczni czarni sprzedawcy. Robiąc zdjęcia, należy unikać fotografowania posterunków policji i obiektów administracji państwowej. Uwaga na odbieranie rozmów z telefonów komórkowych! Z mojego konta błyskawicznie zniknęło 130 zł, mimo że w ogóle nie dzwoniłam.

Raj dla ornitologów. Gambia jest mekką miłośników ptaków. Żyje tu ponad 500 gatunków ptaków. Ptaki spotyka się wszędzie i nawet jeśli nie jest się ich znawcą, można niektóre zidentyfikować, a o inne dopytać mieszkańców; często widzę ich przy śmietnikach, przy łódkach rybackich przy rzece i oceanie. Podobizny ich widnieją na wszystkich banknotach, a nawet na butelkach piwa. Koło hotelu Sunset Beach w Kotu jest dobry punkt obserwacyjny ptaków. Także przy hotelu Senegambia jest Senegambia Birdwatching Centre. Prawdziwi entuzjaści ptactwa pływają odnogami rzeki Gambii, gdzie wśród mangrowców i lasów galeriowych mogą z bliska przyjrzeć się wielu gatunkom.

Do Gambii nie zamierzałam jechać sama, a zwłaszcza na tak krótko, ale niestety znajomi zawiedli. Skorzystałam z niedrogiego przelotu czarterowego – 9-godzinnego z Warszawy do Banjul za 1356 zł. Chciałam chociaż trochę poznać krajobraz, ludzi i lokalne zwyczaje tego najmniejszego kraju w Afryce, o którym słyszałam, że jest bardzo przyjazny turystom. Na szczęście miałam doświadczenie w podróżach po Afryce Zachodniej, gdyż 2 lata temu byłam w czterech pobliskich krajach, wiedziałam czego oczekiwać, ale nie spodziewałam się tak dobrze zorganizowanej infrastruktury turystycznej, prawie na poziomie europejskim. Tak jest jednak tylko wzdłuż wybrzeża, gdzie są luksusowe hotele, otoczone pięknymi ogrodami, wszystkie z bezpośrednim dostępem do szerokich, piaszczystych plaż i oceanu, z basenami, restauracjami. Tym luksusom przyjrzałam się, mieszkając w hotelu w Kololi, ale zobaczyłam też inne oblicze Afryki, mieszkając w domach tubylców. Nocleg u tubylców był wspaniałą okazją do przyjrzenia się warunkom ich życia, niezbyt łatwym i skromnym, a zarazem świadectwem ich niezwykłej życzliwości. Większość z nich to muzułmanie, witają się więc tradycyjnym islamskim pozdrowieniem „Salaam aleikum” i mimo że należą do różnych grup etnicznych, żyją zgodnie.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1

O 12.45 wylatuję z Warszawy linią czarterową. Samolot jest wypełniony Polakami, lecącymi na wczasy do luksusowych hoteli położonych wzdłuż plaż w Gambii. Lecę 9 godzin, z godzinnym międzylądowaniem w Las Palmas, ale bez opuszczania samolotu. Kontrola paszportów przebiega sprawnie. Wymieniam 50 euro w kantorze na lotnisku (1 euro – 52 dalasi). W kantorach Western Union na deptaku przy Hotelu Senegambia jest lepszy kurs – 54 dalasi. Na wczasowiczów czeka przed lotniskiem wiele niedużych autobusów, rozwożących ich do różnych hoteli. Jest już zupełnie ciemno, a port lotniczy Banjul International Airport leży w okolicy miejscowości Yundum, ok. 30 km od stolicy. Pytam pilotów, czy nie mogłabym zabrać się z nimi, byle bliżej cywilizacji, ale jak to Polacy, bezwzględni, pozostają niewzruszeni. Mogłam wsiąść bez pytania i jechać do jakiegoś hotelu, bo i tak nikt nie sprawdzał, kto jest w danym busie, jedynie wystarczyło zgłosić się do pilota z listą, aby wskazał odpowiedni bus, gdyż każdy jechał w inne miejsce, ale sądziłam, że uczciwiej będzie zapytać, a poza tym liczyłam na uzyskanie jakiejś rzetelnej informacji od rodaków. Nic z tego. Kiedy z lotni-

ska odjeżdża już ostatni autobus, a ja jedyna stoję obok, zainteresował się pilot Gambijczyk, siedzący obok polskiej pilotki i natychmiast pozwala mi wsiąść do autobusu. Wszystkie środkowe rozkładane siedzenia są wolne. Tym sposobem już na wstępie przekonuję się o polskiej bezdusznosci i jednocześnie o gościnności i wielkiej życzliwości mieszkańców Gambii. Od tej pory ta ich gościnność i niezmierna życzliwość towarzyszy mi przez cały okres mojego pobytu. Okazuje się, że autobus po rozlokowaniu turystów w drogich hotelach przy plaży, jedzie do Banjulu, gdzie mam zamiary na hotel Apollo. Kierowca autobusu jest tak uprzejmy, że gdy tylko wspominam, że szukam tego hotelu, sam proponuje mi podwiezienie. Przy okazji mam możliwość nocnego obejrzenia, mrocznej, nieoświetlonej stolicy. Niestety, hotel okazuje się nieczynny. Jak się później dowiedziałam, w stolicy działa obecnie tylko 1 hotel Laico Atlantic, drogi, położony między plażą, niedaleko portu, a łukiem triumfalnym. Jedziemy więc z powrotem w kierunku plaż z bogatą bazą noclegową w okolicy Senegambii. Przy okazji kierowca uszczęśliwia tłum tubylców długo oczekujących na jakiś nocny transport, zabierając ich za odpowiednią opłatą. Znajdujemy pokój w Kunta Kinteh Lodge w Kololi (500 dalasi). Zadowolona wręczam odpowiednią kwotę kierowcy, mimo że wzbrania się przed jej przyjęciem.

Dzień 2

Rano dostrzegam, że mieszkam w fajnym miejscu. Domki położone są pośród roślinności, wokół bardzo czysto, cicho, słychać tylko śpiew ptaków. W moim pokoju jest moskitiera, lodówka, wiatrak, obok łazienka. Bardzo sympatyczny, skromny i niezwykle pomocny opiekun tego miejsca – Keba, udziela mi dokładnych informacji dotyczących lokalnych środków transportu, ich cen, sposobu dojazdu do interesujących mnie miejsc. Kunta Kinteh, to nazwa tego miejsca, a także głównego bohatera powieści „Korzenie”, członka gambijskiego szczepu Mandinka, który jako niewolnik został wywieziony do pracy w Ameryce. Mój hotel usytuowany jest w bardzo dogodnym miejscu, kilkadziesiąt metrów od głównej ulicy, przy której, po przeciwnej stronie jest boisko sportowe, a nieco dalej obszerny kompleks Senegambia Beach, położony przy piaszczystej plaży. Hotel Senegambia jest znany przez wszystkich, jest to największy w tym rejonie kurort turystyczny, z mnóstwem barów, dobrych i niedrogich restauracji, sklepów, straganów z pamiątkami i kantorów wymiany, to miejsce pełne życia. Najpierw idę do hotelu Senegambia, przechodząc przez pięknie urządzonej recepcję, mijam basen hotelowy i ścieżką, prowadzącą obok dwukondygnacyjnych budynków rozmieszczonych w tropikalnym ogrodzie, docieram do plaży hotelowej. Spaceruję po złocistym piasku wybrzeża Kololi, a potem pływam w oceanie. Fale są dosyć spore, ale da się pływać. Chętnych jednak nie ma. Niektórzy zanurzają stopy, a większość leży na leżakach lub pływa w hotelowym basenie. Są też tacy, którzy wynajmują konie i robią przejażdżki wzdłuż brzegu oceanu. Tuż przy plaży jest restauracja, a za nią toalety i prysznice. Opłukuję się ze stonej wody i ruszam plażą w lewo w kierunku Bijilo Forest Park. Drogą prostopadłą do oceanu dochodzę do kasy biletowej, mijając na drodze 1 małpę i chłopców sprzedających orzeszki ziemne do karmienia małp (50 dalasi). Bilet do parku – 150 dalasi. Park jest bardzo duży. Stanowi go gęsty las deszczowy z trzema trasami zwiedzania, oznaczonymi różnymi kolorami, których mapka widoczna jest przy wejściu. Trasy są piaszczystymi ścieżkami, prowadzącymi przez las i wydmy, przy których gromadzi się bardzo dużo małp, zwłaszcza, gdy karmi się je orzeszkami. Wokół

mnie biegają mały zielone, na drzewach są mniej liczne mały czerwone. Niektóre są bardzo waleczne, co okazują przez wywalanie na wierzch czerwonego wnętrza jamy ustnej, co wygląda przeraźliwie. Najkrótsza trasa zielona trwa 0,5 godz., najdłuższa, trochę pod górkę – 2 godz. Trasę można przejść samemu lub z przewodnikiem (ok. 200 dalasi). Po wyjściu z Monkey Park dochodzę do głównej ulicy i zatrzymaną żółtą shared taxi (8 dalasi) dojeżdżam do Drop Turntable, stąd vanem za 12 dalasi do Tanji Fishing Village, największej wioski rybackiej w Gambii, gdzie oglądam różne rodzaje i różne wielkości ryb złowionych przez rybaków, wiele kolorowych łódek, oglądam wędzenie ryb, suszenie ich w soli; przy oceanie mnóstwo ptaków. Na straganach obok można kupić potężne świeże ryby i wiele różnorodnych produktów. Tu nie ma żadnego portu, spora fala morska, a łódki wypływają w głąb oceanu, potem rybacy wyciągają je na piasek przy pomocy lin. Najlepiej tu przyjechać wieczorem, gdy rybacy wracają z połowu, ja jestem za wcześnie. Spotykam tu 2 panie z UK z czarnym przewodnikiem, trzymające za ręce młodych Gambijczyków, są miłe i dzięki nim mam ułatwione fotografowanie i zwiedzanie. Z Tanji jadę vanem za 18 dalasi do Serrekunda – największego miasta w Gambii, a zarazem potężnego bazaru, bardzo kolorowego, głośnego, oferującego różnorodne towary. Przechadzam się między straganami, kupuję ananasa, avocado, papaję, porcję smażonego mięsa, pokrojonego w kostkę (po 50 dalasi). Jest tu dużo stoisk z rybami wędzonymi, artykułami przemysłowymi, z perukami (Gambijki noszą chętnie peruki i ładnie w nich wyglądają), z chińską odzieżą. Z Serrekunda wracam busem do hotelu (10 dalasi), biorę prysznic i postanawiam jechać do stolicy, Banjul. Biorę bus taxi do Tipper Garrage (10 dalasi), a tam przesiadam się na inny do Banjul (25 dalasi). W stolicy wysiadam przy boisku-stadionie, a więc w centrum. Jak na stolicę, jest to wyjątkowa dziura. Jedna główna ulica i kilka piaszczystych, bocznych, niska zabudowa, meczet, katedra katolicka. Tuż za stadionem, w głębi oglądam biały Pałac Prezydencki, a potem idę na znajdujący się naprzeciwko bazar Albert Market, przy którym mieszczą się kolonialne budynki, zniszczone, z popękаныmi elewacjami, przy chodnikach otwarte kanały. Filmuję tandetny pomnik między bazarem a Pałacem Prezydenckim i zostaję przywołana przez strażnika, który obawiał się, że filmowałam pałac, ale szybko mu wyjaśniam, że to tylko zdjęcie pomnika. Podchodzę do łuku triumfalnego, wchodzę na górę, by popatrzeć na okolicę. Stąd zaczyna się droga wyjazdowa z miasta, ale łuk trzeba objechać, pod nim nie można przejeżdżać. Ten przywilej zastrzeżony jest dla prezydenta. Stąd idę na pobliską plażę, w okolicie restauracji Nefretiti, aby pomoczyć nogi. Szybko wracam na drogę, nieopodal tej restauracji, gdzie często przejeżdżają shared taxi. Wszystkie są zapełnione, a liczba oczekujących powiększa się. Jest przecież sobota i wieczór. Nie widząc szansy na wolne miejsce, wraz z Gambijczykiem, czekającym jeszcze dłużej, zmieniamy miejsce i udajemy się bliżej portu, skąd odjeżdżają minibusy. Na każdy podjeżdżający bus rzuca się w biegu tłum ludzi. Nam udaje się też jakoś wskoczyć od tyłu. Jedziemy do Serrekunda (10 dalasi), stamtąd już spokojnie biorę taxi zbiorową do Westfield Junctions (8 dalasi), potem do Traffic Lights (8 dalasi) przy Kairaba Avenue (tubyłcy nazywają je tak, gdyż są to jedyne działające w Gambii światła na skrzyżowaniu), przesiadka do Senegambia Junction, a stąd już tylko kilkadziesiąt metrów do hotelu. Noc jest bardzo głośna. Po przeciwnej stronie aż do rana trwa dyskoteka z muzyką, której nie są w stanie zagłuszyć moje stopy do uszu. Podobno tak zawsze jest tu w sobotę, a czasami też w piątek.

Dzień 3

Rano w pokoju jest dosyć chłodno. Rozgrzewam się gorącą herbatą i z plecakiem ruszam na trasę do Senegalu. Zatrzymanym na ulicy minibusem jadę do Tipper Garage (8 dalasi), a stąd innym minibusem do Banjul Terminal Ferri (25 dalasi). Minibus szybko się zapełnia. Przy wjeździe do miast są punkty policyjne, samochody obowiązkowo zatrzymują się, a policja sprawdza dokumenty kierowcom. W busie, obok mnie siedzi młoda Gambijka, z którą zaczynam rozmowę. Okazuje się, że też jedzie do Senegalu, do swojej kuzynki, która mieszka w Dakarze. Piaszczystą ścieżką wzdłuż rzeki Gambii dochodzimy do łódek. Jest ich kilka. Z jednej ludzie wysiadają, na inną wsiadają. Przy brzegu tłum ludzi. Jest niedziela, więc przy takiej liczbie chętnych, łódka szybko się zapełnia. Musimy przeprowić się ze swoimi bagażami na drugi brzeg rzeki do miasta Barra, a rzeka w tym miejscu jest szeroka na kilka kilometrów – w najszerszym miejscu ma 12 km. Można płynąć promem, ale my idziemy na łódź, która jest już prawie zapełniona. Woda sięga za kolana. Ja przymierzam się do zdejmowania sandałów, a okazuje się, że nie potrzeba. Chłopak, który szedł obok nas już od busa, bierze mnie na barki, dosłownie siedzę na jego szyi, z nogami na jego klatce piersiowej i błyskawicznie jestem przeniesiona na łódkę, po chwili przeniesione są przez niego nasze bagaże, a potem moja współtowarzyszka i to tylko za 10 dalasi od osoby. Na łódce rozdają nam kamizelki ratunkowe. Łódka jest duża, ale po kilkunastu minutach wypełnia się całkowicie, a po 40 min. płynięcia jesteśmy już na drugim brzegu – w Barra. W Barra mnóstwo chłopców w uniformach z wymalowanymi na nich numerami, podbiega do łodzi. Najpierw wyniesiona jest dziewczyna, a ja czekam z bagażami na tego samego chłopca z nr 75, potem wędrują bagaże, a ja na końcu. Wszystko to znów tylko za 10 dalasi od osoby. Z Barra do Dakaru jest ok. 500 km, ale przed nami jeszcze godzina drogi do granicy z Senegalem. Wsiadamy do minibusu (25 dalasi +10 dalasi za bagaż załadowany na górze), konduktor zbiera pieniądze, ruszamy szybko, gdyż bus jest zapełniony i po godzinie jesteśmy już w Amdalai, na granicy z Senegalem. Udaję się z paszportem do urzędników, wbijają mi pieczętkę, w kantorze wymieniam 100 EUR = 65 000 CFA. Granicę przekraczam pieszo i czekam na wizę Senegalu, bez wypełniania jakichkolwiek formularzy. Płacę 55 EUR, chociaż oficjalnie wywieszona jest cena 50 euro, 5 chyba za usługę. Trochę czasu mija, zanim dostaję z powrotem paszport. Na granicy zawsze trzeba sprawdzić, czy na pewno wbili nam pieczętkę, bo są strasznie rozkojarzeni i wolni. Mój paszport tak długo przeglądają, że zapominają oddać żółtą książeczkę, dobrze że na czas to zauważam. Wsiadam na motorek za 20 CFA, który w kilka minut przewozi mnie do Gare Routiere w Karang – miejsca postoju busów i shared taxi (siedmioosobowych – tzw. sept place). Niektórzy ten krótki odcinek pokonują na platformie wozu, ciągniętego przez osła lub taksówką. Lokuję się z moją współtowarzyszka do shared taxi, płacę 7000 CFA, od czarnych kierowca bierze po 6000 i jedziemy do Dakaru. Przy aucie pojawiają się sprzedawcy orzeszków ziemnych i ciastek kokosowych. W przeciwieństwie do dobrej, równej drogi asfaltowej w Gambii, tutaj tylko niektóre odcinki są w dobrym stanie, przeważnie dziury są tak liczne, że kierowcy wolą jechać piaszczystym poboczem, objazdami, przez pola, w większości drogą szutrową. Kurz, gorąco, wysuszona, spalona słońcem trawa, osiołki, kozy, liczne termitiery i liczne baobaby oraz tradycyjne okrągłe chaty afrykańskie – oto widoki z samochodu. Droga z piaszczystej przeistacza się w dobrą, asfaltową tuż przed miastem – bazarem

– Kaolack. Zatrzymujemy się tu na krótki posiłek przy straganach. Przejeżdżamy obok rezerwatu Bandia, gdzie można wybrać się na safari jeepem. Do Dakaru docieramy ok. godz. 18. Końcowy przystanek mamy na Pikine. Pytam moją współtowarzyszkę z shared taxi, czy nie zna w pobliżu jakiegoś hotelu, a ona telefonuje do swojej kuzynki z tym samym pytaniem. Ostatecznie nie uzyskuję odpowiedzi, ale zaprasza, abym pojechała z nią taksówką. To bardzo krótki dystans, można było podejść pieszo, ale ona nie знаła dobrze drogi. Wchodzimy na podwórko, oddzielone od ulicy wysokim murem. Wokół podwórka ulokowane są mieszkania czterech rodzin, a właściwie, to pokoje tych rodzin. Kuchnia, wyposażona w przenośny palnik gazowy, garnki i patelnie wspólne, wspólne są też 2 pomieszczenia, tj. prysznic w stylu afrykańskim, czyli wiadro z wodą i naczynie do polewania, oraz ubikacja. Wszędzie zadziwiająco czysto. Zapraszają mnie do pokoju. Wszyscy wchodzą tu po zdjęciu obuwia. Moje stopy są tak zakurzone po całonocnej podróży, że nakładam skarpety, aby wejść do środka. Jest tam porażająco czysto. Pytają mnie, jak długo planuję być w Dakarze i czy koniecznie muszę nocować w hotelu, bo przecież mogę zostać u nich, tylko czy nie będzie mi przeszkadzał brak klimatyzacji?. Cieszę się z tak niespodziewanej propozycji i od razu deklaruje, że im zapłacę, ale o pieniądzach nie chcę słyszeć. Gospodarze nie znają angielskiego, mówią po francusku, a z kuzynką we własnym dialekcie. Myję się, polewając się wiadrem wody, idę na ulicę, aby coś zjeść i razem ustalamy plan na następny dzień, a w planie mam oglądanie różowego jeziora (Lac Rose). Orientuję się szybko, że pokój, którego centralną część zajmuje ogromne łóżko, a z boku jest mały kredens, niewielka szafka, w rogu zaś telewizor, wąskie przejścia z 3 stron łóżka, to ich cała przestrzeń mieszkalna, a tu przecież ich rodzina złożona z młodego małżeństwa z dwójką małych dzieci – 1,5 roku i 5 lat i dwie dodatkowe osoby: kuzynka z Gambii i ja. Dla mnie przeznaczają łóżko, oczywiście proponuję drugą część Gambijce. Przystaje na to, ale kiedy leży, oglądając telewizję, pod jej nieco zawyżonym ciężarem część łóżka się załamuje, a po naprawieniu już nie ryzykuje położeniem się. Na dużej tacy wnoszą usmażone jajka w kształcie płatów, bagietkę, stawiają na podłodze i jedzą siedząc też na podłodze. Nawet mnie zapraszają, ale ja dziękuję. Daję dzieciom czekoladę i cukierki. Okazuje się, że wszyscy śpią na matach na podłodze, tuż przy drzwiach. Jedyne gospodarz idzie do domu swojego taty. Takiej gościnności bezinteresownej, zważywszy na warunki lokalowe, nie spotkałam nawet w najbardziej gościnnym kraju – Gruzji. Długo oglądamy telewizję, jest akurat relacja z wizyty zagranicznego dostojnika w wielkim meczecie w Touba. Oświetlony meczet nocą wygląda imponująco.

Dzień 4

Rano zamierzamy jechać nad różowe jezioro (Lac Rose). Pikine, gdzie mieszkam, leży na peryferiach Dakaru, aż 17 km od centrum, a jezioro akurat po przeciwnej stronie stolicy. Taksówkarz w obie strony życzy sobie 23 000 CFA. Decyduję więc, że jedziemy publicznymi środkami transportu, etapami. Żadne z nich nigdy tam nie było, więc cieszą się, że mogą jechać. Ja oczywiście opłacam ich przejazdy, napoje i przekąski. Są to jednak niewielkie kwoty, a ich towarzystwo jest nieocenione. Często kupujemy kawę, sprzedawaną w małych, plastikowych kubkach, przyrządzaną na przydrożnych stolikach (50 CFA). Co ciekawe, zawsze po wypiciu, gniotą oni kubek i rzucają wprost na chodnik. Dojazd do jeziora zaczynamy, biorąc shared taxi, którą w trójkę pokonujemy długi dystans (750 CFA od osoby), kolejno zmieniamy minibusy 3-krotnie, pła-

cę za bilety po 200 CFA/os. W końcowym odcinku dojeżdżamy do jeziora regularnie i często kursującym tu docelowo autobusem nr 73 za 150 CFA od osoby. Autobusy nr 73 kończą bieg przy jeziorze i tu mają swoją pętlę. Spacerujemy wokół jeziora. Jakoś trudno jest dostrzec jego różowe zabarwienie, któremu zawdzięcza nazwę, a które to nadają mu algi, produkujące czerwony pigment, absorbujący promienie słoneczne. Jezioro jest płytkie, ale mocno zasolone i widzimy Senegalczyków pakujących do worków sól, wydobywaną z dna jeziora. Kobiety też tu pracują i chcą, aby zrobić im i wysłać zbiorowe zdjęcie. Chodzimy przy brzegu jeziora dosyć długo, ale nie spotykamy ani jednego turysty. W okolicy jest restauracja i hotel Lac Rose. Młoda dziewczyna z koszem koralików i lalek chodzi za mną nieustannie, z nadzieją, że coś kupię. Nie miałam takiego zamiaru, ale szkoda mi się zrobiło, że tak cierpliwie dźwiga ten kosz i kupuję czarną lalkę. Przy jeziorze była kiedyś meta rajdu Paryż-Dakar. Dziewczyna pokazuje nam teren wokół. Przechodzimy między restauracjami na inny brzeg jeziora, gdzie są wydmy oddzielające jezioro od Atlantyku. Tuż obok wydm stoją wielbłądy gotowe do przejażdżki z turystami, ale żadnych turystów nie ma. Chodzimy po wydmach, nagle przejeżdża po nich jakiś jeep. Wracamy do pętli autobusów nr 73, których czeka tu wiele. Akurat jeden rusza i za 200 CFA dojeżdżamy do Keur Massar, a tam przesiadamy się na autobus nr 61 i za 500 CFA dojeżdżamy do Mamelles, niedaleko Monument de la Renaissance Africaine (Odrodzenia Afryki). Stąd pieszo dochodzimy do widocznego z dala, położonego na wzgórzu pomnika, symbolizującego półwiecze niepodległości od Francji. Wspinamy się po bardzo licznych schodach, a z góry widzimy oddalone okolice lotniska, ocean oraz nieciekawe, szare budynki jednej z dzielnic Dakaru. Do centrum jest stąd daleko, biorę więc taksówkę, stojącą nieopodal i za 1500 CFA jedziemy do centrum. Z okien taksówki widzę wybrzeże i mnóstwo osób biegających wzdłuż jezdnii. Wsiadamy przy katedrze katolickiej, wchodzę do środka, potem podchodzimy do bramy pałacu prezydenckiego, gdzie stoi wartownik w czerwonym mundurze. Pytam policjantów, czy mogę zrobić zdjęcie. Nie ma problemu. Idziemy na Plac Niepodległości, a potem kierujemy się do portu, odgradzonego od ulicy wysokim murem. Długim korytarzem udajemy się do kas biletowych, prom na Illa de Goree (wpisaną na listę UNESCO) kursuje co 1,5 godz., akurat odpływa za 15 min, a bilet jest po 5200 CFA, dla Senegalczyków 1500. Straszna liczba białych. Nie wiem, skąd się tu wzięli, bo w centrum jakoś ich nie widziałam. Po ok. 30 min jesteśmy już w miejscu, gdzie była największa baza handlu niewolnikami w Afryce. Na wyspie jest dużo straganów z pamiątkami, kolorowe budynki, brukowane uliczki, sporo zieleni, plaża, fort, wieża i oczywiście Muzeum Niewolnictwa z celami niewolników. Po powrocie idziemy na dworzec busów, przechodząc przez ogromny bazar. Na każdy nadjeżdżający bus, rzuca się tłum. My też atakujemy jeden z busów i za 200 CFA dojeżdżamy bezpośrednio do Pikine, a potem spacerkiem już w ciemnościach wracamy do domu.

Dzień 5

Żegnam się z rodziną. Zostawiam im 10 000 CFA w ramach podziękowania za serdeczność i gościnność, ale oni niczego nie oczekują, są zaskoczeni i muszą namawiać ich, aby przyjęli, a wiem, że pieniądze na pewno im się przydadzą. Dziękują wielokrotnie. Wymieniamy adresy. Gospodarz odprowadza mnie na busa do centrum. Tym razem przechodzimy dalej za dworzec Pikine, na główną drogę, z której łapiemy bezpośredniego busa do centrum Dakaru (200 CFA). Idę bulwarem nadmorskim Corniche,

potem wzdłuż portu, całkowicie zastąpionego przez wysokie mury. Z dala widoczny jest Wielki Meczeta, po stronie portu mijam ładnie prezentujący się, lśniący w słońcu Grand Theatre de Dakar. Dochodzę wreszcie do dworca z busami i shared taxi, skąd jadę do świętego miasta – Touba. Wybieram shared taxi, gdyż jest już gotowa do odjazdu, a na busa trzeba czekać aż się zapełni (3500+500 багаж). W Touba jestem po 4 godzinach i tuż przy dworcu wsiadam do busa miejskiego, którym dojeżdżam do Wielkiego Meczeta. Jest on olbrzymi, ma 7 minaretów, jest jeszcze w rozbudowie, więc widać rusztowania. Jest to ważne miejsce pielgrzymkowe dla muzułmanów. Przed wejściem zasłaniam włosy chustką, nogi prześcierałem, jako że jestem z całym ekwipunkiem, a spódnicy długiej nie mam, nakładam skarpety i tak przygotowana wchodzę do meczetu. Jakiś wychudzony pracownik meczetu, początkowo agresywny, koniecznie chce mnie oprowadzać, gdyż twierdzi, że nie jest to muzeum i samemu nie można tu spacerować. Pokazuje różne detale tego imponującego strukturą i wielkością obiektu, zwraca uwagę na elementy w stylu marokańskim, pakistańskim i włoskim. Oglądam grób założyciela islamskiej sekty Mouride. Mogę wszędzie robić zdjęcia, z wyjątkiem centralnego miejsca modlitw. W trakcie zwiedzania ciągle poprawia mi prześcierało, robi przerwę na wspólną modlitwę z innymi, potem przechodzimy do budynku obok, gdzie jest biblioteka koraniczna. Tam oglądam m.in. zdjęcia kolejnych etapów budowy meczetu. Oczywiście daję mu napiwek, gdyż sporo czasu stracił i przekazał wiele ciekawych informacji. Okrążam meczet, aby wrócić do drogi, którą jeżdżą autobusy do dworca. Przy przystanku jest budynek, gdzie można napić się darmowej kawy. Jestem tak spragniona, bo upał jest straszliwy, że mimo iż opróżniłam wszystkie swoje butelki z płynami, to wypijam kilka kubków. Kawa ta ma specyficzny smak, postanawiam kupić paczkę na drogę. Daję im 1500 CFA, za co dostaję 0.5 kg worek kawy. Busem nr 1 dojeżdżam do dworca, a stąd shared taxi za 2500 CFA do Kaolack. Na bazarze przy dworcu kupuję arbuza, którym staram się ugasić pragnienie. Jest już późno i jedziemy w ciemnościach. W Kaolack, gdy wszyscy już wysiedli, jadę z kierowcą przez miasto w poszukiwaniu hotelu. Dojeżdżamy do miejsca postoju motor taxi, widzę tłum kierowców. Motorkiem (500 CFA) podjeżdżamy do różnych hoteli, jest ich sporo, ale w tańszych brak wolnych miejsc. Biorę więc Hotel Keur Samba za 12 500 CFA.

Dzień 6

Rano oglądam ogromny bazar, a potem motorkiem jadę na dworzec. Jest wiele minibusów, ale decyduję się na shared taxi i od razu ruszamy do granicy w Karang (2500 CFA+500 багаж). Długo wahałam się, czy stąd od razu nie jechać do Farafennii i tam przekroczyć granicę z Senegalem, gdyż planowałam później wyjazd do Wassu, byłoby krócej, ale czy szybciej? Podchodzę z paszportem do urzędnika senegalskiego, potem kawałek dalej do gambijskiego i po uzyskaniu pieczętek jadę shared taxi (35 dalasi+15 za багаж) do Barra (bus jest już zapełniony i akurat odjechał). W Barra jestem wczesnym popołudniem i zamiast przekraczać rzekę, decyduję się na wyjazd do Wassu do Stone Circles. Tuż przed drogą, prowadzącą do rzeki jest taxi garage. Jeden z busów nabierał już ludzi i ku mojej uciechu akurat odjeżdża. Kierowca mknie szybko dobrą drogą asfaltową, a ja oglądam biedne wsie gambijskie z domami pokrytymi często strzechą, mijamy liczne baobaby, akacje i inne drzewa, sawannę, ale też sporo zieleni. Zanim wysiadłam, pytam współpasażerów i kierowcę o jakiś hotel i drogę do kamiennych kręgów. Jakoś dziwnie patrzą na mnie, ale po chwili okazuje się, że nikt z nich nie zna angielskiego.

Przebywając w okolicy kurortów i w stolicy, wydawało mi się, że wszyscy znają angielski, a tymczasem oni posługują się swoimi lokalnymi językami. Na miejscu natychmiast znajduję młodych chłopców, którzy tłumaczą kierowcy busa moje pytania, a ponieważ chcę jeszcze dzisiaj zobaczyć stanowisko archeologiczne w Wassu, wraz z kilkoma lokalnymi ochotnikami busem jedziemy do tego miejsca za uzgodnione 150 dalasi. Nie jest to daleko od głównej drogi, za ok. 0,5 godz. można dotrzeć tam pieszo polną drogą. Jest jednak późno i szkoda mi na to czasu. Brama do obiektu nie jest zamknięta, więc od razu zaczynam oglądanie licznych kamieni o różnej wysokości (od 1 do 2,5 m) i średnicy, pochodzących z VIII w. (na liście UNESCO), które związane są z pochówkiem królów i władców. Ułożone są one w kręgi, niektóre powalone. Kiedy jestem już w środku, nadbiega opiekun tego miejsca z pobliskiego domu. Zobaczył nasz bus i zaprasza mnie najpierw do kupienia biletu (50 dalasi) i obejrzenia historii w budynku muzeum. W obawie przed zmierzchem kontynuuję jednak oglądanie na zewnątrz, a chłopiec objaśnia szczegóły. Kręgi i drzewo rosnące w lewym górnym rogu od wejścia są przedstawione na banknocie 50 dalasi. Na szczycie każdego z kamieni ułożone są drobne kamyki, zebrane z ziemi przez turystów, ja też dołożyłam swój. Kiedy kończę zwiedzanie i mam zamiar jechać z kierowcą do Kuntaur, gdzie na brzegu rzeki Gambii jest Guest House, przewodnik Sainey odradza mi, mówiąc, że to daleko od drogi i jutro trudno będzie wrócić do autobusu. W zamian za to mogę nocować u jego starszej krewnej, która niedaleko stąd ma wolny pokój. Starsza pani akurat jest przy bramie, prowadzi mnie na podwórko, gdzie krząta się cała rodzina. Daje mi kłódkę od dużego pomieszczenia, w którym są 2 duże łóżka. Pokój można zamknąć od środka na zasuwkę, więc przyjmuję propozycję, zwłaszcza że już się ściemnia i wolę się nie przemieszczać. Jest bardzo czysto. Jak zwykle pośrodku podwórko, a wokół domki, przed każdym ktoś siedzi. Gospodyni gotuje w sąsiednim pomieszczeniu kolację. Ja tymczasem idę do sąsiedniego budynku, bogatego, gdzie mieszka macocha Sainey'a, aby się „wykąpać”. Łazienka wyłożona jest płytkami, europejska toaleta i prysznic, ale i tak myjąc się, polewam się wodą z wiadra, bo nie ma bieżącej. Domownicy gotują na palniku wodę na moją herbatę, bo światła też dzisiaj nie ma. W pokoju mam świeczkę i latarkę.

Dzień 7

Rano z Sainey'em idę polną drogą w kierunku Kuntaur nad rzekę Gambia (ok. 2 km). W okolicy można wynająć łódkę i wypłynąć na poszukiwanie hipopotamów. Wymaga to jednak czasu, a ja niestety muszę wracać, bo chcę popływać jeszcze dzisiaj w oceanie. Nie tak daleko jest też wyspa Baboon, na której można podpatrywać hipopotamy, krokodyle i małpy, jak opowiada Sainey. Trzeba tu przyjechać na dłużej. Podziwiam więc okoliczną przyrodę, liczne ptaki i wracam przez pola do głównej drogi. Dziękuję starszej pani za nocleg, wręczam jej trochę dalasis. Sainey odprowadza mnie na busa, który jedzie tym razem tylko do Farafenni (80 dalasi), ale wsiadam, ponieważ chcę zobaczyć to miasteczko. Kierowca jedzie wolno, przyglądam się więc wiejskim domostwom, ich otoczeniu, rozległej sawannie i rozmawiam z młodym chłopcem Musą, siedzącym obok, który jedzie do swojego brata, mieszkającego w Farafenni. Dowiaduję się, że uczęszczał do szkoły tylko do 10 roku życia, gdyż rodzice nie mieli pieniędzy na jego kształcenie. W szkole właśnie nauczył się angielskiego, a teraz zarabia, dorywczo pomagając na roli przy uprawie ryżu i innych pracach polowych. W Farafenni przechadzam się z Musą po bazarze, a potem szukamy miejsca, skąd odjeżdżają busy do Barra.

Bus zapełnia się wolno, a ja w tym czasie oglądam okolicę, kupuję orzeszki, pomarańcze. Kupuję wcześniej bilet (90 dalasi) i po kolejnych 2 godz. jazdy jestem w Barra. Tu chłopcy przenoszą mnie i mój plecak na łódkę (10 dalasi). Jest już zapełniona, więc szybko odpływamy (25 dalasi) do Banjul. Stolicę już znam i busami z przesiadką, znaną mi trasą docieram do mojej Kunta Kinteh Lodge. Pojawia się właściciel, którego wcześniej nie było, światowy, często jeździ do Niemiec, zna niemiecki. Biorę upragniony prysznic, piję litry herbaty i wyruszam na kąpiel w oceanie przy Senegambia Beach Hotel. Jest duży odpływ, trzeba iść dosyć daleko w głąb oceanu, jest też spora fala, tylko 1 osoba pływa, ale mi to nie przeszkadza. Pływam lub rzucam się na fale aż zaczyna się ściemniać i ratownik przywołuje do wyjścia.

Dzień 8

Pakuje swój plecak, a sama udaję się na kąpiel w oceanie. Fale nie ustępują, ale jest to mój ostatni dzień, więc pływam, a gdy się nie da, to mam gratisowy masaż wodny. Dziś jeszcze jadę do Bakau, by zobaczyć tamtejsze plaże, kurorty i sadzawkę z krokodylami. Najpierw dojeżdżam busem do Serrekunda, a stąd innym busem do Bakau. W Bakau idę dróżkami piaszczystymi przez bazar, a potem między domami mały chłopczyk z bazaru prowadzi mnie do Katchically Crocodile Pool, miejsca gdzie w zielonej sadzawce żyje ok. 100 krokodyli (wstęp 50 dalasi). Najpierw wchodzę do muzeum, gdzie oglądam zdjęcia i instrumenty muzyczne. Boczną ścieżką dochodzę do niedużego stawu, całkiem zielonego, gęsto zapełnionego krokodylami, także pokrytymi zielonym nalotem. Nie ma tu żadnych barier, można chodzić wokół, a krokodyle jakieś ospałe. Dopiero po dłuższej chwili przychodzi chłopak, opowiadając o mieszkańcach stawu. Krokodyle tutejsze karmione są rybami. Na brzegu wyleguje się samica, która może być agresywna, gdyż obok ma 2 młode krokodyle. Chłopak prowadzi mnie ścieżką w głąb lasu, aby pokazać niezwykle okazałe drzewa o niesamowitych kształtach – silk cotton tree. Chcąc mu dać napiwek, trzymam w ręku cztery banknoty po 25 dalasi, nie wiem, ile wręczyć, ale on sam wyciąga tylko jeden, mówiąc, że tyle wystarczy. Aż trudno uwierzyć, że nie dotarło tu jeszcze zepsucie, tak powszechne w innych krajach Afryki Zachodniej. Przy stawie spotykam też małpę. Stąd kieruję się na plażę Bakau, jest spory kawałek do przejścia, po drodze wstępuję do cafe internet (15 min – 6 dalasi). Idąc dalej wzdłuż plaży, dochodzę do Calypso Beach Bar, a tam w stawie pływają dwa potężne krokodyle. Jest tablica, aby zachować ostrożność. Ocean w tej okolicy jest bardzo spokojny, bez fal, ale nikt nie pływa, wczasowicze z all inclusive Ocean Bay Resort odpoczywają na leżakach lub konsumują posiłki przy wystawionych na zewnątrz stolikach. Do miasteczka Bakau jest stąd dość daleko, ok. 1,5 km, idę więc kilkaset metrów do skrzyżowania, na główną drogę, tam łapię rikszę (5 dalasi), dalej minibus do Serrekunda. Wstępuję tu na bazar, robię drobne zakupy i busem wracam do mojego hotelu. Nie ma bieżącej wody, udaję się więc na plażę Senegambia Beach Hotel, tam zanurzam się na chwilę w morzu, potem szybki prysznic, obok za restauracją i tak odświeżona wracam do hotelu po bagaż, wsiadam do taksówki, którą złapał mi chłopak z hotelu – Keba (za 250 dalasi), jadę na lotnisko. Z lotniska oficjalna cena taksówki wynosi 700 dalasi.

Przykładowe ceny:

Gambia (w GMD): ananas – 60, papaja – 50, awokado – 40, woda w woreczku – mała 1,5; duża – 2,5, piwo – 40, mały garnuszek suszonego hibiskusa – 25, duży – 50,

orzeszki w małych woreczkach – 10, w dużych – 40, ostrygi – talerz – 150, ryba – 120, mała cola – 8, porcja smażonego mięsa – 50.

Senegal (CFA): pączki z manioku, za 6 szt. – 100, pomarańcze, 10 szt. – 500, mandarynki, 6 szt. – 250, pocztówki – 20, znaczki – 20, biały melon – 500, arbuz – 1500, orzeszki ziemne – 50 za mały woreczek, woda w woreczkach – 50, ryba – 1500, kawa na ulicy 50.

Noclegi:

Gambia – Kololi – Kunta Kinteh Lodge (blisko Senegambia Hotel) – 500 dalasi (noc, jest też za 600 z kuchnią) 1 os. lub 2 os. za 800 (tel. 00 220 4461171 lub 00-220 7788880); (obok mojego hotelu jest SKY Guest House, tel. 3700701); Wassu Village – dom rodziny Sainey (opiekuna Stone Circus) – tel. 6278947, e-mail: sainey10stones@hotmail.com

Senegal: Dakar – u rodziny senegalskiej – Bayo, Pikine, Tally Boumak, Diamaguene 2, tel. 77 802 04 02; Kaolack – hotel Keur Samba – 12 500 CFA.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Mniej niż 1% ludności świata odwiedziło do tej pory Antarktydę.

Uganda, Rwanda i Tanzania



Termin: 20 lipca – 22 sierpnia 2013 roku.

Uczestnicy: Kamila, Asia, Asia, Krzysiek, Agnieszka i Tomek

Trasa

Samolotem: Warszawa – Dubaj – Entebbe, Dar es Salaam – Dubaj – Warszawa, liniami Emirates.

Ładem: Entebbe – Kampala – Jinja – Mbale – Sipi Falls – Soroti – Lira – Kitgum – Kidepo NP. – Gulu – Murchison Falls NP. – Hoima – Fort Portal – jeziora kraterowe – Semuliki NP. – Toro-Semuliki Game Reserve – Kasese – Queen Elisabeth NP. – Ishahsa – Kabale – Jezioro Bunyonyi – Bwindi Impenetrable Forest NP. – Kisoro – Cyanika – Ruhengerii – Parc National des Volcans – Gisenyi – Kigali – Rusomo – Kahama – Singida – Arusha – Tarangire NP. – Serengeti NP. – Ngorongoro Crater – Arusha – Dar es Salaam – Zanzibar – Dar es Salaam.

Wizy:

Ugandyjska – 50 USD; Rwandyjska – 30 USD; Tanzańska – 50 USD.

Waluta: średnie kursy na 1.08.2013 wg www.xe.com:

Szyling ugandyjski UGX: 1 PLN=801 UGX, 1 USD=2582 UGX,

Frank rwandyjski RWF: 1 PLN=202 RWF, 1 USD=651 RWF,

Szyling tanzański TZS: 1 PLN=502 TZS, 1 USD=1617 TZS.

Przykładowe ceny żywności w sklepach i na ulicy. Chapati, pancake, różne buły, które są do kupienia w zasadzie wszędzie, z dodatkowymi bananami lub dżemem są sposobem na tanie i dobre śniadania.

Uganda: woda 0,5 l – 1000 UGX, 1,5 l – 1500 UGX, 5 l – 5000 UGX, cola 1,5 l – 2000 UGX, piwo w hostelu lub knajpie 3000–5000 usg, pierożek z nadzieniem mięsny lub wegeterianским na ulicy – 500 UGX, chapati (naleśnik) na ulicy – 100–500 UGX, ceny chapati zależą od wielkości i ilości kupowanych, np. 18 małych chapati, dodatkowo banany – 1700 UGX, 12 chapati – 6000 UGX, duża kiść bananów – 1000–2000 UGX, płatki i mleko – 13 000 UGX.

Rwanda: chapati – 100–200 RWF, 12 bananów – 500 RWF, woda 0,5 l – 500 RWF, cola 0,5 l – 700 RWF, snickers – 700 RWF, piwo Primus – 800 RWF.

Tanzania: kiść bananów – 1500 TZS, woda 1,5 l – 1500 TZS, bułki na ulicy – 1000 TZS, woda w supermarkecie 0,5 l – 2700 TZS, cola 0,5 l – 500–750 TZS, placki na ulicy – 400 TZS, 2 kg rambutanów – 2000 TZS.

Obiady w knajpach:

W wielu knajpach funkcjonuje bufet – dostaje się talerz i można na niego łądować, ile wlezie. Jeżeli do bufetu wchodzi mięso, jest troszkę drożej. W wielu knajpach pod nazwą „food” funkcjonuje maniok, ryż, słodkie banany, chapati, matooke, czyli zielone banany spożywcze, papka kukurydziana, sweet potatoes czyli bataty lub inaczej słodkie ziemniaki, zwykłe ziemniaki pod postacią frytek, makaron, czasem warzywa. Jeśli food jest w karcie, wtedy dostaje się mieszankę różnych produktów, jeśli food jest w ramach bufetu, to nakłada się go z różnych pojemników. **Uganda:** food, ryba, cola – 13 000/2 os., (Kampala); fryty, po 2 piwa – 9000 UGX/os. (Soroti); food z fasolką plus 3 piwa Nile – 25 000 UGX/2 os. (Fort Portal); jajecznica z tostami – 3000 UGX (camp nad jeziorem Nkuruba); food z fasolką – 11 500 UGX/2 os. (Fort Portal); warzywna potrawka z food, fryty – 7000 UGX/2 os., piwo Nile, Tucker i Senator – 9100 UGX. (Kesele); fryty i piwa – 13 500 UGX/2 os. (w kantynie w Queen Elisabeth NP.); food z fasolką – 3500 UGX/os. (Kabale); fryty, omlet i piwo – 15 000 UGX/2 os. (Kisoro); **Rwanda:** food z fasolką 700–1200 RWF /os. (Ruhengerii); potrawka warzywna z food – 1200 RWF/os., piwo Primus – 1000 RWF (Ruhengerii); food z fasolką – 1200 RWF/os., herbata – 500 RWF, piwo Mutzing – 1000 RWF (Gisenyi); **Tanzania:** fryty – 1500 TZS/os., piwo Kilimanjaro – 2000 TZS (Kahama); ryż z warzywami – 5000 TZS/os. (droga Kahama – Arusha); ryż z warzywami i fasolką – 4000 TZS/os., frytki z kurczakiem – 5000 TZS/os., piwo Serengeti – 2500 TZS, piwo Kilimanjaro – 2500 TZS (Arusha); makaron z warzywami – 5000 TZS/os. (droga z Moshi do Dar es Salaam); kurczak z frytami – 7000–7500 TZS/os. (Dar es Salaam); kalmary – 15 000 TZS/os., burger – 14 000 TZS/os., ośmiorniczka z frytami – 15 000 TZS/os., king fish z frytami – 17 000 TZS/os., warzywa w sosie kokosowym – 13 000 TZS/os., banany w sosie kokosowym – 7000 tsh/os. (Matemwe, Zanzibar); nieświeże ryby z colą – 11 000 TZS/2 os. (Stone Town, Zanzibar); pizza z warzywami i bananem – 2000 TZS, pizza z nutellą i kokosem – 3000 tsh, porcja barakudy – 3000 TZS, tuńczyka – 3000 TZS, placek kokosowy, warzywny – 2000 TZS (targ nocny w Stone Town); kurczak z frytami oraz burger z chapati i frytami do tego cola – 18 500 TZS (Dar es Salaam).

Dobre piwa, które piliśmy: Uganda – Nile Special, Bell, Castle (0,5 l), Rwanda – Mutzig, Tusker, Primus (0,72 l !!), Tanzania – Kilimanjaro, Serengeti (0,5 l). W zasadzie wszystkie dobre, bo zimne, a dookoła gorąco.

Noclegi:

- Backpackers Hostel (Kampala) – 14 000 UGX/os., w namiocie;
- Moses Campsite (Sipi Falls) – 7000 UGX/os., w namiocie;
- Peoples Quest House (Soroti) – 26 000 UGX/pokój dwuosobowy;
- Murchison Safari Camp (Przed Murchison Falls NP) – 20 000 UGX/os., w namiocie;
- Red Chili Camp (Murchison Falls NP) – 5 USD/os., w namiocie;
- Yes Hostel (Fort Portal) – 15 000 UGX/os., w dormitorium na 6 osób;
- White House Hotel (Kesele) – 40 000 UGX/pokój dwuosobowy;

- Gorilla Backpacker Lodge (Kabale) – 32 000 UGX/pokój dwuosobowy;
- Kamping Nshagi (Rushaga, przed Bwindi Impenetrable Forest) – 10 000 UGX/os., w namiocie;
- Graceland Hotel (Kisoro) – 25 000 UGX/pokój dwuosobowy;
- Cinfort Hotel (Ruhengerii) – 7000 RWF/pokój dwuosobowy;
- Havana Guesthouse and Lodge (Gisenyi) – 10 000 RWF/pokój dwuosobowy ze śniadaniem;
- Mount Kigali Lodge (Kigali) – 7000 RWF/pokój dwuosobowy;
- Guesthouse w Kahama (Kahama) – 20 000 TZS/pokój dwuosobowy z ciepłą wodą;
- Kitunda Guesthouse (Arusha) – 25 000 TZS/pokój dwuosobowy ze śniadaniem, nocleg darmowy, jeśli jedzie się na safari ze Scandic Safaris;
- Safari Inn (Dar es Salaam) – 30 000 TZS/pokój dwuosobowy ze śniadaniem;
- Lodge Tongwe (Matemwe, Zanzibar) – 45 USD/pokój dwuosobowy ze śniadaniem;
- Jumbo Quest House (Stone Town, Zanzibar) – 40 USD/pokój dwuosobowy ze śniadaniem;
- Econolodge (Dar es Salaam) – 35 000 TZS/pokój dwuosobowy ze śniadaniem.

Wejścia:

- Nile Gardens (Jinja) – wejście 5000 UGX/os.;
- Bujagali Falls (Jinja) – 3000 UGX/os.;
- Wodospady Sipi Falls – 25 000 UGX/os. (przewodnik) +10 000 UGX napiwek od wszystkich;
- Wstęp do campingu nad jeziorem Nkuruba oraz na Top of the World (jeziora kraterowe) – po 5000 UGX/os.;
- Wycieczka po jeziorze Bunyonyi – 40 000 UGX/os.;
- Spice tour (Zanzibar) – 15 USD/os.;
- Wioska Masajów w Ngorongoro Conservation Area – 80 000 TZS/4 os.;
- Snorkeling na Zanzibarze – 110 000 TZS/4 os.

Parki:

- Kidepo NP. – 35 USD/os., 30 000 UGX /auto – wejście, 15 000 UGX/os. – nocleg w namiocie na kempingu UWA, 20 USD – game driver, za każdy wyjazd.
- Murchison Falls NP. – 35 USD/os. – wejście, 20 000 UGX/auto – prom, 2000 UGX/os. – prom, łódka do Murchison Fall (UWA) – 25 USD/os.
- Semuliki NP. – 25 USD/os. – wejście, 15 USD/os. – tzw. activities (wycieczka z koniecznym przewodnikiem), gumowce – 5 USD/os.
- Toro-Semuliki Game Reserve – 25 USD/os. – wejście, 30 USD/os. – szukanie szympanсів, 15 000 UGX/os. – nocleg na kempingu.
- Queen Elisabeth NP. – 35 USD/os., 30 000 UGX/auto – wejście, 15 000 UGX/os. – nocleg na kempingu UWA koło Mweya Lodge, 15 000 UGX/os. – nocleg na kempingu UWA Ishasha River Camp 2,25 USD/os. – rejs łódką, ranger na game drive – 52 000 UGX w Ishasha za wyjazd.
- Bwindi Impenetrable Forest NP. – trekking do goryli 500 USD/os. (w tym wejście do parku, lepiej wykupić wcześniej. Przykładowo my ok. 3 miesiące przed trekkingiem to zrobiliśmy, a miejsc było już mało i wszyscy nie załapaliśmy się do jednej rodziny).
- Parc National des Volcans – trekking na wulkan Bisoke – 75 USD/os. (goryle – 750 USD/os.), wynajęcie auta z kierowcą z Ruhengerii do parku – 80 USD/za całość.

- Pięciodniowe safari ze Scandic Safaris – 750 USD /os. (całość – w tym wszystkie opłaty parkowe). W ramach ceny sami płacimy za wejścia do Tarangire NP. – 45 USD/os., Serengeti NP 2x60 USD/os., noclegi na kempingach na Serengeti NP. 2x30 USD/os. (Lobo Public Camp, Seronera camp); pobyt w Ngorongoro i zjazd do krateru – 200 USD/za auto. Dodatkowe koszty – napiwek dla kierowcy – 200 000 TZS i 100 USD dla cooka. Dla nas to pierwszy raz, kiedy poruszamy się po parku z wynajętym kierowcą i chyba jest to najrozsądniejsza opcja w tym przypadku. Podliczając wszystkie wydatki za wejścia i noclegi, dodając wynajęcie auta na własną rękę i zakupy, myślę, że kosztuje nas to więcej o 50-100 USD na osobę, a mamy luksus naprawdę dobrych posiłków i kierowcę, który wali Landroverem na pewno szybciej niż my byśmy jechali.

Transport:

- Taksy Entebbe – Kampala 60 000/6 os;
- Auto – 16 dni po 98 USD, czyli 1568/6 os., dopłata przy oddawaniu samochodu – 100 000 UGX za dojazd do Kisoro dla kierowcy, 130 000 UGX na paliwo, zgodnie z wcześniejszą umową.
- Diesel – 160 000 UGX (Kampala, 3050 UGX/za litr), 160 000 UGX (Lira), 150 000 UGX (Kitgum), 165 000 UGX (Gulu – 3250 UGX/za litr), 142 000 UGX (Fort Portal), 40 000 UGX (Kasese), 194 000 UGX (Kabale).
- Matatu: Cyanika – Ruhengerii – 500 RWF;
- Autobus: Ruhengerii – Gisenyi – 1100 RWF;
- Matatu: Gisenyi – Rubona – 300 RWF;
- Autobus: Gisenyi – Kigali – 3000 RWF;
- Autobus: Kigali – Kampala – 8000 RWF;
- Busik, matatu, autobus: Kigali – Arusha – 31 000 RWF;
- Taksy do Kigali Memorial Site z dworca – 3000 RWF/6 os.;
- Taksy w Kigali: dworzec – centrum 150 RWF;
- Taksy do hostelu w Kahama z dworca – 3000 TZS/4 os. (przepełnione strasznie);
- Autobus: Arusha – Dar es Salaam – 28 000 TZS;
- Taksy w Dar es Salaam z dworca Ubongo do Safari Inn – 17 000 TZS;
- Prom: Dar es Salaam – Stone Town – 35 USD;
- Dalladalla: Matemwe – Stone Town – 1500 TZS, 2000 TZS z plecakiem;
- Dalladalla: Stone Town – Paje 2000 TZS;
- Prom: Stone Town – Dar es Salaam – 6000 TZS;
- Taksy centrum Dar es Salaam – lotnisko – 15 USD.

RELACJA Z PODRÓŻY

20 lipca

Ok. 13.00 jesteśmy w Entebbe, lecąc z Warszawy przez Dubaj. Różnica między Polską a Dubajem plus 2 godz., między Polską a Entebbe plus 1 godz. Z lotniska, po dłuższych pertraktacjach i zapłacie frycowego w nowym kraju, jedziemy taksówką do Kampali do Backpackers Hostel. Nocleg spędzamy w namiocie na kawałku trawy przy hostelu. Wcześniej wychodzimy zobaczyć Kampalę. Ciekawy jest jeden z głównych dworców matatu, czyli minibusów stanowiących główny transport w Ugandzie. Chaos i bałagan są wręcz niesamowite, ale chyba działają, bo co chwila coś wyjeżdża z dworca pełnego ludzi.

21 lipca

Rano budzi nas Billi Ssali z Active African Vacations i o 8.00 jesteśmy już przeszkoleni odnośnie do samochodu. Nasze auto to Toyota minibus z napędem 4x4 i podnoszonym dachem – opcja bardzo użyteczna, szczególnie w parkach, podczas obserwacji natury. Na początek jedziemy do Jinja, tam trafiamy do Source of the Nile Gardens, aby podziwiać źródła Nilu Wiktorii. Z ogrodów jedziemy kilkanaście kilometrów w górę rzeki, wzdłuż jej drugiego brzegu do Bujagali Falls, ale wodospadów nie widać, to znaczy widać, ale ciężko je nazwać wodospadami, a raczej uskokami skalnymi, które na pewno są dobre do raftingu – generalnie nic specjalnego. Podobno teren jest numerem jeden w Ugandzie dla ludzi potrzebujących raftingu, skoków na banji i innych tego typu atrakcji. Jedziemy dalej do Sipi Falls przez Iganga i Mbale – droga miejscami (głównie w Mbale) jest beznadziejna. Wieczorem docieramy do Moses CampSite – bardzo ładnie położonego miejsca, bo usytuowanego na krawędzi Mount Elgon National Park, niedaleko największego z wodospadów. Ruch na drodze był dość spory, droga zajęła nam ok. 4–5 godzin. Generalnie jeżdżenie jest dużo bardziej wymagające niż w Zimbabwie, Zambii czy Namibii.

22 lipca

Rano wraz z przewodnikiem Gerardem, jednym z właścicieli kempingu idziemy na wycieczkę wokół wodospadów. Warto wynająć przewodnika, ponieważ ścieżki są prowadzone przez pola uprawne i sami pewnie byśmy dwóch wodospadów nie znaleźli. Najpierw idziemy do Sipi Fall 3, wodospad ma 85 m wysokości – podchodzimy pod sam spadek, gdzie zalewa nas woda. Następnie do Sipi Fall 2 – mniejszego, bo 70 m, który widzimy z góry i z dołu, obok jest jaskinia, w której 10 000 lat temu mieszkali ludzie. Na koniec na terenie lodga prowadzonego przez Anglika oglądamy Sipi Fall 3, największy o 100 m wysokości i najbardziej znany. Po drabinie schodzimy na dół, do samego podnóża wodospadu i faktycznie jest on dość imponujący. Cała ścieżka jest poprowadzona przez różne zakamarki między polami kukurydzy, bananów czy kawy. Czasami przechodzimy koło zabudowań, gdzie ugandyjskie latorośle z pisko-krzykiem „ooo muzungu” (czyli ooo białas) witają nas i domagają się zdjęć, co skrzętnie wykorzystujemy. Ruszamy w drogę do Soroti, wracając się do Mbale, myślimy, że pójdzie nam gładko i szybko – a tu error, 120 km niby asfaltu zajmuje nam 4 h. Są odcinki ok. 20 km eleganckie, a potem katastrofa, wiele razy zawadzamy podwoziem o jakieś występy. Nasze auto, niestety, okazuje się dość niskie. Często lepiej jechać poboczem niż szosą z olbrzymimi dziurami. Ok. 17.00 docieramy do Soroti i postanawiamy na dzisiaj zakończyć podróż. Łądujemy w Peoples Quest House, gdzie również jest knajpka, w której przy dość dużej odporności na czekanie można zjeść (przygotowanie frytek zajęło ponad godzinę, ale to jest standard).

23 lipca

O 6.00 pobudka i jedziemy do Kidepo NP. Szybciutko pokonujemy drogę do Liry, bo jest asfaltowa i nowa. Następnie jedziemy dalej do Kitgum i tu się powoli zaczyna komplikować, bo zaczyna się szutr, a i czasem są duże doły, odcinek 120 km pokonujemy w ok. 4 godz. Z Kitgum wyjeżdżamy ok. 13.30 z nadzieją szybkiego pokonania 143 km do Kidepo NP. Ale nic z tego, droga zajmuje nam następane ponad 4 godz. i dopiero ok. 18.00 jesteśmy przy bramie parku, a stąd jeszcze 22 km do bazy i potem 5 km do campingu. Wjeżdżamy do Kidepo NP i przed nami rozpościera się pięk-

ny widok na dolinę z bujną sawanną. Spotykamy ogromne stado bawołów, kilka zebra oraz antylop i guźce. Dojeżdżamy do headquarters, są tam ładne pokoiki do wynajęcia (niestety drogo), my oczywiście decydujemy się na camping (akceptowalnie). Dostajemy strażnika z bronią, bo takie są tam zasady, i jedziemy na camping, który jest bardzo prowizoryczny, ale taki miał być. Warto wspomnieć, że korzystamy z opcji państwowej, która jest również najtańsza – to znaczy śpimy na campingu prowadzonym przez UWA (Ugandan Wildlife Authority). Po kilku noclegach na campach prowadzonych przez UWA stwierdzamy, że to jest chyba najlepsze rozwiązanie – wszystkie są położone w świetnych miejscach i nie ma na nich turystów (przeważnie). W Kidepo inne opcje noclegu są dość ograniczone – przy headquarters jest jeszcze duży ekskluzywny lodge. Ciekawostką przy wjeździe do parku jest była willa Idiogo Amina, która też w przyszłości być może będzie stanowiła lodge, ale w obecnym czasie nic się tam nie dzieje i powoli popada w ruinę.

24 lipca

O 6.30 pobudka na game drive. Jedziemy po różnych drózkach, na które bez naszego guida-strażnika byśmy nie wpadli, że można tam wjechać, bo prawie ich nie widać. Zwierzków niewiele, są tylko duże stada bawołów i żyrafy. Ale otoczenie jest super. Po kilku godzinach wracamy do bazy, by zostać guidą. Umawiamy się na 15.00 na drugi game drive. Po południu mamy trochę więcej szczęścia, ponieważ oprócz żyraf i bawołów widzimy również kilka rodzajów antylop, szakale i dużo guźców. Zamawiamy drewno na ognisko i jedziemy jeszcze na zachód słońca, na który wspinamy się na skały, skąd jest niesamowita panorama. Na campie wieczorem robimy ognisko i gadamy z naszym guidem. Niestety, do lwów nie mieliśmy szczęścia, a podobno są, jak i słonie, które w tym czasie polazły do Sudanu Południowego, i strażnicy obawiają się, że mogą nie wrócić, bo zostaną zeżarte.

25 lipca

6.30 pobudka – odwozimy naszego guida do bazy i wyjeżdżamy z parku. W Karenzie zatrzymujemy się na kupno kilku naleśników, tutaj nazywających się chapati, które zaraz jemy z dżemem – bardzo dobry i dający kopa posiłek, potem często skuteczniamy go w różnych formach, np. chapati z bananami. Wybieramy z musu drogę, którą przyjechaliśmy i w tajemniczych okolicznościach jedziemy inną, na której nie ma newralgicznych miejsc, których się obawialiśmy. Ok. 12.00 dojeżdżamy do Kitgum. Szybko znajdujemy drogę do Gulu, do którego docieramy ok. 16.00. Wieczorem dojeżdżamy aż do miejscowości Purongo, gdzie skręcamy w podłą szutrówkę do campingu przy Murchison Falls NP, tuż przed bramą Wankwar Gate.

26 lipca

O 7.00 wyjeżdżamy z campingu w kierunku bramy i o 7.30 jesteśmy w parku. Jadąc w kierunku centrum parku, widzimy dużo antylop, bawołów i żyraf. Na Buligi drive widzimy słonie, żurawie oraz trochę innego drobnego ptactwa. Generalnie antylop, żyraf, bawołów jest masa, w zasadzie w każdym miejscu, gdzie się człowiek popatrzy. Powoli kierujemy się w stronę Paraa do promu na godz. 14.00, aby przepłynąć na drugi brzeg Nilu Wiktorii. Większość zwierzków jest w delcie między Nilem Alberta i Nilem Wiktorii, przy ujściu obydwu do jeziora Alberta, po drugiej stronie ich nie ma, bo las jest za gęsty. Na przystani promu rezerwujemy w UWA łódkę do wodospadu Murchisona. Czekając na prom, odganiamy guźce i pawiany, które bezkarnie rozwalają

śmietniki, a co bardziej odważne osobniki zakradają się do samochodów na szabrowanie. Po przepłynięciu promem na drugą stronę wsiadamy na małą łódkę – tylko nas 6 osób – gdy na innych jest tłum po kilkadziesiąt. Od razu widzimy masy hipopotamów, na brzegu trochę bawołów, antylop, guźców i ptactwa. Płynie się ok. 2 godz. do wodospadu, który faktycznie robi spore wrażenie. Ogląda się go z pewnej odległości, na którą można bezpiecznie dopłynąć łódką. Droga powrotna jest szybsza, bo z prądem rzeki i znowu w wodzie widzimy masę hipów, które denerwują się na nasz widok i sprawiają wrażenie, jakby chciały atakować. Po skończonej podróży jedziemy na Red Chili Camp, po którym łążą guźce i fajnie na kolanach jedzą trawę albo kradną ludziom pozostawione bez opieki rzeczy, ale do śmietników dobrać się nie mogą, bo są one odpowiednio zabezpieczone. Generalnie camp jest dość mocno zatłoczony, bo masa ludzi przyjeżdża w grupach zorganizowanych.

27 lipca

6.30 pobudka i jedziemy szybko wzdłuż Budongo Game Reserve na terenie parku do południowej bramy Butiaba. Spóźnimy się 15 min, ale nie ma problemu. Droga do Hoimy prowadząca częściowo wzdłuż wschodniego brzegu jeziora Alberta przechodzi dość szybko. Od Hoimy do Fort Portal mamy 150 km, tu niestety droga jest kiepska i jedziemy przevažnie 30 km/godz. w porywach do max. 60 km/godz. Po 150 km szutru mamy jeszcze 50 km asfaltu, na którym dopada nas burza, leje jak z cebra, nie tylko na zewnątrz, bo, jak się okazuje, mamy lekko nieszczelny samochód. W Fort Portal zatrzymujemy się w Yes Hostel. Robimy suszenie mokrych od rosy, a rano spakowanych namiotów oraz przepierkę. Wieczorem idziemy szukać jakiegoś obiadu, a ok. 22.00 zupełnie już po ciemku wracamy do hostelu.

28 lipca

Rano jedziemy nad jeziora kraterowe. Ponad 20 km od Fort Portal jesteśmy przy pierwszym jeziorze Nkuruba, jest tam camp prowadzony przez społeczność miejscową – Lake Nkuruba Nature Reserve & Community Campsite. Idziemy ścieżką nad jezioro Nkuruba, ale nie budzi ono naszego zachwyty, mimo że podobno wolne jest od blikharii. Następnie idziemy na punkt widokowy Top of the World, z którego widać 5 jezior kraterowych. Jedno nazwane czarnym od koloru, drugie od imienia kobiety, która je odkryła, a trzecie od żab, których jest tam masa. Potem jedziemy do kolejnego jeziora przy luksusowym Ndali Lodge nad jeziorem Nyinambuga. Schodzimy na dół nad brzeg jeziora, gdzie znajduje się tabliczka życząca przyjemnej kąpieli aczkolwiek na własną odpowiedzialność z uwagi na blikharię. Największą atrakcją dnia była spora grupa black-white colobus, które spotkaliśmy niedaleko jeziora Nkuruba.

29 lipca

O 8.00 wyjeżdżamy z hostelu. Nowiutką drogą asfaltową dojeżdżamy do Semuliki National Park, w którym idziemy na 2-godz. wycieczkę do gorących źródeł siarkowych. Po drodze widzimy małe red colobus, black-white colobus oraz blue monkey, które są w konarach drzew. Dochodzimy do pierwszego źródła, które nazywa się męskim. Było wykorzystywane przez mężczyzn, przychodzili tam ucztować i składać ofiary ze zwierząt. Źródło ma średnicę 2 m i znajduje się na dużej polanie w środku lasu, który stanowi ugandyjską część dżungli Iturii znanej z „Przygód Tomka na Czarnym Łądzie”. Olbrzymia większość lasu jest w DRC i w chwili obecnej jest niedostępna z powodu niepokoju w tym rejonie. Następnie idziemy do drugiego źródła

żeńskiego, do którego kobiety przychodziły się kąpać. Oba źródła są siarkowe i to czuć. W kobiecym są dwa główne wypływy wody położone na stożkach. W męskim temperatura wody jest 106°C, w żeńskim 104°C. W żeńskim są miejsca na polanie obok stożków, w których woda również wrze i można tam gotować jajka. Zgodnie stwierdzamy, że ładniejsze jest źródło żeńskie. Po powrocie do headquarters oddajemy pożyczone gumowce i jedziemy do Toro-Semuliki Game Reserve. Podczas gdy pierwszy park jest najmłodszym, to drugi, choć nie park, jest najstarszym chronionym obszarem w Ugandzie. Podobno było w nim kiedyś bardzo dużo zwierzaków, ale podczas wojny z Tanzanią wojska tanzańskie masowo wszystkie wybili, wywożąc mięso dla żołnierzy. Dojeżdżamy do bramy, gdzie strażnicy mówią nam, żeby jechać 52 km nad jezioro Alberta na camping. Tak też robimy, po przejechaniu paskudnej wioski Ntoroko, jednej z najbrudniejszych, które widzimy w Ugandzie, docieramy na camping. Są na nim guźce, jakiś potężny jaszczur, ptaszki broniące jaszczurowi dojścia do swojego gniazda i nikogo więcej. Wieczorem, przy kolacji atakują nas muszki jeziorne, małe, niegryzące, ale upierdliwe. W niesamowitych ilościach, w jednej chwili pokrywają cały obszar, na którym jest pole namiotowe. Coś niesamowitego, jaka jest ich ilość, włązą dosłownie wszędzie – wytrzymujemy ich towarzystwo przez 15 minut i pokonani przez groźnego przeciwnika wcześniej udajemy się do namiotów na spoczynek.

30 lipca

O 5.30 pobudka i szybkie pakowanie zupełnie po ciemku, tylko z towarzyszącymi muszkami. Co prawda, nad ranem prawie ich nie ma – tylko świecek oblepionych truchłami świadczą o ich ilości z poprzedniej nocy. Jedziemy do lodga w centrum rezerwatu na chimps tracking. W lodgu wychodzi jakiś gość i mówi, że nie tu mamy czekać. Ale my twardo czekamy i o 7.15 przychodzi ranger. Wsiada do naszego auta i razem jedziemy do tzw. campu szympanсового, w którym mieszkają tylko naukowcy i rangersi. Od razy wychodzimy z tropicielem i rangersem na trasę, która okazuje się długa i męcząca. Szympansov nie znajdujemy, ale widzimy black-white colobus, blue monkey i red colobus. Przejście jest trudne w poprzek strumyków po mostkach budowanych na bieżąco, ale czasem i wzdłuż strumyków. Widzimy dużo śladów słoni, bawołów, a nawet lamparta. Szympansy budują gniazda na drzewach, w których śpi tylko samiec alfa, i podobno, jak w Azji u orangutanów, jest ono tylko na jedną noc. W rezerwacie jest ok. 60 szympansov, ale badacze podejrzewają, że są jeszcze 3 dodatkowe rodziny po kilkanaście sztuk każda. Las jest duży, więc niestety ich nie znaleźliśmy, ale pozostałości po nich jest sporo. Jest to obszar, który prawdopodobnie niedługo będzie parkiem narodowym, a szympansy mają być atrakcją turystyczną. Po 5 godz. wracamy do obozu zmęczeni, brudni i pogryzieni przez różne stworzenia, głównie mrówki. Te ostatnie kąsają strasznie boleśnie – nie można ich wyrwać, bo szczypcy zostają w skórze, tylko należy je rolować. Po południu wyjeżdżamy z Toro-Semuliki i jedziemy do Kasese, miejscowości, która leży u podnóża Ruwenzori. Chcemy dostać się na camping za Kasese, przy drodze wyjściowej na trekkingi w Ruwenzori, ale okazuje się, że droga jest nieczynna i nie ma dojazdu, można jedynie do campu dojść pieszo. Z powodu pogody – gór nie widać, mimo że jesteśmy u ich podnóża – i zbliżającej się burzy rezygnujemy z dalszego szukania campingu i wracamy do Kasese, gdzie zatrzymujemy się w White House Hotel.

31 lipca

Rano wyruszamy w kierunku Queen Elisabeth NP. Dojeżdżamy wzdłuż jezior kraterowych drogą przez park do Main Gate i o 12.00 mamy wpisane wejście. Cofamy się do obszaru, gdzie mają być zwierzaki. Na naszym game drive dwa razy dość poważnie zakopaliśmy się w błocie, tak że musieliśmy wychodzić z auta i go wypychać. Potem, jak wracaliśmy, był w tym miejscu hipek pasący się na łące. Poza tym dużo słoni, antylop i świetny krajobraz sawanny z drzewami kaktusowymi. O 15.00 wracamy do Mweya na rejs łódką wzdłuż kanału Kazinga Chanel, łączącego jeziora Edwarda i Jerzego. I to jest to. Dużo ptaków, w tym małe czarno-białe hornbills robiące gniazda w ziemi, pelikany, kormorany, marabuty, orły i cała kupa innego skrzydlatego bractwa. Na nadbrzeżu masa hipków i bawołów oraz sporo słoni. W środku parku jest wioska, przy niej mały porcik, gdzie ludzie łowią ryby, robią pranie lub myją swoje wehikuły, a tuż obok są hipy i krokodyle. Po rejsie trwającym 2 godz. jedziemy na camping UWA, koło Mweya Lodge. Na drobny obiad idziemy do kantyny, która znajduje się niedaleko campingu. Z kantyny, już dobrze po ciemku trzeba dostać się do namiotów, a drogę przecina nam hipek. Gdy w nocy siedzimy przy ognisku, niedaleko nas przechodzi kolejny hipopotam i jakiś mały kotowaty, do guźców się już przyzwyczailiśmy.

1 sierpnia

Rano o 6.30 wyruszamy na game drive. We wschodniej części parku, za główną drogą przecinającą park, w okolicach jeziora Jerzego, zobaczyliśmy antylopy, słonie, i w końcu lwy – jeden młody samiec i 3 samice. Po porannym game drive wracamy spakować namioty i zjeść śniadanie, przy którym towarzyszy nam dość obleśny marabut, który bezczelnie coraz bliżej do nas podłazi. O 13.20 wyjeżdżamy na chwilę z parku, aby wjechać do niego ponownie w drodze do Ishasha. Po drodze mijamy stado słoni. Ok. 17.00 dojeżdżamy do Gate Ishasha, która stanowi wejście do tej części parku. 8 km od bramy jest Ishasha River Camp 2, położony nad rzeką Ishasha, która jest naturalną granicą z DRC, i nad którą wita nas stado hipów, pawianów i white-black colobusów. Hipy leżą kilkanaście metrów od campingu, na który mogą swobodnie wejść. Na campie jest sporo żołnierzy ugandyjskich – ciężko uzbrojonych, w kamizelkach kuloodpornych, obok jest ich cały obóz. A wszystko to z powodu granicy z DRC i to regionem tego państwa, który od lat stanowi jądro ciemności, do którego uciekają wszelkie szumowiny, terroryści, rebelianci czy byli członkowie Interahamwe z Rwandy. W nocy oglądamy z dwoma żołnierzami hipki w rzece. Po drodze do campu pełno jest antylop, w tym topi, które widzimy pierwszy raz. Wieczorem rozlega się niesamowity koncert odgłosów hipów i hien oraz różnego rodzaju tupania, chrząkania, wycia i ryków wokół namiotów.

2 sierpnia

Ranitko, jak jest jeszcze ciemno wstajemy i sami jedziemy na game drive. Robimy część south track. Nie widzimy wiele oprócz kilku słoni, ugandan kob i topi. Ok. 8.40 wracamy z game drive, jemy skromne śniadanie i wynajmujemy na następny game driver rangersa, aby wskazał nam drzewa figowe, na które często wspinają się lwy (z tego znana jest Ishasha). Jeździmy wokół tych drzew figowych kilka godzin, ale szczęścia nie mamy. Po 3 godz. jeżdżenia i spotkaniu antylop, stadka słoni nie widzimy upragnionych kotów i wracamy do headquarters. Opuszczamy park Queen Elisabeth i kierujemy się w stronę Kabale. Droga początkowo jest dość wyboista, ale potem, bodajże za Runun-giri zaczyna się koszmar. Bardzo powoli pokonujemy w tumanach pyłu strome podjazdy

pełne kamieni, kolein i dziur, poza tym chłodnicę tak zawaliliśmy syfem, że samochód się za bardzo grzeje, a ponadto zaczyna brakować nam paliwa. Ale po ciężkich przejściach po ok. 5 godz. docieramy najpierw do drogi głównej Kampala–Kabale i już za-tankowani szczęśliwie dojeżdżamy do Kabale. Lokujemy się w Kabale Beckpackers, ale okazuje się, że mimo zapewnień nie ma wody, więc się szybko wyprowadzamy. Wciskają kity, że jest ciepła woda, potem, że zaraz przyjdzie hydraulik, a potem, że to w całym mieście nie ma w ogóle wody i nie będzie. My zmuszeni obrosłym brudem szukamy dalej i znajdujemy Gorilla Backpacker Lodge, który nie dość, że jest tańszy niż w Kabale Beckpackers, to jednak ma wodę i poza tym nie usiłuje nas właściciel okantować. Obiad jemy już wieczorem w centrum miasta w poleconej przez właściciela hostelu knajpcie, gdzie jedzenie w formie bufetu okazuje się rewelacyjne (i tanie), i do oporu.

3 sierpnia

Rano ustalamy z właścicielem, że weźmie nas nad jezioro Bunyonyi. Jedziemy na punkt widokowy, potem do przystani, gdzie jest jego kolega, który zabiera nas łódką motorową na jezioro. Ok. 11.15 wypływamy i płyniemy wokół wysp. Pierwsza wyspa to Bushara Island, przystosowywana na camp przez lokalną społeczność, na której jest kilka zwierząt: zebry, waterbuck, uganda kob, małpy. Druga wyspa to Sharp Island od nazwiska szkockiego lekarza, który ok. 1930 r. zrobił na niej szpital dla chorych na trąd. Teraz jest tam szkoła. Trzecia, malutka, tylko z jednym drzewem to Punishment Island. Jest to wysepka, na którą były zsyłane kobiety, które przed ślubem zaszły w ciążę lub zostały złapane na czynach nieetycznych. Z uwagi, że kobiet nie uczyło się pływać, zostawiano je tam na pewną śmierć głodową, a jak którejs jakimś cudem udało się dostać na stały ląd, to i tak były dobijane przez współplemieńców. Następnie płyniemy na południowy koniec jeziora, w okolicy Kyevu na słynny targ, gdzie jesteśmy trochę za wcześnie i jeszcze jest mało handlujących, ale z góry nad brzegiem jeziora mamy świetny widok na spływające z całego jeziora małe łódki załadowane towarami. Spotykamy za to Pigmejów. Wracamy po 3 godz. do portu i następnie do Kabale. Ruszamy zaraz do Rushagi w Bwindi Impenetrable Forest. Droga jest dobra do Kisoro, a potem szuter, miejscami słaby. Docieramy po 2,5 godz. do Rushagi, gdzie jedyną dostępną finansowo opcją jest camp Nshagi, położony w pięknym miejscu. Ognisko, pogaduszki z tutejszymi właścicielami i spać przed jutrzejszymi gorylami.

4 sierpnia

O 6.30 pobudka, po czym szybkie pakowanie i idziemy do headquarters na briefing. Żenada, bo briefing polega na wciskaniu koszulek i innych pamiątek, a na temat samych goryli nic a nic. My idziemy do rodziny Mishaya – 8 osób: 4 Polaków i 4 Holendrów. Okazuje się, że musimy pojechać własnym autem, co jest trochę bez sensu. Wszyscy mają kierowców, tylko my na własną rękę gimnastykujemy się, żeby jak najszybciej dojechać na miejsce początku trekkingu. Jedziemy ok. 40 min na przełęcz, zostawiamy auta i idziemy szukać goryli. Po ok. 1,5 godz. docieramy do miejsca, gdzie goryle były dnia poprzedniego. Ale teraz ich nie ma i szukamy dalej. Całe tropienie trwa w sumie ponad 5 godz. W górę i w dół, po fragmentach takich, że tylko na czworaka, albo czołgając się. Ścieżka jest na bieżąco wycinana przez 2 przewodników, czasem używamy ścieżki zrobionej przez goryle (wtedy jest na czworaka) albo przez słonie (wtedy jest luksus). Przedzieramy się przez las i jest ciężko, i gorąco, czasem zapadamy się po pas w jakieś jamy wypełnione próchnicą. Jak się okazuje, trekking zaczęliśmy

ok. 9.30, a ok. 7.00 wychodzi trzech tropicieli, którzy szukają goryli od miejsca ich ostatniego pobytu z dnia poprzedniego. Nasz ranger porozumiewa się z nimi przez krótkofalówkę i na tej zasadzie nasza grupa się przemieszcza. Raz idziemy w dół, bo goryle są w dolinie, potem znów pod górę, bo okazało się, że uciekły do drugiej doliny. W końcu dowiadujemy się, że „nasze” małpy spotkały się z konkurującym stadem i trochę powalczyły ze sobą, i dlatego teraz tak szybko się przemieszczają. Spotykamy się w końcu z trzema tropicielami i razem idziemy w poszukiwaniu największych naczelnych. Po ponad 5 godz. udaje się nam w końcu ujrzeć upragnione goryle. Włazą na drzewo – wielki silverback i spora rodzinka, w tym gorylątko na grzbiecie matki. Jedzą owoce, na ziemię spadają łupiny, czasem wysunie się kupa albo leją się siki. My siedzimy pod tym drzewem, starając się uniknąć bombardowania. W końcu silverback schodzi, my idziemy za nim, a potem kolejno schodzą z drzewa wszystkie pozostałe goryle. W sumie widzimy 8 osobników, a więc prawie całą rodzinę liczącą 10 członków. Robią potężne wrażenie, zwłaszcza siła silverbacka, który zrywa się w naszym kierunku, łapie grubą kawał drzewa i z łatwością go odłamuje, po czym z powrotem siada na swoim miejscu. Chyba było to ostrzeżenie, żeby się więcej nie zbliżać. Niewątpliwie magiczne jest spotkanie z tymi wielkimi małpami, szkoda tylko, że dzieje się to w gęstym i ciemnym lesie, a nie na polanie wśród zielonych, oświetlonych słońcem krzewów. Pobyt z grupą goryli trwa 1 godz. i po tym czasie trzeba odejść – takie są zasady i trzeba przyznać, że są one w 100% przestrzegane. Ok. 17.00 docieramy do auta i okazuje się, że mamy straszne problemy ze zjechaniem. Fragment drogi, który jest dla nas wyzwaniem, to krótki odcinek – ma ok. 500 m, ale adrenalina idzie w górę – droga jest świeżo zrobiona i glina namoczona krótkim deszczem po prostu zsuwa się pod kołami auta, a po prawej potężna przepaść. Z pomocą kilkadziesiątu miejscowych, którzy grackami zruszają glebę przed kołami oraz napychają nasze auto na drogę, docieramy krótkimi kilkucentymetrowymi zjazdami kilkaset metrów niżej. Pomimo pomocy miejscowych jest to stresujące, bo auto w ogóle nie trzyma się nawierzchni, na pocieszenie widzimy, że miejscowy kierowca wożący Holendrów, którzy byli z nami na trekkingu, poci się tak samo jak my. Dajemy miejscowym 20 000 UGX za pomoc. Sami byśmy się chyba zabili. Po tych ciężkich przeżyciach wracamy do Rushagi po dwie koleżanki, które swój trek skończyły o 12.00, a my do nich docieramy przed 18.00. Zjeżdżamy na dół do skrzyżowania z główną drogą w okolicach Mutul i jedziemy do Kisoro. Mamy potężne problemy z autem, bo silnik się grzeje i co chwila musimy stawać, a chłodnica zabita takim syfem, że nie możemy jej w żaden sposób wyczyścić. W końcu ok. 21.30 docieramy do Kisoro, gdzie zatrzymujemy się w Graceland Hotel. Jemy w hotelu po dłuższych perturbacjach z obsługą – kucharz się nad nami ulitował i zrobił nam frytki.

5 sierpnia

O 7.30 umawiamy się z Oswaldem, kierowcą właściciela firmy, od którego wypożyczyliśmy naszą Toyotkę, który ma zabrać auto. Oswald odwozi nas na granicę z Rwandą do Cyaniki, gdzie oddajemy mu auto. Samochód w drodze na granicę nam się zagotował, a kierowca, chłodząc silnik za pomocą polewania go zimną wodą (!!!), wszystkim nam siedzącym wewnątrz auta zafundował prysznic, jego szczęście, że ciepły, a nie parzący. Granicę przechodzimy na piechotę. Żeby uzyskać wizę rwandyjską, trzeba pokazać dokument załatwiany on-line, z czymś w rodzaju promesy. W zasadzie to chyba formalność, bo każdy z nas ma inny punkt przekraczania granicy w tych dokumen-

tach i inne planowane daty. Z granicy autobusem – matatu, do którego weszło ok. 25 osób (a według pojemności auta powinno 9), dojeżdżamy do Ruhengerii i idziemy do hotelu Cinfort. Jemy lunch w jakiejś mużulańskiej knajpie w samym centrum. Dobra wiadomość jest taka, że bufety w Rwandzie również funkcjonują. Odpoczywamy, obijając się w hotelu, łącząc po mieście i zauważając, że faktycznie nie ma nigdzie porzucanych torebek foliowych. Chyba jest to najczystsze państwo z tych, które w Afryce widzieliśmy. Na koniec idziemy na drugi obiad do Green Garden – knajpki w centrum z super żarciem, oczywiście w formie bufetu. Przed wieczorem załatwiamy sobie kierowcę na jutrzejszy dzień pod wulkan Bisoke w Parc National des Volcans – samego się tam nie dojedzie.

6 sierpnia

O 5.45 pobudka i idziemy do miejsca, gdzie umówiliśmy się z kierowcą. O 6.15 kierowca przyjeżdża i jedziemy do headquarters w Parc National des Volcans w celu podboju wulkanu Bisoke. W headquarters jesteśmy pierwsi, po nas zaczynają się zjeżdżać ludzie, wszyscy z jakimiś agencjami, ubrania wypasione, średnia wieku oględnie mówiąc wyższa, czuć potężną kasę – ale nic dziwnego, stąd tropi się goryle, tyle że za 750 USD. Ok. 8.00 wyjeżdżamy 4 autami do miejsca, z którego zaczyna się trekking. Dojeżdżamy do parkingu pod Bisoke, gdzie spotykamy rangersów. Wyruszamy, niestety w dużej grupie turystów, rangersów, strażników i tragarzy (!!!). Z 2500 m mamy wejść na wulkan o wysokości 3711 m. Najpierw łatwo idzie się do granicy parku, potem już zaczyna się pod górę. Po drodze mijamy grupy, które poszły na goryle. Pierwszy postój jest przy rozwidleniu, z którego jest 40 min do domu Diane Fossey – niestety, żeby tam pójść, trzeba zapłacić dodatkowe kilkadziesiąt USD. My idziemy dalej pod górę, często po workach z ziemią, z których zrobiono ścieżkę. Po ok. 2.15 godz. docieramy na krawędź krateru, w którym jest jezioro. Droga na górę prowadzi przez las jak wyjęty z filmu „Goryle we mgle” o Diane Fossey. Jest mgliście i ślisko, ale las jest przepiękny. Ok. 0.5 godz. odpoczywamy na górze i zaczynamy zejście. Idzie z nami ze 6 strażników i kilku porterów, którzy, o dziwo, dla niektórych współtowarzyszy okazują się przydatni, niosąc im plecaki i pomagając przy podchodzeniu i schodzeniu, albo po prostu trzymając ich za ręce! My oczywiście z nich nie korzystamy, bo kosztuje to 10 USD, a i po co? W drodze powrotnej blisko wyjścia z Parc National des Volcans spotykamy rodzinę goryli. Widzimy 6 osobników siedzących na drzewach nad ścieżką. Od razu przewodnik zakazuje fotografowania i nas pogania do dalszej drogi, bo to inna wycieczka, za oglądanie goryli nie płaciliśmy, ale się nie dajemy i udaje nam się strzelić parę fotek. Nie nasza wina, że goryle są przy samej ścieżce, no cóż, ale chodzi o ciężkie pieniądze. Ok. 15.30 wyjeżdżamy z parkingu i jesteśmy w hotelu ok. 16.20. Po oporządzeniu się idziemy na obiad, tak jak wczoraj do Green Garden.

7 sierpnia

Ok. 9.00 docieramy na dworzec autobusowy, gdzie o 9.30 mamy autobus firmy Virunga Express do Gisenyi i po godzinie jesteśmy w Gisenyi, gdzie koło dworca lokujemy się w Havana Guesthouse and Lodge. Idziemy na plażę, na której kąpie się kilka osób, niestety, wygląda ona mało atrakcyjnie. Wzdłuż jeziora docieramy na granicę z DRC. Pytamy się jakiegoś tajniaka na przejściu, za ile możemy dostać wizę do DRC, a on nam na to, że 250–300, ale jakiej waluty to nie wiemy, bo odpowiada, że wszystko jedno. Jakiś ruch, ale mały funkcjonuje na przejściu. Właściciel naszego hostelu mówi,

ze lepiej nie iść do Gomy w DRC, bo jest niebezpiecznie i ciągle strzelają. Znajdujemy w centrum Gisenyi knajpę z tradycyjnym już dla nas bufetem. Po południu jedziemy matatu do Rubona wzdłuż wschodniego wybrzeża jeziora Kivu, gdzie oglądamy port z charakterystycznymi łódkami służącymi do połowu ryb i browar, do którego nas nie wpuszczają. Wracamy 7 km na piechotę, robiąc zdjęcia i będąc przez wszystkie dzieciaki witanymi piosenką „muzung farang”, co stwierdzamy, że znaczy „biały obcy” i muszą ich uczyć jej w szkołach. Dzieciaki strasznie się przy tym cieszą.

8 sierpnia

Rano idziemy na dworzec, gdzie bardzo sprawnie pakujemy się o 8.30 do busa do Kigali. Łądujemy na dworcu Nyabugogo, i obok znajdujemy dość paskudny hostelik – Mount Kigali Lodge. Tutaj niestety grupa się rozdziela – dwie koleżanki wracają do Kampali i dalej do Polski, czworo jedzie dalej. Dziewczyny kupują bilet na autobus do Kampali, my optymistycznie do Arushy w Tanzani. Oj, ta droga da nam popalić. Zostawiamy bagaże i taksówką jedziemy do Kigali Memorial Site, do którego wejście jest darmowe; można oczywiście, odpowiednio dopłacając, skorzystać z przewodnika. Na parterze jest opisana historia genocide, czyli ludobójstwa, które miało miejsce nie tak dawno temu w Rwandzie. Tutsi, hutu i twa to były kasty w obrębie 18 klanów, które żyły w Rwandzie, członkowie kast różnili się przede wszystkim posiadaniem majątku. Dopiero Belgowie, wprowadzając w 1932 r. dowody osobiste, wprowadzili formalny podział na Hutu i Tutsi. Ci, którzy mieli powyżej 10 krów to Tutsi, ci co poniżej to Hutu. Tutsi byli lepiej zarabiający i lepiej wykształceni. Do 1994 r. miały miejsce pogromy Tutsi, ale ludobójstwo na skalę masową zaczęło się w 1994 r. W tamtym roku samolot z Prezydentem Rwandy i z prezydentem Burundi na pokładzie, został zestrzelony przy lądowaniu w Kigali, w wyniku czego rząd został przejęty przez ekstremistów. Prasa i telewizja nawoływały do pogromu Tutsi i wszystkich z nimi sympatyzujących – nawet w obrębie rodziny. Specjalne bojówki Interahamwe dokonały planowanego szczególnie ludobójstwa. Ok. 1 mln osób zostało w bestialski sposób zamordowanych. W samej stolicy zostało zabitych ok. 250 000 osób. Najbardziej wstrząsająca jest sala ze zdjęciami dzieci – ofiarami ludobójstwa, w której opisano ze szczegółami okoliczności ich śmierci. Dookoła są symboliczne grobowce ludzi zabitych w Kigali. Wrażenie jest wstrząsające. W większości miast w całej Rwandzie znajdują się Memorial Site. Wracamy na piechotę do dworca i następnie jedziemy taksówką do centrum Kigali. Oglądamy hotel Des Milles Collines, czyli hotel Tysiąca Wzgórz, w którym odbywały się zdarzenia opisane w filmie „Hotel Rwanda”. Przechodzimy sobie przez hotel i robimy zdjęcia, po czym piechotą wracamy do knajpy przy naszym questhousie.

9 sierpnia

O 3.30 pobudka i szybko idziemy na dworzec. O 4.30 odjeżdżamy busikiem na 30 osób do granicy z Tanzanią – Rusumo. Przechodzimy przez most graniczny, widząc wiodospad Rusumo Fall. Na granicy kupujemy wizy i wchodzimy do Tanzanii. Jakiś gość nas łapie i każe czekać na autobus. Czekamy i przyjeżdża matatu. Zaczyna się gehenna, bo w matatu w porywach jedzie 31 osób plus kura, a powinno według miejsc siedzących 11–12 (+ewentualnie kura). Najlepszy jest punkt kontrolny policji, gdzie policjant nie zwraca uwagi na liczbę osób, tylko na kurę, którą właścicielka trzyma na kolanach, i każe ją wsadzić pod siedzenie. Cóż, przepisy bhp muszą obowiązywać. Od 10.00 do ok. 15.00 jedziemy tym matatu, a krajobrazy są inne niż do tej pory, z obu stron busz podobny

do tego w Namibii czy Botswanie. Ludzi mało, tylko pasące się krowy i kozy. W końcu docieramy do Kahama. Dworzec w centrum paskudny, zgłaszamy się do biura Taqwa, czyli naszego autobusu, i jutro o 6.00 rano mamy jechać dalej. Taksówką jedziemy do questhousa, który jest w sumie zaraz koło dworca, więc za taksówkę słono przepłacamy. Obiad jemy w jakiejś knajpie, z zawodem stwierdzając, że tutaj bufetów już nie ma.

10 sierpnia

Rano karnie o 5.30 jesteśmy na dworcu. Autobusów jest z 15 i wygląda to, że wszystkie będą w jednej chwili odjeżdżały – formują konwój przynajmniej na kawałek drogi. Podobno ten odcinek jest dość niebezpieczny i stąd poruszanie się w konwoju. Swoją autobus znajdujemy bez problemu, po zapakowaniu bagaży wsiadamy, są 3 miejsca z jednej strony i 2 z drugiej. Autobus nie jest pełny, w tylnej części nikt nie siedzi. Po wyjeździe przenosimy się na tył, zastanawiając się, dlaczego wszyscy z tyłu przeszli na początek i tam się cisną stłoczeni – jakiś hak w tym musi być. Po kilku kilometrach optymistycznie rozłożeni na siedzeniach dowiadujemy się w dość bolesny sposób, na czym polega „zagwozdka” – okazuje się, że kierowca pomija istnienie „leżących policjantów” i pędzi przez nie stową, a my latamy na pół metra w górę. Po prośbach i apelach pasażerów, żeby zwalniał, faktycznie na dwóch pierwszych lekko przyhamowuje, a potem zapomina się i znów grzeje jak szalony. Taka jazda w końcu skutkuje uszkodzeniem przedniej osi autobusu – a więc przymusowy postój. Kierowcy bardzo sprawnie usterkę naprawiają i możemy jechać dalej. W dalszej drodze dosiada się trochę ludzi i kierowca jedzie po hopkach trochę wolniej, ale też często o nich zapomina. Jedziemy przez Nze-ga, Singida, Babati i w końcu wysiadamy ok. 16.00 w Arushy. Droga była malownicza, głównie sawanny, sporo baobabów. Przed Aruszą już typowe sawanny, z olbrzymią liczbą kóz i krów wypasanych przez miejscowe plemiona Iraqw i Charga. Ze względu na sposób ubierania się można ich łatwo pomylić z Masajami. W Arushy idziemy do Kitunda Guesthouse niedaleko dworca autobusowego. Z hoteliku mamy dobry widok na pobliskie Mt. Meru, o ile tylko nie jest on w chmurach. Obok w hostelu, w firmie Scandic Safaris, po porównaniu kilku ofert z innych biur i długich targach, organizujemy safari na 5 dni.

11 sierpnia

Rano idziemy do Scandic Safaris uregulować należności za 5 dni – ustalamy, że za wejścia do parków i noclegi na kampingach płacimy sami kartą na miejscu. Po załatwieniu wszystkiego i zrobieniu zakupów, ok. 11 jedziemy do Tarangire NP. Przez najbliższe dni będziemy podróżować dużym Land Roverem z kierowcą i kucharzem, co jest dla nas nowością, bo do tej pory wszystkie parki w państwach Afryki Wschodniej i Południowej zwichłaliśmy na własną rękę. Park Tarangire znajduje się ok. 2,5 godz. na południowy-zachód od Arushy. Dostajemy zapakowany lunch – duży i dobry (i taki wypas do końca safari). Ok. 14.00 wjeżdżamy do parku. Z daleka widzimy lwice, duże stada gnu, zebra, impali oraz hordy słoni. Park ma świetne krajobrazy, głównie za sprawą baobabów. Są tu tylko stare baobaby, młode nie rosną, bo pawiany zjadają nasiona, a stare są uszkodzane przez słonie, więc pewnie któregoś dnia już ich nie będzie. Bardzo dużo ludzi w parku, nawet park Krugera w RPA pod tym względem zostaje z tyłu. Jedziemy na kamping przy jeziorze Manyara, na drodze do Ngorongoro. Na campie dużo ludzi, rozbijamy gdzieś z boku namioty i dostajemy obiad, podkreślam, że dostajemy – bo jest to dla nas nowością. Nasz chieł przygotował bardzo dobry obiad, najpierw zupa dyniowa, potem

kartofle pieczone z rybą, sałatka zimna i warzywa smażone. Jak się okaże, Jacob, czyli nasz chief, upasie nas przez najbliższe dni bardzo dobrym jedzeniem.

12 sierpnia

Rano pakujemy wszystko do Landka, nasze bagaże i duże ilości jedzenia, z którego nasz kucharz będzie wyczarowywał super potrawy, idą na dach i jedziemy. Najpierw kierowca załatwia wjazd do Ngorongoro Conservation Area, czyli obszaru, gdzie żyją rdzenni Masajowie. Nie mogą uprawiać tam ziemi, utrzymują się tylko z hodowli bydła. Przejeżdżamy koło punktu widokowego do wnętrza krateru Ngorongoro. Widok piękny, ale musi poczekać na później. Na razie jedziemy dalej przez Ngorongoro CA, gdzie widoki są dalej zadziwiające – sawanny i pastwiska otoczone wzgórzami, czasem wioska Masajów otoczona kolczastymi gałęziami akacji. Dalsza droga ok. 50 km prowadzi przez bardzo surową okolicę, ale dalej jest to Ngorongoro CA. Droga jest dość fatalna, a poza tym strasznie zakurzona – ale nie można się spodziewać niczego innego w tak wysuszonej okolicy. Przy drodze często stoją dzieci masajskie z pomalowanymi na biało twarzami, próbując wyciągnąć coś od białych przejeżdżających tędy masowo samochodami. Dojeżdżamy do Naabi Hill Gate, które stanowią wjazd do Serengeti, gdzie jemy lunch wśród dzikiej masy turystów podróżujących podobnie jak my, ale również w ciężarówkach, tzw. „overland trucks”, które zabierają od kilkunastu do 30 osób (horror). Co ciekawe, nie widać ludzi z własnymi autami – po prostu tutaj się to nie opłaca. Wchodzimy na punkt widokowy, z którego jest widok na bezkresne sawanny. Jedziemy ok. 60 km do Seronery w środkowej części Serengeti, a wokół tylko trawa aż po horyzont. Widzimy małe stadka antylop, 2 lwy leżące niedaleko drogi, geparda pod drzewem, w rzeczkę masę hipków, słonie, w końcu 3 hieny, ptaka sekretarza i orła. Po drodze pomagamy kierowcy landrovera z Amerykanami, którzy stracili już drugie koło w ciągu dnia. Nie ma co się dziwić, bo co chwila samochody stoją i wymieniają koła – droga wygląda jak tarka, tylko z dużo większymi i bardziej oddalonymi od siebie szczytami. Samochód wydaje się, że przy pewnej prędkości przeskakuje tylko po tych pagórkach. Ale jazda jest dość ciężka i jednak przeznaczona dla dużych samochodów terenowych. Mniejsze samochody też przejadą, tylko w dużo dłuższym czasie. Od Seronery jest jeszcze ok. 80 km do naszego campu – Lobo Public Camp, położonego w północnej części Serengeti. Z ciekawostek, niedaleko Lobo jest najdroższy camping, o którym słyszeliśmy – Serengeti Migration Camp położony nad brzegiem Grumeti River, w miejscu, gdzie przechodzą zwierzaki w drodze na północ i potem wracając do Tanzanii w trakcie wielkiej migracji. Cena noclegu to podobno 1950... USD!!! Z powodu zbliżającego się wieczora i sporej odległości do Lobo kierowca gna jak szalony, czasem do 90 km/godz. Okolice dookoła prezentują głównie wypaloną trawę, zwierzaków nie za wiele. Camp jest położony malowniczo pod skałkami i, niestety, jest zatłoczony.

13 sierpnia

Rano o 6.00 wstajemy i oglądamy wschód słońca. W oddali widać stada bawołów, antylop i zebr. O 8.30 zbieramy się do samochodu i jedziemy w stronę Seronery, czyli centrum Serengeti. Zaraz przy campie są dwa lwy, pan i pani wygrzewający się na skale. Po drodze dużo żyraf, zebr, antylop Thompsona i Granta, impali i innych. Na drodze z Lobo widzimy jeszcze hienę zabitą przez samochód, a Najam (kierowca) mówi, że zdarza się to dość często – bo kierowcy pędzą za szybko po parku, głównie na skutek nalegań klientów. Przy campie Seronera jest rzeka Seronera i w niej minimum 200 hi-

popotamów upakowanych jeden na drugim – jest to tzw. Hippo Pool. Ok. 13.00 jesteśmy na campie, rozbijamy namioty, jemy lunch i o 16.00 jedziemy ponownie na game drive. Na drzewie nad rzeką widzimy dwa lamparty nażarte i wygrzewające się, nagle konar, na którym się wylegiwały załamuje się pod nimi. Któryś z kierowców powiadamia rangersów i po 5 minutach przyjeżdżają i podjeżdżają pod to złamane drzewo. Chyba nic się lampartom nie stało, bo zaraz odjeżdżają, w każdym razie pomoc przyjeżdża szybciej niż do chorego w Polsce. Podobno kierowcy mają obowiązek powiadamiać o wszystkich incydentach w parku związanych ze zwierzakami. Jedziemy dalej, widzimy grupę 13 lwów, większość samice, kilka młodych samców. Są od nas ok. 10 m, leżąc w trawie przy drodze. Przed dojazdem wieczornym do kempingu oglądamy jeszcze zachód słońca, który wygląda tak, jak powinien w Afryce – z dużym słońcem i rozłożystymi akacjami na horyzoncie. Sceneria środkowej części Serengeti jest malownicza: akacje, sawanny i gdzieniegdzie rzeki. Po, jak zwykle, dobrej kolacji rypiemy w karciochy, a towarzyszą nam szczury, które sprzątają resztki pozostawione przez ludzi na stołach. Bardzo prosty sposób utylizowania resztek. A jak stwierdzimy w ciągu następnego dnia – jest jeszcze drugi – mianowicie olbrzymie stado mangust przegowanych, które wcinają wszystkie okruchy i chyba przełażą przez camping każdego dnia.

14 sierpnia

O 5.30 pobudka i jedziemy na game drive. Kierowca Najam jest o dziwo punktualny, co zdarza mu się po raz pierwszy!! Chyba z zemsty za tak wczesną pobudkę wiezie nas z godzinę przez tereny wypalone przez strażników. Są tam skupiska skał, które nazywają się kopjje, a konkretnie Masai Kopjjes i tam wśród nich powinny być lwy. W końcu przy samej drodze znajdujemy dostojnego lwa, który leży ze 3 m od auta i nic sobie z nas nie robi. Potem spotykamy polującą lwicę, która przez długi czas czai się na gazelę Thompsona, ale koniec końców nie udaje jej się skutecznie zapolować. Lwów jest sporo – niedaleko w trawie wystają tylko uszy przynajmniej dwóch lwic, a za kilkadziesiąt metrów pod krzakiem leży 6 lwiątek. Widzimy lamparta defilującego przed tłumem samochodów. I właśnie przyjemność oglądania tych pięknych zwierząt jest troszkę popsuta liczbą widzów – zgromadziło się kilkadziesiąt (!!!) samochodów. Potem obserwujemy jeszcze dwa lwy w trawie, a na deser dwa gepardy, które siedzą pod drzewem, ale są niestety daleko. Jeden z nich zaczyna polować na antylopę, ale rezultatów nie widzimy, bo ukryła je wysoka trawa. Oprócz kotów spotykamy jeszcze „standard”, czyli słonie, hipopotamy, antylopy, żyrafy w wielkiej liczbie oraz dwa red ears fox i hienę. Trasa, po której od rana jechaliśmy, to głównie okolice zwane Masai Kopjjes, czyli skały Masajów i okolice rzeki Seronera. Wracamy na camp i o 14.00 zbieramy się do wyjazdu. Po drodze napotykaemy jeszcze następnego lamparta siedzącego na drzewie. Ok. 15.00 dojeżdżamy do bramy, Najam wykupuje pobyt w Ngorongoro i zjazd do krateru, po czym ruszamy dalej. Droga prowadzi, jak poprzednio, najpierw do końca Serengeti i przez Ngorongoro Conservation Area, gdzie zatrzymujemy się w wiosce Masajów, po której oprowadza nas jeden z nielicznych jej mieszkańców mówiący po angielsku. W wiosce jest ok. 150 osób mieszkających w ponad 30 chatach. Na powitanie wykonują taniec i śpiewają ubrani w swoje charakterystyczne stroje. Zwiedzamy jedną z chat, zbudowanych z gałęzi i uszczelnionych gliną. Wejście jest zaokrąglone, w celu przeciwdziałania wiatrowi. W środku znajduje się palenisko, dwa łóżka, jedno dla rodziców i drugie dla dzieci. Pomieszczenie jest oczywiście malutkie. Cała wioska obramowana jest cokołem z kłujących gałęzi akacji.

Idziemy jeszcze do szkółki, gdzie malutkie dzieci uczą się liczyć i pisać. Dowiadujemy się, że rocznie tylko dwójka dzieci, wybranych przez starszą wioskę, wyjeżdża do „prawdziwej” szkoły. Nasz przewodnik opowiada nam o życiu i zwyczajach Masajów. W wiosce mieszka klan składający się z kilku rodzin, którego członkowie nie mogą się żenić między sobą tylko z ludźmi z innej wioski, kobieta idzie wtedy do wioski męża. Masajowie są nomadami i, jak w okolicy skończy się trawa dla bydła, to się przenoszą w inne miejsce, ale do tej wioski jeszcze wrócą. Hodują kozy, krowy, nie sprzedają ich, tylko trzymają na mięso. Dziury w uszach robią nożami. Dorastające dzieci malują twarze na biało i jak zabijają lwa (kiedyś tak było), to stają się wojownikami i jest uczta. Przewodnik, jak i inni mieszkańcy wioski, nie lubią Amerykanów i nienawidzą Chińczyków. Po ciekawej wizycie jedziemy dalej do Simba Camp nad kraterem Ngorongoro. Może być zimno, bo camping leży na wysokości 2600 m. Ludzi masa, a miejsce na namiot ciężko znaleźć.

15 sierpnia

Znowu pobudka o 5.30, składanie mokrych namiotów, następnie śniadanko i o dziwo szybciotko, bo ok. 7.00 startujemy. Wracamy drogą w kierunku Serengeti – kilkanaście km i dojeżdżamy do zjazdu do krateru. Widoki super z chmurami wspinającymi się na okalające krater wzgórza. Różnica poziomów między krawędzią krateru, z której jest zjazd, a kraterem wynosi ok. 600 m. Zjeżdżamy dość ostro w dół i widzimy wielkie stada zebra i gnu, które przecinają nam drogę, idąc do wodopoju, potem 3 lwy w oddali, chyba sami panowie, i 2 hieny ćwtkowane. Przejeżdżamy przez las, w którym jest dużo słoni, a następnie na sawannie znowu stada zebra i gnu, a dodatkowo bawołów. Nad jeziorem znajdującym się w środku krateru widzimy sporo pelikanów i flamingów. W oddali pojawia się nosorożec. Przy drodze żurawie, hipopotamy i impale, co pewien czas szakal lub hiena. Potem napotykamy na 4 lwice, które bezstresowo przechodzą sobie między samochodami. Na następnej drodze spotykamy ponownie 3 lwice, z których jedna w poszukiwaniu cienia kładzie nam się pod samochodem, gdy odjeżdżamy, wszystkie trzy zalegają pod innym autem. Przed wyjazdem z krateru inną drogą niż wjazdowa widzimy jeszcze olbrzymie stado pawianów. Podobno zwierzaki mogą wychodzić i wchodzić do krateru, ale na pewno nie ze wszystkich stron, bo jest za stromo. Przez cały czas pobytu obserwujemy chmury, które wyglądają tak, jakby się wspinały na ściany krateru, dając niesamowity widok. Po ok. 5 godz. w środku wyjeżdżamy i jedziemy do Arushy. Pobyt w kraterze jest limitowany do bodajże 4-5 godzin i nie można go przekraczać. Po 17.00 dojeżdżamy do hostelu Kitunda Guesthouse, tego co poprzednio, gdzie nie płacimy za nocleg – jest to gratis za skorzystanie z usług Scandic Safaris. Nasi kierowca i kucharz po dostaniu obowiązkowego napiwku są chyba zadowoleni. Wieczorem rezerwujemy autobus do Dar es Salaam w firmie Happy Nation. Naganiacze na dworcu są strasznie nachalni, chyba pierwszy raz podczas całej wyprawy aż tak bardzo. Wieczorem jemy obiad, nie tak smaczny jak przez ostatnie dni, ale przyzwoity, potem jeszcze na piwko się udajemy i ok. 22.30 wracamy do hostelu. Mijając nocą dość dziwnych ludzi, wydaje się nam, że zbyt bezpiecznie na ulicach to chyba jednak nie jest.

16 sierpnia

O 7.00 idziemy na dworzec, nasz autobus odjeżdża pół godziny przed czasem, więc dobrze, że jesteśmy wcześniej. Gość, który wczoraj sprzedał nam bilety, usiłuje nas naciąć na jakąś horrendalną opłatę za 3 bagaże, ale mu się nie dajemy. Po 1,5 godz. jesteśmy w Moshi, Kilimanjaro niestety nie widać, bo są chmury. Ok. 14.00 jest postój na lunch.

Całą drogę w telewizorze w autobusie jest nadawany program kulturalny – 2 filmy RPA, nawet fajne, i jakieś ichniejsze telenowele, a w przerwach piosenki, beznadziejne zarówno jako piosenki, jak również jeszcze gorsze teledyski z grubymi babami niepotrafiącymi się poruszać. Rozglądając się dookoła, może to dziwić. Ok. 20.15, a więc po 12 godz. jazdy dojeżdżamy na dworzec Ubongo w Dar es Salam. Jest już noc, więc bierzemy taksy do hotelu Safari Inn. Ok. 22.00 idziemy jeszcze coś zjeść do pobliskiej muzułmańskiej knajpy, gdzie żarcie jest dobre, ale drogie – widać, że to duże miasto i turystów dużo.

17 sierpnia

Rano idziemy na prom na Zanzibar, który odpływa o 9.30. Płyniemy 1,5 godz. i jesteśmy na Zanzibarze. Po dojściu na przystanek autobusowy, który jest tu dość dobrze zorganizowany, wszystkie autobusy mają stałe trasy i ponadto numery (!!!), bierzemy dalladalla nr 118 do wioski Matemwe. Dalladalla są inne niż matatu na kontynencie, bo nie mają ścian, tylko poziome deski, żeby nie wypaść, i plandekę na górze rozpościeraną w razie deszczu, ponadto siedzenia są ustawione wokół samochodu, a nie rzędami jak w matatu. Po drodze kontrola policji, liczą ile osób jest w środku – widać że jest OK., czyli ok. 30, bo jedziemy dalej. W Matemwe lądujemy po ok. 1 godz. i 15 min i okazuje się, że to dziura. Idziemy na plażę szukać noclegów, a tu error, pokój od 70 USD. W końcu, po długich poszukiwaniach i dość ograniczonych możliwościach znajdujemy tańsze pokoje w Lodge Tongwe. Idziemy na lunch do sąsiedniego włoskiego lodga, gdzie za jakieś żenująco małe porcje płacimy żenująco dużą kasę, potem wieczorem jeszcze na obiad do innego pobliskiego lodga, gdzie jest trochę lepiej pod względem ilości i smakowitości jedzenia, i porównywalnie źle pod względem ceny. Generalnie jedzenie jest drogie, ale innych opcji zjedzenia obiadu poza okolicznymi lodgami nie znaleźliśmy, a w wiosce nie ma miejscowej knajpy, ani nawet naszych ulubionych chia-pat. Wioska jest strasznie brudna i zaśmiecona – a nad morzem wypasione ośrodki dla białych. Kontrast między lodgami i wioską, oddzielonych tylko murem, jest przegnąbiający. Plaża za to ładna, dość szeroka, z białym piaskiem.

18 sierpnia

W końcu z rana się byczymy, dopiero o 10.30 idziemy na snorkeling. Płyniemy łódką wzdłuż brzegu, aż do przesmyku wzdłuż rafy, przez który można wypłynąć na otwarte morze. Płyniemy na zachód wyspy Mnemba, która leży przy północnej części Zanzibaru. Jest tam idylliczna biała plaża, ale my na nią wysiąść nie możemy, bo jest własnością prywatną, została kupiona przez gościa z RPA, który założył tam resort dla baaardzo bogatych białych. Płynąc na miejsce snorkelingowania, podpływa do nas łódka i nasz „kapitan” płaci jakiś haracz, podobno opłatę za możliwość nurkowania i snorkelingowania na tym obszarze. Rąfy prawie w ogóle nie ma, poza kikutami wymarłych koralowców, rekompensatą są kolorowe rybki – ale szalu nie ma. Woda dość chłodna i zdarzają się parzące meduzy, które po wyjściu neutralizujemy octem. Dostajemy owoce: banany, papaje, arbuza, super kokosa i... ogórka. Potem przenosimy się na wschodnią stronę wyspy i drugie snorkelingowanie. Tym razem rafa jest ciut lepsza. Delfinów niestety nie widzieliśmy, a podobno dość często się pojawiają w tym rejonie. Wracamy ok. 16.00 do domu i idziemy na północ wzdłuż plaży na spacer, chcąc kupić jakieś owoce. Dochodzimy do targu rybnego, który już nie działa i wracamy przez wioskę do domu. Zdziwiająca jest to, że 100 m od plaży płaci się kolosalne pieniądze za pobyt w lodge, a zaraz za nimi jest bieda, że aż piszczycy. Ciekawe, że ludzie, którzy

przyjechali do tych wypasionych resortów, często nawet nie wychodzą poza obszar hotelu, nie mówiąc już oczywiście o wyjściu do wioski. O dziwo, na plaży również nie ma prawie turystów, którzy siedzą cały dzień nad basenami.

19 sierpnia

Idziemy na plażę porobić poranne zdjęcia. Jest potężny odpływ i z wody wystają poletka z algami, przy których pracują miejscowe panie. Podobno większość alg jest eksportowana głównie do Japonii. Potem idziemy na dalladalla i jedziemy do Stone Town, a następnie numerem 340 do Paje, gdzie docieramy ok. 13.00. Plaża jest ładna, ale ze względu na przypyływ wąska, za to woda lazurowa, fajniej to wygląda niż w Matemwe. Paje jest zanzibarską siedzibą kiteserfingu. Jest poza tym taniej niż u nas w Matemwe. Wracamy dalladalla tak jak poprzednio do naszej wioski. Obserwujemy dzieci w busikach, niektóre są bardzo wymalowane, nawet noworodki mają oczy pomalowane i kolczyki w uszach. Jak pani wsiada z dwójką dzieci, to jedno z nich, jak nie ma dla niego miejsca siedzącego (lub „kucającego”), łąduje u sąsiada na kolanach. U nas podobne zachowanie podlegałoby zapewne pod molestowanie. Przy wysiadananiu noworodki są podawane z rąk do rąk aż mama wysiądzie i je odbierze.

20 sierpnia

Opuszczamy Matemwe i idziemy na dalladalla. Nawet nie dochodzimy do skrzyżowania, a busik podejżdza i wsiadamy po drodze. Jedziemy z częścią już znanych pasażerów z dnia poprzedniego, którzy nas rozpoznają i pozdrawiają. Łądujemy na przystanku w Stone Town, gdzie idziemy do Jumbo Quest House. Łazimy po kamiennym mieście, zwiedzamy podstawowe atrakcje, jemy jakieś nieświeże ryby (z gratisowymi robakami), kupujemy kilka pamiątek. Wieczorem idziemy nad morze na targ, gdzie się rozkładają sprzedawcy i gdzie można się dobrze najeść. Piwa nigdzie nie ma w Stone Town. Skandal!

21 sierpnia

Mamy wolne przedpołudnie, więc wyjątkowo wykupujemy zorganizowaną wycieczkę – spice tour. Najpierw kierowca podwozi nas do kas biletowych, gdzie kupujemy bilety na prom, potem zbieramy jeszcze 6 osób i jedziemy na farmę przyprawową. Farma to za dużo powiedziane – jak dało się przewidzieć, widzimy w zasadzie tylko ogród botaniczny, ale jest ciekawie. Z owoców widzimy jak rośnie rambutan, kakao, star fruit, jackfruit itp., z przypraw: gałka muszkatowa, kardamon, cynamon, wanilia, goździk, pieprz czarny, curry, trawa cytrynowa, itp. Kiedyś Zanzibar słynął ze swoich plantacji przypraw, ale wydaje się, że dzisiaj to już pieśń przeszłości. Potem idziemy do domu jakiegoś gościa, który sprzedaje wytworzone olejki, potem drugiego, który sprzedaje przyprawy i tam też jest lunch, na który dają ryż z sosem z przyprawami i ciapaty. Wracamy do Stone Town, większość jeszcze jedzie na plażę się kąpać, my mamy prom, więc musimy wracać. Prom Kilimanjaro 4 jest o 15.30 i płynie ok. 1 godz. i 45 min i strasznie kołysze – połowa ludzi ma problemy. Dość masowe wymiotowanie – zauważalny efekt domina. Rzuca promem okrutnie, kobitki leżą na podłodze, kilka zasłało, niezła jazda. W końcu docieramy do Dar i drałujemy do Econolodge, a wieczorkiem idziemy jeszcze do pobliskiej knajpki Chief.

22 sierpnia

Rano krótki spacer po Dar es Salaam, w okolicach wybrzeża. Ciężko gdzieś się oddalić, bo co chwilę porządnie leje. Wracamy do hotelu, zbieramy nasze manatki i jedziemy taksy na lotnisko. I tak się, niestety, kolejna podróż do Afryki kończy, ale nie na długo.

Joanna Kłosowska-Holona
i Karol Holona

Zimbabwe i Botswana



Termin: 12 października – 2 listopada 2013 roku

Koszty podróży dla 2 osób:

Dzień 1 – przylot do Harare

Wizy dwukrotne 2x45 USD

Dzień 2 – Harare

Farma węży 2x5 USD

Farma lwów i innych dzikich zwierząt 2x10 USD

Dzień 3 – Harare, Dombushava

Wejście do Dombushavy 2x10 USD

Transport z/do Harare 4 USD/2 os.

2 kamienne rzeźby i napoje w restauracji 7 USD i 4 USD

Zakupy spożywcze 13 USD

Bus po Harare 1 USD/2 os.

Dzień 4 – przejazd do Victoria Falls

Autobus Pathfinder (ok. 13 godz. jazdy) 2x60 USD

Kawa 1 USD

Nocleg w VF – VF Restcamp&Lodges 40 USD/2 os./challet bez łazienki

Dzień 5 – Victoria Falls

Nocleg 40 USD

Wejście na wodospady 2x30 USD

Śniadanie w restauracji 20 USD/2 os.

Pamiątki 6 USD

Kolacja Pizzalnn 13 USD/2 os.

Internet 2 USD/2 godz.

Zakupy spożywcze 12 USD

Kartki i znaczki 20 USD (7 lub 8)

Karta SIM i doładowanie 1 USD i 10 USD

Stare dolary zimbabweńskie 5 USD/kilka banknotów

Dzień 6 – Victoria Falls

Nocleg 40 USD

Lot helikopterem nad wodospadami 250 USD/2 os. + 24 USD/2 os. za wejście do parku

Boma restaurant 2x28 USD + 20 USD za napoje (30% zniżki)

Zakupy spożywcze 5 USD

Pamiątki 93 USD

Dzień 7 – Victoria Falls, odpoczynek

Śniadanie 7 USD/1 os.

Pamiątki 3 USD+5 USD

Zakupy spożywcze 6 USD

Internet 2 USD/2 h

Obiad Pizzalnn 16 USD

Safari Lodge Restaurant napoje 7 USD

Nocleg 40 USD

Dzień 8 – przejazd do Kasane, Botswana **KURS: 1 USD = 8 P**

Przejazd busem 2x25 USD

Nocleg Safari Lodge Campsite 22 USD/namiot

Zakupy spożywcze 115 P

Jedzenie restauracja indyjska 160 P

Pamiątki 20 P

Dzień 9 – Kasane, safari

Nocleg 22 USD

Safari game + boat w Flame of Fire 2x70 USD, za długą wycieczkę do lwów dopła-
ciliśmy kierowcy 100 P

Zakupy spożywcze 80 P

Dzień 10 – przejazd do Maun (Delta Okavango)

Nocleg Okavango River Lodge 300 P (wynajem dużego namiotu dla 2 os.)

Trasa Kasane-Maun stopem 200 P

Jedzenie fastfood 150 P

Kolacja 65 P

Klapki i naszywka 145 P

Dzień 11 – Delta Okavango

Nocleg 300 P

Koszulka 150 P

Kolczyki 30 P

Minibusy lodge-centrum 17 P (3,5 P/os./1 strona)

Internet 10 P/30min

Obiad w restauracji noclegowej 170 P

Zakupy spożywcze 140 P

Dzień 12 – Delta Okavango

Nocleg 300 P

Samolot za 1 godz. lotu 2250 P+120 P (podatek) (wynajem całego samolotu 3 os.)

Zakupy spożywcze 125 P

Pamiątki 190 P

Obiad w restauracji noclegowej 115 P

Minibus nocleg-centrum 7 P+20 P (za taksówkę, gdzie jechały łącznie 4 osoby)/2 os.

Dzień 13 – dojazd do Francistown

Autobus Maun-Francistown 2x104,80 P

Nocleg Francistown Grand Lodge 350 P/pokój z łazienką

Taxi 50 P (zamawiana z lodge, maun) i 8 P (Ftown)

Zakupy spożywcze, w tym obiad w sparze 140 P

Dzień 14 – dojazd do Bulawayo

Autobus FT-Bulawayo 2x70 P + 20 P (chyba na łapówki dla policji)

Nocleg Packers' Paradise Bulawayo 50 USD/pokój podwójny bez łazienki

Obiad restauracja obok noclegu 9 USD

Napoje w okolicznym barze 4 USD

Taksówka 50 P (Bulawayo) i 20 P (FT)

Zakupy spożywcze 20 P

Dzień 15 – Bulawayo

Nocleg 50 USD

Pamiątki 7 USD

Zakupy spożywcze 16 USD

Kawa, herbata, frytki 7 USD

Obiad w restauracji koło noclegu 9 USD, piwo w barze 1,5 USD

Muzeum Natural History 2x10 USD

Dzień 16 – Bulawayo, Matopos NP

Nocleg 50 USD

Taxi Bulawayo-Matopos NP w dwie strony 2x40 USD

Wstęp do Matopos NP 2x15 USD + 2x10 USD (wejście na górę z kamieniami i grobem)

Zakupy spożywcze 16 USD

Obiad w restauracji bardziej ekskluzywnej 30 USD/2 os. (ale jeden główny posiłek)

Dzień 17 – Great Zimbabwe, Masvingo

Przejazd B-Masvingo 2x10 USD minibus (4–5 godz. jazdy)

Taxi Bulawayo na miejsce odjazdu minibusów 5 USD

Bus Masvingo-Great Zimbabwe 2x2 USD (0,5 godz. jazdy)

Obiad w restauracji w Great Zimbabwe 27 USD

Nocleg 10 USD (namiot – na miejscu jest tylko jeden nocleg „budżetowy”)

Dzień 18 – Great Zimbabwe

Nocleg 30 USD (rondavel 2-osobowy – to samo miejsce noclegowe co namiot)

Zakupy spożywcze Masvingo 19 USD

Transport GZ – Masvingo tam i z powrotem 2x1,5 USD + 2x2 USD

Śniadanie (bufet w lokalnej restauracji) 27 USD/os.

Obiad (ta sama restauracja) 32 USD/2 os.

Dzień 19 – Great Zimbabwe

Nocleg 30 USD

Wstęp GZ 2x15 USD

Obiad 30 USD

Dzień 20 – Harare

- Bus do Masvingo 5 USD/2 os.
- Autobus Masvingo–Harare 2x15 USD
- Taxi w Harare 20 USD
- Zakupy spożywcze 15 USD

Dzień 21 – Harare, zakupy pamiątkowe

- Obiad w eleganckiej pizzerii 24 USD/2 os.
- Zakupy spożywcze 36 USD (w tym kawa i herbata z Zimbabwe do Polski)
- Pamiątki 142 USD

Dzień 22 – Harare, powrót do Polski

- Zakupy spożywcze 10 USD
- Taxi na lotnisko 20 USD
- Pakowanie w folię plecaka na lotnisku 5 USD

Podsumowanie:

Loty: Warszawa–Amsterdam–Harare, KLM, 2x2550 zł

Parking Okęcie 200 zł

Ubezpieczenie dla 2 osób 600 zł

Przewodnik 100 zł

Malarone 200 zł

Wydane na miejscu ok. 10 000 (+/-200) zł dla 2 osób na 3 tygodnie

łącznie – ok. 16 500 zł

Do podróży proponujemy przewodniki Lonely Planet, niestety nie ma dedykowanego dla Zimbabwe, tylko w całości Southern Africa, więc temat podróży po Zimbabwe nie jest tak wyczerpująco opisany, ale i tak jest w nim dużo potrzebnych informacji.

Zimbabwe: wizy na lotnisku dla Polaków 1- lub 2-krotne (odpowiednio 30 USD i 45 USD) – należy przy stanowisku zaznaczyć, że się chce podwójną, bo nie pytają, tylko z automatu wbijają pojedynczą. Jeżeli potrzebne jest więcej niż dwa przejścia, to za każdym razem na granicy można kupić kolejną wizę jedнокrotnego wjazdu. Nie trzeba mieć żadnych wymaganych szczepień.

Domboshava – miejsce pod Harare (ok. 40 min jazdy lokalnym autobusem), gdzie można oglądać malowidła naskalne datowane na 6000 do 10 000 lat temu, sama okolica również ciekawa, z ładnymi widokami – skały granitowe porośnięte różnokolorowymi porostami.

Pomiędzy głównymi miastami Zimbabwe (Harare – Bulawayo – Victoria Falls) jeżdżą ekskluzywne autobusy, jest kilku operatorów – my korzystaliśmy z Pathfinder. Jest to dość droga opcja, ale autobus porządnny, dają jedzenie i picie na pokładzie – całość dość europejska. Trasa od Harare do VF długa, jechaliśmy ok 13 godz., z bardzo sprawną zmianą autobusu w Bulawayo. Wyjazd autobusu z Harare ok. 7.30.

W Victoria Falls ten autobus podjeżdża do Kingdom Hotel, skąd jest dość niedaleko do centrum miasteczka i naszego noclegu (ok. 1 km).

W Victoria Falls jest duży, dobrze zaopatrzony sklep.

W VF warto odwiedzić Boma Restaurant, jest to dość droga zabawa, ale dużo dobrego jedzenia i fajny klimat. Miejsca trzeba zarezerwować wcześniej, bo jest duże zainteresowanie, zwłaszcza wycieczek. Ponieważ jest ona znacznie oddalona od centrum,

można tam dojechać spod Kingdom Hotel darmowym busem, jeżdżącym mniej więcej co 30 min (panowie strażnicy hotelu są zorientowani co do godzin odjazdu).

Zakupy pamiątek: dużo pamiątek jest w sklepikach (drogo) i na Crazy Market w VF – wybór wydawał mi się większy niż w Harare, więc jak coś szczególnie zdobyło serce, to warto jednak kupić ☺. Natomiast my większość pamiątek kupiliśmy w Harare na Avondale Market, przy Avondale Shopping Center – jest tu jedna uliczka z pamiątkami, ceny są niższe niż w Victoria Falls, choć nie ma wszystkiego. Oczywiście wszędzie się mocno należy targować, ceny obniżają nawet kilka razy ☺. Kolejnym miejscem pełnym kamiennych pamiątek jest uliczny market przy Newlands Shopping Center.

Botswana: dla Polaków wiza jest bezpłatna, otrzymujemy ją na granicy, pytają tylko, na ile dni wjeżdżamy i należy się tej liczby dni trzymać, i nie przekraczać. Bez wymaganych szczepień.

Z Victoria Falls pojechaliśmy do Kasane w Botswanie, które jest miejscem wypadowym do Chobe NP. Przejazd zorganizowaliśmy w jednym z biur turystycznych w VF (na skrzyżowaniu ulic Parkway i Mosi-Oa-Tunya, idąc z Parkway – na tej ulicy jest Rest Camp – przejść przez drogę i skręcić w lewo w Mosi, po prawej będą sklepiki z pamiątkami i w pierwszym z nich, dużym znajduje się małe biuro podróży z bardzo miłą obsługą): do granicy dowiózł nas jeden bus, od granicy do wybranego przez nas miejsca drugi bus; na granicy kierowcy się sami odnaleźli, przepakowali nas i jeszcze pomogli z granicznymi papierami ☺ więc transfer na 5!

W Kasane spaliśmy daleko od centrum – ok. 40 min piechotą – pod namiotem. Generalnie ciężko tutaj o tani nocleg, nawet nie pytaliśmy o ceny pokoi, zważywszy na standard całego kompleksu. Natomiast zaraz obok jest jeden z dużych marketów, gdzie można wszystko kupić, więc nie trzeba w tym celu iść do centrum.

Uwaga na nietypowe kontakty elektryczne w Botswanie – my mieliśmy grzałkę elektryczną i musieliśmy przerobić wtyczkę, żeby móc z niej skorzystać; oczywiście wtyczkę kupiliśmy w pobliskim markecie. Przez przypadek znalazłam w sklepie polskim adapter (<http://8a.pl/ladowarki-i-adaptery/przejsciwka-skross-single-travel-adapter-afryka-poludniowa>).

W Zimbabwie kontakty są jak w Anglii i nasze wtyczki na chama do nich wchodzi ☺.

W centrum miasta załatwiliśmy safari w Flame of Africa Travel Agency, zlokalizowanej w obrębie kompleksu handlowego ze Sparem. Z safari, zarówno jeepem, jak i łośdźią, byliśmy bardzo zadowoleni, agencja godna polecenia. Sam Chobe NP również rewalacyjny i mnóstwo zwierząt, oczywiście zachód słońca niepowtarzalny☺.

W centrum jest dość ciężko z obiadem – poza KFC nie ma za dużo knajp, koło naszego noclegu również brak. Znaleźliśmy indyjską knajpę po drugiej stronie ulicy niż Spar, jedzenie w rozsądnych cenach i naprawdę pyszne!

Z Kasane do Delt Okavango pojechaliśmy stopem z gościem, którego poznaliśmy na kempingu, wiem tylko, że nie ma bezpośredniego połączenia i trzeba na to liczyć 2 dni z noclegiem w Nata. Można przejechać jeepami przez sawannę z Chobe NP do Maun, ale to zajmuje kilka dobrych dni.

W Maun większość backpackerskich noclegów jest oddalona od centrum jakieś 30 min samochodem. Polecamy Okavango River Lodge, bo jest bezpośrednio przy drodze (w przeciwieństwie do Packers Paradise – spory kawałek od głównej drogi, dla osoby nie-

zmotoryzowanej dodatkowo utrudnienie, aby dotrzeć do centrum), a jednak nad rzeką, ciche i przyjemne, mają porządne namioty do wynajęcia za rozsądną cenę, dobrą i nie-drogą, jak na tamtejsze warunki, restaurację. Do centrum łapaliśmy taksówkę lub busika.

Lot nad Deltą Okavango mieliśmy małą 4-osobową Cesną, bilety kupiliśmy bezpośrednio u linii lotniczych obsługujących te loty, zaraz przy lotnisku, a nie w agencji turystycznej – pytaliśmy w kilku i wychodziło drożej.

W mieście jest dworzec autobusowy, oczywiście bez rozkładu jazdy, ale panie sprzedające przekąski podróżnym są dobrze zorientowane w godzinach odjazdu. My jechaliśmy do Francistown – autobusy odjeżdżały od wczesnych godzin porannych do wczesnego popołudnia co godzinę, każde 30 min po pełnej godzinie (8.30, 9.30, 10.30...). Autobus był nienajgorszy i pokonał trasę w przewidzianym czasie.

Z Francistown przejechaliśmy do Bulawayo, tu było gorzej z informacją godzinową na dworcu – po prostu przyjechaliśmy rano na dworzec i, czekając kilka godzin, znaleźliśmy właściwy autobus (w opłakany stan) i z małym poślizgiem wyruszyliśmy dalej. Trasa zajęła nam dłużej niż planowana – przez kontrole bagaży lokalnych ludzi.

Na granicy Botswana-Zimbabwe lokalnym robią dokładne kontrole i przeszukiwanie bagażu, ale nas się nie czepiali i nic nam nie kazali pokazywać.

Matopos NP – oddalony od Bulawayo o ok. 30 km, nie ma autobusów ani busów jeżdżących z centrum – pozostaje taksówka lub własny transport. W samym parku również należy posiadać własny transport, gdyż grób i słynne wzgórze z kemieniami jest oddalone od bramy wejściowej o 13 km, a droga asfaltowa prowadzi przez busz. Oczywiście różne malowidła naskalne (stanowisk z malowidłami do zwiedzania jest conajmniej kilkanaście, a łącznie w parku kilkaset) są jeszcze dalej – na drodze brama-grób są tylko jedno. My zrobiliśmy właśnie ten błąd i chcieliśmy pieszo zwiedzać park, dlatego nie zobaczyliśmy zbyt wiele. Z tego co wiem, na terenie parku są kempingi do spania, my nie korzystaliśmy z tej opcji, mieliśmy jednodniową wycieczkę z Bulawayo.

Jak pisałam, w Bulawayo spaliśmy w Packers' Paradise, warunki trochę niedostosowane do ceny, ale w dużych miastach, niestety, tak to wygląda. Na całe szczęście zaraz obok był bar „piwny” z footballiem dla lokalnych i do tego lokalna restauracja – w menu dosłownie kilka dań, ale smaczne i naprawdę tanie. Jest to ważne, bo nocleg jest trochę oddalony od ścisłego centrum. Jak zapada zmrok (ok. 18.00), wszędzie robi się ciemno – nie funkcjonuje oświetlenie uliczne, więc pomijając fakt, że po prostu nic nie widać, to jeszcze do tego nie jest zalecane chodzenie gdziekolwiek po zmroku (dotyczy chyba połowy Afryki). Dodatkowo w tym „kompleksie” barowo-restauracyjnym jest dyskoteka dla lokalnych – my trafiliśmy do Bulawayo na weekend i imprezy były do późnej nocy, oczywiście z głośną muzyką.

Do Masvingo nie jeżdżą autobusy eksluzywne typu Pathfinder, znaleźliśmy za to busiki, które startują z pseudodworca, czyli chodników na skrzyżowaniu ulic Samuel Parirenyatwa Rd. i Leopold Takawira Ave. I trzeba swoje odczekać aż się busik napełni (standardowy schemat, który nie dotyczy tylko linii eksluzywnych).

Do Masvingo dojechaliśmy w przewidywanym czasie, uprzejmy kierowca zawiózł nas do miejsca, skąd odjeżdżają busiki jadące do hotelu Great Zimbabwe (normalnie busik zatrzymuje się w innej części miasta na pseudoparkingu). Kolejnym busikiem w pół godziny dotarliśmy do hotelu.

Całość kompleksu wygląda następująco: z głównej drogi jedzie się kawałek do hotelu, następnie kilkaset metrów do lodge, rondavels i pola campingowego również o nazwie Great Zimbabwe. Z tego miejsca widać już bramę wejściową do ruin. Napotkaliśmy dość zaskakujący problem na miejscu – brak miejsc noclegowych w lodges i rondavels, mieliśmy namiot, więc jedną noc tak przeczekaliśmy, potem przenieśliśmy się do rondavels. Natomiast jeżeli ktoś nie zabiera namiotu – radzę zarezerwować wcześniej nocleg, bo hotel jest drogi, innych noclegów w okolicy nie ma, można jeszcze wrócić znowu do Masvingo i tam szukać noclegu – ale miasto niezbyt piękne, a przewodniki piszą, że i z noclegami marnie. Kolejnym małym uniedogodnieniem są posiłki – śniadania robiliśmy we własnym zakresie, bo w hotelu przeraźliwie drogie; obiady jedliśmy już w restauracji i ceny były znośne. Można jeszcze robić coś we własnym zakresie – jest elektryczność i miejsca na ognisko.

W Zimbabwe często są przerwy w dostawie prądu – jeżeli miejsca noclegowe mają generatory, to pół biedy, ale jak nie – to już gorzej – właśnie w Great Zimbabwe mieliśmy tego typu problemu, tzn. notoryczne przerwy w dostawie, nawet kilkugodzinne, o każdej porze dnia i nocy. Hotel ma generator, więc restauracja działała.

Bilet wejścia do Great Zimbabwe jest wielokrotny – jak ktoś chce zostać kilka dni, można codziennie zaglądać na ruiny. A faktycznie całe to miejsce, łącznie z campingiem tchnie spokojem, historią, naturą – warto!

Żeby z hotelu dostać się do Masvingo, trzeba pieszo dojść do głównej drogi, następnie do skrzyżowania i tam łapać stopa lub busika.

W drodze powrotnej do Harare, po raz kolejny miły kierowca busika (poproszony o to) podwiózł nas na pseudodworzec autobusowy, akurat byliśmy ostatnimi pasażerami wsiadającymi do autobusu i od razu wyruszyliśmy w drogę. W Harare autobus nie dojechał do centrum, tylko wszystkich wyrzucił na stacji benzynowej na obrzeżach miasta – żeby nie płacić łapówek w centrum. Więc musieliśmy wynająć taksówkę, która nas zabrała w miejsce docelowe – oczywiście kosztowała prawie tyle co kilkugodzinna podróż autobusem dla 2 osób...

Wracając do łapówek – na drogach zimbabweńskich stoi mnóstwo policji, która zatrzymuje wszystkie pojazdy (przynajmniej lokalne, czy samochody, którymi jeżdżą turyści, to nie wiem), rzadko kiedy sprawdza dokumenty, sugeruje, ile należy zapłacić, kierowca płaci i jedzie się dalej. Nie chcieliśmy nawet liczyć, ile oni w ten sposób zarabiają... W każdym razie wszyscy, na każdym kroku, mówią, jak policja jest skorumpowana i do niczego nieprzydatna. A tego typu postojów jest nawet do kilkunastu na kilkugodzinnych trasach.

Bezpieczeństwo: przez 3 tygodnie podróży zarówno w Zimbabwe, jak i Botswanie nie spotkała nas żadna nieprzyjemna sytuacja, nie wspominając o groźnej. Ludzie uśmiechnięci, życzliwi, pomocni – ale się nie narzucają i raczej nie podchodzą z pytaniem, czy pomóc – trzeba samemu, a wtedy chętnie pomagają. Tak więc bezpiecznie, bezproblemowo i w duchu przyjaźni. Dodatkowo starsi Zimbabweńczycy wręcz z szacunkiem odnoszą się do każdego białego – na ulicy się kłaniają, ściągając kapelusze, z pięknym uśmiechem – bardzo miłe doświadczenie ☺.

Jedzenie: w Zimbabwe czy w Botswanie nie ma dużego wyboru lokalnych smakołyków, jedyne co jest do skosztowania to sadza, czyli taki bardzo gęsty grysik, raczej bez smaku, najczęstszy dodatek do mięsa dla lokalnych. Poza tym w samej restaura-

Zuza (Katarzyna Anoszczenko),
Mundi (Rafał Robak)

Nevada i Utah – Road Trip po dzikim zachodzie USA



Termin: 2 maja – 15 czerwca 2013 roku.

Trasa: Chicago – Iowa – Nebraska – Wyoming – **Utah** [Snow Canyon State Park] – **Nevada** [Panaca, Pioche, Cathedral Gorge State Park, Caliente, Ash Springs, Valley of the Fire State Park, Las Vegas, Red Rock Park, Las Vegas, Charleston Wilderness Area, Red Rock Park, Las Vegas, Boulder City, Hoover Dam, Mead Lake, Las Vegas, Ash Meadows National Wildlife Refuge, Rhyolite Historic Site, Goldfield, Tonopah], **California** [Mono Lake], **Nevada** [Genoa, Carson City, Virginia City, Dayton State Park, Lake Tahoe, Incline Village, Zephyr Cove, Nevada Beach], **California** [South Tahoe City, Squaw Valley], **Nevada** [Reno, Fallon, Grimes Point and Hidden Cave, Austin, Eureka, Ely, Great Basin National Park/Lehman Cave], **Utah** [Cedar City, Spring Creek Slot Canyon, Cedar Breaks National Monument, Panguitch, Red Canyon, Bryce Canyon National Park, Kodachrome Basin State Park, Grand Staircase-Escalante National Monument – Grosvenor Arch, Cannonville, Escalante, Boulder, Torrey, Capital Reef National Park, Hanksville, Natural Bridges National Monument, Blanding, Monticello, Wilson Arch, Looking Glass Arch, Moab, JayCee Park Recreation Site, Fisher Towers, Westwater Canyon], **Colorado** [Grand Junction, Glenwood Springs, Maroon Bells Recreation Area, Gypsum Recreation Site, Breckenridge, Georgetown, Idaho Springs, Denver], **Kansas**, **Missouri** [Hannibal], **Illinois** [Dickson Mounds Museum w okolicach Levestown, Chicago].

Przewodniki: Atlas&Gazetter Utah, Atlas&Gazetter Nevada, Atlas&Gazetter California, Atlas&Gazetter Colorado, Nevada – Scott Smith, Southwest USA & Las Vegas – Eyewitness Travel Guides.

Noclegi: kempingi 14-20 USD, hotel w Las Vegas 33 USD, National Forest, BLM – bezpłatnie. Na terenach należących do National Forest i BLM (Bureau of Land Management) można nocować (rozbić namiot i rozpaść ognisko) za darmo w dowolnym miejscu (z wyjątkiem obszarów znajdujących się w niedalekiej odległości od dużych miast lub jeśli istnieje takowy zakaz; wszystkie niezbędne informacje i bezpłatne mapy można uzyskać w lokalnych Ranger Stations).

Środek transportu: Toyota Camper 1987 w rozsypance plus „chwilowo” wypożyczona Kia Soul w Las Vegas (koszt 24 USD/dzień wypożyczalnia Dollar na lotnisku McCarran).

Długość trasy: 6103 mile [9822 km]

Koszt benzyny: 1534 USD

Uważać na: węże (grzechotniki) na terenach pustynnych Utah i Nevady.

Kilka słów wstępu: Nasza podróż miała odbyć się zupełnie inaczej. Pierwotnie zakładaliśmy, że trasa prowadzić będzie wybrzeżem Kalifornii, Oregonu i Washingtonu. Mała awaria naszego wiekowego kampera spowodowała, że zmieniliśmy obszar wycieczki na opisaną powyżej trasę. Musieliśmy wielokrotnie improwizować, ale zachodnia część USA jest obszarem tak „kosmicznym”, że gdziekolwiek się pojawialiśmy znajdowaliśmy mnóstwo ciekawych miejsc. Bardzo ważnym źródłem informacji (poza oczywiście przewodnikami i niezastąpionymi atlasami topograficznymi Delorme) są punkty informacji turystycznej i „ranger stations”, gdzie zawsze można zdobyć bezpłatne mapy i foldery opisujące dany teren. Wielokrotnie spotykaliśmy w tych miejscach osoby mało kompetentne, posiadające bardzo ogólne informacje wystarczające do zaspokojenia potrzeb turystów podróżujących tylko po głównych atrakcjach turystycznych. Czasami jednak udało nam się spotkać osoby posiadające wiedzę na temat miejsc niezwykłych, nieopisanych w żadnych przewodnikach, do których dotrzeć można tylko dzięki pomocy właśnie takich ludzi. Wycieczka nasza okazała się kolejnym wspaniałym doświadczeniem turystycznym i ciekawą lekcją geografii dla naszego małego synka, który tak jak i my kocha podróże i wędrowki górskie. Musieliśmy również znaleźć i czas na typowo dziecięce atrakcje typu place zabaw, basen czy spacer po dworcu kolejowym w każdym odwiedzanym przez nas miasteczku, by nasz „Młody Gniewny” nie zaczął się buntować i chciał współpracować w codziennym planowaniu trasy i „czynnościach” podróżniczych.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1 i 2

Wyruszamy odziani w letnie ciuchy, nie wiedząc, co nas czeka wieczorem... A wieczorem po prostu spada śnieg... poddajemy się po kilku lekkich poślizgach i musimy zjechać z autostrady, ukrywając się na stacji benzynowej w okolicy Des Moines (Iowa). Rano zmarznięci wyruszyliśmy dalej, mając nadzieję, że pogoda ulegnie znacznej poprawie... i tak też się dzieje. W Nebrasce zatrzymujemy się na chwilę na „rest area” przy Sod House (zjazd 211), a następnie w North Platte zaglądamy do Cody Park (Blue Star Memorial Hwy – zjazd 177 z autostrady nr 80), gdzie Janek w małym zoo podziwia lamy, osły i pawie (wejście bezpłatne). W parku jest też ekspozycja starych lokomotyw, ale niestety czynna do 17.00 i nie zdążyliśmy już jej obejrzeć. Dojeżdżamy do granicy z Wyoming i tam padamy na spoczynek (Pine Bluffs rest area – zjazd 401).

Dzień 3

Przemarznięci, rozgrzewamy się gorącą kaszą z sosem grzybowym... z torebki i jadąc dalej na zachód, zaglądamy po drodze do sklepu turystycznego Sierra Trading Post w **Cheyenne** (5025 Campstool Rd), gdzie Mundek wynajduje kilka super okazji. Mijamy pola oblepione śniegiem, co raczej nie napawa optymizmem. Jest za zimno, żeby ruszyć gdzieś na szlak. A szlaków jest tu wiele i to wcale nie tak daleko od autostrady. Może sytuacja zmieni się podczas drogi powrotnej. Mijamy Laramie – kolejne duże miasto pokryte śniegiem i zawiane wiatrem. Z autostrady zjeżdżamy do Green

River i po zatankowaniu na dziadowskiej stacji Maverick zaczęliśmy się wspinać w kierunku **Flaming Gorge** (Utah). I tu zaczęła się pierwsza samochodowa porażka naszej wyprawy. Nasza maszyna straciła siłę i zaczęła gasnąć... nie dało się wrzucić biegu wstecznego... gasła co chwilę i nie chciała ponownie odpalić, ku naszej rozpaczycy... Po chwili namysłu zrezygnowaliśmy z wyprawy ku jeziorom i powróciliśmy do miasteczka, gdzie na cywilizowanej już stacji benzynowej dotankowaliśmy najlepszej benzyny i dolaliśmy sporą dawkę „dopalacza” (octan buster 6USD). Postanowiliśmy sunąć dalej autostradą i monitorować zaistniały problem. Co jakiś czas dolewamy najlepszą benzynę i z „nożem na gardle” bacznie obserwujemy zachowanie naszego pojazdu. Nie może się przecież zepsuć na początku naszej wycieczki, bo to byłoby jednym wielkim koszmarem. Popychani silnym wiatrem pędzącym z siłą ponad 50 mil/godz. jakoś jedziemy, chociaż nasza prędkość jest znacznie niższa niż pchającego nas wiatru. Dojeżdżamy do końca Wyoming już w nocy. Otuleni w śpiwory i czapki zasypiamy błogo.

Dzień 4

Pierwszy postój robimy sobie w „Starbucks’ie” w Salt Lake City i trafiamy akurat na prezentację parzenia kawy połączonej z degustacją. Janek wsuwa wszystkie owoce ze stołu i zagryza jakimś podejrzanym lepkiem lizakiem. Jedziemy dalej na południe autostradą, by w końcu zacząć wspinać się 8 mil stromymi serpentynami w kierunku **Mount Nebo**, ale przed nami pojawia się nieoczekiwane szlaban. Droga zamknięta i koniec. Żadnych informacji wcześniej nie było... Wracamy do autostrady i suniemy dalej na południe. Zatrzymujemy się na „home made... by Zuza” burrito i wypuszczamy Jaśka na podbój placu zabaw. W **Beaver** – malutkim miasteczku – podobno miało być kilka turystycznych atrakcji typu serownia czy zabytkowe domy, ale jakoś nic takiego nam w oko nie wpadło. Podregulowaliśmy tylko obroty silnika śrubokrętem i ruszyliśmy dalej. Pod wieczór zajeżdżamy pod Walmart Supercenter w **Saint George**, gdzie po zakupach zasypiamy w otoczeniu pachnących „parkingowych” kwiatów. W końcu jest cieplutko.

Dzień 5

Wstaliśmy przed świtem i ruszyliśmy w kierunku **Snow Canyon State Park** (6 USD wjazd/auto). Miasteczko **Saint George** jest czystym, przyjemnym miejscem i sam wjazd z miasta do parku jest godny podziwu. Kaktusy, kwiaty, piękne domy w kolorze piaszkowym – wszystko utrzymane w idealnym stanie i guście.

Niestety, pogoda się psuje, nadciągają ciemne chmurzyska i zaczyna padać deszcz. Mimo wszystko zatrzymujemy się w każdym punkcie i wychodzimy na krótkie szlaki. Jasio szaleje w piasku, wykopując koparką wielkie doły, po czym wspina się z pasją na wszystkie skałki na szlaku Pioneer Names (1/2 mili). Na szlaku Perfited Dunes (1 mila) Jaś chłapie się w każdej napotkanej kałuży, wskakując w nie z nieograniczoną prędkością. Na ostatnim szlaku w parku – White Rock Amphitheater (1 mila) w końcu wychodzi słońce i z wielką radością wspina się na zastygnięte białe wydmy. Wszystkie szlaki, po których chodziliśmy, były świetne! Po obiadku ruszamy 18. na północ i dalej drogą 56 na zachód do granicy stanowej z Nevadą. W miasteczku Panaca szukamy bezskutecznie gorących źródeł (opisanych w przewodniku o Nevadzie... autor chyba nigdy tu nie był, bo jego opisy zupełnie nie pasowały do rzeczywistości). Nasz samochód nie czuje się dobrze... co jakiś czas mamy problem z odpaleniem silnika. Skracamy na północ, jadąc Greenbay Basin Parkway’em do „ghost town” **Pioche** – górniczego mia-

steczka o ciekawej „wybuchowej” historii i reputacji najbardziej niebezpiecznego na dzikim zachodzie. Wybudowany tu w 1876 roku z wielkim rozmachem sąd (Courthouse), na którego budowę kredyt sflancany był przez 70 lat, po czym jak już go sflancali, to budynek został opuszczony, bo nie nadawał się już do użytku publicznego. Z założenia koszt budynku miał wynieść około 26 000 USD, ale po tylu latach koszty odsetek zaciągniętego kredytu wzrosły do 650 000 USD. Nikt w miasteczku nie chciał płacić podatków, więc spłata trwała tak długo. W mieście rządził ten, kto miał broń, a więc rządził każdy. Po spłaceniu długu sąd zamknięto i wybudowano nowy budynek, służący do tego celu. Poza tym miasteczko słynęło kiedyś z hucznych, suto zakrapianych zabaw, które w końcu doprowadziły do wielkiego wybuchu i „zmielenia” miasteczka z powierzchni ziemi. Nasz kamper daje czadu w środku miasteczka – nie daliśmy rady wspiąć się na wzgórze i musieliśmy stoczyć maszynę w dół, jadąc do tyłu... Wyglądało to niebezpiecznie i postanowiliśmy już nie powtarzać próby. Ruszyliśmy na południe 93. w stronę **Cathedral George State Park** (7 USD/auto) – **Millers Point** (północny wjazd do parku), gdzie przespacerowaliśmy się krótkim szlakiem pośród gliniastych wieżyczek i iglic, popędzani deszczem. Dalej jadąc na południe, wjeżdżamy już bezpośrednio na stanowy kemping (17 USD/noc, prysznic). W końcu odpoczywamy przy ognisku. Janek nurza się w kurzu i popiele. Wieczorem rozpętała się burza i wiatr telepał naszą budę, kołyszając nas do snu. Jak na razie pogoda nie sprzyja naszej podróży.

Dzień 6

I znowu pada deszcz... zbieramy się z kempingu i ruszamy na szlak (z miejsca CCC Rest Area)..., gdzie ślizgamy się po mokrej glinie..., nie ma możliwości utrzymania równowagi..., Janek wygląda jak błotna kula, unurany cały w lepkiej mazi. Ku jego dezaprobie musimy go umyć pod hydrantem, bo takiego kocmołucha do auta nie włożymy. Po pokonaniu rozjeżdżonej już przez inne auta gliniastej brei, zwanej drogą parkową, docieramy do 93. i wyruszamy dalej na południe. Zatrzymujemy się na chwilę na stacji benzynowej w celu dolania uzdatniacza do paliwa, bo znowu nasz RV-ik cienko przędzie. Po chwili rozlega się olbrzymi huk i na nasze auto (i Mundka) spadają kule gradowe wielkości piłek golfowych. Cóż, pogoda jest isticie niewakacyjna jak na razie. W **Caliente** zatrzymujemy się przy zabytkowej stacji kolejowej i spacerujemy wśród wagonów, (na specjalne życzenie Jaśka oczywiście). Znowu spada deszcz i przemoczeni uciekamy do auta. Dalej jadąc na zachód 93., docieramy do Biura BLM, gdzie przemiała kobieta „częstuje” nas sterą pomocnych map i informacji. Dzięki jej wskazówkom docieramy do miejsca zwanego **Oak Springs Trilobite Trail** (droga szutrowa 5881 odchodząca od 93) (szlak 1/3 mili w jedną stronę) i tu ku naszej uciesze znajdujemy skamieniałość z odcisniętym trylobitem sprzed 530 milionów lat. Pani z BLM-u poinformowała nas, że jeśli uda nam się znaleźć jakąś skamieniałość, możemy ją sobie zatrzymać. Niewiarygodne! Cieszymy się okropnie, bo przecież nie na co dzień znajduje się takie geologiczne чудо. W dalszych poszukiwaniach przeszkadza nam deszcz, którego mamy już serdecznie dosyć. Wracamy do głównej drogi nr 93 i dojechawszy do skrzyżowania skręcamy na południe w stronę **Ash Springs**. Na przeciwko stacji Shell (uwaga – do gorących źródeł nie ma żadnych kierunkowskazów) po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymujemy się na parkingu (bezpłatny wjazd) i przebrawszy się w stroje, napawamy się kąpielą w cudownej gorącej źródlanej wodzie... w padającym znowu deszczu. Następnym naszym punktem jest „wystrzałowy” **Valley of the**

Fire State Park (10 USD/auto). Dojeżdżamy tam, skręcając z 93. na 168 i dalej do autostrady 15, a potem 169 przez Logandale i Overton. Pierwszym punktem w parku jest Elephant Rock, do którego prowadzi króciutki szlak. Ponieważ dzień już nam się skończył, udajemy się bezpośrednio na malowniczy Arch campground (20 USD/noc; woda w kranikach). Palimy ognico i smażymy kiełbaski.

Dzień 7

Zaczynamy dzień o 5.30 rano i po obfitym śniadaniu ruszamy na podbój parku. Pierwszym punktem jest szlak The Wave – szlak nieoznaczony na mapie parkowej i trzymany w jakimś dziwnym sekrecie przez pracowników parku. Żeby tam trafić, trzeba zatrzymać się na parkingu #3 – około 5 mil od Visitor Center i przejść na drugą stronę drogi, gdzie znajduje się kierunkowskaz z napisem „Fire Wave trail 0.6 mile”. Według nas miłaż się nie zgadza... w rzeczywistości jest znacznie dalej. Szlak jest niesamowicie spektakularny i nie można go pominąć, odwiedzając ten park. Punktem kulminacyjnym jest wielka fala wyrzeźbiona w piaskowcu na końcu tego szlaku. Pogoda znowu nam się psuje..., co doprowadza nas do rozpacz. Taki plener fotograficzny, a warunki niestety znowu niesprzyjające. Janek szaleje, wspinając się na skałki. Spędzamy tam 2 godzinki, rozkoszując się pięknem przyrody i samotnością. Po zejściu ze szlaku jedziemy na sam koniec parku do White Dome. Szlak (1,5 mili) prowadzi do miejsca zwanego „slot canyon”, czyli wąskiego kanionu wyrzeźbionego przez rzekę. Kolejna niesamowita miejscówka, której nie można ominąć. Wracając, zatrzymujemy się na każdym parkingu i miejscu widokowym, i na koniec wycieczki idziemy jeszcze na szlak Mouse’s Tank (1 mila), gdzie można podziwiać petroglify i powspinać się na dziwaczne w swych kształtach skałki. Po spenetrowaniu głównej części parku, czas w końcu coś przekąsić. Zatrzymujemy się przy Seven Sisters (idealne miejsce na piknik), gdzie gotujemy sobie spaghetti i rozkoszujemy się posiłkiem w otoczeniu czerwonych piaszczystych posągów. Następnie Mundek wdrapuje się na Atlatl Rock, gdzie na wysokości kilku metrów nad ziemią można podziwiać petroglify. Zatrzymujemy się jeszcze na chwilę przy Arch Rock i już przy zachodzącym słońcu wybieramy miejsce na kempingu, gdzie rozpalamy ognisko i urządzamy Jankowi kąpiel z bąbelkami (razem ze wścibskimi osami, które skupiają się przy kraniku z wodą).

Dzień 8

Wstajemy o świcie i ruszamy jeszcze raz zdobyć szlak The Waves..., ale po dotarciu do „fali” słońce kryje się za chmurami i mimo dwugodzinnego oczekiwania nie wychodzi już z powrotem. Więc sesja zdjęciowa znowu się nie udała. Zahaczamy szybko o Visitor Center (ciekawe ekspozycje), oblegane przez setki francuskich „auto-karowych” turystów i wyjeżdżamy w kierunku Las Vegas, gdzie zamierzamy wygrać kilka tysiąków w kasynie. Poza główną ulicą – The Strip – miasto jest odrażające. Fruwające w powietrzu śmieci, wypalone słońcem zaniedbane trawniki, i wszędzie pałętające się jakieś męty zapijaczone. Parkujemy i wyruszamy na „wymuszony” spacer, zaczynając od hotelu Luxor, który w folderach turystycznych wygląda znacznie korzystniej niż w rzeczywistości. Generalnie szwędamy się od hotelu do hotelu i „podziwiamy” uroki miasta – stolicy rozpusty i taniej rozrywki. W hotelu „New York” Janek dla zabawy zasiada przy maszynie i traci bezpowrotnie swoje pierwsze w życiu kieszonkowe. Zrozpaczony próbuje naciągnąć jeszcze swoich rodziców na kolejne wrzutki, ale rodzice pozostają nieugięci. Po hazardowych emocjach ruszamy z powrotem do samochodu

i wyjeżdżamy z miasta w kierunku **Red Rock Park**, kierując się na zachód ulicą Charleston Blvd. Jest już ciemno i znalezienie kempingu przysparza nam trochę problemów. Przy głównej drodze nie ma kierunkowskazu informującego, gdzie skręcić. W końcu odnajdujemy nasz nocleg (15 USD/noc, brak wody i elektryczności, 2 mile na wschód od Visitor Center, 1 mila na południe od skrzyżowania z Moenkopi Rd) pogrążony w diabelskich ciemnościach. Ani jednego małego światełka..., wszyscy śpią jak zabici..., znajdujemy chyba ostatnie wolne miejsce i udajemy się na zasłużony odpoczynek.

Dzień 9

Wstajemy o świcie pełni sił i entuzjazmu przed odwiedzeniem kolejnego widokowo wystrzałowego parku. Musimy czekać przed bramą wjazdową, bo Red Rock otwierają o 6.00 (wjazd 7 USD/auto). Zwiedzanie trzeba zacząć bardzo wcześnie, kiedy to jeszcze ciepło nie osiąga zawrotnych temperatur przekraczających tu 40°C. Wspinamy się z trudem na pierwszą górę, samochód ledwo zipie..., druga góra już niestety jest dla nas nie do przebycia..., samochód na dobre się rozklekotał i zamiast do przodu zjeżdżamy pod prąd w dół. Zatrzymujemy się na chwilę przy Visitor Center, by pozbiierać myśli i ułożyć plan działania w zaistniałej sytuacji kryzysowej. Jadąc wczoraj wieczorem Charleston Blvd, zauważyliśmy „Polish Deli” (5900 W Charleston Blvd) i tam właśnie zamierzamy się udać, by zapytać o jakiegoś dobrego mechanika... najlepiej polskiego oczywiście. Miły pan sprzedawca podaje nam numer do warsztatu chińskich magików (Sonnice Auto tel. (702) 876-1988; 3730 Regulus Ave) i tam też się niezwłocznie udajemy... ledwo już dyszącym autem, które gaśnie na każdym skrzyżowaniu. Do tego upał daje się we znaki. Przez najbliższe dni temperatura w Las Vegas ma sięgać 40°C. Nie do wytrzymania. Chińscy magicy w słomianych kapeluszach zbadali kampera i wydali wyrok dla nas szokujący. Dwie opcje i w zasadzie obydwie nieciekawe. Pierwsza to remont zaworów silnika i to potrwać ma w założeniu 7 dni, a druga opcja to wymiana silnika, co jest niby szybsze i łatwiejsze, ale jest wersją bardziej kosztowną. Szef warsztatu daje nam numer telefonu na szrot, gdzie kolejni już amerykańscy magicy proponują nam „rebuild engine” z 3-letnią gwarancją – sprowadzony z Meksyku. I ta opcja wydaje się być najbardziej sensowna i bezpieczna, gwarantując nam chyba bardziej bezproblemowe zrealizowanie naszych ambitnych planów wakacyjnych. Koszt samego silnika to bagatela 2000 USD. Ale nie mamy za bardzo wyjścia, więc się zgadzamy, i z bólem serca podajemy numer karty kredytowej. Dzięki uprzejmości pana Chińczyka unikamy zapłacenia podatku i możemy starać się o zwrot 250 USD, oddając im nasz stary zdezelowany silnik. Ponieważ transakcji dokonujemy w piątek po południu..., cała akcja ruszy dopiero w poniedziałek... i od teraz zaczyna się nasza nerwówka i oczekiwanie... Ledwo zipiącym pojazdem poruszamy się na przestrzeni 3 mil kwadratowych, przybierając styl koczowników. Orbitujemy wokół punktów: plac zabaw z fontannami (istna petarda – Essex Circle Park) – biblioteka (6301 W Charleston Blvd&4280 S Jones Blvd,) – Starbucks – Walmart... tak wygląda nasz dzień. Musimy schładzać się w klimatyzowanych pomieszczeniach, bo w przeciwnym razie czekałaby nas niechybna śmierć z przegrzania....

Dzień 10, 11 i 12

Koczujemy w miejskim „skwarze”, bojąc się ruszyć gdzieś dalej, silnik odmawia posłuszeństwa i gaśnie co 10 sekund... Od placu zabaw, gdzie spędzaliśmy poranki, udaliśmy się następnie do biblioteki, potem do Starbucksa na orzeźwiający frappucci-

no, następnie do Walmartu na spacer w klimatyzowanej przestrzeni i znowu na plac zabaw. Znalezienie zacienionego parkingu w mieście powstałym na pustyni graniczy z cudem – masakra. Podczas koczowania rezerwujemy sobie hotel na następne 3 dni, bo zbliża się czas oddania naszego domku na kółkach do mechanika. Noclegi w ciągu tygodnia można znaleźć nawet i poniżej 40 USD, natomiast w weekend ceny osiągają powyżej 120 USD za noc. Dewizą tego miasta jest hasło: „Eat Sweet – Play Big – Sleep Cheap”. I właśnie do tego trzeciego się dostosowujemy.

Dzień 13, 14, 15 i 16...

Rano pojechaliśmy sobie do „downtown” na spacer, a następnie przenosimy się do hotelu Circus Circus, który okazuje się strzałem w dziesiątkę, jeśli chodzi o atrakcje dla dzieci (2880 S. Las Vegas Blvd). Korzystamy z „uciech” hotelowych, basenu i przede wszystkim klimatyzacji, która przy tak wielkim upale jest po prostu zbawieniem. Wieczorem w części kasynowej hotelu oglądamy pokazy cyrkowe odbywające się co 45 minut (bezpłatne), próbujemy sił na maszynach, a Jasiowi udaje się nawet wygrać pluszowego delfina w dziecinnej wersji wyścigów konnych. W hotelu jest też wesołe miasteczko (Adventure Dome), ale to chyba tatuś wydaje się tu bardziej zadowolony z przejazdów niż Janek. Udajemy się też na „Strip” i odwiedzamy kilka hoteli – Treasure Island, Venetian, Wynn & Encore.

Silnik „przyjeżdża” do warsztatu magików w czwartek, czyli po 6 dniach... i chłopaki biorą się do roboty.

Dzień 17

W piątek o świcie Mundek udaje się autobusem (Deuce; bilet dwugodzinny 6 USD) do wypożyczalni samochodów Dollar. Najtańsze stawki oferują wypożyczalnie ulokowane przy lotnisku McCarran. Cena za dwa dni wypożyczenia auta 48 USD. Ładujemy tobołki do czerwonego Kia Soul i opuszczamy w końcu tę miejską dżunglę. Wjeżdżamy 157. w **Charlston Wilderness Area** (północny-zachód od Las Vegas). Hurra – w końcu dzikość i góry, i temperatura łącznie mroźnawa. Zajechaliśmy do Visitor Center po kilka mapek i informacje na temat szlaków i po krótkiej dyskusji wybraliśmy 4-milowy szlak Fletcher Canyon. Wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy mieli ze sobą plecak – nosidełko. Janek zakończył swoją trzygodzinną wędrówkę na rękach taty, wydając odgłosy lokomotywy parowej. Obydwaj panowie byli niemiłosiernie wymęczeni po wędrówce. Jeśli chodzi o „cywilizowany” nocleg, to nie mieliśmy jakiegokolwiek szansy na znalezienie wolnego miejsca – z 5 campingów czynne były tylko 2 i niestety obydwa w ten weekend załadowane po brzegi. Wynaleźliśmy więc miejsce wzdłuż drogi Mack’s Canyon z pięknym widokiem na otaczające nas góry, gdzie poza nami nocowało dziesiątki innych osób. Jedynym mankamentem był zakaz palenia ognisk. I w końcu nas porządnie wymroziło... jaka to była rozkosz po tylu upalnych dniach w zatłoczonym mieście.

Dzień 18

Wygnieceni po nocy, którą spędziliśmy na rozłożonych siedzeniach Kia Soul, zbieramy się szybko i ruszamy dalej w kierunku **Red Cayon**, by po wcześniejszej nieudanej próbie tam właśnie rozprostować kości na szlaku. Pogoda łącznie wakacyjna – słońce przypieka, ale na pustyni jest to trudne do wytrzymania. Śmigamy „Kiją” po górzystej trasie i wyskakujemy co chwilę podziwiać widoki. Wybieramy szlak Ice Box Canyon – jeden z bardziej spektakularnych w tym parku. Niestety, jakimś dziwnym trafem okazu-

je się, że znaleźliśmy się na zupełnie innym szlaku Lost Creek trail, zataczając pętle, a to zapewne „dzięki” złym oznaczeniom. Nie tylko my pobłądziliśmy..., wiele zagubionych osób zapytywało o drogę, mimo że wędrowali z mapami... hahaha. Przeszliśmy około 1 mili i dotarliśmy do jaskini, na której to szlak się kończył, i potem „objazdami” trafiliśmy z powrotem na parking. Janek całą drogę pokonał o własnych siłach, krocząc dzielnie na przodzie naszej grupy. Upał dał się nam ostro we znaki, więc nie ryzykowaliśmy dłuższych wędrówek... Wyjeżdżamy z parku i dzwoniemy do naszych mechaników... i niestety dowiadujemy się, że nasza maszyna jeszcze nie jest gotowa. Musimy więc zadzwonić do wypożyczalni i przedłużyć kontrakt na „Kiję”. Zajeżdżamy więc do supermarketu Whole Foods, żeby spokojnie coś zjeść i skorzystać z Internetu. Jak się oczywiście okazało, pojawiły się problemy z wypożyczeniem auta i musimy jutro o 6.00 rano je zwrócić, żeby uniknąć kary. Wcześniej poinformowano nas, że za niewielką dopłatą (10 USD/dzień) możemy bez problemu przedłużyć czas wypożyczenia... Cóż, pani po drugiej stronie słuchawki jest „skandalicznie” nieprzyjemna, więc nie ma sensu z nią dyskutować. Robimy nową rezerwację na ich stronie internetowej i o dziwo koszt wypożyczenia tego samego auta jest jeszcze niższy niż za ostatnie 2 dni. Musimy się gdzieś podziąć przez następne dwa dni i planujemy w związku z tym wycieczkę nad **Hoover Dam**. Autostradą 515. opuszczamy miasto i 93. dojeżdżamy do **Boulder City** – przytulnego małego miasteczka, w którym zaglądamy najpierw do Muzeum Kolejowego (Nevada State Railroad Museum – 600 Yucca street). Następnie trafiamy na letni festyn w centrum miasta. Chwilę się bawimy przy muzyce na żywo. Modelowe miasto Boulder City zostało zbudowane przez United States Bureau Reclamation (Biuro Rozwoju Stanów Zjednoczonych) w celu zapewnienia noclegu robotnikom budującym na rzece Kolorado Zaporę Hoovera. Zakazano sprzedaży alkoholu i uprawiania hazardu w obrębie miasta, gdyż mogłoby to obniżyć wydajność robotników. Do dziś jest to jedyne miejsce w Nevadzie, gdzie kasyna są zabronione. Ruszamy dalej w kierunku zapory i przejeżdżamy najpierw nowym mostem „Mike O’Callaghan–Pat Tillman Memorial Bridge”, przekraczając granicę z Arizoną, a następnie zawracamy, by 93. wjechać na tamę. Przed samym wjazdem jest parking dla zwiedzających, a przed nim policyjny punkt kontrolny. Wdrapujemy się na wysokie schody, by dotrzeć do nowo wybudowanego mostu i stamtąd podziwiać panoramę Hoover Dam przy chylącym się ku zachodowi słońcu. Z 260-metrowej wysokości widok w dół przyprawia o zawrót głowy. Jest to drugi pod względem wysokości most w USA. Na budowę tej zapory zużyto 2,5 mln m³ betonu, co wystarczyłoby na zbudowanie dwupasmowej drogi o długości około 5400 km – łączącej Seattle z Miami. Przejeżdżamy jeszcze przez tamę i zawracamy, by udać się nad jezioro Mead (Lake Mead Recreation Area – wjazd 10 USD/auto) drogą Lakeshore Road w poszukiwaniu noclegu. Są tu dwa kempingi: pierwszy (Boulder Beach) z nich – załadowany po brzegi; popędziliśmy więc na północ na następny (Las Vegas Bay) i co nas zdziwiło kemping (10 USD) był puściusięki i dosłownie pachnący – każde pole namiotowe otoczone kwitnącymi kwiatami. Bierzemy zasłużoną kąpiel pod hydrantem i zapadamy w niestety kłótki sen.

Dzień 19

Wstajemy o 4.30..., niestety..., musimy zdążyć do wypożyczalni samochodów, by oddać naszą Kiję na czas. A czas kończy się o 6.00. Jedziemy do wypożyczalni tylko po to, żeby wypełnić kolejny „papiererek” i zamienić czerwoną Kia Soul na czerwoną Kia

Soul..., czyli totalny bezsens. W dodatku cena jest jeszcze niższa niż na wcześniejszym kontrakcie. Jest niedziela rano, a my mamy czas do poniedziałku, jedyną logiczną propozycją jest fascynujący Valley of the Fire – znówu. W przewodniku czytamy o ciekawej terenowej drodze **Buffington Pocket**, którą postanawiamy przemierzyć w drodze do parku stanowego. Niestety, nie ma tu żadnych oznaczeń, a pracownicy pobliskiej stacji benzynowej nic na jej temat nie wiedzą, trochę krążymy i w końcu znajdujemy początek tej trasy. Po przejechaniu 2 mil dopiero znajduje się znak informujący, że jest to właśnie Buffington Pocket Road. Droga jest „bardzo terenowa”, ale nasza Kia Soul daje sobie radę, aż do momentu kiedy to droga zamienia się w wyschnięte koryto rzeki z narzucanymi wielkimi głazami, po których już jechać się nie da. Autor przewodnika pan Scott Smith na 100% tu nie był i przepisał chyba jakieś bzdury z innej bzdurnej książki. Napisał mianowicie, że zwykłym samochodem można przejechać... Próbujemy wszystkich możliwych dróg i niestety nie da się pod żadnym względem pokonać tego terenu. Chcieliśmy przebić się na drugą stronę drogą o nazwie Bitter Springs Trail Backcountry Byway. Zniechęceni zawracamy do głównej trasy i postanawiamy jechać bezpośrednio do Valley of the Fire State Park. Zatrzymujemy się przy pierwszym szlaku – Elephant Rock, gdzie krążymy wśród błyszczących w słońcu pomarańczowych skał. Następnie w „Seven Sisters” urządzamy sobie piknik przy rockowej muzyce płynącej z radio. Z pełnymi brzuchami jedziemy do głównej części parku drogą Mouse’s Tank Road zaglądając do Silica Dome/Fire Canyon i dalej na sam koniec do White Dome. Szlak tym razem „atakujemy” od tyłu, dochodząc do zacięzionego Slot Canyon i tam spędzamy ponad godzinę, rozkoszując się chłodem i podglądając dwie dorodne jaszczurki. Wracamy tą samą drogą i z powodu okropnego upału postanawiamy udać się bezpośrednio na malowniczo położony kemping w tym parku stanowym i odpocząć, bo, szczerze powiedziawszy, byliśmy skrajnie wyczerpani pobudką o 4 rano i wszechobecnym palącym słońcem. Palimy szybkie ognisko i po kilkunastu minutach zapadamy w błogi sen.

Dzień 20

Wstajemy o poranku połamani z lekka z nadzieją, że to właśnie dziś odzyskamy nasz kempingowóz i w końcu się porządnie wyśpimy. Śniadaniemujemy na Atlatl Rock Picnic Area, zjadając się „przepysznyimi” amerykańskimi bułami popijanymi wodą. Opuszczamy park w niedługim czasie i udajemy się na nieco lepsze drugie śniadanie do Marianny, czyli meksykańskiego supermarketu. Ja i Jaś mamy więcej szczęścia przy wyborze posiłku, gdyż zamawiamy tradycyjne burito z kurczakiem, natomiast Mundek – człowiek eksperymentujący w nadmiarze – zamawia coś, co nie nadaje się do konsumpcji, a mianowicie przepikantne skrawki ryby o nieznaney nazwie na wielkim kukurydzianym chipsie, polane tabasco i popijane horciatą. No cóż – idealny wybór na poranną przekąskę. Po napełnieniu brzuchów jedziemy już bezpośrednio do warsztatu magików chińskich po odbiór naszej super maszyny, ale... okazuje się, że trzeba jeszcze uzbroić się trochę w cierpliwość, bo chłopaki zabrali się do naprawiania kolejnej wykrytej usterki. Trzeba czekać jeszcze na uszczelkę do miski skrzyni biegów, którą mają w niedługim czasie dowieść ze sklepu motoryzacyjnego i potem jeszcze chwil kilka na jej zainstalowanie. W międzyczasie, gdy Mundek rozmawia z mechanikami, ja obserwuję uliczną balangę brygady zasiniaczonych żuli vegasowskich. Leżą w stercie śmieci pod palmą i dźwigają ciężkie puszki z piwem owinięte w foliowe reklamówki,

a co chwilę dochodzi do nich kolejny uczestnik lub uczestniczka... Smród ich obozowiska unosi się nawet w okolicy naszego auta (czyli jakieś 50 metrów). Jak można żłopać ciepłe piwsko w temperaturze powyżej 40°C w pełnym słońcu? Mundek wraca z wiadomością, że mamy jakieś 3 godziny czasu wolnego. Udajemy się więc do sklepu Whole Foods na zimną lemoniadę i trochę pointernetować..., byle dalej od tych zaśmierzdialych pijaków. Spędzamy też kilka chwil na placu zabaw z fontannami, żeby Janek też miał „chwilę dla siebie”. W końcu nastąpił długo oczekiwany przez nas moment – odbiór RV-ika od mechanika!!! Jedziemy dwoma wehikułami w kierunku wypożyczalni samochodów i po załatwieniu wszystkich formalności związanych z oddaniem Kiji jesteśmy wolni!!! Oczywiście, nie obyło się bez problemów – jako że oddawaliśmy auto dzień wcześniej, pracownicy nie mogli znaleźć naszego konta w komputerze i odsyłali Mundka na górę i na dół z powrotem... nalatał się chłopaczyna i w końcu i tak nie dostał podpisanej umowy zdania pojazdu. Zbyt długi czas spędzony w okolicach Las Vegas spowodował zmianę naszych planów. Kiedy po 11 dniach opuszczamy miasto, obieramy kierunek północno-zachodni, zrezygnowawszy z podboju wybrzeża Pacyfiku (jadąc na zachód 160.). Mimo wszystko czujemy się pełni energii i podekscytowania, że w końcu ruszamy się z miejsca! Jako że dzień już ma się ku końcowi, zatrzymujemy się na Mountain Spring Pass w Red Rock Canyon Conservation Area na niewielkim parkingu (wyjście na szlak Old Spanish Trail). I zapadamy w błogi sen.

Dzień 21

Wyspaliśmy się wspaniale... po prostu bosko jest wstać rano po nocy spędzonej w naszym kochanym kamperze i nie czuć się połamany i wygnieciony, tudzież przynieciony np. Jankiem. Ruszamy dalej 160. na północny-zachód, mozolnie wspinając się na przełęcz Mountain Spring. Mijamy Pahump, gdzie zatrzymujemy się na tankowanie i szybkie zakupy owocowo-warzywne w Safeway'u, i tuż za miastem skręcamy w Bell Vista Road na zachód prowadzącej do **Ash Meadows National Wildlife Refuge** (wstęp bezpłatny). Szlakiem po drewnianych kładkach wędrujemy do źródła (Point of Rocks Road), gdzie pływają endemiczne rybki o wdzięcznej nazwie pupfish. Obszar Ash Meadows jest unikatową oazą, jedną z ostatnich na „South West”, i w latach 80. ubiegłego stulecia chrapkę na ten obszar mieli deweloperzy, którzy chcieli wybudować na tym terenie kolejne osiedle z polami golfowymi i basenami dla bogaczy, ale na szczęście Sąd Najwyższy pokrzyżował im plany, nadając temu obszarowi status parku przyrody. Następnym punktem odwiedzanym przez nas jest Devils Hole, należący do Parku Narodowego Doliny Śmierci i Visitor Center oraz półmilowy szlak (pętelka) Crystal Spring do źródła, z bardzo ciekawymi tablicami informacyjnymi. Jadąc dalej przez pustynię, dobijamy do drogi nr 373 i skręcamy w 95. (Amargosa Valley) na zachód. I tu w szczyrim polu pustynnym stoi sobie bank – malutki budynek – dookoła pustynia i nic więcej – widok iście zadziwiający. W Beatty skręcamy na zachód w 374 w kierunku „ghost town” **Rhyolite Historic Site** (wstęp bezpłatny, 4 mile od skrzyżowania). Jest tu dom zbudowany z 30 000 butelek po piwie zatopionych w betonie, i ruiny banku, więzienia, szkoły i stacji kolejowej, ogrodzonej i oznaczonej jako „napromieniowana” – obszar północnej Nevady był miejscem testów jądrowych w drugiej połowie ubiegłego wieku. Warto tu zajrzeć chociaż na chwilę i poczuć „ducha” z czasów gorączki złota, kiedy to ówcześni mieszkańcy na początku XX wieku cieszyli się betonowymi chodnikami, elektrycznymi światłami, publicznym basenem oraz operą i miejską ga-

zetą. Wracamy z powrotem do Beatty i tankujemy, bo następna stacja benzynowa jest dopiero za 94 mile (takowa informacja umieszczona jest na znaku w miasteczku). Ruszamy na północ 95. w kierunku **Tonopah**, mijając po drodze malownicze góry i pokonując mozolnie kolejne przełęcze. Po drodze mijamy chyba najbardziej zaniedbane miasto, jakie kiedykolwiek widzieliśmy w życiu – **Goldfield** – niby „ghost town”, ale ciągle zamieszkałe przez 320 żyjących osobników szukających namiętnie złota w okolicznych górach. Same budy i posklecane baraki, ale żywej duszy tu nie uświadczysz..., no w sumie widzieliśmy 3 osobników zawodowo zajmujących się piciem piwa pod sklepem. W centrum miasteczka znajduje się zrujnowany Goldfield hotel, w którym straszy. Miejsce to wielokrotnie pokazywano w amerykańskich „TV Shows” jako nawiedzane przez duchy. Niegdyś był on najbardziej luksusowym hotelem pomiędzy Chicago i San Francisco..., na jego otwarciu w 1908 roku szampan łał się po frontowych schodach kaskadami... No cóż, dzisiaj to wszystko marnie wygląda. Suniemy dalej na północ do **Tonopah**, gdzie docieramy już po zmierzchu. Miasto położone na środku pustyni wita nas rozświetlonymi neonami. Zaglądamy do Tonopah Station Hotel, który okazuje się być minimuzeum wypełnionym po brzegi „antykami” i „witającym” wypchanym brunatnym misiem. Z kasyna unosi się specyficzny gęsty papierosowo-cygarowy zaduch, który odstrasza nas od chociażby zajrzenia do środka. Jako że już czas na spanie – wyjeżdżamy z miasta 95. na zachód do oazy zwanej Millers Rest Area. Całkiem przyjemne miejsce, oferujące bezpłatny kemping, „dump station” i łaźienki.

Dzień 22

Po wspaniale przespanej nocy pucujemy się od stóp do głów i dopiero około południa wracamy z powrotem do **Tonopah**, by powłóczyć się po skansenie należącym do Central Nevada Museum (1900 Logan Field Rd, czynne wtorek-sobota 9.00–17.00, wstęp bezpłatny). Miejsce bardzo klimatyczne i trzeba je zobaczyć – stare górnicze kabinki mieszkalne, w tym domek Chińczyka zrobiony w starym zbiorniku po wodzie o rozmiarach metr na metr, szopa kowalska, młyn i wiele innych „ciekawostek”, łącznie z wystawą żywych kaktusów i wielkich minerałów z tabliczkami opisującymi ich nazwę i występowanie, daje duże możliwości fotografującym. Janek zakochał się w wielkiej koparce, z której nie chciał zejść, a następnie przesiadłszy się na wielki spychacz miał nie lada zabawę, wydłużającą znacznie nasz pobyt w tym miejscu. Po zwiedzeniu skansenu i muzeum udajemy się na przejażdżkę po mieście i parkujemy w jego centrum w celu posilenia się dostępną na rogu „wietnamszczyzną”. W zasadzie nie wiadomo co to było, ale nie przypominało na szczęście gotowanego psa czy kota, więc spożyliśmy posiłek ze smakiem. Niestrawności po spożyciu nie stwierdzono. Mundeek tymczasem zagląda jeszcze do hotelu Mizpah, gdzie na ścianach lobby umieszczone są czeki podpisane przez różne ważne osobistości goszczące w tym hotelu (m.in. aktorki Jamie Lee Curtis). Podobno ten hotel też jest nawiedzany przez duchy. Wyjeżdżamy z Tonopah 95./6. na zachód i, mijając miasteczko Coaldale i Basalt, wspinamy się na malowniczą przełęcz Montgomery, by dotrzeć w końcu do granicy z **Californią**. W miasteczku Benton tankujemy, bo nie mamy pojęcia, gdzie trafimy następną stację benzynową. Benton jest malusieńką miejsciną z jednym hotelikiem B&B i kempingiem (ceny za miejsce kempingowe zaczynają się od 40 USD/noc), oferującym dostęp do gorących źródeł. Wspinamy się stromą 120. w kierunku Mono Lake (droga w zimie jest zamknięta). Dzień ma się ku końcowi, więc zaczynamy rozglądać się za noclegiem. Zjeżdża-

my w dół 120., mijając sosnowe zagajniki „Jeffrey Pines” należące do National Forest. W jednej z małych leśnych drózek znajdujemy polankę, gdzie postanowiliśmy rozbić obozowisko. Rozpalamy ognisko w przygotowanym do tego miejscu – otoczonym kamieniami i pieczemy bułki z cebulą (kiełbasy niestety nie posiadamy) i popijamy piwko, celebując tak wspaniale spędzony dzień. Miejsce okazuje się być idealne na nocleg. Temperatura w nocy spada znacznie, a powietrze jest cudownie mroźne i rześkie.

Dzień 23

Wstajemy o 7.00 i zmarznięci na kość rozgrzewamy się gorącą herbatą. Po szybkim śniadaniu ruszamy 120. w kierunku **Mono Lake**, zjeżdżając w dół doliny i podziwiając oświetlane wschodzącym słońcem pasma górskie należące do Yosemite National Park. Tuż obok miejsca, gdzie nocowaliśmy, znajduje się historyczny „marker” – Mono Mills – miejsce po dawnym młynie, ciekawie zagospodarowane i wyposażone w tablice informacyjne, opisujące życie Indian Kutzadika, których głównym przysmakiem były obrzydliwe suszone larwy much.. Ja nie mogę nawet o tym czytać, więc zajmuję się zbieraniem wielkich sosnowych szyszek do naszej kolekcji. Zajeżdżamy w końcu na parking przy **Mono Lake** (wstęp 3 USD/osoba, system kopertowy, czyli wypisuje się na kopercie swoje dane, wkłada do środka pieniążki i wrzuca do skrzyni z dziurką, a karteczkę z danymi przyczepia do szyby auta). Kopert niestety w skrzyneczce brak, więc wstęp mamy bezpłatny. Nakładamy traperskie buty i idziemy na szlak (1 mila – pętka) w kierunku alkaicznego jeziora, zasolenie tu jest trzykrotnie większe niż w morzu. Na plaży zalegają białe tufowe formy o dziwacznych kształtach – niezwykle fotogeniczne. Wszędzie unoszą się roje tychże wspomnianych much, ale na szczęście nie przeszkadzają nam zbytnio w spacerowaniu. Przy końcu szlaku spotykamy zaurconą naszym krajem Amerykankę, która miała okazję jakiś czas temu studiować w Toruniu, a tematem jej pracy były „Powidła śliwkowe z Doliny Dolnej Wisły” (!??). Po 1,5 godzinie wracamy na parking, wypełniony już po brzegi turystami. Jedziemy 395. na północ i zaglądamy na chwilkę do Visitor Center, aby zasięgnąć informacji na temat Lake Tahoe, dokąd podążamy. Niestety ranger okazuje się bardzo niekompetentny i nic w zasadzie się nie dowiadujemy. Warto dodać, że z tego miejsca wjeżdża się drogą nr 120 do zachodniej bramy Yosemite National Park, ale my nie jesteśmy kaskaderami i naszym wehikułem nie pchamy się tam. Mieliliśmy już szansę kilka lat temu gościć w tym parku i z czystym sumieniem polecamy go każdemu, kto kocha góry. Również nieco na północ drogą nr 270 odchodzącą na wschód dojeżdża się do perełki wśród „gost town’ów” – Bodie State Park. Odwiedziliśmy już kiedyś to jedno z najlepiej zachowanych i najurokliwszych w USA miasteczek-duchów, więc – skupieni na nowe eksploatacje – nie zbaczamy tym razem z kursu. No cóż, w ślimaczym tempie wspinamy się 395. bardzo stromą drogą na przełęcz (2480 m n.p.m.), skąd rozpościerają się zapierające dech w piersiach widoki na turkusowe Mono Lake i okolice (Mono Lake Vista Point). Mijamy Bridgeport i za rozwidleniem z drogą nr 108 zatrzymujemy się nad rzeką w celu uzupełnienia kalorii. Janek z Mundkiem udają się w poszukiwaniu wielogachnych szyszek, a ja przygotowuję specjalność dnia, czyli makaron z sosem pomidorowym. Powietrze jest tu rześkie i fantastycznie czyste. Po obiedzie suniemy dalej na północ 395. i zatrzymujemy się na placu zabaw w miasteczku Walker dla udobruchania naszego syna, który zaczął roznosić nam kampera. Po godzinie zjeżdżania, bieganina i huśtania jedziemy już dalej, na północ, mijając przepięknie lśniące w słońcu Topaz

Lake i z powrotem wjeżdżamy do witającej nas wszechobecnymi kasynami – **Nevady**. Za Minden skręcamy na zachód do miasteczka **Genoa**, szczytającego się najstarszym barem w Nevadzie (2282 Main street) i tu również korzystamy z uroków placu zabaw, huśtając się aż do zmierzchu. Jest niesamowicie zimno, więc huśtać się musimy, popijając gorącą herbatę z cytryną, bo w przeciwnym razie nasza zabawa na mrozie zakończyłaby się przeziębieniem. Robimy rundkę po miasteczku i zatrzymujemy się na parkingu przy Mormon Station Historic State Park (czynne 10.00–16.00), gdzie spędzamy noc, bo nic ciekawszego nie chce nam się szukać. Zostaliśmy po raz kolejny wprowadzeni w błąd przez mapę Nevady, na której widnieje jak byk, że w Genoa jest kemping..., lecz niestety go tam nie ma.

Dzień 24

Wstajemy o świcie obudzeni przez robotników naprawiających drogę obok naszego kampera i, rezygnując z czekania na otwarcie parku stanowego, wyruszamy w kierunku stolicy **Carson City** i atrakcji dzisiejszego dnia, czyli muzeum kolejnictwa (Nevada State Railroad Museum 2180 S. Carson street, czynne 8.30–16.30 od piątku do poniedziałku, 6 USD/os.). Jesteśmy na miejscu przed otwarciem muzeum, a więc zaczynamy eksplorować zewnętrzne wystawy, czyli, w skrócie mówiąc, lokomotywy i wagony. Janek jest wniebowzięty i pozuje nawet do zdjęć, co nie zdarza mu się często. Oczywiście problemem staje się opuszczenie tego miejsca, bo nasz synek – fascynat kolei – po prostu chce tu zostać cały dzień. Przekupiony jednak czekoladą ulega naszym prośbom i potulnie zasiada w aucie, dzierżąc w dłoni batonika, który znacznie się już roztopił, pozostawiając liczne ślady na Jasiu i jego otoczeniu. Przejeżdżamy „zabytkowymi” uliczkami miasta pełnymi wiktoriańskich domów i zaglądamy na chwilkę do Capitolu (101 N. Carson Street, czynne 8.00–17.00, wstęp bezpłatny). Następnie 50. wyjeżdżamy z miasta, kierując się do **Virginia City**. Do miasta prowadzą dwie drogi – 341 łagodniejsza (dla ciężarówek) i 342 z ostrym podjazdem dla osobówek. Z przy czyn oczywistych wybieramy 341. i pniemy się w górę wcale niełagodnym podjazdem, mijając stare kopalnie złota i przekopane hałdy. Po dotarciu na miejsce... ku naszej, a najbardziej Jasia, rozpaczy dowiadujemy się, że zabytkowym parowozem Virginia & Truckee Railroad możemy się przejechać, ale dopiero jutro. Jutro zaczyna się oficjalnie sezon wakacyjny (tzw. Memorial Day Weekend) i w związku z tym odbędzie się również parada. Nie pozostaje nam nic innego, jak przenocować gdzieś niedaleko i rano powrócić, by skorzystać w pełni z oferowanych tu atrakcji. Powędrowaliśmy po miasteczku, zaglądając do małych sklepików z minerałami i kiczowatymi pamiątkami, muzeum straży pożarnej (wejście bezpłatne) i kopalni Ponderosa Mine, do której wejście znajduje się bezpośrednio w barze Ponderosa Saloon (bilet 6 USD /os., 106 South C St.) i która oferuje 20-minutowe wycieczki z przewodnikiem w głąb szybu kopalni.

Na nocleg obieramy pobliski kemping w Dayton State Park (18 USD/noc, pryszniców brak), który poza miejscem na ognisko nie oferuje żadnych atrakcji i jest, powiedziałabym, najnudniejszym kempingiem, na jakim do tej pory nocowaliśmy. Nawet do kibelka (jedyne) trzeba drałować przedzierawszy się przez gęste zarośla „sagebrush’a”, chyba że ktoś ma ochotę iść kilometr w jedną stronę drogą asfaltową. Nawet Janek nie ma ochoty wyjść z samochodu, żeby się ogrzać przy ognisku. A do tego najadamy się kukurydzianymi chipsami zaprawianymi tłustą, serową sałwą do tego stopnia, że brzuchy (i nie tyłko) nam dosłownie rozsada.

Dzień 25

Po śniadanku wyruszamy na ponowny podbój **Virginia City**, zaglądając po drodze do historycznej części **Dayton**: sklep Levi Strausa, muzeum ze starociami, wiekowe porzdewiałe samochody. Parkujemy w centrum i kupujemy bilety na 35-minutową przejażdżkę pociągiem (Virginia & Truckee Railroad) w Visitor Center (oferujące zniżki na wszystkie atrakcje w mieście. Bilet 10.50 USD/os.). Wycieczka okazuje się niesamowicie atrakcyjna, szczególnie dla Jasia, który pierwszy raz w życiu ma szansę przejechać się wagonem „zaprzęgniętym” do lokomotywy parowej. Pociąg przejeżdża przez tunel, docierając do miasteczka Gold Hill i po 5-minutowej przerwie „na papierosa” wraca z powrotem do Virginia City. Dodatkowym bonusem w amerykański Dzień Pamięci Narodowej jest plenerowa inscenizacja bitwy secesyjnej w historycznych strojach i z wiernymi kopiami broni palnej, którą podziwiamy z pociągu. Pełni wrażeń „wdrapujemy się” na główną ulicę, gdzie właśnie rozpoczęła się parada z okazji „Memorial Day”, której uczestnicy rzucają w widzów cukierkami i rozdają flagi amerykańskie, co z kolei staje się główną atrakcją dla żądnego wrażeń Jasia. Ku naszej rozpacz Janek napycha się kolorowymi słodyczami i przy każdorazowej próbie przechwycenia rzucanych w nas cukierków głośno domaga się „dokładki”. Żeby tego było mało, to Jasiek naciąga nas jeszcze na lody i frytki, po zjedzeniu których dostaje tzw. „kociokwiku”, czyli niespożytej energii połączonej z marudzeniem i wrzaskami. Jest to dla nas jednoznaczna wskazówka, żeby jak najszybciej ewakuować się z miasta. Wyjeżdżamy drogą 341, a więc tą bardziej stromą... ale i bardziej widokową, następnie zaczynamy „mrozącą krew w żyłach” 21-milową wspinaczkę w kierunku **Lake Tahoe** (drogą 431 – Mount Rose Hwy). Silnik zagrzewa się niebezpiecznie i zatrzymujemy się na odpoczynek przy Galena Creek Visitor Center, gdzie Mundi zaopatrza się w stos map i ulotek. Wybraliśmy chyba najbardziej stromy i najtrudniejszy podjazd do jeziora, dając naszemu nowemu silnikowi nie lada zadanie do wykonania... Pniemy się więc powolutku, robiąc co kilka mil postój. Aż w końcu z dumą robimy sobie zdjęcie na przełęczy z napisem Mount Rose Summit elevation 8900 feet (2712 m n.p.m.) highest year round Sierra Pass. Staczymy się do **Incline Village** i udajemy się do miejskiej biblioteki w celu skorzystania z Internetu i przy okazji dostarczenia rozrywki znużonego długą trasą Jasiowi. Miejsce okazuje się bardzo przyjazne dla nas, jak i dla Jaśka, który znajduje tu mnóstwo atrakcji w postaci książeczek, zabawek i bawiących się nimi dzieci. Przemiała pani bibliotekarka robi nam kopię kilku mapek okolicy i udajemy się na miejską plażę (wjazd bezpłatny), gdzie odziani w polary, szaliki i czapki spacerujemy w świetle zachodzącego słońca popychani przez pędzący od jeziora z wielką siłą wiatr. Widok jeziora Tahoe otoczonego górami robi na nas piorunujące wrażenie. Powietrze jest jeszcze mroźne i temperatura ok. 5°C, a więc nie dziwi nas fakt, że prawie nikogo nie ma na plaży. Janek biega jak szalony, skacząc pomiędzy gęsiami i rozstawionymi wszędzie leżakami. Zbieramy się już o zmierzchu i kierujemy się na południe drogą 28 w celu znalezienia jakiegoś przytulnego miejsca na nocleg. Ku naszemu zdziwieniu praktycznie nie ma się gdzie zatrzymać... jest bardzo mało zjazdów widokowych. Wszędzie napisy informujące o zakazie parkowania w nocy. Jakoś przyjaźnie to nie wygląda. Już w totalnych ciemnościach znajdujemy zatoczkę przy drodze i tam spędzamy noc otuleni po czubki nosów w ciepłe śpiwory.

Dzień 26

Budzimy się o świcie i spoglądając przez okno, wpatrujemy się w stado pasących się sarenek. Rozgrzewamy się herbatą i ruszamy na podbój jeziora Tahoe. Zatrzymujemy się we wszystkich możliwych punktach widokowych i w końcu trafiamy na **Zephyr Cove Beach** (parking kosztuje tu 7 USD, więc parkujemy bezpłatnie przy głównej drodze) – jednej z piękniejszych miejscówek nad jeziorem. Przez sosnowy lasek przedzieramy się na plażę i tam leżakujemy na piasku wpatrzeni w turkus jeziora i ośnieżone szczyty w jego tle. Kolejnym miejscem godnym polecenia jest **Nevada Beach**, i tu też jest opłata za parking 7 USD, więc zatrzymujemy się przy drodze i dreptamy przez kemping w kierunku plaży. Temperatura troszkę już „podsoczyła” i możemy zdjąć polary i czapki. Otoczeni przez dzikie gęsi odpoczywamy na plaży, bawiąc się z Jasiem jego ulubioną koparką. Po godzinie kontynuujemy dalej otaczanie jeziora – przejeżdżając przez znajdujące się już po stronie kalifornijskiej **South Tahoe City** (totalna komercja). Zatrzymujemy się za granicą National Forest przy Visitor Center, gdzie gotujemy w końcu obiad. Janek drzemie wymęczony po wariactwach na plaży. Objedzeni do nieprzytomności postanawiamy w końcu wyjść na jakiś szlak i celem naszym staje się Cascade Falls Trail (2 mile). O dziwo, żeby wyjść na szlak, trzeba zapłacić 7 USD za parking (wyjście z kempingu) albo być „mieszkańcem” owego kempingu – wtedy opłaty tej nie ma. Kemping jest wypełniony po brzegi, a więc nie mamy najmniejszej szansy, żeby tu zostać na nocleg (17 USD/noc, pryszniców brak). Parkujemy więc przed wejściem na szlak – uprzednio wypełniwszy pozwolenie (permit) na spacerowanie po terenie „wilderness” (dane na karteczce należy wrzucić do skrzyneczki, a część drugą przyczepić do plecaka w widocznym miejscu). Szlak jest bardzo spektakularny i niezbyt trudny, chociaż my męczymy się niezmiernie... może z powodu obfitego obiadu albo po prostu braku formy, i w związku z tym oblegany przez setki turystów. Wodospad niestety okazuje się być zacieniony, co psuje znacznie jego fotogeniczność, ale widok jeziora Cascade w kolorze głęboko granatowym, wielkie zielone sosny i błyszczące w słońcu góry rekompensują wszystko. Wracamy po 1,5 godziny do auta i podjeżdżamy na Inspiration Point Vista – punkt widokowy na Tahoe, skąd z może setką samych Hindusów podziwiamy panoramę jeziora. Z tego miejsca 89. zaczyna się pięć stromo w górę, a widoki z niej są niesamowite. Dojeżdżamy do miejsca zwanego Vikingsholm Castle, tu również trzeba zapłacić za parking 10 USD, ale jest już zbyt późno, by rozpocząć wędrowkę. Zaczynamy powoli rozglądać się za noclegiem..., ale większość kempingów jest jeszcze zamknięta lub z kolei po brzegi wypełniona. Dojeżdżamy do kempingu Sugar Pine Point (35 USD/noc), który również pęka w szwach od turystów, ale miłą niespodzianką są gorące prysznice, z których dobra oczywiście skorzystamy z rozkoszą (opłata za 10 min – 1 USD w „quoterach”). Wyjeżdżamy z kempingu już w totalnych ciemnościach i praktycznie po omacku szukamy jakiejś zatoczki czy parkingu przy jeziorze w celu rozbicia obozowiska... Niestety, Lake Tahoe to obszar szalenie komercyjny, otoczony drogami rezydencjami-pałacami i znalezienie noclegu okazuje się niezmiernie trudne. W końcu przy Kaspian Recreation Area znajdujemy zatoczkę przy drodze tuż nad jeziorkiem i tu parkujemy.

Dzień 27

Obudziwszy się o świcie, oczom naszym ukazało się połyskujące w porannym słońcu Tahoe – zamiast jeść śniadanie, idziemy na spacer ścieżką rowerową wzdłuż

jego wybrzeża. Powietrze jest rześkie i mroźne, co jest pewną alternatywą dla porannej kawy. Ruszamy na północ i zahaczamy jeszcze o „sielankową” **Squaw Valley**, gdzie w 1960 roku odbywała się olimpiada zimowa. W samym resorcie na olbrzymim parkingu ustawione są w rzędach dziesiątki spychaczy, pługów śnieżnych, jakieś armatki śnieżne – wszystko to czeka na kolejny sezon narciarski. Ciągani na siłę przez Jaśka wśród tych wszystkich zimowych urządzeń wracamy po godzinie do auta i kierujemy się do 89. na północ i doliną rzeki Truckee dobijamy do autostrady nr 80. Podsumowując: wybraliśmy najtrudniejszą drogę dojazdową do Tahoe i najłatwiejszą wyjazdową... zamiast zrobić to całkowicie na odwrót. Autostradą w kierunku wschodnim dojeżdżamy do **Reno** – nieco przyblakłego miasta kasynowego, pełnego zataczających się pijaków i bezdomnych niedobitków, obdrapanych ruder i przygasłych neonów. Ogólny obraz tego miejsca nie zachęca nawet do zatrzymania auta, więc objeżdżamy jego centrum i uciekamy w kierunku bezludzia. W miasteczku Fernley odbijamy z autostrady na 50. nazwaną „The Loneliest Road in America” (najbardziej odosobnioną drogą). Nasz „fantastyczny” przewodnik po Nevadzie nie rekomenduje wycieczki tą trasą i dlatego właśnie postanawiamy nią pojechać. Pierwsze miasteczko, które mijamy – Fallon – słynie ze szkoły lotniczej (Navy Fighter Weapons School) i nisko latających wojskowych samolotów, nam jednak nie udaje się zauważyć ani jednego podniebnego ptaka podczas treningu. Zatrzymujemy się 7 mil za miasteczkiem na parkingu przed **Grimes Point and Hidden Cave**. Korzystając z tego, że Janek się zdrzemnął, przyrządzamy obiad i czytamy przewodnik. Po wielkich trudach dobudziliśmy w końcu naszego twardziela i poszliśmy oglądać petroglify (zwiedzanie jaskini Hidden Cave jest możliwe tylko po wcześniej umówionej rezerwacji). Cały szlak to zaledwie pętka około 0,5-milowa. Rozpętała się mała burza, więc czmychnęliśmy czym prędzej do samochodu i ruszyliśmy dalej na wschód przez pustynie. Droga ta rzeczywiście nie należy do często uczęszczanych... w zasadzie mijamy tylko kilka aut – przeważnie RV-ików w podobnym wieku jak nasz. Po horyzont widać tylko pustynie, góry i suche, pozbawione roślinności doliny, brak tu jakichkolwiek zwierząt i ptaków, a ciemne chmurzyska dodają groźnego charakteru całemu krajobrazowi. Jedziemy tak sobie po tym bezludziu..., pod górkę i z górki..., 40 mil na godzinę..., nie spiesząc się nigdzie..., aż docieramy do Austin. Tu postanawiamy spędzić noc, wcześniej jednak tankujemy, a w zasadzie próbujemy zatankować, bo pistolet paliwowy zaklinował się w baku i nie chce wyjść, poza tym benzyna wylewa się na zewnątrz zamiast zostać w baku. Mundi używa więc siły mięśni co powoduje, że wyrwana pompa uszkadza nam wlew paliwa. Świetna wiadomość jak na miejsce, gdzie w promieniu 100, a może i więcej mil, nie ma żadnego sklepu z częściami motoryzacyjnymi... Kombinujemy przez najbliższą godzinę, przykręcając, przybijając, zaklejając i w końcu udaje się nam naprawić wyrządzoną przez tankowanie szkodę. W przewodniku znajdujemy informację o zamku, który stoi na pobliskim wzgórzu i nie mając innego pomysłu na nocleg, udajemy się tam czym prędzej. Słońce już zaszło, a my wspinaliśmy się szutrową, wąską i bardzo stromą drogą w kierunku Stokes Castle (znajdujący się na liście „National Register and Historic Places”). Docieramy w końcu na sam szczyt wzgórza i oczom naszym ukazuje się podświetlony mały granitowy zameczek, a w zasadzie jego ruiny, otoczony niestety płotem. Parkujemy i w przygotowanym do tego miejscu rozpalamy ognisko – dobrze, że mamy zapasy drewna, bo tu poza krzakami sagebrush’a nic

do spalenia się nie nadaje. Spędzamy przemity wieczór przy ognisku, wpatrując się w niebo pełne gwiazd i księżyc rozświetlający okolice pustynie i góry.

Dzień 28

Nad ranem zaczął padać deszcz, więc czym prędzej musieliśmy zjechać do miasteczka, bo droga, którą tu wjechaliśmy, była bardzo kiepskiej jakości i podczas deszczu zamieniała się na pewno w ślizgawicę z dodatkowymi atrakcjami typu niezaplanywany spadek w przepaść. Za miasteczkiem **Austin** droga wznosi się niemalże pionowo w górę i ledwo dajemy radę (po kilku odpoczynkach) wspiąć się na przełęcz. Droga jest niezwykle widowiskowa, pomimo gęstej mgły podziwiamy żółte kwiaty porastające czarne, granitowe wzgórza (pejzaż przypomina trochę Szkocję). Mijamy kilka kempingów należących do Humbolt – Toiyabe National Forest i skręcamy w lewo na Hickison Petroglyph Recreation Area na teren kempingu, skąd wychodzi szlak prowadzący do petroglifów. Niestety, zaczyna okrutnie lać i nie chce nam się maszerować w strugach deszczu po kolana w błocie. Jemy tylko śniadanie i zwracamy do głównej drogi, kierując się dalej na wschód do **Eureka**. Deszcz na chwilę przestaje padać, więc korzystamy z okazji i odwiedzamy kilka miejsc w miasteczku, m.in. Courthouse (zaglądamy do zabytkowej sali sądowej) i Eureka Operahouse, gdzie Jaś tańczy na scenie. I znowu zaczyna padać..., jedziemy więc zrezygnowani i smutni w kierunku **Ely**. Ku radości Janka pierwsze kroki kierujemy do muzeum kolei (Nevada Northern Railway Museum; 1100 Avenue A). Spacerujemy wduż torów (muzeum dziś jest zamknięte) i starych wagonów i docieramy do głównego budynku – hangaru lokomotyw. Pan mechanik pozwala nam wejść do remontowanej przez niego lokomotywy, na co Janek promienieje ze szczęścia i z tej radości napycha sobie wszystkie kieszenie węglem leżącym obok kotła. Po 2 godzinach oglądania lokomotyw wyświniani smarami, węglem i nie wiadomo czym jeszcze jedziemy do centrum Ely. W miasteczku „nocują” dzisiaj kierowcy Bentley’ów odbywający rajd po stanach USA i Kanadzie – tworząc niesamowite widowisko – wszędzie zaparkowane są zabytkowe kabriolety z tablicami rejestracyjnymi pochodzącymi z całego świata, a kierowcy w starych skórzanych pilotkach przechadzają się główną aleją z zadartymi z dumy nosami. Mundi wsiąka w Bentley’owy świat, podchodząc do każdego antyku i fotografując go z każdej strony, podniecawszy się przy tym jak mały chłopczyk. Zaglądamy do Convention Center (150 Sixth Street; dużo ciekawych ulotek i bezpłatnych map), gdzie znajduje się przekrój najstarszego (ok. 5000 lat) drzewa na świecie (Bristlecone Pine). Zaglądamy jeszcze do historycznego Nevada Hotel & Casino – gdzie w lobby stoją stare motocykle, a ściany zdobią trofea myśliwskie bizonów, pum i jeleni oraz XIX-wieczne strzelby, niestety, pani wyprasza nas grzecznie, zauważając niepełnoletność Jasia (w kasynach teoretycznie mogą przebywać tylko osoby pełnoletnie). Dzień ma się ku końcowi, a więc opuszczamy miasto, wyjeżdżając drogą 93 na wschód, i udajemy się do **Cave Lake State Park**, a w zasadzie przecinamy park szutrową drogą i nocujemy na polance (na obszarze Humbolt-Toiyabe National Forest). Wcześniej jednak zajeżdżamy do łazienki kempingowej i korzystamy z gorącej kąpeli w pięknej, nowoczesnej kabinie prysznicowej (bezpłatne).

Dzień 29

Budzimy się o 6.00 rano przemarznięci do szpiku kości. Zdrapujemy szron z szyb i rozgrzewamy się gorącą herbatą. Zwracamy do głównej drogi i mkniemy czym prędzej w kierunku Parku Narodowego **Great Basin**. Udaje nam się kupić bilety (10 USD/

os.) na 60-minutową wycieczkę do **Lehman Cave** na godzinę 11.00 (następna tura to 12.30). Rangerka nie pozwala nam zabrać ze sobą plecaka, a nawet torby na aparat, tłumacząc to tym, że przejścia w jaskini są bardzo wąskie i moglibyśmy uszkodzić „wrażliwe” formy. Wycieczka okazuje się całkiem ciekawym doświadczeniem speleologicznym, szczególnie dla Jasia, który przez cały czas jej trwania wędruje od stalaktytu do stalagmitu, udając pędzącą lokomotywę parową. Naszym kolejnym celem – nieosiągniętym niestety – jest wjazd drogą Wheeler Peak Scenic Drive na wysokość ponad 3000 m n.p.m. Podjazd okazuje się zbyt stromy dla naszego wehikułu i musimy zawrócić. Samochód znowu zaczyna tracić moc... czyżby szykowała się kolejna wizyta u mechanika? Trochę zdenerwowani tym faktem wyruszamy 487. w kierunku **Utah**, robiąc częste postoje, bo niestety nasz RV-ik cienko przedzie pod każdą górkę, a górki tu sporo. Jeszcze na terenie parku zatrzymujemy się na małym parkingu, gdzie tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego ktoś wystawił na pokaz porzniętego graciucha, a w jego środku usadowił szkielet byka, który kopytami obejmuje kierownicę (nie wiadomo o co w tym wszystkim chodzi!!! Sztuka to, czy jakaś przestroga dla podróżnych? Przy okazji na jednym z postoi znajdujemy dużo drewna na ognisko i ładujemy je we wszystkie możliwe zakamarki naszego pojazdu. Wieczorem docieramy do **Cedar City** i zaczynamy się rozglądać za jakimś warszatem naprawczym, bo z naszą limuzyną jest coraz gorzej – wtryskiwacze paliwa w silniku najprawdopodobniej nadają się do wymiany. Jako że znaleźliśmy się w mieście wieczorem – wszystko poza Walmartem i spożywczym supermarketem (Safeway) jest już pozamykane. Tankujemy benzynę i propan, robimy zakupy i zasypiamy przed Walmartem pośród innych RV-ików.

Dzień 30

Od razu po śniadaniu udajemy się do jedynej w mieście pralni publicznej należącej (niestety) do sieci kempingowej KOA (1121 N Main St) – najbardziej dziadowskiej i zdzierczej instytucji turystycznej w Stanach. Nadęta „kierownicza” pralek nie chciała nam podać hasła do Internetu, twierdząc, że udostępni go tylko klientom kempingu, jakbyśmy mieli jej ten Internet pożreć w całości. Po 1,5 godzinie wsiadamy do auta i zaczynamy się wspinać 14. w stronę **Cedar Breaks National Monument...** Nie idzie nam jednak najlepiej i po kilku milach wspinaczki decydujemy się zawrócić z powrotem do miasta. Znajdujemy mechanika (Miner's Auto Repair, 590 N Main Street) i czekamy na ocenę stanu naszego samochodu i werdykt cenowy, po kilku minutach już wiemy, że nasze przecucia się sprawdziły. Trzeba naprawić jeden i wymienić drugi wtryskiwacz paliwa i razem z robocizną wyniesie to nas 400 USD. Wyboru za bardzo nie mamy, więc zostawiamy maszynę w rękach profesjonalistów, a sami ruszamy do Visitor Center znajdujące się naprzeciwko warsztatu. Przemięła pani opowiada nam o kilku ciekawych szlakach w okolicy i kseruje mapki i opisy z przewodnika. Wylegujemy się tam z godzinkę, Janek bawi się samochodzikami dostarczonymi przez ową przemięłą panią. W tym samym budynku znajduje się też muzeum hołubiące wpływ mormońskich kobiet na życie miasta (wstęp bezpłatny). Jako że mamy jeszcze dużo czasu do „stracenia”, wylegujemy się na trawie przed Frontier Homestead State Park Museum. Stoi tu olbrzymia koparka, która staje się obiektem zainteresowania Jasia. W końcu dostajemy sygnał, że nasze auto jest już sprawne i czeka do odbioru. Czym prędzej ruszyliśmy w kierunku rekomendowanego przez panią z informacji turystycznej szlaku – **Spring Creek Slot Canyon** (9 mil na południe od Cedar City, zjazd nr 51 z au-

tostrady; trzeba przejechać przez całe miasteczko Kanarrville, za ostatnim domem skręcić w lewo – na wschód – w szutrową drogę i zaparkować na końcu drogi). Nie ma tu żadnych oznaczeń dotyczących szlaku, ale nie sposób tu nie trafić. Ruszamy na szlak późnym popołudniem i cieszymy się, że nikogo poza nami tu nie ma. Cały kanion jest tylko dla nas. Co chwilę musimy przeskakiwać strumyk – co staje się główną atrakcją Jasia, który to zamiast iść dalej szlakiem, zawraca i przeskakuje wodę po kilka razy, ciesząc się, że potrafi to zrobić samodzielnie. Szlak jest stosunkowo prosty (długość 4 mile), a jedyną przeszkodą staje się coraz większa szerokość przeskakiwanego przez nas potoku. Miejscami jest on trochę „przybagniony” i zapach jego przypomina stęchliznę, a do tego unoszące się nad nim muchy dają jasno do zrozumienia, żeby zbyt długo nie zatrzymywać się w jednym miejscu. Dochodzimy prawie do końca szlaku, do miejsca, gdzie znajduje się długa czerwona półka skalna o nachyleniu około 45 stopni – wdrapujemy się na nią i odpoczywamy. Z powodu nadchodzącego zmroku zawracamy, „prowadzeni” przez latające nad nami nietoperze, bojąc się, żeby jakiś nie wkłęcił się nam w rozwichrzone czupryny. Do auta wracamy już po zachodzie słońca i postanawiamy nie ruszać się z tego miejsca do rana. Miejsce, w którym zaparkowaliśmy, dodatkowo „wyposażone” jest w krąg na ognisko, więc czym prędzej wykładamy zgromadzone przez nas drewno ze wszystkich zakamarków RV-ika i rozpalamy największe w historii naszej wycieczki ognisko. Klimatu dodaje usiane gęsto gwiazdami niebo i przyjemny ciepły powiew wiatru.

Dzień 31

Wyruszamy o świcie w kierunku **Cedar City** i dalej 14. w kierunku **Cedar Bre-aks NM**. Droga 148 do monumentu wije się stromo w górę, a my, sapiąc i zipiąc, czułgamy się z licznymi postojami w kierunku szczytu na wysokość ponad 3000 m n.p.m. Na górze zalega jeszcze śnieg i jest okrutnie zimno. Odwiedzamy każdy punkt widokowy w zasadzie w samotności – nikomu w taki ziąb nie chce się wychodzić z samochodu i podziwiać widoków, a jest co podziwiać – olbrzymi amfiteatr wyrzeźbiony w czerwono-żółtawych zerodowanych skałach wapiennych budzi wszechobecny podziw. Opłata do parku wynosi 4 USD za osobę, ale nie ma żadnej budki rangerskiej przy trasie, więc tej opłaty można uniknąć, chyba że ktoś chce zatrzymać się w Visitor Center – tam na pewno trzeba uiścić opłatę. Zjeżdżamy 143. w kierunku **Panguitch**, mijając po drodze liczne stadniny koni i zaglądamy do US Forest Ranger Station (225 E Center), gdzie bardzo kompetentny leśnik udziela nam wielu cennych wskazówek na temat **Red Canyon** – miejsca, do którego się udajemy. Pierwszy szlak, jakim spacerujemy, to **Arches Trail** (1 mila; dojazd – z 12. trzeba skręcić na północ w szutrową Casto Canyon Road i dojechać aż do parkingu, skąd prowadzą kierunkowskazy na okoliczne szlaki). Arches Trail okazuje się istną petardą – mamy szczęście poruszać się po nim samotnie, gdyż większość turystów omija takie niekomercyjne miejsca, pędząc w kierunku Parków Narodowych Bryce Canyon czy Zion. Troszkę musimy się powspinać na „płonące w słońcu” rude piaskowce, ale w nagrodę widok z góry jest piorunujący!!! Słońce tak rozpala te skały, że ich pomarańczowy kolor dosłownie szczypie w oczy. Formy skalne przypominają grzyby, stoły, łuki, a powykręcane od wiatru gałęzie drzew dodają im niezapomnianego uroku. Po 2 godzinach wracamy do głównej drogi (nr 12) i dosłownie za milę czy dwie zatrzymujemy auto na poboczu, by wdrapać się na Phototrail (0,5 mili). Maszerujemy stromo pod górę, ślizgając się na

zwirowo-piaszczystej powierzchni. Z góry obserwujemy z politowaniem „śmiesznych” pseudoturystów w liczbie około 50 sztuk, wylegających z autokaru, którzy nawet nie przechodząc przez ulicę na stronę, gdzie wychodzi szlak, pstrykają tysiące fotek..., mijają 2 minuty i już ich nie ma. A wystarczyło troszkę wysiłku fizycznego i można zobaczyć całą panoramę i niesamowite formy skalne, które z bliska robią ogromne wrażenie. Niecałą milę dalej na wschód znajduje się Red Canyon Visitor Center (łącznie z Dixie National Forest V.C.) prowadzone przez bardzo niekompetentnych ludzi, których wiedza ogranicza się tylko do podstawowych informacji na temat kilku miejscowych szlaków i niedalekiego kempingu. Robimy króciutką pętelkę szlakiem Hoodoos niedaleko Visitor Center i zajeżdżamy na Red Canyon Campground, który, jak poinformowała nas tabliczka przy jego wjeździe, jest pełny. Wjechaliśmy jednak, żeby skorzystać z prysznic (2 USD/5 minut), który należał nam się po dzielnie przemaszerowanych szlakach. Po wypucowaniu się wyruszamy dalej 12. na wschód, mijając dwa oświetlone zachodzącym słońcem tunele wyrzeźbione w piaskowcowych skałach. Skręcamy na południe w East Fork of the Silver River Road / Forest Road 111 w kierunku King Creek Campground nad rezerwuarem Tropic (7 mil od głównej drogi; 13 USD/noc, pryszniców brak). Rozpalamy wielkie ognisko i ogrzewamy się jego ciepłem, bo temperatura spada prawie do 0°C.

Dzień 32

Zerwaliśmy się o świcie i pognałiśmy do **Bryce Canyon National Park** – najczęściej odwiedzanego parku w Utah, a może nawet i w całych Stanach. Dało się to odczuć na każdym kroku. Przed samym parkiem utworzono komercyjne miasto – Bryce Canyon City – wyłącznie na potrzeby turystyki – aż odrzuca od widoku pułapek turystycznych: przeloty helikopterem, przejażdżki konne, dziesiątki prywatnych kempingów z „wygodami”, sklepiki z pierdułkami itp. Bilet do parku kosztuje 25 USD, ale jako że jesteśmy przed godzinami oficjalnego otwarcia, opłata nas nie obowiązuje – nie ma nawet żadnych kopert, gdzie można by zostawić pieniądze. Zielone światełka przy bramkach wjazdowych dają jasno do zrozumienia, że w nagrodę za wczesną pobudkę możemy zwiedzać za darmo. Wjeżdżamy od razu na Sunrise Point (tu dostępne prysznic 2 USD) i nacieszywszy się porannymi promieniami słońca oświetlającymi Bryce Amphitheater, pojechaliśmy do Sunset Point, skąd wyruszyliśmy na wędrowkę. Zdecydowaliśmy się na połączenie dwóch najbardziej spektakularnych szlaków w parku – Navajo i Queens Garden, dającymi łącznie długość 3 mil. Wydawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem, zważywszy na możliwości 2,5-letniego brzdąca i wysokie temperatury, jakie nas czekały na tym terenie. Rozwiązanie to, jak się okazało, wybrała większość turystów przebywająca w parku, przez co (szczególnie na Navajo Trail) musieliśmy momentami przeciskać się pomiędzy nimi i czekać w kolejce, aby zrobić zdjęcie bez niechcianego „tła”. Schodzimy najpierw stromo w dół po terasach, dochodzimy do wąskiej gardzieli (Wall Street) i potem doliną dochodzimy do Queens Garden – jedna z form rzeczywiście przypomina królową siedzącą na tronie (Queen Victoria). Wszędzie otaczają nas dziwaczne w kształtach formy pomarańczowych piaskowców i wapieni – nie wiadomo już, w którą stronę kierować obiektyw aparatu, wszystko dookoła jest niesamowite. Najgorsza jest wspinaczka stromą ścieżką przy temperaturze bliskiej 40°C, co minutę robimy postój, pijemy „hektolitry” wody, a Janek zasypia, więc Mundek niesie go w plecaku. Wykończeni wdrapujemy się na Sunrise Point, skąd już

obrzeżem uskoku Bryce (Rim Trail) podążamy w kierunku naszego auta zaparkowanego przy Sunset Point. Padamy jak konie po westernie... słońce i wysoka temperatura wycieńczyła nas doszczętnie i nie mamy już sił na żaden szlak w dniu dzisiejszym. Gotujemy obiad i wyruszamy na objazdówkę po punktach widokowych parku. Dwa najbardziej spektakularne postoje to Inspiration Point i Bryce Point. Wieczorem zajeżdżamy na Sunrise Point, by wziąć zasłużony prysznic i zaczynamy rozglądać się za noclegiem. Dwa kempingi na terenie parku są wypełnione po brzegi, więc podążamy w kierunku **Kodachrome Basin State Park** (wstęp 6 USD/auto) w nadziei, że tam będzie nieco luźniej. W totalnych ciemnościach wjeżdżamy na teren parku i ku naszej rozpaczycy wszystko jest również pozajmowane. Jediną możliwością, jaką widzimy, jest zaparkowanie przy jednym z miejsc kempingowych i czekanie w nadziei, że nie zjawi się strażnik parku i nas nie wygoni. I wszystko się udaje. Śpiemy do rana.

Dzień 33

Rano wyjeżdżamy z kempingu i zatrzymujemy się przy wyjściu na szlaki Nature (0,5 mili) i Angel's Palace Trail. Po śniadaniu wspinamy się na olbrzymią półkę skalną (na szlaku Nature Trail) i gramy z Jasiem we frisbee, robiąc przy tym tysiące zdjęć. Szlak Nature, choć tak krótki, jest bardzo spektakularny i daje wiele możliwości „odskoczni” w bok – wystarczy wspiąć się na jakieś niewielkie wzgórze, aby „zdobyć” kolejną świetną fotkę do kolekcji. Po uzupełnieniu wody w bidonach ruszamy na **Angel's Palace Trail** (1,5 mili) – niesamowity szlak pełen fantastycznych form skalnych i powykrcanych obumarłych pni jałowców, na którym spędzamy ponad 3 godziny, fotografując chyba wszystkie mijane przez nas grzybki, stożki i wieżyczki. Upał znowu daje nam się we znaki, zmęczeni zwlekamy się ze szlaku. Decydujemy się na jeszcze jeden krótki szlak – **Shakespeare Arch Trail** (1 mila), do którego dojeżdżamy szutrową drogą odchodzącą na wschód od głównej parkowej drogi. Szlak jest bardzo łatwy, ale upał daje się nam we znaki i musimy robić postoje w cieniu każdego napotkanego drzewka Pinyon Pine. Trudy wynagradza nam widok piaskowcowego, połyskującego w słońcu, łuku wysoko nad naszymi głowami. Strzelamy kilka fot na jego tle i wracamy do auta, tachając na plecach naszego małego piechura. Podjeżdżamy jeszcze do pilnowanego przez łaciatą krasulę skalnego słupa stojącego w szczerym polu, zwanego **Chimney Rock** (znajdującego się na wschodnim krańcu szutrowej drogi) i wytelepani jazdą po strasznie „wyszczerbionej” nawierzchni dobijamy do głównej drogi, parkując ponownie w miejscu, gdzie zaczynaliśmy dzisiejszy dzień. Bierzemy orzeźwiający prysznic w kempingowej łazience (bezpłatny/8 minut) i pełni energii ruszamy dalej. Postanowiliśmy spędzić noc przy **Grosvenor Arch**, leżący w obrębie **Grand Staircase-Escalante National Monument**. Dojazd do niego wiedzie szutrową drogą (Cottonwood Canyon Road) na południowy wschód od Kodachrome Basin State Park. Telepiemy się 11 mil po wybojach, czasami dosłownie wpełzając stromo w górę, bacznie obserwowani przez pasące się na poboczu krowy i byki. Droga nie należy raczej do najlepszych – ale ujechawszy już większy kawałek trasy, nie chce nam się zawracać. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, że jakość tej drogi jest tak słaba, na pewno nie zdecydowalibyśmy się nią jechać. Do łuku dojeżdżamy już po zachodzie słońca, ale Mundek jeszcze podbiega (krótkim szlakiem) pod jego podstawę i pstryka kilka fotek. Na parkingu co prawda jest tabliczka z informacją „Day use area”, ale nie powstrzymuje nas to od zostania tu na noc. Perspektywa wracania po ciemku 11 mil w nieustającej telepawce jest nie do przyjęcia. Nagry-

wamy śpiew ptaków na dyktafon, bo takiego koncertu to jeszcze w życiu nie słyszeliśmy i wymęczeni padamy spać.

Dzień 34

Wstajemy o świcie i bez spożywania śniadania zaczynamy mozolną „telepawkę” w kierunku drogi nr 12. Samochód zaczął coś strasznie „pierdzić” – wczoraj podczas jazdy po tej wyboistej drodze przedziurawiła się rura wydechowa. Teraz nie dość, że poruszamy się z zawrotną prędkością 5 mil na godzinę, to jeszcze do tego wydajemy przeraźliwie brzmiące dźwięki. Dowlekamy się do **Cannonville** i chcąc zasięgnąć wiedzy na temat dalszej naszej podróży, udajemy się do Informacji Turystycznej, która ku naszemu zaskoczeniu jest nieczynna w poniedziałki i wtorki (nawet łazienki są pozamykane). Ruszamy więc czym prędzej 12. na wschód w kierunku **Escalante**. Po drodze zatrzymujemy się w punkcie widokowym, skąd rozpościera się panorama na Powell Point i The Blues – najładniej na świecie zachowana ciągłość geologiczna z okresu późnej kredy. Odkryto tu wiele całościowych szkieletów dinozaurów. W Escalante Interagency Visitor Center mamy okazję podziwiać kości i rzadki kawałek skamieniałej skóry dinozaura. Budynek informacji jest raczej ascetycznie „wyposażony” w różnego rodzaju gabloty i ekspozycje. Rangerka, z którą rozmawiamy, daje nam wyraźnie do zrozumienia, że nasze pytania są dla niej za trudne i wychodzą poza ramy jej wiedzy. Jedyna informacja, jakiej nam udziela (niestety smutna dla nas) jest taka, że prom, którym mieliśmy popłynąć, jest nieczynny z powodu remontu. Żeby trochę urozmaicić naszą wycieczkę, chcieliśmy zjechać do Bullfrog i przepłynąć się promem przez Lake Powell do Halls Crossing. Niestety, nasze plany musiały znowu ulec zmianie. Podczas tankowania w miasteczku na tyłach stacji zauważamy mały zakład samochodowy i tu właśnie kierujemy nasze kroki. Mechanik po krótkiej rozmowie z Mundkiem przejrzał wydech i po dokręceniu paru śrub na złączce kolektora i rury wydechowej pojazd powrócił do stanu poprzedniego, jeśli chodzi o emisję spalin i – co najbardziej irytujące – „emisję decybeli”. Zatrzymujemy się na ciasnym i zapchanym parkingu przy moście nad rzeką Escalante (Calf Creek Recreation Area), której woda okazuje się czystuśka i na tyle płytka, żeby Janek mógł po niej brodzić i z powodzeniem zbierać kolorowe kamyki do swojej kolekcji. Jadąc dalej doliną rzeki Calf Creek, wspinamy się na „garb” i tymże jedziemy, mając po obydwu stronach przepaści – widoki dosłownie „wywalają w kosmos”. Docieramy do sielankowej wioski Boulder, słynnej z tego, że jako ostatnia osada w Stanach Zjednoczonych otrzymywała pocztę dostarczaną na osiołkach. Za miasteczkiem droga zaczyna się wspinąć, a nasz samochód rozgrzany i wymęczony całodniową „walką” zdecydowanie słabnie. Postanawiamy dać mu fajrant. Zjeżdżamy więc na leśną drogę nr 165 (odchodzącą na północny-zachód od 12.) i po przejechaniu około 2 mil znajdujemy super polankę na kemping. Niedaleko nas ktoś również rozwinął obóz. Zbieramy chrust i rozpalamy ognisko. Mundi z dziecinną radością dorzuca do ogniska znalezione nieopodal zasuszone krowie placki i cieszy się jak po zetknięciu z ogniem wybuchają...

Dzień 35

Samochód odpoczął przez noc i już całkiem dobrze zaczął sobie radzić, wspinając się drogą nr 12 (nachylenie 10%) na wysokość ponad 2900 m n.p.m. Musimy co prawda robić kilka postojów, ale nasz 26-letni kempingowóz jest i tak niesamowity, zważając na to, że wyciskamy z niego więcej niż on sam by sobie tego życzył. Mijane

krajobrazy górskie urozmaicają rozsiane wszędzie zagajniki osikowe. Powietrze jest rześkie i mroźne. Zatrzymujemy się w Wildcat Ranger Station, gdzie przemiła para starszuchów – wolontariuszy obdarowała nas reklamówką pełną mapek i ulotek oraz kolorowanek dla Jasia. Ruszamy dalej, podziwiając widoki, i docieramy do Torrey – małej wioski o dziwnie komercyjnym charakterze i wysokich cenach, poczawszy od paliwa po jedzenie. Skręcamy na wschód w 24. i dojeżdżamy w końcu do **Capital Reef National Park**. Zwiedzanie zaczynamy od dwóch krótkich szlaków – Gooseneck (2/3mili) i Panorama Point (1/3 mili). Wyjście na nie znajduje się po południowej stronie drogi z parkingu. Omijamy Visitor Center szerokim łukiem, bo tam pobierają opłatę za wjazd do parku – 5 USD, i wjeżdżamy w Scenic Drive, zatrzymując się przy Blacksmith Shop. Chłopaki udają się na program dla dzieci prowadzony przez rangersa po drugiej stronie drogi w małym budynku parkowym. Rozradowany Janek wraca po półgodzinnym wykładzie z naklejką misia na rękę. Jemy przygotowane przeze mnie burrito i ruszamy dalej na południe do Fruita. W Gifford Farm House raczymy się domowymi lodami (1 USD/ sztuka) i kupujemy kilka słoików dżemów, zrobionych z lokalnych owoców. Co ciekawe – na jesień, kiedy to dojrzewają jabłka, gruszki i śliwki – pozwolone jest, aby każdy, kto tylko ma na to ochotę, jadł je do syta. Szkoda, że do jesieni jeszcze daleko... zaspokajamy się więc dżemami ze sklepiku. Obok sklepiku znajduje się kemping (10 USD/noc, pryzniców brak), ale niestety wszystkie miejsca są zajęte, więc nasz nocleg przypadnie gdzie indziej. Kemping idealny dla rodzin z dziećmi, ale nie tylko. Fruita to bardzo sielankowe miejsce – taka oaza zieleni na pustyni. Dojeżdżamy do końca Scenic Drive i wtaczamy się na szutrową dróżkę w stronę Capitol Gorge. Istna to petarda krajobrazowa. Nie bierzemy żadnego szlaku, tylko podchodzimy kilka kroków do pionowych ścian kanionu. Wracając, zatrzymujemy się ponownie we Fruita i maszerujemy nad rzekę Fremont River, gdzie Mundi i Jaś urządzają sobie orzeźwiający kąpiel. W drodze powrotnej do auta śledzimy świstaka, który spaceruje sobie po łące i co chwilę znika w swojej norcie umiejscowionej obok ławki. Pojawia się też sporo sarenek, które spokojnie skubią trawę, nie widząc w nas zagrożenia. Słońce już zaszło, więc czym prędzej pakujemy manatki i ruszamy w poszukiwaniu noclegu. Wyjeżdżamy z drogi parkowej i skręcamy w 24. na wschód. Już w półmroku zaglądamy do Historic Fruita School, petroglifów i na Hickman Bridge. Nocujemy na Orientation Pullout przy granicy parku (dostępne toalety. Uwaga! – w środku mieszkają myszy).

Dzień 36

Rano postanawiamy skoczyć jeszcze w boczną drogę Notom – Bullfrog Road (długość 10 mil; asfaltowa nawierzchnia) i oczom naszym ukazał się wspaniały widok oświetlonego wschodzącym słońcem Reef'u – WaterPocket Fold. Zawracamy z powrotem do 24. i pyrkamy sobie powolutku wzdłuż rzeki Fremont, mijając kosmiczne, a może raczej księżycowe krajobrazy. W Caineville zatrzymujemy się przy gospodarstwie oferującym rzekomo organiczne warzywa i owoce. Jedyne co tam jednak nam zaoferowano, to mały chlebek wielkości bułki za 5 USD i jakieś ciastka z kawą. Przed wjazdem do **Hanksville** skręcamy w boczną dróżkę na południe do biura BLM, gdzie zaopatrujemy się w mapki i ulotki oraz zwiedzamy zabytkowy młyn (Volverton Mill), przywieziony tu w całości helikopterem z Mount Pennel. Młyn ten jest unikatowy, gdyż zaprojektowano go tak, by jednocześnie kruszył skały i ciął drewno. Tankujemy i robimy drobne zakupy w małym sklepiku przy stacji Shell. Skręcamy na 95. na

południe i jedziemy wśród połyskujących w słońcu czerwonych piaskowców. Robimy sobie krótki postój na Hog Springs Rest Area z myślą o spacerze wzdłuż wyschniętego koryta rzeki. Niestety, do Mundka przylega jakieś złośliwe muszysko i nie mogąc się go pozbyć w żaden sposób, Mundek biegiem zawraca do samochodu i przeklinając pod nosem (i nie tylko) z bólu, zaczął smarować maścią liczne ugryzienia. Upał daje się poważnie we znaki. Temperatura dochodzi do 40°C. Wjeżdżamy w kanion i ponownie zatrzymujemy się w punkcie widokowym... i tu ku naszemu wielkiemu zdziwieniu zamiast panoramy na Lake Powell widzimy wyschnięte koryto... wody brak. Wygląda to przerażająco, a tak bardzo chcieliśmy zjechać do Hite i popluskać się trochę w jezioru. Zagaduje nas starsze małżeństwo – ona Chorwatka, on Rosjanin (podróżujący podobnym wiekowo do naszego kempingowozu) i troszkę sobie „razgawariujemy” o podróżach po dzikim zachodzie. Zjeżdżamy na sztucznie utworzone tymczasowe dojsście do rzeki Colorado, ale poza smrodem z przenośnego kibelka i starym porzewiałym spsychaczem nic tam nie ma. Błotnisty nurt rzeki ciągnie ze sobą jakieś kawałki gałęzi i śmieci. Wjeżdżamy z powrotem na główną drogę (nr 95) i „sapiąc” z gorąca toczymy się dalej w kierunku **Natural Bridges National Monument** (6 USD/auto), mijając po drodze bajkowe krajobrazy. Przystajemy kilka razy, bo samochód grzeje się w taki upał. Do monumentu prowadzi droga nr 275. Wymęczeni wysoko temperaturą decydujemy się tylko na jeden szlak – **Owachomo Bridge**, schodzący stromo w dół po kamiennych stopniach, a niestety pionowo w górę w drodze powrotnej. Schodzimy pod sam łuk i w jego cieniu spędzamy miło czas, robiąc zdjęcia i bawiąc się z Jasiem jego ukochaną koparką. Powinien tu płynąć strumyk, ale po prostu wysechł. Zwiedzających w tym parku nie ma w zasadzie wcale, za to na małym kempingu (10 USD/noc, pryszniców brak, limit wody przypadający 5 galonów/os. dziennie) brakuje wolnych miejsc. Na banerze stojącym przy kempingu jest informacja, że jeśli brakuje wolnych miejsc, można nocować przy drodze lub w kilku innych miejscach bezpłatnie. Zajeżdżamy więc w jedno z takich miejsc (szutrowa droga na Maverick Point) i tam odnajdujemy „uroczą” polankę z kręgiem kamiennym na ognisko. Po drodze mijamy wielu kempingowiczów, ale nasza miejscówka to mistrzostwo świata. Mundek z Jasiem udają się po chrust, a ja przygotowuję kolację.

Dzień 37

Janek budzi się jakiś niemrawy, ma gorączkę i pociąga nosem. Nie brzmi to dobrze, ale po dawce ibuprofenu dochodzi do siebie. Jedziemy na wschód 95. do **Blanding**, gdzie zatrzymujemy się w Visitor Center, by chwilę odpocząć, uzupełnić zapasy wody i pozwolić na upust energii Jasiowi, który wariuje na placu zabaw. Niestety, upał wypala szybko jego energię i wracamy do auta. Jedziemy drogą 191 na północ w kierunku **Monticello**. Tu w końcu znajdujemy niewielkich rozmiarów supermarket ze świeżymi owocami i warzywami. Ładujemy więc do koszyka tony jabłek, pomarańczy i pomidorów. Standardowo zaglądamy też do biblioteki, gdzie akurat odbywają się zajęcia dla dzieci, co dla Janka jest nie lada atrakcją, zważywszy na fakt, że tematem wiodącym jest ogrodnictwo i sadzenie roślinek. Jasio wychodzi rozpromieniony z uśmiechem od ucha do ucha, a w rękę dzierży własnoręcznie zasadzoną fasolkę (niestety, fasolka ta nigdy nie wyrasta ☹). Jedziemy na północ w kierunku **Moab**, zatrzymując się na chwilę przy **Wilson Arch**, ale od razu osaczają nas Indianki sprzedające swoje rękodzieła, nagabując do ich nabycia. Straszny tu tłum – bo atrakcja łatwo dostępna – więc zabieramy się

czym prędzej. Dojeżdżamy do szutrowej drogi Looking Glass Road (nr 131) odchodzącej na zachód i tam skręcamy, dojeżdżając po 2 milach do **Looking Glass Arch** – miejsca nieopisywanego w przewodnikach, dzięki czemu nieobleganego przez turystów – istne dzieło sztuki stworzone przez matkę naturę. W samotności wdrapujemy się pod sam łuk i pstrykamy tysiące zdjęć. Widoki z góry są rewelacyjne. Dobijamy w końcu do **Moab** – turystycznej stolicy Utah i bazy wypadowej do przepięknych Parków Narodowych Arches i Canyonlands. Parki te odwiedziliśmy już podczas poprzednich naszych wycieczek i, pomimo chęci powrotu do nich również i teraz, musimy jednak zrezygnować, mając na uwadze konieczność jak najszybszego powrotu do Chicago. Do Arches National Park i tak nie moglibyśmy wjechać naszym kempingowozem. Po szybkich zakupach m.in. piwa warzonego lokalnie (nie polecamy – niesmaczne) jedziemy drogą 279 wzdłuż rzeki Colorado i torów aż do końca, robimy zdjęcie zachodzącemu słońcu i zwracamy na kemping Williams Bottom (10 USD/noc, pryszniców i wody brak), gdzie zostajemy na noc. Na kempingu znajduje się przedziwny kibelek bez dachu i drzwi, a jedynym znakiem, że ktoś akurat z niego korzysta, jest kłódka na łańcuchu, którą przewiesza się pomiędzy ściankami wejściowymi. Poza tą jedyną niedogodnością kemping okazuje się fajnym miejscem. Drewno jest udostępnione za darmo i można go brać do woli – palimy więc olbrzymie ognisko, Janek natomiast biega za ropuchą (z latarką), która pojawia się na naszym miejscu nieproszona.

Dzień 38

Po szybkim śniadaniu wracamy tą samą drogą (279) w kierunku Moab i skręcamy na północ w jedną z najpiękniejszych tras widokowych Utah – w 128. wijącą się wzdłuż rzeki Colorado. Mijamy wiele kempingów zapełnionych po brzegi, prowadzonych przez BLM i ścieżki rowerowe w budowie. Dużo się tu zmieniło od czasu naszej ostatniej wizyty kilka lat temu. Powstały nowe kempingi i hotele, winiarnia z resortem i stadniną, no i ta ścieżka rowerowa, wzdłuż której jedziemy. Odbijamy na chwilkę w prawo w Castleton Road prowadzącą do Castle Valley, ale po kilku milach zwracamy, nie chcąc forsować samochodu. Na dłuższy postój wjeżdżamy natomiast w **Professor Valley Road**, która nie jest może drogą idealnie przejezdną, ale jakoś doczołgujemy się do miejsca, gdzie jest dostęp do rzeki (Professor Creek) i tu robimy sobie piknik połączony z pluskaniem się w wodzie. Janek jest w siódmym niebie, napełniając butelki wodą i wylewając nam na głowy. W związku z tym, że upał jest niemiłosierny, my również jesteśmy z tego niesamowicie zadowoleni. Po 2 godzinach totalnego relaksu wracamy z powrotem do 128. i zajeżdżamy do Fisher Towers (szutrową Fisher Tower Road). Spotykamy tu polskiego pana profesora z Salt Lake City, który mieszka w Stnach już 45 lat – miło sobie gawędzimy przez chwilę i po krótkim spacerze po okolicy wracamy do 128. Nie sposób jest przejechać tą trasą bez ciągłego zatrzymywania się i robienia setek zdjęć. Każdy, kto się tu znajdzie, na pewno przyzna nam rację. Jeszcze przed dojazdem do autostrady (nr 70) skręcamy na wschód w Crescent do Cisco East Road poprowadzoną wzdłuż torów kolejowych. To, co tu widzimy, jest po prostu straszne – rudery domów, jedna przy drugiej... graciarnie do potęgi – wszystko wygląda żałośnie – całe miasteczko Cisco umarło. Nikogo już tu nie ma. Wjeżdżamy na autostradę (wjazd 212) i zaczynamy powrót w stronę Chicago. Przed nami jakieś 1300 mil... Aż strach pomyśleć, kiedy się tam dowlecemy. Nie mogąc pogodzić się z myślą, że nasze wakacje dobiegają końca, postanawiamy spenetrować jeszcze jedną dróżkę

prowadzącą do Westwater Canyon (zjazd 227 na drogę Down Harley Dome Road). Kanionu nie udało nam się niestety zobaczyć – trafiając na miejsce, gdzie woduje się łódki (na „whitewater”). Cóż, poza tysiącem much nikogo tu nie spotykamy. Zawracamy do autostrady i wjeżdżamy do stanu Colorado. Tu pierwszym postojem jest tankowanie w Grand Junction – znajdujemy Shella (zjazd 31) i zakupy w Safeway'u. Dzień ma się ku końcowi, więc zaczynamy powoli myśleć o noclegu. W poszukiwaniu jakiegokolwiek miejsca, gdzie moglibyśmy rozpałcić pożegnalne ognisko, spędzamy kolejne 2 godziny. W końcu zdesperowani lądujemy na Rest Area w Parachute (zjazd 75), gdzie padamy spać.

Dzień 39

Budzimy się ze wspaniałym pomysłem odwiedzenia jeszcze **Aspen**, a w zasadzie **Maroon Bells**, bo naprawdę nie chce nam się jeszcze wracać do domu. Zjeżdżamy więc w Glenwood Springs (zjazd 116) na drogę nr 82 prowadzącą do Aspen. Przed miastem skręcamy na 125 prowadzącą do jeziora. Jako że jesteśmy przed sezonem (sezon tu zaczyna się 15 czerwca), możemy wjechać samochodem na teren parku Maroon Bells Recreation Area. Za kilka dni podróż będzie już tylko możliwa autobusem (zakaz wjazdu prywatnych aut). I tu spotyka nas miła niespodzianka – zamiast opłaty 10 USD mamy wjazd bezpłatny... nie wiadomo dlaczego, ale nikogo przy budce strażniczej nie ma i szlaban jest podniesiony. Wspinamy się powolutku na wysokość prawie 3000 m n.p.m. i tu kolejna niespodzianka... pełno ludzi, pełno samochodów. Mamy wielkie szczęście – parkujemy na ostatnim możliwym do zaparkowania miejscu i odziani w czapki i grube polary maszerujemy w stronę jeziora. Spacerujemy najpierw wzdłuż jeziora, a potem, przechodząc przez mostek, docieramy na wzgórze, skąd widok jest przepiękny – na szczytach dostrzegamy 3 białe kozice górskie. Ze względu na dużą wysokość n.p.m. i rozrzedzone powietrze mamy trudności z oddychaniem, więc nie „bierzemy” żadnego konkretnego szlaku, tylko wałujemy się po okolicy. Zjeżdżając z gór, zaczynamy się rozglądać za kempingiem, ale wszystkie miejsca są już zajęte (15 USD/miejsce plus 5 USD opłata parkowa). Koniecznie chcemy rozpałcić dziś pożegnalne ognisko i upiec kiełbaski na patyku... ale cóż, dzień się jeszcze nie skończył, więc mamy trochę czasu, żeby coś fajnego znaleźć. Przed dojechaniem do Glenwood Springs zajeżdżamy do Whole Foods (Reed St, Basalt, CO 81621) w celu zakupienia kiełbasy na ognisko. Kiełbasy oczywiście nie mieli, zadowoliliśmy się jej zamiennikiem – o wdzięcznej nazwie „Kolbasa” – cokolwiek to znaczy, nie przypomina tego, co powinno. Jadąc autostradą (nr 70) na wschód, zjeżdżamy na wszystkie możliwe zjazdy, których nie ma tu za wiele, w poszukiwaniu jakiegoś fajnego miejsca na nocleg. Autostrada prowadzi wąskim kanionem, wijąc się wzdłuż rzeki Colorado. W rzeczy samej budujący ją inżynierowie naprawdę zrobili kawał dobrej roboty. Jadąc dalej na wschód, Mundek dostrzegł z autostrady dym ogniskowy – sztuk kilka i tablicę ze znacznikiem BLM – co oznaczało tylko jedno – jesteśmy uratowani. Zjeżdżamy w miejscowości **Gypsum** (zjazd 140), od razu odbijając w prawo na frontage road. Znajdujemy miejscóweczkę wśród zarośli i innych kempingowiczów. Rozpałamy nasze ostatnie wakacyjne ognisko, racząc się pseudokiełbaskami. (Gypsum Recreation Site 10 USD/noc, brak wody). Po niedługim czasie przychodzi do nas „nawiedzony” kaskader-motocyklista i pomimo naszej niechęci opowiada nam o swoich aktorskich wyczynach w Hollywood, dokąd właśnie się udaje. To straszne, ale nie potrafimy się go pozbyć, po

2 godzinach katowania chyba sam w końcu uznaje, że czas na niego i odjeżdża swoim motocyklem. Na dowidzenia obiecuje jeszcze, że przyśle nam bilety do Kalifornii na projekcję swojego filmu... Padamy okrutnie wymęczeni naszym rozmówcą.

Dzień 40

Wstajemy o świcie i ruszamy na największą wspinaczkę podczas naszego wyjazdu – musimy pokonać Góry Skaliste. „Mkniemy” 70. i myślimy, co by tu jeszcze wymyśleć po drodze... Patrzymy na mapę – **Breckenrigde** (zjazd 201) – stosunkowo niedaleko od autostrady... decyzja – zjeżdżamy! Miasteczko okazuje się bardzo miłym miejscem – troszkę snobistycznym, ale ma to tu swój urok. Otoczone jest ośnieżonymi trzy- i czterotysięcznikami. W Visitor Center (203 S Main St) znajdują się bardzo interesujące wystawy i eksponaty z epoki „gorączki złota” – naprawdę przygotowane z wielkim rozmachem. Później tuż przed budynkiem informacji Janek szaleje na placu zabaw, sypiąc się ze wszystkimi dziećmi piaskiem. Później dla odmiany próbuje pluskać się w rzece, ale ta okazuje się zbyt rwąca i w porę go przed tym ratujemy. Po głównej ulicy spacerują sobie rude lisy szukające okazji, żeby coś „świsnąć” (co śmieszne, nikt nie zwraca na nie uwagi). Żądni dalszych atrakcji jedziemy do High Line Railroad Park (189 Boreas Pass Road, wstęp bezpłatny), gdzie Janek aż skacze z radości, widząc stare lokomotywy typu „rotary snowplow”, czyli takie „pługi śnieżne”. Na zakończenie Munde i Jaś udają się jeszcze do restauracji „The Dredge” (180 Jefferson Ave) mieszczącej się w środku buldożera kopalnianego i tam na prowadzącym do niej mostku karmią pokruszoną bułką wielgachne karpie. Po tak miło spędzonym czasie nadeszła pora na powrót do autostrady i dalszą „wspinaczkę” aż do wysokości 3400 m n.p.m. Co to była za jazda... jechaliśmy poboczem, maksymalnie osiągając prędkość 5 mil/h. Nachylenie było tak duże i długie, że baliśmy się tylko, żeby nie zacząć jechać do tyłu... Zdenerwowani i niepewni czy uda nam się dotrzeć do przełęczy, mieliśmy przed oczami najgorsze z możliwych scenariusze. Kiedy w końcu ujrzeliliśmy w oddali Eisenhower Tunnel, emocje sięgnęły zenitu. Przejechaliśmy tunel i powoli zaczęliśmy staczać się w dół... emocje już opadły i czas było pomyśleć o noclegu. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze w **Georgetown** (zjazd 228) – malutkim, przytulnym miasteczku, które w zasadzie objeżdżamy autem i równoległą do autostrady drogą jedziemy dalej na wschód. Wjeżdżamy w szutrową drogę nr 261 (Mill Creek Road), prowadzącą do Arapaho – Roosevelt National Forest z nadzieją, że uda nam się znaleźć jakąś fajną miejscówkę. Tu jednak wszystko dookoła jest „private property”, a w miejscu, gdzie rozpoczyna się obszar należący do lasu federalnego, jest zakaz wjazdu. Porażka..., ale nie mając wiele czasu z powodu zapadającego zmroku, postanawiamy zaparkować na małym parkingu, skąd wychodzą szlaki turystyczne i tu spędzić noc. Gotujemy obiadokolację i idziemy na spacer nad rzekę.

Dzień 41

Wyjeżdżamy o świcie i zamiast wskoczyć od razu na autostradę, jedziemy równoległą do niej drogą do **Idaho Springs** na lody, które jemy na śniadanie. Ku naszej rozpaczy – jadąc dalej na wschód autostradą – zamiast zjeżdżać w dół, musimy się znowu powspinać... i znowu poboczem pełzniemy jak ślimak... aż tu nagle mija nas, trąbiąc przyjacielsko – szybki jak torpeda – taki sam Rv-ik jak nasz... O co tu chodzi??? Chyba niezłe podrasowany, skoro pędzi jak błyskawica... cóż pozazdrościć tylko. Dojeżdżamy w końcu do Denver i od tego momentu krajobrazy nabrały charakteru nudy i bezna-

dziejności. Płasko, brzydko i śmierdząco, a do tego przeraźliwie gorąco – i tak prawie do samego Chicago. Jedyłą atrakcją w Colorado (na drodze nr 36) jest kilkusetne stado pasących się bizonów (pomiędzy Horrogate Rd i Rector – Leader Rd) i tor wyścigowy, gdzie śmiga sobie mała wyścigoweczka. Nie ma nawet gdzie się zatrzymać, żeby odpocząć. W Anton – na przedpotopowej stacji benzynowej tankujemy podejrzone paliwo, a rachunek, który daje nam obsługujący ją pan, opiewa na zupełnie inną kwotę niż w rzeczywistości płacimy. Sytuacja zmienia się znacząco po przekroczeniu granicy z **Kansas** – tu w zasadzie w każdym miasteczku znajduje się „picnic area”, gdzie można odpocząć w cieniu drzew. Padamy spać gdzieś w połowie stanu.

Dzień 42

Wyspać się niestety nie możemy. O 4.30 rano budzi nas burza... Pioruny strzelają dosłownie co 3 sekundy. Wygląda to nieciekawie i mamy obawy, czy przypadkiem nie kierujemy się gdzieś, gdzie akurat będzie szalało tornado, które jest częstym gościem na terenach środkowych stanów. Im dalej jedziemy 36., tym bardziej robi się zielono i pachnąco. O dziwo – w powietrzu unosi się zapach ziół. Całkiem przyjemna droga. Dobijamy do Saint Joseph i wjeżdżamy do **Missouri**. Miasteczko zaniedbane niesamowicie – choć bogate w historię, to nie zachęca do zwiedzania. Chłopaki wyskakują tylko na chwilę obejrzeć z bliska lokomotywę ustawioną w Patee Park. I tak sobie jedziemy przez to Missouri prawie 200 mil, aż dojeżdżamy do miasta **Hannibal** – miasteczka, gdzie dzieciństwo spędził Mark Twain (autor książki „Przygody Tomka Sawyer’a”). Tu zatrzymujemy się na dłużej. Mnóstwo zabytkowych budynków w stanie rozkładu, walące się dachy, popękane mury – jednym słowem, miejsce to potrzebuje poważnych inwestycji i jeśli takowe będą – stanie się ono „perełką turystyczną”. Urzeka nas jego specyficzny klimat i „zapach” historii. Wdrapujemy się na wał przeciwpowodziowy, bo słyszymy sygnał nadjeżdżającego pociągu, a Jasiek nie przepuści żadnej okazji, żeby zobaczyć lokomotywę i wagony. Służą są opuszczone, broniąc miasto przed wodą znajdującą się za nimi. Pociąg jedzie w zasadzie po wodzie, która jeszcze nie opadła po prawdopodobnie niedawnej powodzi rzeki Missisipi. Maszynista trąbi do nas przyjaźnie, a Janek z radości skacze i krzyczy. Spacerujemy jeszcze po miejscach pamięci Twaina i wracamy do auta. Robimy sobie rundkę po miasteczku i dopiero teraz widzimy żaloszny stan większości budynków. Pomimo ruder, jakie mijamy, zgodnie uznajemy, że Hannibal ma swój klimat i jest godne odwiedzenia. Przejeżdżamy most i jesteśmy już w Illinois. Tu po przejechaniu kilku mil widzimy nieprzyjemny obrazek – wielkie silosy powgniatanane jak puszeki – ślad po tornadzie..., niewiarygodne jak wielka musiała być to siła, żeby powyginać tak solidne konstrukcje. Nie chcąc jechać autostradą 72, zjeżdżamy na drogę nr 100 (zjazd 46) i już po ciemku jedziemy wzdłuż rzeki Illinois. Oblepiają nas jakieś paskudne robactwa – pochodzące najprawdopodobniej z bagiennych okolic rzeki. Nasza mało dokładna mapa „nabiera” nas kilka razy – próbujemy znaleźć „rest area”, ale ani jednej nie możemy zlokalizować w terenie. Padamy w końcu na parking u Beardstown przy McDonaldzie.

Dzień 43

Po nieprzyjemnej nocy w nieprzyjemnym miejscu zbieramy się czym prędzej i jedziemy dalej 100. w kierunku **Peoria**. Na naszej drodze znajduje się **Dickson Mounds Museum** (niedaleko Lewistown, wstęp bezpłatny), leżące na terenie parku stanowego o tej samej nazwie. Muzeum poświęcone jest życiu Indian w dolinie rzeki Illinois,

ma dużo wystaw archeologicznych, dużo informacji historycznych i obejrzenie tego wszystkiego zajęłoby nam zapewne cały dzień. Z powodu nie działającej klimatyzacji nie da się jednak zbyt długo wytrzymać we wnętrzu i po 2 godzinach konieczna jest ewakuacja. Przejeżdżamy przez Peoria – miasto otoczone ruderami i wysypiskami starych samochodów, w naszej opinii. Okropny to widok. Samo centrum jest przyjemne, ale z powodu wysokiej temperatury i wilgotności oraz naszego zmęczenia drogą powrotną nie decydujemy się na jego zwiedzanie. Chcemy jak najszybciej dojechać do Chicago, ale niestety droga powrotna przeciąga się z powodu burzy i ulewnych deszczy, które powodują liczne przecieki naszej „kabinki”. W końcu jednak docieramy do miejsca przeznaczenia, kończąc tym samym 43-dniową wycieczkę pełną wrażeń i niezapomnianych chwil. I chociaż nasz plan podróży uległ znacznej zmianie z powodu awarii samochodu, to i tak udało nam się wszystko znakomicie zorganizować i odkryć wiele „kosmicznych” miejsc. A za rok lub dwa być może dojedziemy do wybrzeża Pacyfiku i poprujemy sławną „jedyneką” przez Oregon aż po Washington.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Najwięcej wulkanów na świecie znajduje się w Indonezji.

Meksyk – danie główne, Gwatemala i Belize jako deser



Termin podróży: 15 kwietnia – 8 maja 2013 roku.

Trasa podróży: Kraków – Frankfurt – Cancun – Mexico City – Oaxaca – Monte Alban – Mitla – San Cristobal de las Casas – San Juan de Chamula – Palenque – Flores – Tikal – Belize City – Caye Caulker – Merida – Valladolid – Uxmal – Chichen Itza – Tulum – Playa del Carmen – Cancun – Frankfurt – Kraków.

Przegląd: Kraków – Cancun – Kraków (przez Frankfurt – LOT+Condor) 2400 zł/os.
Cancun – Mexico City (Volaris) – 104 USD/os.

Uwaga: Ceny noclegów poniżej podane dotyczą zawsze pokoju dwuosobowego.

Waluta:

Meksyk – peso (\$), wymienialiśmy najczęściej po kursie 100 USD = 1165 \$,
Gwatemala – quetzal (GTQ), 100 USD = 772 GTQ,
Belize – dolar belizeński, sztywny kurs 1 USD = 2 dolary Belize (BZ \$).

RELACJA Z PODRÓŻY

15 kwietnia. Wylot z Polski do Mexico City

Naszą podróż rozpoczęliśmy w Krakowie, skąd o 8.25 mieliśmy lot do Frankfurtu. Po wylądowaniu tam mieliśmy 3 godziny do odlotu naszego samolotu do Cancun, co na tak wielkim lotnisku nie jest czasem zbyt długim. Lot do Cancun (11,5 h) przebiegał spokojnie, choć nie mieliśmy miejsc przy oknie, to nie narzekaliśmy, umilając sobie czas m.in. drineczkami z jakiejś rosyjskiej wódki serwowanej bezpłatnie przez stewardesy. Do Cancun zgodnie z planem przybyliśmy ok. godziny 18.15 lokalnego czasu. Niestety nie był to jeszcze koniec lotów na ten dzień, ponieważ jeszcze lokalną meksykańską linią Volaris lecieliśmy o 21.00 do Mexico City, gdzie przybyliśmy praktycznie o północy. W Meksyku przy odprawie paszportowej każdy podróżny jest zobowiązany kliknąć w obecności celnika przycisk. Zielona lampka oznacza wolną drogę, czerwona natomiast skutkuje dokładną kontrolą bagażu. My mieliśmy szczęście i mogliśmy bez przeszkód opuścić lotnisko. Po dość niskim kursie 1 USD = 9,9 \$ rozmienniliśmy pierwsze 120 dolarów, aby mieć pieniądze na taksówkę. Nie mając już sił na targowanie się

w jednym z licznych okienek oferujących usługi taxi, zamówiliśmy przejazd do uprzednio zarezerwowanego hotelu Mexico City Hostel za 310 \$ (można zdecydowanie taniej). Do łóżka bardzo zmęczeni położyliśmy się ok. 1.00 w nocy.

Nocleg: Mexico City Hostel (<http://www.mexicocityhostel.com>), República de Brasil 8 Col. Centro Histórico, México D.F. 400 \$ pokój dwuosobowy bez łazienki.

16 kwietnia. Mexico City

Już ok. 8.00 rano wstaliśmy i udaliśmy się na dość obfite śniadanie oferowane w cenie noclegu przez hostel. Następnie – jak to mamy w zwyczaju – rozpoczęliśmy ostre zwiedzanie ☺. Pierwszym punktem na naszej trasie było odległa od Mexico City o 50 km dawna stolica państwa Azteków Teotihuacán. Dostać się tam można na kilka sposobów, my udaliśmy się metrem na stację Indios Verdes (linia 3), a następnie należy udać się na stanowisko autobusowe oznaczone literą „J”, skąd bardzo często odjeżdżają autobusy do Teotihuacán oznaczone napisem „Piramides” (40 \$ w jedną stronę). Bilet wstępu do ruin kosztuje 57 \$/os., warto też zakupić wcześniej sobie odpowiednią ilość wody oraz zadbać o ochronę przed słońcem, bo na terenie kompleksu trudno znaleźć ocienione miejsce. W ruinach Teotihuacán, maszerując centralnie zlokalizowaną Drogą Zmarłych, podziwialiśmy budowle Azteków, spośród których na pierwszy plan wysuwają się Piramida Słońca (trzecia pod względem wysokości na świecie) oraz Piramida Księżycy.

Wracając autobusem do Mexico City, spotkała nas rewizja osobista. Jako że byliśmy jedynymi turystami w tym lokalnym środku komunikacji, policjanci zajrzeli nawet do pudełka zapalek, szukając sam nie wiem czego...

Po obiedzie (quesillada z kurczakiem 18 \$, tacos z mięsem i serem 28 \$, coca-cola 1l 13,5 \$) udaliśmy się do bazyliki MB z Guadalupe. Ponoć jest to największe sanktuarium maryjne na świecie pod względem liczby odwiedzających to miejsce pielgrzymów. Można tam zobaczyć m.in. starą i nową bazylikę, gdzie znajduje się łaskami słynący płaszcz Indianina Juana Diego z odbiciem Maryi, która jak mówi legenda mu się ukazała. Można także wstąpić do niewielkiego muzeum (5 \$), w którym znajdziemy m.in. liczne wota. Kupiliśmy tam dla naszych rodziców i dla nas obrazki na ścianę z wizerunkiem MB z Guadalupe po 20 \$ za sztukę.

Wieczorem kupiliśmy jeszcze bilety na kolejny dzień na przejazd autobusem I klasy do Oaxaca za 474 \$/os.

17 kwietnia. Mexico City

Wczesna pobudka o 7.30, jajecznicza hotelowa na śniadanie no i kolejny dzień zwiedzania. Rozpoczęliśmy od Zocalo, czyli głównego placu, przy którym znajduje się między innymi katedra Metropolitalna – największy kościół w Ameryce Łacińskiej. Następnie udaliśmy się na Torre Latinoamericana – onegdaj najwyższy budynek w Ameryce Łacińskiej, ale i tak z wieży o wysokości 139 metrów rozciąga się wspaniały widok na Mexico City. Bilet kosztuje 70 \$, ale przy jego zakupie otrzymuje się opaskę na rękę, która uprawnia do wejścia przez cały dzień, z czego zamierzaliśmy skrzętnie skorzystać. Następnie udaliśmy się z powrotem na Zocalo, gdzie z boku znajduje się Templo Mayor – pozostałości najstarszej świątyni Azteków (wstęp 57 \$ obejmujący również muzeum). Kolejnym punktem było Muzeum Antropologiczne, prezentujące zwyczaje, kulturę i inne ciekawostki związane z ludami zamieszkującymi terytorium Meksyku (wstęp 57 \$). Podjechalśmy metrem (3 \$) oraz colectivo (4 \$) w kierunku parku Cha-

pultepec, gdzie znajduje się ww. muzeum, a także szereg innych atrakcji, z których z powodu braku czasu musieliśmy zrezygnować. Wieczorem poszliśmy na Plac Garibaldi, który słynie z występów mariachi, czyli typowej meksykańskiej kapeli złożonej zazwyczaj ze skrzypka, trębacza, gitarzystów. Cena za występ różni się w zależności od ich składu, ale już za 100 \$ można liczyć na jedną piosenkę tylko dla siebie. Później, korzystając z całodobowego biletu, jeszcze raz poszliśmy na Torre Latinoamericana, aby zrobić zdjęcia Mexico City w blasku zachodzącego słońca. O 22.00 ruszyliśmy w dalszą drogę do Oaxaca.

18 kwietnia. Oaxaca, Mitla

Do Oaxaki przyjechaliśmy o 3.45. Jako że ta pora nie jest najlepsza na szukanie zakwaterowania, przeczekaliśmy na dworcu autobusowym do momentu aż na zewnątrz zrobiło się jasno. Taksówką podjechaliśmy na Zocalo (40 \$), w pobliżu którego znaleźliśmy przyzwoity nocleg za 400 \$. Po kąpieli udaliśmy się do okolicznych biur turystycznych w celu zakupu biletu na busik, który zawiózłby nas do Monte Alban. Zmieniliśmy jednak pierwotne plany i wykupiliśmy 9-godzinną wycieczkę po największych atrakcjach okolic Oaxaki. Za 200 \$ (wstępy dodatkowo płatne) od osoby zobaczyliśmy kolejno:

- arbol de Tule (20 \$) – ponoć najszerze drzewo świata o obwodzie 58 metrów,
- fabrykę tekstylii, w której dość szczegółowo pokazano nam cały proces wytwarzania arrasów metodami tradycyjnymi,
- Hierve del Agua (40 \$) – naturalne formacje skalne, które przypominają wodospad. Są tam też jeziora, w których otoczeni przez piękną scenerię zażyliśmy kąpieli,
- Mitla (42 \$) – ruiny miasta śmierci zbudowanego przez Misteków i Zapateków,
- fabrykę mezcalu, czyli tradycyjnej meksykańskiej wódki wytwarzanej z agawy – ten punkt programu najbardziej przypadł nam do gustu, bo oczywiście nie mogliśmy sobie odmówić degustacji wielu odmian smakowych mezcalu. Zakupiliśmy jedną małą buteleczkę mezcalu o smaku pistacjowym (250 ml za 80 \$).

Zmęczeni wróciliśmy, tak jak przewidywał program, o 19.00, zjedliśmy tylko z przydrożnej budki hamburgery z wołowiną (28 \$) i poszliśmy grzecznie spać.

19 kwietnia. Monte Alban, Oaxaca

Wstaliśmy wcześniej, bo o 6.30. Wykwaterowaliśmy się z hotelu i poszliśmy zamówić bus do Monte Alban (45 \$ w obie strony). Przed odjazdem zdążyliśmy zjeść śniadanie: quesadilla, bisteco de Mexiana, 2 soki pomarańczowe za 90 \$. Bilet wstępu do Monte Alban kosztuje 57 \$, ale warto jeszcze w mieście kupić wodę, bo na miejscu jest dostępna wyłącznie w restauracji, która jest otwierana dość późno i jeszcze ma dość wysokie ceny. W sklepiu z pamiątkami kupiliśmy również notes z czerpanego papieru (125 \$), w którym tradycyjnie spisujemy relację. Po powrocie do Oaxaki zafundowaliśmy sobie obiad: mała pizza + frytki i mały napój za 69 \$ oraz 3 tacos za 27 \$. Popołudnie spędziliśmy na zwiedzaniu kościołów. Rozpoczęliśmy od katedry zlokalizowanej przy Zocalo, następnie odwiedziliśmy Basilica de Nuestra Señora de la Soledad, która jest jedną z najważniejszych świątyń w Oaxace. Przy bazylice tej radzimy skosztować lodów, które należą ponoć do najsmaczniejszych w całym Meksyku. My spróbowaliśmy lodów o smaku mezcalu i kaktusa (25 \$ za porcję), ale można wybierać wśród dziesiątek nieraz egzotycznych smaków. Najpiękniejszym kościołem w Oaxace jest kościół Santo Domingo. Jest to przepięknie udekorowana świątynia z XVI wieku,

która zawiera m.in. drzewo genealogiczne dominikanów w kształcie winorośli, znajdujące się pod chórem. Nocnym autobusem udaliśmy się w dalszą długą drogę do San Cristobal de las Casas (bilet 467 \$/os.).

20 kwietnia. San Cristobal de las Casas, San Juan Chamula

Po nocnej podróży wiodącej głównie przez góry dotarliśmy nad ranem do San Cristobal de las Casas. Z dworca autobusowego wzięliśmy taksówkę (30 \$) do zamówionego dzień wcześniej hostelu Le Gite del Sol (<http://www.legitedelsol.com/> – 461 \$ za 2 noce). Po śniadaniu (jajecznica, tosty z dżemem, kawa, sok – 60 \$) pojechalismy do indiańskiej wioski San Juan Chamula. Najłatwiej można dostać się tam colectivo (miejscowy busik) za 12 \$/os. w jedną stronę. Wioska słynie głównie z nietypowego kościoła, w którym na podłodze leży mnóstwo igliwia i palą się setki świec. Choć formalnie kościół jest chrześcijański, to ze znanych nam obrzędów odbywają się tam wyłącznie chrzty. Na centralnym miejscu ołtarza jest wizerunek Jana Chrzciciela, natomiast krucyfiks z Jezusem jest umieszczony z boku. W większości jednak mieszkańcy wioski przychodzą tam ze swoimi problemami, a miejscowi szamani odprawiają ceremoniał, który ma je rozwiązać. W tym celu zazwyczaj przynosi się w darze żywą kurę, której po odprawieniu przez szamana obrzędów ukręca się łeb, miejscowy alkohol posh oraz coca-colę. Również byliśmy świadkami tych rytuałów, a nawet prowadząca go szamanka zaproponowała wypicie kielicha poshu, z czego skrzętnie skorzystalismy. Wstęp kosztuje 20 \$, a bilety można nabyć w budynku ratusza po prawej stronie rynku, patrząc w stronę kościoła. Należy również pamiętać, iż obowiązuje tam kategoriyczny zakaz robienia zdjęć, a za jego złamanie grozi wysoka kara, a słyszeliśmy, że zdarzały się nawet przypadki pobicia.

Po powrocie do San Cristobal de las Casas zwiedziliśmy jeszcze 2 inne kościoły (tym razem już normalne), położone na dwóch przeciwległych krańcach miasta. Warto się do nich udać głównie z powodu rozpościerających się widoków na całe miasto, ponieważ oba kościoły zlokalizowane są na wzgórzach. W centrum miasta zajrzeliśmy jeszcze do katedry, gdzie byliśmy akurat świadkami meksykańskiego ślubu.

Na obiad tacos (6 \$ za szt.), deser – lody 10 \$. Kupiliśmy również pocztówki do wysłania do Polski za 6 \$/szt.

21 kwietnia. San Cristobal de las Casas

Po śniadaniu udaliśmy się na zakupioną dzień wcześniej wycieczkę do kanionu Sumidero (250 \$/os.). Busik zabrał nas z hostelu, i dowiózł na miejsce startu trwającego ok. 2,5 godz. rejsu rzeką Grijalva, która płynie dnem wspomnianego kanionu. Podczas rejsu zobaczyliśmy m.in. parę krokodyli, kapliczkę z wizerunkiem MB z Guadalupe, stada ptaków. Wykupiona wycieczka obejmowała również wizytę w miasteczku Chiapa de Corso.

Obiad zjedzony już po powrocie w San Cristobal de las Casas obejmował tym razem burito pastor (35 \$), wersja z serem kosztowała 5 \$ więcej. Jako że wizyta na wodzie wzmogła nasz głód, zjedliśmy jeszcze parę różnych taco (pollo, pastor, con queso za 6–10 \$ za sztukę). Wieczorem kupiliśmy jeszcze piwo Victoria 1,2 l za 24 \$ oraz w naszym hostelu przejazd w kolejnym dniu do Palenque obejmujący po drodze zwiedzanie wodospadów Agua Azul oraz Mihol-ha (300 \$/os.).

22 kwietnia. Agua Azul, Mihol-ha, Palenque

Nasza podróż do Palenque rozpoczęła się o 6.00 rano. Zamiast śniadania dostaliśmy z naszego hotelu jabłko, banana oraz soczek. Po ok. 3 godzinach dotarliśmy do

pierwszego punktu programu, a mianowicie wodospadu Agua Azul. Spędziliśmy tak ok. 1,5 godz., my skusiliśmy się podejść w górę wodospadu, gdzie żądano dodatkowej opłaty w wysokości 25 \$/os. – urwaliśmy z tej ceny po 5 \$. Zażyliśmy tam kąpiele w turkusowej wodzie, która jednakże za ciepła nie była. Po kąpeli zjedliśmy 10 szt. empañadas (20 \$). Następnie udaliśmy się do wodospadu Mihol-ha, który może nie jest tak spektakularny jak Agua Azul, ale też ma swój urok. Można tam przejść pod kaskadą spadającej wody oraz wejść za dodatkową opłatą (10 \$) do grotty znajdującej się z tyłu wodospadu. Ok. 15.00 dotarliśmy do Palenque, gdzie kierowca na naszą prośbę wysadził nas przy kompleksie El Pachan, w którym zamierzaliśmy nocować. Reszta wycieczki udała się jeszcze na zwiedzanie ruin w Palenque, z czego my świadomie zrezygnowaliśmy, chcąc udać się tam następnego dnia z rana, aby spokojnie we własnym tempie poznać to miejsce. Nocleg znaleźliśmy w jednym z domków wchodzących w skład El Jaguar (<http://www.elpanchan.com/eljaguar.html>) za 230 \$ za noc. W kompleksie oprócz miejsc noclegowych znajduje się jeszcze parę knajpek, ale niestety nie ma żadnego miejsca, gdzie można by wymienić pieniądze. Więc w tym celu udaliśmy się do centrum Palenque (ok. 5 km – colectivo 20 \$), gdzie przy okazji zjedliśmy obiad (10 tacos+cola za 88 \$). Skusiła nas też lokalna piwiarnia, gdzie wypiliśmy duże piwo (1,2 l za 25 \$), ale po słowach miejscowego pijaczka, który stwierdził, że z nim to żaden problem, ale inne osoby to bandyci, w miarę szybko ulotniliśmy się z tego przybytku. Wieczorem w El Pachan skorzystaliśmy z promocji i wypiliśmy parę drinków Tequila Sunrise (2 za 50 \$) oraz zjedliśmy pizzę (85 \$).

23 kwietnia. Palenque

Z samego rana udaliśmy się do ruin w Palenque (wstęp 57 \$). Przed wejściem do kompleksu zjedliśmy jeszcze na śniadanie kurczaka z ryżem (35 \$). Do najważniejszych budowli w kompleksie należy El Palacio – zespół kilku połączonych budowli stanowiących kompleks administracyjno-mieszkalny oraz Templo de las Inscripciones – ośmipiętrowa piramida, kryjąca m.in. grobowiec króla Pakala. Całość jest przepięknie położona w dżungli i robi duże wrażenie. Później spacerkiem udaliśmy się do El Pachan, gdzie w nagrodę za kilkugodzinne zwiedzanie kupiliśmy sobie piwo Corona (1,2 l za 35 \$). Na obiad zjedliśmy po pizzy (80 \$ za szt.). Wieczorem udaliśmy się na tradycyjne promocyjne drinki, tym razem Piñacolada (2 za 50 \$). W recepcji naszego hostelu wykupiliśmy przejazd następnego dnia do Flores w Gwatemali za 350 \$/os.

24 kwietnia. Przejazd do Flores (Gwatemala)

O godz. 6.00 przyjechał po nas busik, którym jechaliśmy ok. 3 godz. do granicy meksykańsko-gwatemalskiej w miejscowości Frontera Corozal. Tam niestety musieliśmy zapłacić po 295 \$ opłaty wyjazdowej. Gdy opuszcza się terytorium Meksyku drogą lotniczą, jest ona w większości przypadków uwzględniona już w cenie biletu lotniczego, natomiast gdy tak jak my przekraczamy granicę lądową, opłatę należy uiścić. Następnie udaliśmy się na przystań, gdzie już czekała łódka, która miała nas przewieźć na stronę gwatemalską. Jako że przystań znajduje się na terenie parku narodowego, należy również uiścić opłatę za wejście na jego teren w wysokości 15 \$. Po półgodzinnym rejsie dotarliśmy do Gwatemali, gdzie czekał już na nas zdezelowany autobus, który miał nas dowieźć na miejsce docelowe, czyli do Flores. Po ok. 4 km od rzeki zatrzymaliśmy się na posterunku granicznym, gdzie nieoficjalnie celnicy pobierają 5 \$ od paszportu za wbiecie pieczętki wjazdowej. My wyhandlowaliśmy 5 \$ za 2 paszporty. Przed

samym Flores do busa wskoczył jakiś pośrednik sprzedający przejazdy do Tikal i do Belize. Jak się okazało, ceny miał identyczne jak obowiązujące w agencjach turystycznych we Flores. Można więc bez obaw wszystko kupić u niego, zresztą my tak też zrobiliśmy. Przejazd do Tikal kosztował 80 GTQ/os. a przejazd do Belize City 160 GTQ/os. Bus zawiózł nas do wyszukanego uprzednio hotelu Mirador de Lago. Pokój z łazienką, wiatrakiem, balkonem z widokiem na jezioro Peten Itza kosztował 130 GTQ.

Po odświeżeniu się w pokoju wyruszyliśmy na krótkie rozpoznanie. Wstąpiliśmy do knajpki na piwo (0,33 l Gallo za 12 GTQ), w której akurat transmitowany był mecz Borussia Dortmund z Realem Madryt. Grupa Niemców, która również śledziła ten mecz, w momencie jak się dowiedziała że jesteśmy z Polski, pogratulowała nam takiego zawodnika jak Lewandowski, który strzelił akurat w tym meczu wszystkie 4 bramki dla swojej drużyny.

Na obiad zjedliśmy burrito z kurczakiem za 35 GTQ, później oddaliśmy jeszcze brudne ubrania do prania (30 GTQ). Kupiliśmy pocztówki (3 GTQ) oraz tradycyjne magnesy dla naszych rodziców (50 GTQ).

25 kwietnia. Tikal

Już o godzinie 4.30 miał po nas przyjechać bus, który miał nas zawieźć do Tikal. Troszkę się spóźnił, ale i tak do samego Tikal dotarliśmy praktycznie na samo jego otwarcie. Wstęp tutaj kosztował 150 GTQ/os. To miasto Majów zostało założone w III wieku, a jego największy rozkwit przypadał na VII-VIII wiek. Według nas były to chyba najładniejsze ruiny spośród tych, które zwiedziliśmy podczas całego naszego wyjazdu. Spokojne zwiedzanie zajęło nam 5 godzin, a można by spędzić tam chyba jeszcze więcej czasu. Warto pamiętać o wodzie (za 10 GTQ można w zależności od miejsca kupić wodę 0,5 l bądź też 1 l), która na pewno przyda się, aby ugasić pragnienie w panującej duchocie i wysokiej temperaturze. Na pamiątkę pobytu zakupiliśmy miniaturkę chyba najbardziej znanej świątyni z całego kompleksu, tj. świątyni Jagura (45 GTQ).

Po powrocie na Flores poszliśmy na obiad, tym razem do Burger Kinga. Za zestaw Whooper + Quesadillo dobre z frytkami i colą zapłaciliśmy 72,40 GTQ. W nagrodę za wysiłek kupiliśmy sobie jeszcze na deser olbrzymie lody (już nie w Burger Kingu) Banana Split za 19 GTQ.

Wieczorem wybraliśmy się jeszcze na spacer brzegiem jeziora Peten Itza. Gdy siedzieliśmy na pomoście i podziwialiśmy przepiękny zachód słońca, podszedł do nas miejscowy chłopak i tak po prostu poczęstował nas piwem, mówiąc, że dla niego to zaszczyt, że ktoś odwiedza Gwatemalę. Również inni miejscowi nawiązywali z nami miłe pogawędki, wypytując głównie o nasze wrażenia z pobytu w Gwatemali.

26 kwietnia. Przejazd do Caye Caulker przez Belize City

Busik, który miał nas zawieźć do Belize City, podjechał pod nasz hostel już o 5.00 rano. Cała trasa miała zająć nam 5 godzin. Po około 2,5 godz. dotarliśmy do granicy gwatemalsko-belizyjskiej. Celnicy gwatemalscy, pomimo że nie obowiązuje formalna opłata wyjazdowa, skasowali nas 5 USD za wbiecie pieczętek wyjazdowych do dwóch paszportów. Choć kurs oferowany na granicy nie należał do korzystnych (40 GTQ = 10 BZ \$), pozbyliśmy się reszty quetzali, ponieważ na nic by się nam już nie przydały. Ok. 11.00 dotarliśmy do Belize City – byłej stolicy tego małego państwa. Stamtąd na wyspę Caye Caulker, gdzie chcieliśmy się dostać, kursują 2 korporacje wodne: Caye Caulker Water Taxi Association oraz San Pedro Express. My skorzystaliśmy z tej drugiej

firmy, ale tylko dlatego, że już na granicy dorwał nas jakiś ich przedstawiciel i wręczył kupony, dzięki którym rejs kosztował nas połowę ceny (9 BZ \$/os.). Jeszcze w Belize City kupiliśmy tradycyjne magnesy na lodówkę dla rodziców (6 BZ \$/szt.). Po dotarciu na wyspę trochę czasu zajęło nam znalezienie jakiegoś lokum mieszczącego się w naszym budżecie. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na hotel M & N Hotel (<http://www.aguallos.com/mandnhotel/>), w którym za pokój bez łazienki (ale była tuż obok) zapłaciliśmy 40 BZ \$/dobę. Po zakwaterowaniu poszliśmy na obiad z poznanym jeszcze w Meksyku polskim małżeństwem. Za rybę z ryżem, sałatkami i coca-colę zapłaciliśmy 19 BZ \$ wraz z podatkiem w wysokości 12,5%, który był automatycznie nam naliczony. Później już do wieczora spokojnie spędzanie czasu nad wodą, bo warto zaznaczyć, iż plaży jako takiej w Caye Caulker właściwie nie ma. Jest tylko kawałek miejsca z piaskiem, które z biedą można uznać za plażę. Pobyt na plaży uprzyjemnialiśmy sobie, pijąc piwo Belkin (0,3 l za 3,5 BZ \$). Przed snem kupiliśmy sobie jeszcze do przegryzienia tacy z wołowiną (3 szt. za 5 BZ \$) oraz wodę 0,5 l za 1 BZ \$.

27 kwietnia. Caye Caulker

Wstaliśmy na spokojnie bez budzika ok. 8.00. Na śniadanie zjedliśmy jajecznicę z bekonem (6 BZ \$) oraz naleśnik bananowy (3 BZ \$). Później poszliśmy na plażę. Po paru godzinach postanowiliśmy zrobić sobie spokojny spacerok po wyspie. Zahaczyliśmy m.in. o cementarz, gdzie jeden miejscowy po krótkiej pogawędce z nami stwierdził, że na pewno jesteście z Polski bądź Czech. Na nasze zdziwione miny i pytanie jak to rozpoznał, stwierdził, że po akcencie. Akcent ów ponoć zna dobrze, bo rzekomo dużo Polaków i Czechów odwiedza Caye Caulker. Ciekawe, nieprawdaz? Później z powodu deszczu schowaliśmy się w naszym pokoju. Późnym popołudniem zjedliśmy na obiad u Chińczyka chickenburger z frytkami za 12 BZ \$. Po obiedzie skosztowaliśmy kolejnego piwa belizeńskiego, a mianowicie piwo Lighthouse. Objętość jeszcze mniejsza – 275 ml za 3 BZ \$. Jako że powoli nudziło się nam na tej wyspie, a ceny też nie były najniższe, postanowiliśmy skrócić tutaj nasz pobyt. Kupiliśmy więc bilety na rejs do Belize City, który tym razem kosztował nas aż 20 BZ \$/os. Jeśli ktoś, udając się na Caye Caulker, wie, że będzie wracał również łodzią do Belize City, to warto kupić od razu bilet powrotny – wychodzi znacznie taniej, biorąc pod uwagę użycie kuponu otrzymanego na granicy, który obniża ceny o połowę. My rozważaliśmy wcześniej płynięcie łodzią z Caye Caulker do meksykańskiego Chetumal, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się na powrót do Belize City, a stamtąd bezpośrednim nocnym autobusem do Meridy (uwaga: kursuje tylko w niektórych dni tygodnia).

28 kwietnia. Caye Caulkerer

Kolejny leniwy dzień, wstaliśmy dość późno, o 10.30 wykwaterowaliśmy się z pokoju. Praktycznie cały dzień upłynął nam na kąpeli w morzu. Ok. 15.00 poszliśmy na obiad (znowu chińska knajpa), przebraliśmy się i udaliśmy się na przystań, skąd o 16.30 odpływała nasza łódź do Belize City. Po drodze kupiliśmy sobie na pamiątkę miniaturkę latarni morskiej z Caye Caulker (22 BZ \$). Z przystani w tym mieście najlepiej, biorąc pod uwagę jakieś podejrzane typki kręcące się wokół, wziąć taksówkę. Nas kosztowała ona 8 BZ \$. Na dalszą podróż kupiliśmy sobie wodę (1 l za 1 BZ \$) oraz 2 paczki ciastek (2 BZ \$). W samym Belize City można kupić bilet wyłącznie do Chetumal, który kosztuje 79 BZ \$, z czego 19 BZ \$ płaci się na miejscu, a resztę po przekroczeniu granicy. Osoby, które jadą do samej Meridy, choć nie zmieniają auto-

busu, bilet do Meridy nabywają w Chetumal, płacąc już w meksykańskim peso. Autobus do Meridy wyjechał z Belize City punktualnie o 19.00 i początkowo wiozł tylko nas i jednego innego mężczyznę. Ok. 23.00 dotarliśmy na granicę belizeńsko-meksykańską, gdzie musieliśmy zapłacić (tym razem oficjalną) opłatę wyjazdową w wysokości 37,5 BZ \$). W Meksyku na szczęście za wjazd nic od nas nie chciano. Ok. 5.00 rano dotarliśmy do Meridy.

29 kwietnia. Merida, Uxmal

Przyjechaliśmy o 5.00 rano na dworzec I klasy w Meridzie. W przewodniku wyczytaliśmy, że dworzec II klasy, skąd odjeżdżają autobusy do Uxmal, gdzie też chcieliśmy pojechać, jest niedaleko. Okazało się, że najbliższy autobus odjeżdża już o 6.00, a następny dopiero o 9.00 (jest tylko 5 autobusów na dzień). W związku z tym postanowiliśmy naprzeciwko dworca zjeść śniadanie, tortę (taka duża buła) z kurczakiem (30 \$), zostawić tam bagaże (15 \$ za 1 godz. za 2 plecaki) i pojechać do Uxmal tym pierwszym autobusem (bilet 47 \$/os.). Autobus do Uxmal jedzie 1,5 godz. Wejście do ruin otwierane jest o 8.00, więc musieliśmy chwilę poczekać, ale dzięki temu, że byliśmy tak wcześnie, w zasadzie całe ruiny mieliśmy wyłącznie dla siebie. Wstęp wyjątkowo drogi – 182 \$. Z ciekawszych budynków można wymienić m.in. Piramidę Czarownika, która, jak mówi legenda, została wzniesiona przez króla w jedną noc. Jest też tam tzw. Czworobok Zakonnic, czyli 4 budynki, w których ponoć osoby składane w ofierze swe ostatnie dni spędzały na rozpuście. Całość zwiedzaliśmy ok. 2 godz. Wszędzie można było zauważyć ogromne iguany, które jednak pomimo swego rozmiaru raczej się nas bały. Na przystanku byliśmy po 10.00, a jak się okazało, autobus do Meridy był dopiero o 12.30. Niestety, pomimo prób łapania stopa, musieliśmy czekać na autobus powrotny do Meridy, ponieważ nieliczne przejeżdżające tamtędy pojazdy ani myślały się zatrzymać. Do Meridy dotarliśmy ok. 14.00, później taxi na zocalo (40 \$) i poszukiwanie noclegu. Znaleźliśmy hotel, w którym duży pokój z wiatrakami kosztował nas 250 \$. Po kąpeli i mocnej kawie poszliśmy na pierwszy spacer po Meridzie i obiad. Zjedliśmy gorditas – takie kieszonki z ciasta wypełnione różnymi rodzajami mięsa – pycha (6 \$ za szt.). Później na rynku wypiliśmy 1,2 l piwa Sol za 26 \$ – to cena akceptowalna. Podszedł do nas wtedy sympatyczny Meksykanin, którego pierwotnym celem było zareklamowanie restauracji, ale w sumie w toku rozmowy przedstawił nam okoliczne atrakcje. Popołudniem zwiedziliśmy jeszcze m.in. katedrę San Ildefonso, w której znajduje się figura Chrystusa z pęcherzami. Figura ta, jak głosi legenda, na skutek uderzenia pioruna płonęła całą noc, by – choć drewniana – pokryć się jedynie pęcherzami. Zmęczeni już ok. 21.00 poszliśmy spać.

30 kwietnia. Merida, przejazd do Valladolid

Z samego rana wykwaterowaliśmy się z pokoju i, zostawiając bagaże na przechowanie, udaliśmy się do Muzeum Kolei w plenerze. Po drodze wysłaliśmy w końcu kartki do Polski (14 \$ za znaczek), które miały dojść po ok. 14 dniach i w sumie chyba tak doszły. Na miejscu okazało się, że chyba oficjalnie nie jest ono otwarte, ale strażnik nas wpuścił, pobierając opłatę 20 \$ od osoby. Pomimo, że lokomotywy tam zgromadzone były nadgryzione zębem czasu, to zwiedzanie sprawiło nam dużo frajdy, bo mogliśmy sobie bez żadnych ograniczeń poskakać po wszystkich lokomotywach i zajrzeć do każdego (oczywiście otwartego) zakamarka. Po wyjściu z muzeum, w jego pobliżu w przydrożnej budce na śniadanie, którego do tej pory nie jedliśmy, kupiliśmy sobie bułki

z kurczakiem i fantę (29 \$). Troszkę przesadziliśmy z sosami, więc w pierwszym napotkanym sklepie kupiliśmy puszkowe piwo Estrella (473 ml za 11,5 \$). Po drodze zobaczyliśmy fajny sklep z pamiątkami, gdzie kupiliśmy solniczkę i pieprzniczkę w kształcie Meksykanów w sombreroach (39 \$/szt.). Po odebraniu bagaży z hostelu poszliśmy w kierunku dworca, zjadając przy okazji obiad oraz kupując tradycyjne magnesy dla rodziców w kształcie sombrera (55 \$). O 14.00 wyjechaliliśmy autobusem II klasy do Valladolid (95 \$). Po 3,5 godz. podróży dotarliśmy na miejsce. Szukając hostelu, dosłownie z ulicy zgarnął nas człowiek, który chyba nieoficjalnie wynajmował pokoje, bo nie miały one żadnej nazwy. Ale za duży pokój wraz z przedpokojem, w którym była lodówka i telewizor, zapłaciliśmy tylko 190 \$ za noc. Pokręciliśmy się przy zocalo, zwiedziliśmy katedrę, wypiliśmy na rynku tradycyjne piwko i poszliśmy spać.

1 maja. Valladolid, Chichen Itza

Wstaliśmy wcześniej, bo już o 6.00 rano, aby jak najwcześniej zajechać do Chichen Itza (colectivo za 24 \$/os. w jedną stronę). Jest to najśłynniejszy i jak dotąd najbardziej odrestaurowany zabytek kultury Majów. Dotarliśmy tam przed 8.00 i w kasach byliśmy jedni z pierwszych. Dzięki temu mogliśmy na spokojnie, bez tłumy, zwiedzić cały kompleks i zrobić zdjęcia bez innych turystów w kadrze. Wstęp do tego cudu świata kosztuje 182 \$. Warto tam na pewno przyjechać przed 10.00, bo o tej porze docierają wycieczki zorganizowane z Cancun i robi się tłoczno. Symbolem całego kompleksu jest piramida El Castillo, zwana inaczej piramidą Kukulcana, na którą, niestety, nie da się już obecnie wejść. Można też zobaczyć najlepiej zachowane boisko do gry w pelotę z dwoma dużymi obręczami służącymi jako bramki. Ciekawym obiektem jest też „El Caracol”, czyli ślimak – wieża, która według badaczy mogła stanowić coś na kształt obserwatorium astronomicznego. Tutaj też chyba jest największy wybór pamiątek i choć mogłoby się wydawać, że w tak turystycznym miejscu jest drogo, to, używając umiejętności negocjacyjnych, można kupić pamiątki w przystępnych cenach. My kupiliśmy m.in.: maskę naścienną za 80 \$, dość dużą miniaturę piramidy Kukulcana do naszej kolekcji cudów świata (150 \$), dwie drewniane figury Meksykanów dla rodziców (240 \$ za obie). Po powrocie do Valladolid zjedliśmy obiad: ryż + gotowane jakieś mięso + zupa z fasoli (40 \$) oraz ¼ kurczaka z ryżem, tortillami i sosem (18 \$). Po obiedzie odkryliśmy, że w zasadzie w centrum miasta jest niewielki cenot Zaci, w którym można się wykąpać (wstęp 15 \$). Przed cenotem kupiliśmy jeszcze lody (10 \$), ale nie do końca je zjedliśmy, bo były polane jakąś ohydą soloną polewą. Wieczorem kupiliśmy jeszcze bluzkę na ramiączkach dla Beaty (30 \$). Dzień zakończyliśmy kolacją – tortami (takie duże były) z kurczakiem (13 \$ za szt.).

2 maja. Valladolid

Z samego rana po śniadaniu zjedzonym tradycyjnie w przydrożnej budce wzięliśmy za radą miejscowych taxi (nie mogliśmy znaleźć nigdzie colectivo), którym pojechaliliśmy do dwóch cenotów oddalonych od miasta o ok. 6 km (taxi za 60 \$). Cenoty Samula oraz X'keken (Dzitnup) należą do jednych z najbardziej malowniczych cenotów na Jukatanie (wstęp do każdego 57 \$). My poszliśmy najpierw do Samuli, i to był bardzo dobry wybór, bo przez 2 godziny cały przepięknie oświetlony cenot był tylko dla naszej dwójki. Następnie, przechodząc tylko przez drogę, zesliśmy wąskim tunelem do wielkiej, okrągło sklepionej groty, gdzie w sнопie światła słonecznego, padającym ze szczeliny w suficie lśniło kryształicznie czyste jeziorko w kolorze turkus. Cenot Dzit-

nup był już znacznie głębszy i tylko osoby umiejące dobrze pływać mogły zapuszczać się na jego środek. Ciekawy efekt w obu cenotach dawały też korzenie drzew spadające z góry aż do lustra wody. Wydostać się z powrotem do Valladolid nie było łatwo, ale zagadaliśmy do jednego faceta, który okazał się Amerykaninem, i pomimo lekkich obaw zabrał nas swoim samochodem za darmo z powrotem do miasta. Odpoczęliśmy trochę w pokoju, zjedliśmy połówkę kurczaka z ryżem (35 \$) i popiliśmy piwem Sol (puszka 473 ml – 14 \$).

Popołudniem odwiedziliśmy jeszcze najbardziej znany z kościołów w Valladolid, pochodzący z XVI w. Iglesia de San Bernardino de Siena. Za namową biletera sprzedającego bilety do przykościelnego muzeum, zwiedziliśmy je, ale szczerze przyznając, chyba nie warto wydawać w tym celu 30 \$/os. W drodze powrotnej zahaczyliśmy o dworzec autobusowy, gdzie kupiliśmy bilety na kolejny dzień do Tulum (79 \$/os.)

3 maja. Tulum

O 8.45 wyjechaliśmy do Tulum, po przyjeździe do tego miasta i wymianie w okolicznym banku ostatnich 150 USD (1 USD = 11,65 \$) wzięliśmy taksówkę do tzw. zony hotelera, czyli oddalonej o 6 kilometrów strefy, gdzie na plaży znajdują się wszystkie nadmorskie hotele. Nocleg znaleźliśmy w domkach Zazil-kin (<http://www.zazilkin-tulum.com/>). W cenie 450 \$ za dobę mieliśmy domek z łóżkiem, w którym prąd był wyłączony w godzinach od 18.00 do 6.00 rano. Toalety i prysznice były zlokalizowane w osobnych budynkach, ale za to właściwie mieszkaliśmy na plaży. Zakupy spożywcze warto zrobić w mieście, bo w zona hotelera, oprócz kilku przyhotelowych restauracji, nie ma niestety żadnego sklepu. Praktycznie cały dzień upłynął nam na plażowaniu. Na obiad zjedliśmy pizzę w restauracji Bella y Vita (155 \$ + woda 355 ml za 25 \$). Co do wody, to wszędzie półlitrowa butelka kosztowała 20 \$, tylko w barze Zazil-kin można było kupić 1 l za 15 \$. Wieczór uprzyjemnialiśmy sobie drinkami, kupowanymi w ramach promocji „happy hour” w cenie 50 \$ za dwa.

4 maja. Tulum

Dzień na luzie, więc wstaliśmy dopiero o godzinie 11.00. Udaliśmy się do ruin w Tulum, przepięknie położonych na klifie na brzegu morza (wstęp 57 \$). Poszliśmy tam spacerkiem, bo do głównego wejścia od naszego noclegu mieliśmy wyłącznie 1 km. Na stanowisko wchodzi się przez otwór w murze, otaczającym niegdyś miasto z trzech stron, czwartą chroniło morze. Ruiny nie należą może do największych, ale niewątpliwą atrakcją jest też plaża dostępna wyłącznie od strony ruin. Można sobie zrobić przerwę w zwiedzaniu i wykąpać się w morzu, z czego skwapliwie skorzystaliśmy. Po powrocie na miejsce naszego noclegu w restauracji na obiad zjedliśmy kurczaka z ryżem (+cola) za 115 \$. Później poszliśmy na plażę, gdzie byliśmy do 18.00. Następnie wróciliśmy do naszego domku, a od 20.00 ponownie skorzystaliśmy z promocyjnej ceny za drinki w naszym barze. Zagraлиśmy również kilka partyjek bilarda, który był dostępny za darmo dla gości hotelu Zazil-kin.

5 maja. Playa del Carmen

Wstaliśmy o 8.00, a dwie godziny później poszliśmy z plecakami w stronę głównej ulicy, skąd złapaliśmy taksówkę do miasta (50 \$). Tam zjedliśmy obfite śniadanie (2 duże tortas, 2 gardias, 0,5 l coca-coli, kawa z mlekiem) za 127 \$. Ceny w mieście znacznie bardziej przystępne niż w zona hotelera. O 11.30 mieliśmy autobus do Playa del Carmen (38 \$/os.). Na miejscu zobaczyliśmy 2 hotele polecane w Lonely Planet,

ale ich cena była wysoka, a standard słaby. Ostatecznie skorzystaliśmy z oferty nagiacza, który za 2 noce w hotelu La Casita chciał 700 \$. Pokój ogromny, blisko plaży, z wentylatorem, telewizorem i łazienką, więc na sam koniec podróży zafundowaliśmy sobie odrobinę luksusu. Poszliśmy na plażę, chcąc po drodze kupić piwo. Okazało się, że w Meksyku w niedzielę alkohol sprzedawany jest w godzinach 9.00–13.00. Ale choć już było parę minut po 13.00, dla Polaka kupno alkoholu pomimo zakazu to nic trudnego. Odpowiednia rozmowa w małym sklepiku skłoniła panią sprzedawczynię do sprzedania nam piwa. Choć oczywiście wszystko odbywało się w sekrecie, włącznie z przekazywaniem piwa na zaplecze wprost do plecaka. Proces ten jeszcze parokrotnie powtarzaliśmy tego dnia. Beacie brakło papierosów, więc kupiła Marlboro – paczka za 42 \$, czyli cena podobna jak u nas. Po plażowaniu zjedliśmy obiadokolację w postaci torty z salami i serem oraz torty z kurczakiem (odpowiednio 45 i 40 \$).

6 maja. Playa del Carmen

Na śniadanie chcieliśmy zjeść coś z przydrożnej budki, w której stołują się Meksykanie. Oczywiście przy głównym deptaku w Playa del Carmen są tylko same drogie restauracje dedykowane dla turystów. Wystarczy jednak odejść z dwie przecznice od niego i przy wejściu na teren parku w Playa del Carmen znaleźliśmy pełno wózków z przepysznym jedzeniem. Na śniadanie zjedliśmy znowu po torcie z cochinitą (marynowana wieprzowina), które najbardziej trafiły nam do gustu. Później zrobiliśmy sobie rekonesans po sklepach, aby kupić jeszcze parę pamiątek. Kupiliśmy m.in. małe butelki tequili przystrojone w sombrero z dwoma kieliszkami (68,75 \$), świeczkę zapachową (50 \$), magnes-żabę (18,75 \$) oraz bluzkę dla Beaty za 112,5 \$. Udane zakupy uczciliśmy lodami (10 \$/szt.). Później poszliśmy jeszcze na plażę, choć dzień był już chłodniejszy i po wyjściu z wody nie było za ciepło. Na obiadokolację zjedliśmy w tych samych budkach co rano (ale co ważne, oferowany asortyment zmieniał się w zależności od pory dnia), tym razem tacos pastor. Wieczorem mieliśmy okazję zobaczyć jeszcze przedstawienie odbywające się przed pomnikiem przy plaży, a później wypiliśmy ostatnie nocne piwo na plaży, ponieważ był to nasz ostatni pełny dzień pobytu w Meksyku.

7 maja. Playa del Carmen, Wylot do Polski

Wstaliśmy o 8.00, poszliśmy na śniadanie tam, gdzie zwykle. Poszliśmy ostatni raz na plażę, aby pożegnać się z Morzem Karaibskim. Na koniec mieliśmy do czynienia z niemiłą sytuacją – tuż obok nas motorówka przywoziła nieprzytomnego starszego pana w stroju nurka. Jak już okazało się po powrocie do Polski, był to amerykański turysta, który już po nurkowaniu doznał ataku serca i niestety pomimo szybkiej reanimacji zmarł. Popołudniu wprost z Playa del Carmen udaliśmy się na lotnisko w Cancun (bilet 140 \$ – jedna godzina jazdy). Na lotnisku wypiliśmy pożegnalne piwo (dość drogie bo 18 zł w przeliczeniu). O godzinie 20.15 wylecieliśmy z Cancun. Co ważne, nikt od nas nie żądał żadnej opłaty wylotowej, ale z drugiej strony nie wbito nam też pieczętki wylotowej z Meksyku. Następnego dnia o 13.35 wylądowaliśmy we Frankfurcie. Stamtąd o 18.20 mieliśmy samolot do Krakowa. O godzinie 20.00 wylądowaliśmy ponownie po ponad 3 tygodniach na polskiej ziemi, skąd już odebrała nas rodzina i zawiozła do domu.

Nowa Zelandia czyli 6784 km samochodem



Termin: 24 lutego – 25 marca 2013 roku.

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek, Andrzej.

Trasa lotnicza: Warszawa – Praga (LOT), Praga – Seul, Seul – Auckland (Air Korean).

Trasa lądowa: Auckland – Rotorua – Taupo – Waitomo – New Plymouth – Palmerston North – Wellington – Port Picton – Bleinheim – Kaikoura – Christchurch – Dunedin – Invercargill – Bluff – Oban (Wyspa Stewarta) – Te Anau – Queenstown – Arrowtown – Fox Glacier – Port Picton – Napier – Whakatane – Auckland.

Koszty podróży: 4134 zł (samolot) + 7715 zł (2433 USD koszty własne na miejscu) = 11.849zł na osobę z pamiątkami. Cena biletu lotniczego jest bardzo wysoka, ale jest to przecież koniec świata i musi tyle kosztować.

Kursy walut: 1USD = 1,13 NZD. Jednostką walutową jest dolar nowozelandzki (NZD), który dzieli się na 100 centów.

Czas: + 12 h w stosunku do Polski, w zimie ta różnica wynosi +10 h.

Bezpieczeństwo: Turysta może czuć się w Nowej Zelandii bezpiecznie.

Wizy: Każdy z nas bez problemu otrzymał wizę na lotnisku.

Język: Angielski i maoryski

Pogoda: Zarówno na Wyspie Północnej, jak i Południowej temperatura oscylowała między 20–25°C. NZ jest na przemian słoneczna i deszczowa, sucha i wilgotna, tutaj trzeba być przygotowanym na wszystko.

Elektryczność: 230 V, należy mieć adapter, bo tutejsze wtyczki różnią się od europejskich.

Przewodniki: Nowa Zelandia z „Lonely Planet”, „National Geographic” i „Gazeta Wyborcza”.

Formalności wjazdowe: Już przy wsiadaniu do samolotu do Auckland dostaje się formularz wjazdowy i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pytania na tym formularzu. Zadeklarować należy przywóz: sprzętu turystycznego (jakiegokolwiek), jedzenia (jakiegokolwiek), butów trekkingowych, innych podobnych, o broni i rzeczach z oczywistych względów zabronionych nie trzeba wspominać, bo to jest logiczne. Jak

nie zadeklarujesz i cię złapią, to płacisz karę i masz sprawę przed sądem. Oglądają spody butów – masz błoto, zdejmujesz i dajesz do umycia, masz jedzenie... wyrzucasz, a jakbyś chciał przemyć, to zanim wyjdiesz z lotniska obwąchają cię pieski, które wszystko wyczują.

Koszyk podróznika: woda mineralna duża 2 NZD, coca-cola duża 3,50 NZD, sok pomarańczowy 4,99 NZD, lody 2 l 4,99 NZD, chleb 1,49 NZD, piwo od 3,50 NZD, wino od 9 NZD, papierosy 18 NZD, internet jest darmowy w bibliotekach do 30 min, kartka pocztowa 0,50 NZD, znaczek 1,90 NZD, 1 l benzyny 91 regular 2,20–2,30 NZD. Wszystkie ceny artykułów spożywczych można znaleźć na stronach supermarketów: www.shopcountdown.co.nz i www.pak'nsave.co.nz

RELACJA Z PODRÓŻY

24 lutego. Bytom – Warszawa

O godz. 10.00 jedziemy Polskim Busem za 5.50 zł/os. do Warszawy, by po 4,5 godz. dojechać na stację metra Wilanowska. Metrem podjeżdżamy do Ronda Wilsona, skąd odbiera nas kolega, a następnie udajemy się do niego na obiad. Czas mija nam na pogawędkach o podróżach.

Wieczorem pojechaliśmy do Mirka, naszego kompana wyprawy do NZ.

25 lutego. Warszawa – Praga

O godz. 2.30 pobudka, jedziemy na lotnisko. O godz. 6.00 mamy odlot do Pragi, by po 1 godz. dotrzeć na lotnisko im. Vaclava Havla. Tu czekamy do godziny 19.50 na kolejny samolot do Seulu. Jarek z Andrzejem pojechali do miasta pozwiedzać praską starówkę (autobusem nr 119 do centrum, potem 3 stacje metrem), a ja odsypiałam zwraną nockę i czytałam gazety. Na lotnisku jest fajnie zrobiona poczekalnia z wielkimi, zielonymi kanapami i poduchami, gdzie można odpocząć. Po odprawie zasiedliśmy w fotelach, by w 10 godz. dolecieć do stolicy Korei Południowej.

26 lutego. Seul – Auckland

O godz. 14.00 przylecieliśmy do Seulu (+8 godz. do Polski), i poczekaliśmy do godz. 17.30 na samolot do Auckland. Lotnisko jest ogromne, znajduje się tu bardzo duża strefa duty free, z wypasionymi sklepami. Na piętrze znajduje się sala relaksu, z kanapami i fotelami, gdzie czekamy na kolejny samolot. Można tu również skorzystać z darmowego Internetu i prysznic. Lot do Nowej Zelandii trwał 10,5 godz.

27 lutego. Auckland – Rotorua

Uff... W końcu po 22 godzinach lotów łącznie i ponad dwóch dniach na różnych lotniskach jesteśmy na końcu świata. Główne wrota Nowej Zelandii to International Air Port oddalony o 24 km na płd.-zach. od centrum Auckland. Jest to jeden z nielicznych krajów, do którego nie wolno wwozić żadnej żywności, owoców, nasion oraz wszelkich przedmiotów pochodzenia roślinnego i zwierzęcego. Za znalezienie przez celnika grozi najniższa z możliwych kar, 200 NZD. Mamy tu wreszcie słońce, którego nie widzieliśmy od około miesiąca. Mimo podróży samolotem z Europy, która trwała prawie dobę, nie trzeba przestawiać zegarka. Po prostu następuje przesunięcie w czasie dokładnie o pół doby. Z lotniska udaliśmy się do wypożyczalni samochodów „Usave Car – Truck Rentals”, gdzie wynajęliśmy Nissana Tiida za 1056 NZD/4os. z ubezpieczeniem. Wynajmu można dokonać za pomocą karty kredytowej lub debetowej.

Wynajęcie samochodu w NZ opłaca się już przy dwóch osobach, co daje większą niezależność i możliwość zjechaania z trasy chociażby 10 km do pobliskiego wodospadu czy punktu widokowego, a jest takich mnóstwo. Aby bezproblemowo jeździć po drogach nowozelandzkich należy w Polsce wyrobić międzynarodowe prawo jazdy, które kosztuje 35 zł. Warto również przywieźć z sobą nawigację samochodową, bo wypożyczenie jej kosztuje 60 NZD na miesiąc. Trochę się martwiliśmy, czy damy radę z ruchem lewostronnym, ale okazało się, że Andrzej szybko załapał i ruszyliśmy w drogę. Dopuszczalna prędkość na terenie niezabudowanym i zabudowanym to odpowiednio 100 km/godz. i 50 km/godz. Po 3 godz. byliśmy w Rotorua (jest to nieformalna stolica Maorysów). Tu znaleźliśmy hostel Downtown Backpackers za 52 NZD/2 os. za pokój z łóżkami piętrowymi. W mieście i okolicy powietrze jest silnie nasycone zapachem siarki. Poszliśmy zwiedzać miasteczko, m.in. Dom Zdrojowy, znany bardziej jako Tudor Towers, gdzie mężczyźni oddawali się pasjonującej grze w bule. Potem pojechaliliśmy z Andrzejem na „Maori Tamaki Concert”, czyli wieczór maoryski, gdzie za 85,5 NZD/os. uczestniczyliśmy w pokazie tradycyjnego tańca, walk, śpiewów, pływania pirogą Maorysów ubranych w tradycyjne stroje. Wszystko kończy się kolacją, na którą składają się upieczone w tradycyjny sposób kurczaki i wieprzowina. No cóż. Cena jest wygórowana, jak za taką atrakcją. Płaci się chyba za to, że można się najeść do syta dobrego jedzenia. Jednakże pokaz można zobaczyć w innych miejscach i niekoniecznie trzeba za niego płacić aż tak dużo.

28 lutego. Rotorua – Taupo

Rano pojechaliliśmy do rezerwatu Wai-O-Tapu (nazwa oznacza „święte wody”) wstęp 32,5 NZD/os. Jest to termalna dolina z gejzerami, gorącymi źródłami i bulgoczącymi błotami. Pod ziemią znajduje się cały system źródeł i źródełek wciąż podgrzewanych magmą pozostałą po ostatnich erupcjach. Temperatura wody pod ziemią sięga nawet 300°C. Wszędzie unosi się zapach siarkowodoru. Największe atrakcje to: Champagne Pool, Artist’s Palette, Terraces, wodospad Bridal Veil, podziemna grota termalna Rainbow Crater, gejzer Lady Knox, do tego plejada gorących jezior, źródeł, pól siarkowych, kraterów i bulgoczącego błota. Wycieczkę zaczyna się od obejrzenia pokazu gejzeru Lady Knox, który regularnie o godz. 10.15 wyrzuca 20 m słup wody i pary wodnej. Erupcja jest wywoływana poprzez wsypanie odpowiedniej ilości mydła do krateru, które pomaga podnieść wewnątrz ciśnienie. Najpierw wychodzi na środek placu przewodnik i opowiada o terenie, zasadach związanych z tektoniką, budową gejzeru, a następnie wsypuje mydło do otworu, aby po chwili zaczęła wydobywać się piana. Cały obszar można obejść w 2–3 godziny po wyznaczonym szlaku, zabezpieczonym barierkami. Teren jest bardzo aktywny geotermalnie i naprawdę w niektórych momentach niebezpieczny z uwagi na bulgoczącą gorącą wodę lub kwaśne jeziorka i opary. Jedno z jezior jest koloru wściekle zielonego i budzi chęć wrzucenia czegoś organicznego, aby sprawdzić stężenie i skuteczność kwasu. Kolory występujące w Wai-O-Tapu pozwalają na określenie składu osadów na danej skale czy też drzewie (kolor zielony – siarka, pomarańczowy – antymon, purpurowy – tlenek manganu, biały – krzemionka, czerwony – tlenek żelaza, czarny – tlenek węgla). Po obejrzeniu Wai-O-Tapu, pojechaliliśmy do Te Puia, wstęp 42,5 NZD/os., gdzie wszedł Andrzej z Jarkiem. Znajduje się tu czynny gejzer Pohutu. Wybucha kilka razy dziennie, wyrzucając fontanny gorącej wody, nawet do 20–30 m. Niedaleko gejzeru jest punkt widoko-

wy. Wokół jest pełno nacieków siarki, a idąc trochę dalej, można napotkać sadzawkę z bulgoczącym gorącym błotem. Znajdują się tu również piękne maoryskie rzeźby. My z Mirkiem obeszlśmy kawałek wzdłuż płotu i okazało się, że cały teren mamy jak na dłoni i spokojnie można porobić zdjęcia dymiącego gejzeru. Wielu turystów robiło tak jak my, kręcąc ze zdumienia głowami na zbyt wysokie ceny za taką atrakcję, w tej krainie pary, ognia i erupcji. Miejscowi od pokoleń używają wód termalnych do gotowania, prania, ogrzewania. Znajduje się tu również jedyne na świecie pole golfowe z pułapkami i przeszkodami w postaci bulgoczących błotnych jezior. Można nawet powiedzieć, że stąd jest bliżej do piekła niż do domu... Następnie pojechaliśmy do Taupo, zatrzymując się jeszcze po drodze przy wodospadzie Huka, który, płynąc wąskim wąwozem rzeki Waikato, z całą siłą rzuca się w dół 12-metrowego uskoku. W każdej sekundzie spada tu tyle wody, ile wystarczyłoby do wypełnienia dwóch basenów olimpijskich. Zatrzymaliśmy się w „Silver Fern Lodge” za 25 NZD/os. Tu postanowiliśmy, że zrobimy składkę na paliwo i jedzenie, a ja będę gotowała dla wszystkich obiady. Okazało się, że prawie większość turystów przyrządzała posiłki w hostelach. Zorientowaliśmy się, że najtańszym sklepem jest Pak’nsave (charakterystyczny żółty supermarket), trochę droższy jest Countdown. Tak więc codziennie odbywało się zbiorowe żywienie jak na koloniach.

1 marca. Taupo (Tongariro Crossing)

Pojechaliśmy na południe od jeziora Taupo, gdzie rozciąga się jeden z najpiękniejszych obszarów chronionych – Park Narodowy Tongariro. Górują nad nim trzy aktywne wzniesienia wulkaniczne: (Mt. Tongariro 1968 m, Mt. Ngauruhoe 2290 m i Mt. Ruapehu 2796 m). Dojechaliśmy do Mangatepopo, gdzie zaczynał się 19-kilometrowy szlak do Ketetahi. Jeśli jedzie się tam w dwójkę, to warto się rozdzielić. Jeden wysiada przy jednym wejściu i idzie, a drugi jedzie autem do drugiego wejścia i w połowie trasy przekazujecie sobie kluczyki do samochodu. Inaczej dostać się z powrotem do auta może być kłopotliwe. Jeździ tu mało samochodów i może być problem z podwiezieniem. Można w ten sposób zaoszczędzić sporo czasu. Podzieliliśmy się na dwie grupy: ja z Andrzejem poszliśmy od strony Mangatepopo, a Jarek z Mirkiem od Ketetahi. Po jakimś czasie dostaliśmy esemesa, że mimo iż szlak jest zamknięty, to postanowili nim iść. Trochę nie zrozumieliśmy, o co chodzi, więc dalej szliśmy z Andrzejem i dziwieliśmy się, że ludzie tak szybko przeszli 19 km od strony Ketetahi, i mijali nas z naprzeciwka. Okazało się, że szlak jest zamknięty i po 8 km trzeba zawrócić, bo od 2012 r. po wybuchu wulkanu teren jest aktywny sejsmicznie i nie ma bezpiecznego przejścia. Tak więc nie spotykamy się z nimi w połowie drogi. Po kilku godzinach dostaliśmy sms-a, że zawrócili i podjadą po nas samochodem. Okazało się, że żadne z nas nie zauważyło wcześniej informacji o zamknięciu szlaku i zaklejeniu go taśmą na wszystkich tablicach informacyjnych i mapach. Trasa wije się po zboczach między dwoma wulkanami, wśród kraterów (South Crater, Red Crater), oraz przez przełęcz na wysokości 1900 m n.p.m. W dalszej części biegnie przez tereny płaskie, gdzie docieramy do trzech jezior nazywanych Emeraldowymi (powstały po wypełnieniu małych kraterów wodą wymieszaną z siarką, stąd takie bajeczne turkusowe kolory), a następnie mamy przed sobą niebieskie jezioro. Trasa słynie ze swojego surowego „księżycowego krajobrazu”, aktywności wulkanicznej i pięknych panoram, rozciągających się wzdłuż słynnego szlaku, który można przejść w ciągu jednego dnia. Są tu przewyższenia, trudny grunt, w nie-

których momentach osypujący się tuf. Nowozelandzki reżyser Peter Jackson wybrał ten rejon do nakręcenia wielu scen filmu „Władca Pierścieni”.

2 marca. Taupo – Waitomo – New Plymouth

Rano w Taupo odbywał się Ironman, czyli zawody triathlonowe, organizowane przez World Triathlon Corporation. Zawody organizowane są na dystansach: 3,86 km (2,4 mil) pływanie, 180,2 km (112 mil) jazda na rowerze i 42,195 km (dystans maratonu, 26,2 mil) bieg. Razem daje to 226 km. Masakra!!! Najlepszym wszystko zajmuje jakieś 8 godzin z hakiem!!! Limit czasu na pokonanie tego dystansu to 16 godzin. Mistrzostwa Świata, czyli Ironman odbywają się każdego roku w październiku w hawajskim mieście Kona na wyspie Big Island. W organizacji zawodów w Taupo pomagało aż 2000 wolontariuszy. Reszta mieszkańców tego 22-tysięcznego miasta dopingowała „żelaznych” na trasie. Piękne widoki, wielkie i jedno z najpiękniejszych jezior na świecie, dwa okrążenia trasy kolarskiej prowadzące zawodników przez centrum miasta w kierunku małowniczych lasów i trzy pętle biegowe w równie „pięknych okolicznościach przyrody”. Poza tym 40 osób ma szansę zakwalifikować się na Mistrzostwa Świata w Konie. Bezapelacyjnym zwycięzcą okazał się Bevan Docherty, który całą trasę pokonał w czasie 8 godzin, 15 minut i 35 sekund. Warto zaznaczyć, że nie tylko profesjonalści walczyli na trasie. O ile ci pierwsi zmagali się o miejsca, to amatorzy chcieli zasłużyć na miano „Człowieka z Żelaza”. Udało to się między innymi – i to po raz kolejny – Neilowi Flemingowi, który ma... 77 lat. Jego wynik to 15:14:29. Na metę, godzinę później przybiegł jego rówieśnik, Laurie Wesley. Byliśmy ciekawi, jak organizowany jest Ironman na świecie, mogąc porównać go z Polską. Dyscyplina triathlonu wymaga naprawdę mozolnych, długich i ciężkich treningów, żeby tylko ją ukończyć i zmieścić się w limicie czasowym. Potem przejechaliśmy do Waitomo Caves, w pobliżu tej miejscowości znajdują się najciekawsze jaskinie NZ. Wstęp kosztował nas 91 NZD/os., tam obejrzelśmy trzy jaskinie: Ruakuri, Aranui, Glowworm. Dwie słyną ze świecących niebieskim światłem świetlików, które faktycznie są larwami przyczepionymi do sklepień w jaskiniach. Emitowane przez nie światło pochodzi z lepkich jedwabnych nici na ich ciele służących do łapania owadów. Coś pięknego, szczególnie ostatnia grota, gdzie wpływa się łodzią i w całkowitych ciemnościach ogląda to niebywałe zjawisko. Wygląda to jak nisko zawieszony niebo albo setki diod ledowych. Są to naprawdę niezwykle miejsca. Tutejsze formy naciekowe stalaktyty i stalagmity utworzone na skutek wielu tysięcy lat działania wody na skały wapienne przybierają najbardziej zdumiewające kształty. Waitomo to także kolebka raftingu... tyle, że pod ziemią i w ciemności. Stamtąd pojechaliśmy do New Plymouth, gdzie zatrzymaliśmy się w Edmond Eco Lodge za 75 NZD/pokój/2 os. Jest przytulnie, jak zwykle mamy dostęp do kuchni, panuje tu miła atmosfera.

3 marca. New Plymouth (Park Narodowy Egmont)

O 6.00 rano wita nas ulewa, więc wracamy do łóżek, czekając na zmianę pogody. Po 2 godzinach przestaje padać i postanawiamy wyruszyć na podbój wulkanu Taranaki (2518 m n.p.m.), nazywanego również nowozelandzką Fudzijamą, bo kształtem przypomina japońskiego kuzyna.

Ponieważ było już późno, obawialiśmy się, że nie zdążymy wejść na szczyt i zejść przed zmrokiem. Na początku naszej przygody z wulkanem trochę pobłądziliśmy. Poszliśmy w inną stronę, gdzie straciliśmy prawie godzinę na innym szlaku. Wróciliśmy na wła-

ściwą trasę wkurzeni, ale wciąż pełni nadziei na zdobycie szczytu. Po jakimś czasie Jarek oderwał się od grupy i poszedł sam, a ja z Andrzejem mozolnie wspinaliśmy się do góry. Po kilku godzinach spotkaliśmy wracającego Mirka, który mimo godzinnej przewagi postanowił zawrócić i do szczytu nie dotarł. Jarek poszedł dalej, wytrwale pokonując zdradliwe wulkaniczne podłoże. Trasa ma ponad 1500 m przewyższenia i jest trudna do pokonania. Wiele osób zatrzymuje się w schronisku, ale jeśli wcześniej wyjdzie się na szlak, to spokojnie można całość przejść. Szlak wiedzie najpierw zwykłą, szutrową drogą, która przechodzi w stromą ścieżkę. Następnie zaczyna się przejście przez dosyć duże głazy, pomiędzy którymi wytyczona jest droga. Wchodząc coraz wyżej, napotykałyśmy na schodki zbudowane z desek zabezpieczonych siatką. Jest to fajny pomysł, zabezpiecza przed poślizgiem i wzmacnia konstrukcję. Wiele takich kładek, schodków spotykaliśmy na innych trasach turystycznych. Na 1700 m n.p.m. ścieżka wiedzie przez tuf wulkaniczny. To była masakra! Mieliśmy wrażenie, że stoimy w miejscu, a każdy metr okupiony był mozolną wspinaczką. Tuf osypuje się przy każdym kroku, trudno utrzymać równowagę i próbując ustać na nogach, zjeżdża się w dół. Dotarliśmy jakieś 400 m przed szczyt i stwierdziliśmy, że zabraknie nam czasu, aby zdążyć wejść na górę i zejść przed zmrokiem. Zeszłam do schroniska i poczekałam na Jarka, któremu udało się zdobyć śnieżny wulkaniczny stożek. Wrócił prawie półtorej godziny po naszym zejściu, szczęśliwy i dumny, bo niewielu ludzi tego dnia dotarło na sam wierzchołek. Dalej i wyżej były tylko kamienie, głazy i śnieg. Na trasę trzeba przygotować ok. 7–8 godzin, wziąć dobre buty, najlepiej za kostkę lub ochraniacze śniegowe, które zapobiegają wysypywaniu się drobnych kamieni do butów. Dobrze mieć kijki lub rękawiczki budowlane, którymi można się podpierać i zabezpieczyć dłonie podczas upadku. Wejście na szczyt rozpoczęliśmy na 945 m n.p.m., wulkan znajduje się na 2518 m n.p.m, czyli mamy 1573 m przewyższenia.

4 marca. New Plymouth – Palmerston North – Wellington

Po śniadaniu ruszyliśmy w drogę do Wellington, po drodze zahaczając o Palmerston North, gdzie znajduje się Muzeum Rugby, przy 326 Main St., wstęp 12,50 NZD/os. Muzeum prezentuje cały dorobek nowozelandzkiej reprezentacji w rugby, są tam historyczne stroje, stare bluzy czy inne pamiątki związane z tą dyscypliną sportu. Można tam również zakupić suweniry z logo „All Blacks”, czyli reprezentacji Nowej Zelandii. Po kilku godzinach dotarliśmy do stolicy i zatrzymaliśmy się w Hostelu YHA Wellington City przy 292 Wakefield St. za 33 NZD/os.

Zostawiliśmy bagaże i poszliśmy zwiedzać „wietrzne miasto”, nazwane tak z powodu hulających tu wiatrów. Wellington to pięknie usytuowana stolica kraju na wzgórzach nad zatoką. Postanowiliśmy obejrzeć Museum of New Zealand „Te Papa Tongarewa”, gdzie znajduje się mnóstwo eksponatów rozmieszczonych na 4 piętrach. Nigdzie indziej nie sposób dowiedzieć się aż tyle o Nowej Zelandii w jednym miejscu. Mamy tu „gwarancję wspaniałej intelektualnej przygody”. Następnie przejechaliliśmy się zabytkowym tramwajem linowym „Wellington Cable Car” za 7 NZD/os. w dwie strony, który pnie się na wzgórze, skąd rozciąga się panorama miasta na port, zatokę, lotnisko i dzielnice willowe. Tutaj obeszliliśmy ogród botaniczny (Wellington Botanic Garden), a potem, przechodząc koło parlamentu (w NZ 120-osobowy parlament wybiera się raz na 3 lata), udaliśmy się do portu, gdzie zakupiliśmy bilety w firmie Bluebridge na prom na Wyspę Południową. Zapłaciliśmy po 51 NZD/os. + 118 NZD za samochód osobowy.

5 marca. Wellington – Port Picton – Bleinheim – Kaikorua

O godz. 6.00 pobudka, po śniadaniu ruszamy do portu. Stąd o godz. 8.00 mamy wypłynąć w rejs.

Najpierw odprawiamy się i dostajemy tzw. karty pokładowe, czyli kawałek plastiku, który po chwili jest nam odbierany. Samochód parkujemy na dolnym pokładzie promu, a sami rozmieszczamy się na leżankach. Po przepłynięciu Cieśniny Cooka wpływamy do Zatoki Królowej Charlotty, która daje nam przedsmak czekających nas widoków. Po 3,30 godz. i 96 km wpływamy do Portu Picton, który jest punktem początkowym (lub końcowym) autostrady SH 1 i głównej linii kolejowej. Rzeczywiście Wyspa Południowa jest zdecydowanie bardziej nasycona zielenią niż Wyspa Północna. Wyruszyliśmy wschodnim brzegiem do Kaikorua, po drodze zatrzymując się w Muzeum Lotnictwa w Bleinheim. Wstęp 25 NZD/os. Obok jest Muzeum Samochodów, wstęp 10 NZD/os. Bleinheim jest stolicą winiarstwa w NZ, miasteczko zmieniło swoje oblicze, kiedy w latach 60. założono tu winnice. Wiele plantacji prowadzi tu restauracje oraz sprzedają detaliczną win. Odwiedziliśmy jedną, gdzie za 5 NZD można było poprobować 10 rodzajów trunków. Hm... dla nas było ono mniej lub bardziej kwaśne i mimo że prezentująca je pani bardzo dużo o nich opowiadała, to koneserami nie zostaniemy. Z tych kilku smakowały nam tylko 2 białe, półsłodkie. Najbardziej znane szczepy to chardoney i sauvignon-blanc, najwięcej winnic znajduje się na północy Wyspy Południowej w regionach Marborough. Trasa do Kaikorua wiedzie brzegiem morza, więc co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, aby zrobić zdjęcia. W pewnym momencie zauważyliśmy stado uchatk wygrzewających się na kamieniach. Coś wspaniałego (i to za darmo!!!), w żadnym przewodniku nie było napisane, że można tu spotkać takie mnóstwo tych przemiłych ssaków. Dotarliśmy do Kaikorua i zatrzymaliśmy się w YHA za 33,3 NZD/os.

Następnie podjechaliśmy do punktu widokowego, skąd rozciągała się wspaniała panorama okolicy.

6 marca. Kaikorua – Christchurch

Noc mieliśmy fatalną, bo pogryzły nas pluskwy. Rano obsługa hostelu kazała nam się spakować, bo będzie odkażać pokój. Wypisano protokół, w którym zawarte były pytania, skąd przyjechaliśmy i gdzie spaliśmy wcześniej. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy to my z sobą je przywieźli. Jak powiedzieliśmy, że poprzednio spaliśmy w ich filii YHA, to zakończono temat. Wyniesiono materace, zdjęto listwy przypodłogowe i popryskano to preparatami, nikt nam nie zaproponował jakiegokolwiek zadośćuczynienia. No tak, stary budynek i tym podobne tłumaczenia. Trochę to zepsuło obrazek pięknej, czystej Nowej Zelandii, wolnej od pasożytów i insektów. Kraj, jak każdy z komarami, pluskwami i pchłami. Mają jeszcze wredne meszki, które dały o sobie znać kilka dni później. O godz. 12.45 udaliśmy się do agencji organizującej „wyprawy wielorybnicze”. Najpierw pokazano nam prezentację multimedialną na temat tego ssaka, po czym wyruszyliśmy w głąb oceanu, oglądać wieloryby. Wycieczka kosztowała 145 NZD/os. Autobusem zawieziono nas do przystani, gdzie czekał na nas 48-osobowy katamaran. Najlepszą porą roku na oglądanie tych ogromnych ssaków jest okres od marca do czerwca. Wypłynęliśmy 5 km w głąb morza, gdzie dzięki sonarom wypatrzono dwa wieloryby. Zatrzymaliśmy się i dryfowaliśmy przy jednym kaszalocie, który nabierał powietrze, a potem nurkował przez 30 min. Było widać tylko koniec jego grzbietu i fontannę wody, którą wypuszczał. Najlepszym momentem tej zabawy „w chowane-

go” jest chwila, kiedy kaszalot nabierał powietrze, pomachał tylną płetwą i zniknął pod wodę. Wtedy wszyscy byli przygotowani z aparatami fotograficznymi na zanurzenie kolosa i zrobienie słynnego zdjęcia ogona. Fajnie prowadzona wycieczka, przez doświadczonych pilotów, którzy ciekawie opowiadali o tych ogromnych ssakach i delfinach. Jest też opcja wycieczki (o wiele droższa) podziwiania wieloryba z pokładu niewielkiego samolotu. W drodze powrotnej towarzyszyła nam ponad setka delfinów, które pływały pod statkiem, wyskakiwały w powietrze, robiły fikołki i popisywały się. Widok wspaniały. Po 2 godzinach i zobaczeniu 2 wielorybów wróciliśmy zadowoleni do portu, bo okazało się, że wcześniejsza wycieczka miała tylko jednego wieloryba, a poranna tura w ogóle ich nie znalazła. Jeśli się nie spotkało tego ogromnego ssaka, to biuro organizujące wyprawę zwracało 80% kosztów. Jest to droga, ale rewelacyjna wycieczka, ten biznes pozostał w maoryskich rękach. Następnie ruszyliśmy w drogę do Christchurch, robiąc przystanki na robienie zdjęć przepięknym widoczkom.

W Christchurch kluczyliśmy trochę po uliczkach w poszukiwaniu noclegu, bo większość hosteli miała rezerwację z uwagi na rozgrywkę krykieta. Tego nie wzięliśmy w ogóle pod uwagę podczas planowania wycieczki. Trochę nam to pokrzyżowało plany, bo nie robiliśmy żadnej rezerwacji, wiedząc, że baza noclegowa jest w Nowej Zelandii bardzo dobrze rozwinięta. Okazało się, że czasem niewystarczająco. Pierwsze problemy mieliśmy właśnie tu. Rozgrywki krykieta to tutaj poważna sprawa, prawie jak Mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Znaleźliśmy w końcu Canterbury House przy 257 Bealey Avenue, gdzie na podłodze w salonie (nielegalnie) za 25 NZD/os. lub (legalnie) za 74 NZD/ za 2 os. pokój, mieliśmy spanie i dużo szczęścia, bo hostel jest czystutki oraz ładnie urządzone. Doglądany przez Azjatkę Keiko „małego żołnierza”, która szczegółowo nam wytłumaczyła zasady panujące w domu, co wolno, a czego nie należy robić, co można używać, jak myć i sprzątać. Po minach lokatorów widać było, że nie są to przelewki, więc wysłuchaliśmy instrukcji obsługi domu. Żandarm Keiko poszła spać, a zastąpił ją gospodarz, który ciągle kręcił się po domu i wszystko kontrolował. Wzbudzało to pobłażliwe uśmiechy turystów, którzy dostąpili zaszczytu noclegu w tak wykwintnym miejscu.

7 marca. Christchurch – Dunedin

Od rana zwiedzamy miasto, które bardzo ucierpiało podczas trzęsienia ziemi. Rejon ten w ostatnich latach często padał ofiarą sił natury. 22 lutego 2011 r. odnotowano tu 5 silnych wstrząsów o sile 6,3 w skali Richtera, zginęły wówczas 182 osoby, a setki zostało rannych. Część miasta nadal wyłączona jest z ruchu turystycznego z uwagi na trwające remonty i odbudowę zniszczonych budynków. Całe stare miasto, (Cathedral Square) katedra oraz urokliwe kamieniczki ucierpiały podczas kolejnych wstrząsów, tak więc można tu chodzić tylko po wyznaczonej strefie, a porządku pilnują żołnierze. Zdezorganizowany jest też ruch uliczny, więc nasza nawigacja samochodowa trochę wariowała, bo wskazywane przez nią ulice czasem były wyłączone z ruchu. W mieście warto odwiedzić ogród botaniczny, obok którego znajduje się „Museum Canterbury” (wstęp darmowy). Można obejrzeć tu ciekawe eksponaty pierwszych zdobywców Antarktydy (minicieżarówka na gąsienicach, skutery śnieżne, stare sanie, narty, kurtki puchowe). W drodze do Dunedin podjechalśmy pooglądać zbiory Muzeum Air Force. Ciągnąca się w dół wyspy trasa cieszy oko, co chwila zatrzymywaliśmy się, aby zrobić zdjęcia przepięknym widokom. Po drodze można zobaczyć słynne Moreaki Boulders

(Diabelskie Kule). Niezwykłe głazy znajdują się na Koekohe Beach, na wybrzeżu Nowej Zelandii, w regionie Otago, mają one nawet do 2 metrów średnicy i ważą kilka ton. Od wieków wzbudzają zainteresowanie ze względu na swój nietypowy, kulisty kształt. Historia ich powstania do dziś pozostaje niejasna. Jednak, jak uważają naukowcy, skały te mogły narodzić się na dnie oceanu, nawet 60 milionów lat temu, w wyniku nawarstwienia się soli kalcytowych wokół bardzo trwałego jądra. Następnie po wyrzuceniu ich na brzeg, odkładał się na nich muł naniesiony przez morskie fale. Te wyrzeźbione przez morze w kulisty kształt głazy są turystyczną atrakcją. W Dunedin kolejna przykra niespodzianka z hotelami. Okazało się, że w mieście nie ma żadnego wolnego miejsca w hotelach, hostelach oraz pensjonatach. Trochę nas to zdenerwowało, bo było już dosyć późno i pomimo wielu wykonanych telefonów przez uczynnych Kiwusów, nic nie znaleźliśmy. Była to już druga nasza potyczka z krykietem.

Postanowiliśmy pojechać na Półwysep Otago i tam poszukać noclegów. Okazało się, że tu też wszędzie jest full. W jednym z pensjonatów Portobello Village Tourist Park, miła właścicielka przejęła się naszym losem i zaczęła obdzwaniać okolice i znających w poszukiwaniu wolnych miejsc. W pewnym momencie zadzwoniła do niej kobieta z Auckland, która ma domek wiejski i może nam go wynająć. Problem był z lokalizacją i znalezieniem klucza. Tak więc telefonicznie poinformowała swoją koleżankę, która na nas czekała, aby otworzyć domek. Okazało się, że będziemy spali w bardzo ładnym domu, dobrze wyposażonym i wygodnym. Posiadłość nazywała się Robyn's Nest i płaciliśmy po 200 NZD/4 os. za noc.

8 marca. Dunedin (Półwysep Otago)

Od rana zwiedzamy miasto rodem przypominające te z Wysp Brytyjskich, zostawiliśmy samochód na parkingu pod szkołą. W dużych aglomeracjach jest problem z parkowaniem i zazwyczaj trzeba dokonywać opłat w parkomatach. My staraliśmy się zatrzymywać przy sklepach, np. Countdown, gdzie zazwyczaj są duże parkingi samochodowe. W mieście rozdzielił się, Andrzej poszedł sam, a my ruszyliśmy do Fabryki Czekolady Cadbury (wstęp 20 NZD/os.). Na początku dostaje się czepki na głowę oraz drobny, słodki upominek, potem oglądaliśmy film o pionierach Dunedin, którzy tworzyli miasto, m.in. fabrykę i browar. Uprzejma, „słodka do bólu” przewodniczka kazała zdjąć kolczyki i inne ozdoby, zakleić jakieś ranki, wypryski skórne i rozpoczęła wędrowkę po zakładzie. Przechodziliśmy przez poszczególne działy i mogliśmy przyjrzeć się jak wygląda produkcja cukierków, czekolady oraz pakowanie i załadunek tych słodkości. Na poszczególnych etapach częstowani byliśmy różnymi łakociami. Na koniec weszliśmy do ogromnego silosu, gdzie na hasło „ja chcę czekolady!” z sufitu runęła kaskada czekolady, rozbryzgując wkoło słodkie drobinki. W tym czasie z ukrycia robione były zdjęcia, które można było zakupić przy wyjściu.

Potem poszliśmy do Browaru Speight's, gdzie wstęp kosztował 22 NZD/os. ze zniżką, jeśli miało się bilety z wytwórni czekolady. Browar jest w przebudowie, ale przewodnik ciekawie opowiadał o procesie warzenia piwa. Na koniec wycieczki weszliśmy do baru, gdzie przez 30 min mogliśmy nalewać sobie sami 6 gatunków piwa i je degustować. Popróbowaliśmy kilku rodzajów złocistego trunku. Weszliśmy jeszcze na dworzec kolejowy, który przypomina szkockie dwory lub zamki, zresztą większość architektury jest jakby żywcem przeniesiona z Wysp Brytyjskich, tu spotykaliśmy również młodych mężczyzn w kiltach. Następnie podjechalśmy na najbardziej stromą ulicę świata

(według księgi rekordów Guinnessa) Baldwin Street nachyloną pod kątem 38%. Wjechaliśmy i zjechaliśmy w dół, testując hamulce samochodu, natomiast Jarek pokonał ten dystans biegnąc. Wracając na Półwysep Otago, chłopaki postanowili obejrzeć rezerwat pingwinów, gdzie wstęp kosztował 49 NZD/os.!!! Okazało się to jedną, wielką lipą, gdzie ktoś sobie zakupił teren, na którym osiedliło się kilka pingwinów i trzepie kasę z tego tytułu. Atrakcja nie jest warta tych pieniędzy. Jakby było im jeszcze mało, podjechali do punktu widokowego z albatrosami, ale już nie wchodzili, bo te ptaszyska widać wszędzie i szkoda dawać 20 NZD/os. za ich oglądanie.

9 marca. Dunedin (Półwysep Otago) – Invercargill

Wypaliśmy się i ruszyliśmy w drogę do Invercargill na samym południu wyspy. Postanowiliśmy jechać malowniczą nadmorską drogą 92 przez Catlins. Trasa, mimo że niezbyt długa, to urozmaicona jest ciekawymi miejscami widokowymi. Nam udało się zobaczyć między innymi latarnię morską na Nugget Point, wodospady Purakaunui, lasy przypominające równikową dżunglę, a także Slope Point, czyli najdalej na południe wysunięte miejsce na Nowej Zelandii.

Część atrakcji była o tej porze dla nas niedostępna z uwagi na przyptyw morza. Po południu dotarliśmy do miasta i zatrzymaliśmy się w hostelu backpackerskim Tutara przy 30–32 Dee St Invercargill 9810, za 29 NZD/os. Potem poszliśmy na miasto. Okazało się, że w tym dniu odbędzie się mecz zawodowej ligi „Super Rugby”. Jest to taka nasza „Liga Mistrzów”, skupiająca piętnaście zespołów (po 5 z Nowej Zelandii, Australii i RPA), podzielonych na trzy grupy. Udaliśmy się na stadion, gdzie przyszło prawie całe miasto, bo rugby jest jedną z niewielu atrakcji tego miejsca. Grali Highlanders z Cheetahs 19.36, mecz był transmitowany w telewizji. Cheetahs to Centralne Gepardy, znane ze względów sponsorskich jako Toyota gepardy. Jest to zespół z RPA. Natomiast Highlanders (Górale, dawniej Otago Highlanders) – nowozelandzka profesjonalna drużyna rugby union z siedzibą w Dunedin. Drużyna swą nazwę oraz znajdującego się w logotypie szkockiego górala w kilcie zaczerpnęła od imigrantów z tego kraju, którzy przybyli do Otago i okolic w latach 40. i 50. XIX wieku. Dowiedzieliśmy się, że wyjątkowo Górale rozgrywają swoje mecze także na stadionach w Invercargill i Queenstown. Wstęp na mecz to 15 NZD/os./studenckie. Widowisko umilaliśmy sobie rozmową z Polakiem, który wiele lat temu wyjechał z kraju i mieszkał w Anglii, a teraz w Nowej Zelandii. Opowiadał nam o tym kraju ciekawe historie. Zadowoleni wróciliśmy do hostelu, zjedliśmy kolację i postanowiliśmy, że rano popłyniemy na trzecią z wysp Nowej Zelandii Stewartia.

10 marca. Invercargill – Bluff – Oban (Wyspa Stewartia)

Pobudka o godz. 7.00 i ruszamy do Bluff, portu skąd wypływają promy do Oban na Wyspę Stewartia. Koszt promu to 142 NZD/os. w dwie strony. Wypłynęliśmy o godz. 8.00, by po godzinie dotrzeć do celu. Miasto Oban i okolice na Wyspie Stewartia można zwiedzić w ciągu jednego dnia, ale organizowane są tu również kilkudniowe trekkingi wokół wyspy. Widoki przepiękne, jakich wiele w całej Nowej Zelandii, warto tu przyjechać, jeśli już ktoś dotrze do Invercargill. Znają ją słabo nawet sami Nowozelandczycy. Jest to raj na ziemi dla wielu gatunków zwierząt i roślin. Jest tu zaledwie 20 km utwardzonych dróg i tylko 390 mieszkańców. To właśnie tu są znaki drogowe, jakich nie spotka się prawie nigdzie na świecie: uwaga na pingwina czy też kiwi. W agencjach turystycznych można sobie wykupić dodatkowe wycieczki po okolicy lub rejs statecz-

kiem. O godz. 18.00 mieliśmy powrotny prom do Bluff, tu zrobiliśmy sobie zdjęcia pod kierunkowskazami określającymi odległości do różnych miast na świecie (np. stąd do Londynu mamy 18 958 km !!!), no tak daleko to jeszcze nigdy nigdzie nie byliśmy. Im dalej na południe, tym rzadziej spotyka się tu ludzi, a krajobraz wygląda bardziej surowo. Klimat staje się coraz chłodniejszy, teraz już można poczuć bliskość Antarktydy.

11 marca. Invercargill – Te Anau (Milford Sound)

Rano podjechaliśmy do Muzeum Miejskiego w Invercargill, gdzie oprócz zbiorów kultury maoryskiej, hodowana jest tu hatteria, rodzaj gada występującego endemicznie w Nowej Zelandii. Mimo iż wyglądem najbardziej przypomina jaszczurkę, w rzeczywistości reprezentuje odrębną linię ewolucyjną. Ma ona zielono-brązowe ubarwienie i dorasta do około 60 cm od głowy do koniuszka ogona. Wzdłuż grzbietu posiada kolczasty grzebień, szczególnie widoczny u samców. Hatterię uznaje się za zagrożoną wyginieciem. Jadąc dalej w okolicach Cosy Nook, robimy zdjęcia, tzw. wietrznym drzewom, a następnie zatrzymujemy się przy 111-metrowym starym moście Suspension przy rzece Waiau. Następnie udajemy się w kierunku Te Ananu, dumnie określa się to miasto jako „światowa stolica chodzenia”. W jego okolicy biorą bowiem początek liczne szlaki turystyczne, w tym najśłynniejszy Milford Track. Mając jeszcze trochę czasu do zmkro, stwierdziliśmy, że pojedziemy do Milford Sound zwanego również „ósmym cudem świata”. Szkoda nam było zmarnować tak piękną pogodę, która wciąż nam dopisuje i jak na ten rejon jest czymś niespotykanym. Obszar ten słynie z 260 dni deszczowych w ciągu roku, średnie opady sięgają 6458 mm, a w „mokrych” latach nawet do 9200 mm. Obecnie mamy w Nowej Zelandii największą od 20 lat suszę, co jest ewenementem w tym rejonie świata. Po przejechaniu przez 1270-metrowy tunel, znaleźliśmy się w wąwozie otoczeni górami. W porze deszczowej ze ścian spływają wodospady i zasilają płynącą w dole rzekę. Obecnie jechaliśmy wzdłuż koryta, którym płynął wąski potok. Dotarliśmy do portu, skąd o godz. 15.45 wypłynęliśmy w rejs między fiordami z majestatycznym klifem Mitre Peak. Już pierwsze spojrzenie na fiord od strony przystani zapiera dech w piersiach. Płynąc, podziwiamy wysokie klify prawie prostopadle wystające z wody na ponad 1600 m, wodospady mające ponad 200 m, przy których tworzy się tęcza. Wszystko to przy granatowej wodzie fiordu i idealnej przejrzystości nieba. Na kamieniach wylegają się foki, obok przepływają delfiny. Wycieczka trwała 2,5 godz. i kosztowała 75 NZD/os. Jest również możliwość przepłynięcia fiordów kajakiem za 169 NZD/os. Fiord ma 16 km długości i płynie się najpierw jego lewym, a potem prawym brzegiem. Atrakcją tego miejsca jest również możliwość wynajęcia małego samolotu i podziwianie widoków z góry. Milford Sound to jedno z piękniejszych miejsc w tym kraju. Wróciliśmy 119 km Milford Highway (z mega widokami na trasie) do Te Anau, znajdując nocleg w Te Anau Lakeview Kiwi Holiday Park & Motels przy 77 Te Anau-Manapouri Highway, płacąc po 28 NZD/os.

12 marca. Te Anau (Milford Sound i okolice)

Pojechaliśmy jeszcze raz do Milford Sound, tym razem zatrzymując się przy niektórych atrakcjach. Weszliśmy szlakiem Key Summit Alpine, będącym częścią Routeburn Walk. Przejście całej trasy to niecałe 3 godz., skąd rozciąga się wspaniały widok. Następnie udaliśmy się nad Jezioro McKenzie. Szlak zaczyna się przy Dividie, gdzie jest mały parking i stąd można ruszyć na trasę. Oczywiście, jeśli ktoś zaplanuje przejście całego szlaku, to może nocować w kilku schroniskach. Wstęp do parku jest bezpłatny,

ale w schroniskach zazwyczaj dokonuje się datków na utrzymanie kwater lub ponosi niewielką opłatę. Tak więc biegnąca do Milford droga daje początek kilku trasom, jest tu również wiele pól namiotowych, położonych nad brzegiem rzeki lub jezior. Widoki wspaniałe. Lasy deszczowe z bujnie rozwijającymi się mchami i paprociami drzewiastymi sprawiają wrażenie parku jurajskiego.

13 marca. Te Anau – Queenstown

Rano jedziemy do Queenstown, po drodze zatrzymując się w Kingstown. Stąd odjeżdża słynna zabytkowa lokomotywa parowa do Fairlight. To typowy turystyczny pociąg parowy kursujący na 14-kilometrowej trasie pomiędzy Kingston a Fairlight. Przejazd w jedną stronę trwa 30 minut. Cena biletu dla osoby dorosłej wynosi 60 NZD w 2 strony. Pociąg często występował w filmach i reklamach. Od 2011 r. nowy właściciel firmy zarządzającej pociągiem wyprowadził ją z kłopotów finansowych, postawił na nogi, a dodatkowo rozszerzył działalność o sprzedaż pamiątek i win. My postanowiliśmy pojechać w jedną stronę za 40 NZD/os., a z Fairlight odebrał nas Andrzej. Trasa wiedzie piękną, górzystą okolicą, pośród pasących się stad owiec i krów.

Po południu docieramy do Queenstown, gdzie znaleźliśmy nocleg w 4 Isle St Queenstown 7050, za 60 NZD/pokój/2 os. Jest to niewielkie tętniące życiem miasteczko, nazywane stolicą światowych sportów ekstremalnych. Jest położone pomiędzy kilkoma górami, oczywiście nalezicie wykorzystanymi do celów turystycznych, oraz nad brzegiem głębokiego (na prawie 400 m) jeziora Wakatipu, po którym przez cały rok pływa stary parowiec Tss Ernsław (niegdyś woził owce, dzisiaj turystów). Tu Andrzej zdecydował się na rejs szybką łodzią Jetboats wyposażoną w silnik przepływowy. Kanionem rzeki Shotover niemal ocierał się o zanurzone skały, jego konstrukcja umożliwia poruszanie się w wodzie głębokości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Cała przyjemność kosztowała 129 NZD. My w tym czasie pochodziliśmy po mieście, zaglądając do mariny, sklepów oraz sycąc oczy, jakże innym miastem od dotychczas odwiedzanych. Hotele przeplatają się z prywatnymi domami, ma się wrażenie małomiasteczkowości, jednakże liczba turystów, restauracji, prędkość życia jest tu wyraźnie inna od typowego miasta w NZ. Oczywiście wszechobecne billboardy, reklamy z atrakcjami, jakie oferuje miasto, powoduje, że trudno nie skusić się na cokolwiek. Różniłyśmy ceny i stwierdziłyśmy, że wszystkie agencje mają je takie same i pomagają sobie nawzajem w biznesie. Skoki na bungee sprzedawane są w firmie skoków spadochronowych i na odwrót. Jest tu ogromna liczba sklepów z odzieżą sportową różnych firm. Trzeba przyznać, że Kiwusi wiedzą, jak skubać turystę. Płaci się za wszystko: dostęp do wi-fi, parkingi, mandaty są wysokie, o czym mogliśmy się niedługo przekonać. Znaleźliśmy supermarket, gdzie dokonaliśmy zakupów żywnościowych. Po raz kolejny miałam możliwość poznać zjawisko społeczności hostelowej podczas przygotowania kolacji. Przez cały miesiąc przysłuchiwałam się rozmowom w kuchni, sama sporadycznie nawiązując kontakt z turystami. Już wcześniej zauważyłam, że padają te same standardowe pytania: skąd jesteś?, podróżujesz z kimś?, gdzie byłaś wcześniej?, gdzie jedziesz dalej? Po kwadransie rozmowa się kończyła. Standardem jest też to, że mówiąc, że jesteśmy z Polski, odpowiedź brzmi: Cool! albo Sounds good!, ja zazwyczaj pytałam dlaczego? I już nie potrafiono mi odpowiedzieć. Ot, taka kurtuazja. Z Polski? O, brzmi dobrze! Fajnie! Ponadto obserwowałam co przygotowują turyści i ile mogą o tym opowiadać. Każdemu trzeba przyznać kilka gwiazdek Michelin. Otóż przyrządzenie zupki chińskiej to cały proces, o czym wcześniej nie miałam

pojęcia. Oczywiście trochę z tego kpimy, bo każdy radził sobie z nowozelandzką drożyną, jak mógł, i jeśli Niemcy, Izraelczycy czy Amerykanie gotowali w hostelach, to dla nas był to 100% sygnał, że jest drogo.

14 marca. Queenstown

O godz. 11.00 popłynęliśmy łodzią „Million Dollar” w rejs po okolicy za 25 NZD/os. Stanowi on konkurencję dla parowca, który kosztuje 55 NZD/os. Podróż trwa 1,5 godz. i wiedzie wzdłuż okolicznych brzegów. Kapitan z humorem opowiadał o okolicy, przedstawiał historię miasta, anegdoty związane z niektórymi budynkami. Mogliśmy podziwiać rezydencje usytuowane na wzgórzach. Widoczki ładne i z perspektywy jeziora można porobić ciekawe zdjęcia. Potem poszliśmy do kilku agencji, zapytać się o skoki spadochronowe. Okazało się, że nasz kompan jest o 5 kg za ciężki i nie ma żadnych odstępstw od przepisów. Wkurzony i zawiedziony postanowił polecieć parolotnią. Tego dnia odwołano jednak wszystkie skoki spadochronowe, więc Jarek też nie mógł spróbować tej atrakcji. Ja zdecydowałam się na paragliding za 199 NZD/os. Mieliśmy kilka godzin czasu, więc wjechaliśmy gondolą za 26 NZD/os. w 2 strony na Bob's Peak (790 m n.p.m.), gdzie można skorzystać z wielu atrakcji. Jest tu rynna (namiastka bobslei), po której można zjeżdżać, trasy rowerowe dostosowane do umiejętności i trudności, platforma do skoków bungee. Obok kolejki gondolowej rozmieszczone są restauracje i sklepiki z pamiątkami. Można pójść na spacer kilkoma szlakami o różnej skali trudności. Zjechaliśmy gondolą w dół i udaliśmy się do agencji, skąd mieliśmy odjechać do punktu startowego parolotni. Najpierw jeepem podjechaliśmy do skrzyżowania, skąd zabrano nas busem na Coronet Peak. Zostaliśmy szczegółowo poinformowani o zasadach bezpieczeństwa, zapięci w uprzęże i czekaliśmy na start. Mnie trafił się instruktor z Czech, który mówił po polsku. Resztę obsługiwało 2 Izraelczyków, Rumun, Chilijczyk, Amerykanin, żadnego Kiwusa, bo jak wiadomo „Kiwi nie latają”. Przygoda wspaniała, żadnego stresu, strachu. Uczucie latania niesamowite, przez 15 minut unosiłam się w powietrzu, a kolega Tom sprawnie sterował parolotnią. W pewnej chwili doznałam uczucia, jakbym wisiała w powietrzu. Mieliśmy 700 m przewyższenie. Coś pięknego, polecam! Jak nie w NZ, to gdzieś w Polsce. Wróciliśmy do hostelu, a tu przykra niespodzianka w postaci mandatu za złe parkowanie 21 NZD. Mirek poszedł od razu zapłacić, bo nie wiedzieliśmy, czy ten system wyłapie nas na lotnisku lub wypożyczalni, albo obciążą kartę kredytową. Recepcjonista z hostelu obśmiał system, ale poradził zapłacić. Trochę szkoda kasy, ale co zrobić.

15 marca. Queenstown

O godz. 6.00 pobudka i po śniadaniu ruszamy do Mount Cook Village. Po 3,5 godz. jesteśmy na miejscu, od razu robiąc fotkę pod pomnikiem sir Edmunda Hilarego, który był słynnym Nowozelandczykiem, pierwszym zdobywcą Everestu. Na jego cześć powstało tu muzeum (ze zdjęciami i pamiątkami) oraz Centrum Alpinizmu. Następnie wyruszamy na szlak Kea Point, którym docieramy do moreny polodowcowej. Stąd rozpościera się panorama na Górę Cooka 3754 m n.p.m, która nazwana jest tak na cześć słynnego angielskiego żeglarza. W języku Maorysów góra nazywa się Aoraki (Przebijająca Chmury), często chowa się w chmurach, pozbawiając turystów swojego widoku. Jest popularnym celem wspinaczy, choć jej oblodzone zbocza pochłonęły już 218 ofiar. Szczyty pokrywają pozostałości lodowca, w dole płynie rzeka i tworzą się turkusowe jeziora. Widoki księżycowe, utrzymane w szarej tonacji, jedynie błękitne prześwity lo-

downca dodają uroku. Okoliczne wzgórza pokryte są lasami oraz krzewinkami, co stanowi żywy kontrast. Zastanawia siła lodowca, który potrafi wyrzeźbić ogromną rynnę i nanieść tyle materiału w postaci gleby, kamieni, piachu. Następnie podjechalśmy do Hooker Village, gdzie poszliśmy dwoma krótkimi szlakami na wzgórze, skąd rozciągał się widok na lodowiec Tasmana. Byliśmy zaskoczeni widokiem tego kolosa, bo wcale nie był niebiesko-biały, a czarny i szary. Z góry prezentował się jak topniejąca zaspą śniegu. Przez obiektywy i lornetki można było zobaczyć, że lodowiec jest rzeczywiście ogromny. Po jeziorze pływały łódki, które z tej wysokości wyglądały jak zabawki. Dolina nosi ślady działalności polodowcowej, koryto rzeki i brzegi jeziora są zbudowane ze skał i widać wyraźnie ślady systematycznego przesuwania się masy lodu. Oczywiście nie trwa to tak szybko, ale mozolnie przez setki lat. Postanowiliśmy udać się jeszcze jednym szlakiem, który widzieliśmy w punkcie informacji turystycznej, biegnącym wzdłuż lodowca. Trasa jest zazwyczaj zamknięta z uwagi na lawiny, ale obecnie nic nam nie groziło, ponieważ na szczytach nie zalegały warstwy śniegu i lodu. Szliśmy 5 km wzdłuż uformowanego gruzowiska, powstałego podczas przesuwania się lodu. Ciągle mieliśmy nadzieję na spektakularne widoki w rodzaju Perito Moreno w Argentynie. Po jakimś czasie spotkałiśmy turystów, którzy poradzili nam wspiąć się na głazy i stamtąd obejrzeć lodowiec. Wdrapaliśmy się na górę i zobaczyliśmy czoło lodowca, który trzeszczy, pęka i osypuje się. Uspisko znajduje się kilkadziesiąt metrów nad lodowcem, zejście w dół jest niebezpieczne i raczej wskazana jest asekuracja drugiej osoby. Kamienie się osypują, podłoże jest niestabilne i jest dosyć stromo. Porobiliśmy kilka zdjęć i wróciliśmy do samochodu. Szkoda, że droga jest zbyt wyboista dla naszego Nissana, gdybyśmy mieli samochód 4x4 spokojnie można byłoby pokonać tę trasę. Park ciągnie się zaledwie 80 km wzdłuż alpejskiego grzbietu, a mimo to jego obszar obejmuje 140 szczytów powyżej 2000 m i 72 lodowce, w tym 5 największych w NZ: Tasmana, Godley'a, Murchisona, Hookera, Muellera. Największy jest lodowiec Tasmana, długi na 29 km i miejscami szeroki na 3 km. Wracamy do Queenstown. Po drodze mijamy Jezioro Pukaki, uchodzące za jedno z piękniejszych w Nowej Zelandii. Jego turkusowy kolor towarzyszy nam dłuższy czas, sycimy nim oczy i podziwiamy okolice. Co chwila zatrzymujemy się, aby zrobić zdjęcia. Okoliczne rzeki są wyschnięte, a główne rozlewiska to skromne strumyczki. Nie możemy sobie wyobrazić, jak wyglądają po zimie, zasilone górską wodą. Przewodnicy oprowadzający wycieczki ciągle napominają, aby nie zostawiać niedopałków papierosów, bo lasy są bardzo wyschnięte, w hostelach są ostrzeżenia o oszczędzaniu wody, rolnicy zaś wyprzedają swoją trzodę, bo nie mają czym jej wykarmić i napoić. Kraj dotknęła kłęska suszy. Do tego dziura ozonowa umiejscowiła się nad tym rejonem i słońce operuje tu znacznie silniej niż gdziekolwiek. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy 43-metrowym moście, skąd śmiałkowicie skakali na bungee. Odbывała się tam jakaś impreza firmowa, kobiety były poubierane elegancko, mężczyźni w garniturach, a my... na pewno nie pasujący do otoczenia. To właśnie tutaj zapoczątkowano skoki na bungee w wydaniu komercyjnym. Ideę zaczerpnięto z rytualnych skoków Melanezyjczyków z wysp archipelagu Vanuatu. Codziennie dziesiątki, a latem setki śmiałków z obwiązaną wokół kostek liną, rzuca się w koryto rzeki Kawaru.

16 marca. Queenstow – Arrowtown – Fox Glacier

Rano obudziła nas syrena z pobliskiej remizy strażackiej. Mogliśmy zobaczyć, jak ochotnicy na bosaka, na rowerach, quadami zjeżdżają się ze wszystkich stron miasta,

przebijając się szybko z ubrań cywilnych w mundury strażackie i ruszają na akcję. Po śniadaniu pojechaliśmy do Arrowtown, miasta słynącego ze starej zabudowy pozostałej po poszukiwaczach złota i Chinatown. Miasteczko jest rzeczywiście urokliwe, budynki przypominają te z filmów o dzikim zachodzie. Prawie każdy z nich zagospodarowany jest na turystyczne miejsce, dominują restauracje, sklepiki, galerie. Pochoziliśmy po kilku z nich, zachwycając się niektórymi eksponatami. Dokonailiśmy zakupu pamiątek. Obejrzelśmy jeszcze stare, chińskie osiedle. Jeśli ktoś przyjeżdża tylko po to, aby zobaczyć Chinatown, to może sobie odpuścić, ale Arrowtown jest fajne. Następnie podjechaliśmy do Puzzling World, wstęp 14 NZD/os. Wewnątrz czeka dużo niespodzianek, między innymi krzywa podłoga, na której nie da się prosto stać, krzywe schodki, płynąca w odwrotnym kierunku woda i mnóstwo innych ciekawych rzeczy. Naprawdę warto tu wejść, bo nad atrakcjami pracowali inżynierowie oraz artyści, aby stworzyć świat złudzeń i pokonać niektóre prawa fizyki. Muzeum nie da się ominąć, bo stoi przy głównej drodze i są to charakterystyczne krzywe i przewrócone domki. Większość turystów robi sobie zdjęcia typu: przytrzymuję opadającą wieżę, coś w stylu trzymania Sfinksa za nos. Potem podjechaliśmy do Wanaka na lotnisko, gdzie Andrzej zafundował sobie lot akrobatyczny samolotem za 199 NZD. Całość trwała 30 minut od wystartowania do wylądowania. Andrzej wrócił zadowolony, bo pilot (mistrz Nowej Zelandii w akrobacjach lotniczych) pozwolił mu wykonywać niektóre figury. My w tym czasie poszliśmy do Muzeum Zabawek i Samochodów, wstęp 14 NZD/os. O ile muzea samochodów spotykaliśmy często, to muzeum zabawek jest ciekawe. Zdziwić się można, jakie kolekcje są stworzone z lalek, żołnierzyków, autek, wózków, misiów. Mnie urzekła kolekcja solniczek i pieprzniczek, bo takich cudeniek nigdzie wcześniej nie widziałam. W tym czasie Mirek z Andrzejem zwiedzają kolejne Muzeum Samolotów (wstęp 20 NZD/os.). W końcu dotarliśmy do Fox Glacier, meldując się w Ivory Towers Fox Glacier za 27 NZD/os. Mamy mały apartament z łazienką oraz aneksem kuchennym.

17 marca. Fox Glacier (lodowce Foxa i Franza Josefa)

Podjechaliśmy najpierw do Lodowca Foxa. Andrzej wykupił wycieczkę z przewodnikiem, bo chciał pochodzić po lodzie za 110 NZD/os. My dojechaliśmy później, gdzie okazało się, że ich grupa dopiero dojechała na miejsce. Doszliśmy do kilku punktów widokowych, ale dalej można było iść tylko z przewodnikiem. Lód jest przygotowany do wejścia, kilka osób wycina stopnie i odsnieża powierzchnię. Trzeba założyć raki i poruszać się według wytyczonego szlaku, by nie wpaść w jedną z lodowych szczelin. My udaliśmy się jeszcze na punkt widokowy, skąd rozciągała się panorama z drugiej strony lodowca. Niestety widoki przesłaniały chmury oraz mgła, więc wszystko utrzymywało się w tonacji szaro-szarej lub zielono-szarej. Wróciliśmy do hostelu, gdzie czekał na nas Andrzej, wkurzony na przebieg wycieczki. Okazało się, że weszli jakieś 400 m na lodowiec i to była cała atrakcja. W niczym nie przypominała tego, co pokazują na reklamie w agencji. Następnie postanowiliśmy podjechać do Lodowca Franza Josefa (nazwa pochodzi stąd, że pierwszy odkrył go Austriak, nazywając go imieniem swojego władcy). Tutaj przemoczył nas deszcz. Szlak przeszliśmy w tempie wojskowym. Doszliśmy do czoła lodowca, ale podejść bliżej i niżej nie wolno z uwagi na możliwość „cielenia się”, to znaczy odpadnięcia kawałka bryły. Stojąc w pobliżu tej masy lodu, można usłyszeć trzaski i odgłosy pęknięcia ściany. Odnosiliśmy wrażenie, że ten kolos

w każdej chwili może się zawalić, z góry staczają się drobne kamienie. Wygląda to tak, jakby prędkość, z którą lodowiec się przemieszcza, była o wiele większa niż twierdzą naukowcy. Nic bardziej mylnego. Masa lodu porusza się w tempie 1 metra na dzień, bardziej chodzi tu o niesamowite przeciążenia i naciski. Szkoda, że nie mieliśmy pogody, bo tu lodowiec mógłby pokazać swój błękitny kolor. Jak się okazuje, lodowce Foga i Franza Josefa są oddalone od siebie o 24 km i spokojnie można je zobaczyć w ciągu jednego dnia. Wróciliśmy do pokoju i porozwieszaliśmy nasze przemoczone ubrania. Zapadliśmy w południową drzemkę, bo zwiedzanie jedynej ulicy w mieście w strugach deszczu nie było zbyt atrakcją. Wieczorem poszliśmy z Jarkiem do pubu, gdzie odbywało się święto Patryka (wskazany jest strój w kolorze zielonym). Bardzo fajna impreza w międzynarodowym towarzystwie, gdzie dobry humor, tańce i śpiewy są obowiązkowe. Kufel piwa 0,5l kosztował 7 NZD.

18 marca. Fox Glacier – Port Picton

Po drodze (43 km od Greymouth) zatrzymaliśmy się przy skalistym brzegu z angielska zwanego Pancake Rocks, czyli skałach naleśnikowych (darmowe wejście). Są to wapienne skały uformowane w gigantyczne stosy naleśników. Tutaj również wielkie fale morskie rzeźbią tunele i jaskinie w przybrzeżnych skałach. Dociera się do nich bez trudu po krótkim spacerze od głównej drogi, najlepiej przed przybyciem, kiedy rzeźki zachodni wiatr sprawia, że wzburzone fale gwałtownie i widowiskowo przelewają się przez szczeliny, rozpryskując wodną mgłę w odstłoniętych pieczarach. Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy do portu Picton. Tu kupiliśmy bilety na prom za 362 NZD/4 os.+ samochód na następny dzień na Wyspę Północną. Potem znaleźliśmy nocleg w Atlantis Backpackers przy 42 London Quay, 7250 Picton za 33,25 NZD/os. Mieliśmy do dyspozycji mały domek tuż przy hostelu. Prowadzi go miła hippiska, która swoim poczuciem humoru zarażała otoczenie pozytywną energią. Mieliśmy dwa pokoje, łazienkę, kuchnię. Niedaleko był supermarket, gdzie dokonaliśmy zakupów na kolację. Miasteczko jest ładne, ale mieliśmy mało czasu, aby poznać je dłużej.

19 marca. Port Picton – Napier

Pobudka o godz. 6.00, zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy do portu. Po odprawie udaliśmy się na pokład promu, gdzie przez 3,40 godz. płynęliśmy na Wyspę Północną. Tym razem wielu pasażerów zapoznało się z ubikacją. Prom przez godzinę płynął spokojnie wśród wybrzeża zatoki, aż wpłynął na otwarte wody cieśniny. Zaczęło niemiłosiernie kołysać, obsługa nosiła kawałki czekolady, torby-rzygawki i dbała o chorych pasażerów. Widać było cierpienie na wielu twarzach, my z Jarkiem spokojnie przespaliśmy większość podróży. W Wellington byliśmy planowo, następnie pojechaliśmy w okolice miasta Porangahau, gdzie znajduje się najdłuższa nazwa świętego wzgórza Maorysów składająca się z 57 liter „Taumatāwhakatāngihangakoauauotamateapokaiwhenuakitanatahu”, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza szczyt wzgórza, gdzie Tamatea, mężczyzna o wielkich kolanach, zdobywca gór, pożeracz ziemi i podróżnik grał na flecie dla swojej ukochanej. Potem przejechaliśmy do Napier, tu zatrzymaliśmy się w YHA za 33 NZD/os.

20 marca. Napier – Whakatane

Od rana zwiedzamy miasto, przypominające lata 30. XX wieku, gdzie gdzieś napotykać na stare samochody jak i ludzi ubranych w stroje z tej epoki. Co roku organizowany jest tu w lutym „Art Deco Weekend”, kiedy to całe miasto przebiera się

w kostiumy z tamtego okresu. Potem odwiedzamy National Aquarium of NZ (wstęp 18 NZD), które uchodzi za jedno z najnowocześniejszych. Pochwalić się może ruchomym chodnikiem, którym można się przemieszczać pod szklanym tunelem. Nad głowami przepływały nam rekiny, płaszczki i inne stwory oceaniczne. Dalej przeszliśmy do pawilonów, gdzie hodowane są pingwiny, ale nie dane było nam ich zobaczyć. Potem udaliśmy się do pomieszczenia, gdzie stworzono specjalne warunki do życia dla kiwi. Pomieszczenie jest zaciemnione, a za szybą chodziły dwa nietoty. Mieliśmy możliwość zobaczyć je w intymnej akcji. Może byliśmy świadkami historycznego poczęcia małego kiwika, który wykluje się w niewoli. Obecnie znane są już tylko 3 gatunki i wszystkie podlegają ścisłej ochronie. Te nietoty prowadzą nocny tryb życia, wyszukując w ściółce drobnych bezkręgowców. Jaja wysiaduje samiec przez 78–85 dni, co jest rekordem wśród ptaków. Kiwi jest endemitem, czyli żyje tylko w Nowej Zelandii, tak jak 75% występujących tu zwierząt. Następnie pojechaliliśmy do Whakatane. Tu zatrzymaliśmy się w „Whakatane Hotel” przy The Strand 79 za 25 NZD/os. Wykorzystując jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca, pojechaliliśmy 7 km w kierunku Otao, gdzie jest podobno najpiękniejsza plaża Ohope Beach (hm... według gustu). Tam można było skorzystać z kąpieli w Oceanie Spokojnym. Wieczorem pochodziliśmy po mieście.

21 marca. Whakatane – White Island – Auckland

Chłopaki popłynęli w 6-godzinny rejs na White Island odległą o około 50 km od brzegu Whakatane (199 NZD/os). Ja w tym czasie pozwiedzałam miasto, skorzystałam z darmowego Internetu w bibliotece, poczytałam i poopalałam się. W tym czasie panowie dopłynęli do White Islands, która jest nadal aktywnym wulkanem wyruszającym się z głębin Oceanu Spokojnego. Zostali wyposażeni w kaski oraz maski przeciwgazowe, bo w niektórych miejscach występuje duże stężenie siarkowodoru, wulkan wyrzuca w powietrze głązy, kamienie, gorącą parę. Na miejscu przewodnicy oprowadzają turystów po księżycowych krajobrazach terenów siarkonośnych. Widoki spektakularne, potem można było popływać u wybrzeży wyspy. W drodze powrotnej wokół łodzi pływały delfiny, co było pięknym ukoronowaniem tego dnia. Wrócili ok. godz. 17.00 i od razu ruszyliśmy do Auckland. Zatrzymaliśmy się w BK Hostel przy Mercury Lane 3, Cnr. Karangahape Road & Mercury Lane. Zapłaciliśmy po 25 NZD/os. za dormitorium i 33 NZD/os. za pokoje. Najpierw 2 dni spaliśmy w dormitorium, a potem na ostatnią noc przenieśliśmy się do pokoi.

22 marca. Auckland

Od rana zwiedzamy „miasto żagli”. Poszliśmy zobaczyć największą przystań jachtową świata Westhaven, która jest charakterystycznym punktem Auckland i stanowi jego wizytówkę. Tu odbywają się największe regaty. Jak się okazuje, co piąty mieszkaniec Auckland jest posiadaczem jachtu. Miasto przypomina Hongkong lub San Francisco, ale jest tu mniej reklam i neonów. Na głównej ulicy miasta Queen Street widać wielu obcokrajowców, a w ścisłym centrum odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy w jakimś azjatyckim mieście, bo białych było jak na lekarstwo za to sporo Chińczyków, Koreańczyków, Hindusów. Do tego wszechobecne azjatyckie bary, restauracje, odzież, pamiątki. Nawet teksty na budynkach były napisane w „krzaczkach”. Oglądaliśmy w porcie Ferry Building z 1912 r., charakterystyczny budynek z czerwonej cegły. Następnie udaliśmy się na Fish Market. Tu znajduje się szereg restauracji, gdzie można poprobować

różnych specjałów, jak również wziąć udział w kursie gotowania. Przechodzimy sobie spacerkiem do Victoria Park Market, gdzie można kupić pamiątki. Następnie wjechaliśmy na górę 328 m wieży Sky Tower za 25 NZD/os. (ze zniżką), skąd rozciąga się niesamowita panorama. Siedzieliśmy tam ponad godzinę, obserwując miasto. Sensację wzbudzali śmiałkowie skaczący na bungee z 60 piętra. Każdy chciał złapać w kadrze aparatu lecącego na linie ludzika. Jedni mieli skoczka u dołu zdjęcia, inni u góry, niektórzy w ogóle nie zdążyli. No cóż... jest to jakaś atrakcja i nauka robienia zdjęć w ruchu. Powoli zwiedzaliśmy miasto, które ma niewiele do zaoferowania pod względem architektonicznym, jednak każdy znajdzie tu coś ciekawego dla siebie: jest kilka kościołów, parki, muzea, dworzec kolejowy, sklepy. Można spokojnie poświęcić jeden dzień na Auckland, chyba że ktoś jest fanem życia nocnego i chce skorzystać z rozrywek oferowanych na K Road. Tu, w okolicy Queen Street rozpoczyna się gejowska dzielnica. Nasz hostel też tu jest ulokowany. Na budynkach powiewają tęczowe flagi, po ulicach chodzą transwestyci, trudno rozpoznać, czy to mężczyzna czy kobieta, bo zarówno makijaże, jak i stroje mają bardzo krzykliwe. Wieczorem ulica rozbrzmiewa głośną muzyką, odbywają się tu wieczorki panieńskie i kawalerskie, młodzież bawi się, pije i tańczy w obrębie knajp.

23 marca. Auckland i okolice

Rano pojechaliśmy do Otara Market położonego w południowej części Auckland na sobotni pchli targ, który jest opisany jako miejsce, gdzie można zakupić ciekawe pamiątki etniczne. Przedstawiony jest jako ostatnia taka atrakcja, czyli bazar Różycyckiego w wersji polinezyjskiej. No cóż... byliśmy na ciekawszych targowiskach, a tu atrakcję stanowili Maorysi oraz emigranci z Wysp Samoa, Tonga, Cooka, Kiribati czy Fidzi. Bazar, to po prostu zwykłe kramy z warzywami i owocami. Obok stoją budy z ubraniami, podróbkami różnych marek, jedzeniem hinduskim, chińskim. Większość klientów to cudzoziemcy z Wysp Samoa, Polinezji, którzy chcą zaoszczędzić i zrobić trochę tańsze zakupy. Poza tym można było zauważyć, że jest to biedniejsza dzielnica Auckland. Tu dostaliśmy mandat 40 NZD za złe parkowanie. Następnie pojechaliśmy do Waitakere Ranges Regional Park, który słynie z najstarszych drzew kauri, gigantycznych paproci i palm nikau. Jest tu kilka szlaków leśnych, więc można zaplanować sobie ciekawe wycieczki. Potem pojechaliśmy na zachodnie wybrzeże, gdzie można było skorzystać z kąpieli w Morzu Tasmana, woda miała tylko 17°C. Pojeździliśmy po okolicy bardziej dla zabicia czasu niż według jakiegoś planu, bo większość atrakcji ciągnie się od Auckland na południe. Mieliśmy samochód wynajęty do sobotniego popołudnia, ale stwierdziliśmy, że fajnie byłoby przedłużyć wynajęcie do niedzieli rano. Podjechaliśmy do wypożyczalni, gdzie okazało się, że bez dodatkowych opłat możemy oddać samochód następnego dnia rano, przed wylotem. Wróciliśmy do miasta, po drodze przejeżdżając koło stadionu, gdzie odbywało się Grand Prix na żużlu. W zawodach uczestniczyli nasi zawodnicy Jarosław Hampel i Tomasz Gollob, którzy zameldowali się odpowiednio na pierwszym i drugim miejscu !!! Stadion był wypełniony sporą grupą naszych rodaków (w tym Polonusów) zasilającą szeregi kibiców. Wstęp na obiekt kosztował 60 NZD. Wieczorem wyszliśmy na miasto, bo chcieliśmy zapalić sziszę. No nie... powariowali, bo chcieli ok. 60 zł za fajkę wodną. Wszędzie na świecie płaciliśmy grosze za aromatyczne dymki, więc tutaj powiedzieliśmy – dosyć tego zdzierstwa! Pan Turek poinformował uprzejmie, że szisza kosztuje 20 NZD, a każda dodatkowa osoba płaci

jeszcze po 5 NZD. Szok!!! Wyciągnęliśmy ukruszoną już zębem czasu (i podróży) Cohibę, którą Andrzej przywiózł z Kuby, i z tym ogromnym skrzętem ruszyliśmy na podbój ulicy. No i zrobiliśmy ogromne wrażenie na Kiwusach, bo wielu myślało, że to ogromny skrzęt marihuany, a my im tłumaczymy, że to przedniej marki cygaro prosto z Fidelandu. Dwóch chłopaków nie mogło się napatrzeć i ciągle prosiło nas o możliwość spróbowania. Podarowaliśmy im wreszcie połowę cygara, mając przy tym dużo śmiechu, słysząc ich tłumaczenie na temat pochodzenia ich jointa (no wiesz, stary... prosto z Hawany od Fidela Castro). Robili furorę i tym razem to od nich chciano posmakować. Wróciliśmy do hostelu, wyszorowaliśmy się, spakowaliśmy dobytek, bo jutro wracamy do domu.

24 marca. Auckland – Seul

O godz. 5.30 pobudka, zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy na lotnisko. Mirek z Andrzejem zostawili w hali odpraw bagaże, a sami pojechali oddać samochód, którym prawie przez miesiąc przejechaliśmy 6784 km. Nowa Zelandia potrafi promować swoje produkty i atrakcje, tak więc na lotnisku żegna nas Hobbit i inne postacie z „Władcy Pierścieni”. Ogony samolotów są przyozdobione motywami z tego słynnego filmu, a w strefie wolnocelowej można zakupić mnóstwo pamiątek z tego tematu. Z Auckland lecieliśmy do Seulu 11 godz. Na miejscu byliśmy o godz. 17.40 czasu koreańskiego. Z lotniska zostaliśmy zabrani autobusem do Benikea Songdo-Bridge Hotel (242 KRW za pokój, co daje zawrotne 700 zł!!!). Lotnisko w Seoul-Incheon bardzo się zmieniło od naszego ostatniego pobytu 5 lat temu. Jechaliśmy Mostem Yeongjong, który uchodzi za bramę wjazdową do Korei i jest dowodem ogromnego potencjału inżynieryjnego. Zostaliśmy rozmieszczeni w pokojach, dostaliśmy kupony na kolację i śniadanie. Nocleg przysługiwał nam w ramach biletu lotniczego, bo kolejny lot do Pragi mieliśmy dopiero następnego dnia. Hotel dysponuje ładnie urządzonymi pokojami, małą salą fitness, tarasem, barem. Wieczór nastał bardzo szybko, więc odpuściliśmy sobie wążęsanie się po okolicy. Oddaliśmy się ucztowaniu. Kolacja była świetna, mogliśmy popróbować morskich rarytasów, różnych odmian sushi, ciekawych zup. Najedliśmy się do syta, a po odpoczynku poszliśmy na siłownię. Potem próbowaliśmy usnąć, aby już pokonywać jet lag.

25 marca. Seul – Praga – Warszawa

Jarek z Andrzejem chcieli choć trochę uszczknąć z pobytu w Seulu, ponieważ do miasta było 2 godz. jazdy metrem, to pozwiedzali okolice hotelu. Dzielnica jest jedynym, wielkim placem budowy, wszędzie są dźwigi, rozkopane pola, ale widać, że powoli zamienia się w kolejne osiedle mieszkaniowe. Ranek był mroźny, więc już musieliśmy przystosowywać się do warunków panujących w Europie. O godz. 11.00 wsiadliśmy do autobusu i zostaliśmy odwiezieni na lotnisko. Stąd o godz. 14.50 mieliśmy odlot do Pragi. Pochodziliśmy jeszcze trochę po terminalu w Seulu, pooglądaliśmy sklepy, a potem rozpoczęliśmy 11,5 godz. podróż do stolicy Czech. Przelot umilaliśmy sobie oglądaniem filmów, koncertów, jedzeniem i oczywiście spaniem. Stewardesy kazały zasłonić okna, aby stworzyć namiastkę nocy, co umożliwia przestawienie się na czas europejski. Zmęczeni dolecieliśmy do Pragi. Stąd mieliśmy półtorej godziny na przesiadkę do Warszawy. Odprawiliśmy się i po 1 godz. byliśmy w kraju, gdzie przywitało nas – 4°C... br. Odebraliśmy bagaże i pojechaliśmy na parking, gdzie Andrzej miał zaparkowany samochód. Teraz trzeba było przestawić się na ruch prawostronny, opa-

nować kierunkowskazy oraz manualną skrzynię biegów. Tak po 3 godzinach dotarliśmy ze stolicy do Bytomia. Około godz. 1.00 w nocy byliśmy w domu. Teraz rozpocznie się tygodniowa walka ze zmianą czasu. Dziś jej pierwszy etap...

Podsumowanie

Nowa Zelandia to dwie wyspy na peryferiach ziemi, które zostały hojnie obdarzone przez naturę. Leżą pośrodku Oceanu Spokojnego około 2250 km na wschód od Australii. Maoryska nazwa brzmi Aotearoa, czyli Łąd Białej Długiej Chmury. Na powierzchni 270 tys. km znalazły się wszystkie elementy geograficzne obecne na kontynencie europejskim. Żyją tu zwierzęta i rośliny niespotykane w innych miejscach, jak choćby słynny ptak kiwi. Są ośnieżone góry, zielone pagórki, kręte i rwące rzeki, lazurkowe jeziora, wulkany, lodowce, piaszczyste i kamieniste plaże, stepy i morskie klify. Różnorodność krajobrazów i środowisk oraz przyjazny klimat przyciągają licznych turystów. Można przeżyć tu przygodę życia, a NZ tworzą krajobrazy, nie miasta. Izolacja wysp przez tysiące lat oraz oddalenie od cywilizacji sprawiły, że fauna i flora nadal są dziewicze. Żyją tu unikatowe w skali świata gatunki papugi kakapo i kea oraz przede wszystkim kiwi – ptak nielot, który stał się symbolem kraju. Jego wizerunek zdobi monety, pocztówki, znaczki, koszulki. Od niego Nowozelandczycy nazwali się kiwusami. Dziś to natura stanowi o wyjątkowości tego kraju, 30% terytorium to rezerwy przyrody, ustanowiono 14 parków narodowych i 5 morskich. Kraj ten zamieszkuje 4,2 mln ludzi, z czego Maorysi stanowią około 10%. Pasie się tu 40 mln owiec (wełniaczek) i 10 mln bydła. Nowa Zelandia to Wielka Brytania po drugiej stronie Oceanu: zachował się tu ruch lewostronny, sklepowe półki wypełniają brytyjskie towary, młodzież wyjeżdża na studia do „starego kraju”. Wbrew pozorom kraj jest ogromny, a atrakcji aż nadto. Czytając przewodniki (jakiegokolwiek), nie będziemy mieć i tak pojęcia, co nas czeka na miejscu. Czyli nie spać, nie siedzieć!!! Zwiedzać, zwiedzać, zwiedzać...!!! Wyspy narażone są na częste trzęsienia ziemi, a także wybuchy wulkanów. Sejsmografy notują rocznie około 14 tys. wstrząsów, z czego odczuwalnych w całym kraju jest około 150. Maorysi zintegrowali się z Europejczykami dużo lepiej niż australijscy Aborygeni. Obie społeczności wymieszały się i zawarto wiele mieszanych małżeństw. Pozostało bardzo niewiele rdzennych mieszkańców, a w żyłach Nowozelandczyków płynie dzisiaj częściowo krew maoryska. NZ ma świetnie przygotowaną bazę turystyczną, w najmniejszej dziurze zamieszkałej przez 100 osób, obowiązkowo będzie informacja turystyczna, gdzie dostaniesz 10 darmowych mapek oraz listę okolicznych atrakcji. Oficjalne dane podają, że jest to największy przemysł eksportowy NZ, przynoszący ponad 16 mld USD rocznie!!! Zresztą Nowozelandczycy też kochają turystykę i w przeciętnym 10-tysięcznym miasteczku mamy zazwyczaj 5 sklepów turystyczno-trekingowych. Mieścić w tym kraju to zdecydowanie za mało, jest tutaj tak pięknie, że czasem aż chciałoby się zobaczyć coś bardzo brzydkiego. Jak już jest się tak daleko, to nie warto rezygnować z różnych atrakcji, bo nie wiadomo, kiedy znowu się tu człowiek wybierze. Nic nie daje większej frajdy i wolności niż przejechanie NZ na własną rękę samochodem.

Ciekawostki:

- Gdyby przewiercić na wylot globus, zaczynając w Warszawie, to wiertło ukaże się na środku Pacyfiku w punkcie o współrzędnych 160° W i 52° S. Około 2 tys. km na płn.-zach. od tego miejsca leży Nowa Zelandia – najbardziej odległy od Polski kawałek łądu. Blżej mamy nawet na biegun południowy.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl.....	4
W świecie globtroterów	5
OSOTT 2014.....	7
Konkurs na relację z wypraw	8
Maciej Brożyna, Łukasz Godek, Sławomir Drozd	
Białoruś – z wizytą bez wizy.....	11
Alicja Szpot & family	
Dolina Loary.....	14
Danuta Wojciechowska	
Kreta i Santorini autobusami.....	28
Rafał W. Zarębski	
Macedonia	36
Danuta Wojciechowska i Adam Stępiński	
Mołdawia, Naddniestrze, Bukowina i Maramuresz.....	41
Anna i Grzegorz Lega	
Turcja i państwa kaukaskie samochodem osobowym	50
Jacek Kowalik	
Gruzja, Armenia.....	64
Piotr Wiland	
Atak zimy na Izrael i Jordanię – podróż z niespodziankami	74
Jacek Kowalik	
Oman, Kuwejt	88

Piotr i Grażyna Wiland Północne Indie i Nepal	93
Anna i Paweł Manczyk Birma	110
Ewa Wilczyńska-Saj, Romek Saj Sri Lanka zimą	122
Radomir i Anna Kolmas W krainie suzani, ak-kalpak, jurt i dumbra (Kazachstan)	134
Cezary Wasyluk Dalekistan	145
Witold i Adrian Palak Motocyklem przez Himalaje – Ladakh i Zanskar	149
Krystyna Olszewska Kambodża w porze monsunu	158
Joanna Kusiak Malezja z Borneo oraz Singapur	168
Adam Stępiński Maleldo – Wielkanoc na Tajwanie i Filipinach	178
Joanna i Artur Morawiec Indonezja – z wizytą u Toradżów	193
Walenty Zajkowski Indonezja i trochę dalej (Australia)	202
Sławomir W. Malinowski Pukając do wrót Herhora (Egipt)	212
Ewa Flak, Jarosław Kociel Tunezja między pustynią a morzem	221
Danuta Wojciechowska Gambia i Senegal	231
Agnieszka i Tomasz Lipeccy Uganda, Rwanda i Tanzania	243
Joanna Kłosowska-Holona i Karol Holona Zimbabwe i Botswana	262
Zuza (Katarzyna Anoszczenko), Mundi (Rafał Robak) Nevada i Utah – Road Trip po dzikim zachodzie USA	270
Beata i Rafał Gwóźdź Meksyk – danie główne, Gwatemala i Belize jako deser	299
Ewa Flak, Jarosław Kociel Nowa Zelandia czyli 6784 km samochodem	310